

Josie Lloyd,  
Emlyn Rees

HISTORIE MIŁOSNE

Dla Tallulah  
obyś zawsze kochała życie

## PODZIĘKOWANIA

Wyjątkowe podziękowania niech zechcą przyjąć od nas wyjątkowi agenci Vivienne Schuster i Jonny Geller, a także Euan, Doug, Carol „Zaręczona” Jackson, Kate, Emma, Diana, Sarah, Gill i wszyscy w Curtis Brown. Dziękujemy także wszystkim w Random House, szczególnie Andy'emu McKillopowi, Kirsty Fowkes, Kate Parkin, Georginie, Justine, Markowi, Ronowi, Karen i Glennowi. Wielkie dzięki składamy naszym przyjaciołom i rodzinie za ich niewiarygodne wprost wsparcie, zwłaszcza Bobowi i Barbarze Wines za tak wiele, Richardowi i Anne Rees za użyczenie nam swojego domu i za to, że wrócili cali i zdrowi, Catherine, Moose, Liz, Ralphowi i Kirsti za to, że na Dzikim Zachodzie mieli nas na oku, oraz Philipowi, Jenny i wszystkim z Packhorse Inn za to, że sprawili, iż Southstoke okazało się tak wspaniałym miejscem do pisania, a także Anne Lloyd za jej opinie, kiedy miały one kluczowe znaczenie.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Najciszej, jak tylko mógł, Jimmy otworzył drzwi do sypialni Rachel i zajrzał do środka. Oto dziewczyna jego taty, częściowo przykryta szeroką kołdrą, sama w dwuosobowym łóżku. W bladym świetle poranka jej gęste, czarne włosy leżały rozrzucone na jasnożółtych poduszkach. Przypominały Jimmy'emu kępki wodorostów, które morze wyrzuca na plażę podczas zimowych sztormów.

Sześć miesięcy temu Rachel zrobiła tutaj przemeblowanie. Położona przez babcię stara tapeta w róże jak na jej gust była zbyt słodka i mdła. Narzekała, że czuje się, jakby spała w bombonierce z czekoladkami. Teraz więc ściany miały neutralny kremowy kolor, a należące do babci lalki w sukienkach z krynolinami zostały wyeksmitowane z toaletki do kartonu i razem z nim schowane do białej, laminowanej szafy.

Jimmy'ego z jednej strony zasmuciła łatwość, z jaką wymazana została przeszłość jego babci, ale jednocześnie był zadowolony, że Rachel poprzestawiała to wszystko w sposób, który jej się podobał. Teraz był to także i jej dom, a poza tym wiedział, że babcia i tak już tu nigdy nie wróci.

Spokój, pomyślał Jimmy. To właśnie spokój przesycił atmosferę tego pokoju. Unosiła się w nim czysto słodka woń, połączenie zapachu świeżego prania i świeczek aromaterapeutycznych, której brakowało pozostałym pomieszczeniom. W wyklejonym plakatem pokoju Jimmy'ego czuć było dezodorantem i papierosami. Pokój jego przyrodniego brata Kierana, czyli mieszanina zabawek i ciuszków, pachniał pieluchami, zasypką i mlekiem. Oba te pomieszczenia miały w sobie coś takiego, że poza snem prawie niemożliwy był tam jakikolwiek inny relaks. Ale ten pokój, neutralny niczym poczekalnia u lekarza, emanował jedynie spokojem.

A spokój był tym, czego Jimmy w tej chwili potrzebował najbardziej. Dlatego właśnie stał w drzwiach z płonną nadzieją, że atmosfera tego pokoju w jakiś sposób przeniknie do jego wnętrza i rozplącze płataninę nerwów, która boleśnie się w nim skręcała, od kiedy tylko się przebudził.

Źródło jego zdenerwowania było oczywiste: Jimmy był zakochany. Jimmy był zakochany w Verity Driver. Jimmy był zakochany w Verity Driver, mimo że Verity Driver ledwie wiedziała,

kim jest Jimmy. Jimmy był zakochany w Verity Driver, mimo że Verity Driver ledwie wiedziała, kim jest Jimmy, ale dla Jimmy'ego nie miało to znaczenia. Jimmy był zakochany w Verity Driver, mimo że Verity Driver ledwie wiedziała, kim jest Jimmy, ale dla Jimmy'ego nie miało to znaczenia, ponieważ Jimmy miał zamiar uczynić pierwszy krok.

A co więcej, miał zamiar zrobić go dzisiaj. Naprawdę.

Tyle że jednocześnie obawiał się, że tego nie zrobi. Ponieważ czasami Jimmy jedynie sądził, że jest zakochany w Verity Driver. Czasami Jimmy jedynie sądził, że jest zakochany w Verity Driver, ponieważ bardzo chciał się w kimsz zakochać. Czasami Jimmy sądził, że jeśli tylko sądzi, że jest zakochany w Verity Driver, wtedy nie powinien mówić jej niczego, dopóki nie będzie mieć całkowitej pewności.

Był doskonale świadomy tego, że jest to skomplikowana sytuacja.

Jednak czasami stawała się ona jeszcze bardziej zagmatwana. Czasami Jimmy się zastanawiał, czy w ogóle wie, czym jest miłość. Nie chodziło mu o rodzaj miłości, jaką obdarzał Kierana albo Rachel, ani nawet o rodzaj miłości, którą czasami - rzadko - czuł do swego taty. O niej akurat wiedział wszystko. Ten rodzaj miłości był po prostu obecny gdzieś w tle, niczym cegły w ścianie. Nie było to coś, na rozmyślanie o czym Jimmy poświęcał wiele czasu. Nie było to uczucie, które potrafi szybować jak ptak albo runąć gwałtownie w dół jak kamień. Nie było to uczucie, które może być rozciągane w jedną lub drugą stronę, a mimo to pozostanie bez zmian. Nie był to, innymi słowy, ten rodzaj uczucia, które ogarniało Jimmy'ego za każdym razem, kiedy tylko myślał o Verity Driver - rodzaj uczucia, którego nigdy wcześniej nie doświadczył i przez które czuł się jednocześnie zagubiony, uszczęśliwiony i przerażony.

Czy to była miłość? Jimmy nie miał pojęcia, ale tego właśnie miał zamiar się dowiedzieć. Czy ona jest prawdziwa? Wkrótce odkryje także i to. A jeśli tak, to czy Verity będzie to w ogóle obchodziło? No cóż, to właśnie miał przynieść Jimmy'emu dzisiejszy dzień: pewność. Do wieczora wszystko już będzie wiadomo.

Ale jeszcze nie teraz. Teraz będzie się trzymał tego, co zwykle. Będzie się zachowywał tak, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego. Umieści Verity Driver i wszystkie rozmyślania na temat miłości na

samym dnie swojej świadomości. Zachowa je na czas, kiedy naprawdę będą miały znaczenie.

Jimmy przeszedł przez pokój i na stoliku przy łóżku Rachel postawił parujący kubek, który od kilku chwil trzymał w dłoniach. Słaba kawa z mlekiem przelała się przez krawędź i spłynęła po kubku. Obserwował, jak rozlewa się na haftowanej serwetce niczym błoto rzucone na śnieg. Jimmy'emu przyszło do głowy, że może to jakiś zły omen, ale natychmiast odsunął od siebie tę myśl.

Na parapecie migały światełka urządzenia do dziecięcego monitoringu. Dobiegł z niego odgłos kaszlu małego Kierana, śpiącego w sąsiednim pokoju.

Rachel zareagowała na to ciężkim westchnieniem, a jej czoło zmarszczyło się w sposób, który będzie jej towarzyszyć przez resztę dnia. „Mina mamusiowata”, jak ją nazywała, kiedy tylko dojrzała ją na zdjęciach, zarzekając się jednocześnie, że nie pojawiała się ona u niej przed zajściem w ciążę.

- Wszystko w porządku, skarbie? - zapytała, zauważając Jimmy'ego, i przekręciła się na bok, tak że kołdra owinęła się wokół niej. Jej mowa miała śpiewny walijski akcent, mimo że w swym rodzinnym miasteczku Fishguard Rachel nie była już od prawie dziesięciu lat. Jimmy zawsze uważał, że mały Kieran ma prawdziwego farta, iż taka kobieta śpiewa mu wieczorem kołysanki. Mamy Jimmy'ego nie było, by mogła robić to samo w jego przypadku. Należało to do obowiązków jego babci, która wychowywała wnuka właściwie sama, jako że ojciec Jimmy'ego raz był, a raz go nie było.

- Przyniosłem ci kawę - rzekł, wskazując na kubek. Zauważył przy tym, że turkusowy wyświetlacz stojącego tuż obok prehistorycznego budzika elektronicznego marki Sony pokazuje 8.05.

Rachel otarła resztki snu z brązowych oczu i zlustrowała Jimmy'ego uważnym spojrzeniem. Opuściła rękawy swojej białej, bawełnianej piżamy.

- Co to za ważna okazja? - zapytała. - T-shirt - wyjaśniła, gdy Jimmy spojrzał na nią z wyraźnym zaskoczeniem.

Chłopak popatrzył na stary T-shirt z Iggy Popem, który pożyczył sobie od taty. („Porządna pamiątka rodzinna” - marudziła jego przyjaciółka Tara. - „Jedyna pamiątka, jaką moi rodzice mają z czasów rocka i popu, to zdjęcie Michaela Jacksona z jakimś szympansem”).

- O co ci chodzi? - zapytał Jimmy. Rachel uśmiechnęła się.

- Tylko o to, że wyprasowałeś ją tak starannie, że biedny, stary Iggy wygląda, jakby przeszedł lifting twarzy. - Mrugnęła ledwo dostrzegalnie, jednocześnie przyglądając się uważnie niebiesko - czarnym bojówkom Jimmy'ego. - Nowe spodnie, co? - zauważyła.

Jej pytanie pełne było ukrytego znaczenia. Jimmy niezwykle rzadko kupował nowe ciuchy. Cała niewielka suma, jaką pozwalał sobie wydawać, szła na potrzeby towarzyskie, takie jak przesiadywanie z Tarą i innymi w Szafirze bądź też opłacanie rachunków za telefon komórkowy. Reszta pieniędzy, którą udawało mu się zarobić, wędrowała prosto na jego konto bankowe tytułem oszczędności. W taki właśnie sposób wychowała go babcia - by brał odpowiedzialność za samego siebie - i Rachel o tym wiedziała.

- Trochę nowe - odpowiedział niezobowiązująco Jimmy, postanawiając nie wdawać się w szczegóły, jak to Tara tanio mu je odstąpiła, gdy się zorientowała, że dzień wcześniej w sklepie Denny'ego Shaplana na Tudor Square zwinęła nie ten rozmiar.

- Jak ma w takim razie na imię? - zapytała Rachel, sięgając po kawę.

- Ee?

- Dziewczyna, na której chcesz zrobić wrażenie.

Trafność stwierdzenia Rachel zaskoczyła Jimmy'ego i zanim był w stanie temu zapobiec, na jego policzki wypełzł zdradliwy rumieniec.

- Lepiej już pójdę. - Postanowił uciec się do wymówki. Pochylił się i pocałował Rachel w czoło, czując jednocześnie delikatną woń słodkich perfum, które w zeszły czwartek kupił jej w prezencie na trzydzieste szóste urodziny.

Na korytarzu w głowie Jimmy'ego pojawiło się wspomnienie jego taty, który przed rokiem mocno opalony, obcięty na jeża i szeroko uśmiechnięty zjawiał się na progu tego mieszkania. W jednej ręce trzymał na wpół opróżnioną butelkę tequili, a drugą obejmował Rachel, która była wtedy w ósmym miesiącu ciąży.

„Poznaj nową miłość mojego życia, dzieciaku - oznajmił Jimmy'emu, a jego niebieskie oczy błyszczały. - I lepiej się do niej przyzwyczaj, ponieważ zostanie tu na długo”.

Jimmy naprawdę chciał, by tata traktował ją lepiej. Tymczasem on kilka miesięcy po narodzinach małego Kierana zmył się do

Portugalii, gdzie obiecano mu stałą pracę w barze i na budowie. Zdążył też złożyć wiele obietnic, na przykład, że sprowadzi do siebie Rachel i Kierana tak szybko, jak to tylko możliwe, ale - nie licząc ich weekendowej wycieczki do Lizbony - jak na razie, nie wywiązał się z żadnej z nich.

Jimmy przystanął na chwilę na korytarzu, by przejrzeć się w dużym lustrze. Kradzione bojówki wisały luźno na jego szczupłych biodrach. Były na niego za długie i marszczyły się przy kostkach, tak że na sportowych butach widać było jedynie pół logo Nike.

Chłopak przez chwilę zastanawiał się, czy nie nałożyć jeszcze szarego, wełnianego swetra pod szyję, który wkładał, gdy szedł łowić ryby na łodzi Arniego, ale w końcu zrezygnował z tego pomysłu. Gdyby zdecydował się na sweter, wtedy w odstawkę musiałaby pójść czarna, skórzana kurtka w stylu retro, którą siostra Ryana dała mu po pogrzebie.

Wsunął ręce w rękawy ciężkiej kurtki. Nosił ją prawie każdego dnia niczym drugą skórę. Wyglądał anachronicznie, jak określała to Tara. Twierdziła, że dzięki niej wyróżnia się niczym aria operowa na składance hiphopowej w otoczeniu tych wszystkich dzieciaków w ciuchach od Hilfigera, Reeboka czy Nike.

Odrzucając ciemną, gęstą grzywkę, Jimmy uśmiechnął się na próbę, ale natychmiast powrócił do poprzedniego wyrazu twarzy. Z tym uśmiechem wyglądał na zatrwożonego, niczym jeden ze świadków Jehowy, którzy od czasu do czasu pukali do ich drzwi. A dzisiaj niepotrzebne mu były podobne skojarzenia.

Przesunął dłonią po szczęce. Nieźle, pomyślał, jak na tydzień bez golenia. Ten kilkuniedniowy zarost - choć młodzieńczy i delikatny - sprawiał, że Jimmy wyglądał na starszego i mądrzejszego, jakby przeżył nieco więcej niż w rzeczywistości. Zastanowił się, czy nie pozostawić zarostu w spokoju jeszcze przez kilka tygodni i nie wyhodować takiej małej koziej bródki, a może nawet i brody w stylu Che Guevary.

Smutek przebiegł przez twarz Jimmy'ego, gdy przypomniał sobie, jak na początku zeszłego roku Ryan przyklejał na ścianie Wraku ten wielki, czerwono - czarny plakat słynnego Kubańczyka. Ryan był wtedy nawalony i potrzebował sześciu czy siedmiu prób, ale wreszcie udało mu się powiesić plakat w miarę prosto.



- Proszę bardzo - powiedział, opadając na stary materac i przyglądając się swemu dziełu. - Nie - święta Trójca.

W wieku siedemnastu lat Ryan był już trochę za stary na plakaty, które jednak zostały porozwieszane w całym Wraku - tak nazwali nieużywaną, zamkniętą na głucho kaplicę na zboczu klifu, będącą od lat ich kryjówką i miejscem spotkań. „Praktyczna konieczność” - tak określał je Ryan. - „Nieoceniona pomoc w zakrywaniu kontynentów wilgoci, które za cel obrały sobie zasiedlenie naszego gniazda rozpusty”.

Obok Che Guevary wisiał wizerunek jednego z bohaterów Ryana, Howarda Marksa, słynnego walijskiego przemytnika narkotyków. A pod nim znajdował się plakat ze szczerzącą się od ucha do ucha Britney, wydarty z jakiegoś magazynu dla nastolatków. Jej czoło Ryan pracowicie ozdobił kilkoma nieudolnymi, nieprzyzwoitymi rysunkami.

- Nikt tak naprawdę nie jest wart tego, żeby brać z niego przykład, Jimmo - oznajmił z westchnieniem Ryan, przyglądając się Che - ponieważ nic tak naprawdę nie jest warte walki. W każdym razie nie na dłuższą metę. - Odwrócił się do Jimmy'ego, rozwalonego na podartym, rdzawoczerwonym, skórzanym fotelu, który gwizdnęli w mieście ze śmietnika. - Najbardziej charyzmatyczny rewolucjonista swoich czasów i popatrz tylko, gdzie skończył - dodał Ryan. - Między walijskim kryminalistą i amerykańską księżniczką popu.

A potem mrugnął do Jimmy'ego, dokładnie w taki sam sposób, w jaki zawsze mrugał do ludzi. Ryan nieodmiennie kreował się na inteligentniejszego od osób, z którymi akurat przebywał. Jego bez mała czarne oczy - których spojrzenia nie było się w stanie wytrzymać - zawsze dawały innym do zrozumienia, że potrafi zajrzeć do ich wnętrza. Umiał zamknąć usta ludziom dwukrotnie od niego starszym - nauczycielom, sklepikarzom i tak dalej - w ogóle się nie odzywając.

Jimmy szanował przyjaciela tak bardzo, że wyrobił w sobie nawyk niekwestionowania jego oświadczeń. Cechująca Ryana pewność siebie była dla niego jak ogień, przy którym ogrzewał się przez lata, i ostatnie, czego pragnął, to zgasić go swymi wątpliwościami. Zamiast tego odpowiedzią Jimmy'ego było - wtedy i wielokrotnie wcześniej - kiwnięcie głową i uśmiech.

Najwyraźniej bardzo odpowiadało to Ryanowi, który zabrał się do przygotowywania skręta. W tamtym czasie zaczynał wyrastać z etapu

fascynacji Jimmem Morrisonem. Jego włosy, ciemne tak jak Jimmy'ego, ale cienkie i proste jak druty, opadały luźno na kurtkę, którą Jimmy miał teraz na sobie. Jimmy uśmiechnął się, przypominając sobie, jak to dwa tygodnie później Ryan pozbył się swoich długich piór na rzecz krótkiego jeża i zamienił kolczyk w uchu na metalowe kółko w dolnej wardze.

Ciągle zmiany - oto, czym dla Ryana było życie. Przeżywanie tak wiele, jak to tylko możliwe, w tym krótkim czasie, który ci został przydzielony. Jimmy kochał go wtedy za to, że nauczył go, iż nie trzeba przez całe życie być wyłącznie pasażerem, i że pokazał mu, że kiedy tylko ma się ochotę, można chwycić kierownicę i wybrać własną drogę. Mimo że Ryan był starszy od niego tylko o rok, Jimmy uważał go za swojego mentora, ważniejszego niż ktokolwiek inny w jego życiu, a zwłaszcza ojciec.

Jimmy odwrócił się plecami do swego odbicia w lustrze i udał się do kuchni. Dopił pozostawioną przez siebie herbatę i opłukał kubek gorącą wodą, po czym pozostawił go na suszarce do wyschnięcia tuż obok talerzy i sztućców po wczorajszej kolacji i wiecznie tam obecnego rzędu plastikowych butelek, śliniaków i innych dziecięcych akcesoriów.

Coś zwróciło jego uwagę. Jimmy wyjrzał przez okno i dojrzał mewę, unoszącą się na wietrze zaledwie półtora metra dalej. Jednak wtedy, prawie w tej samej chwili, w której ją zobaczył, mewy już nie było - nagle poderwała się w górę, pozostawiając za sobą jedynie wirujące chmury. Jimmy poważnie interesował się fotografią i żałował, że nie ma przy sobie aparatu, ale teraz już było i tak za późno.

Wytarty, brązowy dywan w salonie upstrzony był nie dającymi się doprać plamami, mającymi swoje źródło w dwunastu miesiącach zrzucania butelek i odtrącania misek, co było uprzejmością ze strony małego Kierana i jego rosnącego apetytu na sianie zniszczenia. Jimmy przedarł się przez pole minowe używanych zabawek z Fisher Price i Tomy oraz innych dziecięcych drobiazgów i wszedł do swojego pokoju.

Na leżącej obok jego łóżka, odwróconej do góry dnem skrzyni do transportu herbaty, stała lampka w kształcie rakiety kosmicznej, popękane lustro promocyjne Jacka Danielsa i oprawione w ramkę zdjęcie Tary, Ryana i Jimmy'ego, zrobione w dniu, w którym Ryan

gwizdnął z parkingu hotelowego przy Royal Inn alfę romeo i we trójkę brawurowo przejechali nią wzdłuż wybrzeża aż do Lyme Regis.

Nihilista. Zmysłny dzieciak, niemniej marnotrawca. Śmieć, przegrany i karygodny skandalista. Chłopak, którego zgubiło zażywanie zbyt wielu narkotyków. Tak właśnie każdy w miasteczku myślał teraz o Ryanie. Młody człowiek, którego życie zakończyło się tragicznie, do którego samobójstwa doprowadził jego styl bycia. Tak brzmiało oficjalne oświadczenie koronera. Ale Jimmy wiedział co innego. Ryan był jego najbliższym przyjacielem i Jimmy znał całą prawdę o nim lepiej niż ktokolwiek z tych wszystkich ludzi.

Z wiklinowego kosza przy łóżku Jimmy'ego wystawały T-shirty i skarpetki. Pudełka po pringlesach, sreberko po czekoladzie i zgniecione puszki po tangu i coli leżały na podłodze tuż obok czasopism „NME”, „Uncut”, „The Face” i różnych podręczników szkolnych oraz pochodzących z drugiej ręki, głównie amerykańskich, głównie współczesnych książek w miękkich okładkach. Jimmy lubił czytać i lubił się uczyć, tak samo jak lubił uważać w szkole na lekcjach. Jednak było to coś, do czego nie przyznałby się nikomu z wyjątkiem najbliższych przyjaciół, na wypadek gdyby miał zostać uznany za mięczaka.

Zawieszane nad łóżkiem półki wprowadzały do jego pokoju pewien ład, jako że poustawiane na nich były w kolejności chronologicznej należące do Jimmy'ego cenne magazyny filmowe.

Tuż za nimi, poukładane tak samo schludnie, znajdowały się kasety wideo z pamiętnikami, nakręconymi przez Jimmy'ego przenośną kamerą, którą pożyczył od Clive'a z Klubu Młodzieży. Taśmy ustawione były tak, że widać było naklejki z tytułami, z których część wydawała się wyjątkowo durna, jak na przykład: Czy życie to nie dziwka? i Nawaleni oraz Nawaleni 2: ciąg dalszy. Jednak kilka z nich brzmiało poważnie: Czas pustki i Błękitny rybak, którą to pozycję - „Krótki film o końcu tradycyjnego stylu życia” - miesiąc temu Jimmy przesłał razem z formularzem zgłoszeniowym do college'u filmowego. Był ambitny. Pragnął do czegoś w życiu dojść. Chciał wrócić tutaj za dziesięć lat, by ci wszyscy ludzie, którzy teraz spisali go na straty, mogli go zobaczyć, zatrzymać się, wskazywać palcem, szeptać i wpatrywać się.

Jimmy wykonał trzy kroki potrzebne do znalezienia się na drugim końcu pokoju i wziął z parapetu marlboro reds oraz zapalniczkę

Zippo, pozostawione za zasłoną, z dala od pełnego dezaprobaty spojrzenia Rachel. Pochylił się nad kwadratowym, drewnianym biurkiem, na którym stała rozklekotana maszyna do pisania. Maszyna wydała z siebie pełen protestu jęk, kiedy wyciągał z niej ostatnią stronę wypracowania na temat Makbeta. Był to dźwięk, który Jimmy bardzo lubił, ponieważ oznaczał on, że coś zostało zakończone i że wkrótce swój początek będzie miało coś nowego.

Na żeliwnym balkonie mieszkania Jimmy'ego panował przeraźliwy chłód. Zeszłej nocy szalała naprawdę porządna burza, a wiatr jeszcze nie zdążył się uspokoić. Pędził z wyciem znad wielkiej, szarej płachty morza na wschód, syczał w uszach Jimmy'ego i uderzał go w twarz, gdy przykucnął, by od zardzewiałych barierek odzepić swojego obdrapanego BMX - a. Wyciągnął z kieszeni czapkę baseballową i nasunął głęboko na czoło.

Z wysokości dziewiątego piętra Carlton Court - wybudowanej w latach sześćdziesiątych potężnej, niszczejacej masy betonu, którą Jimmy nazywał domem przez szesnaście ze swoich siedemnastu lat - miał doskonały widok na prawie kilometrowy łuk piasku w kolorze platynowego blondu, nazywanego Północną Plażą, który ciągnął się aż do portu i samego miasteczka Shoresby.

Nie licząc mew i fal oraz samotnego spacerowicza widocznego w oddali na Północnej Plaży, w miasteczku niewiele można było dostrzec ruchu. Okna pastelowych, zwróconych frontem do morza domów, hoteli i pensjonatów wydawały się szare i ciemne, jakby zapomniano o ich pomalowaniu. Niedługo się to oczywiście zmieni, kiedy tylko wszyscy się obudzą. Ale teraz jedynie sklepy przy High Street - których pasiastymi markizami nad jaskrawo oświetlonymi drzwiami wejściowymi targały podmuchy wiatru - stanowiły sygnał, że w miasteczku w ogóle ktoś mieszka.

Jimmy zwiózł rower na dół windą i przeszedł razem z nim przez tandetnie ozdobioną klatkę schodową na parterze. A potem był już na zewnątrz i jechał wzdłuż Croft, drogi, która biegła równolegle do łuku Północnej Plaży, tyle że dobre piętnaście metrów wyżej, po czym kończyła się tuż przy High Street.

Pedałując tak szybko, jak tylko potrafił, z wiatrem wiejącym w twarz, Jimmy przemykał między wiszącymi, chyboczącymi się koszami na śmieci i znakami z napisem „Wolne pokoje” przed pensjonatami, minął pozamykane na cztery spusty bary z fast foodem i

lodziarnię Mr Whippy Head, po czym przeciął pusty o tej porze parking samochodowy Pay & Display, gdzie spędził większość letnich wieczorów, ćwicząc jazdę na desce, dopóki nie znudziło mu się to wszystko i nie opchnął deski Tristanowi za kilka płyt i zapalniczkę z brązu Zippo, która teraz pobrzękiwała w jego kieszeni.

Jimmy zatrzymał się i zsiadł dopiero, gdy dotarł do High Street. Oparł rower o słup wiktoriańskiej latarni i dał nura do kiosku pana Wilsona, gdzie wybrał dla siebie ze stojaka z prasą listopadowy numer „Total Film”, a z lodówki wyjął butelkę dietetycznej coli.

- Jak tam twoja babcia? - zapytał Bob Wilson, skanując jednocześnie kody zakupów Jimmy'ego. - Nadal ją odwiedzasz?

- W każdą środę i piątek - potwierdził Jimmy.

Bob pokiwał ze współczuciem głową. To właśnie rak pięć lat temu zabrał mu jego Elaine, tak samo jak rak pokonał mamę Jimmy'ego w niecały rok po jego narodzinach.

- Przekaż jej to ode mnie - powiedział Bob, podnosząc rękę w górę i bez patrzenia zdejmując z półki za sobą opakowanie Milk Tray. Wsunął słodycze do brązowej, papierowej torby, którą następnie podał Jimmy'emu. - Ale uważaj, by nie dostało się to w ręce pielęgniarek - ostrzegł - bo inaczej wpadnę przez ciebie w tarapaty.

Jimmy nie miał serca, by powiedzieć panu Wilsonowi, że ostatnio jego babcia jest zbyt nieobecna, by się wiele przejmować czekoladkami.

- Dzięki - rzucił i włożył podarunek do biało - czarnej torby sportowej marki Adidas.

Jimmy przejechał następnie dwadzieścia metrów, po czym zatrzymał się tuż przy ławce w parku, która stała zwrócona przodem do morza. Oparł rower o drewniane listwy i obejrzał się na ulicę.

A tam, obok kiosku W.H. Smith, widać było szeroki, pomalowany na biało front Grand Hotelu. Jimmy przełknął ślinę, z jego głowy zaś natychmiast uleciały wszelkie postanowienia o zachowaniu spokoju. W Grand Hotelu mieszkała Verity Driver i wkrótce stamtąd wyjdzie, by pójść do szkoły i o dziewiątej trzydzieści wziąć udział w tych samych co i on zajęciach z angielskiego, otworzyć taki sam podręcznik na tej samej stronie i dyskutować na temat tego samego wiersza W.B. Yeatsa. Jimmy wyobrażał sobie, jak ona go czyta, gdy sam to czynił podczas weekendu.

Jimmy i Verity chodzili do tej samej szkoły, odkąd skończyli pięć lat. Znał ją przez większość swego życia. Albo też raczej znał ją z widzenia. Tak naprawdę to nigdy się z nią nie spotykał, nigdy nie został zaproszony 'na któreś z jej przyjęć urodzinowych ani też nie siedział obok niej w autobusie.

Jednak bardzo dużo o niej wiedział. Wiedział, że lubi się ubierać na różowo, ale że bardziej jej do twarzy w czerwonym. Wiedział, że na ogół nosi włosy rozpuszczone, lecz czasami wygląda świetnie, gdy je zwiąże. Wiedział, że błysk jej zielonych oczu potrafi zwrócić jego uwagę z odległości stu metrów.

Wiedział, że zawsze bierze ze sobą do szkoły drugie śniadanie i nigdy nie zjada skórek od chleba. Wiedział, że miała już kilku przystojnych chłopaków, jednak ostatni z nich, Tim, przestał ją odprowadzać po szkole do domu, co najprawdopodobniej - a przynajmniej Jimmy miał taką nadzieję - oznaczało, że nie byli już parą.

Ale to wszystko mógł wiedzieć każdy, kto znajdował się dostatecznie blisko Verity Driver. Teraz Jimmy chciał wiedzieć więcej. Dlaczego więc do tej pory nie uczynił żadnego kroku w tym kierunku? Czy dlatego, że był nieśmiały? Czasami sądził, że taka jest właśnie tego przyczyna. Czasami rzeczywiście czuł się skrępowany w towarzystwie dziewcząt, które mu się podobały. Jednak miewał wcześniej dziewczyny. Nie był już nawet prawiczkim. Więc tak naprawdę problem tkwił chyba w czym innym.

Może w takim razie chodziło o to, że Ryan zawsze uważał, iż zadurzenie się w kimś jest do kitu, i twierdził, że on i Jimmy są zbyt młodzi, by wiązać się z jedną dziewczyną? Czy dlatego właśnie przez wiele lat Jimmy trzymał swoje uczucia wobec Verity w tajemnicy, ponieważ nie chciał zostać uznany za mięczaka? A może dlatego, że od śmierci Ryana - czyli prawie od roku - Jimmy czuł się tak bardzo okaleczony psychicznie, że nie chciał ryzykować angażowania się w coś nowego?

Całkiem możliwe. Całkiem możliwe, że to któryś z tych powodów. Ale Jimmy nie miał zamiaru pozwolić żadnemu z nich dłużej go powstrzymywać.

Bezskutecznie próbował wyczuć przez sztywny materiał sportowej torby pudełko z płytą. Wypalił ją dla Verity, wykorzystując do tego celu jeden ze szkolnych komputerów. Utwory na krążku

(głównie modne kawałki R&B) nie były w jego stylu, ale podobały się wszystkim dziewczynom, jakie znał (z wyjątkiem Tary i Steph), więc była spora szansa na to, że przypadną do gustu także i Verity.

Ogarnęły go wątpliwości. Może prezent w postaci płyty był lekką przesadą? Może stanowiło to z jego strony zbyt szybkie odkrycie kart? Gdzie tajemnica, gdzie intryga, martwił się teraz, W tak obcesowym oświadczeniu? Może lepiej będzie, jeśli na jakiś czas zapomni o tym pomyśle. Ale wtedy i tak jakoś musiałyby się określić, a płyta nieźle się w końcu do tego nadawała, nie? No dobra, da jej tę płytę, lecz zrobi to podczas krótkiej pogawędki, tak by nie wyglądało to zbyt ckliwie. Coś w stylu: Hej, Verity. Jak leci?

Świetnie, Jimmy. A co u ciebie?

No wiesz, w porzo. W weekend nagrałem tę składankę i... powinnaś jej posłuchać... wiesz co, a może ją sobie ode mnie pożyczysz?

Dzięki, Jimmy. To naprawdę miłe z twojej strony.

A potem mógłby się z nią umówić. Na sobotni wieczór i - kto wie? - mogliby siedzieć sobie właśnie tutaj po wizycie w pubie, jego ramię obejmowałoby jej ramiona, jej oczy wpatrywałyby się w jego oczy, on zaś pochyliłby nad nią głowę, czując, jakby się w niej zatapiał, a potem pocałowałby ją tak czule, że miałby uczucie, jakby się nagle znalazł w niebie.

Teraz jednak ogarnęło go przekonanie, że tak się na pewno nie stanie. Ta myśl była dla niego niczym kopnięcie w brzuch. Verity Driver poruszała się jak modelka i była dziewczyną pierwsza klasa, poza tym potrafiła śpiewać i tańczyć i zawsze patrzyła przez niego, a nie na niego. I nawet jeśli czasami była milcząca, nawet jeśli czasami wyglądała na zdenerwowaną albo - podobnie jak Jimmy - skrepowaną, tak jakby niezupełnie pasowała do tego miasteczka... Nawet wtedy co on takiego miał jej do zaoferowania? Co mógł jej pokazać, czego nie widziała już wcześniej?

Jimmy zapalił papierosa, by się uspokoić. Wyjął telefon, by sprawdzić, czy nie otrzymał przypadkiem jakiegoś SMS - a. Był jeden od Tary, sprzed kilku minut, z zapytaniem, czy nie ma ochoty dołączyć do niej w Jackpot Cafe na małą kawę przed szkołą, ale uznał, że lepiej będzie nie odpowiadać. Chciała jedynie wiedzieć, gdzie on jest, a kiedy się dowie, od razu zgadnie, co tutaj robi. A potem przyleci jak strzała, by mu to wszystko wyperswadować. Ponieważ

Tara nie lubiła Verity. Ponieważ Tara uważała, że Verity Driver jest nadęta i napuszczona.

Poprzez szum wiatru przebił się pomruk silnika samochodowego. Jakies dwadzieścia metrów dalej na High Street Jimmy dostrzegł błękitny land - rover discovery, który jechał w jego kierunku z prędkością około kilometra na godzinę. Turyści, pomyślał automatycznie Jimmy, nie tylko z powodu szpanerskiego samochodu, ale także dlatego, że wyraźnie widział wojskową mapę rozłożoną na desce rozdzielczej przez kogoś, kto siedział na miejscu pasażera.

Gdy samochód zrównał się z nim i zatrzymał, stało się to, co nieuniknione: szyba od strony pasażera zjechała z szumem na dół, a pasażerka - kobieta około trzydziestki z blond włosami obciętymi w stylu, który Tara nazwałaby „fryzurą prezenterki telewizyjnej”, ale Jimmy uznał, że jest w nich jej po prostu do twarzy - wychyliła głowę. Uśmiechnęła się do Jimmy'ego tak jak Marianna Andrews, jego szefowa w wypożyczalni kaset wideo na South Parade, gdzie pracował na pół etatu, kiedy miała zamiar go poprosić, by wziął dodatkową zmianę albo pozalał na mieście jakieś sprawy podczas ulewy.

Jimmy odezwał się pierwszy:

- Dokąd próbujecie się dostać?

- Czy to aż tak oczywiste? - zapytała kobieta i uśmiechnęła się ponownie, tyle że tym razem inaczej. Tym razem śmiała się cała jej twarz, a nie tylko usta.

- Zdradza was mapa - odparł Jimmy nieco łagodniej. Kobieta otworzyła elektroniczny organizator w tytanowej oprawie i przeczytała na głos:

- Harbour Cottage cztery, Quayside Row. Wiesz może, gdzie to jest?

Dobry przyjaciel babci, Arnold, mieszkał dwa domy dalej. Jimmy'ego jednak zaskoczył ten adres. Sądząc po samochodzie i ubraniach tej kobiety, założył, że szuka pewnie drogich apartamentów w starej części miasteczka. Zerknął na sąsiednie siedzenie i dojrzał krępego, młodego mężczyznę, który bębnił palcami po brązowej, skórzanej kierownicy.

- No i? - ponagliła kobieta.

Jimmy przez chwile bawił się myślą, czy nie udzielić jej złych wskazówek, tak dla draki. On i Ryan zawsze tak robili, gdy byli



młodszy - rywalizowali ze sobą, który pośle turystów jak najdalej od poszukiwanego przez nich miejsca. Ale nie był już przecież dzieckiem, a poza tym kobieta wyglądała tak, jakby dziś jej dzień rozpoczął się wystarczająco wcześnie. Popatrzył na zegarek. Taa, pomyślał. Czemu nie? I tak najpewniej będzie tu czekał jeszcze przynajmniej pół godziny, zanim w drzwiach hotelu pojawi się Verity. Mógł zaryzykować i - kto wie? - być może to właśnie mogłoby przechylić szalę karmy, o której wciąż nawijała Tara, na jego stronę. Zgasił papierosa na chodniku i wsiadł na rower.

- Jedźcie za mną - rzucił.

Przejechał następne dziesięć metrów wzdłuż High Street, po czym skręcił w lewo i zjechał w dół po wybrukowanej Crackwell Street. Kiedy Jimmy dojechał do jej końca, obejrzał się przez ramię, by sprawdzić czy land - rover jest w pobliżu, a następnie ponownie skręcił w lewo, tym razem na portowy parking dla samochodów. Dziesięć metrów dalej zatrzymał się tuż obok ścieżki, która wiodła wzdłuż Quayside Row, warsztatu szkutniczego i portu.

Land - rover zahamował tuż za nim, a kierujący nim mężczyzna wysiadł i stał przez chwilę z dłońmi na biodrach, uważnie studiując widok na morze. Był dobre pięć centymetrów niższy od Jimmy'ego i miał na sobie stare, znoszone dżinsy oraz grubą, kurtkę w czerwono - czarną kratkę z podniesionym kołnierzem. Uśmiechał się szeroko, patrząc na morze, do niczego w szczególności, zadowolony po prostu, że tutaj jest.

- To ten dom z zardzewiałym kogucikiem na czubku - rzekł Jimmy do kobiety, wskazując na ścieżkę, prowadzącą do szeregu pomalowanych na pastelowo domków z białoniebieskimi parapetami.

- Dzięki - odparła, ale w jej głosie wyraźnie pobrzmiwała nutka obawy. Rzuciła spojrzenie najpierw na samochód, a potem na dom, tak jakby w myśli szacowała odległość. - Nie da się podjechać bliżej? - zapytała.

- Nie - odrzekł Jimmy.

Jej spojrzenie pozostawało w ruchu, omiotło Jimmy'ego i nie zatrzymało się, dopóki nie dosięgło biura kierownika portu tuż przy wjeździe na parking. Obok tego niskiego budynku z czerwonej cegły ustawiono opuszczony szlaban, a za nim wyraźnie widać było zaparkowane na nabrzeżu różnego typu pojazdy.

- No a one? - zapytała.

- Należą do rybaków - wyjaśnił Jimmy - i do ludzi ze szkoły żeglarskiej. Turyści mają tam zakaz wjazdu. Nie ma wystarczająco dużo miejsca.

Niski mężczyzna odezwał się z australijskim akcentem:

- Wyluzuj, Ellen. To przecież nie jest tak daleko. - Odwrócił się do Jimmy'ego. - Mamy w aucie trochę ciężkiego bagażu - rzekł. - Jest szansa, że pomożesz nam to zanieść?

Niecierpliwiąc się, by wrócić na swój punkt obserwacyjny naprzeciwko Grandu, Jimmy zerknął na zegarek, ale uznał, że wciąż ma dobry czas.

- O ile tylko się pospieszymy - odparł, podążając za mężczyzną na tył samochodu.

Pięć minut później cała trójka znalazła się na kamiennej, pokrytej mchem ścieżce przed domem, a obok nich stało kilka najcięższych toreb przybyszy.

- Dzięki - rzekł mężczyzna, wyciągając do Jimmy'ego rękę. - A tak przy okazji; jestem Scott.

- Jimmy - mruknął, potrząsając dłonią nowego znajomego. Wiatr tutaj był silniejszy i chłopak nasunął czapkę głębiej na czoło. - Nieszczerólna pogoda na wakacje - stwierdził.

Scott wzruszył ramionami.

- Nie przyjechaliśmy tutaj odpoczywać.

- Nie?

- Nie. Kręcimy program dokumentalny.

Jimmy zapatrzył się na nich. W środku aż kipiał z podekscytowania. Film... telewizja... dokładnie to. Kontakty, o to właśnie w tym wszystkim chodzi, tak powiedział w klasie jego nauczyciel mediów. A Jimmy'emu brakowało jedynie tego. Ale teraz oto oni - dwie osoby - wkraczają w jego życie. Jego umysł zaczął intensywnie pracować, jak by tu wykorzystać to przypadkowe spotkanie - może podążać za nimi jak cień albo coś w tym stylu - by zwiększyć swoje szanse na dostanie się do szkoły filmowej.

- Taa? - odezwał się wreszcie, starając się, by jego głos miał niedbałe brzmienie, zdecydowany, by nie odebrali go jako naiwnego i onieśmiałonego. - A o czym?

Kobieta - Ellen, tak zwracał się do niej Scott - wpatrywała się w drzwi wejściowe.

- O Wzgórzu Straconych Dusz - rzuciła, nie odwracając się.

Serce Jimmy'ego na ułamek sekundy zamarło. Ciarki przebiegły mu po skórze i wyobraził sobie, jak w tej właśnie chwili cała krew odpływa mu z twarzy. Wzgórze Straconych Dusz to była nazwa, którą turyści nadali znanemu z samobójstw szczytowi klifu, górującego nad Północną Plażą i miasteczkiem.

- Słyszałeś o tym? - zapytał Scott.

Jimmy nieufnie skinął głową. A kto w tym mieście nie słyszał? Urwisko nad znajdującymi się poniżej skałami podczas odpływu miało prawie sześćdziesiąt metrów wysokości. A i podczas przyływu wysokość ta była w równym stopniu zębna. Od narodzin Jimmy'ego zdarzyło się tam jakieś dziesięć samobójstw. Większość to mężczyźni i kobiety z głębi kraju, ludzie, którzy porzucali swoje samochody na zboczu klifu. Większość, ale nie wszyscy.

- Więc pewnie znasz także i historię tego miejsca - rzuciła Ellen.

Jimmy ponownie skinął głową. Każde dziecko w mieście zaznajamiał z tą legendą na boisku szkoły podstawowej jakiś starszy kolega: coś o jakiejś szalonej, bogatej dziewczynie, która rzuciła się z urwiska sto albo i więcej lat temu; coś o tym, że zrobiła to dlatego, iż porzucił ją jakiś koleś; coś o jego duchu błakającym się nocą po klifie, na zawsze przeklętym za to, co jej zrobił. Coś, co, innymi słowy, najpewniej stanowiło stek bzdur i tyle.

Ale Jimmy'ego guzik obchodziła teraz ta legenda. Pragnął jedynie wiedzieć, czy na niej kończyło się zainteresowanie przybyszy Wzgórzem Straconych Dusz.

- No cóż, przyjechaliśmy, by nakręcić historię tego miejsca - ciągnęła Ellen, zachęcona jego pełną skupienia ciszą. - Chcemy przygotować relację na temat legendy, a potem mamy także zamiar przyjrzeć się współczesnym ofiarom, zbadać życie ludzi, którzy w ciągu ostatnich lat popełnili tu samobójstwo, i spróbować odpowiedzieć na pytanie, co ich do tego pchnęło, a w szczególności, dlaczego wybrali sobie właśnie to miejsce...

Z każdym wypowiedzianym przez Ellen słowem podekscytowanie Jimmy'ego malało i malało, aż wreszcie znikło zupełnie. Ofiary... to słowo odbijało się echem w jego głowie. Ofiary... takie jak Ryan... Ci ludzie zjawili się tutaj, by zbadać sprawę śmierci Ryana. Przyjechali, by się dowiedzieć, dlaczego Ryan zrobił to, co zrobił.

Ellen natychmiast wyczuła zmianę jego nastroju.

- Coś nie tak? - zapytała.

W Jimmym zaczynała wzbierać panika. Co on robił, rozmawiając z tymi ludźmi? Jak to się stało, że mówił z nimi o tym, o jedynej kwestii, której nigdy z nikim nie chciał poruszać?

- Wszystko w porządku, chłopie? - dopytywał się Scott.

- Ja... - Ale nie był w stanie dokończyć.

Patrzył to na Scotta, to na Ellen. Ich spojrzenia były dla niego niczym palące światło reflektorów. Nie miał nic do powiedzenia. Nie im. Nie na temat Ryana. Kręciło mu się w głowie, nie mógł złapać tchu, jakby z jego płuc wypompowano całe powietrze.

- Muszę lecieć - rzucił, po czym odwrócił się do nich plecami i pospiesznie oddalił.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Czy to przeze mnie? Co ja takiego powiedziałam? - zapytała Ellen, wspólnie ze Scottem obserwując oddalającego się na rowerze chłopca. Okazał się tak bardzo pomocny, dlaczego więc odjechał właściwie bez słowa?

- No więc to by było na tyle, jeśli chodzi o zaprzyjaźnienie się z miejscowymi - stwierdził Scott.

Ellen zerknęła na towarzyszącego jej młodego Australijczyka, nagle przypominając sobie wszystkie pozytywne uwagi, które wypowiedziała w trakcie długiej podróży z Londynu.

- Dziękujemy! - zawołała za oddalającym się chłopcem. Ale zrobiła to zbyt późno i jej głos rozplynał się na wietrze.

Odwróciła się i dojrzała, że Scott skrywa rozbawiony uśmieszek.

- Och, rusz się wreszcie! - wykrzyknęła, popychając go żartobliwie w kierunku samochodu.

Ellen szukała po omacku w znajdującej się obok odrapanych drzwi domu drewnianej skrzynce na listy, dopóki nie znalazła klucza. To by było na tyle, jeśli chodzi o przyjacielski, powitalny list, pomyślała, gdy poruszyła w zamku starodawnym, żelaznym kluczem, jednak drzwi zdążyły już napęcznieć od wilgoci i ani drgnęły.

Wydała z siebie jęk frustracji i zerknęła w stronę samochodu, ale uznała, że nie będzie znowu prosić Scotta o pomoc. Może i była starsza od niego prawie o dziesięć lat, lecz w trzydziestym czwartym roku życia nie uważała się jeszcze za osobę, która swoje najlepsze lata ma już za sobą. Stała wyprostowana w płaszczu ze sztucznego futra, ponownie chwyciła mosiężną klamkę i oparła się ramieniem o drzwi. Potrzeba było kilku mocnych pchnięć, aż wreszcie drzwi nagle ustąpiły, a ona potknęła się na stopniu i znalazła od razu w salonie, wykręcając sobie przy tym nogę w kostce.

W środku domek był tak asymetrycznie przekrzywiony, iż miałyby wrażenie, że kuleje, nawet wtedy, gdyby się wcześniej nie potknęła. Niski, gipsowy sufit nachylony był pod ostrym kątem, schody zaś wyglądały tak, jakby w pijackim zamroczeniu opierały się o ścianę, a jedynym sposobem wdrapania się na górę było skradanie się bokami.

- Jezu. Toż to prawdziwa klitka - odezwał się Scott, wpychając się za Ellen z jedną z walizek z kamerą i usuwając z drogi wielki, obity perkalem fotel, by zrobić nieco więcej miejsca.

Kiedy oboje stali w progu, domek nagle wydał im się przeraźliwie przytłaczający.

- Jest... eee... oryginalny - odparła Ellen, poszukując właściwego słowa i jednocześnie przyglądając się kompozycjom z suchych kwiatów w palenisku i komódce zagraconej mnóstwem porcelanowych figurek o gorzkim wyrazie twarzy. - Będzie nam musiał wystarczyć.

Pokuśtykała po wytartym dywanie na drugi koniec pomieszczenia, odsunęła na bok zasłonę z koralików i rzuciła okiem na mały kwadrat stanowiący kuchnię. By stara kuchenka gazowa stała równo, podłożono pod nią książkę telefoniczną, a na zielonkawy osad w zlewie z kranu kapała woda.

- O! - Ton głosu Ellen nie wróżył niczego dobrego. Odwróciła się do Scotta, jej twarz zaś wydawała się specyficznie napompowana, mimo że całkiem niedawno zamieniła pazia z ciężką grzywką na gładką fryzurę w kolorze blond. - No dobra. Może więc wniesiemy do środka resztę rzeczy - dodała, starając się, by w jej głosie obecna była brawura - a potem napijemy się herbatki i zastanowimy, co robić dalej.

- Ty tu jesteś szefem.

Kiedy już wnieśli do domku cały sprzęt, Ellen ociekała potem, taszcząc po schodach swoją torbę. Przesunęła zasuwkę na łukowatych, drewnianych drzwiach, wsunęła do środka głowę i zatrzymała się na progu pierwszej sypialni. Jej nos natychmiast zaatakowała drażniąca woń wilgoci. Wtedy właśnie w jej pozytywnym nastawieniu zaczęły pojawiać się pęknięcia, a wizja sielskiego uroku, którą wcześniej naszkicowała w swoich myślach, rozpadła się na kawałki niczym potłuczone lustro.

To, co ujrzała, zamiast pieszczonego słońcem sanktuarium z jej wyobrażeń, wyposażonego w olbrzymie, wykonane z kutego żelaza łoże, wspaniałą, ręcznie robioną narzutę i gustowne mebelki, bardziej przypominało celę dla zakonnicy: niegdyś białe, teraz smutne, szare ściany i zero ozdób z wyjątkiem cynowej rzeźby przedstawiającej ukrzyżowanie, która z wyglądu kojarzyła się ze zniekształconą formą do ciasta.

Ellen rzuciła torbę podręczną marki Burberry na wysokie, pojedyncze łóżko, ale ta natychmiast się odbiła, tak jakby zgrubienia pod nylonową narzutą gniewnie ją odepchnęły. Gdy Ellen

obserwowała przewracając się na bok torbę, usłyszała także charakterystyczny brzęk, tak jakby coś głęboko w środku - bez wątplenia flakon z olejkiem do kąpieli w kosmetyczce albo, co gorsza, perfumy - się rozbiło.

Starając się zachować spokój, Ellen dała krok nad torbą i podeszła do otwieranego pionowo okna, gdzie w chłodnym przeciągu poruszała się cienka firanka. Precyzyjnie się obok toaletki, na której przyklejono żalostną papierową serwetkę o koronkowym wzorze, kobieta odsunęła energicznie zasłonę i podniosła mosiężną zasuwkę na oknie, jednocześnie napierając na łuszczącą się ramę, dopóki ta nie poddała się i nie popłynęła ze świstem do góry. Potem wystawiła głowę przez okno i, opierając się na szerokim parapecie, wzięła głęboki oddech.

Poniżej znajdował się cienki pas wybrukowanej drogi, kończący się przy grubym portowym murze, ale z okna sypialni Ellen wydawało się, jakby była tuż obok niego i zaglądała do znajdującego się w dole portu. Tam zaś zimne fale ocierały się o tkwiące na wodzie łódki, a fragmenty ich łańcuchów wylaniały się z mulistego dna, tak jakby połączono je z istniejącym poniżej, złowrogim podwodnym światem.

Spoglądając na fragment brzegu, gdzie muł przekształcał się w szeroki łuk piasku, Ellen dostrzegła betonową pochylnię z całymi stosami sieci, które prowadziły do płataniny masztów i tym podobnych na brzegu portu. Przy ścieżce stał porzucony samochód - smaźalnia, z brakującym jednym kołem, a niedaleko za nim znajdowała się niewielka, kamienna kapliczka, którą postawiono w cieniu wznoszącej się z przodu żelbetowej ściany.

Za pasem starannie utrzymanych ogrodów i ogrodzeń na górze można było dojrzeć rząd pretensjonalnych, wiktoriańskich domów, których martwe okna zasłaniały żeliwne kraty. Tuż obok nich znajdował się niszczący budynek w stylu art deco, który kiedyś był najprawdopodobniej kinem albo salonem do gry w bingo, ale teraz stał zabity deskami, a jeszcze dalej widok zdominował brzydki blok z lat sześćdziesiątych - mniej więcej w połowie jasnej płyty z betonu odznaczała się wyraźna obwódka brudu. Za miastem rozciągał się nie zamieszkały teren, gdzie kępki trawy przeplatały się z brzdami ciemnego błota i gdzie pał się samotny koń.

Ellen ponownie odetchnęła słonym, morskim powietrzem i westchnęła, odczuwając ogromną tęsknotę za domem, gdy tylko

pomyślała o Jasonie. Teraz właśnie był na lotnisku, w drodze do Ameryki Południowej, biorąc udział w najnowszej, pełnej przygód ekspedycji filmowej. Cóż za różnica, pomyślała ponuro, gdy zlustrowała wzrokiem senne, nadmorskie miasteczko po sezonie.

Ellen nie miała Jasonowi za złe oczywistego podekscytowania i satysfakcji, jaką odczuwał, odkąd zaczęła się ukazywać jego seria o dzikiej naturze lasów deszczowych, jednak nie potrafiła się nie złościć, kiedy widziała, jak mało wydawało się go martwić to, że będzie z dala od niej. I, jeśli miałyby być tak zupełnie szczerą, czuła zazdrość.

- Ale przecież ty także wyjeżdżasz - tłumaczył jej zeszłej nocy Jason w sypialni ich wspólnego mieszkania w Clerkenwell.

- To nie to samo - odpowiedziała Ellen, nakładając na twarz krem nawilżający i obserwując Jasona w wysokich lustrach w szafie. Właśnie wyszedł spod prysznic, a wokół jego szczupłych bioder wisiał luźno jasnobrązowy sarong. Stał przy ręcznie wykonanym łóżku z drewna tekowego i bawił się małym wisiorkiem z kości słoniowej, który zawsze nosił na szyi na skórzanym rzemyku. Nawet nie ubrany wyglądał na luzaka, w taki własny, ekscentryczny sposób. Było w nim coś seksownego, jakaś aura męskości, której Ellen nigdy nie potrafiła się oprzeć. Mieli tyle samo lat, jednak ona była przekonana, że Jason się nie zestarzeje. Zawsze będzie wyglądał tak samo, będzie się czuł dobrze w swojej opalonej, oliwkowej skórze, ze śmiejącymi się, szarzielonymi oczami i długimi, podkreconymi rzęsami. Ale najbardziej wyróżniającą cechą jego wyglądu od zawsze była nie dająca się ujarzmić grzywa ciemnokasztanowych loków, które teraz właśnie wiązał z tyłu gumką.

Miękką kołdrę w lnianej poszwie pokrywały sterty starannie wyprasowanych bluzek i spodni Ellen oraz mały stosik jego pogniecionych spodenek i T-shirtów, które właśnie miał zamiar spakować,

- Och, Jase, daj spokój - odezwała się błagalnie Ellen, odwracając się i podchodząc do niego. - Pozwól mi przynajmniej wyprasować twoje rzeczy.

Jason zachichotał.

- Uwierz mi, tam, gdzie jadę, zupełnie nie ma sensu posiadanie czegokolwiek suchego, nie mówiąc już o wyprasowanym.



Ellen przyglądała mu się, jak wrzucał ubrania do swego starego plecaka, i czuła, że w jej oczach wzbierają dziecinne łzy. Już od tygodnia miała złe przeczucia w związku z wyprawą Jasona i teraz, kiedy już tylko jedna noc dzieliła ich od udania się każde w swoją stronę, desperacko pragnęła zatrzymać go przy sobie. Do tej pory, gdy Jason wyjeżdżał gdzieś filmować, przynajmniej ona pozostawała w domu, w miejscu, które on znał, ale teraz, kiedy wyjadą oboje, będą jeszcze bardziej od siebie oddaleni niż zazwyczaj.

- Nie patrz tak na mnie - rzekł miękko Jason, zamykając ją w swoich ramionach. - Miesiąc szybko minie.

- Widzisz! W ogóle nie będziesz za mną tęsknił - wyrzuciła z siebie oskarżycielsko Ellen, patrząc Jasonowi w twarz.

Jego szczękę zazwyczaj pokrywał kilkudniowy zarost, a oczom wyraźnie brakowało snu, ale teraz był wyszorowany i świeżo ogolony i wyglądał jak mężczyzna, w którym Ellen zakochała się ponad dziesięć lat temu, kiedy ona była stażystką po studiach w BBC, a on pewnego dnia pojawił się tam razem z ekipą filmowców.

- Chcesz się założyć? - zapytał z taką czułością, że jej rozdrażnienie natychmiast się ulotniło. - Będzie mi ciebie brakowało przez cały czas. Zwłaszcza tej części - rzekł, odsuwając na bok jej gruby, biały szlafrok, i pocałował ją w szyję. - Choć tak właściwie to możliwe, że tej części będzie mi brakować jeszcze bardziej - kontynuował, schodząc jednocześnie z delikatnymi pocałunkami wzdłuż jej obojczyka, a Ellen zaczęła się śmiać.

Potem zahaczył stopą o jej kostkę i bez wysiłku podciął jej nogę, tak że upadła miękko na łóżko. Kładąc się delikatnie na niej, rozchylił szlafrok i dalej wędrował w dół, a Ellen wpatrywała się w snopy łagodnego światła rzucane przez zainstalowane przez nią w sypialni markowe klosze i delektowała się każdym pocałunkiem, starając się nie myśleć o tym, że jej starannie poukładane ubrania będą pewnie wymagać ponownego złożenia.

Teraz Ellen na krótko przymknęła oczy, wdychając morskie powietrze i rozkoszując się wspomnieniem zeszłej nocy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała do siebie. - Uspokój się. Dasz sobie radę. Dasz sobie...

Jednak nie dodała niczego więcej, gdyż w jej uszach rozległ się przerażający skrzek, a w jej kierunku nalot zrobiła potężna mewa - ostry, żółty dziób miała rozwarty, a jej paciorkowate oczy lśniły,

kiedy minęła Ellen zaledwie o centymetry. Kobieta zamarła, gdy ptak zatoczył łuk, po czym zawrócił, wyraźnie z zamiarem dokonania jeszcze jednego złośliwego ataku.

- Cholera! - Ellen cofnęła się gwałtownie do środka, uderzając przy okazji głową w ramę okienną, podczas gdy tuż obok przemknęła mewa. Zatrzasnęła okno, odskoczyła do tyłu i trzymając się za głowę, odwróciła się. W drzwiach dojrzała Scotta. - To było jak cholerny Hitchcock! - zawołała, gdy mewa zaskrzeczała zwycięsko po drugiej stronie szyby. Scott wzruszył obojętnie ramionami.

- U mnie jest łóżko piętrowe - rzekł, kiwając głową w kierunku swojej sypialni. - I nie ma gniazdka telefonicznego, a to oznacza kichę, jeśli chodzi o faksy i maile.

- O Boże. To jakiś koszmar - jęknęła Ellen, wciągając swoją torbę z podłogi z powrotem na łóżko. - Przepraszam. Nie powinnam była ufać Joy.

Ellen mogła przewidzieć, że Joy, najbardziej nieżyczliwa sekretarka ekipy produkcyjnej w tej części globu, kobieta, której jedyną życiową misją było ujrzenie porażki Ellen, znajdzie im najmniejsze, najmniej gościnne lokum w całym miasteczku po to tylko, by ją zdenerwować. Teraz była na siebie zła, że sama poświęciła kwestii ich zakwaterowania niewystarczająco wiele uwagi.

Uznała, że wynajęcie domu stanowi najrozsądniejsze rozwiązanie, jako że każdego tygodnia będzie musiała kursować pomiędzy Londynem i Shoresby, gdyż kilka dni spędzi w sali montażowej w Soho, gdzie dokończy inne programy, a resztę czasu poświęci na kręcenie dokumentu w Shoresby. Ponieważ zaś Scott był tak jakby wolnym strzelcem, Ellen zaproponowała, by spędził tam cały czas w ramach kiepsko płatnych wakacji. Komfort i wygoda wyraźnie jednak nie zaprzętały głowy Joy.

Jako że Ellen uważała siebie za osobę dość kontaktową i mało wymagającą, zaszokowało ją, kiedy Joy natychmiast zapalała do niej antypatią, gdy przed kilkoma miesiącami dołączyła do APWW, niewielkiej, niezależnej firmy zajmującej się produkcjami telewizyjnymi. Joy nie czyniła tajemnicy z faktu, iż sądzi, że Ellen nie ma wystarczającego doświadczenia, by zająć miejsce Amandy, lekceważąc wcześniejszą jej pracę dla BBC. Działając do tej pory bardziej na polu redakcyjnym niż reżyserskim, Ellen wiedziała, że w opinii Joy tkwi szczypta prawdy, i dlatego właśnie, mimo że teraz

czuła się rzucona na głęboką wodę, była zdecydowana, by ta podróż zaowocowała sukcesem.

- Posłuchaj, zobaczę, czy uda mi się załatwić coś innego - rzekła Ellen, wyczuwając rozczarowanie Scotta i schodząc za nim po schodach. Znalazłszy w telefonie wstukany wcześniej numer do biura, wybrała funkcję dzwonienia.

Ale nie było żadnego odbioru. Żadnego odbioru w supernowoczesnym telefonie komórkowym, który kupiła specjalnie z myślą o tej wyprawie.

Minęło dużo czasu, odkąd Ellen po raz ostatni znajdowała się w budce telefonicznej. Te, które mieściły się w pobliżu jej londyńskiego mieszkania, pokrywało graffiti, a aparatów w większości po prostu nie było (nieodłączny element Clerkenwell). Dlatego też znalezienie działającego, starodawnego telefonu publicznego stanowiło dla niej nowość. Taką samą nowością była próba załatwiania interesów w biurze o powierzchni metra kwadratowego.

Ellen zaklinowała butem szklane drzwi, wcisnęła słuchawkę między ucho i ramię i zębami zdjęła zatyczkę z pióra. Potem otworzyła plastikową teczkę i ułożyła swoje notatki na pochylonym udzie, wrzuciła trochę drobnych do otworu w aparacie i wystukała numer do biura.

Wyobraziła sobie teraz Joy w maleńkiej kuchni w ich niewielkim biurze na West Endzie, jak spogląda gniewnie na telefon i bez pośpiechu wyciska do kubka ostatnie kropelki z torebki herbaty ekspresowej. Wreszcie odebrała telefon i po najkrótszej z możliwych wymianie uprzejmości Ellen przeszła od razu do sedna sprawy.

- Jest kilka kwestii. Od amerykańskiego właściciela Appleforth House potrzebujemy pozwolenia na filmowanie tam i na terenie w pobliżu Wzgórza Straconych Dusz. Jednak tutaj, w notatkach Amandy, nie ma tego pozwolenia.

Joy wydała z siebie jedno z tych swoich lekceważących prychnięć.

- Jest tam wszystko, co mamy. Jeśli czegoś brakuje, to nie moja wina.

- Nie mówię, że twoja, ale gdybyś mogła się rozejrzeć... jeśli masz wolną chwilę...?

- W takim razie będzie mi potrzebny numer faksu do ciebie.

- Natychmiast postaram się go ustalić i jeszcze raz do ciebie zadzwonię - odparła Ellen, czując ulgę, że udało jej się wydobyć z Joy jakieś zobowiązanie. - I... eee... jeszcze jedno.

- Tak? - zapytała Joy, a jej głos nabrzmiały był irytacją.

- Miałaś może spis tutejszych pensjonatów lub hoteli? Chodzi po prostu o to, że ten domek jest trochę za mały dla mnie i dla Scotta...

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, Joy przerwała jej z oburzeniem:

- Załatwiłam wam najtańsze zakwaterowanie, jakie udało mi się znaleźć. To ty powiedziałaś, że chcecie ograniczyć koszty w budżecie, tak byście mogli nakręcić więcej materiału...

- Dobrze, już dobrze. Słyszę cię.

To prawda, że Ellen przepchnęła pomysł włączenia pełnej historii samobójstw na Wzgórzu Straconych Dusz do serii programów dokumentalnych na temat legend związanych z charakterystycznymi miejscami w Wielkiej Brytanii. Amanda, producentka tej serii, zdążyła już przygotować kilka programów o różnych częściach kraju i chciała jedynie, by Ellen objęła nadzór nad wykonaniem paru ujęć Wzgórza Straconych Dusz i połączeniem ich z głosem lektora. A potem uzupełniła resztę programu wywiadami z ludźmi z Shoresby. Jednak Ellen wyklóciła się, że włączenie w to pełnej historii dziewczyny z dziewiętnastego wieku, która rzuciła się ze skał po tym, jak kochanek złamał jej serce, było pewnym sposobem na wniesienie do programu więcej klasy. A razem z rekonstrukcją dramatu, który siedział w jej głowie, w program ten zostanie tchnięte życie.

Ale teraz Ellen miała świadomość szerokiej przepaści pomiędzy dyskusjami prowadzonymi w biurze a rzeczywistością. Tak bardzo się rwała do realizacji swojego pierwszego poważnego projektu, że nonszalancko zlekceważyła pomoc ze strony innych osób i storpedowała sceptycyzm Amandy wobec filmowania jesienią, kiedy światło jest naprawdę okropne. A teraz zaledwie od godziny przebywała w ponurym Shoresby i już napotkała milion problemów.

Ellen przycisnęła słuchawkę do czoła, czując się całkowicie zagubiona. Wiedziała, że nie powinna dzwonić do Amandy, ale była ona jedyną osobą, która odwiedziła to miejsce już wcześniej, gdy sześć miesięcy temu przygotowywano całą serię. Kilka słów zachęty z pewnością nie zaszkodzi. Ellen wzięła głęboki oddech i wystukała numer.

- Amando - odezwała się. - Słuchaj, przepraszam, że dzwonię do ciebie do domu, ale...

Ellen natychmiast urwała. Po drugiej stronie telefonu Amanda wykonała pełen napięcia, gwałtowny wdech.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Ellen, a z jej kolan pospadały notatki i rozsypały się na podłodze budki telefonicznej. - Ty chyba nie...

- Nie. To tylko Braxton Hicks.

- A kto to jest?

- Na miłość boską... Udawane skurcze... - wysapała Amanda. - Cholernie bolesne. Co się stało?

- Nic. Nic. Zupełnie nic. Wracaj do swoich... U mnie... - Ellen pospiesznie odłożyła słuchawkę. - Wszystko w porządku - dokończyła na głos swoje zdanie, gdy w aparacie brzęknęła moneta. Kobieta przygryzła wargę, wsłuchując się w atakujący budkę wiatr.

Co ona sobie myślała, dzwoniąc do Amandy? Przecież odpowiedzialność za coś oznacza, że jest się odpowiedzialnym i kropka, nawet jeśli ma się przez to odczuwać przerażające osamotnienie. Poirytowana na samą siebie za to, że jest takim mięczakiem, Ellen po omacku podniosła swoje notatki i wcisnęła je wszystkie z powrotem do teczki. W końcu jak bardzo trudne może być to wszystko?

Zatłuszczona torebka po chipsach zawirowała tuż przy jej stopach, gdy Ellen szybko wyszła z budki. Postanowiła udać się na poszukiwanie hotelu, który wcześniej mijali. Stojąc w bezruchu, nie potrafiła sobie przypomnieć, czy powinna pójść w górę wybrukowanej drogi, czy też wybrać raczej tę po lewej stronie. Zdecydowała się na drogę asfaltową, spuściła głowę i ruszyła przed siebie.

Jednak wkrótce droga skręciła pod górkę i zaczęła oddalać się od portu. Ellen poczuła kompletną dezorientację. Zatrzymała się obok agencji nieruchomości, zerknęła na zdjęcia wystawionych na sprzedaż, nędznie wyglądających bungalów oraz przyczep kempingowych i to, co naopowiadała przyjacielom o rozkoszowaniu się pokrzepiającym morskim powietrzem, teraz wydawało się głupie i naiwne.

Przechodząc przez drogę i strumień wirujących liści tuż przy chodniku, Ellen o mały włos nie wpadła pod auto z napędem na cztery koła, ciągnące stukającą przyczepę z łodzią, za którą jechał pocztowy

van. Nieco dalej, za otwartą klapą w chodniku, przez którą właściciel pubu ładował do piwnicy beczki z piwem, Ellen dostrzegła, że droga rozszerza się i przekształca w rynek, gdzie powoli zaczynają otwierać sklepy.

Kiedy przechodziła przez centrum miasteczka, instynktownie dotknęła spoczywającego w kieszeni skórzanego portfela i pstryknęła brzegiem karty kredytowej z Selfridges. Wyglądało jednak na to, że musiałaby się bardzo mocno postarać, by znaleźć coś wartego kupna. Owszem, widziała tam jeden typowo nadmorski sklep surfingowy o nazwie Wave Cave, ale poza tym całe miasteczko było raczej nieco na bakier z aktualnymi stylami i modą.

No cóż, z pewnością stanowi to jakieś wyzwanie, pomyślała Ellen, mijając dwie starsze panie w wełnianych kapeluszach gawędzące przed pocztą. Dostrzegła całkiem ładną uliczkę, która biegła wzdłuż Woolwortha. Przy odrobinie słońca i ustawieniu kamery pod odpowiednim kątem za krzewami ostrokrzewu na przykościelnym cmentarzu może i udałoby się nadać temu miejscu zupełnie przyzwoity wygląd.

Zatrzymała się przy kościele z iglicą i uświadomiła sobie, że znajduje się na samej górze brukowanej ścieżki i że zupełnie niepotrzebnie poszła określną drogą przez miasto. Jednak teraz przynajmniej miała już jakieś rozeznanie w terenie, no i rozpoznała High Street, gdzie wcześniej zatrzymali samochód przy kiosku W.H. Smith. Gdy popatrzyła w dół, dostrzegła powiewający na wietrze znak z napisem „Grand Hotel”.

Jedyne, co trzeba zrobić, postanowiła Ellen, kiedy pospiesznie mijała chińską knajpkę i zamknięty na głucho sklep ze sflaczałymi zabawkami plażowymi, to zachowywać się jak profesjonalistka. Sfilmuje wszystko, co potrzeba, i wyniesie się stąd tak szybko, jak to możliwe. Gdy tylko zdobędzie numer faksu, uda się prosto na Wzgórze Straconych Dusz i sfinalizuje harmonogram ich pracy.

Ellen wyrwał z zamyślenia widok chłopaka, którego zdążyła poznać wcześniej tego ranka. Znajdował się kawałek dalej, tuż obok parkowej ławki: przygarbił się w tej swojej skórzanej kurtce i opierał o rower, jednocześnie popalając ukradkiem papierosa. Ellen ze swego miejsca po drugiej stronie ulicy bardzo dobrze go widziała, ale on albo tak bardzo pograżył się w rozmyślaniach, przesuwał czubkiem sportowego buta po betonie, albo celowo ją ignorował. Już chciała do

niego zawołać, jednak ostatecznie zmieniła zdanie, odwróciła wzrok i ruszyła dalej.

Ellen miała uczucie, jakby nastolatką była tak dawno temu, że teraz zupełnie nie pojmuje, co dla osób w tym wieku oznacza mieszkanie w tak niewielkim mieście. Wydawało jej się jednak, że ten chłopak najprawdopodobniej uważa ją za jakiegoś wścibskiego intruza z miasta.

Cóż, Ellen stanowi dokładne przeciwieństwo takiego wyobrażenia i zamierza to udowodnić. Będzie pełna współczucia i zrozumienia wobec popełnionych tu samobójstw i sprawi, że legenda o Wzgórzu Straconych Dusz znowu wszystkich zainteresuje, włączając w to miejscowych ludzi. To właśnie miała zamiar zrobić: uchwycić romantyzm tego miejsca i ożywić historię.

\*

Kiedy Ellen ujrzała georgiańską fasadę Grand Hotelu, uznała, że zapomni o rozsądku i przeniesie się tutaj na własny koszt. Ale teraz, gdy już weszła do środka, ogarnęły ją wątpliwości i zaczęła się zastanawiać, czy też nie uda jej się mimo wszystko, mimo wyraźnych uprzedzeń Scotta, uczynić ich domku przytulnym.

Wewnątrz hotel zdecydowanie nie wyglądał okazale, co mogłaby sugerować jego nazwa. Przy drzwiach ustawiony był wysoki, mahoniowy stojak na kwiaty, lecz zamiast bujnej, zielonej aspidistry stało na nim pudełko po lodach wypełnione zastygłą, brunatną wodą, którego zadaniem było wyłapywanie spadających kropli z ciekącego dachu na ganku.

Gdy Ellen weszła nieco dalej, na rzeźbionym drewnianym pulpicie dostrzegła księgę gości, otworzoną na złowrogo pustej stronie. Czuła nikły zapach dymu papierosowego wymieszany z mdlącą, cierpką wonią odświeżacza powietrza o zapachu leśnym. Jej kroki odbijały się echem od kafelków. Zatrzymała się przy recepcji i zerknęła na wyłożoną boazerią klatkę schodową, potem zaś na hol. A w nim jedynym śladem życia było potężne pianino ustawione przy wielkim, wykuszowym oknie. Instrument ten pokrywała sterta otwartych nut, a światło odbijało się w lśniących, białych klawiszach, które wydawały się przez to wykrzywione w uśmiechu jak z kreskówek.

Ellen nieśmiało nacisnęła mosiężny dzwonek i usłyszała, jak jego dźwięk odbija się echem od ścian korytarza. Kiedy nic się nie

poruszyło, odwróciła się i zerknęła na wiszące na ścianie koło schodów fotografie. Seria reprodukcji w sepii ukazywała pulchne kobiety, porozkładane na plaży na leżakach. Kilka następnych zdjęć przedstawiało ciągnięte przez konie powozy, tłoczące się na rynku, i dobrze sytuowanych dżentelmenów w cylindrach przechadzających się w towarzystwie odzianych w strojne suknie dam. Ellen przyjrzała się uważniej fotografiom Shoresby w złotej epoce wiktoriańskiej. Może powinnam zrobić parę ujęć, pomyślała, by pokazać, jak to miasteczko musiało wyglądać w czasach świetności Appleforth House.

Tak była pochłonięta rozmyślaniami, że aż podskoczyła, gdy usłyszała, jak drzwi za recepcją się otwierają. Odwróciła się i ujrzała wchodzącą przez nie młodą kobietę.

Dziewczyna trzymała w dłoni kawałek tostu, a kiedy zobaczyła Ellen, zakryła usta i starała się gryźć szybciej. Gdy zbliżyła się do lady recepcji, Ellen zauważyła, że jest to wyjątkowo wysoka osoba o ładnych, szeroko rozstawionych zielonych oczach. Wszystko w jej wyglądzie, począwszy od twarzy bez śladu makijażu po gruby, kasztanowy, odrzucony do tyłu warkocz, było niesłychanie schludne. Dopiero kiedy oparła dłonie o krawędź blatu, Ellen dojrzała, że ma poobgryzane wszystkie paznokcie.

- W czym mogę pomóc? - zapytała dobrze modulowanym, czystym głosem, mierząc gościa rozbijającą powściągliwym spojrzeniem.

- Przyjechałam tu z telewizji. Mam zamiar nakręcić program dokumentalny o Wzgórzu Straconych Dusz... - zaczęła Ellen, wprawiona w lekkie zakłopotanie zachowaniem tej dziewczyny.

- Życzyłaby sobie pani pokój?

- Prawdę mówiąc, zastanawiałam się, czy nie mogłabym skorzystać z waszego faksu. Jeśli go macie.

- Oczywiście. - Dziewczyna skinęła głową, cofnęła się kilka kroków i uchyliła drzwi. - Mamo! - zawołała przez szparę. - Czy mogę...

Przerwała jej niska, piersiasta kobieta, która groźnie przemaszerowała przez drzwi, poprawiając przy tym wykrochmalony biały kołnierzyk pod okazałych rozmiarów blezerem w kratkę. Kobieta miała takie same zielone oczy, jak i dziewczyna, ale ani



odrobiny jej kociego wdzięku. Piegowate policzki matki były zaczerwienione, a czoło przecinały trzy równoległe zmarszczki.

- Nie krzycz, Verity - zrugła dziewczynę syczącym szeptem i przegoniła ją gestem z drogi, po czym zwróciła się do Ellen. - Witamy w Grand Hotelu w Shoresby - rzekła, oblizując palce i energicznie kartkując ogromny notes leżący na blacie. - W czym mogę pomóc?

- Chciałaby skorzystać z faksu - mruknęła Verity, a jej poprzednia wyniosłość zupełnie wyparowała w obecności matki. - Już wyjaśniła. Jest z telewizji.

Kobieta podniosła głowę, zapominając o notesie, jej brwi zaś uniosły się z natychmiastowym zainteresowaniem. Po chwili uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę nad blatem, jakby Ellen była długo poszukiwaną krewną albo jakimś sławnym gościem.

Ellen odpowiedziała uśmiechem i starała się unikać kontaktu wzrokowego, a jej uwagę przykuła para staruszków, którzy schodzili pod rękę ze schodów. Skinęli głową na dzień dobry, ale kobieta zignorowała ich, wciąż ściskając dłoń Ellen.

Ellen była przyzwyczajona do tego, że jej zawód robił na ludziach błędne wrażenie. Kiedy dowiadawali się, że jest reżyserem telewizyjnym, zakładali, iż w mgnieniu oka może im załatwić pojawienie się na małym ekranie. Zawsze ją to trochę krępowało i miała wcześniej przygotowaną gadkę, rozwiewającą złudzenia co do prestiżu i wspaniałości jej pracy. W tej chwili zdecydowanie nie czuła się wspaniała.

- Jestem kierowniczką hotelu, Cheryl Driver - rzekła matka Verity, przedstawiając się z pełnym zadowolenia cmoknięciem, kiedy już wreszcie puściła dłoń Ellen. - Cheryl z „sz” na początku, mimo że cicha to ja wcale nie jestem - dodała z fałszywie skromnym śmiechem.

- Ellen Morris.

- Mamo - odezwała się Verity z wymuszoną cierpliwością i Ellen wyraźnie słyszała w jej głosie pełne frustracji zakłopotanie.

- Nie powinnaś się zbierać do szkoły? - zapytała Cheryl, nie odwracając się nawet.

Ellen przyglądała się, jak Verity odkleja się od ściany i rusza do drzwi. Ale na ułamek sekundy jej wzrok napotkał spojrzenie Ellen i dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało.

- To moja córka, Verity - wyjaśniła Cheryl konspiracyjnym tonem, rzucając wszystkowiedzące spojrzenie to na Ellen, to na drzwi, za którymi zdążyła już zniknąć Verity. - Może wydaje się gburowata, ale takie już jej usposobienie. Och, tak - ciągnęła z wyraźnym zadowoleniem. - Moja Verity to nie byle kto.

Ellen skinęła głową, a Cheryl podniosła ruchomą część blatu recepcji i zbliżyła się do niej.

- Czy mogłabym zaproponować pani śniadanie? - zapytała.

Wtedy Ellen uświadomiła sobie, że nie tylko umiera z głodu, ale że przyjacielskie zaproszenie Cheryl było pierwszą miłą rzeczą, jaka spotkała ją tego ranka.

- Dziękuję bardzo - odparła z wdzięcznością. - Byłoby cudownie. Widzi pani, dopiero co przyjechałam.

- W takim razie trafiła pani we właściwe miejsce - zapewniła ją Cheryl. - Pozwoli pani, że opowiem jej nieco o naszym hotelu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Po drugiej stronie Verity oparła głowę o drewniane drzwi i zamknęła oczy. Zagryzła wargę. W zeszłym tygodniu zdjęto jej aparat ortodontyczny i jeszcze nie zdążyła się przyzwyczać do swoich niczym nie skrepowanych zębów.

Dlaczego moja matka zawsze musi to robić, pomyślała, słuchając jednocześnie dochodzącego zza drzwi głosu Cheryl. Wystarczy, że bezpardonowo wtrąciła się, kiedy Verity prawie zdążyła się już sama zająć tą kobietą z telewizji - Ellen - jednak, co gorsza, sposób zachowania jej matki był naprawdę niesamowicie krępujący.

Verity słyszała przez drzwi, jak Cheryl głośno wymienia korzyści płynące z zatrzymania się w ich hotelu, recytując słowo w słowo główne punkty ich najnowszej, amatorskiej, przygotowanej w domu broszury reklamowej.

- No i oczywiście mamy tu salon - rozbrzmiewały słowa matki.

- Kto gra na pianinie? - Do uszu Verity dobiegło pytanie Ellen Morris.

- Och... Verity. Od urodzenia jest wprost niezwykle utalentowanym dzieckiem.

Dzieckiem? Verity wzdrygnęła się. Nie była dzieckiem. Niedawno obchodziła siedemnaste urodziny.

- Także śpiewa. Nie znajdzie pani w miasteczku ani jednej osoby, która by nie powiedziała, że moja córka ma anielski głos.

Przestań cytować teksty z okładek cudzych płyt, błagała w duchu Verity, jednak jej matka zdążyła się już rozkręcić.

- Jest teraz przecież w telewizji tyle programów polujących na nowe talenty. Na prawo i lewo angażuje się ludzi, by zostali gwiazdami popu i osobiście nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że Verity z łatwością by ich wszystkich pokonała, ale ona nie weźmie w czymś takim udziału. Widzi pani, bardziej w jej stylu jest opera, no i, rzecz jasna, pianino. Mówiłam jej, że takiego talentu nie wolno zmarnować. To takie frustrujące, lecz staram się ją raczej zachęcać, niż popychać...

Verity poczuła ściskanie w żołądku, gdy spojrzała na chwilowo zapomniany, stojący na jednej z biurowych półek faks. Pomyślała, jaka jej matka musiała się wydać koszmarna komuś tak światowemu i wyrafinowanemu jak Ellen. Ta bowiem reprezentowała sobą typ kobiety, jaką Verity miała nadzieję pewnego dnia zostać. Cechował ją

ten pełen pewności siebie, wiecznie młody styl, którego nie miał nikt w Shoresby. Nawet jej makijaż był z klasą i pomimo że Ellen była, rzecz jasna, dużo od niej starsza, Verity poczuła przygnębienie namyśl, jak wiele ją dzieli od tego, by w przyszłości wyglądać podobnie do niej.

Na razie już sam fakt pokrewieństwa łączącego ją z matką sprawiał, że Verity mierzono tą samą miarą w kwestii małomiasteczkowego snobizmu, który Cheryl wypracowała w sobie do perfekcji. No cóż, jedno jest pewne, pomyślała, przechodząc przez prowadzące do jadalni niewielkie drzwi, nie ma mowy, by tego ranka miało jej się przytrafić choćby jeszcze jedno krępujące spotkanie.

Prześlizgując się cicho między stolikami, które zaledwie pół godziny wcześniej nakryła świeżymi papierowymi obrusami, Verity zauważyła, że znajdujące się na długim stole śniadanie pozostało właściwie nietknięte z wyjątkiem płatków, które na podobieństwo wróbli wybierali szalony profesor i jego żona. Verity zerknęła w ich kierunku. Siedzieli jak zwykle w rogu przy oknie, tuż obok grubych sióstr, które uważnie studiowały przewodniki i czekały, by pochłonąć swoją codzienną porcję smażeniny. Mimo że w jadalni znajdowali się także inni goście - kilku starszych panów czytających gazety i smutna pani z powieścią Agathy Christie - jedynym rozlegającym się tu dźwiękiem był sporadyczny brzęk sztućców na taniej porcelanie.

Odkąd sześć lat temu jej rodzice przejęli hotel, a ona obejrzała Lśnienie, Verity nie była w stanie otrząsnąć się z przyprawiającego o gęsią skórkę uczucia, którym napawali ją goście, zwłaszcza kiedy już było po sezonie i zjawiali się ci wszyscy dziwacy i emeryci.

Jak w ogóle ktokolwiek może chcieć przyjechać do dziury takiej jak Shoresby - to stanowiło dla Verity odwieczną zagadkę. Gdy zaczynała się szkoła, a turyści wyjeżdżali, miasteczko to stawało się najbardziej nudnym zaściankiem, jaki tylko potrafiła sobie wyobrazić, i nie mogła się doczekać, by się stąd wyrwać. Dokądkolwiek, o ile tylko nie będzie już dłużej zmuszona do mieszkania z obcymi ludźmi.

Verity przyspieszyła kroku, starając się nie pokazać gościom pogardy, jaką wobec nich odczuwała. W niektóre dni po prostu ich ignorowała, traktując jak poruszającą się tapetę w swym domu. Innymi razy uprzejma, zbiorowa cisza panująca w jadalni doprowadzała do tego, że miała ochotę zacząć krzyczeć.

Rozmawiajcie ze sobą, pragnęła wrzasnąć. Pohałasujcie trochę. Spróbujcie zacząć żyć!

Ale Verity trzymała buzię na kłódkę. Dawno temu przekonała się, że swoje opinie lepiej zachować dla siebie. Zresztą takie zachowanie znacznie bardziej irytowało jej matkę.

W ciągu kilku sekund dotarła do pilśniowych, kuchennych drzwi, które otworzyły się ze świstem. Oparła dłonie o drzwi, by przestały się poruszać.

W zasięgu jej wzroku - całe lata świetlne od czystej, wyłożonej różową wykładziną restauracji - znajdowała się wielka, zagracona kuchnia. Z labiryntu pobrzękujących rur wodociągowych pod sufitem zwisały rzędem potężne patelnie. Kilka zakurzonych naczyń ze stali nierdzewnej leżało nie używanych w jednej części pomieszczenia. W drugiej jego części wzdłuż ściany stały rzędem szerokie, drewniane kredensy ze zwichrowanymi drzwiczkami, a obok nich widać było olbrzymie zlewy.

Z tyłu, tuż pod oknami mokrymi od skroplonej pary, kpiąc z pory roku, kwitły pomidory, a nad gazowym grzejnikiem w gorącym powietrzu tańczyło sobie piórko.

Yanos, kuchcik i kelner w jednej osobie, wycierał tłuszcz z brzegów dwóch wielkich talerzy, gdzie na warstwie pieczonej fasoli piętrzyły się kiełbaski, jajka i smażone ziemniaki dla grubych sióstr.

Za nim, przy potężnej kuchence stał ojciec Verity, Russell, i głośno wygwizdywał swoje tremolo na melodię piosenki Toma Jonesa Delilah, jednocześnie przerzucając na patelni plastry skwierczącego bekonu. Poza sezonem wołał osobiście przygotowywać śniadanie dla gości, zamiast płacić Rudiemu, kucharzowi, który zresztą rankiem nigdy nie był w najlepszej formie. Russell lubił nazywać siebie miejscowym królem smażenia. I jeśli twarz jego żony zdradzała stres związany z wybraną przez nich profesją, to pozbawiona zmarszczek twarz Russella świadczyła o tym, że w jego wnętrzu kryje się chłopiec. Nigdy nie brał niczego zbyt poważnie i w każdej chwili gotów był płatać figle.

- Hola, księżniczko - odezwał się, zatrzymując Verity w połowie drogi do schodów. - Zaraz będzie śniadanko.

- Zjadłam już tosta, tato.

Russell Driver powoli zbliżał się do pięćdziesiątki i zdążył już stracić większość włosów na czubku głowy, jednak to, co pozostało,

związywał na karku w zbuntowaną kitkę. Kiedyś był miejscowym instruktorem karate, ale mimo że był wysoki i szczuplej budowy ciała, co przekazał w genach swojej córce, ostatnio zaczął przegrywać walkę z metabolizmem i nad paskiem nisko nałożonych dżinsów widniał całkiem pokaźny, okrągły brzuszek.

- Słyszałem, jak grałaś - rzekł, gdy Verity dotarła do podestu schodów. - Trochę wcześniej, no nie?

- Niedługo będzie egzamin. Pamiętasz?

Verity miała ochotę przypomnieć mu, że nie wstała bladym świtem z własnej woli. Chodziło o to, że jedynie wtedy dane jej było w spokoju poćwiczyć, kiedy goście jeszcze spali i mogła doświadczyć choćby namiastki prywatności.

- Z czego będą cię egzaminować tym razem? - zapytał jej ojciec, sięgając do pojemnika na chleb i wyciągając z woreczka dwie kromki białego pieczywa. - Dla mnie brzmiało idealnie.

Verity uśmiechnęła się blado do niego. Nie dostrzegłby różnicy między Brahmsem i Beethovenem, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Świadomość muzyczna jej ojca ograniczała się do udawania, że gra na gitarze przy wtórze Dire Straits, albo, co było jeszcze bardziej krępujące, do wtrącania do rozmowy tekstów Pink Floydów, kiedy starał się uchodzić za wnikliwego i wyrafinowanego. Verity podejrzewała, że nawet gdyby usiadła i zaatakowała klawisze pianina kijem, ojciec i tak zgotowałby jej entuzjastyczny aplauz.

- Nie jest idealnie - odparła. - Na tym poziomie nie udałoby mi się zdać.

Russell prychnął i zaśmiał się głośno, tak jakby powiedziała właśnie świetny dowcip.

- Muszę iść, tato - rzekła Verity. - Lada chwila zjawi się Treza.

W tym momencie rozległ się jeden ze starych, zainstalowanych w kuchni dzwonek na służbę. Verity i jej ojciec podnieśli wzrok na wiszące nad drzwiami stare, wiktoriańskie ustrojstwo, a potem spojrzeli na siebie. Nawet Yanos uniósł z niepokojem głowę.

Niezwykle rzadko używało się tych dzwonek, jednak Verity wiedziała, że może to oznaczać tylko jedno: Cheryl popisuje się przed Ellen, zamiast samej przyjść do kuchni. Musi być w tym swoim najkoszmarniejszym wcieleniu Cheryl Driver, wielkiej hotelarki.

Ponownie rozległ się dźwięk dzwonka, tym razem bardziej niecierpliwie. Verity była już na schodach, które wiodły na samą górę.

- No a co z kanapką? - zawołał za nią ojciec, trzymając w ręku talerz z kromką chleba z bekonem.

- Ty ją zjedz - odpowiedziała Verity. - Dobrze wiesz, że masz na nią ochotę - drażniła się z nim i pokiwała głową. Ze szczytu schodów dojrzała, jak jej ojciec przewraca oczami z udawaną frustracją. Właśnie miał zamiar zabrać się za kanapkę, kiedy Verity zobaczyła matkę, dającą nura do kuchni z drugiej strony.

- A kysz - zbesztła swego męża, energicznym krokiem podeszła do niego i zabrała mu z ręki talerz. - W sam raz dla naszego nowego gościa, pani Morris. Biedna kobieta umiera z głodu. Dzwoniłam po Verity. Myślę, że byłoby bardzo dobrze, gdyby ucięły sobie pogawędkę. Jest reżyserką, Russellu. Wydaje się taka miła i profesjonalna. A to prawdziwa oznaka sukcesu...

Verity nie została, by usłyszeć więcej. Przeskakiwała dwa schody naraz, minęła po drodze Evę i Katię, pokojówki, i udała się do swojego pokoju.

Wszyscy w miasteczku podziwiali front hotelu i to, że ma on niczym nie zakłócony widok na Północną Plażę, jednak okna pokoju Verity wychodziły na przeciwną stronę. Z okna jednego ze starych apartamentów na siódmym piętrze, do którego pozwolono jej się przenieść w dniu szesnastych urodzin, mogła patrzeć na połączone z klimatyzatorami lśniące rury z blachy falistej, zwisające na różnych wysokościach z dachu budynku. Poniżej, na upstrzonych odchodami mew metalowych schodkach przeciwpożarowych, widać było porzucone krzesła, które leżały połamane i sczepione ze sobą, tak jakby toczyły właśnie jakąś walkę. Jeszcze niżej znajdował się parking hotelowy, gdzie pomiędzy okrągłymi koszami na śmieci mieszkanie znalazła sobie rodzina bezpiecznych kotów.

Dalej, poza murami starego miasta, gdzie przed salonem gier lubili się kręcić pijacy, Verity widziała przystanek i przygarbione dachy zielonych autobusów, a za nimi szeroki prostokąt nieużytków pomiędzy torami kolejowymi, gdzie każdego lata grupa turystów rozbijała namioty.

Verity zdawała sobie sprawę z tego, że ludzie w jej szkole uważają ją za zepsutą, dlatego że mieszka w apartamencie hotelowym, jednak nikt z nich oprócz Trezy nie wiedział, jak wygląda rzeczywistość; że ten pokój, wyklejony sfatygowaną tapetą w kwiatki w stylu lat osiemdziesiątych, jest tak duży i zimny, że podczas

zimowych miesięcy widziała wydostającą się z jej ust parę, a w nocy na wewnętrznej stronie okien tworzyła się zamarznęta tafla skroplonej pary.

Ale Verity to nie przeszkadzało. Była tak daleko, jak tylko się dało, od rodziców i ich przyprawiającego o klaustrofobię mieszkania obok kotłowni w suterenie. Matka regularnie straszyla Verity rychłym ponownym uwięzieniem pod schodami, kiedy tylko Russell w cudowny sposób przemienił jej pokój w apartament dla nowożeńców, jednak Verity wiedziała, że jest tam bezpieczna. Po pierwsze, hotel był prawdziwą skarbonką i nie zanosilo się na to, by jej rodzice mogli sobie pozwolić na porządne odnowienie tego pokoju i naprawienie szkód wyrządzonych kilka zim temu przez pęknięte rury. A po drugie, do Shoresby nie przyjeżdżali żadni nowożeńcy - sporadycznie odbywały się tu jedynie wieczory panieńskie i kawalerskie, na których urządzenie w tym hotelu jej matka nie wyrażala zgody.

Pomimo sporej przestrzeni w pokoju Verity spędzała większość czasu w łazience, gdzie mrugająca na wielkim telewizorze MTV podłączona była do umieszczonych nad wanną, zadziwiająco dobrych głośników. Tylko tam, za zamkniętymi drzwiami, czuła, że ma choć odrobinę prywatności, i potrafiła zapomnieć o tych wszystkich obcych ludziach, pochłoniętych w pokojach poniżej tymi dziwnymi czynnościami, którymi ludzie zajmują się w hotelach.

Okno w łazience miało szeroki parapet i za pomocą poduszek oraz koców Verity skleciła sobie na nim coś w rodzaju parapetowego krzesła. Lubiła siadać tam wieczorami i patrzeć ponad dachami domów na zarys klifów nad Północną Plażą. To właśnie tu pisała swój pamiętnik i tworzyła wiersze, co nie znaczy, by kiedykolwiek komuś je pokazała. I właśnie tu, na jednej z poduszek, Verity znalazła teraz swój telefon komórkowy.

Wzięła go do ręki i sprawdziła, czy nie dostała jakiegoś SMS - a, ale nie przyszło do niej nic nowego. Skrzywiła się z rozczarowaniem. Miała nadzieję, że będzie na nią czekać wiadomość od Trezy, że jej przyjaciółka wyszła już z domu. Do niedawna na przystanek zawsze chodziły razem. Ale odkąd Treza zaczęła się spotykać z Willem, ich poranne przechadzki stawały się coraz bardziej nieregularne, aż doszło do tego, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni zanikły prawie całkowicie.



Verity wzięła swój pamiętnik, przeszła do pokoju, przyklękła przy leżącym obok stolika z telewizorem stosie podręczników szkolnych i wystukała numer przyjaciółki. Odpięła rzepowe zapięcie swej torby, otworzyła ją, zerkając jednocześnie na zdjęcia swoje i Trezy w przezroczystej, plastikowej okładce, i przejechała palcem po fotografii ich obu ściśniętych w kabinie u Woolwortha.

Nawet ze stykającymi się ze sobą głowami i wystawionymi do aparatu językami wyglądem różniły się od siebie krańcowo. Podczas gdy włosy Verity były proste, kasztanowe, Treza odziedziczyła wygląd po pochodzącej z Malty matce i miała półdługie, wijące się czarne loczki. Verity była tyczkowata, miała płaską klatkę piersiową, długie nogi i szczupłe biodra, natomiast Treza była niska i zaokrąglona i nigdy nie będą jej potrzebne staniki powiększające biust.

Jednak teraz dzieliło je coś więcej niż różnice w wyglądzie.

Verity odwróciła wzrok od fotek. Zostały zrobione latem, ale wydawało się, jakby to było całe wieki temu. Nie potrafiła dokładnie określić momentu, w którym wszystko zaczęło się zmieniać, lecz jeszcze kilka miesięcy temu nie musiałyby dzwonić do Trezy, gdyż znałyby jej plany na każdą sekundę każdego dnia. Teraz leżało to w gestii Willa Macdonalda.

- Cześć - odezwała się pogodnie Treza.

Ostatnio nawet jej głos wydawał się inny, pomyślała gorzko Verity. Oczywiście i ona, i Treza chodziły już wcześniej z różnymi chłopcami. Ale chłopcy, z którymi się umawiały, byli właśnie tym: chłopcami. Żaden z tych związków nie był poważny. Nie tak jak teraz, w przypadku Trezy i Willa. Po pierwsze, Will skończył już szkołę i pracował, co oznaczało, że miał samochód i kasę na wspólne wypadki. A po drugie, Treza - co wyznała Verity w tajemnicy zaledwie kilka tygodni temu - sypiała z nim. No i tak dalej.

Verity posunęła się jedynie do ostrych pieszczot z Timem, swoim ostatnim byłym, z którym zerwała przed dwoma miesiącami. Nie udało im się, ponieważ, po pierwsze, okropnie całował, po drugie zaś, Verity nie zgodziła się uprawiać z nim seksu. Wołała poczekać i sądziła, że Treza także. Tyle że teraz jej przyjaciółka znalazła osobę, na którą czekała.

Verity była bardziej niż świadoma tej nowo powstałej przepaści w możliwościach i doświadczeniu pomiędzy nią i Trezą i w rezultacie

nic nie mogła poradzić na to, że czuła się niedojrzała i głupia, tak jakby została odepchnięta na bok. A nie miała ochoty być odepchnięta na bok. Nie przez swoją najlepszą przyjaciółkę.

- Cześć. Co słyhać? - zapytała Verity, starając się, by jej głos brzmiał naturalnie. - Jesteś już w drodze?

- Niezupełnie... - odparła Treza. Verity dosłyszała w łamiącym się głosie przyjaciółki, że ma już ona przygotowaną wymówkę. - Chodzi o to, że Will chce zrobić rundkę jednym z samochodów...

Verity usiadła i objęła rękami kolana, słuchając zachwyków Trezy na temat najnowszego wozu sportowego, który Will odnawiał w warsztacie samochodowym, gdzie pracował. Z roztargnieniem zerknęła w kąt pokoju, gdzie na małym stoliku ustawiła czajnik i toster. Na razie wystarczy, pomyślała, ale pewnego dnia będą miała własne mieszkanie i będą naprawdę szczęśliwa.

- Verity? - W głosie Trezy słyhać było niepokój i Verity uświadomiła sobie, że jakiś czas temu przestała słyhać i dziecięcym zwyczajem żuła końcówkę swego warkocza, co przynosiło ulgę tępemu bólowi, który pulsował z miejsc, gdzie jeszcze niedawno były uwięzione jej zęby.

- W takim razie do zobaczenia - odparła Verity, natychmiast nienawidząc samej siebie za to, że powiedziała to w tak cierpki sposób.

- Gniewasz się. Wiedziałam, że tak będzie - rzekła Treza wyraźnie zmartwionym głosem.

Verity wyprostowała się. Nie potrzebowała współczucia swej przyjaciółki.

- Wcale nie.

- Słuchaj, to nie jest takie ważne - pospiesznie wtrąciła Treza. - Każę Willowi wysadzić mnie koło ciebie, tak jak zawsze. Możemy się spotkać dosłownie za chwilę...

- Nie! - przerwała Verity i obróciła się, tak że warkocz przeskoczył przez jej ramię. - Nie bądź głupia, Treze, musisz jechać z nim. Nie martw się o mnie.

Treza wydała z siebie pomruk niezdecydowania.

- Poważnie - dodała Verity, naprawdę tak uważając.

- Jesteś pewna? Pewna pewna pewna pewna pewna?

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. A teraz pędź pędź pędź pędź pędź! Baw się dobrze!

Verity zakończyła rozmowę i wpatrywała się w telefon, a jej udawany dobry humor zgasł w pełnym rozczarowania westchnieniu. Uwaga na temat tego, że Treza jest jej najlepszą przyjaciółką, zabrzmiała w jej uszach płytko i teraz czuła się głupio, że to w ogóle powiedziała.

Nie miałyby to żadnego znaczenia, gdyby sama miała starszego, wyrafinowanego chłopaka, pomyślała ze smutkiem. Ale jakie istniały na to szanse? Nie była ani tak pewna siebie jak Treza, ani tak ładna.

Verity powoli spakowała do torby resztę książek. To bez sensu marzyć o czymś niemożliwym do spełnienia.

Nastrój Verity nie poprawił się, gdy szła pieszo na przystanek autobusowy. Właśnie przekonywała siebie w duchu, że spacer w pojedynkę nie jest aż taki zły, kiedy zobaczyła, jak po drugiej stronie ulicy macha do niej Jimmy Jones, i ogarnęło ją jeszcze większe przygnębienie. Opuściła głowę, udając, że go nie widzi, i przyspieszyła kroku.

Nie miała ochoty na pogawędkę z Jimmym, co nie znaczy, że wcześniej choć raz z nim porozmawiała. Chodzili razem na zajęcia z angielskiego i on zawsze był raczej cichy, ale to dlatego, że najpewniej podczas połowy zajęć był nawalony. Trzymał się razem z Tarą i tymi innymi ćpunami i nawet jeśli on sam nigdy nie zrobił jej niczego na złość, Verity wiedziała, że Tara za jej plecami robi sobie z niej żarty. Podczas zeszłego lata, kiedy przechodziła obok Szafira, zobaczyła, jak Tara wygłupia się, udając, że śpiewa arię z opery Pucciniego, którą Verity wygrała szkolną nagrodę.

Przednie koło roweru Jimmy'ego zachybotało się, gdy chłopak zrównał się z nią.

- Cześć - odezwał się, zeskakując z roweru tuż przy niej.
- Verity. No więc... co słychać?

Uśmiechał się do niej szeroko w bardzo dziwny sposób. Tak się przyzwyczaiła do oglądania jego znudzonej miny, że zaskoczyło ją to. Miał na sobie tę samą brudną, skórzaną kurtkę, którą zawsze nosił, a na jego różowych policzkach widać było kilkudniowy zarost. Wyglądał tak, jakby wypuszczał się gdzieś wieczorem, a nie szedł właśnie do szkoły. Może zamierzał urwać się z lekcji i chciał się jej podlizać, by go usprawiedliwiła. Może dlatego właśnie zachowywał się tak niesamowicie przyjacielsko. Pewnie uważał, że ona ma fory u nauczycieli.

- W porządku - odparła, idąc szybko przed siebie.  
- Idziesz do szkoły, co? - zapytał, prawie natychmiast ją doganiając.

Verity posłała mu sceptyczne spojrzenie. No pewnie, że idzie do szkoły. O co mu chodzi?

- A jak sądzisz?  
- Tak sobie pomyślałem, że mógłbym pójść razem z tobą - rzekł.  
- Ale ty masz rower - zauważyła. - A ja wsiadę w autobus.  
- W takim razie odprowadzę cię na przystanek. Zawsze chodzisz tą drogą?

Dlaczego on jest taki dziwny?

- Tak, Jimmy. Kiedy ostatnim razem tędy szłam, to właśnie była droga do szkoły. Idę wzdłuż High Street prosto na przystanek. Tak robią ludzie, gdy chcą gdzieś jechać autobusem.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż doszli do przykościelnego cmentarza.

- Dobra byłeś w tym przedstawieniu - odezwał się wreszcie Jimmy, tak jakby przez cały ten czas rozmawiali ze sobą.

Verity zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

- To było w zeszłym semestrze. Jimmy wzruszył ramionami.  
- Wiem, ale nie miałem okazji, by ci to wcześniej powiedzieć. Nie widziałem cię - wyjaśnił, po czym się zająknął. - To znaczy... Nie widziałem cię samej.

Verity widywała Jimmy'ego prawie codziennie od dnia, kiedy wystawiali w szkole tamtą sztukę, dlatego więc czekał, aż będą sami? Nigdy wcześniej nie byli sami. A przynajmniej nie przypominała sobie tego.

Jimmy uśmiechnął się i ponownie wzruszył ramionami. Mimo że mrużył oczy w porannym słońcu, Verity widziała, jak bardzo są one niebieskie. Kiedy się uśmiechał, nie wyglądał jak wyrzutek.

- Nie sądziłam, że interesujesz się tego typu sprawami - rzekła, gdyż gryzło ją sumienie, że chwilę wcześniej była wobec niego tak sarkastyczna.

- Lubię sztuki teatralne. Sam jednak nigdy nie mógłbym w nich grać. Nie jestem pewny siebie... nie tak jak ty.

- Nie jestem pewna siebie. Po prostu się przyzwyczaiłam. Jeśli wypowiada się słowa, których nauczyło się na pamięć, są one niczym maska - odpowiedziała Verity. - Można się za nimi ukryć.

- No cóż, wcale nie sprawiasz takiego wrażenia.

- Dzięki - rzekła, uświadamiając sobie, że był to początek ich pierwszej prawdziwej rozmowy. Może Jimmy miał w sobie coś więcej, niż do tej pory sądziła.

Nagle uśmiechnął się szeroko, tak jakby sobie o czymś przypomniał.

- Tak sobie pomyślałem, że może ci się to spodobać - rzucił, sięgając do torby. Pokręcił z zakłopotaniem głową, gdy próbował wydobyć coś z wewnętrznej kieszeni. Wreszcie wyjął małą reklamówkę, którą jej podał.

- Co to jest? - Verity cofnęła się o krok, zastanawiając się, czy to nie jeden z tych kawałów, kiedy ona weźmie torbę, a potem się okaże, że w środku jest coś obrzydliwego.

- Nic wielkiego - odparł, potrząsając niewielką paczką, dopóki jej od niego nie wzięła.

Verity nie wiedziała, co powiedzieć. Właśnie miała otworzyć torebkę, kiedy rozległ się głośny ryk, po czym obok nich przemknął na krosowcu Denny Shapland i z fantazją zatrzymał się przed swoim sklepem ze sprzętem surfingowym i sportowymi ciuchami, Wave Cave. Verity patrzyła przed siebie i wyciągała szyję, by lepiej dojrzeć Denny'ego.

Mimo że widywała go raz na kilka dni w drodze do szkoły, Denny'emu, który był bez wątpienia naprzystojniejszym facetem w całym miasteczku, zawsze udało się przykuć jej uwagę. Miał pieniądze i styl - aczkolwiek był entuzjastą markowych ciuchów sportowych. Ale przynajmniej wiedział, co w modzie piszczy, no i potrafił dbać o siebie.

To jest rzeczywiście starszy od niej i z pewnością wyrafinowany mężczyzna, pomyślała Verity, obserwując, jak przekłada nogę przez motor i zdejmuje kask. Pomimo panującej teraz chłodnej pory roku Denny był mocno opalony i miał rozjaśnione słońcem, faliste, kasztanowe włosy. Obserwowała go, jak się zatrzymał i przecesał palcami włosy, po czym otworzył drzwi swego sklepu. Wszystko związane z nim było po prostu takie... takie odjazdowe, pomyślała, rozczarowana faktem, że zniknął jej z oczu.

Uświadamiając sobie, że całkowicie pochłonęła ją obserwacja każdego szczegółu przyjazdu Denny'ego, Verity odwróciła się z powrotem do Jimmy'ego, dostrzegając przy tym, że nadal trzyma w

dłoni jego paczuszkę. Jednak Jimmy znikł. Verity z konsternacją rozejrzała się, ale nie było go nigdzie widać. Jakie to dziwne, że tak po prostu znikł, a ona nawet tego nie zauważyła.

Nie zwracając sobie głowy otwieraniem reklamówki, Verity wcisnęła ją do swej szkolnej torby i ruszyła w kierunku sklepu Denny'ego. Właśnie przyszedł jej do głowy pewien pomysł i to było zdecydowanie ważniejsze od Jimmy'ego Jonesa i jego dziwacznych prezentów.

Po wszystkim Verity uznała, że przeznaczenie chodzi naprawdę dziwnymi ścieżkami. Podczas gdy była zaabsorbowana żywieniem urazy do Willa za to, że podwozi Trezę do szkoły sportowym autem, przez cały ten czas stanowiło to powód, by Verity przeszła w pojedynkę obok sklepu Denny'ego. A przechodziła tamtędy dokładnie w tym momencie, kiedy Denny obracał w drzwiach kartonik z napisem „Zamknięte” na „Otwarte”, i tak się akurat złożyło, że spojrzał przez szybę wprost na nią.

W tej właśnie sekundzie dla Verity wszystko się zmieniło. Było tak, jakby w tamtej intymnej chwili, kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się, otworzył się przed nią cały nowy świat. No i oczywiście posłała mu uśmiech z gatunku wszystko - albo - nic. Nic ją to przecież nie kosztowało.

- Cześć - odezwał się Denny, opierając się o framugę drzwi, na jego twarzy zaś pojawił się pełen zainteresowania uśmiech.

Verity skinęła głową, a przyptyw pewności siebie, który przywiódł ją aż tutaj, nagle ją opuścił.

Jednak wyglądało na to, że Denny tego nie dostrzegł. W zamian uczynił ruch głową w kierunku ciemnego wnętrza sklepu.

- Może wejdiesz do środka, Verity? Chciałbym ci coś pokazać - rzekł, po czym odwrócił się i oddalił od niej. Ale mimo jego oczywistej pewności, że ona podąży za nim, Verity stała, jakby jej nogi wrosły w ziemię, myśląc jedynie o tym, że znał jej imię.

Verity nieczęsto bywała w sklepie Denny'ego. Prawdę mówiąc, była tutaj zaledwie raz czy dwa, kiedy Treza nakłoniła ją do przepchnięcia się przez chmarę nastoletnich groupies, czających się w sobotę wokół drzwi, wejścia do środka i poszperania między wieszakami.

Verity spędziła wtedy czas na przyglądaniu się ukradkiem Denny'emu, by zrozumieć, o co to całe zamieszanie, jednak tak

naprawdę nigdy z nim nie rozmawiała. Nie była taka, jak niektóre dziewczyny z jej szkoły, z ekscytacją rozprawiające na temat zalet importowanych z Australii bluz sportowych i rywalizujące ze sobą, której się uda upolować najmodniejsze ciuchy na wyprzedaży w sklepie Denny'ego. Nie chciała mieć też nic wspólnego z tłumem chłopaków, zbierających się, by z wypiekami na policzkach oglądać programy o sportach ekstremalnych, i krzywiących się z jednoczesnym zadowoleniem, kiedy któremuś z zawodników powinęła się noga.

Verity popatrzyła nerwowo na ulicę. Nie mogła uciec, nie teraz. Nie po tym, jak ją zaprosił do środka. Przez ułamek sekundy zapragnęła mieć przy sobie Trezę, która zajęłaby się podtrzymywaniem rozmowy, ale potem przypomniała sobie, gdzie teraz jest jej przyjaciółka, i po tej myśli weszła do środka.

Denny urządził wewnątrz sklepu tak, że przypominało jaskinię - ściany pokrywała tapeta, której wzór imitował powierzchnię kamienia. Z sufitu zwisały dwa wielkie, wyglądające na kosztowne telewizory, a ustawione w półkolu rzędy wieszaków z ciuchami oświetlane były przez starannie dobrane lampy. Jednak tego ranka telewizory nie zostały włączone i nie było słychać dudniącej muzyki, przez którą sklep zyskał sobie kiepską reputację.

- Zamknij drzwi, dobrze? - odezwał się Denny, zacierając ręce. - Strasznie dziś zimno na dworze.

Verity uśmiechnęła się niepewnie i bez przekonania wskazała na ulicę.

- Zaraz mam autobus... - wyrzuciła z siebie, gdy jej wzrok napotkał spojrzenie Denny'ego.

Miał pewnie jakieś dwadzieścia pięć lat, ale wciąż był młody, jak na kogoś, komu udało się odnieść taki sukces i zgromadzić całkiem sporo pieniędzy. Opierając się o szklaną ladę z rękami skrzyżowanymi na sprężystej klatce piersiowej, wyglądał jak mężczyzna, który czuje się zupełnie na luzie. Na czubek głowy nasunął okulary przeciwsłoneczne marki Police, a jego policzki były zarumienione od jazdy na motorze. Pomimo pory roku miał na sobie długie do kolan, sportowe szorty, a umięśnione, opalone łydki skrzyżował tak, jakby opierał się niedbale o jakiś plażowy bar na Karaibach. MTV, tylko to przychodziło Verity na myśl: wyglądał jak jakiś model z MTV.

Co ona robi? To jakieś szaleństwo, zaczęła panikować w duchu, odzyskując zdrowy rozsądek. Denny był zdecydowanie poza jej zasięgiem. Chyba zupełnie postradała zmysły.

Ale teraz było już zbyt późno na ucieczkę.

Zbierając się na odwagę, Verity szybko pchnęła drzwi. Zatrzasnęły się za nią z konspiracyjnym świstem, szczelnie zamykając ją w świecie Denny'ego.

Przez chwilę panowała cisza, podczas której Denny wpatrywał się w swoją towarzyszkę. Verity opuściła wzrok na wykładzinę.

- Zamawiam nowy towar do sklepu - odezwał się nagle. Z ożywieniem odwrócił się i wziął z leżącej przy kasie sterty kilka błyszczących katalogów, po czym rozłożył je na ladzie. - Chciałem wiedzieć, co o tym myślisz.

Wow! Verity miała ochotę wciągnąć głośno powietrze, ale wiedziała, że wyda mu się przez to żałosna i dziecinna, więc zamiast tego starała się grać kompletnie zaskoczona, kiedy zapytała:

- Dlaczego ja?

- No wiesz, jesteś dziewczyną i masz dobry gust - odparł Denny, kartkując jeden z katalogów.

Czekała, aż on się odwróci i powie, że żartował, lecz tak się nie stało, a Verity poczuła przypływ adrenaliny, który w jej organizmie pojawiał się zawsze wtedy, gdy publicznie śpiewała.

Kiedy ruszyła w kierunku Denny'ego, było prawie tak, jakby obserwowała samą siebie w zwolnionym tempie. Gdy już podeszła bliżej, poczuła piżmowy zapach męskiej wody po goleniu. Zerknęła na profil chłopaka, uważnie śledząc zarys nienagannie przyciętej bródki, i z rozmarzeniem zastanowiła się, jak by to było całować się z Dennyem.

- Muszę złożyć zamówienie na przyszły letni sezon. Zastanawiałem się nad kostiumami kąpielowymi - rzekł, przesuwając katalog w jej kierunku. - Jak ci się podobają?

Verity czuła, że jej cała twarz zrobiła się czerwona, ale Denny zdawał się tego nie zauważać. Wręcz przeciwnie, wydawał się zupełnie poważny i kiedy Verity uświadomiła sobie, że czeka na odpowiedź, wykonała kilka ostatnich kroków i spojrzała na katalogi.

- Ładne - bąknęła, przyglądając się zdjęciom, przedstawiającym spalone słońcem blondynki w wyciętych strojach kąpielowych, opierające się o deski surfingowe.



- Wiesz co... właśnie wpadł mi do głowy świetny pomysł. Gdybym zamówił kilka strojów na próbę, to czy zgodziłabyś się mi w nich pozować? - zapytał Denny.

Verity zeszywniała.

- To znaczy nic śmiesznego... wszystko w dobrym guście. Warto byłoby mieć kilka autentycznych zdjęć na mojej nowej stronie internetowej... - Denny urwał, gdy dostrzegł jej pełen zakłopotania wzrok. Strzelił językiem o dolną wargę. - Rozumiem, że nie, co? - rzekł, gdy Verity zrobiła krok w tył. - Twój rodzice nie byłiby zbyt zadowoleni?

- Nie, nie - odpowiedziała szybko dziewczyna. - Nie chodzi o to. - Jednak taki był właśnie główny powód. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co by powiedziała jej matka, gdyby się dowiedziała, że Verity pozuje w bikini. Bardziej chodziło jednak o to, że nie mogła sobie wyobrazić siebie odsłaniającej tyle ciała przed kimkolwiek, nie wspominając o Denny.

Panowała cisza, podczas której Verity przyglądała się swoim dłoniom. Przez cały czas wiedziała, że traci grunt pod nogami, a teraz czuła się po prostu jak głupiec. Rozum nakazywał jej ucieczkę, ale nogi i tak nie posłuchałyby tego rozkazu.

- Przepraszam - odezwał się Denny, przełamując napięcie. - Poważnie. Ledwie się w ogóle znamy, a ja zapraszam cię tutaj i proszę, byś mi pozowała... - Zaśmiał się z zakłopotaniem i zakrył dłonią usta. - Co ty sobie teraz musisz o mnie myśleć? Wiesz co, zapomnij o tym, OK? Zapomnij, że w ogóle cię o to prosiłem. Umowa stoi? - zapytał, pochylając się, by spojrzeć jej prosto w oczy.

Verity skinęła głową. Nie była w stanie wytrzymać jego spojrzenia. Z pewnością dostrzegł, że jest oszustką. Czemu by miał ją uważać za kogoś innego niż beznadziejnie naiwną dziewczynę?

Denny zamknął katalog i położył dłoń na okładce. Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

Dziewczyna wstrzymała oddech.

- Wiesz, Verity - odezwał się. - Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co o mnie mówią.

Dokładnie w tej chwili konstrukcja wodospadowa, którą Denny rozwiesił z tyłu sklepu, trysnęła i zaczęła bulgotać nad rzędem desek surfingowych. Verity podskoczyła, a on się roześmiał. Dziewczyna z zakłopotaniem poprawiała pasek od torby.

- Chodzi o to, że miejscowi ludzie lubią innych szufladkować, wiesz? - ciągnął Denny.

Zdawała sobie sprawę z tego, że miał reputację faceta, który prowadzi się z przyjeżdżającymi tutaj na wakacje dziewczynami, i wszyscy wiedzieli, że lubi się popisywać na desce. Z pewnością chodził już z całą masą dziewczyn, ale teraz, kiedy byli tylko ona i on, każda z tych kwestii wydawała się bez znaczenia.

- Naprawdę nie słucham tego, co opowiadają ludzie, Denny - odparła słabym głosem.

- To dobrze - uznał, a jego twarz rozjaśniła się. Zatarł swoje poprzednie słowa radosnym uśmiechem.

Verity w odpowiedzi także się uśmiechnęła.

- Wiesz co, sądzę, że ty i ja jesteśmy do siebie podobni - stwierdził. - Ludzie patrzą na ciebie i widzą utalentowaną osobę, która odniosła sukces, jednak nie dostrzegają pod spodem prawdziwego człowieka. Oczekują, że będziesz ot, tak - Denny pstryknął w powietrzu palcami - gwiazdą przez cały czas. Moja praca tutaj polega na obserwowaniu ludzi - kontynuował, pukając się w skronie. - Muszę umieć rozpoznać, jak mają zamiar zareagować... co mają zamiar kupić, jaka jest ich motywacja.

- Nie myślałam o tym wcześniej w taki sposób - rzekła Verity.

- Obserwuję ludzi. I czasami zdarza mi się obserwować ciebie, jak przechodzisz tędy z tą dziewczyną...

- Z Trezą.

- Nieważne. I mogę stwierdzić tylko na podstawie moich obserwacji, że masz znacznie więcej klasy niż wszystkie inne tutejsze dziewczęta. To kwestia sposobu, w jaki się poruszasz. Twojej postawy, twojego wzrostu. To znaczy jesteś olśniewająca i założę się, że nawet sobie tego nie uświadamiasz.

- Przestań - rzuciła Verity, zaczynając się czerwienić. Denny lekceważąco machnął ręką. Uśmiechnął się do niej

uspokajająco i niespiesznie pozbierał katalogi. Verity poczuła się dziwnie lekko, widząc ukryty szacunek w tym niewielkim geście, i uśmiechnęła się. Na chwilę zapadła cisza.

- Lepiej już... - Verity wskazała na drzwi i ruszyła w ich kierunku. Była nieznośnie świadoma tego, że Denny ją obserwuje. Znajdowała się już prawie przy wyjściu, kiedy usłyszała jego śmiech. Odwróciła się. - Co takiego?

Zerknął na swoje dłonie i potrząsnął głową.

- Wiem, że może mi teraz odmówisz - rzekł - ale... czy wyskoczyłabyś gdzieś kiedyś ze mną? Tylko ty i ja?

Verity była w takim szoku, że wreszcie przestała nad sobą panować i gapiła się na swego rozmówcę bez słowa.

- Nic szczególnego - ciągnął - to znaczy... ty pewnie już masz chłopaka, a ja nie chciałbym nikomu wchodzić w paradę...

- Nie, nie - wyrzuciła z siebie Verity. - Aktualnie... nie widuję się z nikim.

Denny uśmiechnął się do niej szeroko i nawet jego oczy zdawały się śmiać.

- Świetnie - stwierdził, gładząc się po brodzie. - Świetnie. No cóż... eee... może w sobotę wieczorem?

Verity w odpowiedzi także szeroko się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami.

- W porządku. Może być sobota.

Verity stała na chodniku przed sklepem Denny'ego i czuła się tak, jakby właśnie wyskoczyła z wirtualnej rzeczywistości.

- Wow! - pozwoliła sobie wreszcie wypowiedzieć głośno to słowo, po czym przerzuciła torbę przez ramię i ruszyła biegiem przed siebie.

Kiedy dotarła na przystanek - w samą porę, by dojrzeć tył znikającego w oddali autobusu - w jej głowie aż pulsowało na myśl o tak wielu konsekwencjach jej spotkania z Denny'ym. Uznała, że nie obchodzi ją, czy Treza jest teraz z Willem czy też nie, i że musi jej opowiedzieć o tym, co się właśnie stało.

Zatrzymała się, przykucnęła i otworzyła torbę, by znaleźć w niej telefon. Wtedy dojrzała reklamówkę, którą dał jej Jimmy. Otworzyła ją i w środku znalazła wypaloną samodzielnie płytę. Obróciła ją w dłoniach. Po kiego licha Jimmy Jones dał mi tę płytę, zastanawiała się, przebiegając wzrokiem po wypisanych na okładce nazwach zespołów R&B. Nie była to muzyka, o słuchanie której mogłaby go podejrzewać.

Wyjęła telefon, jednak kiedy się dłużej nad tym zastanowiła, uznała, że nie powie Trezie. Czuła się zbyt podekscytowana, a przyjaciółka z pewnością zepsuje jej tę przyjemność. Przecież Treza nie rozmawiała z Denny'ym. Nie wiedziała, jak bardzo był inny, jaki czarujący i wyrozumiały. Nie, postanowiła Verity, ruszając pieszo w

kierunku szkoły, przez jakiś czas zachowa Denny'ego Shaplana tylko dla siebie.

Dwadzieścia minut później nadal się uśmiechała, maszerując między domami mieszkalnymi w górę wzgórza. Nawet kiedy jakiś wyglądający na szalonego pies zaczął na nią wściekle szczekać zza zamkniętego okna, Verity nie zwolniła kroku ani nie przestała się uśmiechać. Kto powiedział, że marzenia nigdy się nie spełniają?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Neda Spencera obudziło gwałtowne szczekanie jego nieco szalonego, jednookiego owczarka szkockiego. Jęknął, wyobrażając sobie winnego tego jazgotu zwierzaka, który teraz radośnie dobijał się do wykuszowego okna na dole, bez wątpienia z zamiarem wystraszenia na śmierć jakiegoś nieszczęsnego przechodnia. - Zamknij się!

Miał to być krzyk, ale ponieważ twarz Neda była ukryta w poduszce, z jego ust wydobył się jedynie przytłumiony dźwięk. Zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia: słowa Neda były bardziej prośbą niż rozkazem. Mężczyzna znał swoje ograniczenia w stosunku do tego psa. Świadomy był tego, że nawet gdyby wrzasnął na całe gardło, i tak zostałby zignorowany. Gdyż poza tym, że od urodzenia był ślepy na jedno oko, jego pies charakteryzował się również tym, że był głuchy na wszelkie polecenia Neda.

Wobbles miał dwa lata, co po przeliczeniu na wiek ludzki w skali siedem do jednego, oznaczało, że pies jest teraz nastolatkiem, i tym właśnie Ned tłumaczył sobie jego aktualny okres buntu przeciwko władzy autorytarnej. Ned był przekonany, że to stanowi jedynie pewną fazę rozwoju Wobblesa. Szczekanie, ślinienie się i okazjonalne doskakiwanie do nóg - wszystko to były symptomy, które ustąpią, gdy tylko przestanie być psim nastolatkiem i przekształci się w dojrzałego i odpowiedzialnego członka społeczeństwa. Co pozwalało Nedowi na razie nie przejmować się kwestią jego niesforności.

Kiedy szczekanie nie cichło, a opary jego kaca zaczęły się rozpraszać, Ned zamiast na hałasie, skupił się na tym, co chował dla niego w zanadrzu dzisiejszy dzień. O jedenastej musiał być w Appleforth House, by nadzorować dostawę kamiennych płyt i pasujących do nich czarnych łupkowych ramek (już raz dostawca przywiózł je nie w tych wymiarach, co trzeba). Ale poza tym nie przychodził mu do głowy żaden palący powód, dla którego miałby się przed tym czasem zjawić na budowie. A jeśli nawet wyleciało mu coś z pamięci, wiedział, że Dan, jego brygadzysta i zarazem prawa ręka, był w stanie doskonale sobie z tym poradzić, nie mówiąc już o przydzieleniu zadań małej armii tynkarzy, hydraulików i elektryków.

Co oznaczało, że Ned miał teraz czas na ogolenie się i prysznic, a nawet na śniadanie. Co z kolei znaczyło, że może zacząć nowy dzień pracy z czystą głową, a świadomość tego w pewien sposób łagodziła

jego poczucie winy, że wczorajszego wieczoru do snu ukołysało go powolne sączenie whisky i papierosowy dym.

Wypuszczając z ramion poduszkę, którą tulił w objęciach przez całą noc, Ned przekręcił się na bok i oparł na łokciu. Zamrugał i potarł oczy, jednak bez okularów jego pokój stanowił jedynie niewyraźną plamę. Po chwili ponownie zamrugał, tym razem z większą determinacją, nagle uświadamiając sobie, że ma towarzystwo.

Stworzenie na końcu łóżka także spojrzało na niego, choć właściwie Ned miał uczucie, jakby patrzyło przez niego. Jego oczy to były studnie niezgłębionej czerni. Skórę na czole i brodzie pokrywały smętne smugi zakrzepłej krwi, która, nawet kiedy Ned się temu przyglądał, zdawała się sączyć i spływać po twarzy tego czegoś, po czym tworzyła krwawy, makabryczny śliniak na podbródku. Policzki upstrzone były żółtymi brodawkami, a z potarganej płataniny blond włosów rozchodziły się na wszystkie strony łodygi rabarbaru.

- Rabarbar? - wymamrotał Ned.

Poszukał ręką po omacku i wreszcie znalazł okulary w metalowych oprawkach, które wczoraj wieczorem powiesił na krawędzi łóżka. Gdy wsunął je na nos, pokój z działającą na nerwy brutalnością zrobił się wyraźny, przez co Neda natychmiast rozboleły jego ciemnobrązowe oczy.

Zamrugał najpierw raz, a potem drugi, pochylił się nad zmiętą kołdrą i ponownie uważnie przyjrzał się temu stworzeniu. Jednak za pierwszym razem się nie mylił: czerwone wypustki - cztery, jeśli chodzi o ścisłość - były w stu procentach roślinami, które można było raczej znaleźć w słodkim, mlecznym sosie niż na demonicznej głowie jakiejś istoty. No, a jeśli się dłużej nad tym pomyśli, czy te brodawki nie wykazują przypadkiem przedziwnego podobieństwa do Rice Krispies? I czy ta krew nie jest podobna do keczupu Heinza, a ciemne worki pod oczami nie mają tej samej konsystencji co marmite - ekstrakt z drożdży i warzyw?

- Łuu! - zapiszczało stworzenie, po czym ze śmiechem przewróciło się i znikło z pola widzenia.

Ned z powrotem położył się i popatrzył na biały sufit. Uśmiechnął się. Kochał swoją córeczkę całym sercem. Nawet teraz, kiedy niewątpliwie powinien zrzędzić i snuć się po mieszkaniu niczym niedźwiedź z bolącą głową, obecność Clary ogrzewała go niczym promienie jasnego słońca w chłodny, zimowy dzień.

- Na pomoc! - wychrypiał Ned, jego głos zaś odbił się wewnątrz jego czaszki. - Przyszło po mnie straszycie!

- Żadne straszycie, głuptasie - Clara udzieliła mu reprimendy, pojawiając się na powrót na drugim końcu łóżka. - Potwór Meduza - wyjaśniła, potrząsając głową, tak że łydki rabarbaru zachwiały się, a przytrzymująca je taśma klejąca zatrzęszczała.

- Aha. - Ned nareszcie zrozumiał ich znaczenie.

Zeszłego wieczoru pokazał swojej pięcioletniej córeczce obrazek w ilustrowanej greckiej mitologii, przedstawiający Meduzę, potwora z węzowymi włosami, zabitego przez Perseusza. Ned, jeśli tylko mógł, starał się czytać Clarze co wieczór. Leżąc przy niej na łóżku, oglądając obrazki i powoli przekładając kartki, obserwował, jak jego córka za każdym razem poddaje się iluzji tego wszystkiego, jasnemu, książkowemu podziałowi na dobro i zło oraz nieuchronności szczęśliwego zakończenia. Przyglądał się i zazdrościł jej, ale nigdy sam nie potrafił czuć w taki sposób.

- Gdzie Debs? - zapytał Ned.

- Na dole - odpowiedziała Clara. - Kazała mi tu do ciebie przyjść. Ponieważ mówi, że w głowie jej się nie mieści, jakiego bałaganu narobiłam w kuchni. I ponieważ poszła się wykąpać.

- Rozumiem - odrzekł Ned, pojmując także, że tutaj kończy się odpowiedzialność rodzicielska.

Poprawił sobie poduszkę i oparł się o ścianę, po czym wziął ze stolika przy łóżku szklankę wody. Doskonale wiedział, że Clara obserwuje go, jak pije, a jej głowa przechyla się nieświadomie coraz bardziej na jedną stronę, tak jakby naśladowała ruch szklanki.

- Kiepsko wyglądasz - oświadczyła nagle, wpatrując się w ojca.

I tak też się czuję, pomyślał, jednak zamiast tego głośno zauważył:

- Pachniesz drożdżami. Co - dodał, odstawiając szklankę - jest bardzo dobrą wiadomością, jako że mam zamiar cię zjeść.

Clarze ze zdziwienia opadła szczeka.

- Zjeść mnie? - upewniła się.

- Zjeść cię - potwierdził Ned. Jej oczy zwięzły się.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ jestem tatą i zjadam wszystkie napotkane na mojej drodze potwory. W przeciwnym wypadku - wyjaśnił - mogłyby przstraszyć moją córeczkę. A na to nie pozwolę.

- Ale to ja jestem twoją córeczką - zapewniła. Ned przeczesał palcami swoje krótkie, jasne włosy.

- Nie - orzekł. - Ty nie możesz być moją córeczką Clara.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ ona jest bardzo ładna. Ty zaś jesteś cała pokryta jakąś mazią.

- Ale, tato! - zajęczała Clara. Po chwili wpadł jej do głowy pewien pomysł. - A jeśli pójdę i wszystko zmyję? - zapytała.

- Wszysciutko? - upewnił się. Energicznie pokiwała głową.

- Tak.

Ned pogładził się po brodzie.

- No cóż - zastanawiał się na głos. - Tak sobie myślę, że gdybyś to zrobiła, wtedy na śniadanie zamiast Meduzy zjadłbym... och, no nie wiem... tost?

- Cudownie! - wykrzyknęła Clara i złożyła na policzku ojca soczystego, przypieczętowanego umowę całusa, po czym obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.

Obserwując jej wyjście, Ned wypuścił powietrze z płuc. Czuł się jak niedoświadczony aktor, który właśnie ledwo poradził sobie z trudnym przesłuchaniem. Dotknął lepkiej pozostałości keczupu, który jego córka rozsmarowała mu na brodzie, i westchnął.

W przypadku Clary było podobnie jak z Wobblesem: egzekwowanie dyscypliny nie było mocną stroną Neda. Uważał, że bardziej nadaje się do innych aspektów wychowania swojej córki, na przykład do dawania kieszonkowego, budowania wspólnie zamków z piasku na plaży i kupowania ryby z frytkami i lodów w drodze powrotnej, czyli do „miłych obowiązków”, jak nazywała to Debs.

Te inne obowiązki, obowiązki złego gliny - nie mógł się powstrzymać, by o nich tak nie myśleć mimo swoich trzydziestu sześciu lat - miał zwyczaj pozostawiać Debs. W ich skład wchodziły wszystkie kwestie konfrontacyjne: pilnowanie i wymaganie odpowiedniego zachowania przy stole, telewizja, pory chodzenia spać, kąpiel, posiłki, wszelkie napady złości i fochy. Żeby wymienić choćby kilka.

Ned był pełen determinacji, by pozostać przyjacielem Clary, a nie jej wrogiem. Pragnął być w jej pobliżu przez całe życie, zawsze dostępny i osiągalny. Nie chciał, by jego córka kiedykolwiek poczuła, że nie może z nim porozmawiać albo że nawet jeśli to robi, to on nie



będzie jej słuchał. Rozumował w ten sposób, że życie jest zbyt krótkie i zbyt cenne, by można było postępować inaczej.

Wstając z łóżka, nadepnął na głowę puszystego królika, maskotki, którą tuż przy szafie w kałuży psiej śliny pozostawił Wobbles. Ned podszedł do okna i wyrztał bezmyślnie na zewnątrz - przyglądał się stalowoszarym, zasnuwającym niebo chmurom, lecz w głowie miał obraz swego przytulnego domu w Cheltenham i ludzi, jakich tam znał.

Przelotnie pomyślał o tych wszystkich osobistych drobiazgach, które oddał na przechowanie, kiedy w zeszłym roku wynajął swój dom w Cheltenham i przeprowadził się do Shoresby: płytach CD i DVD, książkach, zdjęciach, obrazach i cennych szkicach architektonicznych. Nie spodziewał się, że realizacja projektu w Appleforth House zajmie aż tak dużo czasu (już ponad rok), ale im dłużej to trwało, tym mniej brakowało mu jego rzeczy i tym mniej tęsknił za przyjaciółmi.

Jednak za dwa miesiące, najpóźniej za trzy, jego praca w Appleforth House dobiegnie końca i Ned wyprowadzi się z wynajmowanego domu, a Clara przeniesie się ze swojej tymczasowej szkoły. Wrócą do Cheltenham, po czym wszystko znowu zrobi się stałe, nieuniknione i przytłaczające. Jeszcze raz obejmie go w posiadanie jego dawne życie, połkną wszystkie ślady przeszłości, które pozostawił za sobą bez żalu.

Ned odwrócił się z powrotem twarzą do pokoju. Paracetamol, oto, czego potrzebował w tej chwili. Paracetamol, zimny prysznic i coś do jedzenia. A wtedy z resztą dnia jakoś sobie poradzi.

Czterdzieści pięć minut później - po podrzuceniu Clary do szkoły, a Debs na zakupy - Ned zamienił smaganą wiatrem High Street na ciepłe wnętrze Jackpot Cafe.

Ned pracował już przy wystarczająco wielu projektach w całym kraju, by wiedzieć, że Jackpot nie jest niczym specjalnym. Ten bar mógłby się mieścić wszędzie, na każdej ulicy w każdym mieście w Anglii, Irlandii, Szkocji czy Walii. Wiszące nad barem ścienne menu było takie samo, wypisano na nim kredą takie same dania w tak samo niskich cenach. Herbata była zawsze słaba, a kawa zwietrzała, radio zawsze głośno grało, a blat baru był zawsze zatłuszczony. Ale Nedowi to nie przeszkadzało. Obsługa była szybka, jedzenie świeżo przyrządzone, a poza tym nie planował dzisiaj niczego tutaj jeść.

- Cześć, Ned - odezwała się dwudziestokilkuletnia, rudowłosa dziewczyna za barem, gdy się do niej zbliżył. Trzymając łokcie na jakimś plotkarskim magazynie, który właśnie czytała, oparła twarz na dłoniach i posłała mu szeroki uśmiech.

- Cześć... - Lucy? Katie? Emma? Ned przeszukiwał w pamięci listę prawdopodobnych imion. Przedstawiła mu się parę tygodni temu, tego samego ranka, kiedy go zapytała o znak zodiaku i przeczytała mu na głos jego horoskop, po czym poinformowała go, że ona i on stanowią doskonale dopasowaną astrologicznie parę. Emma, podejrzewał, że Emma, ale nie był stuprocentowo pewny. - Jak się masz? - zapytał zamiast tego.

- Jestem cała obolała - odpowiedziała, podwijając rękaw szarego, wełnianego swetra aż za łokieć, by zademonstrować jędrne ramię. - Joga - wyjaśniła. - A ty? - zapytała. - Jak tam idzie praca w starym domu?

- W porządku. - Ned nie był zaskoczony tym, że dziewczyna wie, gdzie on pracuje, mimo że sam jej tego nie powiedział. Wielu miejscowych ludzi, zwłaszcza sklepikarzy, interesowało się pracą w posiadłości Appleforth, nad którą Ned sprawował nadzór, co się wiązało z historią tego miejsca, mającą zasadnicze znaczenia dla miejscowego ruchu turystycznego, i oczywiście z tym, że wielu zatrudnionych przez Neda robotników spędzało czas i wydawało pieniądze w miasteczku.

- Pozwól mi zgadnąć - rzekła Lucy - Katie - Emma. - Jajecznicą na bekonie, herbata z mlekiem, bez cukru... - Ponownie posłała mu uśmiech. - Ponieważ jesteś i tak wystarczająco słodki...

Ned skinął głową, nieco skrepowany jej zainteresowaniem. Wiedział, że ta dziewczyna go lubi, tak samo jak wiedział, że ona jest ładna. Ale pozostawało to tym właśnie: wiedzą, suchym faktem. Nie potrafił wznieść się ponad to. Nie potrafił sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz poznał kogoś nowego i poczuł coś, co by choć odrobinę przypominało pożądanie. Uśmiechnął się teraz przelotnie do dziewczyny, po czym odwrócił wzrok i wyjrzał przez częściowo zaparowane okno na wyludnioną ulicę. W odbiciu w szybie dostrzegł, że rozbija ona jajka o brzeg miski i miesza je widelcem, ale się nie odwrócił.

Zabrzączał jego telefon i Ned sprawdził wiadomości. Kilka było związanych z pracą, i te zostawił sobie na później. Przyszła też

wiadomość od jego matki: pytała go, czy nie chciałby za dwa tygodnie spędzić weekendu z nią i z ojcem w ich letnim domku w zachodniej Walii. Wystukał w odpowiedzi, że jest zbyt zajęty, częściowo dlatego, iż była to prawda, a częściowo dlatego, że widział się z nimi zaledwie przed miesiącem. Zgodził się spędzić z nimi Boże Narodzenie (w zeszłym roku przypadała kolej jego teściów), więc nie można było powiedzieć, że są pozbawieni towarzystwa Clary czy coś w tym stylu. I mimo że wiedział, iż pragną się spotkać także i z nim, lubił oddzielać własne życie od ich życia tak bardzo, jak tylko się dało.

Nie chodziło o to, że ich nie kochał. Kochał. Po prostu nie był w stanie znieść tej ich ciągłej troski o samopoczucie jego, Debs czy Clary. Nie był już dzieckiem. Dawno temu pożegnał się z wizerunkiem wychuchanego jedynaka. Teraz pragnął jedynie tego, by sam mógł podejmować decyzje dotyczące jego własnego życia.

Kilka minut później opierał się na zewnątrz o ścianę z czerwonej cegły, wcinał bułkę i pił herbatę z ciepłego kubka ze styropianu. Gdy tylko pozwalała na to pogoda, podczas swojej bytności w Jackpocie zawsze jadł w ten sposób. Było w tym coś, co bardzo mu się podobało, jakby był w takiej chwili kimkolwiek, przejeżdżającym podróżnym, bez jakiegoś szczególnego celu i czekających na niego obowiązków.

Co nie mogło bardziej mijać się z prawdą, ponieważ Ned przebywał w Shoresby z powodu największego zlecenia, jakie kiedykolwiek otrzymała jego firma.

Spółka RST (Renowacje Spencer & Thomas) istniała już bez mała od dziesięciu lat i zajmowała się odnawianiem różnych osobliwości architektonicznych, począwszy od wież Martello aż do romantycznych budowli ogrodowych z czasów regencji, a także dokonywaniem całkowitych przeróbek wewnątrz segmentów w Belgravii i innych nieruchomości.

Jednak żaden z wcześniejszych projektów nie był choćby w przybliżeniu zakrojony na taką skalę, nie był tak trudny i przy tym tak dobrze płatny, jak odbudowa Appleforth House, nad którą nadzór sprawował Ned.

Właścicielem Appleforth House i człowiekiem, na spotkanie z którym Ned poleciał przed dwoma laty do Salem w stanie Massachusetts, był pan Jonathan Arthur. Był on niezwykle zamożnym właścicielem świetnie prosperującej sieci barów typu fast food, dobrze

po sześćdziesiątce, który postanowił zainteresować się domem swych przodków, odkupując partiami teren posiadłości i ziemię do niego przylegającą, z zamiarem odbudowy rezydencji w dawnej, nie zmienionej formie. Jonathan Arthur pragnął na starość osiąść tutaj, w Anglii, w kraju, w którym nigdy nie mieszkał, ale w którym miał zamiar umrzeć - i chciał, by Ned Spencer mu to umożliwił.

Do Neda nieszczególnie przemawiało pragnienie przeprowadzki Jonathana Arthura. Uznał je za sentymentalne, a nawet absurdalne. Lecz z architektonicznego punktu widzenia, im więcej pan Arthur wymieniał problemów do przezwyciężenia, tym bardziej Ned robił się zaintrygowany. Uznał, że to może się okazać największym zawodowym wyzwaniem w jego życiu.

Appleforth House, jak mu wyjaśnił jego pracodawca, został spalony w 1871 roku przez jego pradziadka, zamożnego importera herbaty, który nazywał się Alexander Walpole i który najpierw podpalił budynek, a następnie poniósł samobójczą śmierć w płomieniach.

Przytłaczająca żalność, tak Jonathan Arthur wyjaśnił to katastrofalne zdarzenie: wcześniej tamtego roku córka Walpole'a, Caroline, popełniła samobójstwo, rzucając się z urwiska, znajdującego się na skraju należącego do posiadłości terenu.

Na przestrzeni kolejnego wieku pozostawiona sama sobie rezydencja niszczała, aż zamieniła się w kompletną ruinę, co Ned odkrył podczas pierwszej wizyty dwa tygodnie później. To, czego nie strawił pożar, objęła w posiadanie przyroda. Na murach, oknach i drzwiach zagnieździł się bluszcz. Wnętrze przerodziło się w wilgotną, labiryntową plataninę połamanych schodów i spróchniałych bali, a ogród wyraźnie żył własnym, dzikim życiem. Całe części ścian rezydencji zostały rozgrabione przez miejscowych farmerów z przeznaczeniem na budynki gospodarcze, a przeróżne budowle ogrodowe - starannie udokumentowane w papierach dostarczonych Nedowi przez Jonathana Arthura - zupełnie poznikały.

Ned z lekceważeniem traktował historię Walpole'ów, nieporuszony ludzkim dramatem, którego efektem okazał się upadek Appleforth House. Według niego wszystko to zostało wymyślone na użytek turystów, a w najlepszym wypadku stanowiło wyolbrzymienie znacznie mniej romantycznej i intrygującej prawdy. Jednak zakochał

się w tym, co pozostało z georgiańskiego budynku, w chwili, gdy to zobaczył.

Zaopatrzone w oryginalne plany rezydencji, a także liczne szkice, zgromadzone przez Jonathana Arthura, Ned miał w głowie obraz tego, jak Appleforth House wyglądał kiedyś, nie zaś tego, co z niego zostało. Wyobraził sobie jońskie kolumny przywrócone do dawnej świetności oraz fasadę budynku na powrót białą i w stylu neoklasycznym. Wyobraził sobie portyki ponownie stojące z dumą, dach na nowo pokryty dachówkami i werandę z kutego żelaza błyszczącą od świeżej farby.

Ned ujrzał to wszystko w głowie i wtedy właśnie postanowił, że przekształci tę wizję w rzeczywistość. Wykona tę pracę z uczuciem i dzięki temu w miejscowym krajobrazie pozostanie trwały ślad jego obecności. Przyrzekł, że z wszelką możliwą dbałością, uwagą i determinacją przywróci Appleforth House do życia.

I to właśnie czynił. Ostatnie osiemnaście miesięcy Ned poświęcił na badanie, odnawianie i odbudowywanie. Pochłoneła go przeszłość, polował na najlepszych rzemieślników i rękodzielników, szperał w poszukiwaniu materiałów, przeszukiwał ocalone, architektoniczne mienie, a także zamawiał różnego rodzaju reprodukcje, kiedy nie był w stanie zdobyć oryginału. Kochał każdą sekundę tej pracy.

A teraz, kiedy udało mu się zrekonstruować szkielet budynku, pochłaniał go proces odtwarzania wnętrza i urządzania wygodnego domu dla swego absurdalnie bogatego klienta.

Ned obliznął usta, wrzucił kubek i papierową serwetkę do kosza, po czym podniósł kołnierz swej brązowej, sztruksowej kurtki - części garderoby ze skórzanymi łatami na łokciach, którą Debs niezmiennie nazywała kurtką swego nauczyciela od angielskiego, a którą Wobbles miał zwyczaj uważać za nieruchawego, aczkolwiek dziwnie atrakcyjnego przedstawiciela swego własnego gatunku.

Pies siedział tuż przy nogach Neda. Był przywiązany do latarnianego słupa i sugestywnie przekrzywił głowę ku wiodącym w kierunku plaży schodkom, jednocześnie rytmicznie zmiatając ogonem kurz ze znoszonych roboczych martensów Neda.

- Rób tak non stop przez godzinę - oświadczył Ned psu - a może nawet wydobędziesz z nich połysk.

Wobbles wydał z siebie pełen wyczekiwania pomruk, jego wzrok zaś błędził od schodków do Neda, na wypadek, gdyby jego pan nie załapał jeszcze, o co mu chodzi.

- Dobrze, już dobrze - mruknął mężczyzna. Zaczekał, aż przejedzie samochód, po czym pozwolił Wobblesowi zawlec się na drugą stronę. Pies doskonale wiedział, dokąd idą. Kiedy dotarli do szczytu schodków prowadzących na plażę, Ned nachylił się i wypiął z obroży smycz.

- No to pędź.

Jednak zamiast rzucić się w dół schodków, jak to się działo każdego ranka, Wobbles uczynił krok do tyłu, po czym nieoczekiwanie znieruchomiał i zaczął warczeć.

- Co się dzieje? - zapytał Ned, ale jedyną odpowiedzią psa był jeszcze bardziej złowrogie warczenie.

W poszukiwaniu wyjaśnienia Ned spojrzał wzdłuż linii biegnącej od drżącego ogona Wobblesa i wyciągniętego pyska na wschód wzdłuż High Street. Jednak nikogo tam nie dostrzegł.

Zaraz, zaraz - mężczyzna zmrużył oczy - nie, jednak ktoś tam był, niecałe czterdzieści metrów dalej ktoś właśnie wychodził z Grand Hotelu. I nie było żadnych wątpliwości: to była z pewnością ta osoba, którą Wobbles wypatrzył swym zdrowym okiem.

Ned nie potrafił tego zrozumieć. W porządku, Wobbles lubił szczekać na ludzi. Lubiał czasami pogonić sobie za samochodem. Ale w głębi duszy był tchórzem. Szczekał jedynie z za bezpiecznego schronienia, jakie dawało mu okno. Biegł za samochodami dopiero wtedy, kiedy już się od niego oddalały. Nie licząc jego patologicznego upodobania do wyrywania puszystego wnętrza z pluszowych zabawek, był równie brutalny i bestialski jak myszokoczek.

Przysuwając się w stronę zwierzaka z zamiarem przyczepienia z powrotem smyczy, Ned obserwował, jak wzdłuż High Street ten ktoś idzie w ich kierunku, z każdym krokiem robiąc się coraz bardziej wyraźnym. To jest mężczyzna, uznał Ned. Nie, poprawił się szybko, to kobieta... wysoka kobieta... z krótkimi, jasnymi włosami... wysoka kobieta z krótkimi, jasnymi włosami... ubrana w...

- O cholera. - Mężczyzna przełknął ślinę. Lecz nawet jeśli udało mu się odgadnąć zamiary Wobblesa ułamek sekundy przed ich wcieleniem w czyn, nie miał już wystarczająco czasu, by powstrzymać to, co nieuchronne.

Ręka Neda zawisła w powietrzu, gdy Wobbles rzucił się na ulicę, o mały włos unikając bliskiego spotkania z kołami motoru.

- Wracaj! - wrzasnął Ned, ruszając za nim w pościg. - Natychmiast!

Ale nie miało to sensu. Wobbles widział tylko tę kobietę. Lub, bardziej konkretnie, futrzany płaszcz tej kobiety, jako że Ned nie miał żadnych wątpliwości, iż o to właśnie chodziło jego psu. Futro... czy to będące częścią maskotki, czy też ubrania... Dla Wobblesa nie stanowiło to żadnej różnicy. A z futrem można było robić tylko jedno: obgryzać i żuć. I wyglądało na to, że nic nie powstrzyma psa przed dopełnieniem misji. Znikło gdzieś miłe, domowe zwierzę sprzed kilku sekund. Przekształciło się w napędzanego niezwykle determinacją myśliwego.

Ned przyglądał się z mieszaniną rosnącego przerażenia i wynikającego z tytułu własności podziwu, jak owczarek dotarł do kobiety z prędkością medalowego charta, po czym rzucił się na nią ze szczeknięciem oznajmującym pierwotny zamiar i z głuchym odgłosem popchnął ją na bankomat Banku Lloyds.

Kiedy Ned dobiegł do nich, Wobbles zdążył już zatopić zęby w skraju płaszcza i stał właśnie na tylnych łapach, machając łbem w jedną i drugą stronę niczym uwieczona na końcu żyłki potężna, włochata ryba.

Ned nie miał czasu, by zwrócić uwagę na twarz tej kobiety. Błyśnięcie białych zębów, świst blond włosów, po czym jego uwaga ponownie skupiła się na psie.

- Puszczaj! - rozkazał. Upadł na kolana przy stopach kobiety i desperacko rzucił się w kierunku obroży Wobblesa.

- Proszę go zabrać! - zawołała kobieta.

Ale Wobbles nie słuchał ani głosu swego pana, ani jej. Tego ogarniętego obsesją psa pochłaniało jedynie wbijanie zębów w futrzany płaszcz i warczenie ze wszystkich sił.

- Proszę natychmiast go ode mnie zabrać! - kobieta wrzeszczała na Neda. - W przeciwnym wypadku...

Jednak Nedowi nie dane było usłyszeć reszty jej groźby, ponieważ uznała ona, że zamiast tego zamieni swoje słowa w czyn. Dla utrzymania równowagi zatopiała palce we włosach Neda, zrobiła nogą zamach na psa... i nie trafiła, za to straciła równowagę i przewróciła się, pociągając na siebie i Neda, i Wobblesa.

Pies - prawdopodobnie on, gdyż miał więcej nóg do pomocy, jak odgadł Ned - pierwszy uwolnił się z tej próbującej się czegoś uchwycić, warczącej i przeklinającej płataniny kończyn. Zasygnalizował swoje odejście z placu boju warknięciem i głośnym odgłosem rozdieranego materiału.

I wtedy właśnie Ned uświadomił sobie, że oczarowany wpatruje się w błyszczące, orzechowe oczy tej kobiety. Ta chwila była taka odrealniona i pełna spokoju. Ned czuł, jakby serce przestało mu bić, jakby - gdyby tylko nie poruszał się ani nie oddychał - ta chwila mogła trwać wiecznie.

Wówczas kobieta lekko zamrugła, a on zrobił to samo, rejestrując jednocześnie inne cechy jej wyglądu: mały, lekko zadarty nos z rozszerzonymi nozdrzami, jako że wciąż walczyła o złapanie tchu, gładką skórę czerwoną z wysiłku i lekko rozchylone usta...

- Strasznie mi przy... - zaczął Ned, ale nawet tak delikatny ruch, jak otworzenie ust, by się odezwać, spowodował, że ich nosy się zetknęły.

- Jest panu przykro? - przerwała mu. - To dobrze. A teraz, czy mógłby pan łaskawie ze mnie zejść?

Spojrzał na nią z konsternacją.

- Proszę to zrobić! - warknęła.

Dopiero wtedy Ned stał się świadom tego, że ma pod sobą jej ciało i że wciąż leżą na ziemi. Szybko zerwał się na równe nogi.

- Proszę - powiedział, pochylając się i wyciągając rękę, by jej pomóc. - Niech się pani złapie.

Zignorowała go. Powoli - i ze sporą dozą elegancji, pomyślał Ned, mając na uwadze okoliczności - wstała. Potem rzuciła spojrzenie Wobblesowi, który z zachwytem podskakiwał kawałek dalej przed sklepem z upominkami Pocztowni z nad Krawędzi, triumfująco podrzucając w górę oderwany kawałek futrzanego płaszcza.

- Normalnie tak się nie zachowuje - zaczął wyjaśniać Ned, zauważając jednocześnie, że ta kobieta jest prawie tego samego wzrostu co i on i że fryzura dodaje jej twarzy srogości, której jeszcze przed chwilą na niej nie było.

- To zwierzę powinno mieć kaganiec - oświadczyła surowo.

- On się tylko bawił - próbował go usprawiedliwić Ned. Kobieta spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Właściwie żywcem obdarł mnie ze skóry.



- Och, proszę nie przesadzać. Nie ugryzł przecież pani ani nic w tym stylu.

- Nie? - Szarpnęła za płaszcz, przytrzymując przed sobą oderwany brzeg niczym dowód w procesie o morderstwo. - A co to jest w takim razie?

- To tylko płaszcz - zaprotestował delikatnie Ned. - To nie pani. To zupełnie coś innego. Proszę posłuchać, a może moglibyśmy... - Właśnie miał zamiar zaproponować, by poszli gdzieś razem na kawę i porozmawiali o tym jak rozsądnie myślący ludzie, ponieważ z jakiegoś powodu takie rozwiązanie nagle wydało mu się najwłaściwsze.

Ale nieznajoma miała inny pomysł.

- Tylko płaszcz - powtórzyła powoli jego słowa, jakby dawała mu czas, by je przetrawił i poprawił ją, jeśli błędnie go zacytowała. - To nie jest tylko płaszcz, ty kretynie - ciągnęła po chwili. - To jest płaszcz od cholery Donny Karan. I tak się akurat składa, że wydałam na niego całą miesięczną pensję. Jest to suma, którą, co mogę dodać, jest mi pan teraz winien!

Ned nie czuł się dobrze, kiedy na niego krzyczano. Podobnie jak jego córka i pies miał problem z uznaniem czyjegoś zwierzchnictwa. Ale jeśli istniało coś, czego nie lubił jeszcze bardziej od tego, by na niego krzyczano, była to sytuacja, gdy krzyczano na niego w miejscu publicznym.

W odpowiedzi spojrzał na tę kobietę. Co on, do diabła, sobie myślał, o mały włos nie zapraszając jej na kawę? Cóż za chwilowe szaleństwo go ogarnęło? No więc może i była ślicznotką... i co z tego? Jeśli zaś chodzi o fakt bycia czarującą? No cóż, na pewno miała w sobie coś z czarownicy, a ściślej mówiąc, więdźmy.

- Jedynym powodem - oświadczył - dla którego pani cholerny płaszcz od cholery Donny Karan się rozdarł, jest to, że cholernie się pani przewróciła, kiedy chciała kopnąć mojego cholernego psa.

- Niech pan nie próbuje zwałać wszystkiego na mnie - ostrzegła. - To pańskie zwierzę to zrobiło i pan ponosi za to odpowiedzialność.

- No cóż, czego się pani w takim razie spodziewa? - warknął w odpowiedzi. - Paradując odstrojona w futro jakiegoś martwego zwierzęcia? Jeśli pani się zachowuje jak Cruella de Ville, trzeba się spodziewać, że będzie się tak traktowanym.

- Jeśli chce pan wiedzieć, to jest ono sztuczne - poinformowała go, po czym wyciągnęła z kieszeni notes i długopis. - Nazwisko? - zażądała.

- Co takiego? - Zaśmiał się drwiąco. - Aby mogła mnie pani zgłosić na policję i usadzić Wobblesa? Niech pani o tym zapomni.

Nawet nie mrugnęła.

- Jest mi pan winien pieniądze za płaszcz - oświadczyła.

- Więc proszę mnie pozwać - odparł, po czym odwrócił się do niej plecami i zaczął się oddalać.

Wołała coś za nim, ale cokolwiek to były za słowa, zagłuszył je wiatr. Wielkie rzeczy, pomyślał Ned, kiedy dogonił Wobblesa i z powrotem przypiął mu smycz, po czym wydarł z jego pyska kawałek sztucznego futra i schował do kieszeni kurtki. Mogła krzyczeć sobie tak długo, jak tylko miała ochotę, ponieważ jeśli chodzi o niego, ta kobieta nie miała mu do powiedzenia niczego, co Ned miałby ochotę wysłuchiwać.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Hospicjum Williama Bentleya, gdzie umierała babcia Jimmy'ego, mieściło się na drugim końcu Shoresby i Jimmy pojechał tam rowerem w środę prosto po zajęciach z historii.

Był to brzydki, granitowy budynek porośnięty bluszczem, który górował nad Północną Plażą i wyglądał na to, czym naprawdę był: mauzoleum, miejscem, do którego udawali się ludzie, kiedy skończył już z nimi świat żywych.

Po obu jego stronach, rozciągając się wzdłuż grzbietu wzgórza, znajdowały się rzędy małych domów parterowych, zamieszkałych przez emerytów. Pewnego wieczoru Jimmy i Ryan upili się tutaj i liczyli w ciemności te płaskie, prostokątne budynki. Jimmy pamiętał, jak smutno mu było na koniec, kiedy dojrzał upiorne niebieskie światło telewizora migające w każdym z nich. Przygnębiające, takie mu się wydawało to, że wszyscy ci ludzie wolą siedzieć wieczorem samotnie, w otoczeniu sąsiadów robiących dokładnie to samo, i nie mają ochoty na rozmowę z którymkolwiek z nich.

Jednak Ryan uważał, że sensownie jest umieścić wszystkich miejscowych starców w pobliżu hospicjum, w którym i tak najpewniej skończą.

- Karetki mogą w ten sposób zaoszczędzić na paliwie, no nie? - zauważył.

Jimmy zostawił rower na parkingu tuż obok zmarzniętych klombów z kwiatami, nie zwracając sobie głowy przypinaniem go na kłódkę, gdyż wiedział, że to nie jest Kukułcze Gniazdo i żaden szalony Jack Nicholson nie będzie się tu kręcił w poszukiwaniu środka transportu ani dziś, ani któregośkolwiek innego dnia. Tutaj nie było nadziei. Wjeżdżało się na wózku inwalidzkim, a wydostawało na zewnątrz w drewnianej skrzyni.

Jimmy udał się do środka, wpisał do książki odwiedzających, podając pielęgniarce godzinę, po czym przestawił się na autopilota i ruszył do pokoju babci przez znajomy labirynt ascetycznych korytarzy i lśniących, wypolerowanych schodów.

Rak, pomyślał po drodze Jimmy, zawsze rak. Rządził tą rodziną, rządził tym miastem. Czasami zastanawiał się, czy nie jest przypadkiem coś nie tak z miejscową wodą, może kiedyś doszło do skażenia z powodu awarii w położonej niedaleko stacji elektrowni jądrowej. Mama odeszła w 1986 roku, nie pozostawiając mu nawet

wspomnień, jedynie kilka starych fotografii i list, który napisała do niego w tygodniu, w którym zmarła, mówiący o tym, że zawsze będzie go kochać i zawsze będzie się nim opiekować. Jak anioł, tak właśnie napisała.

Następnie oczywiście babcia. Jimmy był przy niej, kiedy doktor Kennedy wyjaśniał jej, że ma białaczkę. Wtedy jeszcze była w swoim mieszkaniu, na znanym terenie, ale to nowe coś, ta choroba, która zaatakowała jej krew, wprawiła ją w konsternację. Nie potrafiła nawet dobrze wymówić jej nazwy, a co dopiero zrozumieć.

Jimmy nie trudził się pukaniem do drzwi, tylko od razu wszedł do środka. Jego babcia - pogrążona w jakimś złym śnie - oddychała ciężko, co brzmiało tak, jakby biegła, walcząc o życie. Tak ją właśnie zapamiętał: w ciągłym ruchu, nigdy nie oddającą się lenistwu. Nie przypominał sobie, by, zanim zachorowała, choć jednego ranka spała dłużej niż do siódmej i choć jeden wieczór spędziła, wegetując przed ekranem telewizora.

Nie uczesane pasma jej siwych włosów wyglądały dokładnie tak samo jak podczas jego ostatnich odwiedzin, jakby przez cały ten czas babcia nie poruszyła się ani o centymetr. Jedynie kwiaty na stoliku przy łóżku były inne: chryzantemy, plamy żółci i purpury na tle zupełnie białego pokoju. Rachel kupiła je wczoraj na stacji benzynowej, ale i tak nie udało się im stłumić woni chemikaliów.

Jimmy pocałował babcię w policzek, po czym usiadł na stojącym obok łóżka krześle i ujął jej dłoń. Drgnęła przez sen i na krótką chwilę otworzyła załzawione oczy, popatrzyła w sufit, a następnie wróciła do swoich snów. Jej oddech nieco się uspokoił i Jimmy miał nadzieję, że go zobaczyła i że ten obraz przedostał się do jej mglistej świadomości, przynosząc ukojenie.

Skóra twarzy babci była teraz mocno naciągnięta na kości policzkowe, a zdrowy rumieniec zniknął z jej niegdyś okrągłej twarzy. Zapadnięte oczy nie obserwowały już bystro wszystkiego dokoła. Ale nawet te zmiany nie były w stanie ukryć widocznej w jej rysach życzliwości wobec świata.

Jimmy bez trudu - patrząc na jej dzisiejszy stan - przypominał sobie, jaka była kiedyś. W jego myślach pojawiło się późne, letnie popołudnie, kiedy to sam miał osiem lat, a jego babcia właśnie skończyła siedemdziesiąt. Spędzili je, spacerując wspólnie po Północnej Plaży i szukając ładnych muszelek, by powkładać je do

przezroczystych szklanych słoików, które babcia trzymała na półce w łazience. Potem zrzucili buty i zanurzyli stopy w płytkiej wodzie, by móc puszczać kaczki.

Jej ubrania zawsze były czyste i schludne. Wtedy miała na sobie niebieską koszulę z krótkim rękawem i liliowe spodnie z zaprasowanymi kantami. Jej włosy przetykały jeszcze czarne pasma, które mieszały się z siwymi. Nosiła je obcięte na pazia. Stali jedno przy drugim i rzucali kamień za kamieniem, ona z podwiniętymi nogawkami spodni, on w krótkich spodenkach, a ich sandały i trampki ustawione były równo za nimi.

- Miłe uczucie, no nie? - zauważyła starsza pani, spoglądając na połyskującą wodę, kiedy fala załazała ich stopy i powróciła do morza, porywając spod ich palców piasek. - Czujesz się tak, jakbyś naprawdę był częścią tej planety.

Jimmy rozstawił szerzej stopy i przykucnął, po czym rzucił na płaską powierzchnię wody okrągły kamyk.

- Siedem - oznajmiła jego babcia, policzywszy kaczki. - Nieźle.

Sama także przykucnęła i rzuciła kamyk. Tym razem Jimmy zajął się arytmetyką.

- Pięć - stwierdził. To był pierwszy rzut, którym przegrała z wnukiem.

- Albo się starzeję - odpowiedziała - albo ty robisz się coraz lepszy...

- Pewnie i to, i to, babciu - oświadczył.

Coś w jego odpowiedzi bardzo ją rozbawiło. Odwróciła się do Jimmy'ego i uśmiechnęła.

- Możliwe, że masz rację.

Przyglądał się, jak spojrzenie jej żywych, szarych oczu wędruje szybko po jego twarzy, uważnie lustrując każdy milimetr jego skóry.

- Nie rób tak, babciu - poprosił.

- Czego mam nie robić? Wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

- Tego. Nie patrz... wiesz? Starsza pani zaśmiała się.

- A dlaczegoż to nie? - zapytała. - Piękny z ciebie chłopiec i jesteś jeszcze zbyt młody, by cię to kępowało.

- A co to znaczy? Zmrużyła oczy w zamyśleniu.

- To znaczy martwienie się tym, że przypatrują ci się stare kobiety.

W odpowiedzi Jimmy przyjrzał się jej równie uważnie.

- Ty nie jesteś stara, babciu - stwierdził wtedy. - To znaczy jesteś, ale nie jesteś, rozumiesz, o co mi chodzi?

Roześmiała się i w powietrzu rozległ się lekki, nonszalancki dźwięk, który szybko rozwiała morską bryza.

- Niezupełnie jestem pewna, czy rozumiem - odpowiedziała.

- No cóż... - Chłopiec szukał w głowie właściwych słów, by jej to wyjaśnić. - Wyglądasz starzej niż mamy moich kolegów, ale tak się nie zachowujesz. To znaczy nie zobaczyłabyś ich tutaj, jak puszczają kaczki, ponieważ wszystkie są na to zbyt nudne.

- Może nie lubią tego robić - zasugerowała babcia i dokładnie w tym samym momencie puściła kolejną kaczkę.

- Dziewięć - policzył Jimmy.

- A może nie są w tym po prostu tak dobre jak ja - dodała. Zerknął na nią i dojrzał, że znowu się uśmiecha.

- Dlaczego czasami tak na mnie patrzysz, babciu? - zapytał.

Szybko zrobiła do niego minę.

- Tak?

Popchnął ją żartobliwie.

- Nie, tak jak przed chwilą. Tak jakbyś sprawdzała, czy jeszcze tutaj jestem...

Skinęła głową, jakby do samej siebie.

- Ponieważ, Jimmy, zmieniasz się szybciej, niż mogłoby ci to przyjść do głowy. A ja czasami się martwię, że jeśli nie będę ci się przyglądać wystarczająco uważnie, wtedy pewnego dnia odwrócę się, a ty będziesz już dorosły i nie będę pamiętać, jak to się stało ani jaki byłeś kiedyś.

- Będziesz pamiętać, babciu. Tak samo jak pamiętasz różne historie.

Jego babcia miała fenomenalną wprost pamięć. Znała na pamięć około pięćdziesięciu bajek do poduszki. Ona i jej przyjaciel Arnie zawsze wygrywali w pubie Herb Lewisa quiz z wiedzy ogólnej i jedyne, co Arnie musiał robić, to kupować kolejki, podczas gdy babcia Jimmy'ego udzielała odpowiedzi.

- Wiem - rzekła. - Ale robię to tak na wszelki wypadek. Przez kilka sekund rozważał jej słowa.

- W takim razie może być - oświadczył.

- Co może być? - zapytała.

- Możesz na mnie patrzeć. Jeśli tylko chcesz. Nie będzie mi to przeszkadzać.

Skłoniła się przed nim.

- Dziękuję ci bardzo.

- Wiesz, te wszystkie inne mamy, o których mówiłem... - rzekł wtedy Jimmy.

- Tak?

- Żadna z nich nie jest w niczym tak dobra jak ty, także w puszczaniu kaczek.

Babcia objęła go wówczas ramieniem i mocno przytuliła.

- Chodź - powiedziała, odwracając się razem z nim i patrząc na plażę, gdzie pozostała zaledwie garstka wczasowiczów. - Wracajmy do domu, ponieważ nie sędzę, by dzisiejszy dzień mógł się okazać jeszcze lepszy.

Jimmy obserwował teraz, jak jego babcia śpi, tutaj, w hospicjum, i miał nadzieję, że to wszystko pamięta. Wszystko by oddał, byle tylko poczuła się znowu dobrze.

Zaczął opowiadać jej o swoim dniu, o tym, że dostał piątkę za wypracowanie na temat Makbeta, ale tylko trójczynę z nie zapowiedzianego sprawdzianu z historii. Opowiedział jej o tym, jak zeszłego wieczoru Rachel popiła sobie i płakała, ponieważ tak bardzo tęskniła za tatą Jimmy'ego. Jednak nie o tym tak naprawdę chciał opowiedzieć swojej babci.

- Jest pewna dziewczyna - przyznał wreszcie, obserwując, jak ciemność gromadzi się za oknem niczym jakaś zasłona. - Jest odlotowa - zaczął. - Piękna - poprawił się szybko. - Jej włosy...

Ale kolor włosów i wzrost, i wszystkie inne cechy wyglądu Verity Driver... Opis żadnej z nich nie oddawał tego, co Jimmy w rzeczywistości do niej czuł. Ponieważ Verity kojarzyła mu się ze zmianą. Z marzeniami i nie kończącymi się możliwościami. Z niczym nieograniczoną przyszłością, tak rozległą i nieprzewidywalną jak morze. Była wszystkim tym, czym jego terażniejsze życie nie było.

Zamiast tego zaczął opowiadać babci o swojej przedwczorajszej nieudanej próbie umówienia się z Verity w drodze do szkoły.

- Zrobiłem z siebie cholernego dupka - wyznał nie dlatego, iż wiedział, że tak naprawdę go nie słyszy, ale ponieważ jego babcia w swoim czasie nie miała w zwyczaju powstrzymywać się od przekleństw.

Babci spodobalaby się Verity. Spodobalby jej się sposób, w jaki dziewczyna czasami budziła się w klasie z oszołomieniem ze snów na jawie i rozglądała, jakby nie mogła do końca zdecydować, czy klasa jest rzeczywista, czy też może ocknęła się na jakiejś obcej planecie.

- Tak samo jak ty tutaj, babciu - rzekł. - Za twoimi zamkniętymi oczami kryje się świat i nie możesz się doczekać, by go zbadać.

Babci spodobalby się także głos Verity, sposób, w jaki ludzie słuchają jej za każdym razem, kiedy śpiewa w klasie albo na szkolnych uroczystościach - wszyscy zawsze wtedy milkną.

- Jej głos jest taki słodki, babciu - wyznał. - Mógłbym go słuchać przez cały dzień i nawet wtedy bym się nie znudził. - Jimmy mocniej uściśnął babcią dłoń. - A potem wszystko schrzaniłem - zakończył. - W najważniejszym momencie stchórzyłem.

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Jedyne, co słyszał, to odgłos ciężkiego oddechu jego babci.

W Jimmym aż gotowało się z wściekłości, gdy szedł po rower. Co jest nie tak z tym światem, miał ochotę zawołać. Tak wiele gówna przytrafiało się niewłaściwym ludziom. A teraz także i jego babci. Jakby nie wystarczyło, że powoli traciła rozum w ciągu dwóch lat poprzedzających jej znalezienie się w hospicjum. Jakby nie wystarczyło, że zapominała, kim jest, i była skazana na zanurzanie się w przeszłości, tracąc całe dni na dziwne urojenia i iluzje charakterystyczne dla demencji.

- Niech cię Bóg błogosławi, babciu. - Te słowa wypowiedział, całując ją na odchodnym.

- Jaki Bóg? - Jimmy wyobraził sobie teraz, że słyszy odbijający się echem na wietrze głos Ryana, kiedy już wyszedł na zewnątrz i dostrzegł zachodzące słońce, które przemieniało miejscowe domy w ciemne bryły. - Bóg, który odebrał ci mamę? Bóg, który ukradł ducha twej babci, a teraz żąda także jej ciała? Nie bądź głupi, Jimmy. Nie wierzysz w Boga tak samo jak i ja. Jedyne my, Jimmy. To jedyne, co istnieje. Jedyne, czego nam potrzeba. Tylko ty i ja, chłopie, żyjący tak, jak mamy na to ochotę, i żyjący w ten sposób wiecznie.

Jimmy wsiadł na rower i przejechał przez bramę wjazdową hospicjum, po czym ruszył w kierunku miasteczka.

- Na zawsze!

Te właśnie słowa wykrzykiwał Ryan tej nocy, kiedy cały świat Jimmy'ego rozpadł się na kawałki.



Jak to możliwe, Ryan, że aż tak się myliłeś, pomyślał teraz Jimmy, podczas gdy z jego oka wymknęła się łza i spłynęła wzdłuż policzka, tak jakby przyciągał ją wiatr. Jak to możliwe? Ty, który byłeś rozsądniejszy od wszystkich znanych mi ludzi?

- Na zawsze ! - zawołał wtedy Ryan w niebo. - Będę żył zawsze!  
A trzy godziny później był martwy.

Remanent to było słowo klucz, tyle że nie był to klucz, z którym się siadało i rozszyfrowywało jakiś tekst. Był to raczej zwrot, którego Marianna Andrews, właścicielka wypożyczalni Video - - 2 - Go, używała zawsze jako wymówki, by zamknąć punkt na pół godziny przed rozpoczęciem wieczornego ruchu w te dni, kiedy pracował u niej Jimmy, tak aby mogli zostać sami.

Przesycone wonią pasty do podłogi zaplecze Video - 2 - Go dla bezpieczeństwa oddzielone było od reszty wypożyczalni drzwiami i oświetlała je pojedyncza świetlówka, która warczała jak lodówka i migotała jak świeczka, rzucając cienie na półki z kasetami wideo, konsolami do gier i płytami DVD.

Marianna Andrews była obsesyjnie chudą, drobną, trzydziestoletnią blondynką z czarnym trójkątem gęstych włosów łonowych i blizną na prawym pośladku, której dorobiła się, kiedy ześlizgnęła się ze stolika w jednym z hiszpańskich pubów podczas wyborów Miss Mokrego Podkoszulka w 1985 roku, w tym samym roku, w którym urodził się Jimmy i w którym ona poznała swego przyszłego męża, a potem wyszła za niego za mąż.

Leżąc teraz tutaj, na zwykłym drewnianym stole na środku pomieszczenia, z Marianną siedzącą na nim okrakiem, poruszającą się i stękającą niczym królowa rodeo, Jimmy przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy uprawiali seks. Wydarzyło się to na początku tego roku, kilka tygodni po tym, jak Jimmy zaczął dla niej pracować.

W jednej chwili pomagał jej przenieść kartony z jednego regału w magazynie na drugi, a w następnej został przyłapany na przypatrywaniu się jej nogom, gdy schyliła się przed nim, by podnieść z podłogi upuszczoną okładkę od płyty DVD.

Marianna stała i wpatrywała się w niego, a on spiekł w tym czasie raka. Ale ona nie była na niego zła. Zamiast tego powiedziała mu, że ma piękne oczy, po czym wykonała swój ruch. Nie było w tym ani odrobiny romantyzmu. Padło jedynie proste pytanie i stwierdzenie z jej strony („Czy chcesz się ze mną kochać, Jimmy? Ponieważ ja chcę

się kochać z tobą") oraz wynikający z zaskoczenia brak odpowiedzi z jego.

Reszta to już historia: od tamtej pory Jimmy pracował pod swoją szefową. Dopóki Marianna nie położyła na nim swoich wymanikiurowanych pazurków, był prawiczką, i gdyby nie ona, pewnie byłby nim do tej pory. Ale teraz? No cóż, teraz nie był już taki pewny, czy tego właśnie chce. Oczywiście, że wciąż czerpał fizyczną przyjemność z takiej sytuacji, lecz to było tylko i wyłącznie to: fizyczny aspekt był jedyną obecną tu stroną.

Jimmy odwrócił wzrok od jej rozgorączkowanych, błyszczących oczu, nie będąc w stanie wytrzymać jej spojrzenia, wiedząc, że za dziesięć minut oboje znajdą się z powrotem za ladą. Do tego czasu Marianna skryje swoje czarne, koronkowe, francuskie figi pod roboczymi dżinsami i schowa stwardniałe brodawki pod skromnym swetrem z owczej wełny. I nie pojawi się między nimi nic zmysłowego, choćby ukradkowe spojrzenie.

Marianna nigdy nie odzywała się w trakcie samego stosunku i nigdy do tego nie nawiązywała, kiedy już było po wszystkim, trochę tak, jakby nigdy się to nie wydarzyło, jakby w ogóle nie była niewierna swojemu mężowi, Billowi.

Ale na jakiej pozycji, zastanawiał się Jimmy, stawiało to w takim razie jego? Czy można go było nazwać wykorzystywanym członkiem klasy robotniczej? Czy też jedynie nieszczęsnym beneficjentem seksualnej frustracji dość atrakcyjnej pani Robinson? Przecież musi w tym wszystkim chodzić o coś jeszcze, myślał, podczas gdy Marianna drapała go paznokciami po klatce piersiowej. Związek musi się chyba opierać na czymś więcej, no nie?

I wiedział, oczywiście, że tak jest. Ponieważ w układzie panującym między Jimmym i Marianną nie było ani odrobiny równości, a on był tego świadom. To, co zaczęło się jako spełnienie mokrych snów nastolatka - i czego nawet Ryan, jak sam przyznał, mu zazdrościł - stało się monotonne i stanowiło niewiele więcej niż dodatkową, jakkolwiek przyjemną, pracę.

Nie czuł już niczego do Marianny, nie teraz, kiedy pozwolił sobie na odczuwanie tak wiele wobec Verity Driver. Rozpoznawał, że to, co czuł do Marianny, było pożądaniem i niczym więcej, podczas gdy jego uczucia wobec Verity Driver były nieskończenie bardziej skomplikowane. Wiedział, że gdyby zapytał Verity Driver, czy nie

chciałaby się z nim spotkać, a ona odpowiedziałaby twierdząco, nie byłoby go tutaj. Miałby wtedy coś, co mógłby wykrzyczeć całemu światu, nie zaś skrywać w pozbawionym okien pomieszczeniu.

Jimmy przywołał się do porządku. Całe to myślenie prowadziło donikąd.

Ponieważ faktem było to, że nie poprosił Verity o spotkanie. Dlatego też wiedział, że cała ta obsesja na jej punkcie musi się skończyć. Cokolwiek mogło zaistnieć między nim a Verity, teraz już nigdy się nie wydarzy. Czas najwyższy, by się z tym pogodził i przestał oszukiwać samego siebie, że mogłoby być inaczej.

Tak właśnie zrobił, tu i teraz. Leżąc płasko na plecach, podczas gdy Marianna Andrews ścisnęła mocno swoje piersi i zbliżała się do drżącego orgazmu, Jimmy Jones postanowił, że przestanie myśleć o Verity Driver i ruszy dalej.

Cztery godziny później, blisko końca swojej zmiany, Jimmy włożył kasetę z Władcą Pierścieni do pudełka, które podał Michaelowi Francisowi, brodatemu, ozdobionemu koralikami właścicielowi niezmiennie niemodnego sklepu z ozdobami w stylu New Age na Southcliffe Street.

Opierając się niedbale o ladę - lubił tak robić na wypadek, gdyby przechodził obok albo wpadł do środka któryś z jego kolegów - Jimmy obserwował, jak Michael, kuśtykając, wychodzi z wypożyczalni i ginie w panującym na zewnątrz mroku. Zerknął na Mariannę, która siedziała obok niego na taborecie, plotkując przez telefon ze swoją przyjaciółką Melissą o wspólnym wyjeździe na narty, zaplanowanym na Nowy Rok. Nawet rumieniec na jej policzkach dawno już znikł.

Jimmy'emu zabrzączał telefon. Przyszła wiadomość od Tary: „Piwko czeka, nie spóźnij się”.

Jest już pewnie w Szafirze, a za dwadzieścia minut on znajdzie się tam razem z nią. Piwo w pubie w środowy wieczór było dla nich obojga tradycją, odkąd rok temu Ryan oświadczył, że środa to nowy piątek, argumentując, iż wtedy jest mniejsza szansa na to, że policja przyskrzyni ich, nieletnich, za picie alkoholu, i że łatwiej w ten dzień znaleźć wolne miejsce i pograć sobie w bilard.

Jimmy podniósł stos pustych pudełek po kasetach i właśnie miał zamiar poukładać je z powrotem na stojakach, kiedy usłyszał dzwonek

przy drzwiach. Uniósł głowę i ujrzał tego filmowca - Scotta - któremu na początku tygodnia pomógł koło domków na Quayside Row.

Zrobiło mu się niedobrze. Wpatrywał się we własne dłonie. Nie miał pojęcia, co z nimi zrobić. Czuł się jak złodziej, który właśnie został przyłapany na gorącym uczynku z ręką w kasie. Z trzymanego przez niego stosu opakowań od kaset jedno wysunęło się i upadło na podłogę.

Scott uśmiechnął się do Jimmy'ego, ale ten zignorował to przyjazne powitanie. Zamiast tego wpatrywał się w zamontowany na ścianie szerokoekranowy telewizor, jakby naprawdę obchodziło go, o czym nawija opalony VJ w MTV. Prawda była jednak taka, że Jimmy nie był w stanie skupić się na VJ - u. Jedyne obrazy, jakie pojawiały się w jego głowie, to Scott, i jedyne, o czym teraz marzył, to aby ten mężczyzna natychmiast stąd wyszedł.

Odejdź, powtarzał w duchu Jimmy jak mantrę, żałując, że nie potrafi stać się niewidzialny. Pamiętaj, nakazał sobie. Pamiętaj, jak postanowiłeś to rozegrać.

Ponieważ istotnie ułożył plan na taką ewentualność. Wiedział, że może ponownie wpaść na Scotta i Ellen. Jakże mogłoby się to nie zdarzyć w miasteczku tej wielkości? To było nieuniknione i chłopak postanowił, że ich zignoruje i będzie się starał ich unikać, nie dlatego, że tego chciał, ale gdyż tak będzie bezpieczniej. Jimmy sporo wiedział o Wzgórzu Straconych Duszy, była to jego tajemnica i pragnął, by tym właśnie pozostała. Nie miał ochoty rozmawiać o tym z ludźmi, których zamiarem było grzebanie w przeszłości.

- Cześć, Jimmy - odezwał się Scott, przesuając po ladzie w jego kierunku opakowanie od płyty DVD.

Jimmy uparcie wpatrywał się w ekran.

- No dobra... - ciągnął Scott. - Masz więc może jakiś formularz zgłoszeniowy, który mógłbym wypełnić?

- Jest już zamknięte - odparł Jimmy lekko łamiącym się głosem, źle się czując w tak agresywnym wcieleniu.

Na chwilę zapadła cisza, po czym ponownie odezwał się Scott:

- Na drzwiach jest napisane, że macie otwarte do dziesiątej.

- Nieważne - odpowiedział Jimmy, bez patrzenia otwierając szufladę pod ladą i ciskając na blat kartę zgłoszeniową. - Będą potrzebne trzy dokumenty potwierdzające tożsamość i...

- Wszystko jest jak się należy - rzekł pogodnie Scott, kładąc obok opakowania od płyty kilka dokumentów.

Świadomy bliskiej obecności Marianny, Jimmy raczył wreszcie łaskawie spojrzeć na Scotta i w chwili, gdy to zrobił, poczuł, że jego silna wola słabnie. To wszystko przez ten jego uśmiech: szczery i swobodny. Niemożliwe było nienawidzić faceta, który wygląda tak, jakby nie miał w sobie ani odrobiny złości. Jimmy niechętnie wziął do ręki dokumenty i przejrzał je, podczas gdy Scott zajął się wypełnianiem karty.

Jimmy przyglądał mu się przez moment, po czym zerknął na opakowanie od płyty z filmem, który wybrał sobie Scott. Była to Szarada w reżyserii Stanleya Donena, z Carym Grantem, Audrey Hepburn i Walterem Matthau. Jimmy szczycił się tym, że obejrzał każdy film dostępny w Video - 2 - Go. Scott był pierwszą osobą, odkąd tu pracował, która zdecydowała się na tę ustawioną na regale z klasyką pozycję.

- Podrabiany Hitchcock. - Słowa te wydostały się z ust Jimmy'ego, zanim ten był w stanie je powstrzymać.

- Co takiego?

Jimmy był wściekły na samego siebie. Ostatnie, czego pragnął, to rozmowa ze Scottem, jednak nie mógł teraz zamilknąć, nie, kiedy sam ją zaczął.

- Szarada - mruknął. - To podróbka. Ma w sobie wszystkie charakterystyczne dla Hitchcocka cechy, ale nie została nakręcona przez niego.

Scott podał mu wypełniony formularz.

- A co w tym złego?

Jimmy odwrócił się do komputera i zaczął wprowadzać informacje z karty do danych systemowych.

- Nic. Jeśli tylko się o tym wie. W przeciwnym wypadku, kiedy się o tym dowie, można się czuć okantowanym. Rozumie pan, tak jak wtedy, gdy się człowiek dowiaduje, że piosenka na listach przebojów, za którą się szaleje, jest jedynie zbitką sampli z innych, lepszych kawałków.

Jimmy obserwował w ekranie odbicie Scotta, ważącego z namysłem w dłoni opakowanie od Szarady.

- Sporo wiesz o filmach, co? - zapytał mężczyzna.

- Wystarczająco. To jakoś tak samo przychodzi, kiedy pracuje się w takim miejscu. - Jimmy wyjął kartę członkowską i podał ją Scottowi do podpisania.

Nagle przy boku Jimmy'ego znalazła się Marianna.

- Jest skromny - oznajmiła Australijczykowi. - W przyszłym roku idzie do szkoły filmowej, no nie, Jimmy?

- Mam taką nadzieję - przyznał.

Scott zmarszczył brwi i przez chwilę Jimmy miał wrażenie, że chce on kontynuować ten temat. Jednak „Powodzenia” było jedynym, co powiedział mężczyzna, wsuwając kartę członkowską do portfela z czarnego brezentu.

- A film Donena? - zapytał Jimmy.

- Jakoś mnie do niego zniechęciłeś - odpowiedział Scott, odkładając na bok pudełko. - Może lepiej będzie, jak sam mi zaproponujesz coś bardziej oryginalnego, co mógłbym obejrzeć zamiast tego filmu. I pamiętaj, ma to być coś, czego jeszcze nie widziałem. - Na twarzy Australijczyka ponownie zagościł swobodny uśmiech. - A to się może okazać trudniejsze, niż sądzisz.

Jimmy wahał się przez chwilę, uważając, że może powinien po prostu odmówić Scottowi. Ale teraz było już na to za późno. Zdażył spieszyć plan „Ignorowanie”, a powracanie do niego zostałoby odebrane jako zachowanie co najmniej dziwaczne.

I, prawdę mówiąc, jego lęk przed ponownym spotkaniem ze Scottem słabł z każdą chwilą. Jimmy uznał, że cierpiał na paranoję. Scott nawet słowem nie wspomniał o kręconym przez nich dokumencie. Nie, dopóki rozmawiają jedynie o filmach, Jimmy nie miał powodu, by obawiać się Scotta. A poza tym on i Ellen z pewnością nie są w stanie dowiedzieć się więcej o Wzgórzu Straconych Dusz, niż wiedzą wszyscy wokół.

Masz wszystko pod kontrolą, powtórzył w duchu Jimmy. Nikt nie może zajrzeć do twoich myśli. Nikt cię nie zmusi do mówienia o tym, co widziałeś, ani o tym, co zrobiłeś.

I taka była prawda. Taka była prawda. Wszystko było nadal w porządku. I wszystko miało takie pozostać.

Poczuł, jak ciężar powoli spada mu z ramion.

- Wkrótce się o tym przekonamy - rzucił, bezpieczny w swej świadomości, że bez względu na to, co Scott sobie myśli, było to wyzwanie, co do którego Jimmy miał pewność, że wygra.

\*

Pół godziny później chłopak siedział sobie przy przytulnym barze w pubie Szafir. Był w dobrym humorze. Wywiązał się z danej Scottowi obietnicy i wyszperał kopię Election, według jego opinii niedoceniony współczesny klasyk, bijący na głowę przereklamowany American Beauty (obydwa te filmy zostały wypuszczone w tym samym roku). Poza tym dostał właśnie wypłatę i miał pieniądze, z których część mógł wydać, a resztę wpłaci jutro na konto. Pół skręta później (dzięki hojności Tary w jednej z kabin w pełnej przeciągów damskiej toalecie pięć minut temu) i z kuflem stelli w dłoni czuł się bardziej zrelaksowany niż podczas całego dotychczasowego tygodnia.

Bar był niewielki, jak też i cała reszta w Szafirze oraz innych starych, przysadzistych budynkach tutaj, w samym centrum starego miasta. Pod niskim, wygiętym jakby pod naporem wody sufitem podwieszono pocerniałe dębowe belki, do których poprzyczepiano polaroidowe zdjęcia z ostatniej imprezy sylwestrowej. Wychodzące na White Lion Street okna były tłuste od zagęszczonego dymu papierosowego, a czerwone linoleum na podłodze pomarszczone i popękane.

Razem z Jimmym siedział Mark, Charlie, Toni i Danny. Wszyscy oni mieli po siedemnaście lat i zaabsorbowani byli jakimiś poufnymi plotkami, których początek ominął Jimmy'ego i którymi Tara zdawała się nie interesować. Zostawiwszy deskorolki oparte o ścianę, Ru i Tim okupowali stół bilardowy - obaj mieli fryzury na jeża i byli świetnymi strzelcami. Wszyscy się znali od czasów podstawówki, tak samo jak i" Tara, która siedziała po lewej stronie Jimmy'ego, zaciągając się papierosem i uśmiechając szeroko do niego w odpowiedzi na to, co właśnie jej wyznał.

Tara była niska i chuda, a pofarbowane w tym tygodniu na czerwono włosy opadały wokół jej twarzy w taki sposób, że nie było widać jej spiczastych uszu ani małego, czarnego, wytatuowanego na szyi węża. Miała na sobie zbyt duży T-shirt So Solid Crew, a jej powieki błyskały srebrem, gdy mrugała, czego teraz nie uczyniła już od kilku dobrych sekund.

- Ale jak - odezwała się wreszcie - coś może się skończyć, zanim się w ogóle zaczęło?

- Ponieważ... - zaczął odpowiadać Jimmy, jednak nie dodał nic więcej, gdyż wiedział już, że Tara ma rację: wszystko, co istniało

między nim i Verity, było tylko i wyłącznie wytworem jego wyobraźni.

- Nie pojmuję, co ty w ogóle w niej widzisz - stwierdziła Tara. - W zeszłym roku chodziłam razem z nią na francuski i ani razu się do mnie nie odezwała. Jest więc albo snobką, albo nie ma kompletnie nic do powiedzenia. Pewnie jedno i drugie.

Oczy Jimmy'ego błysnęły. Żałował już, że powiedział Tarze o tym, co się stało w poniedziałek rano, i winę za swoją nadmierną gadatliwość zrzucił na skręta.

- Nieźle potrafisz ocenić kogoś, kogo w ogóle nie znasz. Jednak Tara jeszcze nie skończyła.

- A poza tym - kontynuowała - skoro postanowiłeś sobie, by o niej nie myśleć, po co w takim razie teraz o niej trujesz?

Jimmy milczał. Za osłabienie swego postanowienia także winił skręta.

- OK, OK - odpowiedziała za niego. - Jesteś facetem i myślisz tym, co masz w spodniach, a Verity Driver jest zgrabna, to pewne. Ale piękno, pamiętaj, jest kwestią tylko powierzchowną.

- Oszczędź mi tych banałów, dobra! - burknął Jimmy.

- Musisz być praktyczny i tyle - ciągnęła Tara. - Spójrzeć na to wszystko z szerszej perspektywy. Nie myśl jedynie o niej, myśl o sobie. Jesteś zmyślny i wystarczająco ładniutki, jak sądzę. Znajdziesz sobie inną dziewczynę. A za rok już cię tu nie będzie. Wyjedziesz do szkoły filmowej i będziesz sobie w wielkim, szerokim świecie wyrabiał nazwisko. Zaufaj mi, zupełnie o niej zapomnisz.

Jimmy zgasił papierosa.

- Porozmawiajmy o czymś innym - rzucił.

- Daj spokój, Jim. - Tara objęła go ramieniem za szyję i przyciągnęła do siebie. - Nie bądź taki. Staram się jedynie pomóc.

- No cóż, jakoś ci to nie wychodzi.

- No dobra - postanowiła, puszczając go. - Jest tylko jeden sposób, by to załatwić.

- Słucham.

- Zadaj jej to pytanie. Nie wygłupiaj się z dawaniem płyt i podobnymi bzdetami. Po prostu podejdź i powiedz, o co ci chodzi: „Czy. Umówisz. Się. Ze. Mną?”

- To takie proste, co?

- W ten sposób przynajmniej możesz się dowiedzieć.



- A co potem?

- Powie ci, żebyś się od niej odchrzanił, i twoje życie zacznie się toczyć dalej.

- Dzięki.

- Albo - dodała Tara, wstając i przeciskając się koło niego, a materiał jej luźnej, czarnej sukienki przesunął się po jego udach - odpowie twierdząco. - Stojąc teraz obok niego, Tara popatrzyła na przyjaciela z góry. - A ty się wreszcie przekonasz, jaka w rzeczywistości jest nudna, i rzucisz ją, a twoje życie znowu zacznie się toczyć dalej. - Jej oczy zamigotały. - W obydwu przypadkach, Jimmy, odzyskamy prawdziwego ciebie.

- Dlatego właśnie tak bardzo cię szanuję, Taro! - zawołał za nią, kiedy ruszyła w kierunku toalety. - Jesteś urodzoną optymistką.

Jimmy pociągnął łyk piwa. Miała oczywiście rację, jeżeli chodzi o zaproszenie dokądś Verity. I powinien to zrobić naprawdę, a nie powtarzać tę nieudolną, poniedziałkową próbę.

Czy. Umówisz. Się. Ze. Mną?

Jak bardzo trudne może się to okazać? Na myśl o tym krew w jego żyłach zaczęła szybciej krążyć i bez względu na to, jak bardzo się starał, by wyglądać swobodnie i normalnie, gdy tak siedział i czekał na powrót Tary, wyobrażał sobie twarz Verity w ciągu tych kilku sekund po zadaniu przez niego pytania i chociaż raz jedyne, co widział, to jej wargi układające się w słowo „tak”.

Tyle że wtedy, z kuflem piwa w połowie drogi do ust, zamarł. Ponieważ oto przy stoliku po prawej stronie, przy którym - jak wcześniej dostrzegł - siedział Denny Shapland, właśnie usłyszał wypowiedziane imię Verity.

Powoli uniósł kufel do ust i napił się. Zerknął na Denny'ego i towarzyszącego mu przysadzistego mężczyznę w garniturze. Jimmy nawet nie poczuł smaku przetykanego piwa, ponieważ całkowicie pochłonęło go słuchanie.

- Która to w takim razie? - facet w garniturze zapytał Denny'ego.

- Jedna z tych pańienek z Reflektora?

Reflektor to nazwa jednego z dwóch miejscowych barów otwartych do późnej nocy. Był on czymś w rodzaju meliny dla nieletnich, często odwiedzanym przez dorosłe wyglądających nastolatków i stanowiącym źródło większości krążących po Shoresby plotek i skandali.

- Nie, nie znasz jej - odparł Denny z pewnością w głosie.

- Kluby to nie jej działka. Jest raczej spokojna. Nieśmiała, wiesz? Jednak gorąca - dodał w drażniący Jimmy'ego sposób.

- Długie włosy, długie nogi. Gdyby istotnie zjawiała się kiedyś w Reflektorze, z pewnością niejednemu zawróciłaby w głowie.

- Jak ją poznałeś? - zapytał jego towarzysz, zapalając papierosa.

- Pewnego dnia weszła po prostu do mnie do sklepu i powiedziała „Cześć”.

- Chryste, ale z ciebie szczęściarz.

- To pewnie mój wygląd i naturalny czar, chłopie - rzekł Denny z szerokim uśmiechem. - Jednak mówiąc poważnie - kontynuował - przez cały rok przyglądałem się jej za każdym razem, kiedy ją widziałem, mając nadzieję, że w końcu połknie haczyk.

Proszę, pomyślał Jimmy. Proszę, obym się przesłyszał i oby to nie było jej imię. Nie lubił Denny'ego Shaplana. Nie lubił go z powodu jego pieniędzy i sposobu, w jaki się z nimi obnosił. Nie lubił go także dlatego, że dziewczynom w wieku Jimmy'ego zawsze bardziej podobali się faceci w stylu Denny'ego niż chłopcy tacy jak Jimmy.

Jednak się nie przesłyszał. Doskonale usłyszał jej imię.

- No więc tak - zakończył Denny, przeciągając się z lubością. - W sobotę wieczorem wreszcie wybywam gdzieś z małą Verity. I wiesz co? Cholernie nie mogę się doczekać. Naprawdę sędzę, że to może wypalić. Serio.

Jimmy usłyszał już wystarczająco. Odstawił piwo, nałożył kurtkę i wstał.

- Wygląda na to, że Elvis opuszcza ten przybytek - odezwał się Denny, podnosząc wzrok i z wyraźnym wstrętem lustrując kurtkę Jimmy'ego.

- Bojówki mam jednak fajne, no nie? - odparł Jimmy, dając szarym komórkom Denny'ego kilka sekund na przetrwanie, z czyjego sklepu mogły zostać podwędzone.

W drodze do wyjścia Jimmy zatrzymał się jedynie na chwilę, po to tylko, by zerwać przypiętą do drzwi kartkę. Koncert dobroczynny, głosił napis na górze jaskrawozielonego, wydrukowanego na zwykłej drukarce arkusika. Ale nie dlatego Jimmy zgniótł kartkę w dłoni i wepchnął ją głęboko do kieszeni, po czym zanurzył się w noc. Jego spojrzenie przyciągnęło to, co zostało napisane małym drukiem pod spodem.

Widniało tam imię Ryana i data jego śmierci.

- Dupki! - zawołał Jimmy.

Stojąc na szczycie urwiska, niecałe sto metrów na południe od Wzgórza Straconych Dusz, skąd widać było połyskujące światła miasteczka, Jimmy spojrzął na pogniecioną kartkę papieru, którą trzymał w lewej dłoni. W prawej ścisnął sznurki fosforyzującego, zielonego latawca, błakającego się dziesięć metrów nad nimi, podrygującego w oparach ciepła, które unosiły się nad pachnącą stęchlizną ziemią.

Jimmy spojrzął w górę: niebo mieniło się od gwiazd jak wygaszacz ekranu na monitorze komputera w Video - 2 - Go. Odwrócił się. Dobre piętnaście metrów dalej wyłaniał się zarys Wraku, kaplicy należącej do właścicieli Appleforth House, która od kilku lat była schronieniem dla niego i Ryana.

Zbudowana z potężnych kamiennych płyt, opleciona płożącymi się roślinami, kaplica ta znajdowała się na obrzeżu posiadłości Appleforth. Kamieniarz, który ją wybudował, nad drzwiami pozostawił po sobie ślad - wyrytą datę powstania budowli: 1804. Poza tym Jimmy niewiele o niej wiedział. Ale jedno było pewne: nikogo innego ona nie obchodziła - nawet robotników, którzy w zeszłym roku zabrali się za odbudowę głównej rezydencji. Zanim Jimmy, Ryan i Tara nie sforsowali w 1999 roku drzwi i nie zamienili starej, zardzewiałej kłódki na swoją własną, od lat nikt tu nie postawił stopy.

Zimą w kaplicy panowało lodowate zimno i było ciemno niczym w szybie kopalnianym. Wnętrze nie miało wystarczającej wentylacji, by ryzykować rozpalenie ognia. Wcześniej pozatykali pięciocentymetrowe szpary okienne starymi szmatami, by odgrodzić się od wiatru. Na początku spędzali tu wieczory w towarzystwie latarek i lamp sztormowych, a później Ryan sklecił prowizoryczny system oświetleniowy przy użyciu starej baterii od łodzi. Ale i tak warto było mieć kawałek prywatnej przestrzeni i zwłaszcza w lecie dla Jimmy'ego stanowił on najlepsze miejsce pod słońcem.

Rzeczy, które większość dzieciaków przechowywała w swoich pokojach, Ryan, Jimmy i Tara trzymali tutaj: muzykę, alkohol, trawkę, książki i gazety. Cała trójka, czasami w towarzystwie jeszcze innych osób, prawie codziennie przychodziła tutaj po szkole, gdy byli jeszcze za młodzi na to, by pić piwo w Szafirze.

Jimmy był w środku zaledwie kilka minut temu, nie zawracając sobie głowy oświetlaniem drogi, przemieszczając się po znajomym terenie na pamięć i po omacku. Znalazł latawiec, po czym ponownie wyszedł na zewnątrz.

Nie należał do osób, które potrafią bez problemu płakać, ale to właśnie czynił w tej chwili. Nic nie był w stanie poradzić na łzy spływające po twarzy, tak samo jak nie mógł przestać szlochać, gdy myślał o swoim najlepszym przyjacielu, umierającym tam na dole na skałkach wystających ponad powierzchnię morza.

Minęło już prawie dwanaście miesięcy od śmierci Ryana, ale Jimmy miał wrażenie - sprawiła to kartka papieru z ogłoszeniem - jakby to stało się tego wieczoru.

- Dupki! - zawołał ponownie.

Koncert dobroczynny upamiętniający odejście Ryana. Odejście? O co im wszystkim, kurwa, chodzi? Ryan nie odszedł. On umarł, zmiażdżony w kupie pognieczonego metalu i w trujących oparach paliwa wydostającego się z baku skradzionego kabrioletu.

A więc o co chodzi? Koncert mający zjednoczyć miejscową społeczność? Charytatywne występy, których celem jest zdobycie funduszy na nowy, rozbudowany Klub Młodzieży? Stworzenie miejsca, gdzie młodzi mieszkańcy Shoresby mogliby się spotykać i znajdować przyjaźń i wsparcie, kiedy będą tego potrzebować? Klub, w którym energię młodych ludzi będzie się kierować na pozytywne i twórcze tory?

Wszystko to brednie i tyle. Nie ma to absolutnie nic wspólnego z Ryanem.

Jimmy zadrżał. Czuł obecność przyjaciela, unoszącą się na wietrze jak latawiec, który zawsze puszczałi wspólnie, gdy byli zbyt nawaleni, by rozmawiać. Co on by sobie pomyślał o tym wszystkim?

To nie ma znaczenia. Jego już tutaj nie ma.

Jimmy splunął. Pragnął znieawidzić to miasto. Pragnął znieawidzić jego mieszkańców, ignoranckich „dobroczyńców”, którzy organizowali koncert. Całe to gówno i tak nie przywróci do życia Ryana. Pragnął znieawidzić tę głupią legendę o Wzgórzu Straconych Dusz i cały narosły wokół niej turystyczny biznes. Pragnął znieawidzić także i Verity Driver za to, że jest na tyle płytka, by umówić się na randkę z tym kutasem Dennym Shaplandem.

Pragnął znienawidzić ich wszystkich, ale nie potrafił. Nawet teraz, kiedy się na nich wściekał, pewna część jego nie zgadzała się, by ta wściekłość wzięła górę, ponieważ w takim samym stopniu, jak część Ryana tutaj pozostawała, także i jakaś część Jimmy'ego na zawsze będzie należeć do tego miasta. I nic nie mógł w związku z tym zrobić.

Życie było tak kurewsko cenne. Było to coś, o czym Jimmy dobrze wiedział. I dlatego śmierć Ryana tak bardzo go wciąż bolała.

- Brakuje mi cię, chłopie - powiedział na głos. - Tak bardzo mi ciebie brakuje.

Jimmy przyciągnął do siebie latawiec i położył go na ziemi. Następnie wstał, podarł ulotkę informacyjną o koncercie na tuzin małych kawałków i zgniótł je w dłoni. Podszedł do miejsca, w którym kończyło się urwisko, i powoli rozprostował palce. Wiatr otulił dwanaście małych skrawków papieru, początkowo przesuwając je po rozłożonej dłoni, po czym porwał je w kierunku morza niczym stado maleńkich ptaków.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stado gołębi pofrunęło w górę ze zmatowiałego pomnika Alexandra Walpole'a, gdy Ellen pospiesznie wtargnęła na plac, na którym właściciele straganów zaczęli zwijać czwartkowy, rolniczy targ. Zerknęła na zegarek i skierowała się ku Pralni i Poprawkom Krawieckim, mieszczącym się w jednym z niewielkich budynków otaczających zadaszone targowisko.

- Obawiam się, że nic się nie da zrobić - rzekła młoda kobieta kilka minut później, gdy ostrożnie położyła należący do Ellen płaszcz od Donny Karan na ladzie z plastikowego laminatu. - Wszystkie mu się przyjrzałyśmy. Mogłyśmy go odesłać, ale... - Popatrzyła przepraszająco na Ellen, po czym ujęła między palce oderwany brzeg płaszcza i zacmokała z żalem. - Jaka szkoda - odezwała się, prawie do siebie.

- Czy w takim razie mogłaby pani dać mi pisemne oświadczenie, że nie da się tego naprawić? - zapytała Ellen, zbyt późno uświadamiając sobie, że zabrzmiało to tak, jakby była porządnie zirytowana.

- No cóż... Ja... - zaczęła z wahaniem kobieta, a jej dłoń pomknęła ku kołnierzykowi białego kombinezonu.

- Naprawdę pomogłaby mi pani, gdyby coś takiego napisała - rzekła Ellen, powtarzając sobie w duchu, że nie znajduje się teraz w pralni chemicznej na Oxford Circus i że w tym miejscu potrzebne jest delikatniejsze podejście. - Widzi pani, to prezent urodzinowy od mojego partnera - kontynuowała. Nic przecież nie szkodziło odwołać się do współczucia tej kobiety. Spróbuje uzyskać odszkodowanie za płaszcz, mimo że była już w tym koszmarnie drogim sklepie o nazwie Wave Cave i kupiła sobie kurtkę Berghausa na każdą pogodę, która była znacznie praktyczniej sza. - Mogę pani powiedzieć, co napisać, jeśli pani chce - dodała łagodnie. - Chodzi o to, że coś oficjalnego może mi pomóc w uzyskaniu odszkodowania... - Od niego, pomyślała, czując ostre ukłucie gniewu. Tego aroganckiego, straszego... W ułamku sekundy Ellen ponownie znalazła się w posiadłości Appleforth w poniedziałkowe popołudnie.

Pomimo koszmarnego poranka była nawet podekscytowana, kiedy jechała, by się tam po raz pierwszy rozejrzeć. Nałożyła na usta odrobinę pomadki na szczęście, zaparkowała land - rovera obok

innych samochodów i ciężarówek i wysiadła, wpatrując się w znajdującą się przed nią, robiącą wrażenie georgiańska posiadłość.

Dojrawszy znaki wskazujące drogę do biura budowy, obesła jedno ze skrzydeł budynku, lawirując między taczkami, betoniarkami i drabinami. Przeszła ostrożnie po kilku deskach do prowizorycznych drzwi z płyty pilśniowej i głośno w nie zapukała. Czekając na odpowiedź, zrobiła krok w tył i odwróciła się. Popatrzyła na niesamowity widok ponad linią wybrzeża i wciągnęła głęboko powietrze, gdy dojrzała w oddali stado białych koni, pędzących wzdłuż bezkresnego morza w kierunku miasteczka.

Chwilę później drzwi otworzyły się i Ellen ponownie się odwróciła, z szerokim uśmiechem. Nad nią na schodku stał mężczyzna w żółtym kasku budowlanym, trzymający w dłoni kubek z parującą herbatą. Śmiał się, jakby z jakiegoś żartu, głowę mając odwróconą do znajdujących się we wnętrzu mężczyzn, i ujrawszy przez ułamek sekundy jego profil, Ellen pomyślała, że Beth, jej najstarsza przyjaciółka, powiedziałyby: „Robotnik! Wow!” No i oczywiście zagwizdałyby w uznaniu dla jego surowej, męskiej urody.

Jednak po chwili, gdy mężczyzna zwrócił się w jej stronę, Ellen uświadomiła sobie, że popełniła wielki błąd. Ten mężczyzna nie był ani trochę atrakcyjny. To był mężczyzna od szalonego psa.

- To ty! - wykrzyknęli zgodnie, a z ich twarzy jednocześnie zniknęły uśmiechy.

Ellen wpatrywała się w stojącego przed nią mężczyznę, nie mogąc uwierzyć, że może mieć aż takiego pecha.

- Co pani, do diabła, tutaj robi? - zapytał, lustrując ją wzrokiem od góry do dołu.

Ellen przycisnęła teczkę do piersi.

- Szukam brygadzysty, kogoś, kto tym wszystkim dowodzi - odparła. - Co nie znaczy, że to pański interes. - Spojrzała na niego z lekceważeniem, po czym usiłowała zerknąć do środka znajdującego się za nim pomieszczenia.

- Tak się akurat składa, że jest pani w błędzie - rzekł mężczyzna od psa, zasłaniając jej widok. - Nazywam się Ned Spencer i to ja tutaj dowodzę.

Ku swemu przerażeniu Ellen poczuła, że płoną jej policzki, a cała jej brawura gwałtownie spadła niczym kamień na samo dno jej jamy brzusznej. Wiedziała z notatek Amandy, że Ned Spencer jest jedyną

osobą, której potrzebuje, by znaleźć się we właściwym miejscu i nakręcić ich dokument.

- Och, już rozumiem - ciągnął, zanim miała szansę, by cokolwiek powiedzieć. - Pewnie przyszła pani tutaj, by się poskarżyć w związku z tym płaszczem. Nie ma pani nic lepszego do roboty od nachodzenia mnie?

Ellen zmrużyła oczy na tę arogancką drwinę, nakazując sobie, by się nie zniżyć do jego poziomu.

- Mój płaszcz to osobna kwestia. Na razie znalazłam się tutaj, ponieważ zamierzam nakręcić program dokumentalny o Wzgórzu Straconych Dusz. Planujemy zabrać się za to od razu, więc jeśli pozwoli mi pan rozejrzeć się wokół i ustalić, gdzie moglibyśmy zacząć...

Ned Spencer parsknął śmiechem, po czym wsunął wyżej na nos swoje staromodne okulary. W jego twarzy było coś chłopięcego i wyglądał jak przerośnięty Harry Potter.

- Eee... O ile w ogóle do tego dojdzie - powiedział, po czym napił się herbaty. W jego oczach tańczyło rozbawienie, gdy przyglądał jej się znad krawędzi kubka.

- Ale moja koleżanka z pracy, Amanda Pearson, z pewnością rozmawiała z panem kilka miesięcy temu?

- Nie.

- No cóż, mamy pozwolenie od amerykańskiego właściciela, który wie wszystko o naszym projekcie, jeśli chce pan sprawdzić... - rzuciła nieco desperacko Ellen, wertując korespondencję w teczce. - Proszę - rzekła z triumfem w głosie, wyciągając napisany przez Amandę list. - Jest adresowany do Jonathana Arthura, Salem, Massachusetts... Pańskiego szefa, jak sądzę?

Ned Spencer wziął od niej list, szybko przebiegł po nim wzrokiem, po czym go oddał.

- Jedyne, co tu widzę, to prośbę o pozwolenie.

- Ale rozmawialiśmy z nim przez telefon. Moja sekretarka...

- Marnuje pani czas - przerwał stanowczo. - Wszystkim tutaj zarządzam ja. Dopóki nie ujrzę właściwej dokumentacji i oficjalnie nie zatwierdzą projektu, niczego nie będzie pani filmować.

- Ale pan nie rozumie... - zaprotestowała Ellen, jednak było oczywiste, że ten mężczyzna rozumie doskonale i w dodatku go to bawi.



- Nie. To pani nie rozumie. Bezprawnie wkroczyła pani na teren prywatny. Proponuję niezwłocznie się stąd teraz oddalić. - I z lekkim uśmiechem pogroził jej palcem z całą szczerością supermarketowego Świętego Mikołaja, zegnającego wyjątkowo upierdliwe dziecko, po czym cofnął się do środka i kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

To się działo cztery dni temu i dzięki Cholernemu Nedowi Spencerowi, jak go teraz nazywała, Ellen nawet jeszcze nie zaczęła kręcić dokumentu o Wzgórzu Straconych Dusz.

Zamiast tego niczego nie zdziałała w poniedziałek, potem zaś musiała spędzić wtorek i środę w Londynie. A tam Joy okazała się wyjątkowo mało pomocna. Jeden z innych programów miał kłopoty i było oczywiste, że Shoresby znajduje się na samym końcu jej listy priorytetów. Ellen już zamierzała sama zacząć tropić Jonathana Arthura, jednak Joy zdążyła się w końcu z nim skontaktować i wygłosiła surowy wykład na temat granic profesjonalizmu oraz wchodzenia komuś w paradę.

Ellen najprawdopodobniej nie czułaby się tak bezradna ani sfrustrowana, gdyby nie musiała spędzić długich godzin w montażowni w Soho, ratując materiał filmowy o murze Hadriana. Do wczoraj zaczęła już chodzić po ścianach i była zdesperowana, by wracać do Shoresby. Nie chciała spędzać tyle czasu na poprawianiu pracy innych osób. Pragnęła tworzyć własny program. Dopiero kiedy zeszłego wieczoru dotarła z powrotem do ich domku, poczuła, że odzyskuje kontrolę.

A teraz, gdy przyglądała się, jak kobieta w pralni skrupulatnie pisze oświadczenie, które ona wkrótce zaprezentuje Cholernemu Nedowi Spencerowi, Ellen miała swoją krótką chwilę triumfu w poza tym raczej smętnym tygodniu.

Z rozmyślań na temat pierwszego aktu dramatu, podczas którego wygarnia Cholernemu Nedowi Spencerowi, co o nim myśli, wyrwał ją powiew zimnego powietrza, kiedy drzwi za Ellen otworzyły się i do środka wszedł młody chłopak. Miał na sobie sportową bluzę z kapturem, a na wierzchu kurtkę, ale Ellen widziała, że policzki i tak zaróżowiły mu się od wiatru.

- Co tam, Toby, skarbie - rzekła do chłopca kobieta z pralni, uśmiechając się doń z wyraźną sympatią. - Co cię do mnie sprowadza?

- Roznoszę dla Clive'a ulotki. Położyłabyś ich kilka w oknie? - zapytał chłopak, sięgając głęboko do kieszeni i wyciągając z niej spory plik małych arkuszy zielonego papieru.

- Pewnie, że tak - odparła kobieta, biorąc je od niego.

- Dzięki, Beverly. Na razie - rzucił, wychodząc pośpiesznie na zewnątrz.

Beverly obserwowała go, jak wychodzi.

- Koleguje się z moim najmłodszym - wyjaśniła.

Ta kobieta - Beverly - nie wyglądała na tyle dojrzałe, by w ogóle mieć dzieci, nie mówiąc już o „najmłodszym” z co najmniej dziesiątki. Teraz Ellen poczuła wyrzuty sumienia, że traktowała ją protekcjonalnie tylko dlatego, że tak wolno pisała. Na pewno niełatwo jest pracować przez cały dzień i jeszcze opiekować się dziećmi.

Uśmiechnęła się, a Beverly odwróciła ulotkę, tak by i Ellen mogła ją przeczytać.

- Organizują koncert dobroczynny na cześć tego chłopca, Ryana.

- Tak? - zapytała Ellen z wyraźnym zainteresowaniem.

- Był jeszcze nastolatkiem - dodała Beverly, podczas gdy Ellen czytała o przesłuchaniach do planowanego koncertu. - Złamał serca swoim biednym rodzicom.

- Co się stało?

- W zeszłym roku zjechał skradzionym samochodem z urwiska na Wzgórzu Straconych Dusz. Mówią, że był naćpany...

Robiło się już ciemno, kiedy Ellen znalazła się z powrotem na High Street, a jej głowę przepelniały plotki na temat niedawnego samobójstwa. Wyglądało na to, że im więcej się wie na temat Wzgórza Straconych Dusz, tym więcej pozostawało do odkrycia. W notatkach Amandy nie było ani jednej wzmianki na temat miejscowego chłopca, który się tutaj zabił. Wszystkie ofiary samobójstw, o których Amanda się dowiedziała, pochodziły spoza miasta. Jednak wykorzystanie tej historii mogło uczynić dokument bardziej zwartym i jednocześnie przejmującym, pomyślała Ellen. Gdyby zaczęła od samobójstwa tego Ryana, a potem może sfilmowała koncert ku jego pamięci...

Zadzwoił jej telefon i zakłęła. Dlaczego zawsze coś jej przeszkadza? Szukała po omacku w czeluściach torby, mając nadzieję, że to nie Joy odezwie się z drugiej strony. Jednak gdy na ekraniku zobaczyła numer międzynarodowy, wzięła pełen podekscytowania

oddech i odwróciła się w kierunku drzwi, by ochronić się nieco przed wiatrem. To musi być Jason.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytała, nie wiedząc, czy się na niego gniewać, czy też czuć ulgę, że wreszcie się odezwał.

- Mówiłem ci, że mogę mieć trudności z dzwonieniem. Nie denerwuj się, kochanie. Muszę się streszczać.

- Gdzie jesteś? - zapytała Ellen, zasłaniając dłonią drugie ucho, by lepiej słyszeć, jednak echo na linii oznaczało, że wcześniej usłyszała pytanie Jasona.

- Jak ci idzie w Shoreton?

- W Shoresby - poprawiła go.

- Jestem w Bogocie - rzekł Jason, odpowiadając na jej pytanie. - Zaczekaj chwilę...

W tle rozległy się stłumione dźwięki i Ellen skuliła się przy drzwiach, desperacko pragnąc usłyszeć więcej. Przez prawie minutę nic się nie działo i już miała się poddać, kiedy na linii ponownie pojawił się Jason. Jego głos brzmiał czysto i nie słychać już było utrudniającego rozmowę echa.

- Co mówiłaś? - zapytał Jason.

- Nic - odparła z uśmiechem Ellen, szczęśliwa, że ponownie słyszy jego głos. - Opowiedz mi o waszej wyprawie. Jak wam idzie? Zaczęliście już kręcić?

- Można sobie pomarzyć - jęknął Jason. - Tkwiliśmy tu przez cały tydzień, czekając na jakieś dokumenty.

- To pestka! Nie uwierzyłybyś, z jakim facetem muszę się użerać w Appleforth, Jase. Nie zniósłbyś go. Nie jestem w stanie powiedzieć ci, jak wiele czasu zmarnowałam przez niego.

I kiedy Ellen wyładowała z siebie cały gniew i frustrację związaną z Joy, Appleforth House i Cholernym Nedom Spencerem, zaczęła czuć się lepiej.

- Może chcesz, żebym sobie z nim uciął męską pogawędkę? - zaproponował Jason, gdy na linii ponownie coś zatrzeszczało.

Ellen zaśmiała się.

- Chyba jakoś sobie z nim poradzę.

- Cholera! Wygląda na to, że muszę kończyć - rzucił Jason, a Ellen usłyszała w tle zapalający się silnik samochodu.

- Nie! - zawołała, przerażona, że zmarnowała tę cenną rozmowę na rozprawianie o tym cholernym psiarzu. - Nie odchódź. Nic mi nie opowiedziałeś...

- Zadzwoń znowu, kiedy tylko będę mógł. Kocham cię - powiedział Jason i zanim miała szansę odpowiedzieć, połączenie zostało przerwane.

Ellen wyłączyła telefon, nienawidząc tych doskonale jej znanych uczuć. Tak bardzo nie mogła się doczekać rozmowy z Jasonem, ale teraz, gdy już było po wszystkim, czuła się bardziej nieusatysfakcjonowana niż kiedykolwiek wcześniej. Nie potrafiła wyrzucić z głowy obrazu Jasona, śmiejącego się i wskakującego na tylne siedzenie jeepa z odkrytym dachem, by ruszyć do dżungli, o nic innego się nie martwiąc.

To nieuczciwe, pomyślała. On pewnie w najmniejszym nawet stopniu nie odczuwał tego co ona. I gdyby istotnie mu powiedziała, jak bardzo czuje się przybita i rozczarowana, pewnie i tak by to do niego nie dotarło. Była nawet w stanie odegrać w głowie ich kłótnię. Zadzwoił do niej, kiedy mógł, prawda? I wyznał, że ją kocha. Czego jeszcze chciała, na miłość boską? To ona zmarnowała ten telefon na rozmowę o swoich problemach. To ona była egoistką, nie Jason. Potem nieuchronnie nastąpiłby wykład o wpędzaniu w poczucie winy i o tym, że Ellen nie rozumie, jak ważna jest jego kariera. Spełniał marzenie swojego życia itd., itd.

I miał rację. Oczywiście, że miał rację. A ona go kochała.

Wrzuciła telefon do torby i odwróciła się od drzwi. Jason znajdował się tysiące kilometrów stąd. Nie miało sensu rozpamiętywanie międzynarodowych telefonów, które, co wiedziała z doświadczenia, niezmiennie okazywały się koszmarem. Musi się skupić na tym, co jest ważne. W końcu ona też ma swoją karierę.

- Dalej, kobieto - powiedziała do siebie na głos. - Jedziemy.

Michael Francis był emerytowanym profesorem uniwersyteckim i jednocześnie autorem wyszperanej przez Ellen w miejscowej bibliotece broszury zatytułowanej Legendy Shoresby. Pomimo wyraźnego upodobania autora do wiary w siły nadprzyrodzone tekst był dobrze napisany i Ellen chciała wykorzystać fragment o samobójstwach Alexandra i Caroline Walpole'ów jako materiał źródłowy dla lektora, którego głos miał towarzyszyć ich

dokumentowi. Musiała jedynie sprawdzić autentyczność twierdzeń profesora i, oczywiście, uzyskać jego zgodę na wykorzystanie pracy.

Skonsultowawszy się z Cheryl w Grandzie, która szybko stała się jej osobistą wyrocznią, Ellen dowiedziała się, że Michael Francis jest właścicielem sklepu zwanego Equinox na Southcliffe Street, dokąd właśnie teraz zmierzała.

Nie licząc Jasona, Ellen była najmniej zabobonną osobą, jaką знаła. Co prawda nie znajdowała się dokładnie na tym samym poziomie co Jason, który z szyderczym uśmiechem lekceważył wszystko, od horoskopów po hipnozę, wierząc raczej w prawa natury i przetrwanie najsilniejszych. Ale mieszkając z nim od tak wielu lat, Ellen musiała przyznać, że zdecydowanie jego sceptycyzm częściowo udzielił się i jej. Jednak kiedy stała sama, skąpiana w żółtym świetle rzucanym przez trzeszczącą lampę sztormową przed Equinozem, podczas gdy wiatr hulał po ciemnej, wybrukowanej uliczce, a szarobure chmury pędziły po czarnym niebie, przez jej ciało przebiegł dreszcz i nie był on wynikiem jedynie zimna.

Na znajdującym się przed nią oknie wystawowym piętrzyły się różnego rodzaju akcesoria, mające związek z okultyzmem i siłami nadprzyrodzonymi: maski voodoo, tabliczki ouija do seansów spirytystycznych i nadmuchiwany fluorescencyjny kosmita bijący się o miejsce tuż obok wielkiego kotła ozdobionego kartami do tarota. Mówiąc sobie, że to jedynie sterta „magicznych” śmieci, Ellen pchnęła drzwi i przy akompaniamencie głośnego dźwięku bambusowych dzwoneczków weszła do środka.

Powitała ją łagodna, nastrojowa muzyka i ostry zapach olejku z paczuli wymieszany z wijącymi się smugami dymu z dwóch świec w stylu byronowskim, które rzucały tańczące cienie na drewniany regał z książkami. Zerkając na naklejki z tytułami, Ellen dostrzegła Przepowiednie i prorocstwa, tomy Z Archiwum X oraz całe półki ezoterycznych tekstów na temat kręgów zbożowych i religii wicca. Niski sufit nad jej głową pokrywało pieczołowicie wykonane malowidło przedstawiające Amazonkę z odkrytymi piersiami, dosiadającą ziejącego ogniem smoka.

Na tyłach sklepu, dokładnie pod rozwidlonym językiem potężnej bestii, na wysokim taborecie za biurkiem siedział Michael Francis. Miał na sobie zielony sweter z wełny z wysp Aran i fular w tureckie wzory. Mógł mieć coś koło pięćdziesiątki. Patrzył ze skupieniem

przez okulary w kształcie półksiężyców, znajdujące się na czubku jego nosa, malując jednocześnie w świetle stołowej lampy miniaturową figurkę Lochów i Smoków.

- Zaraz będę do pani dyspozycji - odezwał się, nie podnosząc wzroku, gdy skończył malować koniuszkiem pędzelka jakiś szczegół.

Ellen stanęła obok grzejnika, delektując się ciepłem dochodzącym spomiędzy pomarańczowych prętów, i popatrzyła na wiszącą na ścianie wielką, arturiańską mapę.

Michael Francis wydał pełne satysfakcji westchnienie, po czym ustawił figurkę obok armii chochlików na pokrytym gazetami biurku i spojrzał na Ellen.

- Przyszła mnie pani spytać o Legendy Shoresby - rzekł, drapiąc się po swojej kręconej, siwej brodzie.

- Czyżby miał pan zdolności parapsychologiczne? - zapytała Ellen, śmiejąc się z niedowierzaniem.

Michael Francis uśmiechnął się, wycierając dłonie w ścierkę.

- Mary, moja żona, pracuje w bibliotece i zawsze daje mi cynk, kiedy tylko ktoś zainteresuje się jedną z moich broszurek. Co nie zdarza się często.

- Więcej ludzi powinno to robić - stwierdziła Ellen, uśmiechając się do niego w odpowiedzi. - Uważam, że jest bardzo dobra. Naprawdę fascynująca.

- Shoresby to rzeczywiście interesujące miejsce. Wiedziała pani, że ten sklep znajduje się dokładnie w miejscu, gdzie zbiegają się linie łączące miejsca prehistoryczne, obdarzone właściwościami magicznymi? Dzieje się to dokładnie w miejscu, w którym pani stoi.

Ellen z zaskoczeniem spojrzała na podłogę, zauważając, że stoi w samym środku misternie namalowanego pentagramu.

- I co się teraz stanie? Zamienię się w obłok zielonego dymu? - zapytała.

- Wątpię. Jednak powinna być pani przygotowana na coś nieoczekiwanego. Ludziom przytrafiają się tutaj dziwne rzeczy.

- Naprawdę? - zapytała Ellen. - A więc... co się przytrafiło panu?

- To zależy od tego, jak dużo ma pani czasu.

Około czterdziestu pięciu minut potrzebował Michael Francis, by opowiedzieć Ellen kilka historii związanych z Shoresby. Gdy słuchała, popijając ze szklanki domowe, imbirowe piwo, czuła, że coraz bardziej lubi tego mężczyznę, zwłaszcza kiedy się dowiedziała,

że jego wiadomości na temat samobójstwa Caroline Walpole na Wzgórzu Straconych Dusz, a następnie spalenia Appleforth House pochodziły z pierwszej ręki.

Tej nocy, kiedy ojciec Caroline, Alexander Walpole, doszczętnie spalił Appleforth House i sam zginął w płomieniach, wysłał całą swoją służbę do miasteczka. Pradziadek Michaela Francisa pracował wtedy w tamtej posiadłości w kuchni jako pomocnik.

To fantastycznie, pomyślała Ellen. Jej materiał źródłowy był właściwy i dokładny i warto było czytać przez całą podróż pociągiem do Londynu i z powrotem.

Michael uśmiechnął się do niej z wyraźną przyjemnością.

- Jeśli będzie miała pani jakieś inne pytania, zawsze proszę śmiało tutaj wpadać.

- No cóż, tak właściwie... - zaczęła Ellen. - Jest coś, nad czym się zastanawiałam...

Ellen pomyślała, jak by tu sformułować swoje pytanie. Pragnęła oczywiście uzyskać informacje, ale teraz, kiedy miała o to spytać, uświadomiła sobie, że dla niej najbardziej interesującym aspektem historii Caroline nie była tragedia związana z jej śmiercią, lecz raczej feralny romans z Leonem Jacobsonem, żydowskim sekretarzem jej ojca, który doprowadził do tej tragedii. Było coś cudownie szekspirowskiego w tym, że piękna, inteligentna dziewczyna spotyka się z kochankiem pod osłoną nocy, by z nim uciec i wziąć ślub, wiedząc jednocześnie, że w imię miłości porzuca tym samym wszystko, łącznie z rodziną. Właśnie ta jej pewność z gatunku wszystko - albo - nic tak bardzo fascynowała Ellen. Młodziutka dziewczyna darzyła Leona miłością tak czystą i intensywną, że bez wahania gotowa była oddać za nią życie.

Ellen zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się jak romantyczka, ale zafascynował ją ten bezmiar uczuć. Jakże w ogóle były szanse na to, że ktoś, kogo zna, czuł kiedykolwiek do ukochanej osoby coś choć zbliżonego do miłości Caroline, nawet jako nastolatek? Z pewnością żadne.

Ellen wiedziała, że bardzo kocha Jasona, jednak było to uczucie zupełnie odmienne od bohaterskiej miłości Caroline. Było to uczucie, które zdarzało się w nowoczesnym świecie zdominowanym przez nieprzekraczalne terminy, zobowiązania i kompromisy. To była miłość w odcieniach szarości, podczas gdy uczucia Caroline były

jednoznacznie niezłomie czarno - białe i Ellen nie mogła się powstrzymać przed zastanawianiem się, co musiała czuć ta dziewczyna.

- No więc co się stało z kochankiem Caroline Walpole, Leonem Jacobsonem? - zapytała, kiedy wyjawiała już kilka ze swoich przemyśleń.

- Tego nikt nie wie. Alexander Walpole przekupił go tuż przed jego planowaną ucieczką z Caroline. Potem Leon rozplątał się w powietrzu i nikt już nigdy o nim nie słyszał. Nie wiem, czy w ogóle miał pojęcie, że ta biedna dziewczyna zabiła się, kiedy się dowiedziała, że ją porzucił.

- Jakie to tragiczne - westchnęła Ellen. - Takie smutne. Jak mogła się tak pomylić? Przecież potrzebne są dwie osoby, by kochać aż tak namiętnie. To kompletnie nie ma sensu.

- Miłość często jest pozbawiona sensu - rzekł rozsądnie Michael, Ellen zaś uśmiechnęła się do niego.

Gawędzili jeszcze przez chwilę, a Ellen dokończyła imbirowe piwo. Potem, kiedy mężczyzna wyraził zgodę na wykorzystanie jego badań, rozejrzała się za płaszczem.

- Lepiej niech pani uważa - ostrzegł ją, pomagając kobiecie nałożyć płaszcz. - Osobiście zdarzyło mi się widzieć ducha Leona Jacobsona, a to jeszcze nie wszystko...

- Tak?

- Widziałem UFO. Jaskrawozielone. W nocy na niebie.

Ellen uśmiechnęła się, a kiedy mężczyzna zgniótł gazetę, dostrzegła, że pod szklanym blatem biurka znajduje się spora kolekcja fajek do palenia marihuany.

- Postaram się na nie uważać - obiecała.

Następnego ranka, pomimo że nad przylądkiem wisiała złowroga warstwa ciemnografitowych burzowych chmur, Ellen poczuła się lepiej niż przez cały dotychczasowy tydzień. Miała dobre notowania u Scotta, gdyż przywiozła ze swego mieszkania kołdrę i dmuchany, podwójny materac, a on w zamian wyszorował cały domek. Było jej całkiem przyjemnie, kiedy leżała w łóżku i wsłuchiwała się w dochodzący z portu stukot masztów.

Znalazła Scotta na dole, wyciągniętego pod kołdrą na sofie i pochłoniętego oglądaniem na laptopie filmu DVD.



- Świetny film - stwierdził, włączając pauzę i wyciągając z jednego ucha słuchawkę. - Jimmy, ten chłopak, którego poznaliśmy, pracuje w wypożyczalni wideo i to on mi go polecił. Sam jest zapalonym kinomanem. Jest także niegłupi. Tak sobie myślałem... skoro nie mamy budżetu na odpowiednią liczbę ludzi w ekipie, może przynajmniej powinniśmy ułatwić sobie życie i wciągnąć w to tego dzieciaka.

- No cóż, może to dobry pomysł. Ten twój Jimmy byłby w stanie nam pomóc. Widziałeś informację o koncercie? - Ellen podała mu jeden z zielonych arkuszy, które wzięła od Beverly.

- O co chodzi? - zapytał Scott, czytając ulotkę.

- Wygląda na to, że ten Ryan to miejscowy nastolatek, który w zeszłym roku popełnił samobójstwo na Wzgórzu Straconych Dusz. Musiał być w tym samym wieku co Jimmy...

Przerwało jej pukanie do drzwi i Ellen obeszła sofę z leżącym na niej Scottem, by otworzyć.

Na zewnątrz, walcząc z parasolką, którą wiatr wywracał na drugą stronę, stała Cheryl Driver. W niewielkiej szparze w mocno naciągniętym na głowę kapturze czerwonego płaszcza przeciwdeszczowego widać było jej uśmiech.

- Mam dla was faks! - zawołała triumfalnie i zaczęła wyciągać z kieszeni długi arkusz papieru.

- Fantastycznie! Wchodź do środka! Wchodź! - zapraszała Ellen, ujmując ramię Cheryl i wciągając ją przez drzwi.

Scott cieżniej owinął się kołdrą, niezadowolony z tego nagłego wtargnięcia zimnego powietrza.

- Zostań, proszę, na herbatę - zaproponowała radośnie Ellen, biorąc faks od Cheryl, która zajęta była zdejmowaniem kaptura. Ellen zatrzasnęła drzwi i weszła do pokoju, rozkładając jednocześnie faks, tak że długi arkusz papieru prawie dotknął podłogi. - Och, Scott, posłuchaj. Mamy pozwolenie. Cofam wszystko, co mówiłam na temat Joy. Przesłała nam całą korespondencję. Super!

- Czy mogę... eee... - zaczęła Cheryl, spoglądając niepewnie na Ellen i Scotta.

Ellen podniosła głowę znad papieru i uderzyła się dłonią w czoło, uświadamiając sobie własny brak gościnności.

- Cheryl. Wybacz. Zaraz wstawię wodę... - Ale widać było, że pochłonięta jest faksem i aż się pali, by czytać dalej.

- Proszę się nie przejmować - odparła Cheryl z pewnością w głosie. - Czyta sobie pani. Ja to zrobię.

Scott wcisnął się w kąt sof, gdy Cheryl przeszła obok niego i udała się do kuchni, tak jakby była tutaj wcześniej ze sto razy.

Ellen przytrzymała długi arkusz papieru i uśmiechnęła się szeroko do Scotta.

- Mam go! - oświadczyła. - Cholerny Ned Spencer nie będzie miał już żadnych argumentów.

- Zaparzę zwykłą herbatę, może być? - zawołała Cheryl z kuchni.

Scott rzucił spojrzenie Ellen, wyraźnie niezadowolony ze wścibskiej obecności Cheryl, ale ona traktowała ją jak sprzymierzeńca i lekceważąco machnęła ręką na obawy swego towarzysza.

- Może być zwykła! - odkrzyknęła.

- Trochę tu nędznie, o ile nie macie mi za złe, że to mówię - stwierdziła Cheryl, wystawiając głowę przez koralikową kotarę.

Ellen wzruszyła ramionami.

- Wierz nam albo nie, lecz tylko na to możemy sobie pozwolić. Nie planujemy pozostać tutaj długo.

- To miejsce jest tanie, ale wściekle tu zimno - mruknął Scott. - Byłoby świetnie, gdyby działał kominek, ale strasznie dymi.

- Powinniście byli wcześniej mi o tym powiedzieć - odparła Cheryl. - Po południu przyślę tutaj Russella. To zawodowy Dick Van Dyke, jeśli chodzi o kominy.

- I tak jesteś już dla nas wystarczająco miła - odezwała się Ellen, unosząc brew i spoglądając na Scotta.

- Uważajcie ten problem za załatwiony - oświadczyła Cheryl, znikając ponownie w kuchni, a Scott uniósł kciuki nad kołdrą, ciesząc się ze złożonej przez ich gościa propozycji zbawienia.

- Możemy od razu zaczynać - rzekła Ellen do Scotta, sadowiając się na oparciu sof w jego nogach. - I dokładnie to mam na myśli. Naprawdę sędzę, że ten Ryan mógłby być naszym współczesnym elementem, który pragnęłam zaprezentować obok kwestii historycznych. Pogadaj z tym swoim kumplem Jimmym, dobrze? Zobacz, co ci się uda z niego wyciągnąć.

- Czy ja wiem? To dość świeża sprawa. Mogli być przyjaciółmi.

- To nawet lepiej - uznała Ellen.

- Ubiję z nim interes - rzekł Scott, posyłając jej poważne spojrzenie. - Pogadam z nim. Doświadczenie w pracy z ekipą dla niego, informacyjne wsparcie dla nas. Korzystają obie strony.

- Naprawdę masz ochotę pomóc temu dzieciakowi, co? Prawie go nie znasz.

Scott wzruszył ramionami.

- Ale wiem, jak to jest dorastać w takiej biednej dziurze i pragnąć dla siebie czegoś lepszego.

Ellen uśmiechnęła się do niego. Dlaczego w jej otoczeniu nie ma więcej takich dobrych ludzi jak Scott?

- Niewiele będziemy mu mogli za to zaproponować - ostrzegła.

- Jeśli się zgodzi, to i tak z pewnością nie dla pieniędzy.

- OK. Ale to ty za niego odpowiadasz.

Ellen wstała, gdyż poruszyła się zasłona i Cheryl odsunęła na bok koraliki, używając do tego celu trzech kubków z herbatą.

- Powinniśmy koniecznie zarejestrować ten koncert - oświadczyła Ellen, zaczynając wyobrażać sobie materiał filmowy. - To mógłby być wstęp, a potem sekwencja kończąca nasz reportaż choć odrobinę optymistycznie.

- Będziecie filmować koncert, pani Morris? - przerwała Cheryl, stawiając kubki na stoliku obok sofy.

- Proszę, mów mi po imieniu - przypomniała jej Ellen. - To na razie tylko luźny pomysł.

- Znam organizatorów - rzekła Cheryl. - Mogę zamienić z nimi słowo. Jutro wieczorem koniecznie powinniście pójść na przesłuchania. Będzie tam Clive z Domu Kultury. To bardzo bezpośredni i przystępny człowiek.

- Hej, to dobry pomysł - zgodziła się Ellen. - Słyszysz, Scott? Moglibyśmy wybrać sobie kilkoro dzieciaków do naszych historycznych rekonstrukcji. Oszczędziłoby to nam organizowania własnych przesłuchań.

- Jesteś pewna, że chcesz to wszystko robić tak od razu? - zapytał Scott, pochylając się, by sięgnąć po kubek z herbatą.

- Użyj swojej wyobraźni, Scott. Teraz, kiedy dostaliśmy już to - Ellen zamachała faksem - możemy robić wszystko, na co mamy ochotę. Chcę teraz jechać na górę i odbyć mały rekonesans.

- W taką pogodę? Chyba kompletnie oszalałaś, kobieto.

- Ten człowiek nie zmarnuje już ani minuty mojego czasu - zapewniła Ellen.

- W takim razie lepiej się będę zbierać - rzekła Cheryl, pospiesznie odstawiając swój kubek.

- Spokojnie, Cheryl, dopijemy herbatę, a w tym czasie Scott się ubierze. I jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciwko, byśmy potem podrzucili cię z powrotem do hotelu - oświadczyła Ellen, posyłając Scottowi szeroki uśmiech.

- Ale ja jestem zajęty - zaprotestował mężczyzna. Ellen zabrała mu laptop i wyszarpnęła z ucha słuchawkę.

- To jest właśnie urok technologii. Może spokojnie poczekać. Za to ci przecież płacą, pamiętasz?

Do czasu, kiedy Ellen i Scott przejeżdżali przez bramę prowadzącą do Appleforth House, zdążyła się już rozpętać burza. Deszcz smagał przednią szybę, gdy zatrzymali się na parkingu. Ellen wyłączyła silnik, ale pozwoliła wycieraczkom przesuwać się po szybie. Pracowały na pełnej mocy, a i tak niemożliwością było dojrzeć cokolwiek poza zarysem znajdującego się przed nimi budynku i kilku należących do robotników vanów.

- Ellen, to zupełnie bez sensu - błagał Scott. - Spójrz tylko na to. Niczego nie będziemy w stanie zrobić.

- Czekanie na poprawę pogody może potrwać cały rok. Jak chcesz, to możesz tu zostać, ale ja idę. To tylko deszcz - odparła Ellen, naciągając na głowę kaptur i zapinając wysoko kurtkę.

Wyszła z samochodu i pochylając się w zacinającym wietrze, ruszyła w kierunku budynku. Na szczęście nigdzie nie było widać Cholernego Neda Spencera, ale nawet gdyby mieli się tu spotkać, Ellen była uzbrojona w faks.

Czując się pewnie, obeszła budynek, podziwiając jego surowe dostojeństwo. Był usytuowany wyjątkowo malowniczo i Ellen zaczęła się zastanawiać nad tym, gdzie będzie można ustawić kamerę, by uzyskać jak najlepsze ujęcie.

Przeszła na tył domu i znalazła się w ogrodzie. Okazał się tak dziki i piękny, że postanowiła pójść jeszcze dalej, deptając wybujałą roślinność, która niegdyś stanowiła elegancki ogród, i przemykając się pod obrosniętymi bluszczem ścianami. Chwilę później Ellen znalazła się w pobliżu urwisk.

Uniosła w górę ramię, osłaniając się przed nagłym smagnięciem deszczu, i uznała, że podąży dalej ścieżką, by sprawdzić, czy możliwe będzie sfilmowanie budynku z pewnej odległości.

Po swojej prawej stronie słyszała huk rozbijających się o skały fal i uważnie patrzyła pod nogi, starając się nie stracić równowagi. Wkrótce ścieżka skręciła łukiem i Ellen znalazła się twarzą do wiatru, który natychmiast zdarł jej kaptur z głowy. Wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy deszcz chlusnął na nią jak z wiadra.

I wtedy coś usłyszała.

Potrząsnęła głową i rozejrzała się, przypominając sobie o duchu Appleforth House. Wówczas ponownie usłyszała ten dźwięk: żalospny płacz, unoszący się i zanikający na wietrze.

Ellen zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać, a kiedy po chwili ponownie rozległo się łkanie, pospieszyła naprzód i kilka metrów dalej dojrzała jego źródło.

Skulona na ziemi mała dziewczynka płakała głośno, otaczała rączkami kolana i drżała w nie kontrolowany sposób. Mokre, miodowe włosy przykleiły się do jej główki. Miała na sobie różowe, błyszczące kozaczki, niebieską spódniczkę i różową bluzę, ale była bez kurtki.

Nie wahając się ani chwili, Ellen podeszła i przykucnęła obok dziewczynki.

- Proszę - odezwała się, odpinając kurtkę i otulając nią dziecko. - Wszystko będzie dobrze. Przytrzymaj się mnie.

Dziewczynka pozwoliła, by Ellen podniosła ją z ziemi.

- Nie powinno cię tutaj być. Tu jest bardzo niebezpiecznie. - Teraz, kiedy trzymała dziewczynkę, dostrzegła poszarpany brzeg urwiska. - Jak masz na imię, skarbie? - zapytała małą, szybko oddalając się od krawędzi klifu w bardziej bezpieczne miejsce.

- Clara.

- Gdzie masz mamusię, Claro? Jest gdzieś tutaj? Dziewczynka potrząsnęła głową, wycierając nos w rękaw kurtki. Ellen czuła, jak przez materiał jej bluzy przesiąka lodowaty deszcz, ale nie dbała o to.

- A twój tatuś? - zapytała, starając się zachować spokój, mimo że zaczynała wpadać w panikę w związku z tym kompletnie niespodziewanym znaleziskiem.

Clara wskazała w kierunku budynku.

- Jest tam? - Upewniła się Ellen, chociaż zaczęła już biec w kierunku wyznaczonym przez wyciągnięty palec Clary.

Kiedy dotarły do posiadłości, Ellen brakowało tchu. Clara była za ciężka, by dłużej ją nieść. Opuściła ją delikatnie na ziemię, patrząc, jak skraj jej nowej kurtki zanurza się w kałuży błota, gdy dziewczynka stanęła na drżących nogach, ale Ellen nie zwracała sobie tym głowy. Podbródek Clary drżał, zęby szczękały, a ogromne oczy spoglądały spod ociekającego wodą kaptura. Serce Ellen stopniało. To dziecko było niewiarygodnie słodkie.

- Claro, gdzie jest twój tatuś? - powtórzyła łagodnie. - Czy jest w środku tego wielkiego domu?

- Nie. Jest tam - odpowiedziała cichutko Clara, a wzrok Ellen podążył za wyciągniętą ręką dziewczynki.

Teraz i ona dostrzegła stojący niedaleko budynku barak.

- No dobrze - rzekła, po czym podniosła małą i pobiegła w jego kierunku.

Po raz trzeci w tym tygodniu Ellen stanęła twarzą w twarz z Nedom, który otworzył drzwi. Gdy ich spojrzenia się spotkały, na ułamek sekundy zapadła pełna konsternacji cisza. Po chwili mężczyzna pospieszył, by jej pomóc.

- Tatusiu! - zawołała Clara, odrywając się od Ellen i przenosząc w ramiona Neda.

Ellen zrobiła krok w tył, a jej umysł próbował doszukać się w tym wszystkim sensu. Ned zmusił ją do wejścia do środka i zamknął za nią drzwi. Potarła dłonie i zaczęła się trząść, kiedy owionęło ją ciepłe powietrze. Przyglądała się, jak Ned zdejmuje z Clary kurtkę i odwiesza ją na oparcie krzesła, a potem jak Clara zrzuciła kozaczki.

- Kochanie, kochanie - mruknął, całując córkę i głaszcząc jej włosy.

Kobieta popatrzyła na swoje ubłocone buty i skrzyżowała ręce na piersiach. Gdy Clara oparła głowę na ramieniu Neda, oplatając go w pasie nogami, mężczyzna wreszcie spojrzał na Ellen.

W każdym jej wyobrażeniu na temat ich ponownego spotkania Ned był albo wściekły i oburzony, albo zimny i obojętny, jednak teraz, kiedy wreszcie stanęli twarzą w twarz, Ellen nie potrafiła przywołać gniewu. Zamiast tego czuła się idiotycznie skrepowana, jakby była intruzem, zawadzającym w tej intymnej scenie. W zakłopotanie wprowadził ją fakt, że Ned jest ojcem, a ujrzenie, z jaką

czułością odnosi się do Clary, wprowadziło ją w jeszcze większą konsternację.

- Znalazłam ją na górze koło urwiska - odezwała się Ellen, ocierając z twarzy krople deszczu.

Ned odsunął się od Clary i ujął między kciuk i palec wskazujący jej podbródek, zmuszając córkę, by na niego spojrzała.

- Czy to prawda? Sądziłem, że czytasz na zapleczu książkę. - Rzucił spojrzenie na zamknięte drzwi, prowadzące do innej części baraku.

- Znudziło mi się - odpowiedziała Clara. - Wyszłam przez klapę dla psa. Ale potem zaczęło padać i się zgubiłam.

- Nie możesz tak sobie wychodzić i wałęsać się, kiedy tylko masz na to ochotę. Mówiłem ci przecież o tym. Tam jest niebezpiecznie. Zwłaszcza w taką pogodę.

Ned przykucnął i postawił ją na ziemi, po czym zdjął ręcznik z wieszaka koło grzejnika. Owinął nim włosy Clary i zaczął je wycierać, ale ona natychmiast zaprotestowała. Dał sobie spokój i obserwował, jak mała owinęła sobie ręcznikiem głowę i przytrzymała jego końce pod brodą, po czym obdarzyła Neda i Ellen uśmiechem, pokazując szczerbate zęby.

- Nic się nie stało, tatusiu - oświadczyła. - Ta miła pani mnie znalazła.

Ned uderzył dłońmi w kolana.

- Tak, no cóż, tej miłej pani w zasadzie nie powinno tutaj w ogóle być - rzekł, wstając.

Uśmiech Ellen wywołany komplementem Clary natychmiast zgasł, gdy tylko usłyszała ton głosu Neda i zobaczyła kamienny wyraz jego twarzy.

- Ale - dodał z westchnieniem, jakby wbrew swojej woli - dziękuję. Jestem pani bardzo wdzięczny.

Clara pobiegła za biurko, wskoczyła na obrotowe krzesło ojca i zaczęła się powoli kręcić.

Ellen zacisnęła usta, starając się nie śmiać na widok tupetu dziewczynki. Ned przez chwilę przyglądał się córce, po czym z powrotem odwrócił się do Ellen.

- Proszę posłuchać, panie Spencer - odezwała się, zanim zdążyła pomyśleć, co by tu powiedzieć. - Wiem, że nasza znajomość miała kiepski początek, lecz może spróbujemy jeszcze raz? - To było

absurdalne, ale dlaczego odczuwała takie zdenerwowanie? Miała pełne prawo tu przebywać i to Ned powinien być dla niej miły po tym, jak znalazła jego córkę.

Ned wypuścił powietrze i uśmiechnął się miło, mrużąc przy tym oczy.

- Tak, tak, ma pani rację - zgodził się. - Zaczniemy jeszcze raz.

- Jestem Ellen - rzekła. - Ellen Morris.

Wyciągnęła dłoń, lecz uświadomiwszy sobie, jak bardzo formalny musiał się wydać ten gest, roześmiała się i opuściła ją. Ale Ned ujął jej rękę i delikatnie ją uściśnił. Jego dłoń była ciepła.

- No cóż, Ellen Morris, cała przemarzłaś - stwierdził. - Musimy cię jakoś ogrzać.

Pięć minut później jej włosy zawinięte były w turban z ręcznika, a zamiast bluzy miała na sobie workowaty, wełniany sweter Neda. Usiadła obok grzejnika, podwinęła długie rękawy i przyglądała się, jak Ned napełnia dwa kubki świeżą kawą z dzbanka. W tym prowizorycznym biurze czuł się jak u siebie w domu i Ellen musiała przyznać, że w baraku jest całkiem przytulnie, mimo że panuje tu straszny bałagan.

Wielkie biurko zakrywały szczegółowe plany architektoniczne, a obok nowego laptopa Mac stała pełna popielniczka, tuż przy niej zaś opróżniona do połowy butelka whisky Tallisker. Ekspres do kawy umieszczono na regale zawalonym okazałymi książkami o pozaginanych rogach, traktującymi o projektowaniu wnętrz i z powtykanymi, gdzie się dało, próbkami dywanów i tapet. Ściany za regalem pokryte były różnorodnymi zdjęciami ukazującymi postępującą odbudowę Appleforth House, a także wieloma dziecinnymi rysunkami Clary. Stojący w rogu kosz dla psa, co Ellen zauważyła z ulgą, był pusty.

Ned podał Ellen kubek z kawą, a ona przyjęła go z wdzięcznością, po czym ściągnęła z głowy ręcznik.

- No i co? - zapytał Ned, sadwiąc się na skraju biurka. - Chcesz tutaj filmować?

Wyglądał tak kompetentnie, że Ellen nabrała ochoty, by opowiedzieć mu wszystko o ich programie.

- Mam faks od Jonathana Arthura - oświadczyła, pochylając się i wyciągając z kieszeni kurtki przemoczone papiery. - Właściwą dokumentację - dorzuciła pogodnie, przypominając Nedowi jego



poniedziałkowe słowa. Uśmiechnął się półgębkiem, biorąc od niej wydruk.

Ellen przeczesła palcami włosy, podczas gdy Ned przebiegał wzrokiem tekst.

Po chwili odłożył go na biurko i uśmiechnął się do niej.

- Co masz zamiar pokazać? - zapytał.

- Chcę opowiedzieć oryginalną legendę Wzgórza Straconych Dusz. To wspaniała historia - zaczęła wyjaśniać, czego się do tej pory dowiedziała od Michaela Francisa. - Miałam nadzieję, że uda mi się wykorzystać ten budynek do zrekonstruowania części dramatu, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jedyne... no wiesz... przejmujące czarno - białe ujęcia i głos lektora. Teraz, kiedy dom został już prawie przywrócony do poprzedniego stanu, będzie to wyglądać fantastycznie.

- Mam różne dokumenty, które przysłał mi Jonathan. Są tam listy i tym podobne. Możesz sobie na to kiedyś rzucić okiem, jeśli chcesz - odparł.

Ellen pokiwała entuzjastycznie głową.

- Byłoby super. Wszystko może się okazać przydatne. Możemy to, rzecz jasna, połączyć z wątkami związanymi ze współczesnymi ofiarami.

- Co masz na myśli? - Ned zmarszczył brwi.

- No cóż, zamierzamy przyjrzeć się temu, jak legenda żyje dzisiaj, czy coś w tym stylu. Spleść oryginalną historię i współczesne samobójstwa. Do jednego z nich doszło tutaj w zeszłym roku. Chcieliśmy rozpocząć od koncertu upamiętniającego...

- Zaczekaj - przerwał jej Ned, wstając i odstawiając kubek z kawą. - Chyba nie myślisz poważnie o włączeniu do waszego programu także i tego?

- A dlaczego nie? - zapytała Ellen.

- Ponieważ kręcenie programu o samobójstwach, który będzie pokazywany w telewizji, podczas gdy ludzie w miasteczku są wciąż w żałobie... no cóż, to nie jest właściwe...

- Ale tu nie chodzi o to, czy coś jest właściwe, czy też nie - wyjaśniła Ellen, zakładając pasmo włosów za ucho. - Tu chodzi o publiczny zapis. My jedynie zdajemy relację z tego, co już się stało.

- A to stanowi rozrywkę, nieprawdaż?

Ellen spojrzała na Neda i poczuła, że cała sztywnieje, gdy dostrzegła, że jest tym naprawdę zbulwersowany. Co znowu zrobiła nie tak? Zaledwie chwilę temu tak dobrze się dogadywali. Ostrożnie odstawiła swój kubek na stół.

- To nie jest rozrywka. Staram się nakręcić wartościowy program - rzekła tak spokojnie, jak tylko potrafiła. - Będzie on współczujący, prawdziwy...

Ned potrząsał głową, patrząc na swoje buty. Przez moment panowała cisza. Podniósł wzrok na Ellen.

- To, co robisz, nie ma nic wspólnego ze współczuciem ani prawdą. Jesteś tutaj, by zbijać forszę na nieszczęściu innych. To nieodpowiedzialne i płytkie i gdybyś wiedziała cokolwiek o śmierci i o tym, w jaki sposób wpływa na innych ludzi, przyznałabyś mi rację.

Ellen wstała i chwyciła z biurka faks. Coś w tonie głosu Neda sprawiło, że zaczął ją ogarniać gniew.

- Myślisz, że kim ty jesteś, by raczyć mnie wykładem na temat uczuć innych ludzi? Co daje ci prawo do ustalania zasad moralnych? Wykonuję jedynie moją pracę, panie Spencer.

Ned potrząsnął głową.

- Pogardzam ludźmi takimi jak ty.

- Tatusiu! - jęknęła Clara, zeskakując z krzesła.

- To ja pogardzam tobą! - Ellen wypuściła powietrze, zdumiona jego arogancją. - Dobrze sobie! Spójrz na siebie. Pozwalasz swojej córce biegać samopas podczas burzy. To właśnie nazwałabym nieodpowiedzialnością!

- Ned?

Odwróciła się i ujrzała, że drzwi za nią otwierają się i do baraku pospiesznie wchodzi wysoka, piękna, młoda kobieta w płaszczu i z kapturem na głowie. Pies, który wcześniej zaatakował jej płaszcz, przebiegł obok kobiety i otrząsnął się tak, że mokre futro otarło się o nogi Ellen.

- Coś się stało? - zapytała kobieta, spoglądając na nią i na Neda i jednocześnie zdejmując płaszcz. Nawet ze zmarszczonym czołem była wyjątkowo, jakoś tak pierwotnie piękna. Podeszła i stanęła obok Neda, a Clara natychmiast podbiegła do niej i przytuliła się do jej nóg.

Ellen popatrzyła na ten rodzinny obrazek, trzy pary wrogich, wpatrujących się w nią oczu i towarzyszące temu ciche warczenie psa.

Chwyła swoją kurtkę, wyciągnęła z kieszeni oświadczenie z pralni i rzuciła je Nedowi na biurko.

- Jesteś mi za niego winien - oznajmiła, a następnie wypadła z baraku i zatrzasnęła za sobą drzwi tak mocno, że odbiły się o framugę i otworzyły na całą szerokość.

Chwilę później Ellen dotarła do land - rovera i wrzuciła kurtkę na tylne siedzenie.

- Jedziemy! - krzyknęła do Scotta, siadając na miejscu kierowcy. Przekręciła kluczyk w stacyjce i szybko zwiększyła obroty silnika.

- Co się stało? - zapytał Scott, ścisząc radio, podczas gdy land - roverem szarpnęło do przodu.

- Ze wszystkich podłych, upartych jak osioł... - zaczęła Ellen, chwytając za kierownicę. - Brak mi słów... Uch!

- Uspokój się - nakazał jej Scott. - Jesteś cała przemoczona. Zaczni od początku. Co się stało?

- Znalazłam tam tę dziewczynkę - wyrzuciła z siebie Ellen, nie uspokoivszy się ani odrobinę. - A ten arogancki łajdak...

- Kto?

- Cholerny Ned Spencer! A myślisz, że kto?

- Ty i on nadal się ze sobą nie zgadzacie?

- To nie jest człowiek, z którym można się porozumieć - ciskała gromy Ellen. - Jest po prostu niewiarygodny! Ma zaściankowe poglądy...

- Ellen, gdzie ty jedziesz? - Scott chwycił się deski rozdzielczej.

Kobieta zignorowała go.

- Oskarżył mnie o to, że jestem nieodpowiedzialna. Ja! Skąd się u niego wzięły te jakieś nonsensowne uprzedzenia? Nie dał mi nawet szansy wyjaśnienia wszystkiego, tylko od razu wściekle zaatakował...

- Ellen - ponownie ostrzegł Scott, przechylając się i chwytając za kierownicę, tak że ledwie udało im się uniknąć staranowania słupka.

- Gdzie brama? - zawołała.

- Tam - odparł Scott, wskazując palcem gdzieś za przednią szybę.

- No i ta... ta jego małaletnia flama! - ciągnęła Ellen, kierując się w stronę bramy. - Jakim trzeba być zbokiem, żeby się związać z tak młodą kobietą? Właściwie dopiero co wyszła z kołyski!

Ellen przyspieszyła.

- Uch! - krzyknęła, gdyż w tej właśnie chwili dostrzegła Neda w starym beetle'u z lewostronnym układem kierowniczym, zbliżającego

się do bramy z taką samą prędkością co i ona. Kiedy podjechała bliżej, zobaczyła też siedzącą obok niego kobietę.

- Małoletnia flama? - zapytał Scott, zerkając przez szybę. - Nie można nazwać jej dzieckiem, ale trzeba przyznać, że jest oszalamiająca.

Ellen mocniej nacisnęła stopą pedał gazu i przyspieszyła, by przejechać przez bramę pierwsza, jednak Ned także dodał gazu. Na kilka sekund przez zderzeniem i Ellen, i Ned zahamowali. Kiedy samochody zatrzymały się - zaledwie kilka centymetrów od siebie - Ellen położyła palec na przycisku opuszczającym szybę, gdy zobaczyła, że Ned robi to samo. Przez ułamek sekundy przyglądała mu się z góry.

- Łajza! - zawołała najgłośniej, jak tylko potrafiła, po czym z furją zakreśliła kierownicą i objechała beetle'a Neda, chcąc pierwsza przejechać przez bramę. Następnie zerknęła we wsteczne lustro i prychnęła z satysfakcją, widząc, że samochód Neda został unieruchomiony, ponieważ jego calusieńką przednią szybę pokrywało błoto.

- Dobrze ci tak, Cholerny Nedzie Spencerze! - wrzasnęła.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zbyt zdumiony, by cokolwiek powiedzieć, Ned Spencer wpatrywał się jedynie w przednią szybę swojego samochodu. Nie patrzył przez nią, ponieważ nie było to już możliwe. Jedyne, co widział, to błoto, spływające, brązowe błoto. Wyglądało to tak, jakby na samochód nasrała gigantyczna krowa. I w pewien sposób tak właśnie się stało, uznał. Co więcej, ta krowa miała imię i nazwisko. A brzmi ono: Ellen Morris.

Ned dostrzegł, że wciąż ściska kluczyk od stacyjki. Skóra wokół jego knykci zrobiła się biała, zmusił więc palce do rozluźnienia, by powróciło do nich krążenie.

- Nic się nikomu nie stało? - odezwał się wreszcie. Odbicie Clary we wstecznym lusterku kiwnęło do niego głową, Wobbles kontynuował obsesyjne lizanie klamki, a Debs - po prawej stronie Neda na siedzeniu pasażera - także pokiwała głową, po czym utkwiła nieruchome spojrzenie w swoich długich do kolan, czarnych kozaczkach z lakierowanej skóry.

- To dobrze - rzucił Ned. - Czy ty... - zaczął, ale zaraz ponownie zamilkł.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że boczna szyba jest nadal opuszczona. Zamknął ją i odwrócił się do Debs, która teraz wpatrywała się w miejsce, gdzie zawsze rozładowywano materiały budowlane.

W deszczu zachodnie skrzydło Appleforth House prezentowało się widmowo, ponure niczym więzienie. Nieco bliżej, na żerdzi w ogrodzeniu przysiadł myszołów, wyglądający jak jakiś zwiastun złych wieści. Jedyne, czego brakuje, pomyślał Ned, to kostuchy we własnej osobie, podnoszącej się z ziemi ze świstem kosy, dając tym samym Nedowi znać, że jego czas dobiega końca i że już gorzej być nie może.

- Widziałaś, co zrobiła ta kobieta? - wydusił wreszcie z siebie.

Ramiona Debs zatrzęsły się. To pewnie szok, uznał Ned, gdyż sam także zacząć drżeć po otrzymanej dawce adrenaliny, niosącej ze sobą także nie dopuszczające dyskusji oburzenie.

Jak Ellen Morris śmiała im to zrobić?

Jak śmiała narazić ich życie na szwank? Jak śmiała bez mała go staranować? Gdyby nie jego refleks, mogliby...

Bał się nawet myśleć o tym, co mogło się stać, gdyby w porę nie zahamował.

- Pokazała mi środkowy palec - wydusił z siebie Ned. - Mnie - ciągnął z niedowierzaniem. - W moim własnym miejscu pracy. Na oczach dziecka. Na oczach, o mój Boże, na oczach mojej własnej córki.

Ned zauważył, że ramiona Debs drżą jeszcze mocniej niż przed chwilą. Gdy pochyliła się do przodu, jej długie kasztanowe włosy otarły się ze świstem o niebieską puchową kurtkę. Oparła głowę na dłoniach.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Ned, kładąc dłoń na jej ramieniu w uspokajającym geście, nagle zaniepokojony, że może Debs doznała jakiegoś szoku pourazowego.

- Mm - w połowie powiedziała, w połowie mruknęła, po czym wreszcie odwróciła się do niego, zakrywając dłońmi usta i nos.

Dopiero wtedy Ned uświadomił sobie prawdę.

- Nie wierzę - rzucił.

Nie miał jednak innego wyjścia. Jej wysokie, wystające kości policzkowe były tak samo zdrowo różowe jak zawsze wtedy, gdy wracała do domu po wieczornym bieganiu. Koniuszki jej szerokich, wygiętych w uśmiechu ust były wyraźnie widoczne spoza jej doskonale wymanikiowanego palca wskazującego i kciuka. Jej niewielki nos był zmarszczony, a nozdrza drżały.

Ned wyrzucił z siebie powoli, tak by nie było żadnych niedomówień:

- Więc - ty - uważasz - to - za - zabawne?

Debs energicznie pokręciła głową, a jej prosta grzywka przekrzywiła się na czole, gdy po raz kolejny pochyliła głowę.

- Nn... - Usłyszał, jak mówi.

- To dobrze - warknął. - Ponieważ gdyby tak było, to nie miałbym innego wyjścia, jak tylko cię...

Ale resztę jego ostrzeżenia zagłuszył głośny wybuch śmiechu, który wydobył się z ust i nosa Debs.

- Przepraszam! - jęknęła bezradnie, a moc tego słowa podkreślił jej zazwyczaj dyskretny akcent z okolic Edynburga. Potarła błyszczące oczy, rozmazując tym samym tusz do rzęs, przez co wyglądała, jakby przez tydzień ostro imprezowała. - Przepraszam - powtórzyła. - Ja tylko... - Każdemu jej słowu towarzyszyło wciąganie powietrza. - ...Twoja twarz...

- Moja... twarz?

Debs oparła się, ogarnięta nowym i niemożliwym do kontrolowania napadem wesołości. Wskazywała teraz na Neda, jakby był cyrkowym klaunem, który właśnie piąty raz z rzędu poślizgnął się na skórcie od banana. Kręciła się na fotelu, walcząc o oddech.

Ned ze wzburzeniem przekręcił wsteczne lusterko, tak że mógł w nim dojrzeć odbicie własnej twarzy.

- Och, tak, przezabawne - warknął, nawet nie próbując zetrzeć smug błota. - Jakie to dla ciebie cholernie zabawne.

- Nie! - Debs ponownie gwałtownie wciągnęła powietrze. - To nie błoto... To ty... To, co mówiłeś... wyglądałeś tak... tak...

- Tak? - popędził ją Ned. Próbował spojrzeniem przywołać ją do porządku. Nie udało się.

- Pompatycznie! - wyrzuciła wreszcie z siebie, po czym skuliła się na fotelu, niezdolna, by dłużej na niego patrzeć.

Clara wsunęła się w szparę pomiędzy fotelami kierowcy i pasażera.

- Kto to jest łajza, tatusiu?

Debs parsknęła śmiechem. Ned ponownie przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zawarczał raz i drugi, a po chwili zgasł. Debs odkaszlnęła i wydała z siebie długie westchnienie.

- To słowo, którego używają dorośli, kiedy są bardzo zdenerwowani - wyjaśniła w imieniu Neda.

- Tak jak idiota? - zapytała Clara.

- Tak - odparła Debs, ocierając oczy wierzchem dłoni. - Tyle że jest dużo bardziej niegrzeczne.

- Tak jak palant? Albo głupol? Albo makaroniarz?

- Makaroniarz? - powtórzyła Debs. - Skąd to znasz?

- Tommy Carey tak mnie nazwał, kiedy podczas piątkowego lunchu nasypałam mu soli do jogurtu - zaczęła wyjaśniać Clara. - Ale tylko dlatego, że specjalnie nadepnał na mój ołówek i złamał go - dodała - kiedy myślał, że tego nie widzę... - kontynuowała. - Ale ja widziałam - zakończyła.

- Dobrze, już dobrze - rzekła Debs, wyciągając z pudełka na desce rozdzielczej chusteczkę i wychylając się, by wytrzeć Clarze nos. - Załapaliśmy: Tommy Carey zasłużył sobie na to.

Ned wpatrywał się w przednią szybę. Ellen Morris nazwała go łajzą. Łajzą... jego. Jak mogła? Był jedną z najmniej łajzowatych osób, jakie znał. No dobrze, może nie powinien tak na nią naskoczyć

tam w baraku. Być może było to odrobinę łajzowate, takie naprawdę tyci. I, to akurat jest prawda, z pewnością nie powinien robić tego w obecności Clary. Ale nie uczynił tego celowo, to się po prostu... no cóż, to się po prostu stało. To, co powiedziała Ellen Morris... to, co powiedziała, rozwścieczyło go, no nie? I coś mu w środku przeskoczyło.

Jednak jeśli chodzi o to, co ona zrobiła w odwecie... no cóż, przy tym czynie jego własne zachowanie wydawało się teraz zupełnie niewinne.

- Jedyna łajza w okolicy to Ellen Morris - oświadczył na głos.

- Ned! - zgromiła go Debs.

- Tato! - Clara gwałtownie wciągnęła powietrze.

- No bo to prawda - oznajmił Ned. - A co więcej, powinienem powiadomić o tym policję.

Wyobraził sobie twarz Ellen Morris w chwili, gdy zostałaby aresztowana: oburzone spojrzenie, próba usprawiedliwienia swej psychotycznej jazdy. Jednak policja nie słuchałaby jej. Z kajdankami na rękach zostałaby umieszczona z tyłu policyjnego vana - oto, co by się stało. Och, tak, był to obraz, który Ned mógł powiesić na ścianie i na który nigdy nie znudziłoby mu się patrzeć.

- Ale ona nie zrobiła niczego niezgodnego z prawem - zaprotestowała Debs.

- Lubię ją - oświadczyła Clara. - Było mi strasznie zimno i mokro, a ona dała mi swoją kurtkę.

- Jedyne, co tak naprawdę zrobiła, to pierwsza przejechała przez bramę - zauważyła rozsądnie Debs.

- Nie chodzi o to, co się stało - odparł Ned - tylko o to, co się mogło stać.

Debs zacmokała, w ten powściągliwy sposób okazując swoją dezaprobatę. Clara zrobiła to samo, a Wobbles, znudzony już oblizywaniem klamki, zaczął skomleć, przewracając zdrowym okiem, podczas gdy to drugie ślepe utkwione było w Nedzie, pozbawione życia i nieprzeniknione niczym marmur.

Z jękiem frustracji Ned ponownie przekręcił kluczyk w stacyjce. Tym razem silnik zapalił i nie zgasł. Włączył wycieraczki, które poruszyły się najwyżej o milimetr, po czym zatrzymały się ze zgrzytem. Wyłączył silnik.



- Niesamowite - rzekł, jednak zabrzmiało to jak najgorsze z możliwych przekleństwo.

Wysiadł z samochodu, pochylił się nad wygiętą w łuk maską i w strugach deszczu zaczął gołymi rękami wycierać błoto z przedniej szyby.

Gdy spojrział do środka na rozmawiające ze sobą Debs i Clare oraz Wobblesa, który na nowo mościł się na tylnym siedzeniu, a następnie zabrał za żucie swojej łapy, poczuł jednak, że buzujący w nim gniew zaczyna się powoli ulatniać. Może to świeże powietrze i deszcz go ostudziły, a może po prostu, obserwując tę scenkę z zewnątrz, nagle poczuł, że jest niesamowitym szczęściarzem.

Ned odwrócił się w stronę wjazdu do posiadłości, przez którą niecałe pięć minut temu triumfalnie wyjechała Ellen Morris. W pozostawionych przez koła jej samochodu koleinach zbierał się już deszcz i wkrótce zostaną zupełnie zatarte. Jednak coś innego pozostało, coś, czego nie można było dojrzeć, ale co nadal czuł. Moc życia, jedynie tak był w stanie to określić. Było to tak, jakby energia Ellen odcisnęła swoje piętno na tym miejscu, w tym także na nim samym.

- Niesamowite - powtórzył, tyle że tym razem absolutnie nie zabrzmiało to jak przekleństwo.

Wróciwszy do samochodu, popatrzył na Debs i Clare.

- Zmiana planu - oznajmił. - To jasne, że dzisiaj już się nie wypogodzi, więc wycieczka na plażę odwołana.

- Och! - jęknęła Clara.

- Ale nie martwcie się - ciągnął Ned, uruchamiając silnik i zataczając samochodem szeroki łuk, tak że zwrócony był teraz przodem ku Appleforth House. - Mam znacznie lepszy pomysł.

Oranżeria została dobudowana całkiem niedawno, pod wpływem nacisków Jonathana Arthura i po uzyskaniu przez Neda pozwolenia od lokalnych władz, co wiązało się z masą papierkowej roboty.

Ned początkowo sprzeciwiał się temu pomysłowi, czując, że kłóci się on z ustalonym na początku zakresem jego obowiązków: przywróceniem Appleforth House do jego pierwotnego stanu. Jednak teraz, kiedy siedział w jej wnętrzu na podłodze z drewna tekowego, słysząc krople deszczu uderzające o specjalnie zaprojektowane szyby, które zamówił w MapleLeaf Conservatories, odczuwał zadowolenie z efektu swojej pracy. Dzięki czystej bieli i drewnianym elementom

pomieszczenie było jasne i przestronne, a wkrótce, miał nadzieję, rozwinię się doskonała harmonia pomiędzy ludźmi i roślinami.

W tej chwili oranżeria nie była jeszcze umeblowana, jednak taki stan rzeczy nie potrwa długo. Donice oraz stół i krzesła z kutego żelaza zostały już zamówione, tak samo jak rzadko spotykany, misternie zdobiony fotel ogrodowy od Thomasa Chippendale'a, który Nedowi udało się zdobyć w Sotheby's i który aktualnie przebywał w przechowalni w Park Royal.

Ten brak umeblowania bardzo odpowiadał Nedowi, ponieważ jeśli chodzi o niego, Clarę i Debs, w tej chwili nie była to w ogóle oranżeria, a plaża. No i nie padało: było parne, letnie popołudnie.

Na jednym rogu piknikowego koca w kratkę, przyniesionego przez Neda z samochodu, siedziała Debs, zrzuciwszy kozaczki i podwinąwszy spodnie do kolan, a na czubku jej głowy wesoło tkwiły okulary przeciwsłoneczne.

Paznokcie u jej stóp, które Clara właśnie skończyła malować, były różowe jak guma do żucia i połyskiwały w świetle gołej żarówki o dużej mocy, jaką Greg, główny elektryk, zawiesił dla nich na aluminiowej drabinie. Debs wyjęła ze stojącego obok Neda kosza piknikowego jabłko i wgrzyła się w nie z głośnym chrupnięciem, po czym wzięła do rąk egzemplarz „Heat” i zabrała się za czytanie.

Clara siedziała obok ojca i machała palcami u nóg w ciepłym strumieniu wytwarzanego przez dmuchawę powietrza. Przyłożyła wyprostowaną dłoń do czoła i rzuciła spod niej spojrzenie w stylu Robinsona Crusoe wyglądającego na morze. Poza szumem dmuchawy w środku co i rusz słychać było brzęki i okrzyki ludzi pracujących w głównej części budynku.

- Ale popatrz no tylko! Co to jest? - zawołał Ned, raczej kiepsko naśladowując akcent piracki. Wskazywał na podwójne szklane drzwi, znajdujące się w przedniej części oranżerii, za którymi leżały przykryte plandeką stosy belek. - To łódź, na Boga! To flota ratunkowa wysłana przez królową! Jesteśmy uratowani!

- Uważaj ! - odkrzyknęła Clara, wskazując na lewo, gdzie rosły buki, a za nimi znajdowało się niskie ogrodzenie, otoczone lśniąca barierą laurowiśni. - Nadciąga potężna fala, która zmiecie wszystkie łodzie! - zawołała ze śmiechem. - Wszystkie łodzie idą na dno!

Właśnie wtedy w zasięgu wzroku pojawiła się głowa brygadzysty Dana, a następnie jego ramiona i reszta ciała, kiedy pospiesznie

wchodził po schodkach wiodących z ogrodu na kamienny taras z przodu oranżerii.

- Popatrz tylko! - odkrzyknął Ned, zdecydowany, by ta historia miała jednak szczęśliwe zakończenie, pomimo wyraźnych ciągotek Clary ku morskiej tragedii. - Jednemu z marynarzy udało się dopłynąć do brzegu!

Widząc, że siedzą w środku, Dan zbliżył się i przycisnął swoją pokrytą plamami, kwadratową twarz do szyby. Następnie ryknął demonicznie, wzbudzając tym samym u Clary salwy śmiechu, po czym ponownie zniknął z pola widzenia.

- To duch! - pisnęła Clara, przeforsowując tym samym swoją wersję.

Gdy ona nadal się śmiała, Debs rzuciła Nedowi spojrzenie znad czasopisma i przewróciła oczami. Mężczyzna uśmiechnął się, a potem przyglądał się, jak jego córka sygnalizuje znudzenie ich zabawą w katastrofę morską, obracając się na brzuch i zaczynając zbierać z talerza resztki sałatki ziemniaczanej.

Ned westchnął i ogarnęło go nagle uczucie tęsknoty. Łatwo było czasami łudzić się, jaką to wspinałą rodzinę tworzy ich trójka. Bywało, że bez trudu zapominał, iż wcale przecież nie są rodziną.

- Wszystko w porządku? - zapytała Debs.

- Taa - odparł Ned, przypominając sobie, kiedy po raz pierwszy spotkał się z Debs po tym, jak jego matka trzy lata temu umieściła - bez jego wiedzy - ogłoszenie w „The Lady”, szukając „kompetentnej i doświadczonej niani, przygotowanej na to, by opiekować się dwoma zaniedbanymi dziećmi: Clary, dwa latka, i Nedem, lat trzydzieści trzy”.

Mężczyzna przyjrzał się wodzie, która zbierała się na jednej z szyb. Mary, przez sześć lat żona Neda i mama Clary, zmarła rok przed tym, jak Debs zaczęła pracować dla Neda, tuż po pierwszych urodzinach Clary.

Następne dwanaście miesięcy radzenia sobie w pojedynkę było dla Neda niczym uwięzienie w oglądanym w przyspieszeniu filmie. Zmieniał pieluchy, rozkręcał nowy interes, pchał wózek, przygotowywał posiłki, budził się o szóstej i padał z wyczerpania o północy - a każda sprawa w oszalałym tempie. Wszystko to zbiło się w niewyraźną plamę i z żadnego z zadań nie potrafił porządnie się wywiązać. I czynił to wszystko, jednocześnie

walcząc z niemożliwą do wykonania próbą pogodzenia się ze śmiercią Mary.

Przybycie Debs uratowało przed nim samym zarówno jego, jak i Clare. Teraz był tego pewien i nie potrafił wyobrazić sobie bez niej życia. Dla jego dziecka była matką, a dla niego dobrym przyjacielem. Nawet jeśli nie stanowili rodziny, ich układ był naprawdę doskonałym rozwiązaniem, jeśli chodzi o małą.

- Czy w nocy jest tutaj strasznie? - zapytała nieoczekiwanie Clara, wyciągając z kartonowego pudełka pałeczkę chlebową i odgryzając jej koniuszek.

- Nie, kochanie - odparł Ned. - A dlaczego pytasz?

- Tommy Carey powiedział w szkole, że tu mieszkają duchy.

- Naprawdę? - Ned znał krążące wśród miejscowej ludności historie o ludziach, którzy zabili się tutaj, na górze. - No cóż, nie powinnaś wierzyć we wszystko, co mówi Tommy Carey - odpowiedział.

- Nie wierzę. To kłamczuch i wszyscy o tym wiedzą. - Używając pałeczki, Clara rysowała zygzakowaty wzór na powierzchni serowo - szczypiorowego dipu. - Co to takiego jest duch? - zapytała, nie podnosząc wzroku. - Poza tym, że jest przerażający.

- Tak naprawdę to nie wiem - odrzekł po namyśle Ned. - Nie wiem nawet, czy w ogóle w nie wierzę. Jest to chyba coś takiego, w co niektórzy ludzie zmieniają się po śmierci.

- Jacy ludzie?

- No cóż, ludzie, którzy byli nieszczęśliwi za życia. Clara zastanawiała się nad tym przez chwilę, przedłużając rysowany zygzak.

- Gdzie mieszkają duchy? - zapytała wreszcie.

Ned zerknął na Debs, lecz ona jedynie wzruszyła ramionami i przesłoniła twarz kolorowym magazynem. Popatrzył z powrotem na Clare, która przestała poruszać pałeczką i wyraźnie czekała na odpowiedź.

- Powiem ci, jeśli uda mi się jakiegoś zobaczyć - rzekł. Clara zaczęła nucić. Była to melodia z telewizji, z jakiegoś dziecięcego programu, ale Ned nie mógł sobie przypomnieć z którego. Nucenie ustało.

- A co z mamusią? - dociekała, nadal nie podnosząc głowy. - Gdzie ona mieszka?

Ned odpowiadał na to pytanie już z tysiąc razy.

- Mieszka w niebie - odparł. - Wiesz o tym.

Jednak nawet kiedy Ned wypowiadał te słowa, wiedział, że to nieprawda. Mary już nigdzie nie mieszkała. Mary nie żyła.

- Czy ona jest duchem?

- Nie, kochanie. Mamusia jest aniołem.

- Dlatego, że mamusia była szczęśliwa, kiedy jeszcze żyła?

- Tak, kochanie. Zgadza się.

- A ty? Będiesz duchem, kiedy umrzesz? - Spojrzała na niego po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy. - Ponieważ czasami jesteś nieszczęśliwy, prawda?

Nedowi zabrakło słów. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Claro - odezwała się Debs, opuszczając gazetę. - Powinniśmy chyba powoli zacząć się zbierać.

Nie zwracając na nią uwagi, dziewczynka przesunęła się po podłodze i przytuliła do Neda. Objęła go ramionami, jak tylko mogła sięgnąć, i oparła głowę na jego klatce piersiowej.

- Opowiedz mi o mamusi - poprosiła, tak jak czyniła to już tysiąc razy wcześniej. - Opowiedz mi o tym, jak ty i mamusia się poznaliście, a potem mieliście mnie.

Tak więc i uczynił. Podczas gdy Debs zajęła się sprzątnięciem po ich pikniku i pakowaniem do kosza talerzy i sztućców, Ned opowiadał Clarze o Mary.

Była to opowieść pełna niepodważalnych prawd, opowieść tak skonstruowana, by nie trzeba było zadawać żadnych pytań, opowieść, która mogła - i Ned miał nadzieję, że tak właśnie się stanie - zostać wzięta za dobrą monetę.

Mary Thomas była piękna, tak samo jak piękna jest teraz Clara. Mary była doskonałą malarką krajobrazów. Ned zakochał się w Mary, gdy tylko ujrzał ją po raz pierwszy, zanim jeszcze zdążył się do niej odezwać. Ned przyglądał się, jak Mary maluje przy sztalugach na przykościelnym cmentarzu, kiedy sam jako student pracował na pobliskiej wieży kościelnej. Mary i Ned umawiali się ze sobą do kina, restauracji i barów. Mary i Ned pokochali się z całego serca. Mary i Ned założyli wspólny interes. Mary i Ned wzięli ślub. Mary urodziła dziewczynkę i Ned został tatusiem, Mary zaś mamusią. A dzidzius mamusi i tatusia był najpiękniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widzieli, i dlatego postanowili dać jej na imię Clara, ponieważ

uważali, że jest to najpiękniejsze imię na świecie. I mamusia, i tatuś kochali Clarę z całego serca.

- Ale wtedy, kiedy wciąż byłaś małą dzidzią - Ned słyszał własne słowa, które kończyły tę opowieść, i przeczesał palcami włosy zasłuchanej córki - mamusia bardzo ciężko zachorowała... coś złego stało się z jej mózgiem... była to straszna choroba i nikt nie był w stanie jej pomóc, nawet lekarze.

- A potem umarła - odezwała się Clara.

- Tak. - Ned zastanawiał się, co dla Clary oznaczała śmierć jej matki. Sposób, w jaki o tym powiedziała, czynił to bardzo prostą, bardzo naturalną częścią życia.

- I poszła do nieba - zakończyła Clara.

Tyle że Ned nie wierzył w życie po śmierci, jedynie w życie, które Mary pozostawiła za sobą.

- Tak - powiedział do Clary.

- I teraz patrzy sobie stamtąd na nas.

- Każdego dnia - zapewnił swoją córkę.

- Jako anioł.

- Tak. - Ale Ned w anioły też nie wierzył.

- I pewnego dnia ponownie się z nią spotkamy.

- Tak - odparł Ned, nadal gładząc jej włosy. - Pewnego dnia tak się stanie.

Mężczyzna popatrzył na trawniki. Jednak kiedy to czynił, w jego spojrzeniu było coś twardego i nie miało to nic wspólnego z tęsknotą.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Na twarzy Jimmy'ego malował się gniew. Miał minę, jakiej nigdy nie widział w lustrze i której widok zaszokowałby go, gdyby kiedyś istotnie ją zobaczył. Było piątkowe popołudnie i szedł właśnie przez teren portu, niosąc w rękach dwa plastikowe wiadra z czterema żywymi homarami, i rozmyślał o swoim ojcu.

Jego tata, Ben Jones, nie zadzwonił zeszłego wieczoru, łamiąc tym samym swą obietnicę sprzed dwóch tygodni, kiedy to Jimmy i Rachel ostatnio z nim rozmawiali. Jimmy nie cierpiał myśleć o swoim ojcu. Wolał uważać siebie za silnego, a tęsknota za ojcem, którą odczuwał teraz, przeczyła temu wizerunkowi.

Niezależność. To zawsze powtarzał sobie Jimmy. Był niezależny od swego ojca. Nauczyła go tego konieczność. Nauczył się patrzeć w inną stronę, gdy tylko w jego głowie pojawiał się migoczący obraz twarzy jego ojca razem z jego obietnicami i marzeniami.

Ale dzisiaj był jeden z tych dni, kiedy Jimmy nie był w stanie otrząsnąć się z myśli o tacie. Tata. Chryste, już samo to słowo brzmiało jak jakiś okrutny żart. Wciąż miał poczucie fatum i niesprawiedliwości, które wżarło się w niego zeszłej nocy na urwisku. Jego twarz wciąż wyrażała gniew, gdy podniósł świeżo pomalowaną czarną zasuwę na bramie oddzielającej port od Quayside Row.

Nieszczególnie trudno było Jimmy'emu wytłumaczyć tę niecodzienną chwilę słabości, to odstępstwo od niezależnej postawy. Wargi miał słone od soli. Dłonie swędziały go i szczypały od czyszczenia makreli, a pozostałe na nich łuski zaczęły wysychać na wietrze i wkrótce zaczną odpadać niczym łuszcząca się skóra. Włosy miał wilgotne od morskiej wody, rozpryskującej się o dziób łodzi Arnolda Petersona, „Lucky Susan”, która pół godziny temu wpłynęła do portu. Kiedy Jimmy odwrócił się i zamknął za sobą bramę, w jego uszach pobrzmiwał stukot takielunków łodzi oraz chlupot wylewającej się z wiader wody.

Wszystkie te uczucia były ukryte w pamięci Jimmy'ego. Pozostawały tam od wielu lat, od kiedy siadał na nabrzeżu na wypaczonych deskach razem ze swoim tatą, a dwie pary nóg - długich i krótkich - zwisały w dół, gdy łowili kraby i małe ryby na przynętę w postaci mielonego mięsa.

Pamiętał, jak tata opowiadał mu, jak to pewnego dnia, kiedy Jimmy będzie już większy i silniejszy, przepłyną razem morze i

znajdą swój skarb. Tak jak sir Francis Drake. Zarekwirują dla siebie galeon i poześlują na Morze Karaibskie. A potem przyplyną ze skrzyniami pełnymi złota i królowa pasuje ich na rycerzy. I będą żyli długo i szczęśliwie, niczym jacyś królowie.

Jimmy zerknął na lekko wzburzoną wodę i miejsce, gdzie zacumowana była „Susan”. Arnie kupił tę łódź motorową dziesięć lat temu, kiedy europejski system kwotowy połowów rybackich pozwolił mu rozkręcić własny interes. Arnie znajdował się teraz na pokładzie, gdzie zajmował się zwijaniem dwóch wędek, na które przez ostatnie dwie godziny łowili w zatoce makrele, w przerwach między wyciąganiem puszek Arniego.

„Susan” miała kanarkowy kolor, niczym słodki sos z mleka, jajek i mąki, który od wieków babcia Jimmy'ego przygotowywała na podwieczorek w każdy piątek, a łysa głowa Arniego była zmatowiała i sucha niczym terakota. Mężczyzna pomachał do Jimmy'ego i uśmiechnął się szeroko, wołając do niego coś, co rozwiało się na wietrze.

Jimmy pragnął uśmiechnąć się w odpowiedzi, ale nie był w stanie. Zamiast tego wyraz twarzy zrobił mu się jeszcze bardziej gniewny, kiedy odwrócił się plecami do morza i ruszył w górę Quayside Row w kierunku miasteczka.

Na zarekwirowanie nie czekały już żadne galeony. Nie było skrzyń wypełnionych złotem do odnalezienia za morzem. Był jedynie jego tata, pełen gówna. A Jimmy'emu pozostało tylko to małe miasteczko i jego małe łódzie. I mimo że był już większy i silniejszy, wciąż tkwił tutaj niczym w jakimś zamknięciu.

Nigdy nie wybaczy tacie tych wszystkich jego kłamstw, tego, że udawał kogoś, kim nie był.

Jimmy usłyszał Scotta prędzej, niż go zobaczył. Odgłos stukających gwałtownie o szybę knykci sprawił, że chłopak wzdrygnął się i odwrócił. Woda przelała się ponad krawędzie wiader i ochlapała jego robocze dzinsy. W oknie domku sąsiadującego z domem Arniego Jimmy dojrzał najpierw twarz, a po chwili drzwi otworzyły się i na zewnątrz wyszedł Australijczyk.

- Cześć, Jimmy - odezwał się Scott, czyniąc krok naprzód i blokując mu drogę. Mężczyzna miał na sobie bawełnianą koszulkę, która trzepotała na wietrze, jakby coś żywego wierciło się na jego klatce piersiowej.



- Cześć - odparł Jimmy. Trzymane w dłoniach wiadra wydały mu się nagle bardzo ciężkie.

- Szukałem cię - oświadczył Scott, rzucając okiem na zawartość wiader. - Nie było cię w wypożyczalni, kiedy rano odniosłem film.

- Pracuję tam tylko na pół etatu.

- A tak przy okazji to podobał mi się. Film - wyjaśnił. - Udało ci się mnie zaskoczyć. - Ogarnięty niemożliwą do opanowania ciekawością, Scott pochylił się i zajrzał do wiader. Wyciągnął rękę i dotknął jednej pary związanych gumką szczypiec homara. - Pychotka - rzekł, przybierając mockneyowski akcent, tak jakby w jakiś sposób udało mu się przez dotyk poznać smak skorupiaka. - Choć, prawdę mówiąc, chuchro w porównaniu ze sztukami w moich rodzinnych stronach. - Zastanawiał się przez chwilę, po czym zapytał: - Są na sprzedaż?

- Już zamówione przez panią Driver z Grandu.

- Ach. - Scott wyprostował się. - Naszą prześwietną Cheryl.

Do świadomości Jimmy'ego niczym zamachowiec wdarła się twarz Verity. Jutro dziewczyna ma randkę z Dennyem Shaplandem.

Jimmy zadrżał, gdy podmuch wiatru przykleił mokre spodnie do jego ud. Zerknął w stronę High Street, gdzie na tle nieba rysowała się fasada Grandu.

Zupełnie nie miał ochoty zanosić tam homarów, zwłaszcza że mógłby natknąć się na Verity. Nie zniósłby tego, jeszcze nie teraz. Już wystarczająco ciężko było siedzieć z nią na tych samych lekcjach wczoraj i dziś rano. Nawet dobrze na niego nie spojrzała, nie mówiąc o podziękowaniu za płytę, którą dał jej na początku tygodnia. Czuł się wtedy wystarczająco paskudnie, bez potrzeby prezentowania Verity smrodu wnętrzości makreli poprzyklejanych do podeszew jego butów.

Jimmy odkaszlnął.

- Znasz ją? - zapytał. - Panią Driver?

- Tę panią niełatwo jest zapomnieć - odparł Scott z przebiegłym uśmiechem, pozostawiając Jimmy'ego w niepewności co do znaczenia jego słów. - Wszystkie te rzeczy, którymi się zajmujesz - ciągnął - wypożyczalnia i łódź... Z pewnością jesteś bardzo zajęтым facetem, a szkoda...

- Dlaczego szkoda?

- Powodem, dla którego cię szukałem, było to, że chciałem zaproponować ci pewną pracę...

Puls Jimmy'ego przyspieszył.

- Jaką pracę? - zapytał.

- Po tym jak ucieliśmy sobie wtedy pogawędkę, no wiesz, i jak ta kobieta w wypożyczalni wspomniała, że masz w planach pójście do szkoły filmowej... Pomyślałem sobie, że może miałbyś ochotę pomóc mi i Ellen w naszej robocie.

Radość, jakkolwiek Jimmy mógłby odczuwać na myśl o tej propozycji, została przygnieciona przez strach, do czego to wszystko może prowadzić. Było tak, jakby Scott nacisnął przycisk i między nimi zaczęła się opuszczać stalowa ściana.

- Nie sądzę... - rzekł Jimmy.

Ale Scott już mówił dalej, drapiąc się po nosie, wciąwszy się Jimmy'emu w połowie zdania:

- Oczywiście rozumiem, jeśli czujesz, że masz już za dużo na głowie albo że jest to zbyt duża odpowiedzialność dla kogoś, kto wciąż chodzi do szkoły, i tak dalej...

W chwili gdy przestał mówić, w oczach Scotta obecny był blask, tak jakby mężczyzna rzucał Jimmy'emu wyzwanie. Przypominał mu tym Ryana i sposób, w jaki jego przyjaciel zawsze postępował, gdy miał plan, o którym wiedział, że będzie Jimmy'ego rajcował, jeśli ten da mu tylko szansę. Spojrzenie w stylu Butcha i Sundance'a, tak zawsze myślał o nim Jimmy, to, które wymienili między sobą Redford i Newman, zanim w filmie spięli konie nad wąwozem.

Scott zarzucał na niego wędkę i Jimmy doskonale to widział. Tak samo jak to było w przypadku Arniego i jego puszek na homary, tyle że tutaj to Scott wykładał przynętę i zapraszał Jimmy'ego do wejścia do środka.

- Z drugiej jednak strony - kontynuował mężczyzna - może to jest właśnie to, czego ci potrzeba. Chodzi mi o to, że plusy tej sytuacji są naprawdę spore. Uczysz się wszystkiego

o kręceniu programu dokumentalnego. Otrzymujesz porządne zaplecze, które możesz zabrać ze sobą do szkoły filmowej, a które, kto wie, nawet pomoże ci się tam dostać, i, no cóż, kto wie, gdzie to cię może zaprowadzić, no nie?

Jimmy wiedział, że powinien stanowczo odrzucić propozycję Australijczyka. Zapomnieć o swych związanych z przyszłością

ambicjach. Zbyt mocno przeważały niebezpieczeństwa, kryjące się w przeszłości. Już sam fakt, że Scott i Ellen znaleźli się tutaj, by badać historię Wzgórza Straconych Dusz, powinien podziałać na niego zniechęcająco.

Ale jednocześnie Jimmy pragnął tego. Pragnął tego, ponieważ była to szansa, o jakiej marzył od lat, siedząc w swoim pokoju w Carlton Court, ślęcząc nad magazynami filmowymi i podniszczonymi tomami Halliwell's. Pragnął tego, ponieważ to uczyniłoby go kimś. I pragnął tego także dlatego, że to pozwoliłoby mu udowodnić coś, w co tak desperacko chciał wierzyć: że wszystko jest możliwe, nawet w jego przypadku.

Masz wszystko pod kontrolą, przypomniał sobie ponownie Jimmy. Nikt nie może zajrzeć do twoich myśli. Nikt cię nie zmusi do mówienia o tym, co widziałeś, ani o tym, co zrobiłeś.

Stalowa ściana w jego umyśle powoli zaczęła się unosić. Zapomnij o tacie. Zapomnij o porażkach. Zapomnij o przeszłości.

- Do czego w takim razie byłbym potrzebny? - zapytał, stawiając wreszcie wiadra na ziemi.

- Trochę do tego, trochę do tamtego. Wiesz co - zaproponował Scott - polecę po kurtkę, a potem odprowadzę cię do hotelu. I tak mam coś do załatwienia w mieście.

- Czemu nie? - odparł Jimmy, wsuwając kciuki do kieszeni dżinsów.

Gdy Scott zniknął w domku, Jimmy pozostał na miejscu i zerknął za nim przez otwarte drzwi. Był już kiedyś w środku, ponad dziesięć lat temu. Jego babcia zajmowała się sprzątaniami w firmie wynajmującej domki, włączając w to także i ten, i Jimmy często dotrzymywał jej towarzystwa w wakacje, gdy nie było nikogo, kto mógłby się nim opiekować.

Co z tego pamiętał? Babcie nuciącą te wszystkie stare jazzowe kawałki, które tak bardzo lubiła? Śpiewającą piosenki o Dinah z Karoliny i Honeysuckle Rose? Ściągającą pościel z łóżek, jakby była jakimś wspaniałym magikiem, który sprawia, że przed oczami nie dowierzającej publiczności na scenie pojawia się słoń? Albo po prostu porządnie szorującą podłogę w kuchni, podczas gdy on - ile mógł mieć wtedy lat? Cztery lub pięć? - łaził za nią bądź wchodził jej pod nogi, budując sobie legowisko w jadalni, łącząc razem fotele i przykrywając je prześcieradłami i ręcznikami.

Te wspomnienia wywołały w Jimmym uczucie żalu, że tamte chwile już nigdy się nie powtórzą. Odwrócił się. Niecałe sto metrów od lądu dostrzegł zacumowaną łódź ratunkową, na przemian zanurzającą się i wynurzającą z huśtających fal.

W ciągu ostatnich kilku nocy nie spał zbyt dobrze: nawiedzały go koszmary o Ryanie, budząc go, nie pozwalając wyłączyć światła i z powrotem zasnąć. Zeszłej nocy około czwartej nad ranem - niebo za oknem przecinały błyskawice - siedział w salonie i obserwował czerwoną furtę oraz zielone światła na prawej burcie tej właśnie łodzi ratunkowej, wypływającej w nekane sztormem morze.

Uśmiechnął się, zadowolony, że teraz jest jasno, że noc się skończyła i że łódź bezpiecznie dobiła do brzegu.

Zamknawszy na klucz drzwi domku, Scott dołączył do Jimmy'ego i ujął pałąk jednego z wiader. Zaczekał, aż Jimmy podniesie z ziemi drugie, a potem wspólnie ruszyli w górę ścieżki.

- No dobra, pozwól, że zapoznam cię z tym, co robimy. Jest to część serii o sławnych miejscach, której produkcji podjęła się firma Ellen - zaczął Scott, po czym streścił Jimmy'emu pomysł serialu i szczegółowo omówił, dlaczego on i Ellen tak bardzo interesują się Wzgórzem Straconych Dusz.

Scott mówił dalej, a Jimmy słuchał i nie przerywał mu. Tak właśnie powinno się zachowywać podczas spotkań w sprawie pracy, prawda? Roztaczać też wokół siebie aurę zaufania... czy nie tak to się robi?

- Mamy zamiar porozmawiać także z ludźmi z miasteczka... - kontynuował Scott kilka minut później, kiedy zatrzymali się na kilkusekundowy odpoczynek i przyglądali Crackwell Street - ...i nakręcić trochę materiału, a potem dołączyć do tego odpowiedni komentarz. Następnie pojawi się kilka krótkich, filmowych rekonstrukcji zdarzeń związanych z legendą. Nikczemny kochanek znikający w ciemnościach nocy; zrozpaczona wiktoriańska dziewczyna rzucająca się z urwiska. I proszę bardzo! Rodzi się legenda. Łapiesz, o co mi biega, no nie?

- Będą więc wam potrzebni aktorzy? - zapytał Jimmy. Trzymał teraz wiadro w obu rękach, gdyż wspinali się stromą ścieżką w kierunku High Street. - Do tych filmowych rekonstrukcji...

To były pierwsze słowa Jimmy'ego, odkąd Scott rozpoczął swoją żarliwą przemowę. Usłyszawszy, że jego własny głos brzmi tak

normalnie w tej dziwacznej sytuacji, Jimmy nabrał pewności siebie, by powiedzieć coś jeszcze. Postanowił nawet zaryzykować i zażartować.

- Pozwól mi zgadnąć - rzekł. - Kate i Leonardo zabijają się o tę robotę.

- Świetnie. - Scott się zaśmiał. - Nie, Jimmy, kolego, mamy zamiar rozejrzeć się za naszymi aktorami nieco bliżej. - Kiwnął głową w kierunku drzwi. - Wiesz, że organizują ten koncert upamiętniający czy jak mu tam, by zebrać fundusze?

Jimmy poczuł, że ściska mu się żołądek, ale jakoś udało mu się zachować neutralne brzmienie głosu.

- Widziałem ulotkę - odparł krótko.

- To dobrze. No cóż, mamy zamiar udać się tam i wybrać obsadę. Role nie wymagające kwestii mówionych, oczywiście, w przeciwnym wypadku weszlibyśmy w konflikt ze związkiem zawodowym aktorów. - Scott zaśmiał się.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał Jimmy.

- E, z niczego - odrzekł z westchnieniem Australijczyk. - Chodzi o to, że ta Cheryl Driver ma podobno jakąś śpiewającą i w ogóle niezwykle utalentowaną córeczkę i twierdzi, że byłaby ona dla nas wprost idealna. Do roli tej wiktoriańskiej dziewczyny, która popełniła samobójstwo. Nie mogę się doczekać, by ją poznać. Pewnie to jej nieodrodna córka.

Jimmy popatrzył na swoje buty. Przez jego głowę przemknęły różne możliwości. Widział Scotta, Ellen i siebie podczas kręcenia, a u swego boku ujrzał także Verity... Jednak po chwili przypomniał sobie o randce Verity z Dennym i zastanowił się, czy w ogóle pojawi się ona na jutrzejszych przesłuchaniach.

- Ale wracając do interesów - odezwał się Scott. - Chodzi o to, Jimmy, że nasz budżet jest naprawdę gówniany. Nie mamy dźwiękowca na pełen etat... ani asystenta produkcji. Nawet ja i Ellen jesteśmy zatrudnieni jedynie na pół etatu. Będziemy pracować jako tandem, w stylu ekipy wiadomości, wiesz? - Scott zerknął na Jimmy'ego.

- Jasne - zablefował Jimmy, tak naprawdę nie rozumiejąc, co jego towarzysz ma na myśli.

- I będziemy potrzebować kogoś, kto doraźnie mógłby do nas dołączać. Chwytasz, o co mi chodzi? Do robienia klapsów

niezbędnych przy montażu kolejnych ujęć, tego typu spraw - kontynuował, a jego oddech stał się ciężki, gdy zbliżali się do końca stromej uliczki. - Także trochę roboty technicznej, ale bez obawy, szybko się w tym wszystkim połapiesz. No i praca w ramach ogólnej pomocy. Taki chłopiec na posyłki: ja i Ellen wołamy, że czegoś potrzebujemy, a ty tego szukasz.

- I to wszystko? - zapytał Jimmy, gdy wreszcie znaleźli się na High Street.

Scott zaśmiał się.

- Jeśli nazywasz to wszystkim, w takim razie naprawdę dużo się musisz nauczyć przed pójściem do szkoły filmowej.

Mężczyzna postawił wiadro na chodniku i odwrócił się tak, by stanąć twarzą do Jimmy'ego. Odkaslnął.

- Ellen prosiła, bym cię o coś spytał - rzekł, opierając dłonie na biodrach. - Chcę tylko, byś wiedział, że nie ma to nic wspólnego z moją propozycją pracy. Ponieważ mogę cię zapewnić, że tak nie jest.

- Co takiego? - zapytał Jimmy.

- Ten dzieciak, pamięci którego organizowany jest koncert, ten, który wplątał się w narkotyki i popełnił samobójstwo w skradzionym samochodzie - zaczął Scott.

- Ryan.

Imię to rozbrzmiało w głowie Jimmy'ego niczym dzwon. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni wypowiedział je na głos. Nikt z jego znajomych nie rozmawiał już o Ryanie. I Jimmy wiedział, że nie jest ani odrobinę lepszy od nich. Nie poszedł nawet odwiedzić rodziców Ryana po pogrzebie, mimo że obiecał to jego mamie i siostrze i mimo że mieszkali zaledwie na drugim końcu miasta. Ale nie wiedział, co ma im powiedzieć. Co mówi się do rodziców o ich nieżyjącym synu?

- Ryan - powtórzył Jimmy, prawie jakby to była pokuta. - Na imię miał Ryan.

- Był w takim razie twoim kumplem?

Jimmy raz przeszedł tamtędy, obok segmentowego domu rodziców Ryana, jakiś miesiąc po pogrzebie. Jednak nie wszedł do środka. Jedyne, co był w stanie zrobić, to wyobrazić ich sobie takich, jacy byli tamtego dnia w Krematorium Stanfielda. Jimmy nigdy nie zapomni braku zrozumienia, jaki dostrzegł w ich oczach, ani ich pozbawionych wyrazu spojrzeń, gdy przechodzili - chociaż bardziej

jakby płynęli - przez kościół do pierwszej ławki. Lunatycy, pomyślał wtedy Jimmy. Jakby nic z tego, co się zdarzyło, nie wydawało się im realne.

- Był moim najlepszym przyjacielem - powiedział do Scotta.

Po pogrzebie w przykościelnej sali przy St Mary Street, gdy przyjaciele i rodzina Ryana skubali herbatniki i przegryzali kanapki, popijając je słabą herbatą, Jimmy dojrzał zmianę, jaka zaszła w ojcu Ryana. I właśnie to wspomnienie - ogień w wilgotnych oczach - najbardziej utkwilo w pamięci Jimmy'ego. Ponieważ wiedział z absolutną pewnością, co on oznaczał. To nie był gniew. To nie był żal. To wstyd był powodem łez ojca Ryana i to wstyd nie pozwalał im się zatrzymać. Ten człowiek wstydził się tego, co zrobił jego syn, i wstydził się tego, że nie potrafił go przed tym powstrzymać.

Wtedy właśnie Jimmy wstał i wymknął się z przykościelnej sali na ulicę. Wtedy właśnie zaczął biec. I nie przestał biec, dopóki nie dotarł do Wraku i nie skulił się w jego kącie, zarzuciwszy koc na drżące ramiona.

Jednak głównie chodziło o to, że nie został wtedy, by powstrzymać łzy ojca Ryana, mimo że wiedział o czymś, co mogło wszystko zmienić, o czymś, czego wówczas nie miał odwagi powiedzieć i czego nie miał odwagi powiedzieć teraz.

- Przykro mi. - Jimmy usłyszał słowa Scotta. - Z powodu tego, co mu się przytrafiło. Nie ma nic gorszego, niż stracić kogoś, na kim ci zależy. Banalnie brzmi, wiem, ale naprawdę tak myślę.

Jimmy poczuł, że twarz mu tężeje, jakby była maską, którą nosił zbyt długo i która zaczynała pękać. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Odczuwał taki sam wstyd, jaki dręczył ojca Ryana. Mógł powstrzymać Ryana. Wiedział, że mógł to zrobić. Gdyby zachował się w stosunku do niego inaczej... gdyby tylko mu się postawił i uratował go przed nim samym... wtedy Ryan mógłby nadal żyć.

- Powodem, dla którego wspomniałem o nim... O Ryaniu - poprawił się szybko Scott. - Powodem, dla którego wspomniałem o Ryaniu, jest to, że Ellen chciała, bym cię o niego zapytał. Ponieważ jesteście w tym samym wieku i ona przypuszczała, całkiem trafnie, jak się okazuje, że mogłeś go znać i dzięki temu wiedzieć, co go do tego skłoniło.

- Przyjemny i pikantny dodatek do waszej historii - odparł gorzko Jimmy.

- Nie, Jimmy. To nie ten powód. Ellen chce, by to, co tutaj robimy, było wierne. Mamy zamiar przeprowadzić małe śledztwo na temat ludzi, którzy popełnili tam na górze samobójstwo, i nie chcemy opowiadać o nich czegoś, co nie jest prawdą.

Jimmy zakrył dłonią oczy, gdy w jego głowie ukazał się wyraźny obraz: morze widziane nocą ze Wzgórza Straconych Dusz, ślizgające się chciwie po znajdujących się poniżej skałach, tak czarne i kleiste jak smoła. Ten sam widok pojawiał się w jego nocnych koszmarach: potężne, czarne usta morza, otwierające się, by połknąć go w całości, fale dosięgające go niczym zimne, mokre palce i języki, wysuwające się, by go do siebie przyciągnąć. Jego oddech zrobił się płytki.

- Dobrze się czujesz? - usłyszał pytanie Scotta.

Jimmy zamrugał kilkakrotnie, a kiedy otworzył oczy, obraz zniknął.

- Źle to zrozumieli - rzekł krótko. Powiedział to, zanim był w stanie się powstrzymać. - To, co się przytrafiło Ryanowi...

- Co? - zapytał Scott. - To znaczy, że nie był narkomanem?

Jimmy popatrzył na rynsztok.

- Nie był w depresji - odparł. - Nie był w depresji wywołanej narkotykami. Nie dlatego zginął.

- W takim razie dlaczego to zrobił? - dociekał Scott.

- Nie wiem. Nikt tego nie wie. Dlatego właśnie wszyscy rozpowiadają o nim te kompletne brednie.

Jimmy schylił się i podniósł wiadro niesione wcześniej przez Scotta. Wiedział, że nie ma już o czym rozmawiać i że przesłuchanie skończone. Spieprzył to na całego. Nie przekazał Scottowi żadnych użytecznych informacji, a Australijczyk nie może się pewnie doczekać, kiedy sobie pójdzie po tym, jak się przed chwilą zachował. Pomyślał jednak, że przynajmniej nie będzie musiał ponownie rozmawiać ze Scottem czy Ellen o Ryanie.

Ale Scott jeszcze nie skończył.

- W tej sytuacji nie ma się nad czym rozwodzić, prawda? Powiem Ellen to, co ty powiedziałaś mnie. I tak to pozostawimy: że zagadką jest, dlaczego Ryan to zrobił, i wiemy jedynie to, że to zrobił, i kropka.

Jimmy potrząsnął głową.

- Lepiej już pójde - rzekł, czyniąc krok naprzód.

- A praca? - zapytał Scott. Jimmy zatrzymał się.



- To znaczy?

- Nadal jesteś zainteresowany?

Jimmy próbował wyczytać z twarzy Scotta, czy przypadkiem sobie nie żartuje.

- Mówisz poważnie? - zapytał wreszcie.

- Jak najbardziej.

Ponownie się pojawiło: to spojrzenie Butcha i Sundance'a, ponownie ten związek między Scottem i Ryanem.

- I byłoby dobrze, gdybyś nie zwlekał z podjęciem decyzji, abyś mógł do nas dołączyć podczas jutrzejszych przesłuchań i mieć lepsze rozeznanie w tym, co będziemy robić.

Jimmy wpatrywał się w uwięzione w wiadrach homary, wiedząc, że w głębi duszy decyzja została już podjęta.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cóż to za piękność! - wykrzyknął Russell Driver, trzymając w dłoniach jednego z homarów, które wcześniej Jimmy dostarczył do kuchni, podczas gdy obładowana torbami Verity weszła do środka tylnymi drzwiami.

Piątkowe szaleństwo w sklepach po szkole z Trezą to były zawody w wydawaniu większości jej oszczędności, by znaleźć strój, który jutro zrobi wrażenie na Denny. Dzięki Trezie wróciła z kilkoma wypchanymi reklamówkami, których uchwyty wbijały się teraz w jej dłonie.

- Wygląda na to, że ktoś ma gorącą randkę - rzucił jej ojciec, manipulując homarem w pozbawionej smaku próbie brzuchomówstwa. Rudi, kucharz, i Goran, jego pomocnik, z których żaden nie mówił ani słowa po angielsku, głośno zachichotali.

- Przestań, Russell! - zganiła go Cheryl, patrząc na męża z ukosa, jakby przekomarzanie się z Verity było jakimś okrucieństwem.

Verity odstawiła torby i popatrzyła na swoich rodziców, czując złowróżbne zakłopotanie. Czy kiedykolwiek będzie w stanie przedstawić ich Denny'emu? Uzna ich za strasznych. I będzie miał rację.

Odkąd Verity spotkała się z nim przedwczoraj, myśli takie jak ta nie dawały jej w nocy zasnąć. A jeśli nie jest po prostu zbyt dobra dla Denny'ego? Jeśli nie będzie w stanie sprostać jego oczekiwaniom? Wydawało jej się, że wszystko dzieje się tak szybko.

W środę po południu przechodziła właśnie koło apteki, będąc w drodze do domu swego nauczyciela gry na pianinie, kiedy zobaczyła, jak Denny przejeżdża obok na swym motorze. Zamachała do niego i zawołała go po imieniu, jednak wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje, gdy uczynił na ulicy nagły zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, zatrzymał motor tuż przy niej i szybko ściągnął kask.

Nie zdążył się jeszcze przywitać, a już przyciągnął ją do siebie.

- Będę po ciebie w sobotę o siódmej - odezwał się zachrypniętym głosem, całując ją w policzek, jakby chodzili ze sobą od wieków. - Wystrój się, jeśli chcesz. Mam w planach coś wyjątkowego.

Była tak zaszokowana, że zdołała jedynie skinąć głową, dotykając palcem twarzy w miejscu, w którym ją pocałował.

- Nie mogę się doczekać - udało jej się wydukać.

- Ja też. - Potem mrugnął do niej i uśmiechnął się, a Verity poczuła, jakby się cała w środku rozjaśniła. - Do zobaczenia wkrótce, moja piękna - dodał.

Nalozyl z powrotem kask i trzymając jedną rękę w górze, szybko się od niej oddalił. Verity rozejrzała się, zdumiona tym, że wszyscy zachowują się zupełnie normalnie, jakby nie wydarzyło się właśnie coś zadziwiającego.

I w tamtej chwili zaczęła wierzyć w to, o czym jej serce śmiało zaledwie marzyć: że Denny Shapland będzie jej pierwszą, prawdziwą miłością.

A teraz z rozpaczą patrzyła na rodziców: jej ojciec dalej udawał, że rozmawia z homarem, a matka opierała się o ladę i pospiesznie kończyła miskę makaronu i sałatkę, jedząc w sposób nienaturalnie głośny.

Verity nie wspomniała im wcześniej ani słowem o Denny, uznała jednak, że równie dobrze może to zrobić teraz.

- Istotnie, wybieram się na randkę - odezwała się. Kąciki ust Russella opadły. Spojrzał ze zdziwieniem na Cheryl, która z kolei otarła usta papierową serwetką.

- Jutro wieczorem. Tak dla waszej informacji.

Nie czekając na odpowiedź, Verity podniosła z podłogi torby i skierowała się ku schodom.

- Natychmiast się zatrzymaj - zażądała Cheryl. Verity zamarła i zjeżyły jej się włoski na karku. Zbyt dobrze znała ten szczególny ton dezaprobaty w głosie swej matki. O co chodziło tym razem? Hiszpańska inkwizycja wymierzona w jej partnera? Dokładnie tak właśnie zrobiła jej matka, gdy Verity miała szesnaście lat i po raz pierwszy umówiła się ze Stephenem Blacksem.

Nie zadowolwszy się przepytaniem Verity, dodatkowo zbombardowała gradem pytań pierwszego chłopaka swej córki. W rezultacie dziewczyna została porzucona, a Stephen rozgłosił w szkole, że matka Verity jest gorsza od gestapo i że każdy obdarzony odrobiną rozumu chłopak za wszelką cenę powinien unikać umawiania się z Verity.

No cóż, coś takiego już nigdy się nie zdarzy. A już na pewno nie w przypadku Denny'ego.

Verity odwróciła się powoli.

- Nie możesz pójść na randkę - oświadczyła Cheryl, składając serwetkę i wygladzając ją zdecydowanym ruchem dłoni. - Idziesz na przesłuchania na koncert dobroczynny.

- Co?

Cheryl wsunęła palec do ust i z tylnych zębów usunęła resztki jedzenia.

- Powiedziałam już Clive'owi, że się zjawisz.

- Clive'owi? Przecież ty go nie cierpisz.

- Nieprawda - odparła Cheryl, wstając i wkładając blezer, który wisiał na brzegu otwartego kartonu. - Jest bardzo życzliwie nastawiony. Zgadza się, że będzie to dla ciebie doskonała okazja do pokazania się.

Verity nie była w stanie uwierzyć w to, co słyszy.

- Mamo - rzekła z niedowierzaniem. - Proszę, powiedz mi, że nie mówisz tego poważnie.

- Jak najbardziej poważnie. To istotne, byś reprezentowała nasze miasto - odparła Cheryl, obciągając blezer.

- Ale mówiłaś, że ten koncert dobroczynny to strata czasu - zripostowała Verity, zdumiona dwulicowością swej matki.

- Powiedziałaś, że żadna liczba stołów do tenisa nie powstrzyma ćpunów takich jak Ryan przez zabiciem się.

- Tak, no cóż, to było, zanim się dowiedziałam, że ten koncert będzie pokazany w telewizji. Tak się składa, iż wiem, że Ellen Morris będzie go filmować - odparowała z zadowoleniem Cheryl. - I jutro wieczorem będzie wybierać tych, którzy wystąpią w jej programie dokumentalnym. Jeśli się tam nie zjawisz, to cię nie wybierze.

- A dlaczego sądzisz, że chcę zostać wybrana?

- Nie rozmawiaj ze mną tym tonem. Byłoby farsą, gdyby wybrano kogoś innego. Po tym wszystkim, co twój ojciec i ja poświęciliśmy, byś mogła brać lekcje muzyki i aktorstwa, masz oto darmowy bilet do ogólnokrajowej telewizji, a ty przybierasz taki ton.

Verity czuła, jak zaczyna wzbierać w niej gniew. Tak działała na nią niesamowita wprost arogancja jej matki.

- Jesteś taką hipokrytką - rzuciła, niezadowolona z tego, że łamie jej się głos. Była pełna determinacji, by nie rozplakać się przy matce. Gdyby zdradziła się ze swoimi uczuciami, jej matka wygrałaby. - Nienawidziłaś Ryana i wszystkiego, co się z nim wiązało. Cieszyłaś się, kiedy umarł. Powiedziałaś nawet, że zasłużył sobie na to.

Cheryl gwałtownie wciągnęła powietrze, a Verity zrozumiała tym samym, że trafiła w dziesiątkę.

- Nieprawda - odparła Cheryl głosem nabrzmiałym wściekłością, jednak policzki miała czerwone. Verity popatrzyła na matkę i uniosła wyzywająco brwi, ale Cheryl wskazała na nią palcem w sposób równie wyzywający. - Verity Driver, weźmiesz udział w tym koncercie. Będiesz reprezentować tę rodzinę i to miasto i pokażesz, co czujemy w stosunku do tego biednego chłopca...

- Jesteś tak pełna... - zaczęła szyderczo Verity.

- Co? - przerwała jej matka. - Co powiedziałaś?

- Nie możesz mnie zmusić - rzuciła Verity, chwytając torby.

- Panie, panie - wtrącił się Russell, machając homarem między swoją żoną i córką niczym czerwoną kartką.

- Zamknij się, Russell! - warknęła Cheryl i powstrzymując gniew, szarpnęła głową z taką mocą, że Verity cofnęła się o krok na wypadek, gdyby jej matka straciła w końcu panowanie nad sobą i rzuciła się na nią. - Dopóki mieszkasz pod tym dachem, mogę cię zmusić i zrobię to. - Wpatrywała się w Verity lodowatym wzrokiem. - Weźmiesz udział w tym koncercie, czy tego chcesz, czy nie. Ponieważ jeśli tego nie zrobisz... - Cheryl uniosła dłoń przed twarz Verity i zaczęła wyliczać na palcach: - Nie będzie kursu prawa jazdy, zero kieszonkowego i możesz zapomnieć o innych randkach, teraz i w przyszłości. Zrozumiano?

Na górze w swoim pokoju Verity cisnęła wszystkie torby w kąt i rzuciła się niczym spadochroniarz na królewskiej wielkości łóżko. Ukryła twarz w stercie jasnoniebieskich poduszek w kratkę i pluszowych maskotkach, po czym krzyczała, dopóki jej płuca nie zaczęły płonąć z braku powietrza.

Następnie otarła usta wierzchem dłoni - policzki miała tak czerwone, jakby właśnie nadmuchała sto balonów - skierowała pilota w kierunku wieży i wciskała przycisk głośności tak długo, aż szyby w oknach zaczęły drżeć od jej ulubionej piosenki na płycie, którą dostała od Jimmy'ego. Odkąd Treza przegrała ją sobie, oświadczając, że jest to świetna składanka, Verity słuchała jej właściwie na okrągło. Jimmy może i jest dziwadłem, ale przynajmniej dziwadłem z dobrym gustem muzycznym.

Przysiadła na skraju łóżka, dłonie wcisnęła pod uda i wpatrywała się w siedzące na parapecie, niczego nieświadome mewy, których

pióra rozwiewał wiatr. Wiedziała, że zachowuje się dziecinnie, ale nic ją to nie obchodziło. Wiedziała też, że przy tak głośnej muzyce jedynie kwestią minut było przyjście kogoś na górę i nakazanie jej ściszenia. Ale do tego czasu pragnęła wszystko zagłuszyć.

Jak to się mogło stać? Ze wszystkich rzeczy, jakie mogły zniweczyć jej randkę, ten głupi koncert dobroczynny był ostatnią, której się spodziewała. Jednak wiedziała, że nie ma sensu przeciwstawiać się matce. Miała już okazję się przekonać, jak bardzo nieprzyjemna potrafi być Cheryl, kiedy coś pójdzie nie po jej myśli.

Ale co ona teraz powie Denny'emu? Jak ma odwołać ich pierwszą randkę, by nie uznał jej za kompletne dziecko? Verity zamknęła oczy, czując, że zalewa ją ogromna fala nienawiści do własnej matki.

Nie istniało dobre rozwiązanie. Gdyby powiedziała Denny'emu prawdę, uznalby ją za żalostną. Gdyby skłamała, i tak pewnie by się wydało. Ktoś powiedziałby mu, że była na przesłuchaniach, i wtedy wyszłaby na jeszcze większą idiotkę.

Powoli przeszła do łazienki, zamknęła drzwi i wspięła się na swoje siedzisko na parapecie, otulając się kocem. Na zewnątrz zaczynało się ściemniać i nad wysokim klifem Verity dostrzegła zarys fluorescencyjnego, zielonego latawca, który widywała często już wcześniej. Podążyła za nim wzrokiem, wpatrując się jak urzeczona, jak schodzi w dół i zakręca łukiem w wiejącym nad klifem wietrze. Zastanawiała się, kto go tam puszcza. Widok z tamtego miejsca musi zapierać dech w piersiach. Być może sama powinna się tam udać i pozwolić, by wiatr rozjaśnił jej w głowie. Tak właśnie robi: pójdzie tam, najlepiej od razu.

Kiedy otworzyła drzwi od łazienki, omal nie umarła z przerażenia, dostrzegając sylwetkę ojca.

- Pukałem, ale nie słyszałaś! - zawołał.

Verity z wściekłością precyzyjnie przycisnęła się obok niego, chwyciła za pilota i wyłączyła muzykę. Jak śmiał wdzierać się w ten sposób na jej teren?

- Wszystko dobrze? - chciał wiedzieć ojciec.

- Świetnie - odwarknęła, ignorując jego badawcze, życzliwe spojrzenie. Ostatnie, na co miała ochotę, to rozmowa od serca.

- Czy w takim razie pojedziesz zawieźć ze mną butelki? - zapytał z nadzieją w głosie. - Zanim się zacznie wieczorny ruch?

Nowy podmiejski supermarket usytuowany był tuż przy niedawno ukończonej obwodnicy. Przestronny parking zajęty był tylko w połowie, gdy Russell Driver wjechał na jego teren białym vanem, wykorzystywanym właśnie do takich celów, i skierował się w stronę znajdujących się w odległym rogu wielkich, metalowych kontenerów na butelki.

Verity siedziała z nieszczęśliwą miną obok ojca. Ze swego miejsca widziała nową szosę, rozciągającą się niczym sznur żółtych lampek choinkowych. Za nią leżało miasto otoczone niezbyt jasną poświatą, a jeszcze dalej w rzędy świateł wcinał się nagle klin ciemnego morza. W znacznej odległości widać było balansującą na wodzie łódź, ulotną niczym gwiazda.

Russell, zawsze chętny, by ułagodzić wszystkich po kłótni, zachowywał się jak pies próbujący zwrócić na siebie uwagę. Pogwizdywał radośnie, wyładowując z vana kartony i ustawiając je w rzędzie. Potem otworzył drzwi od strony pasażera i uśmiechnął się do Verity.

- Ty weź się za czerwone, a ja zacznę od białych, dobrze? - zaproponował, wskazując na kartony.

Verity wysiadła z samochodu. Kochała swojego tatę i nigdy nie przestanie, okazało się jednak, że nie jest on dla niej zbyt wielkim wzorem do naśladowania, pomyślała posepnie. Byłoby naprawdę w porządku, gdyby raz na jakiś czas postawił się matce. Irytowało ją to, że pozwalał żonie rządzić sobą. Kim jednak była, by go osądzać? Ona także nie przeciwstawiła się matce, nie może więc winić ojca za to, że wybiera prostsze życie.

- Ładny wieczór, no nie? - zagaił ojciec, gdy wzięła do ręki pierwszą pustą butelkę.

Verity przyłożyła butelkę do otoczonego gumą otworu z boku kontenera i cisnęła nią do środka z taką siłą, że szkło rozprysło się na samym dnie. Wiedziała, że ojciec uważnie ją obserwuje, ale nie odezwała się ani słowem.

Wreszcie Russell odkaszlnął głośno i Verity spojrzała na niego. Stał i przyglądał się naklejce na pustej butelce od szampana.

- Wiesz, twoja matka i ja byliśmy bardzo młodzi, kiedy się poznaliśmy - odezwał się, zerkając na nią.

O Boże, błagam, tylko nie to, pomyślała Verity, pragnąc, by zostawił ten temat w spokoju.

- Na początku było wiele komplikacji. Nasi rodzice wtrącali się na okrągło. - Russell zaśmiał się krótko i nerwowo i w tej chwili Verity zrozumiała, że to matka nakłoniła do tego ojca. Była w stanie wyobrazić sobie, jak mu zrzędzi: „Porozmawiaj z nią, Russell. Ty jakoś potrafisz do niej dotrzeć. Pokaż jej, że nie jesteśmy tacy źli...”

Tak jakby to mogło coś pomóc! Verity z jeszcze większą siłą wrzuciła do kontenera następną butelkę.

Nie odezwał się, czekając, aż zamilknie echo roztrzaskującego się szkła. Po chwili zbliżył się do niej.

- Ten chłopiec... - zaczął z wahaniem.

- On nie jest chłopcem, tato - zaprotestowała Verity.

- No cóż, wiesz, o co mi chodzi - zająknął się. - On zrozumie, no wiesz, gdy powiesz mu prawdę.

- Nie zrozumie - warknęła Verity, wściekła na ojca, że ma czelność się wtrącać, ale jednocześnie poczuła ulgę, że poruszył właśnie tę kwestię, która obsesyjnie ją zżerała.

- Nie pojmujesz? - Jej ojciec wyraźnie nie potrafił swobodnie rozmawiać na ten temat. - Pomyśli, że grasz trudną do zdobycia. Jeszcze bardziej będzie mu na tobie zależało, uwierz mi.

Verity wiedziała, że jej ojciec chce dla niej jak najlepiej, ale co on w ogóle wiedział o Dennym? Czy ojciec nie połapał się jeszcze, że jest ostatnią osobą w całym wszechświecie, do której Verity kiedykolwiek zwróciłaby się po radę w kwestii miłosnej?

Było jednak oczywiste, że nie miał o tym pojęcia. Interpretując jej milczenie jako oznakę, że dokądś to zmierza, wyprostował się i zaśmiał konspiracyjnie.

- Ta twoja mama! - zachichotał. - Całe miesiące trwało, nim udało mi się z nią umówić. Zawsze miała jakieś wymówki, jednak nigdy mnie to nie zniechęciło. A teraz popatrz na nas. Po tym wszystkim, przez co musieliśmy przejść. Nie jesteśmy może idealni, ale jednak jesteśmy. - Westchnął nad swoim losem pantoflarza na własne życzenie, a Verity uderzyła myśl, że gdyby nie chodziło w tej chwili o jej ojca, najchętniej zwymiotowałaby na ten objaw sentymentalizmu. Jednak w tej sytuacji czuła jedynie krępującą mieszankę miłości i współczucia.

- Próbuję ci przez to powiedzieć - kontynuował Russell - że wszystko się ułoży, jeśli tylko takie jest przeznaczenie.



Verity musiała się odwrócić, by ukryć przed nim wyraz swej twarzy. Ponieważ po tym, co zobaczyła dwa miesiące temu, już nigdy nie uwierzy w nic, co by mówili jej rodzice, nigdy.

Oczywiście kiedy już się dowiedziała, wszystko zaczęło do siebie pasować: telefon komórkowy, który znalazła schowany w biurku, nagła zmiana fryzury matki, jej wyskakująca nagle i nieregularnie „praca charytatywna”. Jednak dopóki Verity nie zobaczyła swojej matki całującej się z jakimś mężczyzną na przednim siedzeniu zielonego opla astry przed multipleksem UCI, nigdy by nie pomyślała, że jej matka może być zdolna do czegokolwiek seksualnego - w stosunku do jej ojca, nie mówiąc już o kimkolwiek innym.

Verity nadal była zaskoczona tym, że ktoś może naprawdę chcieć romansować z jej matką. Według niej Cheryl Driver była wyjątkowo mało pociągająca. Na przykład, była okropną snobką i miała koszmarny gust, jeśli chodzi o styl ubierania się. Dodać należy także, że była szczerą aż do granic niegrzeczności i zajmowała ostatnie miejsce na liście romantycznych bohaterek Verity.

Ale przecież do tanga potrzeba dwojga. Co w takim razie kierowało jej matką? Cheryl Driver, kobieta, która otwarcie dogryzała wszystkim nie mającym ślubu parom, które śmiały zameldować się w jej hotelu, podjęła ryzyko uwikłania się w romans w miejscu, gdzie wszyscy o wszystkich wszystko wiedzieli.

To było zupełnie pozbawione sensu. Ileż to razy powtarzała swej córce, że poświęciła wszystko dla Grandu? Dlaczego więc miałyby ryzykować jego utratę, do czego z pewnością by doszło, gdyby rozstała się z Russellem? Dlaczego miałyby narazić wszystko, na czym jej zależało, na niebezpieczeństwo? Nic jej to w ogóle nie obchodziło?

A co z jej długoletnim mężem, z mężczyzną, z którym każdej nocy dzieliła łóżko? Pewnie, że nie był to Russell Crowe, jednak odmiana Driver nie była chyba aż taka zła? Cóż więc w takim razie zwiodło jej matkę?

Verity nie dojrzała zbyt wyraźnie mężczyzny, który przyprawiał rogi jej ojcu, ale wiedziała, że jest starszy i nieszczególnie przystojny. Była tak zaszokowana, kiedy ich zobaczyła razem, że prawie natychmiast odbiegła stamtąd i nie chciała wiedzieć nic więcej o tym tajemniczym mężczyźnie. Gdy o tym wszystkim myślała, czuła fizyczną odrazę.

Na początku miała ochotę na konfrontację z matką, ale kiedy wieczorem Cheryl usprawiedliwiła swoją nieobecność, kłamiąc jak z nut, Verity uświadomiła sobie rozmiar jej oszustwa. Tak bardzo ją to zaszokowało, że straciła rezon i umknął jej odpowiedni moment.

Potem była zadowolona, że tak się stało. Zadowolona była też z tego, że nikomu o tym nie powiedziała, nawet Trezie. W miarę upływu czasu fakty stawały się coraz bardziej wstrętne i krępujące, by ubrać je w słowa.

Zachowała więc milczenie. Czasami czuła, że będąc w posiadaniu tak potencjalnie wybuchowych informacji, ma większą moc. Jednak świadomość, że w każdej chwili może matkę doszczętnie zniszczyć, jednym zdaniem zrujnować jej karierę i małżeństwo, wcale nie pomagała, ponieważ przez większość czasu, zwłaszcza wtedy, gdy stała twarzą w twarz z ojcem, Verity czuła się nieszczęśliwa.

Wszedłszy z powrotem do vana, dziewczyna zerknęła na niego, gdy przekreślał kluczyk w stacyjce. Chciało jej się płakać. Czy on nie widział, że to wszystko jest kłamstwem? Jego całe małżeństwo to lipa, a on nie dostrzegał tego, co się działo właściwie na jego oczach. Kochała swego tatę i cierpiała na myśl, jak bardzo jest oszukiwany.

\*

W auli Domu Kultury było zimno, kiedy Verity dotarła tam w sobotę o siódmej wieczorem. Zadrzała i otuliła się ciasniej długim, brązowym kardiganem, idąc przejściem między rzędami połączonych ze sobą pomarańczowych, plastikowych krzeseł do miejsca, gdzie pan Peters, jej nauczyciel muzyki ze szkoły, zza zdezelowanego pianina rozdawał kartki z kserówkami. Ubrany był w swój codzienny szkolny mundurek: opięty, czarny golf oraz czarne dżinsy z ciasno zapiętym paskiem, podciągnięte wysoko na brzuch.

Jednak pomimo jego dziwaczego wyglądu, opadającej jasnej grzywki i rudych wąsów Verity podziwiała pana Petersa. Był niesamowicie uzdolnionym pianistą jazzowym. W jego domu znajdowała się taka liczba płyt, jakiej Verity nie widziała nigdzie indziej i miał encyklopedyczną wprost pamięć, jeśli chodzi o artystów bluesowych. Był także dobrym nauczycielem i zawsze dodawał Verity otuchy. Lubiała go. Kiedy podeszła bliżej, pomachał do niej.

Na scenie około tuzina ludzi, głównie z jej szkoły, ustawiało w półokrąg krzesła wokół pianina. Verity wzdrygnęła się, gdy Clive Cox, organizator koncertu dobroczynnego i jednocześnie kierownik

Klubu Młodzieży, zaczął przewijać kasetę w prehistorycznym magnetofonie, który niesamowicie trzeszczał. Clive był niski, przysadzisty, stale nosił trzydniowy zarost i wyglądał na szorstkiego w obojętności. Zawsze miał na sobie długą, czarną, skórzaną kurtkę, która była modna na początku lat osiemdziesiątych i pewnie już nigdy nie będzie. Palił jak smok, niczym jakiś detektyw z serialu telewizyjnego, spoglądając na każdego papierosa tak, jakby to miał być jego ostatni.

Z tyłu, w kuchni, w świetle żarówek mrugających z pomalowanego na różne kolory sufitu, krzątało się kilka kobiet, których Verity nie знаła, a które podawały przez okienko plastikowe kubki z sokiem pomarańczowym. To by było na tyle, jeśli chodzi o moją sobotnią imprezę, pomyślała Verity, przepychając się na początek.

- Pozwól na słówko, Verity - poprosił pan Peters i odszedł na bok, poprawiając jednocześnie golf przy szyi. Dziewczyna podążyła za nim. - Zrobimy przesłuchanie, ale to ty będziesz śpiewać wszystkie partie solowe. Nie możemy ufać rym dzieciakom - rzucił, kiwając głową w kierunku stojącej za nim grupki. - Wiesz jednak, jakiego Clive ma bzika, jeśli chodzi o sprawiedliwość. Bądź więc kochana i zachowuj pozory, dobrze? - zapytał, poklepując ją po nadgarstku. - Wiem, że mogę na tobie polegać.

Potem odwrócił się i głośno zaklaskał w dłonie.

- Zaczynamy! - zagrział.

Verity cofnęła się. Skoro przesłuchania i tak były ustawione, po co w ogóle musiała tu przychodzić?

Oddaliła się chyłkiem na tył sali i usiadła na jednym z krzeseł w pustym rzędzie. Rzuciła okiem na kartkę z kiepsko odbitymi słowami piosenki z musicalu Chicago. Znała ten kawałek na pamięć i cisnęła kartkę na sąsiednie krzesło, po czym wyjęła z torby swój pamiętnik. Oparła stopy na stojącym przed nią krześle, pochyliła się i otworzyła go.

Wiele by zrobiła, by być teraz z Dennyem, pomyślała, dotykając gładkich kartek. Jedynie myśl o nim pozwalała jej nie czuć tak straszego osamotnienia. Kartkując pamiętnik, przyglądała się stronom wypełnionym zwartym pismem. Odkąd poznała Denny'ego, miała tu tyle do napisania i do rozmyślenia, a przecież nawet nie była z nim jeszcze na porządnej randce.

Przeczytała początek wczorajszych zapisków i uśmiechnęła się do siebie. Wstyd. Spotkałam D, ale miałam przy sobie najgorszy na świecie dodatek: tatę!

Po wykładzie ojca przy kontenerach na butelki wpadli na chwilę do supermarketu. Verity czuła się tak paskudnie zdołowana, że nie mogła oczom uwierzyć, gdy zobaczyła w kolejce do kasy Denny'ego, wykładającego towar z koszyka na taśmę. Pomachał do niej i przywołał ruchem głowy.

Spotkać Denny'ego w takiej sytuacji to był najgorszy z możliwych koszmar i aż jej się zrobiło słabo z nerwów. Nie była gotowa, by przedstawić go swemu ojcu, który na domiar złego wyglądał okropnie w starej bluzie sportowej, tanich trampkach i białych skarpetkach.

- Cześć, Denny. To... to jest mój tata - wymamrotała Verity, jako że nie dało się uniknąć tego nieuchronnego powitania.

- Russell Driver. - Jej ojciec wyciągnął rękę.

- Cześć, Russell. - Denny przełożył kask do drugiej ręki, by móc potrząsnąć dłonią jej ojca. Włosy miał zaczesane do tyłu, przez co widoczna była jego opalona twarz, i na sobie niebieską koszulę, częściowo odpiętą, dzięki czemu Verity widziała włosy rosnące na klatce piersiowej Denny'ego. Dzięki spodniom z miękkiej skóry jego szczupłe nogi wyglądały niesamowicie seksownie.

Verity poczuła, jak coś trzepocze jej w żołądku, jakby znajdował się w nim uwięziony kanarek. Nie była w stanie oderwać od Denny'ego oczu. Tak wiele czasu spędziła na obsesyjnym rozmyślaniu o nim, że szokiem okazało się dla niej spotkanie go w miejscu tak zwyczajnym jak supermarket. Z jej głowy wyparowało wszystko, co planowała mu powiedzieć.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Było oczywiste, że Russell czeka na jakieś wyjaśnienie co do rodzaju znajomości Verity i Denny'ego, ale ona nie potrafiła ubrać tego w słowa.

- Właśnie robię zakupy - odezwał się wreszcie Denny, przerywając napięcie i przesuwając się, by wypakować do końca swoje sprawunki.

- My też - mruknęła z wdzięcznością Verity, poprawiając włosy i posyłając ojcu ostrzegawcze spojrzenie.

Na szczęście Russellowi udało się załapać, o co chodzi jego córce.

- Spotkamy się w... - Machnął ręką w kierunku działu z nabiałem.

Przechodząc za Dennym koło kasy, Verity zaczerwieniła się aż po czubki sportowych butów.

- Nic nie mów - odezwała się błagalnie. - Nic nie poradzę na mego ojca.

- Mnie się wydał w porządku - odpowiedział Denny, patrząc jej przy tym w oczy.

Pomogła mu zapakować zakupy, podając kostkę masła oraz bochenek chleba i pragnąc z całego serca, by Denny zabrał ze sobą także i ją. W duchu policzyła do pięciu i wzięła głęboki oddech.

- Nie dam rady jutro, Denny. - Zrobiło jej się niedobrze, gdy wypowiedziała te słowa. - Strasznie cię przepraszam.

Denny wyglądał na zatroskanego.

- Ale nadal chcesz się ze mną spotkać, tak? - upewnił się.

- Oczywiście, że tak! - wykrzyknęła głośno Verity, po czym zniżyła głos. - Myślałam o tym przez cały tydzień. - Urwała, zawstydzona tym, jak chętna i podekscytowana musiała mu się przez to wydać. - To znaczy ja...

- W takim razie możemy zamiast tego wyjść gdzieś razem w przyszłym tygodniu - spokojnie przerwał jej Denny. - Możesz wpaść do mnie w poniedziałek po pracy i wtedy poczynimy plany.

Verity westchnęła, patrząc na trzy strony, które zapisała peanami na temat wrażliwości Denny'ego. Pocałował ją nawet znowu w policzek, kiedy już zapłacił za zakupy i był gotowy do wyjścia. Ale najbardziej w pamięci utkwił jej sposób, w jaki on mówił. Zabrzmiało to tak, jakby bycie razem było najważniejszą sprawą dla nich obojga, a wszystko inne to zaledwie błahe szczegóły. Plany. On chce poczynić plany, przeczytała. Więcej niż jeden!

Właśnie miała zacząć pisać pod dzisiejszą datą, kiedy uniosła głowę i dostrzegła wchodzącego przez boczne drzwi Jimmy'ego Jonesa. Był razem z tą kobietą z telewizji, Ellen Morris, o której wciąż nawijała jej matka, i jeszcze jednym mężczyzną. Jimmy śmiał się z nim z czegoś. Verity straciła wątek, więc wyprostowała się, by mieć przynajmniej lepszy widok.

Nie umiała rozpracować Jimmy'ego. Myślała o nim, odkąd na początku tygodnia rozmawiali ze sobą w drodze do szkoły, i chciała mu podziękować za płytę. Ale za każdym razem, kiedy rzucała mu w

klasie spojrzenie, on odwracał wzrok, jakby celowo jej unikał. Było to tak, jakby w jednej chwili pragnął z nią porozmawiać, a w drugiej nie chciał, by w ogóle istniała.

Jak gdyby będąc świadomym tego, że Verity właśnie o nim myśli, Jimmy obejrzał się, popatrzył na nią i, co wprawilo ją w jeszcze większe zakłopotanie, uśmiechnął się do niej tak, jakby byli dawno nie widzianymi przyjaciółmi. Zobaczyła, że mówi coś do towarzyszącego mu mężczyzny. Potem przeskoczył po kolei dzielące ich rzędy krzesel i wślizgnął się na sąsiednie miejsce.

- Jak leci? - zapytał.

Verity skinęła głową i oboje spojrzeli przed siebie. Na scenie dziewczyna - Verity rozpoznała, że jest z klasy dwa lata młodszej - katowała właśnie piosenkę Britney.

- Ty chyba nie bierzesz udziału w przesłuchaniach, co? - zapytała Verity, zamknawszy pamiętnik i przycisnąwszy go do piersi.

Dziewczyna na scenie zmagala się z wysokimi dźwiękami, na co Verity i Jimmy zgodnie się skrzywili, a następnie zaśmiali.

- Nie przy tak silnej konkurencji - zażartował Jimmy. - Mam po prostu na wszystko oko ze względu na pamięć Ryana.

Zamilkli, gdy dziewczyna poddała się i uciekła ze sceny.

Verity zacisnęła usta, smakując nałożony na nie wcześniej balsam o smaku melona. Czula, że ramię Jimmy'ego opiera się lekko o jej ramię, i pomyślała, by się odsunąć, ale zamiast tego obróciła się na krzesle, by lepiej go widzieć.

- Wiem, że niczego wcześniej nie powiedziałam. Jednak chcę, byś wiedział, że przykro mi z powodu Ryana, Jimmy - rzekła. - Naprawdę. To musiało być dla ciebie straszne, skoro byliście sobie tak bliscy.

Jimmy spojrzał najpierw na nią, a potem na swoje dłonie.

- Taka niepotrzebna śmierć - kontynuowała Verity. - W rzeczywistości nie znałam go zbyt dobrze, ale kiedy powiedzieli nam na apelu, co się stało, czułam się naprawdę źle, wiesz?

- Był dobrym facetem. Najlepszym.

Verity pragnęła dotknąć Jimmy'ego, by zobaczyć, że mówi szczerze, lecz zamiast tego jej uwagę zwrócił mężczyzna obok Ellen Morris, który machał w ich kierunku.

- Znasz ich? - zapytała.

- Taa. To Scott. Jest operatorem filmowym.

Scott szedł między rzędami w ich stronę i Verity pomyślała, jak bardzo spokojnie i przyjacielsko on wygląda. Kiedy dotarł do nich, uśmiechnął się i postawił jedną stopę na stojącym przed nim krześle.

- To jest Verity - rzekł Jimmy, zerkając na dziewczynę. - Verity...  
Scott.

Mężczyzna wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę i Verity miała ochotę go zapytać, czy nie ma przypadkiem na nosie keczupu albo czegoś w tym rodzaju.

Po chwili spojrzenie Scotta zsunęło się z niej. Mężczyzna pochylił się i klepnął Jimmy'ego w ramię.

- Dołącz potem do nas, chłopie - rzekł, a Verity poczuła zaskoczenie, słysząc jego australijski akcent.

Kiedy Scott się od nich oddalił, spojrzała na Jimmy'ego.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała.

- Trochę dla nich pracuję - odpowiedział Jimmy, wstając z krzesła.

- Ty? Pracujesz dla nich? Ale jak to?

- Och, no wiesz, kontakty...

- Pomagasz im więc przy tym kawałku o Wzgórzu Straconych Dusz? - Jej ciekawość wzrastała. - To ten film dokumentalny, do którego robią przesłuchanie?

- No cóż, nie każdego dnia na twoim progu zjawia się ekipa filmowa, więc szkoda byłoby nie zobaczyć, o co w tym wszystkim chodzi, dopóki tutaj są.

Verity przechyliła głowę i popatrzyła na kolegę. Nigdy nie sądziła, by zaangażował się w coś takiego, ale ujrzenie Jimmy'ego tutaj stawiało go w zupełnie innym świetle.

- Interesuje cię rola? - zapytał. Verity wzruszyła ramionami.

- Niewiele o tym wiem.

- Zostaw to mnie - odparł. - Zobaczę, co mi się uda załatwić.

Verity nie odpowiedziała. Wciąż była zła na matkę, że zmusiła ją do przyścia tutaj, ale jednocześnie myślała, że Jimmy może i dobrze to pojął. Może być całkiem zabawnie. I miał rację. W Shoresby nigdy się nic nie działo.

Chłopak przeskoczył nad krzesłami, a ona uśmiechnęła się do niego. Gdy odszedł i roześmiał się z czegoś razem ze Scottem, Verity zauważyła, jak dobrze Jimmy wygląda w tych swoich dzinsach. Mając przez chwilę poczucie winy, że taka myśl pojawiła się w jej głowie,

wzięła do ręki tkwiący między kartkami pamiętnika długopis i z rozmarzeniem napisała imię Denny'ego, otoczyła je girlandą stokrotek, a pod spodem zapisała słowa miłosnego sonetu Szekspira, które znała na pamięć.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dokładnie tak samo jak nie wierzył w anioły, Ned nie wierzył i w duchy. Śmierć uważał za zakończenie wszystkiego i początek niczego. Jednak siedząc w to wyjątkowo gorące, wtorkowe popołudnie na parapecie w pomieszczeniu, o którym wiedział, że stanowiło kiedyś sypialnię Caroline Walpole, miał mimo wszystko nadzieję, że uda mu się wydobyć od zmarłych jakieś informacje.

Godzinę temu Stan, jeden z rękodzielników z Coalbrook Marbles, zapukał do drzwi baraku Neda. Stan zajmował się skomplikowanym zadaniem odtworzenia żłobkowanych pilastrów po obu stronach kominka w jednej z sypialni na piętrze. Powiedział Nedowi, że musi mu coś pokazać, jednak nie chciał zdradzić, o co chodzi.

Mężczyzna zaprowadził Neda na górę i wskazał na kominek oraz na dół gołej ściany z cegieł po jego lewej stronie.

- Niech pan popatrzy - rzekł.

Na nowej, dębowej podłodze leżała jedna czerwona cegła, sucha i pęknięta wpół.

- Mac pracuje na zewnątrz przy murze tylnego ogrodu - odparł na to Ned, zły, że pracownik sam nie pofatygował się po murarza. Pochłaniało go przeglądanie oryginalnych wzorów dla sufitu sali balowej, a wtargnięcie Stana rozproszyło jego skupienie. - Każę mu przed pójściem do domu podskoczyć na górę i spojrzeć na to.

- Nie - odrzekł Stan. - Tu nie chodzi o cegłę. Zrobiła się, kiedy rano cisnąłem obok ściany moją skrzynkę z narzędziami. To znaczy dziura. Proszę zajrzeć do środka. - Posłał Nedowi zgryźliwy uśmiech. - Pomyślałem sobie, że jeśli ktoś mają sprawdzić i może coś w trakcie tego zniszczyć, powinien to być szef, no nie?

Ned podszedł bliżej i przyklęknął. Najpierw zajrzał do ciemnej, zatechłej wnęki, którą wcześniej wypełniała cegła, po czym sięgnął do środka i delikatnie wyjął to, co się tam skrywało.

To niesamowite, że coś takiego w ogóle przetrwało, rozmyślał teraz Ned, odwracając kolejną kartkę prywatnego pamiętnika Caroline Walpole. Wykonana z marokańskiej skóry solidna okładka utraciła dawną elastyczność i teraz była krucha i osmolona. Złoty zamek zmatowiał na skutek płomieni i dymu. Dolną część każdej strony objęła w posiadanie wilgoć, czyniąc w tych miejscach pismo nieczytelnym.

Jednak mimo to przetrwało wystarczająco wiele słów Caroline, by Ned zabrał się za przeglądanie jej sentymentalnych zapisków, mając nadzieję, że znajdzie w nich może jakieś szczegóły związane z tamtym okresem - praktyczne uwagi na temat jej pokoju lub innej części domu bądź terenu wokół budynku - które mogłyby się okazać przydatne mu w pracy. Ale teraz, kiedy wreszcie dotarł do ostatniej strony, pogodził się z tym, że jego nadzieje okazały się płonne.

- Jaka szkoda - powiedział na głos.

- Co pan mówi? - zapytał Stan, podnosząc głowę znad kominka.

- Nic takiego.

Ned zważył w dłoni pamiętnik, zirytowany tym, że zmarnotrawił swój czas i wysiłek. Odczuwał nawet pokusę, by go ponownie замуrować. Nie przyniósł mu żadnego pożytku. Jedyńą jego zawartość stanowiły głupiotkie fantazje naiwnej dziewczyny, która naczytała się zbyt wielu romantycznych wierszy i powieści. Zamiast pozwolić mu rzucić okiem na prywatny świat Caroline - miejsce, w którym niepodzielnie panowała miłość - pamiętnik powiedział Nedowi tylko to, co wiedział już wcześniej.

Wydarzenia otaczające śmierć Caroline Walpole i prowadzące do niej zostały spisane przez miejscowego sędziego pokoju podczas śledztwa, które przeprowadzono po samobójstwie dziewczyny. Zapiski podawały, że bigoteryjny ojciec Caroline, Alexander Walpole, dowiedział się o planach swej córki, zamierzającej potajemnie uciec z Leonem Jacobsonem. Tej nocy, podczas której miało to nastąpić, Alexander Walpole zatrzymał Leona w połowie drogi na rendez-vous na urwisku i przekupił go, by wyjechał z Shoresby i nigdy nie wrócił. Kiedy Leon był już w drodze do doków Southampton, Alexander sam poszedł na klif, by sprowadzić córkę do domu. Tyle że kiedy powiedział jej, jak łatwo udało mu się przekupić jej kochanka, okazało się, że Caroline, zamiast wyleczyć się ze swego zauroczenia (jak się spodziewał jej ojciec), rzuciła się z urwiska, zdradzona i ze złamanym sercem.

Jonathan Arthur kilka miesięcy temu przesłał Nedowi kopie zapisków ze śledztwa na wypadek, gdyby miały mu się do czegoś przydać. Ale tak się nie stało. Neda bardziej interesowały cegły i zaprawa murarska niż ciało i krew. Raporty sędziego tkwiły teraz w jakiejś szufladzie albo jeszcze gdzie indziej w baraku. Ned ani tego nie wiedział, ani go to wiele nie obchodziło.

Zatrzasnął pamiętnik. Całe szczęście, że podczas rekonstrukcji tego pokoju nie musiał polegać na pomocy Caroline. Zdobywszy wszelkie prawne dokumenty dotyczące tej posiadłości i jej wcześniejszych mieszkańców, Jonathan Arthur wyposażył Neda także w oryginalne plany domu i ogrodów. Obecnie więc pokój ten wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy został zbudowany po raz pierwszy.

Jeśli chodzi o sposób, w jaki to pomieszczenie zostanie umeblowane i udekorowane, Nedowi pozostała przyjemność wyboru. Dominującym stylem w okresie, w którym ów budynek został zniszczony, był eklektyzm i Ned przesłał już panu Arthurowi kilka różnych projektów, by się nad nimi zastanowił. Jemu samemu podobał się każdy z nich.

Do uszu Neda dobiegł odgłos kobiecego śmiechu. Podeszedł do okna i wyjrzał. Na trawniku stała Ellen Morris i niski, ciemnowłosy mężczyzna, który wtedy w piątek był z nią w samochodzie. Ned ze zdumieniem poczuł, że przepełnia go radość. Cieszył się, że ją widzi, mimo że nie potrafił od razu zrozumieć dlaczego.

Powrócił myślami do tego, jak prawie staranowała jego ukochanego beetle'a. Przypomniawszy sobie, jak zareagował na jej plany nakręcenia programu dokumentalnego. Albo raczej jak przesadnie zareagował, tak teraz o tym myślał. Ponieważ nawet jeśli naprawdę powiedział to, co sądzi o zarabianiu pieniędzy na nieszczęściu innych... cóż, nie wiedział przecież, czy jest to jedyny motyw Ellen Morris, prawda? Może - ale tylko może - była dziennikarką współczującą. Wtedy może zasługiwałaby na wątpliwości.

Ellen i towarzyszący jej mężczyzna stali obok poroślej kapryfolium altany, przy nowo wykończonym murze otaczającym tylny ogród. Ned przyglądał się z fascynacją, jak kłaniają się sobie wytwornie, po czym wybuchają śmiechem w odpowiedzi na jakąś uwagę uczynioną przez Maca, który pracował przy murze kilka metrów dalej.

Z tymi połyskującymi w słońcu jasnymi włosami Ellen wyglądała na niezłą sztukę, co można było dostrzec nawet z miejsca, w którym znajdował się Ned. Miała na sobie białą, rozpiętą pod szyją koszulę i ciemne dzinsy, które okrywały jej długie nogi, obute w parę błyszczących, srebrnych adidasów. Wokół jej talii luźno zwisał masywny, brązowy, skórzany pasek, a kiedy przechyliła teraz jedno

biodro i wskazała na altanę, pasek opadł jeszcze niżej na udo, nadając jej wygląd uzbrojonego bandyty, którego wprost swędzi ręka, by pociągnąć za spust. Gdy po raz kolejny wybuchła śmiechem, odrzucając do tyłu głowę, tak że widać było jej twarz, kąciki ust Neda podświadomie uniosły się w uśmiechu.

Był czas, kiedy Neda beznadziejnie pociągałaby kobieta, która wyglądała jak Ellen, czas, kiedy podszedłby do niej zdecydowanie - nieważne, gdzie by była ani z kim - popatrzył jej prosto w oczy i spróbował się z nią umówić. Był czas, kiedy posyłałby jej do domu kwiaty, wysyłał listy do pracy, a na jej automatycznej sekretarce zostawiał adres restauracji, i czas, kiedy kupiłby dla niej i dla siebie bilety lotnicze i pokazał jej miejsca, które on kochał, a których ona jeszcze nie widziała.

Był też czas, kiedy Neda beznadziejnie pociągałaby także kobieta, która zachowywała się tak jak Ellen. Dużo myślał o ich kłótni w baraku sprzed czterech dni. Podziałała na niego ożywczo. I nie dlatego, że - jak wtedy uważał - był usprawiedliwiony. (Skąd, teraz to rozumiał, miał wiedzieć, czy jest usprawiedliwiony, czy też nie, kiedy w zasadzie nie pozwolił Ellen mówić?) Nie, ekscytacja, która ogarnęła go w trakcie ich spotkania, była wynikiem jeszcze czegoś innego.

Ta kobieta podziałała na niego ożywczo, ponieważ postawiła mu się, ponieważ zachowywała się jak równa mu osoba - a nawet lepsza - i zdecydowała się rzucić mu wyzwanie. Zażądała dla siebie szacunku. A Ned nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy stało się to po raz ostatni, zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym. W obydwu był królem. Nikt na budowie nigdy nie kwestionował jego poleceń i w domu także nikt (z oczywistym wyjątkiem Wobblesa) tego nie robił.

Ellen przypomniała Nedowi, że tak naprawdę lubił, gdy rzucało mu się wyzwania, zmuszało do natychmiastowego myślenia, lubił uczucie pompowanej do krwi adrenaliny.

O tak, pomyślał, celowo spoglądając teraz ponad Ellen Morris, na wiązy i olchy, i na wpół odrestaurowane mury. Był taki czas, kiedy przyciągałaby go do siebie kobieta taka jak ona. Jednak czas ten dawno już minął, a myśli o niej były w tej chwili niczym więcej niż zbędnymi, bezsensownymi spekulacjami. Ned nie szukał już kogoś, z kim mógłby dzielić życie. Zrobił tak w przypadku Mary i nie był w stanie ponownie zmierzyć się z tego rodzaju bólem.

- No dobra, Scott. - Kilka minut później Ned usłyszał, jak Ellen zwraca się do swego towarzysza. Szedł ku nim nie zauważony po suchej trawie. - Zapomnijmy o filmowaniu pierwszego, oficjalnego spotkania i zamiast tego skupmy się na czymś bardziej intymnym.

- Brzmi nieźle - zgodził się Scott.

Scott... Ned przyglądał mu się przez chwilę, zastanawiając się, kim jest ten przysadzisty Australijczyk. Pewnie kolegą z pracy, uznał, zatrzymując się kilka metrów od nich. Ponownie skupił uwagę na Ellen, ciesząc się tą rzadką chwilą, kiedy on nie krzyczał na nią, a ona w odpowiedzi nie krzyczała na niego.

Poczuł się dziwnie zdenerwowany, teraz, gdy nie obserwował jej już z daleka. Był w stanie dostrzec delikatny makijaż na jej twarzy, markową naszywkę na kieszeni dżinsów, a na sportowych butach i koszuli emblematy, których nie widział nigdzie wcześniej. Ellen pochodziła z innego świata, świata, w którym on kiedyś żył, ale potem go porzucił. Reprezentowała sobą wielkie miasto. Media. Była kimś, kim on w sposób oczywisty nie był.

- W porządku, Scott. Rozumiem - rzekła, siadając na ławce pod altaną. - A może zdecydowalibyśmy się na coś bardziej romantycznego... może Leon czytający Caroline wiersz Tennysona. I moglibyśmy nakręcić, jak się całują. Możemy umieścić to po scenie z nimi wewnątrz domu. Tak, to byłoby doskonałe: ich pierwszy pocałunek.

Ellen oparła się o ławkę i chichocząc, zamknęła oczy i z przesadą zaczęła udawać, że całuje wymagowanego Leona.

- Dziewięć - odezwał się Ned, wkraczając energicznie w jej pole widzenia.

Kobieta zerwała się na równe nogi. Gdy zwróciła się twarzą ku niemu, jej oczy zamigotały w słońcu.

- Słucham? - zapytała ostro.

- Na dziesięć - wyjaśnił Ned, uśmiechając się. - Za twoją technikę całowania - dodał.

Zanim jego słowa dotarły do niej, przez chwilę panowała cisza.

- Jeśli już chcesz wiedzieć, to właśnie planowałam, w jaki sposób sfilmować pewną scenę - odpowiedziała Ellen, wyraźnie zakłopotana. Zaczęły ją palić policzki.

- No cóż, twoja technika wyglądała rzeczywiście profesjonalnie - zażartował Ned.

Jednak Ellen wyraźnie nie była w nastroju, by się przyłączyć do jego żartów.

- Może zatrzymasz swoje opinie dla siebie, dobrze? - zasugerowała. - A poza tym nie powinieneś tutaj węszyć, nie wtedy, gdy my próbujemy pracować.

- Może ponownie uszło to twojej uwagi - odparł Ned, a gniew z jej głosu zaczął przenikać i do jego - ale tak się składa, że jest to moja budowa, i dlatego też mogę sobie węszyć, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

- Jezu - jęknął Scott. - Czy wy dacie sobie kiedykolwiek spokój, co? Sorki, kolego - rzekł, odwracając się do Neda. - Nie miałem cię jeszcze okazji poznać i nie chcę cię obrazić, jasne? Ale te wszystkie złe fluidy, którymi częstujecie siebie nawzajem, doprowadzają do tego, że mam ochotę przekopać się z powrotem do domu, przysięgam na Boga.

Ned wpatrywał się w niego. Mijały sekundy. Musiał przyznać, że ten Australijczyk ma rację. Wreszcie odwrócił się do Ellen.

- Dlaczego więc do nas przyszedłeś? - zapytała go spokojnie.

- Głośność - odpowiedział.

- Co takiego?

- No wiesz, rozpowszechnianie informacji.

- Mówisz zagadkami - rzekła, z niecierpliwością tupiąc nogą. - Z tobą nigdy nic nie jest proste, co? Wszystko zawsze musi stanowić walkę.

- Świetnie - odparł, odwracając się do niej plecami i ruszając w kierunku budynku. - W takiej sytuacji prawdopodobnie nie zainteresuje cię to. - Uniósł pamiętnik, tak by mogła go dojrzeć. - Pamiętnik Caroline Walpole! - zawołał. - No wiesz, tej, o której kręcicie film, tej dziewczyny, która tak dobrze całowała...

Ned zaczął liczyć do dziesięciu.

- Zaczekaj! - zawołała Ellen.

Uśmiechnął się. Nie zdążył policzyć nawet do dwóch.

Dziesięć minut później duch głośności zdążył już zaowocować przekazaniem Ellen pamiętnika i rozwinął się w nieco nieufne entente cordiale, które z kolei doprowadziło do tego, że Ned, Ellen i Scott opierali się teraz o maskę samochodu Ellen, pławiąc się w promieniach słońca i popijając dietetyczną colę, wyciągniętą z turystycznej lodówki Scotta.

- Jesteś szczęściarzem, że tutaj pracujesz - odezwała się Ellen.

- W dni takie jak ten, owszem - zgodził się Ned, zakładając, że chodzi jej o pogodę.

- Nie. Chodzi mi o to, że nadzorujesz projekt tych rozmiarów, potrafisz mieć wizję i ją realizować.

- Nie różni się to niczym od waszego filmu - odparł Ned, starając się wciągnąć do rozmowy Scotta, nadal ciekawy jego roli w tworzeniu dokumentu. Ale Australijczyk miał właśnie zamknięte oczy i twarz zwróconą ku słońcu.

- Nie - uznała Ellen. - Jeśli chodzi o możliwości, pomiędzy nami jest niesamowita różnica. Popatrz tylko na wielkość tego domu. Widziałam na zdjęciach, jak wyglądał jeszcze półtora roku temu, to zaś, jak wygląda teraz, jest wyłącznie twoją zasługą.

Usłyszawszy to, Ned poczuł, jak wzbiera w nim duma. Jonathan Arthur po raz ostatni pojawił się na inspekcji ponad pół roku temu, a opinie pracujących tu rzemieślników na temat postępów w odbudowie były tak samo subiektywne jak i jego własna. Jednak usłyszenie komplementu z ust Ellen było miłe. Ned wiedział z niedawnego doświadczenia, że naprawdę zasłużył na pochwałę, bo gdyby ta kobieta sądziła, że to, co zrobił z domem, jest beznadziejne, nie wahałaby się mu o tym powiedzieć.

- Może masz ochotę na małą wycieczkę? - zapytał, zanim zdążył dobrze o tym pomyśleć. - Pewnie nie miałaś jeszcze okazji się rozejrzeć, prawda?

- Nie.

- Mógłbym przedstawić cię mojemu brygadziście Danowi i kilku innym ludziom, tak by mogli wam pomóc, gdy zajdzie taka potrzeba, a mnie nie będzie w pobliżu.

Oboje podnieśli głowy na dźwięk klaksonu samochodowego.

W ich kierunku po wysychającym błocie toczył się beetle Neda. Zatrzymał się ze stukotem. Przez opuszczoną szybę Debs uśmiechnęła się szeroko i nasunęła na czubek głowy okulary słoneczne.

- O, świetnie - odezwała się z rozmyślnym brakiem taktu. - Rozmawiamy już wszyscy ze sobą, tak?

- Na to wygląda - odparł Scott.

Debs zlustrowała Australijczyka z wyraźnym zainteresowaniem, po czym odwróciła się z powrotem do Neda.

- Jadę odebrać Clare ze szkoły - rzuciła - i chciałam wiedzieć, czy trzeba ci coś załatwić.

- Nie, dzięki. I nie kłopotz się przyjeżdżaniem później po mnie - odpowiedział Ned. - Mam dziś ochotę na spacer.

- Jak sobie życzysz. - Debs otworzyła schowek pod deską rozdzielczą i wyjęła z niego kopertę. - To przyszło do ciebie, a ja otworzyłam przez pomyłkę. Sorki - rzekła, podając Nedowi kopertę.

- Ee, poczekaj chwilę - odezwał się Scott, czyniąc krok naprzód, gdy Debs wrzuciła bieg. Odwrócił się do Ellen. - Um, skończyliśmy już na dzisiaj? Bo ja... ja o czymś zapomniałem... że muszę odebrać z... i mógłbym... - Posłał swojej szefowej prośące spojrzenie.

Ellen wzruszyła ramionami, a Scott odwrócił się do Debs.

- Wskakuj - rzuciła dziewczyna, pochylając się nad fotelem pasażera i otwierając drzwi.

Ned otworzył kopertę. Znajdowało się w niej zaproszenie na ślub Garetha Rileya, jednego z dawnych przyjaciół Neda ze studiów, jednak on nawet nie sprawdził daty, wiedząc, że i tak wyśle odmowną odpowiedź, czyniąc to samo, co zawsze ostatnimi czasy. Pracując tutaj, ledwie miał czas dla Clary, nie mówiąc już o dawnych przyjaciółach. Wcisnął zaproszenie do kieszeni i przyglądał się, jak beetle znika za bramą.

- Zachowujesz się dość niefrasobliwie, pozwalając jej podwozić obcych mężczyzn - oświadczyła Ellen.

- Ten się wydaje raczej nieszkodliwy.

- Och, nie bierz tego za pewnik...

Przez minutę żadne z nich się nie odzywało. Ned przyglądał się uważnie swemu zegarkowi. Nagle poczuł się dziwnie, pozostawiony sam na sam z nią, tak jakby mógł powiedzieć coś niewłaściwego, gdyby tylko otworzył usta. Przypomniały mu się czasy, kiedy był nastolatkiem i kiedy zawsze wylatywało mu z głowy, co by tu mógł powiedzieć do dziewczyn. Zbił go z tropu fakt, że tak się teraz czuł, że choć przebywał w swoim miejscu pracy, a Ellen znajdowała się tutaj na jego zaproszenie, nie czuł już, by miał nad wszystkim pełną kontrolę. Z ulgą usłyszał, że Ellen odkaszlęła.

- Czy... - zaczęła, po czym urwała.

- Co? - zapytał Ned.

- Nic. To nie moja sprawa.

- Nie, pytaj. O co ci chodziło?



- Tak się właśnie zastanawiałam, od jak dawna wy dwoje jesteście razem - rzekła Ellen.

- Jacy wy dwoje?

- Ty i ona. - Ruchem głowy Ellen wskazała na bramę, przez którą przed chwilą przejechała Debs. - Matka Clary...

Ned uśmiechnął się, rozbawiony tym przypuszczeniem.

- Ach, chodzi ci o Debs - odparł. - Tyle że ona nie jest matką Clary.

- Och?

- Taa. Jesteśmy... razem - powtórzył uważnie wypowiedziane przez nią słowo - od jakichś trzech lat.

- Jest bardzo ładna.

- Też tak sędzę - zgodził się Ned, uznając, że jeszcze się trochę pobawi z Ellen. - Ale wiesz, jak to jest z ludźmi: po jakimś czasie nie dostrzega się już ich twarzy.

Po tych słowach nastąpiła satysfakcjonująca, długa chwila milczenia i Ned ledwo mógł się powstrzymać przed wybuchnięciem śmiechem.

Ellen spojrzała na niego z ciekawością.

- Eee, nie, Ned, tak właściwie to nie wiem - odparła.

- Jednak nasz układ - kontynuował Ned - jest dobry, solidny i, co najważniejsze, praktyczny. Nie mogę więc narzekać.

- Praktyczny? - W jej głosie brzmiało niedowierzenie.

- Och, pewnie - odparł Ned. - Clara zrobiła się taka niesforna, zanim skończyła dwa latka, iż pomyślałem sobie, że lepiej postaram się o kogoś, kto zdejmie ze mnie część ciężaru... a Debs, no cóż, finansowo uznała to za opłacalne...

- Ale to takie... takie chłodne - zaprotestowała Ellen. - Jak możesz... i, mój Boże... - Zauważyła, że na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - I ty uważasz to za zabawne...

Ned oderwał się od samochodu i zagwizdał na Wobblesa, gdyż właśnie dostrzegł w oddali, jak jego pies biega wokół warkoczącej betoniarki.

- Mam dla ciebie propozycję - oświadczył. - Może zaczniemy naszą wycieczkę po domu, tak jak ci obiecałem, a po drodze powiem ci prawdę o moim och - tak - bardzo - chłodnym związku z Debs, dobrze?

Po skończeniu obchodu Ellen podwiozła Neda i Wobblesa do miasta, a teraz cała ich trójka siedziała w ogródku piwnym przy pubie Nadzieja i Kotwica na wychodzącej na Południową Plażę esplanadzie.

- Zdrówko - rzekł Ned, stukając kuflem gorzkiego piwa w jej szklankę z ginem i tonikiem. Pociągnął długi łyk. - Nie zdążyłem ci jeszcze odpowiednio podziękować - oświadczył.

- Za co?

- Za przyprowadzenie Clary.

- Podziękowałeś - odparła Ellen. - Może tego nie pamiętasz, ale tak właśnie zrobiłeś. - Zmrużyła oczy. - Kilka zdań przed tym, zanim mi oświadczyłeś, że mną gardzisz, o ile mnie pamięć nie myli.

Ned skrzywił się z zakłopotaniem.

- Zareagowałem zbyt gwałtownie - przyznał. - I przepraszam cię za to.

Jednak Ellen się uśmiechała.

- To już przeszłość - odparła. - Zapomnij o tym. Popatrzyła na Wobblesa, który wygrzewał się w późnopołudniowym słońcu.

- Trudno go sobie wyobrazić jako okrutnego mordercę, kiedy tak sobie leży, no nie?

Ned zaśmiał się.

- W takim razie nie masz zamiaru mnie pozwać?

- Nie, dopóki będziesz dla mnie tak miły, jak dzisiaj.

- Chyba więc nie mam wyboru, prawda?

Poczuli się niezręcznie, patrząc na siebie, więc Ned to przerwał. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął małą puszkę z tytoniem i zaczął zwijać papierosa.

- No więc... Scott i Debs... - odezwała się Ellen. Ned parsknął.

- Masz w sobie naprawdę coś szelmowskiego, wiesz? - stwierdził.

- No cóż, oboje są wolni, nieprawdaż?

- Aha, a czy my oboje nie jesteśmy trochę za starzy na bawienie się w swatkę? - zapytał w odpowiedzi.

- Coś ty - odparła kpiąco. - Nigdy się nie jest zbyt starym, by maczać palce w romansach.

- Uważam, że coś takiego jest dla dzieci. Z takich rzeczy się wyrasta. Tego uczy życie.

Miał świadomość, że Ellen uważnie mu się przygląda.

- Znowu się ze mną drażnisz, co? - upewniła się. - Przecież wszyscy są w głębi duszy romantykami, prawda?

Ned zapalił papierosa.

- Chcesz znać prawdę?

- Całą prawdę.

- Prawda jest taka, że uważam romanse za stek bzdur.

Ned nie był pewny, dlaczego jej to powiedział, skoro gładkie kłamstwo i zgodzenie się z nią byłoby o wiele prostsze. Czy stało się tak dlatego, że jej związany ze sprawami sercowymi optymizm tak bardzo się kłócił z jego własnym doświadczeniem? A może chodziło o to, że zdążył się już do niej zbliżyć bardziej, niż tego sobie życzył? Czy dlatego odczuł nagłą chęć, by ją od siebie odepchnąć?

- Co w takim razie powiesz na to? - rzuciła Ellen, ważąc w dłoni pożyczony od niego pamiętnik. Przebiegała oczami strony, odkąd tu przyjechali. - Co powiesz na to, co napisała Caroline Walpole i co zrobiła z powodu miłości? Nie możesz stwierdzić, że to nie jest prawdziwa miłość, gdyż jest. Być tak bardzo w kimś zakochanym, że ma się ochotę spędzać każdą sekundę życia... tak... tak... - Ellen otworzyła pamiętnik na ostatniej zapisanej stronie. - Posłuchaj - nakazała Nedowi, po czym przeczytała na głos: - Nie mogę być bez Leona ani chwili dłużej, jednakowoż gdyby nas rozdzielono, wiem, że umarłabym... - Ellen podniosła wzrok, a w jej oczach lśniło przekonanie. - No i? - zapytała Neda.

- No i co?

- Cóż. - Ellen delikatnie zamknęła pamiętnik. - Te słowa napisane zostały dwudziestego pierwszego kwietnia 1871 roku.

- Tej samej nocy, której Leon zdradził Caroline, a ona się zabiła - wywnioskował Ned.

- Właśnie - odparła Ellen. - Były to prawdopodobnie ostatnie napisane przez Caroline Walpole słowa...

- I?

Ellen jęknęła z frustracją na ten kompletny brak reakcji ze strony Neda.

- I są oczywiście wyjątkowe! - zawołała. - Uczucia w tym pamiętniku są bogate i prawdziwe. Pragnąć umrzeć, jeśli nie można z kimś być... To naprawdę niesamowite. Na wskroś romantyczne. Przyznaj to.

Ale Neda to nie brało. Im dłużej Ellen starała się go przekonać do wzbogacających życie wartości niesionych przez miłość i romantyzm, tym bardziej pragnął jej udowodnić, że się myli, i dowieść, że to wszystko jest jedynie iluzją.

- Co jest takiego wartościowego w rzuceniu się z urwiska i roztrzaskaniu sobie głowy o skały? - zapytał. - A co z ludźmi, których zostawiła Caroline, ludźmi, którzy musieli żyć z konsekwencjami tego, co ona zrobiła? Spójrz tylko, co jej ojciec uczynił z domem. Nie wspominając już o nim samym...

- Zapomnij o domu - upierała się Ellen. - To, co zrobił było czyste, ponieważ uczyniła to z miłości.

Ned machnął z lekceważeniem ręką.

- Do Leona Jacobsona? Cóż to była z jego strony za miłość, skoro ojciec Caroline przekupił go kilkoma funtami.

- No więc myliła się co do Leona - przyznała Ellen. - Jednak co z tego? To nie obniża wartości jej uczuć, prawda? To ani trochę nie pomniejsza szlachetności jej miłości do niego.

- Nie szlachetności, a głupoty - odparował Ned. - Uwierzyła w miłość, postawiła wszystko na jedną kartę i sparzyła się. W taki sam sposób, w jaki parzą się wszyscy. Tak jak to się stało z jej ojcem. I dlatego właśnie, Ellen, miłość to stek bzdur. Ponieważ nigdy nic z tego nie wychodzi. Nie w prawdziwym życiu. - Proszę bardzo, pomyślał. Powiedział jej wreszcie. Pokazał jej, kim jest, a teraz ona odejdzie.

- Jak jest w takim razie w twoim przypadku? - spytała zamiast tego. - Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie byłeś zakochany?

- Raz byłem - przyznał. - Dawno temu.

- I?

- I tak samo jak Caroline byłem na tyle młody i głupi, by sądzić, że będzie to trwało wiecznie.

- Ale tak się nie stało - domyśliła się Ellen.

- Zgadza się.

- Kim ona była? - zapytała Ellen po kilkusekundowej ciszy. - Matką Clary? - zgadła.

- Miała na imię Mary - odparł Ned. - Była moją żoną, a teraz nie żyje.

- Co się stało?

Bezpośredniość jej pytania zaskoczyła go. Ludzie tego nie robili. Kiedy tylko dowiadawali się, że jego żona nie żyje, zmieniali temat albo w najlepszym przypadku mówili, że jest im przykro, i to wszystko. Pomimo powagi ich rozmowy Ned pozwolił sobie na smutny uśmiech.

- Co? - zapytała Ellen.

- Nic.

- Nie, powiedz co.

Pragnął jej powiedzieć, że większość ludzi boi się rozmawiać o śmierci. Pragnął jej powiedzieć, że jej pytania dotyczące Mary uświadomiły mu nagle, jak bardzo wszyscy inni w jego życiu od śmierci Mary chodzili wokół niego na paluszkach. To, czego w tej chwili pragnął, to odwdzińczyć się Ellen za jej otwartość i powiedzieć prawdę o śmierci Mary.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - zapytał ją.

- Tylko wtedy, jeśli ty naprawdę chcesz mi o tym opowiedzieć - odparła.

Niczego bardziej nie pragnął, niż jej zaufać i uwierzyć, że nie będzie go ani sądzić, ani się nad nim rozczulać. Ale coś w środku go powstrzymywało. Miał wrażenie, jakby wszystkie bariery, którymi odgrodził się od ludzi w ciągu ostatnich trzech lat, zrosły się ze sobą i teraz nie chciały puścić. Zamiast prawdy opowiedział więc Ellen kłamstwa. Opowiedział jej tę samą historię, którą przedstawił Clarze podczas ich wspólnego pikniku w oranżerii, jak to Mary po urodzeniu córki zachorowała, a potem zmarła. W wyniku choroby mózgu, powiedział Ellen. Choroby mózgu, która ostatecznie ją zabiła.

Cztery piwa później (trzy po wyjściu Ellen, ściągniętej do domku przez Scotta, który chciał, by pomogła mu odpowiedzieć na jakieś zapytanie z ich londyńskiego biura) Ned znalazł się na Południowej Plaży. Po niedawno jeszcze niebieskim niebie mknęły czarne chmury. W dłoni Neda tkwiła bezużytecznie smycz Wobblesa, którego nigdzie nie było widać. Z wydm, niczym wyspy na żółtym morzu, wystawały duże kępki trawy, a ta sama czapla, za którą wcześniej gonił Wobbles, teraz zwinnie przemykała przez płytką wodę wąskiego przesmyku, dzielącego plażę na dwie części.

- Wobbles! - zawołał Ned w kierunku wydm po raz już chyba piętnasty, ale nadal nie uzyskał żadnego odzewu. - Głupi gałgan - mruknął do siebie.

Ponownie zaklął, z wściekłością pocierając dłonią czoło. Dopadła go wyjątkowo jadowita migrena. Co dziesięć sekund ból przeszywał jego głowę niczym kawałek szrapnela. Dobrze mu tak, wiedział o tym. Połowicznie się upijając, tak jak to przecież zrobił, sam zaprosił migrenę na swoje terytorium, prawda? Powinien udać się prosto do domu, a nie sterczeć samemu w pubie po tym, jak Ellen wyszła. Powinien zachować się rozsądniej.

Ale to wszystko przez ten alkohol, no nie? Pod jego wpływem nigdy nie zachowywał się rozsądnie. Nigdy nie potrafił wypić po prostu jednego piwa. Zawsze musiał wlać w siebie więcej. Albo w ogóle nie iść do pubu, albo iść i tak się upić, że nawet nie będzie pamiętał, że tam w ogóle był: oto modus vivendi Neda.

Ponieważ chodziło w tym o coś innego, prawda? To nie tak, że dobrze się bawił, kiedy już się upił. Pewnie, pierwszy drink zawsze był przyjemny. Dodawał mu energii. Ned czuł się dzięki niemu lżejszy i szczęśliwszy. Ale potem wszystko staczało się w dół. Rozklejał się. Zaczynał wpatrywać się w ścianę. Marszczył czoło. Był facetem przy stoliku, którego jedynym towarzystwem była pełna popielniczka i pusta szklanka.

Spojrzał na zegarek. Jasno będzie pewnie jeszcze przez jakąś godzinę. Daje Wobblesowi dwadzieścia minut na znalezienie się, a potem zacznie go szukać w głębi ładu. Zwinął sobie papierosa, usiadł na chłodnym piasku, popatrzył na ciemniejący horyzont i zapalił. Wpatrywanie się w morze dawało mu swoiste poczucie perspektywy. Lubił świadomość bycia małym w porównaniu z bezmiarem wody. Czuł się przez to niewiele znaczący, jakby żaden z popełnionych przez niego błędów zupełnie nie miał znaczenia.

Po chwili, nieświadomy tego, że zsunął go z nadgarstka, mężczyzna odkrył, że wpatruje się w inskrypcję wyrytą z tyłu zegarka. Był to gwiazdkowy prezent od żony, Mary, Ned dostał go w ostatnim spędzonym wspólnie, szczęśliwym roku, w roku poprzedzającym jej zajście w ciążę. Powinien się go pozbyć, doskonale o tym wiedział. Powinien cisnąć go w morze, wrzucić do kanału, zdeptać, oddać w zastaw, potłuc, cokolwiek - ponieważ wciąż przypominał mu o tym, jak to kiedyś było między nimi i jak mogło by być nadal, gdyby ona nie zrobiła tego, co zrobiła.

Inskrypcja była następująca: „Mojemu kochanemu Edwardowi, z miłością, teraz i na zawsze”. Na zawsze, pomyślał Ned, automatycznie

potrząsając głową. Nawet gdyby się starała, bardziej już mylić się nie mogła.

To, co Ned zawsze opowiadał Clarze o śmierci jej matki, było kłamstwem. Ale kiedy jego córka po raz pierwszy zapytała o Mary, nie miał pojęcia, jak powiedzieć jej prawdę. Nadal tego nie wiedział.

A może jednak nie było to kłamstwo. Być może nie była to po prostu cała prawda. Może była to okrojona wersja wydarzeń, historia bez wdawania się w szczegóły - szczegóły, które czyniły fakt śmierci Mary o wiele gorszym.

Dzisiaj taką samą półprawdą uraczył Ellen. A teraz źle się z tym czuł. Źle, dlatego że okłamał kolejną osobę, która wkroczyła w jego życie, ale także dlatego że okłamał właśnie Ellen. Co by było, gdyby tym razem wyznał całą prawdę? To właśnie pytanie dręczyło go w tej chwili. A jeśli - co Ellen do tej pory dała mu odczuć - była ona zdolna do poradzenia sobie ze wszystkim, czego doświadcza ze strony Neda albo kogokolwiek innego?

Cała prawda - ta, którą Ned mógł oszczędzić Clarze, ale nigdy sobie - była taka: Mary istotnie zachorowała po urodzeniu Clary, jak Ned zawsze opowiadał swojej córce. Szczegóły stanowiło to, że zapadła na depresję poporodową tak ciężką, że nawet on nie był w stanie do niej dotrzeć. Nie chciała jego ani nie chciała Clary. I nikt nie potrafił jej pomóc. Ani lekarze, ani ich leki, które jednego tygodnia popychały Mary do szaleńczej gonitwy po sklepach i wydawania pieniędzy, a następnego wydzierały grunt spod jej stóp.

Mary umarła, tak jak to Ned zawsze opowiadał Clarze. Tyle że nie poszła do nieba, ponieważ zgodnie z zasadami Kościoła katolickiego, do którego należała Mary, okoliczności jej śmierci czyniły to niemożliwym.

A okoliczności - szczegóły, których Ned nie opowiedział ani Clarze, ani Ellen - były takie, że Mary popełniła samobójstwo. Żołądek Neda kurczył się z bólu, gdy o tym myślał, przypominał sobie, jak to wrócił z pracy i znalazł Clarę leżącą bezradnie na plecach na środku kuchennej podłogi, wyczerpaną i pogrążoną w głębokim śnie. Wtedy już wiedział, co się stało, nie musiał chodzić na górę, by zobaczyć to na własne oczy. Ale mimo to poszedł, stopień po stopniu, aż go zauważył: biały przedłużacz, za którym podążył, a który znał drogę od sypialni do łazienki.

Cała prawda była taka, że Ned znalazł Mary Thomas - tę samą błyskotliwą, ciemnowłosą piękność, w której się zakochał, z którą założył wspólną firmę i z którą pragnął spędzić resztę życia - osmaloną i martwą w wannie, z elektryczną suszarką do włosów nadal tkwiącą w jej martwej dłoni. Na łazienkowym taborecie leżała kartka papieru, na której Mary napisała jedno słowo: WYBACZ.

- Hej, kolego!

Ned rozejrzył się. Przed jego oczami ponownie pojawiła się plaża, a zniknęło wspomnienie Mary. Przyjrzał się migającemu światłu latarni morskiej na Wyspie Świętej Katarzyny i uświadomił sobie, że robi się coraz ciemniej.

- Uwaga!

Ale niezależnie od tego, kto wykrzyknął to ostrzeżenie, i tak już było za późno. Dokładnie w chwili, gdy Ned zaczynał się podnosić, został powalony na plecy. Z głuchym odgłosem uderzył głową w piasek.

- Co do... - zaczął, lecz nie musiał kończyć: wiedział już, przed czym próbowano go ostrzec.

Z góry wpatrywał się w niego Wobbles. Jego łapy znajdowały się na ramionach Neda. Z pyska psa na podbródek mężczyzny skapnęło trochę śliny, a następnie Wobbles oblizał mu całą twarz.

- Wszystko w porządku?

Ned podniósł wzrok. Tuż obok stał jakiś nastolatek i wpatrywał się w niego. Na głowę miał naciągnięty kaptur, ale jego twarz była dobrze widoczna. Coś w jego wyglądzie wydało się Nedowi znajome, jednak nie mógł go jakoś umiejscowić w pamięci.

- Spadaj! - Ned nakazał psu, odpychając go na bok, po czym podniósł się.

Gdy on wstawał, Wobbles pomknął przez plażę ku wodzie i zaczął szczeleć na fale. Chłopak był mniej więcej tego samego wzrostu co i Ned. Popatrzyli na siebie.

- Znalazłem go na parkingu, kiedy próbowałem dobrać się do koszy na śmieci - odezwał się nastolatek. - Widziałem, że pan tutaj leży, i zgadłem, że pies jest pana, więc go tu przyprowadziłem.

- Dzięki.

Chłopak przyglądał się uważnie jego twarzy.

- Pan jest tym gościem, który kieruje remontem w starym Appleforth, prawda?



Ned uśmiechnął się, słysząc słowo „remont”, tak jakby w ciągu tych wszystkich miesięcy nie zajmował się niczym bardziej skomplikowanym niż wymiana w samochodzie świec zapłonowych.

- Zgadza się - odparł, wciąż starając się odgadnąć, skąd zna twarz tego chłopaka. - Jestem Ned Spencer.

- Tak myślałem. Czasami tak sobie chodzę.

Ned zmarszczył czoło, nagle czując się tak, jakby miał zemdleć. Był zdezorientowany, w jego głowie panował chaos, jakby wykończona układanka dzisiejszego dnia została rozdeptana i zniszczona. Wyobraził sobie stojącą obok altany Ellen; usłyszał, jak zadaje mu pytania w pubie; a potem ponownie zobaczył Mary, unoszącą się w wannie z twarzą zwróconą w górę.

Nastolatek naciągnął mocniej kaptur na głowę.

- Przeziębienie murowane, jeśli tak tu pan w tym zostanie.

- W czym? - zapytał Ned.

Ale chłopak zaczął się już oddalać plażą z powrotem w kierunku miasteczka.

Ned dotknął swoich ubrań i w pierwszej chwili nie zrozumiał, co się dzieje, gdy poczuł, że są przesiąknięte zimną wodą. Dopiero wówczas spojrzął w niebo i dotarło do niego, o czym mówił ten nastolatek: lało jak z cebra.

I wtedy właśnie Ned przypomniał sobie, skąd zna twarz tego dzieciaka: to jego widział, jak się kręcił przy kaplicy należącej do posiadłości Appleforth. To jego właśnie chciał kiedyś złapać i z nim porozmawiać.

Ale teraz już było na to za późno. Chłopak znajdował się jakieś dwadzieścia metrów dalej, a po chwili zniknął w deszczu niczym duch.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stali w salonie w Appleforth House, a na twarzy Ellen widniał ten sam przepraszający uśmiech, który pojawił się na niej, odkąd minutę temu odebrała telefon od mamy Thomasa Stirlinga. - Żartujesz, prawda? - zapytał ją Jimmy. Ellen spojrzała najpierw na czarny cylinder, który trzymała w prawej dłoni, a potem na absurdalnie długi, szary płaszcz i ciężkie bryczesy z flaneli, które trzymała w lewej. Potrząsnęła głową.

Ubrania, jakie miała na sobie Ellen - czarne, skórzane buty na wysokich obcasach, brązowa zamszowa spódnica z rozcięciem z jednego boku, kremowy T-shirt i luźny, rozpinany sweter z ponaszywianymi plastikowymi, bursztynowymi paciorkami - wyglądały w porównaniu z tym wszystkim uderzająco nowocześnie. Jimmy'ego, ubranego w znoszone, podarte dżinsy i bawełnianą koszulkę z kapturem, kusiło, by zauważyć to na głos.

Zamiast tego posłał spojrzenie Scottowi, stojącemu w kącie i ustawiającemu wielki reflektor, który Jimmy rozpoznał i potrafił nawet podać jego nazwę: chimera. Poza nazwą znał także jego moc, podobnie jak znał nazwy i moc innych mniejszych lamp, jakich - widział to wcześniej - Scott używał do oświetlania ujęć we wnętrzach: rudzielec (osiemset wat) i blondyna (dwa kilowaty).

Był czwartek. I jak dotąd w tym tygodniu Jimmy pomagał Ellen i Scottowi przy dwóch przeprowadzonych przez nich wywiadach: jednym z Michaelem Francisem w tym jego dziwacznym sklepie przy Southcliffe Street i drugim z przepelnionym entuzjazmem nowym pastorem w zakrystii kościoła Świętej Marii. Jimmy szybko wdrożył się do pracy jako członek jednej drużyny, jednak to, o co był teraz proszony, z pewnością daleko wykraczało poza jego obowiązki.

- Powiedz mi, że ona żartuje - błagał Scotta.

Ale Scott był w stanie zdobyć się jedynie na bezradne wzruszenie ramion.

- To ona jest szefem - odparł. - I, hej, mogłoby być gorzej - zauważył. - Przynajmniej nie prosi cię o zagranie roli żeńskiej. - Posłał mu rozbawiony uśmiech, odwrócił się plecami do Jimmy'ego i zawołał przez ramię: - Uważaj, Jimmy, nigdy nic nie wiadomo... W tym małym kapeluszu z piór, który ma nosić Verity, może być ci nawet do twarzy.

Jimmy jęknął.

- Co z moim kapeluszem? - zawołała Verity, usłyszawszy swoje imię.

Wystawiła głowę nad skraj zakurzonej płachty, którą Scott rozwiesił, by mogła się za nią przebrać. Jimmy wpatrywał się w dziewczynę. Verity miała odsłoniętą szyję, którą ozłacało i pokrywało jaśniejszymi plamami wczesnopołudniowe słońce, sączące się do środka przez szerokie okno i błędzące po całym pomieszczeniu. Brązowe włosy miała zebrane na czubku głowy i ułożone w ciasne pierścionki, a kiedy jej spojrzenie napotkało wzrok Jimmy'ego, dziewczyna wyczekująco przekrzywiła głowę na bok.

Jimmy zamrugał po raz pierwszy, odkąd się ukazała. Jesteś najpiękniejszą osobą, jaką kiedykolwiek widziałem, miał ochotę jej powiedzieć. Pomyślał, że wygląda jak anioł, jak anioł na witrażu, który znajdował się w okrągłym kościelnym oknie wychodzącym na Tudor Square.

- No i jak? - prowokowała go Verity. Jimmy odkaszlnął.

- Do Ellen właśnie zadzwoniła mama Toma Stirlinga - odpowiedział.

Tom, albo też Stirling, jak go zawsze nazywał Jimmy, był ich rówieśnikiem ze szkoły. Był też kapitanem szkolnej drużyny futbolowej i uważał się za kogoś w rodzaju supermana. Trzy lata temu skopał Jimmy'ego na szkolnym parkingu. Wyłącznie dla zabawy, jak później dowiedział się Jimmy, po tym jak Ryan w tajemnicy przed nim oddał Stirlingowi w jego imieniu.

Mimo że Jimmy nienawidził Toma i potrafił przywołać obraz - tak wyraźny, jakby zdarzyło się to dzisiejszego ranka - buta Stirlinga wbijającego się w jego żebra, oddałby wszystko, aby ta właśnie noga nie była teraz złamana. Ponieważ to Tom miał się dzisiaj przebierać i grać rolę zdradzieckiego kochanka Caroline Walpole, Leona Jacobsona.

- Dziś rano rozwalił sobie kostkę na treningu - wyjaśnił Jimmy.

Na twarzy Verity pojawił się wyraz konsternacji. Uczyniła krok naprzód, po czym nagle zatrzymała się.

- Zaczekaj chwilę! - zawołała, znikając z widoku, a chwilę później pojawiła się, przyciskając do siebie soczyście zieloną, długą do ziemi suknię, która zakrywała ją od szyi aż do ud. - Czy to oznacza, że filmowanie jest odwołane? - zapytała.

Jimmy odwrócił się z desperacją do Ellen.

- Musi być przecież ktoś jeszcze. Z przesłuchania, no nie? - zaproponował. - To znaczy musicie mieć chyba kogoś do wyboru... - Jednak nawet mówiąc to, Jimmy był pełen wątpliwości, jako że na przesłuchaniu na koncert pojawiła się zaledwie garstka chłopaków, w przeciwieństwie do dziewcząt: połowa żeńskiej populacji miasteczka zwała się niczym wycieczka autokarowa pełna groupies, jadących obejrzeć Sławę.

- Ta - ak - przyznała Ellen. - Ale nie ma ich tutaj, prawda. Jesteś za to ty, Verity i Roy - kontynuowała, wskazując na dźwiękowca, który na jeden dzień przyjechał z Bristolu i właśnie wpisywał coś do elektronicznego organizera.

- A on nie może zostać do jutra, prawda, Roy? - zapytał Scott, przechodząc obok niego.

- Obawiam się, że nie - odparł mężczyzna. - Najpóźniej w południe muszę się zjawić w Manchesterze.

- A ja jutro mam wolne i zmywam się na weekend, by trochę pozwiedzać - oznajmił Scott.

- A ja ze szkoły mogę się zwolnić dopiero w przyszły czwartek - dodała Verity.

- Musimy więc zrobić to dzisiaj - podsumowała Ellen. Jimmy spojrzał na trzymane przez nią ubrania.

- Ale nie mogę nałożyć... tego...

- Dlaczego nie? - zapytała.

- Ponieważ po pierwsze - odparł Jimmy - będę w tym wyglądał jak jakiś palantowaty jaśniepan. A... a po drugie ja... ja nie umiem grać - zaprotestował. - Jak to ma się udać? Kiedy ostatni raz znalazłem się na scenie, grałem w jasełkach tylną część osła. I nawet to udało mi się spaprać - dodał, przypominając sobie paskudne uczucie, które go ogarnęło, kiedy Maryja, trzymająca w ramionach plastikowego, malutkiego Jezusa owiniętego w nylonowe powijaki, ześlizgnęła się z jego pleców do fosy orkiestrowej po tym, jak potknął się o własne sznurowadło.

Verity wciągnęła gwałtownie powietrze.

- To ty byłeś tylnymi nogami? - zapytała.

- Widzisz? - rzucił Jimmy do Ellen. - Kompletnie schrzałem wszystkim wieczór.

- Zwłaszcza Maryi - przyznała Verity, unosząc brwi z udawanym wyrzutem. - Przez cały tydzień miałam siniaki.

Jimmy zdążył już zapomnieć, że to ona grała Maryję, tak dawno temu to było. Ale nagle przyłapał się na tym, że się do niej uśmiecha, ciesząc się faktem, że ona może się z nim drażnić w taki sposób, wdzięczny za to, że mają wystarczająco wiele wspólnego, by to było możliwe.

Widząc, iż opór Jimmy'ego zaczyna słabnąć, Ellen podeszła szybko do niego, by to wykorzystać.

- Ale to, co miałbyś zrobić dzisiaj, jest naprawdę łatwe - rzekła uspokajająco. - I nie będziesz musiał ani przez chwilę stać na scenie. Mamy zamiar sfilmować was, jak stoicie przy oknie i wspólnie spoglądacie na taras. A potem nakręcimy jeszcze jedną krótką scenę, jak Verity wita się z tobą przy głównym wejściu. Nie będzie słyhać nawet głosu żadnego z was. Kiedy już wrócimy do Londynu, zatrudnimy jako lektora zawodowego aktora, żeby odczytał kilka linijek z pamiętnika Caroline, by wyjaśnić, co się dzieje.

- To betka, Jimmy. Nie bądź mięczakiem! - zawołał Scott.

- Taa, daj spokój. Będzie niezła zabawa - dodała Verity. Jimmy prychnął.

- Tak jak wtedy, kiedy ostatni raz wspólnie pracowaliśmy?

- No cóż - odparła Verity, a oczy jej zabłyśły. - Będę po prostu musiała pamiętać, by tym razem nie wspinać ci się na plecy, prawda?

- Ale...

Argumenty Jimmy'ego zdawały się jednak ulatniać z jego świadomości, gdy wciąż przyglądał się Verity - albo też raczej kiedy ona wciąż uśmiechała się do niego. Do niego, pomyślał. Verity Driver uśmiechała się do niego, Jimmy'ego Jonesa. Nagle przypomniał sobie słowa Tary: Czy. Umówisz. Się. Ze. Mną? Teraz nie wydawały się one tak absurdalne, a fakt, że Verity kręciła z Dennym Shaplandem, także nie stanowił końca świata. Skoro sam jej uśmiech sprawiał, że Jimmy tak się czuł - kręciło mu się w głowie, był bez mała w stanie euforii - nie mógł się powstrzymać od myśli, że z pewnością także dla niej musi to coś znaczyć. A skoro tak właśnie było, odmówienie zgody na przebywanie w jej towarzystwie - nawet jeśli miało to oznaczać ubranie się w strój grabarza - byłoby aktem czystego szaleństwa.

- I nie będziesz wyglądał ani trochę bardziej idiotycznie ode mnie - powiedziała do niego, przewracając na chwilę oczami i wskazując na swoje włosy.

- Ale ty nie wyglądasz idio... - zaczął Jimmy.

Jednak Ellen wyraźnie czuła, że zmarnowali już wystarczająco dużo czasu. Stanowczo wcisnęła na głowę Jimmy'ego cylinder. Potem, nie dając mu czasu na wyrażenie protestu, przyklękła przed nim i przyłożyła bryczesy do jego nóg.

- Tak jak myślałam - rzuciła z satysfakcją w głosie. - Będą pasować idealnie.

- Raczej idealnie szpecić - mruknął Jimmy, gdy Verity ponownie zniknęła za rozwieszoną płachtą.

Jedynie mówiąc to, był w stanie powstrzymać się przed szeptaniem imienia Verity, tak jak to czynił za każdym razem, kiedy o niej pomyślał, od czasu, gdy rozmawiał z nią podczas sobotnich przesłuchań.

Szczerze mówiąc, niesamowicie zaskoczyło go spotkanie jej tam, po tym jak usłyszał, co w zeszłą środę Denny Shapland mówił w Szafirze o ich wspólnym wyjściu. Ale potem Jimmy'emu przyszło do głowy, że pewnie spotkają się w pubie po zakończeniu przesłuchań.

To jednak nie zniechęciło Jimmy'ego do zbliżenia się do Verity, zajęcia sąsiedniego krzesła i przywitania się. I cieszył się, że wykorzystał w ten sposób nieobecność Denny'ego. Był z siebie dumny z wielu powodów. Po pierwsze, zdobył się na odwagę, by podejść i porozmawiać z nią w miejscu tak bardzo publicznym, podczas gdy w szkole za każdym razem tchórzył. Po drugie, udało mu się zachowywać zdecydowanie bardziej na luzie niż wtedy, gdy dał Verity płytę. (Mimo że, spójrzmy prawdzie w oczy, nie było to szczególnie trudne). A po trzecie, i najważniejsze, umieścił wszystkie te negatywne emocje, które czuł w zeszłym tygodniu na klifach - związane z Verity i resztą miasteczka - na samym dnie swojej świadomości.

W porządku, więc Verity zgodziła się pójść na randkę z Dennyem, a Denny był niezłym kutasem. Ale, widzicie, nie było to tak, że Verity wybrała Denny'ego zamiast Jimmy'ego, ponieważ Jimmy jeszcze jej nawet nie zapytał, czy umówiłaby się z nim. A jeśli chodzi o przesłuchania, no cóż, Jimmy zmienił zdanie także i na ten temat. Podobało mu się obserwowanie, jak Verity odgrywa swoją partię i jak Ellen i Scott wymieniają spojrzenia jasno oznaczające, że właśnie znaleźli swoją Caroline Walpole.

Musiał jednak przyznać, że sam pomysł zorganizowania koncertu był do kitu i świadczył o przekonaniu o własnej nieomyślności. Ale nie czuł się winny, że bierze w nim udział, tak samo jak nie czuł, by tym samym sprawiał zawód Ryanowi. Trafił tam, szukając siebie, własnej przyszłości i własnej kariery. Poszedł tam także szukać Verity, mając nadzieję, że ją znajdzie. I nie przychodziły mu do głowy lepsze powody niż właśnie te. Udał się w kątek pokoju i zaczął się przebierać.

Jimmy wrócił z land - rovera Scotta i Ellen z lodówką turystyczną i podszedł do Australijczyka, który stał oparty plecami o lewą stronę głównego wejścia do Appleforth House. Zbliżał się koniec popołudniowej przerwy i mimo panującego chłodu mężczyzna podwinął rękawy koszuli, odsłaniając owłosione ramiona, na nosie miał okulary słoneczne z boczną ochroną i wystawiał twarz do słońca, które zwisało już dość nisko nad horyzontem.

- Pracujesz nad opalenizną? - zapytał Jimmy.

- W kraju takim jak ten trzeba czcić słońce za każdym razem, kiedy ma się taką okazję.

- Proszę - rzekł Jimmy, rzucając Scottowi kluczyki od auta.

Scott złapał je w powietrzu i jednym płynnym ruchem wsunął do kieszeni koszuli. Jednak jego głowa poruszyła się najwyżej o centymetr lub dwa, tak jakby jego ciałem sterował autopilot, a umysł przebywał zupełnie gdzie indziej.

- No więc pozwól mi zgadnąć - rzucił Jimmy. - Marzysz o byczeniu się na jakiejś plaży w Sydney lub jeżdżeniu gdzieś na nartach?

Scott zachichotał.

- Zimno. Choć jednak słowo „marzyć” doskonale to podsumowuje...

Jimmy przyklęknął i otworzył lodówkę turystyczną - albo też Eskimkę, jak ją nazywał Scott.

- Chcesz? - zapytał, podając Scottowi puszkę dietetycznej coli.

- Dzięki. - Ponownie nie patrząc na Jimmy'ego, mężczyzna wziął od niego puszkę, otworzył ją i napił się. - Ona jest oszałamiająca, no nie? - zauważył po chwili, ocierając usta wierzchem dłoni.

Jimmy wyobraził sobie scenę sprzed godziny, kiedy on i Verity stali obok siebie przy oknie, a Ellen kazała im wziąć się za ręce.

- Jest doskonała - odparł bez mała odruchowo. - Już samo trzymanie jej za ręce było...

Ale Jimmy nie potrafił znaleźć słów, by opisać, co poczuł, gdy palce Verity złączyły się z jego dłońmi. Zrobiło mu się gorąco. Dotyk jej skóry ogrzał go niczym ogień. A może ona była zimna? Ponieważ przecież także zadrżał, nieprawdaż? Ale zaszły także inne reakcje niż te czysto fizyczne. To, co w nim pozostało, to pamięć wszystkich tych odczuć, jakie pojawiły się w jego świadomości na skutek dotyku Verity: podekscytowanie, nadzieja, bezpieczeństwo, zaufanie, poczucie dotarcia do celu i przynależności - to wszystko zbiło się w jedno. Jej dotyk sprawił także, że pragnął zrobić następującą rzecz: delikatnie ją pocałować, otoczyć ramionami i przytulić mocno do siebie; odejść z jej dłonią w swojej z tego miasta i udać się w inne miejsce, które będą mogli uczynić swoim własnym.

- Taa - podsumował. - Jest zdecydowanie doskonała.

W ciszy, która zapanowała po jego słowach, Jimmy uświadomił sobie, że Scott zmienił pozycję po raz pierwszy, odkąd on do niego dołączył. Patrzył, jak mężczyzna nasunął na czoło swoje ciemne okulary, i z rozbawieniem mu się przyglądał.

- Co? - zapytał Jimmy.

- Nie myślałem o Verity, chłopie - wyjaśnił z wyraźną przyjemnością Scott. Wskazał na kogoś po prawej stronie Jimmy'ego.  
- Kiedy powiedziałem, że jest fantastyczna, to miałem na myśli ją.

Jimmy wyciągnął szyję i podążył za wzrokiem Scotta. Jakieś dziesięć metrów dalej, na przylegającej do budynku ścieżce, znajdowała się wysoka, rudowłosa kobieta w wieku dwudziestu kilku lat. Szła powoli w ich kierunku, a obok niej podskakiwała mała dziewczynka.

Jimmy jęknął z zakłopotaniem, uświadamiając sobie własną pomyłkę.

- Jednak dzięki za to, że podzieliłeś się ze mną swymi uczuciami wobec naszej aktorki pierwszoplanowej - dorzucił Scott, po czym wybuchnął śmiechem i poklepał chłopaka po ramieniu.

Jimmy miał ochotę znaleźć najbliższe wiadro z piachem i schować w nim głowę. Nie powiedział jednak nic więcej, nie chcąc pograć się jeszcze bardziej. Zamiast tego nadal obserwował tę kobietę. Miała na sobie krótki, niebieski płaszcz przeciwdeszczowy, a długie - bardziej kasztanowe niż rude, jak teraz zauważył - włosy nosiła związane w grube kitki. Scott miał rację: wyglądała oszałamiająco, nawet z takiej odległości.



Kobieta uśmiechnęła się i pomachała. Scott odmachnął jej w odpowiedzi.

- Eee, w takim razie znasz ją? - zapytał Jimmy, pragnąc odciągnąć jego uwagę od tematu Verity.

Scott wzruszył ramionami.

- Nie tak dobrze, jak mam w planach, ale trochę owszem - odparł. - Któregoś dnia podrzuciła mnie do domu. - Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował: - Ale to nic poważnego. Nawet nie trzymaliśmy się jeszcze za ręce ani nic takiego... nie tak jak ty i Verity, no nie?

Jimmy wykrzywił się do Scotta, który ponownie szeroko się uśmiechnął.

- Nie powiesz jej niczego, dobra? Mam na myśli Verity - Jimmy uzupełnił na wypadek, gdyby znowu coś miało się pomieszać.

- Czego? - drażnił się z nim Scott. - Nawet tej części o tym, za jak bardzo doskonałą ją uważasz?

- Proooszę - błagał Jimmy.

Australijczyk podrapał się w zadumie po brodzie, a po chwili mrugnął.

- Już o tym zapomniałem - rzekł.

Jimmy westchnął z ulgą, wiedząc, że Scott mówił poważnie. Ufał mu, a poza tym go szanował. Scott nie kłamał na temat pracy dla nich i zdążył już naprawdę wiele Jimmy'ego nauczyć.

Kazał mu wypełniać listy ujęć i spisywać z monitora kamery kody czasowe, a także zlecał Jimmy'emu bardziej prozaiczne zadania, jak noszenie sprzętu i serwowanie napoi oraz przekąsek. Co więcej, dotrzymał słowa w sprawie tworzenia niepotrzebnej fikcji mającej związek ze śmiercią Ryana. Jego i Ellen interesowało jedynie to, by jak najlepiej sfilmować zbliżający się koncert i pozwolić, by fakty mówiły same za siebie.

- O czym tak rozprawiacie?

Jimmy wzdrygnął się na dźwięk głosu Verity, ale natychmiast przywołał się do porządku i zaczął układać zawartość Eskimki tak spokojnie, jak to tylko było możliwe - to znaczy możliwe dla kogoś, kto właśnie przyznał się do zachwyty, jaki ogarnął go w chwili trzymania dłoni swej filmowej towarzyszki.

- O naszych uczuciach - odparł Scott. Delikatnie stuknął chłopaka w kostkę czubkiem swego buta marki Timberland. - Zgadza się, prawda, Jimmy?

Ignorując go, Jimmy pospiesznie podniósł się i podał Verity puszkę sprite'a. Pod wpływem uwagi Scotta dziewczyna wpatrywała się teraz w Jimmy'ego z uprzejmym wyczekiwaniem.

- Eee, taa. - Jedyne to przyszło Jimmy'emu do głowy. Wzdrygnął się, czując dotyk obrzydliwie wykrochmalonego kołnierzyka, który zmuszony był nosić. Niczym Clark Gable, pomyślał, gdy tylko te słowa wydostały się z jego ust. Ziewnięcie byłoby równie czarujące.

Verity przyjrzała się im obu i przełożyła przez ramię swój kostiumowy płaszcz w kolorze fuksji. Otworzyła puszkę i oblizła ją, gdy na wierzch wypłynęło trochę napoju. Jimmy skupił się najpierw na tym, a później na jej płaskim kapeluszu z szerokim rondem i przytwierdzonymi z boku trzema zielonymi piórami - cokolwiek, byle uniknąć patrzenia jej w oczy ze świadomością, że Scott przypatruje się im obojgu.

- Kim są w takim razie te szczęściary, chłopaki? - zapytała Verity.

Wsuwając kciuki w kieszenie płaszcza, Jimmy posłał Scottowi ostrzegawcze spojrzenie. Ale na nosie Australijczyka z powrotem znajdowały się okulary przeciwsłoneczne i mężczyzna nie dał po sobie poznać, czy w ogóle zauważył sygnał Jimmy'ego, nie mówiąc już o jego zrozumieniu.

- No cóż, moja jest tam. - To było wszystko, co powiedział Scott, wskazując puszką coli w kierunku kobiety na ścieżce. Była teraz zwrócona do nich bokiem i zaczęła się oddalać od budynku jedną ze zwirowanych drózek prowadzących do ogrodu. - Tyle że ona jeszcze o tym nie wie - dodał z uśmiechem.

- Porusza się jak modelka - zauważyła Verity, wygładzając przód swojej bladozielonej sukni, by przylegała płasko do brzucha.

- Taa - zgodził się Scott. - Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, muszę przyznać, że masz rację.

- Jak jej na imię? - zapytała Verity.

- Debs.

- Ale czy fakt, że ma małą dziewczynkę... - zaczęła Verity, po czym urwała.

- Co?

- Nic.

- Nie - nalegał grzecznie Scott. - Jeśli chcesz coś powiedzieć, to zrób to.

Verity zmierzyła Scotta wzrokiem od góry do dołu, jakby próbowała go rozpracować.

- No cóż, czy nie przeszkadzałoby ci, gdyby wokół przez cały czas kręciło się dziecko kogoś innego? - zapytała. - Sądzę, że coś takiego na większość facetów działa odstraszająco...

Scott wykrzywił twarz z udawaną koncentracją.

- Nieee - odparł po chwili. - Ani trochę.

Poczuł zapach kawy, który rozchodził się niedaleko nich. Verity popatrzyła za Debs, a podczas kilkusekundowej ciszy, która wtedy nastąpiła, Jimmy przyłapał się na myśleniu o Rachel. Siedzi pewnie teraz w domu w Carlton Court z małym Kieranem, ogląda telewizję albo pokazuje mu obrazki w książce. Albo też jest na placu zabaw przy Południowej Plaży.

Jimmy widział ją tam kiedyś z daleka, jak wpatruje się w morze i raz za razem podrzuca Kierana w górę. Bez mała rozdarło mu to serce, tak bardzo było mu jej szkoda, że jest taka samotna. Strasznie się martwił, co Rachel robi, jeśli jego tata ją zawiedzie. I mimo że udał się na plac zabaw po to tylko, by ją spytać, czy chce, by jej coś kupił na bazarze, nie potrafił uczynić następnego kroku.

- A nawet gdyby Debs była matką tej dziewczynki - mówił właśnie Scott, gdy Debs i jej mała towarzyszka zniknęły im z oczu, kryjąc się za gładką, szarobrazową korą potężnego jaworu - a którą, tak się składa, nie jest...

Verity zwróciła ku niemu twarz, na której malowała się konsternacja.

- Ponieważ Debs jest po prostu jej nianią - wyjaśnił, po czym ciągnął dalej: - I tak by mi to nie przeszkadzało. Z dzieckiem czy bez, jaka to różnica? Uważam, że należy oceniać ludzi na podstawie ich wnętrza, a nie ich rodzin czy innych zobowiązań. Liczy się charakter, nie zaś okoliczności. Jeśli patrzysz jedynie na to, co na zewnątrz, wtedy otrzymasz tylko to, co powierzchowne.

- Taa - wtrącił się Jimmy. - Zgadzam się. - Spojrzał Verity w oczy, po czym spuścił wzrok na ciasne szwy na jej staroświeckich, czarnych, skórzanych butach.

- Dlaczego? - zapytała go.

- Ponieważ w przeciwnym wypadku - odparł Jimmy, tym razem nie spuszczać z niej wzroku - równie dobrze można się z kimś umawiać jedynie z powodu jego wyglądu, ze względu, powiedzmy, na drogie ciuchy czy też dlatego, że ma szybki... - miał właśnie powiedzieć „motor”, ale udało mu się w porę powstrzymać - ...samochód bądź kupę kasy i tym podobne...

Denny. Mimo że użył słowa „samochód”, równie dobrze mógł wypowiedzieć na głos to imię. Chciał, by Verity wiedziała, że jeśli nigdy nie spojrzy ponad rzeczami materialnymi i symbolami statusu społecznego, wtedy nigdy nie dojrzy jego, Jimmy'ego Jonesa, ponieważ on nie może sobie na nie pozwolić.

- Pewnie tak - rzekła Verity, ale wydawało się, że unika jednoznacznej odpowiedzi.

Jimmy odwrócił się. Był ciekaw, do jakiej restauracji albo baru Denny zabrał ją po przesłuchaniach. Zastanawiał się, czy od tamtej pory gdzieś razem wyszli.

- A co z tobą, Jimmy? - zapytała Verity. - Z kim w tej chwili chodzisz?

Jimmy poczuł się rozdarty: pochlebiało mu, że Verity uważała, iż jest typem gościa, który ma dziewczynę, ale nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie zgodnie z prawdą, nie robiąc jednocześnie z siebie nieudacznika. Niepotrzebnie się jednak martwił, gdyż pałeczkę przejął Scott, wybawiając go tym samym z krępującej sytuacji.

- Nieważne - wtrącił Australijczyk, odrywając się od ściany i wsuwając okulary do kieszeni koszuli. - Wystarczy już tych jałowych pogaduszek, wy dwa leniwe gałgany. Oto nadchodzi szefowa, więc wyglądajmy tak, jak byśmy się czymś zajmowali, dobra?

Na końcu trawnika Jimmy dostrzegł Ellen, która szła w ich kierunku, a towarzyszył jej jakiś mężczyzna. Jimmy podszedł pospiesznie do drzwi i podniósł kapelusz i płaszcz z miejsca, gdzie je zostawił.

- Jimmy! - zawołała do niego Ellen.

Chłopak szybko strząsnął z płaszcza ceglany pył, mając nadzieję, że Ellen nie zwróciła na to uwagi. Gdy się odwrócił, zobaczył, że wciąż idzie w jego kierunku, jednak jej towarzysz odłączył się i stał teraz nieruchomo na trawniku.

- Ned chce zamienić z tobą kilka słów - poinformowała Ellen, kiedy się już do niego zbliżyła.

- Tak?

Nie wyjaśniając niczego więcej, wskazała na trawnik, po czym poszła porozmawiać z Royem, który leżał na pobliskim niskim murku i smacznie sobie spał.

Gdy Jimmy przeciął trawnik, a odległość pomiędzy nim a Nedom zmniejszyła się, chłopak skojarzył sobie imię i twarz mężczyzny.

- Witam ponownie - odezwał się Jimmy, pamiętając, jak bardzo wytracony z równowagi wydawał się Ned, kiedy go spotkał na plaży. - Ellen mówiła, że chce pan ze mną porozmawiać.

Z bliska Ned wyglądał młodziej niż wtedy w deszczu na Południowej Plaży. Z jego oczu zniknął także szalony wyraz. Jego postawę cechowała teraz pewność siebie, wynikająca z przebywania na własnym terenie, przez co Jimmy od razu uznał, że lepiej w ogóle nie wspominać plażowego epizodu.

Jednak Ned uważał inaczej.

- Dzięki za wczoraj - zaczął. Z uśmiechem na twarzy wyglądał jeszcze młodziej. - Za przyrowadzenie mojego psa - kontynuował Ned. - I... - odkaszlnął z zakłopotaniem - oczywiście za udzielenie mi informacji na temat lokalnych warunków meteorologicznych.

- Nie ma sprawy - zapewnił go Jimmy.

Ned skinął z wdzięcznością głową, a potem zdjął okulary i zaczął czyścić szkła jednym z luźno zwisających końców swojej koszuli. Gdy się odezwał, patrzył na swoje ręce, a nie na Jimmy'ego.

- Ta rodzinna kaplica na zboczu klifu - rzekł. - Wiem, że ty i kilkoro twoich przyjaciół kręcicie się tam. I jest tam kłódka, więc pewnie trzymacie tam też swoje rzeczy - ciągnął Ned, wciąż wycierając szkła. - Co mi nie przeszkadza. I nie przeszkadzało. To znaczy aż do teraz - dodał, wreszcie podnosząc wzrok i nakładając z powrotem okulary.

Jimmy nie odpowiedział. Z rzeczowego tonu głosu Neda można było wnioskować, że żadna odpowiedź nie jest konieczna. Jimmy przyłapał się na tym, że przygląda się ubraniu mężczyzny: znoszonym džinsom, średniej klasy adidasom, nieszczegółnej koszuli i brązowej, sztruksowej marynarce. Scott miał rację, jeśli chodzi o powierzchowność i w ogóle. Ten facet ubierał się jak ogrodnik, ale to on był tutaj szefem.

Ned zmarszczył brwi i Jimmy spuścił wzrok, czekając na reprimendę.

- Naprawdę nie cieszy mnie, że muszę ci o tym powiedzieć, ale będziecie musieli tam posprzątać. Niedługo. W poniedziałek za dwa tygodnie zaczynamy tam pracę. Dwa dni po koncercie, który, jak powiedziała mi Ellen, macie zamiar filmować.

Zapadła cisza i Jimmy wiedział, że musi ją przerwać. Bał się tej chwili, od kiedy po raz pierwszy ujrzał tutaj ekipę budowlaną. Każdego dnia zastanawiał się, ile jeszcze minie czasu, zanim nie przyjdą i nie wtargną do tej małej części świata, którą on i Ryan uczynili swoją własną.

- Przykro mi - odezwał się Ned. - Ale tak się sprawy mają.

Jimmy spokojnie spojrzał Nedowi w oczy.

- Prawdę powiedziawszy - odparł - spodziewałem się tego.

I prawdę powiedziawszy, teraz, kiedy to się wreszcie stało, czuł jedynie ulgę.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdzie się podział cały ten tydzień? - Ellen zapytała Scotta, kiedy pakowali swój sprzęt na Wzgórzu Zamkowym. Wykorzystali popołudniowe słońce, by sfilmować ruiny zamku w Shoresby i panoramę roztaczającą się na miasteczko, i wybrzeże ze Wzgórza Zamkowego.

Teraz, późnym popołudniem, światło robiło się powoli coraz gorsze. Nie będzie dziś można podziwiać zachodu słońca - pochmurne, jasnoszare niebo stawało się coraz ciemniejsze, przypominając gigantyczny arkusz nasiąkającej atramentem bibuły.

- Na dziś koniec - rzekł Scott, zapinając metalowe klamry na walizce z kamerą. Po chwili zaniósł ją do samochodu.

Ellen uśmiechnęła się do niego. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej towarzysz ponownie robi sobie kłopot, zostając, by dokończyć ujęcia, podczas gdy, jak wiedziała, już nie może się doczekać, by ruszyć na wycieczkę do Kornwalii, gdzie chciał zobaczyć Projekt Eden.

- Przynajmniej mamy już nagranego Michaela Francisa, pastora i Clive'a - oświadczyła Ellen, podążając za nim i przeglądając gruby plik notatek przypiętych do podkładki z klipsem. - Na następny tydzień mamy zaplanowane trzy kolejne wywiady, więc podczas weekendu postaraj się nie zalać w trupa.

Telefon Ellen zabrzączał, co było sygnałem nadejścia SMS - a, a Scott przewracał oczami w odpowiedzi na jej wcześniejszą uwagę.

- Świetnie - odezwała się, przeczytawszy wiadomość. - Roy potwierdził, że w następny czwartek przyjedzie ponownie, by zająć się dźwiękiem, będziemy więc mogli nakręcić zaplanowaną scenę przy altanie i dwa wywiady. Super! Mamy tak wiele do zrobienia.

- Przez weekend nie uda ci się zrobić wiele więcej - rzekł Scott, posyłając jej spokojne spojrzenie. - Czemu nie chcesz jechać razem ze mną? Będzie niezła zabawa.

- Dzięki za propozycję, ale bawienie się w turystę pozostawię tobie. Ja chyba pokręcę się w okolicy.

- Ale nie zanudzisz się? - zapytał Scott. - Może lepiej pojechałabyś do domu, spotkała się z przyjaciółmi lub coś w tym rodzaju?

Ellen jęknęła.

- Brakuje mi energii - wyjaśniła i naprawdę tak uważała. Wczoraj musiała odbyć podróż do Londynu i z powrotem i była wykończona. - A poza tym nie cierpię przebywać w domu, kiedy nie ma w nim Jasona - dodała, myśląc, że jeśli pojechałaby tam teraz tylko po to, by wygodnie się wyspać w podwójnym łóżku, i tak skończyłoby się to traceniem całego weekendu na wykonywaniu dziesiątek czynności domowych. Równie dobrze może ułatwić sobie życie i pójść do pralni samoobsługowej w Shoresby. Podeszła za Scottem do samochodu, który pożyczała mu na weekend.

- Podrzucę kamerę do domku, a potem od razu ruszę w trasę. Podwieźć cię?

- Nie, mam ochotę na spacer.

- Jesteś pewna, że sobie poradzisz? - upewnił się ponownie Scott.

- Co masz zamiar robić?

Ellen uśmiechnęła się do niego, doceniając jego troskę.

- Pewnie będę spać. Wszystko będzie dobrze. Obiecuj mi tylko, że w niedzielę bezpiecznie do mnie wrócisz - odparła, opierając rękę o opuszczoną szybę od strony kierowcy.

- Tak, mamusiu - rzekł Scott, po czym uruchomił silnik i zwiększył obroty, a Ellen ze śmiechem odsunęła się od samochodu.

- Baw się dobrze! - zawołała i pomachała mu.

\*

Ellen nie była w stanie przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni nie wiedziała, co ze sobą począć w piątkowy wieczór. W zeszły piątek, po tym, jak znalazła Clarę i pokłóciła się z Nedom, wyszła razem ze Scottem, który uspokoił ją kilkoma drinkami w barze curry. Od tamtej pory nie miała dla siebie ani jednej wolnej chwili. Kiedy kilka godzin później otworzyła drzwi do baru Szafir, uzmysłowiła sobie, że chyba jeszcze więcej czasu minęło, odkąd sama była w pubie. Ale po godzinnym moczeniu się w wannie i sprawdzeniu, że w telewizji naprawdę nie ma co oglądać, poczuła, że ma ochotę na zmianę dekoracji. A jako że w domku jej telefon komórkowy nie działał, dawało jej to także szansę na znalezienie sobie cichego kąta i wykonanie wreszcie kilku telefonów.

- Witaj, nieznajoma - odezwała się Beth, przyjaciółka Ellen od najdawniejszych czasów. - Sądziłam, że dałaś nogę z tej planety. Gdzie się podziewałaś?



- Przepraszam - odparła Ellen, czując wyrzuty sumienia. - Chciałam już wcześniej zadzwonić, zamierzałam też wrócić w ten weekend i wpaść do was, ale cały ten tydzień był tak napięty, że postanowiłam zostać tutaj.

- No i jak leci? Chyba jesteś szalona, zostając tam z tymi wszystkimi kmiotkami. Umierasz już bez sklepów?

- Nie - odrzekła Ellen, zaskoczona przybraną przez siebie postawą obronną. - Całkiem nieźle się bawię. Shoresby może i nie jest takie, jak się spodziewałam, jednak podoba mi się tutaj.

- Możemy przyjechać do ciebie na weekend? - zapytała entuzjastycznie Beth.

- No cóż... - zaczęła Ellen, postawiona w niezręcznej sytuacji. Znała się z Beth, odkąd mieszkały w jednym pokoju podczas studiów w Oxford Poly. Była jej druhną, kiedy Beth wychodziła za mąż za Sima, a potem została matką chrzestną ich pięcioletnich teraz bliźniaków, George'a i Harry'ego. - Bardzo chciałabym was zobaczyć, ale...

- Rozumiem, że w takim razie nie.

Ellen próbowała zbyć śmiechem rozczarowanie przyjaciółki.

- W domku nie ma dużo miejsca i obawiam się, że mój plan zajęć jest bardzo napięty, a poza tym ta okropna podróż z Londynu i z powrotem...

- Ach, tak, stara śpiewka z napiętym planem - drażniła się z nią Beth, nie biorąc jej słów na poważnie. - Co ty tam skrywasz?

- Nic!

- Boskiego Jasona? Co u niego słyszać?

- Znowu wyjechał. Do Ameryki Południowej.

- Ellen! - zgromiła ją Beth. - W jaki sposób wy dwoje kiedykolwiek doczekacie się dzieci i w ogóle, kiedy nigdy was nie ma na tym samym kontynencie?

- Wiem, wiem - odparła z rozdrażnieniem Ellen.

Była to bura, jaką otrzymywała od wszystkich swoich przyjaciół, z których większość pozawierała już małżeństwa i rozmnażała się jak szalona. Jednak Ellen w duchu zawsze była dumna ze swojego niekonwencjonalnego związku z Jasonem i cieszyła się, że jest z kimś, kto zwiedził cały świat i miał mnóstwo niesamowitych historii do opowiedzenia, a nie ze sztywniakiem pracującym od dziewiątej do piątej. To jest właśnie część uroku Jasona, przekonywała zwykle

Ellen. Oznaczało to jedynie, że kiedy już rzeczywiście spędzali ze sobą czas, zawsze było fantastycznie.

Jeśli jednak chodzi o tę ostatnią wyprawę, Ellen naprawdę trudno już było znaleźć argumenty przemawiające za tym, że życie jej i Jasona jest cudowne i wspaniałe. W rzeczywistości prawda była taka, że czas, który istotnie spędzali razem, nie był już taki fantastyczny jak kiedyś. Nie mogła po prostu rzucić wszystkiego i spędzać z nim całych dni w łóżku, zamawiając ulubione jedzenie na wynos i chichocząc wspólnie aż do rana, tak jak dawniej. Miała teraz na głowie własną karierę i szczerze mówiąc, nie była zadowolona z faktu, że to ona jest odpowiedzialna za płacenie rachunków i zajmowanie się wszystkim w domu, podczas gdy Jason przyjeżdżał i wyjeżdżał, kiedy mu na to przychodziła ochota. Nie potrafiła wskazać dokładnie chwili, w której zaczęło się to zmieniać. Coraz częściej było tak, że gdy Jason wracał do domu, zamiast wpadać z prezentami i obsypywać ją pocałunkami, był zmęczony i poirytowany i od razu zaczynał się przygotowywać do następnego wyjazdu. Kiedy więc znajdował się w pobliżu, Ellen przez większość czasu złościła się na niego, ponieważ wkrótce miał znowu wyjechać.

Jednak Ellen nie mogła wyznać tego wszystkiego Beth. Wiedziała, że jej przyjaciółka nie pozwoli powiedzieć złego słowa na Jasona, którego regularnie obwoływała jednym z najbardziej atrakcyjnych mężczyzn na świecie. A poza tym była zbyt dumna, by przyznać się Beth, że między nią a Jasonem nie układało się idealnie. Ona by tego nie zrozumiała. Zinterpretowałaby to jako swego rodzaju kryzys, podczas gdy chodziło o coś innego. Ellen była pewna, że za jakiś czas wszystko ulegnie zmianie.

Pięć minut później wyłączyła telefon, naląła do szklanki resztę toniku z butelki i zagłębiła się w lekturze lokalnej gazety. Wcześniej planowała, że zadzwoni do jeszcze kilku przyjaciół, ale rozmowa z Beth wykończyła ją. Nie była w stanie znieść wyjaśniania po raz kolejny, dlaczego nie ma przy niej Jasona i w piątkowy wieczór siedzi sama w pubie na jakimś zadupiu.

No cóż, równie dobrze można tę sytuację jak najlepiej wykorzystać, pomyślała, wstając i podchodząc do baru. Uśmiechnęła się do postawnego właściciela, który z podwiniętymi rękawami wycierał właśnie szklanki.

- Wystawił panią do wiatru, co? - zażartował, wskazując głową na pozostawiony przez nią na stoliku telefon.

- Na to wygląda - odparła Ellen, nie mając ochoty wdawać się w wyjaśnienia.

- Nie potrafię tego zrozumieć. Taka ładna dziewczyna - kontynuował właściciel. - Jeszcze raz to samo?

Roześmiała się, jednocześnie zakłopotana i zadowolona z tego, że właśnie została nazwana dziewczyną. Oparła się o bar, podczas gdy mężczyzna wsunął czystą szklankę pod dozownik z ginem, i omiotła spojrzeniem dalszą część pubu. Stół do bilardu otoczony był przez niechlujnych nastolatków, a nad odgłosem trzasku polan w kominku górował nieustanny brzęk automatów do gier. Jednak było w tym wszystkim coś uroczego, nie tak jak w bezdusznych pubach sieciowych, do których przyzwyczała się w mieście.

Nagle tuż obok jednego z automatów do gier rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i słychać było podniesione głosy. Zaskoczona Ellen wyteżyła wzrok, by dojrzeć, co tam się dzieje. Wtedy dostrzegła Neda. Wyglądał niechlujnie. Jego policzki były zaczerwienione, włosy miał potargane i Ellen od razu rozpoznała, że jest pijany. Przyglądała się, jak idzie w kierunku drzwi.

- Jesteś pijany - odezwała się chwilę później, dogoniwszy go na zewnątrz.

- Więc mnie pozwij! - roześmiał się Ned. - Och - dodał. - Przecież ty już to zrobiłaś. - Wyciągnął z kieszeni kluczyki od samochodu i zszedł na ulicę. - Do zobaczenia! - zawołał, przerzucając marynarkę przez ramię.

- Chyba nie masz zamiaru prowadzić? - zapytała z przerażeniem.  
- Oddaj mi je - zażądała, doganiając go i próbując mu odebrać kluczyki.

- Nie - e - odparł Ned, potrząsając głową. - Widziałem już, jak jeździsz. Nie wpuszczę cię do mojego cennego samochodziku - ostrzegł, docierając do beetle'a i kładąc dłoń na jego zaokrąglonej masce.

Ellen rzuciła się do przodu po kluczyki i wyrwawszy je wreszcie z dłoni Neda, otworzyła drzwi od strony kierowcy. Potem od środka odblokowała drugie drzwi i otworzyła je na całą szerokość.

- Właż do środka - nakazała.

Nie miała pojęcia, dlaczego Ned wciąż jeździł tym prehistorycznym ustrojstwem z czasów studenckich, podczas gdy z całym spokojem mógł sobie pozwolić na porządny, „dorosły” samochód. Dla niego czas najwyraźniej zatrzymał się, pomyślała, rozglądając się po zimnym, ciemnym wnętrzu auta.

Ned usiadł na fotelu pasażera. Ellen wcisnęła sprzęgło, jednak coś je blokowało, schyliła się więc w tej ciasnocie i podniosła psi cukierek, który rzuciła Nedowi na kolana. Co gorsza, pod pedałem hamulca tkwiła stara kanapka i Ellen zmarszczyła nos, zaczynając wątpić w sens swojej misji miłosierdzia.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała.

- Eee, po pierwsze, to ja chcę wiedzieć, gdzie ty mieszkasz.

- Mieszkam tuż obok, w tych domkach koło portu - odparła spokojnie Ellen, wskazując w kierunku Quayside Row. - W tym z niebieskimi drzwiami. Usatysfakcjonowany?

Ned wyjrzał przez szybę, starając się go dojrzeć, jednak Ellen widziała, że tak naprawdę nie jest w stanie skupić wzroku.

- Teraz twoja kolej - ponagliła go.

Ned machnął rękaw stroną wyżej położonej części miasteczka.

- Na górze. Pokażę ci - odparł. Pochylił się, by otworzyć schowek, i wyciągnął jedną po drugiej stare kasety magnetofonowe, po czym rzucał je przez ramię na tylne siedzenie, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Ellen wbrew sobie roześmiała się.

- O, to jest właśnie to. Pulp! - oświadczył Ned, trzymając triumfalnie kasetę w dłoni. - Ostatni kupiony przeze mnie album.

- Ale to było w 1995 - rzekła Ellen, rozpoznając naklejkę. - Od tamtej pory niczego nie kupowałeś? - Musiała mu pomóc włożyć kasetę do rozklekotanego magnetofonu.

- Nie.

- A dlaczego?

- A bo ja wiem. Wyrosłem.

Ned podkreślił dźwięk i Ellen się skrzywiła.

- Czas zdecydowanie się zatrzymał - rzekła, mimo że Ned jej nie słyszał. - Musiałam oszaleć.

Całe wieki trwało, nim udało jej się wydobyć od niego jakieś konkretne instrukcje dotyczące drogi, a jeszcze dłużej nawet, zanim znalazła jego dom. Ned podczas powrotu śpiewał na cały głos, jednak Ellen, mimo że nie słyszała tego albumu od lat, była zbyt

zdeenerwowana, by pomyśleć o przyłączeniu się. Nie była przyzwyczajona do jazdy samochodem z kierownicą po lewej stronie, a po prowadzeniu land - rovera tutaj czuła się tak, jakby znajdowała się teraz w puszcze po sardynkach. Ellen dzieliła uwagę między drogę i Neda, którego popisy wokalne do wymyślanego mikrofonu bardzo ją rozśmieszały, dlatego ich podróż była naprawdę chaotyczna. Wreszcie Ned wskazał na przednią szybę i Ellen z ulgą zaparkowała przed rzędem wiktoriańskich domów.

Kiedy ucichł już stukot silnika i muzyka z magnetofonu, Ned westchnął ciężko. Potem popatrzył na Ellen przekrwionymi oczami, a ona przypomniała sobie, jak wyglądał, gdy we wtorek zostawiła go w tamtym pubie przy plaży.

- Ile wypiełeś? - zapytała łagodnie.

- Wystarczająco.

Oparł się o siedzenie, po czym zakrył twarz dłońmi, tak jakby chciał coś z niej zmyć.

- Czy nigdy nie czujesz potrzeby, by stracić nad sobą kontrolę? - zapytał ze znużeniem, siadając prosto i wpatrując się przed siebie przez szybę. - By o wszystkim zapomnieć? - Jego oczy wydawały się zaszkłone od smutku. - Choćby na krótką chwilę? - Odwrócił się do Ellen. - Czy to jest naprawdę tak bardzo, bardzo złe?

- Nie osądzam cię, Ned - odparła, ale zanim zdążyła dodać coś jeszcze, mężczyzna otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

Ellen także wysiadła z wozu i zamknęła drzwi, po czym oddała kluczyki Nedowi. Nie patrzył na nią, gdy brał je od niej.

- Dobra z ciebie kobieta, Ellen Morris - odezwał się cicho.

- Za dobra, by marnować swój czas, opiekując się złym facetem, takim jak ja. - Wpatrywał się w nią z intensywnością, która napawała ją przerażeniem, jakby dojrzał głęboko w jej wnętrzu coś, przez co chciało mu się płakać. Chwila ta jednak minęła, a Ned potrząsnął głową. - Chcesz wiedzieć, co w życiu jest najgorsze?

- Nie czekał na jej odpowiedź. - Zgranie w czasie - oznajmił jej. - Czasami zgranie w czasie jest do dupy.

Następnego dnia Ellen nie była w stanie wyrzucić Neda ze swoich myśli. Coś w tym ich wczorajszym spotkaniu podziało na nią rozstrajająco i pomimo usilnych prób zanalizowania tego nie potrafiła zdefiniować swoich uczuć. Gdy wałęsała się między stoiskami na zadaszonym bazarze przy starej stacji kolejowej, nakazała sobie

przestać zachowywać się absurdalnie, ale bez względu na to, jak bardzo się starała, nie umiała zostawić tego wszystkiego w spokoju.

Dlaczego zachowała się w taki właśnie sposób? Dlaczego odwiozła go do domu? Co sprawiło, że czuła się w obowiązku zaopiekować się mężczyzną, którego ledwie знаła, tak jakby było to coś najbardziej naturalnego pod słońcem? Dlaczego po prostu nie wezwała dla niego taksówki? Zrobiłaby tak, gdyby chodziło o któregokolwiek z jej przyjaciół w Londynie. Co takiego było w Nedzie Spencerze, że czuła wczoraj tę dziwną mieszankę empatii i zaintrygowania? Nie wspominając już o gniewie i frustracji? Nigdy nie postępowała tak nieprzewidywalnie ani impulsywnie, nigdy. Nawet w towarzystwie Jasona. No dobrze, może i zrzędziła czasem na niego, ale on zawsze zachowywał się tak spokojnie, że prawie nigdy się nie kłócili.

Po prostu zapomnij o tym, nakazała sobie. Ned był pijany. Plółł, co mu ślina na język przyniosła. Najlepsze, co mogła zrobić, to udawać, że zeszły wieczór w ogóle się nie wydarzył. Jednak mimo to dręczyła ją wypowiedziana przez Neda uwaga na temat zgrania w czasie. Co on miał przez to na myśli? No i to spojrzenie! W jego oczach było coś pierwotnego, rodzaj tęsknoty, która sprawiała, że na samą myśl o niej serce Ellen biło szybciej.

Taszcząc staroświecką, puchową kołdrę oraz kilka świec i wciąż rozmyślając nad tymi pytaniami, Ellen przeszła przez miasteczko i zatrzymała się na wychodzącej na Południową Plażę esplanadzie. Za nią znajdował się rząd pozamykanych na cztery spusty wakacyjnych bungalowów, a obok nich nieczynna herbaciarnia, której rzeźbione okna z lat trzydziestych zdobiły wyblakłe chorągiewki. Teraz, kiedy sezon już się skończył, szeroki pas asfaltu był pusty. Ellen przyjrzała się rzędom opustoszałych, żelaznych ławek i przymocowanym na stałe teleskopom ustawionym w zasadzie bez szczególnego powodu, wyobrażając sobie lato, odgłos wózków z lodami i pośpiechu turystów.

Hen, poniżej, u stóp schodzących zygzakiem w dół betonowych schodków właśnie zaczynał się odpływ. Pas plaży, stanowiący linię zasięgu wód przyływu, przystrojony był wodorostami, a za nim jakieś dzieci rysowały coś kijkiem na piasku. Wokół nich biegał w kółko pies, zahaczając o płytkie, niewielkie fale. Ellen poczuła ukłucie samotności. Pomyślała o swojej wczorajszej rozmowie z Beth i o tym,

jak bardzo podobałoby się tutaj jej bliźniakom. Może mimo wszystko powinna ich tu zaprosić, uznała. Mogłaby przyglądać się Harry'emu i George'owi, jak biegają wokół w tych swoich małych, czerwonych kaloszach.

Jak to możliwe, że wszystkie te lata minęły tak szybko, pomyślała, pozostawiając zakupy na jednej z ławek i podchodząc do nabrzeża. Jak to możliwe, że ma pięcioletnich chrześniaków, a sama nie została jeszcze matką?

Wcisnęła monetę w otwór jednego z teleskopów, a po chwili popatrzyła na spokojne, szare morze. Już od lat nie bawiła się żadną z tego typu zabawek. Ellen skupiła się na odległym stadzie mew, które podskakiwały na falach, a następnie dostrzegła na horyzoncie jacht. Gdyby tylko była w stanie zerknąć na drugą część świata, rozmyślała. Gdyby tylko mogła teraz zobaczyć Jasona, wtedy może nie czułaby się tak bardzo osamotniona...

Ellen zrobiła krok w tył, odsuwając się od teleskopu. Horyzont powrócił do swych normalnych rozmiarów, a mewy zniknęły w szarych odmętach morza. Oczywiście, że nie mogła zobaczyć Jasona. Lecz mogła w zastępstwie zrobić coś innego, pomyślała, sięgając do kieszeni.

Wpatrywała się w leżący w jej dłoni telefon, próbując nabrać śmiałości, by wystukać numer. Znała numer alarmowy satelitarnego telefonu Jasona, ale nie miała w zwyczaju z niego korzystać. Raz tylko kiedyś do niego zadzwoniła, kilka lat temu, a on wściekł się, gdyż dźwięk telefonu spłoszył stado dzikich ptaków, do których sfilmowania przymierzał się od kilku dni. Od tamtej pory istniała między nimi niepisana, surowa umowa, że to on dzwoni do niej, a nie odwrotnie.

No cóż, nie dbała o to. Nie dzisiaj. To nie wyłącznie Jason ustalał reguły. Musiała z nim porozmawiać. I musiała zrobić to teraz.

- Co się stało? Coś złego? - zapytał Jason z paniką w głosie.

- Nic - odparła Ellen i poczuła się głupio. Wcześniej, w świadomości, wydawał się tak bardzo oddalony, jednak usłyszenie jego głosu sprawiło, że ponownie stał się dla niej prawdziwy. Jason znajdował się teraz po drugiej stronie globu, a tam był pewnie środek nocy. Co ona sobie myślała? - Ja tylko... - zaczęła.

- Co takiego?

Ellen wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że jest poirytowany, ale musiała powiedzieć, co ją dręczy. Przycisnęła telefon do ucha, wsłuchując się w obecne na linii echo. Pomyślała, jak bardzo absurdalne jest to, że może się kontaktować z Jasonem jedynie na odległość. Nagle wydał jej się niemożliwie wprost daleki: był niczym więcej niż bezcielesnym głosem w słuchawce telefonu. No cóż, jej to nie wystarczało. Potrzebowała go tutaj. Chciała go widzieć i rozmawiać z nim twarzą w twarz. Jednak najbardziej ze wszystkiego brakowało jej przytulenia. Czuła potrzebę dotykania go i bycia dotykaną w zamian.

- Kiedy my wreszcie będziemy tak naprawdę razem? - wyrzuciła z siebie, czując, że w oczach zbierają jej się łzy. Oparła się o teleskop.  
- Dlaczego zawsze jesteśmy daleko od siebie? Nie mogę już tego znieść.

- Co?

- Przepraszam. - Ellen była zaskoczona własnym wzruszeniem. - Wiem, że nie powinnam dzwonić na ten numer, ale musiałam usłyszeć twój głos.

- Myślałem, że to coś ważnego.

- To jest ważne!

Jason westchnął, a ona wyobraziła go sobie, jak pociera czoło dłonią, w taki sam sposób, w jaki zawsze to robił, kiedy ona dawała się ponieść emocjom.

- Ellen, skarbie, posłuchaj. Czy musimy rozmawiać o naszej przyszłości właśnie w tej chwili?

- Jeśli nie porozmawiamy o niej teraz, w takim razie kiedy? - Wszystko było nie tak. Zupełnie nie miała zamiaru tak się rozkleić. Ellen popatrzyła na bawiące się na plaży dzieci. - To znaczy... Nie wiem nawet, czy chcesz wspólnej przyszłości ze mną - kontynuowała.

- Jezu Chryste, Ellen! - Jason wybuchnął sfrustrowanym szeptem. - Co cię, u licha, naszło? Oczywiście, że chcę wspólnej przyszłości. Cóż za głupoty chodzą ci po głowie!

Na chwilę zapadła cisza. Ellen wpatrywała się w zbierające się w nierównościach asfaltu kałuże.

- Wszystko w porządku? - zapytał wreszcie Jason z troską w głosie.

- Tak - odparła. - Nie wiem... - Przeczesała palcami włosy, będąc w większej rozterce niż kiedykolwiek wcześniej. - Po prostu tym



razem jest gorzej niż podczas twoich poprzednich wypraw. Naprawdę bardzo za tobą tęsknię.

- Jesteś pewna, że to wszystko?

Ellen zagryzła wargę. To wszystko, nieprawdaż?

- Tak - rzekła do słuchawki. - Już dobrze. Przepraszam. Ja...

- Och, kochanie - westchnął cicho Jason. - Przepraszam, że tak ciągle wyjeżdżam, ale to nie znaczy, że mnie nie obchodzisz. Kocham cię, mała. Wiesz o tym, prawda?

- Tak - odparła, ocierając łzę.

- Obiecuję ci, że po moim powrocie porozmawiamy.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. Teraz będziemy już kończyć, dobrze?

Ellen wyłączyła telefon, włożyła dłonie do kieszeni i popatrzyła na linię horyzontu. Ta rozmowa telefoniczna nie przyniosła jej ulgi, której tak bardzo potrzebowała, ale przynajmniej choć trochę pomogła. Jason należy do niej, przypomniawszy sobie stanowczo w myślach. A ona go kocha.

Spoglądając na morze, próbowała wyobrazić sobie twarz Jasona, ale nieustannie umykały jej szczegóły. Skoncentrowała się mocniej i sięgnęła w głąb wspomnień, przeszukując ciągi wydarzeń, by znaleźć odpowiednie tło do romantycznych przemyśleń. Ale w jej głowie rozbłyskały jedynie chwile, kiedy była sama i stęskniona, tak jak teraz.

Zabrała z ławki zakupy i powoli ruszyła w kierunku swego domku. Idąc, przypominała sobie początki ich znajomości. Pamiętała czasy, kiedy wspólnie spędzali wakacje, ale nadal nie była w stanie ożywić w myślach Jasona, a jej wspomnienia pozostawały statyczne i bezosobowe, niczym stare pocztówki przeglądane w sklepie z używanymi rzeczami.

Fakty są faktami, powiedziała sobie surowo. Jason obiecał, że porozmawiają, gdy on wróci do domu, a to przecież już całkiem niedługo. Będzie musiała po prostu poczekać.

Później Ellen uspokoiła się znacznie bardziej, kiedy już napaliła w domku i zabrała się do pichcenia sporej porcji sosu bolognese, który, miała nadzieję, starczy na tydzień i zaspokoi dziki apetyt Scotta. Nucąc razem z radiem, pomyślała o kuchni w swoim londyńskim mieszkaniu, o tym, jak dużo kosztowały łupkowe płytki podłogowe i jak wiele czasu zabrało chimerycznym robotnikom

dopasowanie sprzętów z drewna tekowego i pięciopozycyjnej płyty grzejnej. Jakie to dziwne, stwierdziła, że tutaj, w tej najmniejszej kuchni świata, czuje się jak u siebie w domu.

Może powinniśmy odsprzedać hipotekę tego mieszkania i kupić mały domek nad morzem, pomyślała, dokładając do ognia kilka polan. Może to pomogłoby rozwiązać problem zgrania w czasie z Jasonem. Podczas weekendów mogliby jeździć gdzieś wspólnie, by ukryć się przed światem, tak jak robili to kiedyś. Może powinna mu to zaproponować, gdy już wróci do domu.

Jedno było pewne: po dzisiejszej rozmowie Ellen miała zamiar naprawdę wyjątkowo się postarać, kiedy Jason przyjedzie. Udowodni mu, że to jej załamanie było odosobnionym przypadkiem. Wiedziała, jak Jason nie cierpi tych, którzy są zależni od innych ludzi. Zawsze powtarzał, że podoba mu się to, że ona jest niezależna i nie osacza go emocjonalnie. Jednak z drugiej strony, może i dobrze się stało, dumiała Ellen. Być może ten telefon był tym, czego oboje potrzebowali, by doprowadzić swój związek z powrotem do porządku.

Właśnie zdążyła ustawić swoje nowe świece w znalezionym na toalecie porcelanowym świeczniku, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy je otworzyła, wycierając jednocześnie ręce w ręcznik kuchenny, ze zdumieniem zobaczyła na progu Neda i Clare.

Spojrzała na niego, czując, że na jej policzki wypełza rumieniec, jakby została na czymś przyłapana. Czy to możliwe, że Ned w jakiś sposób dowiedział się, jak wiele o nim myślała? Wyglądał na zmęczonego, ale trzeźwego, stwierdziła, widząc, że jest świeżo ogolony i ma na sobie wyprasowaną koszulę. Możliwe także, że nawet podciął włosy.

- Ellen - rzekł zwięźle, unosząc w jej kierunku butelkę wina owiniętą w białą bibułę. - Przyszedłem, by cię przeprosić. Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

- Zupełnie nie trzeba, naprawdę - wtrąciła łagodnie, biorąc butelkę i uśmiechając się do Neda. Mężczyzna odpowiedział jej także uśmiechem i wzruszył ramionami, a na jego twarzy wyraźnie odmalowała się ulga. Przez chwilę panowała cisza, aż Ellen uświadomiła sobie, że Clara wpatruje się to w nią, to w Neda. Zerknęła w dół z zakłopotaniem. - Witam ponownie - zwróciła się do dziewczynki.

- Namalowałam to dla ciebie - odparła rzeczowo Clara, po czym uczyniła krok do przodu i podała Ellen nieco wygnieciony arkusz grubego papieru.

- Naprawdę? - Kobieta przewiesiła ręcznik kuchenny przez ramię i pochyliła się, by wziąć rysunek z wyciągniętej rączki swego małego gościa.

- To ty w sukience - wyjaśniła Clara, po czym na jej twarzy pojawiła się konsternacja. Przechyliła głowę na bok. - Czy masz sukienkę?

Ellen przyjrzała się nieudolnemu rysunkowi, przedstawiającemu kobietę w długiej sukni ozdobionej kokardami w jaskrawych kolorach, a następnie spojrzała na czarne spodnie, z którymi właściwie się nie rozstawała, i na szary, kaszmirowy sweter. W porównaniu z rysunkiem Clary wyglądała strasznie bezbarwnie.

- Mam sukienki - oświadczyła. - A skoro tak mi w nich do twarzy, będę je musiała zacząć nosić częściej. Dziękuję ci bardzo. Uważam, że twój rysunek jest śliczny. - Uśmiechnęła się i ponownie spojrzała na prezent. - Wiesz co... może kiedyś umówimy się na podwieczorek i wtedy obie się wystroimy. Co ty na to?

- A możemy zjeść go teraz? Jestem głodna.

- Claro, nie! - wtrącił Ned, kładąc rękę na ramieniu córki. - Wpadliśmy tylko na chwilę, a teraz wracamy do domu na kolację.

Ellen przyglądała się, jak Ned zaczyna odciągać Clarę w stronę kamiennej ścieżki. Kierowana impulsem zaproponowała:

- A może jednak wejdziecie?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, Ned zatrzymał się i odwrócił. Kiedy spojrzenia jego i Ellen skrzyżowały się, kobieta wstrzymała oddech z poczuciem winy, przypominając sobie swoją wcześniejszą rozmowę z Jasonem. Ale nie robi tego przecież dla Neda, pomyślała, celowo opuszczając wzrok na Clarę.

- Lubisz spaghetti? - zapytała ją z uśmiechem. Dziewczynka energicznie pokiwała głową.

- Możemy, tatusiu, możemy?

- Nie, naprawdę, dzięki za zaproszenie, ale zrobiłaś już wystarczająco dużo... - zaczął Ned.

Ellen nie zgodziła się na przyjęcie jego grzecznej odmowy.

- Jeśli naprawdę chcesz się odwdziżyć za wczorajszy wieczór, wejdźcie i dotrzyście mi towarzystwa - rzuciła mu wyzwanie. - Nie cierpię jeść w samotności.

Clara była zabawniejsza, niż Ellen to sobie wcześniej wyobrażała. W towarzystwie Neda zachowywała się jak mała dorosła i wciąż rozśmieszała Ellen swoimi uwagami i naturalnym instynktem zabawy. Nalegała, by urządzili konkurs polegający na wciąganiu do ust długich nitek makaronu, aż ich twarze pokrywały plamy od sosu, i śmiali się do rozpuku. Kiedy wreszcie Clara zaczęła ziewać, Ellen uświadomiła sobie, jak bardzo zrobiło się późno.

- A może pójdziesz ze mną na górę? - zapytała Clare, unosząc brwi w kierunku Neda w celu zdobycia jego poparcia. - Kupiłam dziś na bazarze nową kołdrę. Jeśli chcesz, to ci ją pokażę.

Idąc tuż za Clarą, Ellen uśmiechała się, obserwując potężne kroki, jakie dziewczynka musiała dawać na tych zwichrowanych schodach.

- Ładnie tutaj pachnie - zauważyła Clara, kiedy Ellen otworzyła drzwi do swojej sypialni i włączyła małą lampkę, którą kupiła w miasteczku. Czerwono - złoty abażur sprawiał, że pokój wydawał się otulony delikatnym światłem.

- Och, miałam mały wypadek z perfumami, więc teraz wszystko ma ich zapach - wyjaśniła Ellen. - Proszę bardzo, oto ona. - Wyciągnęła z torby kołdrę i rozłożyła na łóżku.

- Ładna - oceniła Clara, przesuwając małą rączką po wzorze, który tworzyły różowe kwiatki.

- Też tak uważam - odparła Ellen. - I wygląda na bardzo mięciutką. Jednak nie próbowałam jej jeszcze.

Wtedy Ellen przykucnęła i popatrzyła na Clare.

- Mam pomysł. Przetestujesz ją dla mnie?

Clara kiwnęła głową, a Ellen delikatnie otuliła dziewczynkę kołdrą, po czym uniosła ją i ułożyła na łóżku.

- Sprawdź, czy jest ciepła, dobrze? Będę na dole razem z tatusiem, więc za jakiś czas możesz zejść i mi powiedzieć, zgoda?

Clara umościła się jeszcze wygodniej i zamknęła oczy. Ellen nachyliła się w jej stronę, instynktownie pragnąc pogłaskać dziewczynkę po włosach, ale powstrzymała się i na palcach wyszła z pokoju.

Na dole Ned sprzątał właśnie talerze.

- Jeśli udało ci się nakłonić Clare do pójścia spać, w takim razie jesteś geniuszem - oświadczył.

- To żadna sztuka. W tym sosie było prawie pół butelki czerwonego wina - odparła Ellen, wkładając dłonie w tylne kieszenie spodni. Teraz, kiedy znalazła się sam na sam z Nede, nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Cała ta sytuacja wywoływała w niej poczucie winy. Tak jakby robiła coś niewłaściwego i zakazanego.

Ned to kolega, powtarzała sobie w myślach. Z pewnością nie ma nic złego w tym, że są teraz sami. Zwłaszcza gdy na górze śpi jego dziecko. Jason znajduje się tysiące kilometrów stąd, tłumaczyła sobie. Gdyby był tutaj, przebywałby teraz z nimi i we trójkę popijaliby wino. Jednak coś w tym pomysłcie przypominało próbę przyciskania do siebie dwóch magnesów o jednakowych biegunach; tak jakby Ned i Jason wzajemnie się odpychali.

Ellen zmusiła się do myślenia o Jasonie. „Kocham cię - powiedział jej Jason zaledwie kilka godzin temu. - Wiesz o tym, prawda?” Oczywiście, że o tym wiedziała, i ona go także kochała. Nie robiła przecież nic złego, przebywając w towarzystwie Neda, no nie?

Ned zbliżył się i stanął naprzeciwko niej obok swego krzesła. Zabrał ze sobą kieliszki i postawił je teraz na stole.

- Posłuchaj, Ellen, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór... - zaczął pospiesznie, jak gdyby wcześniej wstrzymywał oddech. Jego twarz spowijało światło stojących na stole świec i Ellen pomyślała sobie, jak bardzo jest on przystojny bez okularów, zwłaszcza teraz, kiedy zmrużył z zakłopotaniem oczy.

- Chciałem prowadzić samochód. Co ty musisz sobie teraz o mnie myśleć?

Ellen wzruszyła ramionami, nie będąc w stanie spojrzeć na niego. Wcześniej nie uważała go za przystojnego, dlatego więc w tej chwili pojawiły się w jej głowie takie właśnie myśli?

- Czasami wszyscy potrzebujemy zapomnienia - rzekła, specjalnie przytaczając jego wczorajsze sentymentalne wynurzenia.

- Chodzi po prostu o to, że... nie wiem - ciągnął Ned. - Czasami tak strasznie się wkurzam na to, co się stało.

- Na twoim miejscu pewnie też bym się tak zachowywała.

- Nie jestem alkoholikiem, jeśli to właśnie sobie myślisz.

- To dobrze. W takim razie możemy się jeszcze napić wina - podsumowała, celowo nadając ich rozmowie lżejszy ton i popychając w jego kierunku butelkę. Uśmiechnął się i napełnił ich kieliszki.

Proszę bardzo, powiedziała do siebie w myślach. Potrafisz to. Umiesz nadawać wszystkiemu profesjonalny charakter. Nie ma potrzeby, by w jakikolwiek sposób się do niego zbliżać...

Ellen napiła się wina i zerknęła na Neda. Kogo ja oszukuję, pomyślała. Ten mężczyzna był po prostu zbyt fascynujący. A poza tym nie było możliwe, by wstrzymała całe swoje życie aż do powrotu Jasona. Jason znajdował się na drugim końcu świata, a Ned tutaj. Skoro pomiędzy nią a Nedom zaczęło się tworzyć coś przyjacielskiego, w takim razie dlaczego próbowała to powstrzymać? Może się przecież przyjaźnić z przedstawicielem płci przeciwnej. W dodatku w otoczeniu Jasona w Ameryce Południowej jest pewnie cała masa kobiet. I o czym rozmawiają ze sobą późną nocą przy ognisku? Ellen wątpiła, by tematem tych rozmów była tylko i wyłącznie praca.

Pomijając wszystko inne, podobało jej się to, że Ned potrafił się przy niej otworzyć. Przyjemna była świadomość, że może jej ufa i że zależy mu na niej na tyle, by przyjść i przeprosić za wczorajszy wieczór.

Ellen wróciła myślami do chwili, gdy siedzieli w samochodzie Neda, i tego, na jak bardzo znużonego wyglądał, gdy spytał ją, czy jest coś złego w tym, że ma się ochotę o wszystkim zapomnieć. Pragnęła zadać mu tak wiele pytań. Pragnęła się dowiedzieć, co czuł, gdy zmarła jego żona, jaka była jego żałoba, jak poradził sobie z wychowywaniem Clary i, rzecz jasna, co czuje teraz. Jednak było coś tak oschłego i rzeczowego w sposobie, w jaki opisywał wtedy fakty, iż ostrzegło ją to, że gdyby zaczęła go poganiać, wtedy jedynym skutkiem byłoby to, że Ned jeszcze bardziej by się w sobie zamknął. A tego akurat nie chciała. Teraz, kiedy Ned wpuścił ją nieco do swego świata, Ellen pragnęła więcej.

- Opowiedz mi o niej. Opowiedz mi o Mary - odezwała się, moszcząc się wygodnie na krześle. - Jaka ona była?

- To znaczy zanim zachorowała? Ellen skinęła głową.

- Była... to była po prostu Mary - odparł, wyraźnie nie wiedząc, co powiedzieć.

- Co więc w niej było takiego, co na początku ci się spodobało? - nie rezygnowała Ellen.

Ned podrapał się po karku.

- Chyba jej uśmiech. Jej uśmiech był prześliczny. I miała wielki talent. Była prawdziwie uzdolnioną artystką.

Ellen pochyliła się do przodu i oparła łokcie na stole.

- Kontynuuj.

- Miała unikatowy dar widzenia świata. Potrafiła wlać życie we wszystko, co malowała.

- No a co z tobą? - zapytała Ellen. - Jakie uczucia wywoływała w tobie?

Ned zmarszczył czoło.

- Cóż za dziwne pytanie.

- Niezupełnie - odparła Ellen. - To znaczy... jak się wam układało?

- Oczywiście, że dobrze. Była moim najlepszym przyjacielem. Wspólnie założyliśmy firmę, ale to ona zawsze miała pełno pomysłów. Przychodziło jej do głowy coś szalonego, a potem rzucała mi wyzwanie. Trzeba przyznać, że to jej zasługa, że naszej firmie udało się osiągnąć sukces.

Ned podszedł do kominka i postawił kieliszek na gzymsie. Ellen nie widziała jego twarzy, jednak wiedziała, że się uśmiecha, kiedy się odezwał:

- Miała fantastyczne poczucie humoru. Na początku naszej znajomości śmialiśmy się na okrągło. - Ned zamilkł na chwilę, jakby pochłonęły go wspomnienia. Potem zaśmiał się niepewnie i zapatrzył w ogień. - Miała w sobie tyle energii. Pragnęła zwiedzić cały świat. Często zaskakiwała mnie kupnem biletów do miejsc, o których wcześniej przeczytała...

Ellen zdjęła łokcie ze stołu i oparła głowę na dłoniach, słuchając jednocześnie opowieści Neda o wycieczkach do Paryża, Wenecji i Rzymu. Nie odzywała się, nie chcąc przeszkadzać, dopóki nie skończy. Instykt jej podpowiadał, że dla Neda będzie dobrze, jeśli zapamięta właśnie taką Mary.

A poza tym jego opowieść była fascynująca. Sposób, w jaki Ned wszystko opisywał, sprawiał, że prawie była w stanie wyobrazić sobie, że to ona ogląda te wszystkie widoki i delectuje się atmosferą tamtych odległych miast. Słuchała jak urzeczona, zaskoczona, że Ned ma aż tyle tak bardzo romantycznych wspomnień. Skoro kiedyś był

właśnie takim człowiekiem, pomyślała Ellen, w takim razie możliwe jest, że w rzeczywistości nie jest aż tak cyniczny, na jakiego pozował.

- Przepraszam. Zanudzam cię - odezwał się po chwili, odwracając się do niej. Jego oczy błyszczały.

- Nie, nie. Ani trochę.

- Ja zazwyczaj nie... - ciągnął, najwyraźniej zdumiony własnym zachowaniem.

- Wydaje się, że byliście bardzo szczęśliwi - odezwała się łagodnie Ellen.

Ned skinął głową, po czym wyprostował się, zdecydowanie zamykając wspomnienia na powrót w jednej szufladzie, i wrócił energicznie do stołu, jakby rozmawiali właśnie o jakichś sprawach życia codziennego, a nie o miłości jego życia.

- No a co z tobą, Ellen? - zapytał, dolewając sobie nieco wina. - Jesteś szczęśliwa?

- Co? Ogólnie? - Zdezorientowała ją jego nagła zmiana nastroju.

- Nie, mam na myśli, czy jesteś szczęśliwa... z kimś? Ellen uderzyła myśl, że to dziwne, iż odczuwa taką bliskość

z Nedom, a on w zasadzie nic o niej nie wie. W jaki sposób udało jej się uniknąć rozmowy o Jasonie?

- Owszem, jestem z kimś - odrzekła, po czym się poprawiła. To zdanie zabrzmiało tak obojętnie. - To znaczy mam partnera, Jasona - dodała, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć na ten temat. Pomimo że wcześniej Ned z dużą otwartością opowiadał o Mary, Ellen czuła się teraz niezręcznie, mówiąc o Jasonie. Jak mogłaby opisać swój własny związek? Wydawał się tak płytki i jednowymiarowy w porównaniu z tym, co łączyło Neda i Mary.

Jej gość skinął głową.

- Jason - rzekł, jakby tytułem próby. - No więc to... na poważnie? Ellen uśmiechnęła się z żalem.

- Tak, chociaż czasami myślę, że po prostu na tyle poważnie, na ile się w tym przypadku da.

- Jednak nie wystarczająco poważnie? - Ned wywnioskował z jej tonu.

- Ujmijmy to w ten sposób: to, co nas łączy, jest tak poważne, jak bardzo poważny potrafi być Jason.

- Chyba za tobą nie nadążam.



- Jesteśmy razem już prawie dziesięć lat i wspólnie mieszkamy. To wszystko pewnie świetnie wygląda na papierze. Ale jeśli mam być z tobą szczerą, nie jestem największą miłością Jasona - wyznała, zaskakując tym samą siebie. Nigdy nikomu nie wyjawiała swej skrywanej w tajemnicy wątpliwości.

- Tak?

- Jest nią jego praca.

- Aha - odparł powoli Ned, kiwając ze zrozumieniem głową i wkładając z powrotem okulary.

- Nie zrozum mnie źle - dodała pośpiesznie Ellen, absolutnie nie chcąc przedstawić Jasona w tak niekorzystnym świetle. - Jason jest cudowny. To znaczy jest naprawdę wspaniałym człowiekiem... - Ellen zerknęła na Neda i wiedziała, że nie uda jej się skłamać. - Jest wspaniały, tyle że zawsze daleko ode mnie.

- Idiota - podsumował Ned, a Ellen roześmiała się. Nieoczekiwanie ulżyło jej, że podzieliła się z nim swymi myślami.

- Ja też tak uważam - zgodziła się.

- Nie, ja naprawdę tak myślę - rzekł poważnie Ned. - Jest idiotą. Już ja wiem, co mówię. Jeśli jest coś, czego żałuję, to spędzania zbyt wiele czasu w pracy, a nie przy Mary, kiedy mnie potrzebowała. To był błąd, za który przyszło mi zapłacić zbyt wysoką cenę. Gdybym otrzymał jeszcze jedną szansę, to z pewnością tę rzecz bym zmienił. Byłbym przy niej bez względu na wszystko.

- Może pewnego dnia otrzymasz drugą szansę... z kimś innym.

- Nie - odparł stanowczo Ned. - Nie istnieje coś takiego jak druga szansa. Skończyłem z tym. Raz wystarczy.

Ellen zaskoczyła powagą i surowością jego tonu. Instynktownie pragnęła rzucić mu wyzwanie, tak jak w czwartek, kiedy spierali się w pubie o ideę miłości. Jednak w jego oczach było coś, co ją ostrzegło, by tego nie robiła. Drzwi, które zostały uchylone na tyle, by mógł porozmawiać o Mary, teraz były ponownie zamknięte na cztery spusty.

- Powiedz mi, jak wam idzie z tym programem dokumentalnym.

- Ned bezceremonialnie zmienił temat.

Ellen poczuła się winna w stosunku do Jasona. Miała uczucie, że zbyt mało powiedziała Nedowi. Nie miała szansy przedstawić mu wszystkich dobrych aspektów ich związku, a mówiła jedynie o tych najgorszych. Ale teraz było już za późno. Odpowiednia chwila minęła.

- Dobrze - odparła. - Prawdopodobnie zbyt dobrze. Mogłabym nakręcić o tym miejscu pełnometrażowy film. Amanda, producentka całej serii, przebywa aktualnie na urlopie macierzyńskim i zabije mnie, kiedy się dowie, ile nakręciliśmy materiału, ale mnie się to podoba. Prawdę powiedziawszy, to mój pierwszy samodzielny program.

- Nie widać tego po tobie.

- Nie? - zaśmiała się Ellen. - To ściema. Pierwszego dnia trzęsłam portkami jak diabli.

- Na moje oko świetnie sobie z tym wszystkim radzisz. Dlaczego nie miałybyś zmontować pełnometrażowego dokumentu, skoro masz wystarczająco dużo materiału? Staraj się mierzyć wysoko. Potrafisz to zrobić.

No i znowu się pojawiło, pomyślała Ellen, to spojrzenie, które jej posłał, kiedy przyszła do jego kabiny tego dnia, gdy znalazła na klifie Clare. Spojrzenie, którym rzucał jej wyzwanie.

Uśmiechnęła się.

- Nie sądzę, bym to potrafiła. To znaczy nie mam wystarczająco wielu źródeł. A poza tym i tak nie jest mi łatwo radzić sobie z tym całym materiałem, którym już dysponuję.

- Może w czymś ci pomóc? - zaproponował.

- Jeśli obiecasz, że nie zaczniesz na mnie krzyżeć - drażniła się z nim - to możesz mi pomóc w pisaniu scenariusza dla lektora. O ile oczywiście masz ochotę.

Trzy godziny i prawie jeszcze jedną butelkę wina później podłogę przykrywały zadrukowane arkusze, przedstawiające planowaną przez Ellen kolejność ujęć i poszczególne części scenariusza dla lektora. Okazało się, że Ned pomógł jej bardziej, niż mogła to sobie wcześniej wyobrazić. Jego logiczne podejście pomogło Ellen w uporządkowaniu pomysłów i nadaniu całemu materiałowi większego sensu, niż gdyby robiła to w pojedynkę. Teraz, kiedy w kominku wesoło trzaskał ogień, Ellen pomyślała, że cudownie jest przebywać z kimś, kogo interesuje to, co robisz.

Gdy ona i Ned klęczeli przed kominkiem i zbierali porozkładane kartki, Ellen zupełnie straciła poczucie upływającego czasu. W głowie szumiało jej od wypitego wina. Roześmiali się, kiedy Ned podniósł z podłogi ostatni arkusz papieru, by położyć go na kupkę razem z innymi.

- No i gotowe.

- Nie, nie - odparła Ellen, chcąc zabrać Nedowi kartkę, ale on jej nie puszczał.

Zamarła. Jej dłoń spoczywała na dłoni Neda. Poczowała mrowienie, jakby przez jej ciało przeszedł prąd. Ned popatrzył na jej dłoń. Nie poruszył się. Oboje zdawali się nie oddychać, gdy tak klęczeli obok siebie, prawie stykając się udami.

Ellen spojrzała na swoją dłoń, nakazując sobie zabrać ją z ręki Neda. Głos rozsądku kazał jej przerwać ten moment, przeprosić, zbyć to śmiechem... Ale nadal nic nie robiła. Nie myśląc, nie mając odwagi myśleć, Ellen odwróciła się twarzą do Neda, a ich dłonie wciąż stykały się ze sobą. Ich twarze dzieliły zaledwie centymetry.

Niby nic się nie stało, ale w tamtej chwili stało się wszystko. Ellen przed oczami miała jedynie twarz Neda. Nie była w stanie oddychać, gdy jego wzrok rozbierał ją do naga, tak samo jak zeszłego wieczoru. Wtedy zrozumiała, co to oznacza. Że w oczach Neda nieświadomie znalazła odpowiedź na pytanie, którego nie śmiała ubrać w słowa.

Zapominając o wszystkim... o wszystkich... niezauważalnie zbliżyła twarz w kierunku twarzy Neda.

Ułamek sekundy przed złączeniem się ich warg Ned uchylił się i czar chwili przysł.

- Lepiej... eee... lepiej już pójdę - odezwał się, odsuwając się od Ellen, tak jakby parzyła. Podniósł się z podłogi i drapiąc się za uchem, unikał jej spojrzenia, jednocześnie wskazując drugą ręką na drzwi.

- Oczywiście. Jasne - odparła Ellen, dotknięta do żywego. Też wstała. W jej głowie aż huczało od tego, co prawie się stało.

- Pójdę po Clare - mruknął Ned.

Ellen skinęła głową i objęła się ramionami, drżąc z emocji, podczas gdy Ned wbiegał po schodach.

Przejechała dłonią po ustach, nie wiedząc, co powinna teraz czuć. W jej żyłach tętniła adrenalina.

- Jezu! - mruknęła, gdy wciąż w szoku chodziła po dywanie tam i z powrotem. Co ona, do diabła, sobie myślała?

Chwilę później po schodach zszedł Ned, trzymając w ramionach Clare. Na dole zaczął odwijać z niej kołdrę, ale Ellen pospieszyła w jego kierunku.

- Nie, nie, zostaw to - wyszeptała, pochylając się, by po raz ostatni rzucić okiem na Clare. - Nie budź jej. - Śpiąca w ramionach Neda dziewczynka wyglądała jak bezbronne, maleńkie dziecko.

Nie patrząc na Ellen, Ned uczynił krok w kierunku drzwi, prawie tak, jakby miał zamiar przejść przez nie bez otwierania. Ellen szybko podeszła, by je otworzyć. Przecisnął się koło niej, uważając, by jej nie dotknąć.

- No tak... dobranoc - rzucił, wychodząc na brukowaną uliczkę.

Ellen z trudem przełknęła ślinę. Ned uporczywie na nią nie patrzył.

- Tak. Eee... dzięki za pomoc - udało jej się wydukać, ale Ned nic nie odpowiedział. Szedł już prowadzącą do miasteczka drogą.

Ellen pospiesznie zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

- Cholera! - wyszeptała, po czym ukryła twarz w dłoniach.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Cóż za sobotni wieczór! Verity zamknęła oczy. Teraz, pomyślała. Denny Shapland miał zamiar po raz pierwszy ją pocałować. I co z tego, że była to ich pierwsza randka? Co z tego, że Denny uzna ją za łatwą zdobycz? Ona przecież też go zdobywała, nieprawdaż? Czy to nie właśnie o to w tym wszystkim chodziło?

Siedząc w samochodzie, pochyliła się w kierunku swego towarzysza. Mocno waliło jej serce. Jednak Denny miał inny pomysł. Także nachylił się do niej i w kąciu jej ust złożył najdelikatniejszy, najbardziej kuszący pocałunek. I to wszystko.

Otworzyła oczy, gdy usłyszała, że Denny się odsuwa i otwiera drzwi po swojej stronie. Z zarumienionymi policzkami obserwowała, jak jej wymarzony chłopak obchodzi maskę czerwonego samochodu, po czym otwiera drzwi i podaje jej rękę.

Stojąc na chodniku, Verity wygładziła spódnicę i przerzuciła torbę przez ramię. Wpatrywała się w swoje stopy, a w jej głowie kotłowało się od pytań. Dlaczego nie chciał jej pocałować? Czy powiedziała coś nie tak? W ogóle mu się nie podobała?

Jednak chwilę później poczuła, że Denny ujmuje jej dłoń. Kiedy zbliżył ją do swoich ust, spojrzenie jego i Verity skrzyżowało się. Dziewczyna wstrzymała oddech, gdy Denny całował wewnątrz jej dłoni, przyciskając usta do jej skóry niczym pieczętkę.

- Ciao, bella - wyszeptał, uśmiechając się przy tym.

Mrugnął do niej, podrzucił w górę kluczyki, złapał je z powrotem i niespiesznie wsiadł do samochodu. Po chwili już go nie było.

Verity stała jak wrośnięta w chodnik i trzymała dłoń na piersi, patrząc za samochodem, dopóki ten nie zniknął jej z oczu.

Było idealnie, pomyślała, patrząc na księżyc. Denny był idealny. To był najcudowniejszy wieczór w jej życiu. Pozwoliła, by na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, i dała upust tłumionemu, odczuwanemu przez kilka ostatnich godzin podekscytowaniu: zacisnęła powieki i pięści i zaczęła zwycięsko biec w miejscu.

- Wszystko w porządku?

Verity przerwała nagle swój pokaz triumfu, zażenowana tym, że została przyłapana.

Odwróciła się i ujrzała zbliżającego się w jej kierunku Neda Spencera, niosącego coś, co wyglądało jak małe dziecko otulone różową, okazałych rozmiarów kołdrą. Verity przedwczoraj widziała

Neda na terenie Appleforth House, a poza tym mężczyzna ten często przychodził do hotelowego baru, chociaż ostatnio widywała go tam jakby rzadziej. Lubiła go, mimo że wyglądał na samotnika. Teraz jednak był ostatnią osobą, której miała ochotę cokolwiek wyjaśniać. Verity pospiesznie przesłoniła policzki włosami, by ukryć zakłopotanie, i bez słowa ruszyła w kierunku wiodących do hotelu schodków.

Kiedy znalazła się już w swoim pokoju, włączyła płytę Jimmy'ego. Potem rzuciła się na łóżko, przyjrzała tańczącym na suficie księżycowym cieniom i w głowie odegrała na nowo cały wieczór, wygładzając i pielęgnując wspomnienia, tak by na długo pozostały w jej pamięci.

Oczywiście, że wcześniej jadała już w wielu restauracjach, zwłaszcza kiedy była na wakacjach w Hiszpanii, ale w Shoresby bywała jedynie w zwykłych barach i w indyjskiej restauracji. Kiedy więc Denny wywiózł ją z miasta, a potem bez słowa przepuścił przodem w drzwiach Ostrygi, Verity była naprawdę poruszona.

To właśnie to, pomyślała, gdy przyjrzała się kolorowym lampkom przebiegającym pomiędzy wzorzystymi, rybackimi sieciami. To była jej pierwsza randka z prawdziwego zdarzenia. Była taka, jaka powinna być, tak jakby występowali w filmie.

Nawet jej rodzice nigdy nie odwiedzili tej sławnej restauracji serwującej owoce morza i kiedy Verity pomyślała o potencjalnym rachunku, zebrało jej się na płacz. Ale składając zamówienie w jej imieniu, Denny sprawił, że poczuła się tutaj zupełnie swobodnie. Dzięki niemu poczuła się tak wyrafinowana, jak jeszcze nigdy wcześniej.

Na początku miała ochotę wymknąć się na chwilę i zadzwonić do Trezy, by jej powiedzieć, gdzie się właśnie znajduje. Wiedziała, że przyjaciółka byłaby pod naprawdę ogromnym wrażeniem, gdyż od wieków namawiała Willa, by ją tam zabrał. Zamiast tego jednak Verity pospiesznie wypła kilka łyków wina i skupiła się na robieniu wrażenia na Denny.

Problem polegał na tym, że każdy temat, jaki przyszedł jej do głowy, wydawał się niemądry i dziecinny. Nie chciała, by Denny uznał ją za niedoroślą dlatego, że mówi o szkole. A jej zbliżający się egzamin z pianina - co poza szkołą było jedynym, o czym mogła myśleć - wydawał się bezsensowny i absurdalny w porównaniu z

decyzjami i obowiązkami zawodowymi, które dla Denny'ego stanowiły chleb powszedni.

Przez chwilę, gdy Denny wpatrywał się w nią z wyczekiwaniem, atmosfera była naprawdę napięta.

- No więc - odezwał się, uśmiechając się do niej - czy już ci mówiłem, jak pięknie wyglądasz?

W odpowiedzi na ten komplement Verity zarumieniła się i poruszyła z zakłopotaniem na swoim krześle, zadowolona, że wyszykowała się dziś w domu Trezy i dała namówić na top z koronki i streczu. Co prawda wtedy protestowała, że odkrywa zbyt wiele, jednak Treza upierała się, by go włożyła, twierdząc, że skoro oszczędziła Verity bacznego wzroku Cheryl, pozwalając, by Denny odebrał ją z jej domu, w takim razie Verity powinna się odwdzięczyć swej przyjaciółce i przynajmniej posłuchać jej rad w kwestii najnowszej mody.

A tam, w restauracji, Verity zaczęła być Trezie za to wdzięczna.

Mimo że przyłapała się także na rozważaniu, czy jeśli Denny zawsze jada w tak eleganckich restauracjach, to w takim razie kogo jeszcze zaprosił tutaj wcześniej, by dotrzymał mu towarzystwa?

- Często tu bywasz? - Nawet Verity skrzywiła się po wypowiedzeniu tej oklepanej kwestii. Pociągnęła łyk wina, próbując pokryć tym samym swoje zakłopotanie, ale Denny roześmiał się.

- Nie. Niezbyt często - odparł, przyglądając jej się zuchwale poprzez wysokie świece.

- Przepraszam - wydusiła z siebie Verity. - Ja nie chciałam... Po prostu jest tyle spraw związanych z tobą, o których chciałabym wiedzieć.

- Na przykład co?

- Chyba wszystko.

Od tamtej pory rozmowa nie stanowiła już problemu. Verity musiała jedynie zadać Denny'emu jakieś pytanie, a on o choczko na nie odpowiadał. Gdy słuchała, jak opowiada o swoim mieszkaniu i sklepie oraz różnego rodzaju wyróżnieniach za umiejętności surfingowe, prawie gubiła wątek, pochłonięta zapamiętywaniem go: sposobu, w jaki jego brwi układały się w równą linię, jego długich, podwiniętych rzęs i małego pieprzyka tuż pod lewym okiem. Prawie się nie odzywała, ale kiedy o dziesiątej opuszczali restaurację, czuła się tak, jakby Denny Shapland zajrzał w głąb jej duszy.

W drodze powrotnej wydawało się, że wszystko emanuje magią. Nad ich głowami księżyc w pełni rzucał atramentowe cienie na pola i nadawał połysk ciemnej tafli morza. Mijane przez nich drzewa tworzyły siatkę cieni na srebrzystym asfalcie pustej drogi. Podczas ich szybkiej jazdy Verity przyglądała się twarzy Denny'ego, która migiała niczym u bohatera starego, czarno - białego filmu.

Potem, jakby po to, by jeszcze upiększyć te i tak idealne chwile, Denny włączył płytę, a Verity natychmiast rozpoznała wstęp do arii Lairetty O mio babbino caro, którą prezentowała na zeszłorocznym przeglądzie szkolnym.

- Puccini - westchnął Denny. - Uwielbiam go.

- Śpiewałam to - wyrzuciła z siebie Verity, patrząc to na migający korektor sprzętu grającego, to na Denny'ego. Zdumiało ją, że ma on podobny gust muzyczny. Nigdy wcześniej nie spotkała kogoś, kto uwielbiałby Pucciniego. - To moja ulubiona aria - dodała z pełnym szczęścia westchnieniem.

- Pieprzysz! - Wydawało się, że Denny jest pod wrażeniem. Zrobił głośniej.

Teraz Verity przycisnęła dłonie do piersi i przekręciła się na łóżku, by ułożyć się na boku. Żałowała, że tak mało się odzywała przed odjazdem Denny'ego. Cierpiała katusze, będąc w pełnej ekscytacji rozterce. Co to wszystko może oznaczać? Czy ją polubił? Miał ochotę ponownie się z nią spotkać? Czy była wystarczająco wyrafinowana? Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, nie miała przewagi. Nie czuła się tak jak zazwyczaj - jak nadmiernie uprzywilejowana dziewczyna obsypywana komplementami przez chłopaka, którym nie była zainteresowana. Tym razem znalazła się w zupełnie innej sytuacji. I zachwycała się każdą tego minutą.

Do poniedziałku agonía Verity jeszcze bardziej przybrała na sile. Dziewczyna nie była w stanie spać, jeść ani nawet myśleć. Wyglądało to tak, jakby Denny był płynem, który wsiąkał w jej umysł niczym w gąbkę, dopóki ta nie będzie pełna.

Podczas przerwy na lunch Verity przyszła do domu, by poćwiczyć trochę grę na pianinie. Nie cierpiała grać w hotelowym salonie w czasie innym niż bardzo wcześnie rano, ale sala muzyczna w szkole była akurat zajęta i nie miała wyboru. Za tydzień czekał ją egzamin, zamknęła więc duże drzwi prowadzące do hotelowej recepcji i usiadła na krzeselku przy wykuszowym oknie. Otworzyła



torbę i wyjęła z niej znajome nuty utworów Debussy'ego, Beethovena i Brahmsa, a także swój pamiętnik. Zaczęła w nim zapisywać swoje myśli.

To miłość. Jestem tego pewna. Jest lepszy, niż mogłabym sobie wymarzyć.

Verity włożyła do ust końcówkę ołówka i popatrzyła na napisane przed chwilą słowa. Potem położyła pamiętnik na podpórce do nut na pianinie, po czym upięła włosy w węzeł, unieruchamiając go ołówkiem. Otworzyła nuty i zaczęła ćwiczyć, a jej palce z łatwością odnalazły czułe tempo sonaty Beethovena.

Jednak kiedy grała znajome dźwięki, jej oczy umykały od nut w kierunku napisanych przez nią słów. W jakiś sposób wydawały się tak nieodpowiednie w porównaniu z tym, co naprawdę czuła. Nigdy wcześniej nie była zakochana, jednak wiedziała już, że słowo „miłość” w tym przypadku nie wystarcza. Było to uczucie znacznie potężniejsze.

Czuła coś kiedyś do jednego lub dwóch chłopców, ale wtedy była jeszcze dzieckiem. Denny był inny. Taki dorosły i dojrzały, a jej uczucia były silniejsze i bardziej prawdziwe niż cokolwiek, co odczuwała wcześniej. Jedyne, czego pragnęła, to by jak najszybciej upłynął czas do dnia, w którym będzie mogła powiedzieć Denny'emu, że go kocha.

Zanurzając się w romantyzmie muzyki, Verity zakołysała się lekko na podłużnym krzeselku, uświadamiając sobie, że nuty wreszcie zapadły w jej podświadomość i zna je teraz na pamięć. Potem zamknęła oczy i przeniosła się w ramiona Denny'ego, grając jednocześnie ścieżkę dźwiękową do swoich najbardziej romantycznych fantazji.

- Co ty robisz?

Verity odwróciła się na krześle i ujrzała swoją matkę z przewieszonym przez ramię naręczem świeżo wyprasowanych obrusów.

- Sądziłam, że masz teraz ćwiczyć. Skończyłaś grać jakieś pięć minut temu.

Verity chwyciła swój pamiętnik i zamknęła go.

- Nie wiedziałam, że słuchasz.

- Jeśli masz zamiar tracić czas na snucie marzeń na jawie, równie dobrze możesz mi pomóc. Mam sto spraw do załatwienia...

Verity zagłuszyła matkę, zaczynając grać game, wystukując po kolei nuty tak szybko i spokojnie, jak tylko potrafiła.

Ale matka jeszcze nie skończyła. Podeszła i stanęła przy pianinie.

- Wcześniej ktoś do ciebie dzwonił! - zawołała. Verity natychmiast przerwała grę, tuż przed dotarciem do najwyższych dźwięków na samym końcu klawiatury. Zapadła nagła cisza, w której dało się wyczuć atmosferę wyczekiwania.

- Chyba jakiś... Daniel? Darren?

- Denny - wyrzuciła Verity, wściekła na siebie za to, że nie dała mu numeru swojej komórki. Jak mogła popełnić tak głupi błąd? - Kiedy? Kiedy dzwonił? - zapytała z desperacją w głosie.

- Jakoś tak rano.

- Mogłaś mi powiedzieć! - wykrzyknęła Verity, pospiesznie zamykając klapę pianina.

- Przecież ci mówię.

Verity wzięła głęboki oddech, zmuszając się do tego, by jej gniew nie wy dostał się na zewnątrz.

- A tak w ogóle to kim jest ten jakiś Denny? - chciała wiedzieć jej matka. - Chodzi z tobą do szkoły?

- Nie - odparła Verity, wstając i zbierając nuty.

- Skąd go znasz?

- Po prostu znam, dobrze?

- Skąd on jest?

- Mamo!

- Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz niczego powiedzieć. Czy coś jest z nim nie tak? Chyba nie bierze narkotyków, co? Verity, odpowiedz mi. Nie jest prymitywny i nieokrzesany, ponieważ...

- Ma swój własny sklep - przerwała jej Verity.

- Jaki sklep?

- Czy to ważne?

- Dlaczego zachowujesz się tak obronnie?

- Nie zachowuję się obronnie. Nie rozumiem po prostu, dlaczego miałabym spowiadać ci się z każdego najmniejszego szczegółu.

- Pytanie o to, w jaki sposób ktoś zarabia na życie, nie można nazwać pytaniem zbyt intymnym, Verity.

- Dobrze, już dobrze. Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, to jest właścicielem Wave Cave. Usatysfakcjonowana?

Verity wstała, z nieszczerym uśmiechem przecisnęła się koło matki i wyszła z pomieszczenia, zanim Cheryl zdążyła cokolwiek powiedzieć. Jako że jej matka wiedziała wszystko o wszystkich w Shoresby, z pewnością miała też wyrobioną opinię na temat Denny'ego, a Verity nie zamierzała jej wysłuchiwać.

Na górze sprawdziła w książce telefonicznej numer do Wave Cave, a potem wzięła głęboki oddech. Pierwszy raz będzie miała okazję rozmawiać z Dennyem przez telefon. Prawie opuściła ją odwaga. A co, jeśli wcale nie chciał z nią mówić? Jeśli zadzwonił tylko po to, by jej powiedzieć, że nie ma ochoty więcej się z nią spotykać? Jednak palce Verity ignorowały te wątpliwości i wybrały numer.

- Wave Cave. W czym mogę pomóc? - zapytał Denny po podniesieniu słuchawki.

- Cześć, Denny, to ja - odezwała się Verity. Dłoń, w której trzymała słuchawkę, drżała.

- To ty - odparł Denny, czyniąc pełną dramatyzmu pauzę. - Wow. Masz najbardziej seksowny głos przez telefon, jaki kiedykolwiek słyszałem. Zresztą już ci to pewnie mówiono, no nie?

- Denny, daj spokój - zachichotała Verity, podciągając kolana pod brodę.

- Miałem nadzieję, że to ty - rzekł. - Co teraz robisz?

- Nic.

- W takim razie wpadnij do mnie.

- Co? Teraz?

- Tak. Zrób sobie mały spacer i spotkajmy się w sklepie. Nie ma wielkiego ruchu, więc co byś powiedziała, gdybyśmy zamknęli sklep i spędzili resztę popołudnia u mnie?

- Denny, nie mogę! - zawołała Verity, drepcząc po dywanie. - Naprawdę chciałabym, ale mam masę roboty. Szkoła i tym podobne.

Czuła, że zabrzmiało to nieprzekonująco, lecz Denny jedynie się roześmiał.

- W porządku, Panno Obowiązkowa. Tym razem nie będę cię sprowadzał na złą drogę. Zrób to, co masz do zrobienia, i wpadnij później. Co o tym myślisz?

Verity pomyślała o lekcji gry na pianinie, którą będzie musiała opuścić. Ale do diabła z tym, stwierdziła. Nic się nie stanie, jak raz na nią nie pójdzie, a może użyć jej jako wymówki do wyjścia z domu.

- Wspaniale.
- W takim razie do zobaczenia później.
- W porządku - zaśmiała się Verity.
- Ale ostrzegam cię - rzucił Denny - będę liczył minuty...

Verity uśmiechała się, kiedy odkładała słuchawkę. Przepęłniała ją niemożliwa do opisania radość.

Do środy Verity opuściła jeszcze jedną lekcję pianina, dwa zajęcia z teorii i starannie opracowała wymyślną sieć kłamstw, by tylko móc być z Denny. Wiedziała, że powinna się uczyć albo przygotowywać do egzaminu praktycznego, ale Denny nalegał, by się z nią spotkać, a ona nie potrafiła mu odmówić. A poza tym ona także bardzo tego chciała.

Przebywanie w towarzystwie Denny'ego w jego sklepie sprawiało, że czuła się wyjątkowa. Rozmawiał z nią i patrzył na nią przez cały czas, celowo odwracając wzrok, gdy tylko napotkała jego spojrzenie.

- Jest po prostu tak bardzo romantyczny - zwierzyła się Trezie, kiedy chowały podręczniki do szkolnych szafek.

- Chodźmy do kafejki, umieram z ciekawości, by wszystko usłyszeć - odparła Treza. - Nie powiedziałaś mi jeszcze prawie niczego.

Verity spojrzała na przyjaciółkę i uświadomiła sobie z poczuciem winy, że przez ostatnie kilka dni nie poświęciła jej ani jednej myśli. Teraz, kiedy Treza patrzyła na nią, Verity dostrzegła to samo wyczekujące spojrzenie, które tak dobrze знаła. Ale mimo to nie miała ochoty dzielić z nią wszystkich intymnych szczegółów swojego związku. Jeszcze nie teraz. To wszystko było zbyt świeże i zbyt ekscytujące. Gdyby zwierzyła się Trezie ze swoich uczuć, wtedy byłoby tak samo jak zawsze, kiedy rozmawiały o chłopcach. A Denny był zupełnie inny. Nie należał do tej samej ligi.

- Przepraszam, Treza. Nie dzisiaj. Muszę lecieć. Później idziemy do kina.

- Wow! - odparła Treza z uśmiechem, ale Verity znała ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że jest rozczarowana. - Nie marnujecie czasu, co? Nie uważasz, że to wszystko dzieje się trochę za szybko?

- Wcale nie. A poza tym Denny nie jest ani trochę nachalny. Czuję się, jakbym go znała od zawsze.

- To dopiero tydzień czy coś koło tego. Nie sądzisz, że powinniście... no wiesz... trochę przystopować?

- Mówisz zupełnie jak moja matka - zaśmiała się Verity. - A skoro już o niej mowa, to jeśli będzie dzwonić, to wyszłam z tobą, OK?

W kinie Verity ledwie się mogła skoncentrować, gdy siedziała z kubelkiem popcornu na kolanach. Rzucała Denny'emu ukradkowe spojrzenia. Przyglądała się jego odzianym w dżinsy nogom i nie mogła powstrzymać się przed zastanawianiem, jak by wyglądał nago. Gotowa była się założyć, że wprost niesamowicie. Poczowała podekscytowanie na samą myśl o tym. Im dłużej spotykała się z Dennyem, tym bardziej jej się podobał i tym bardziej każda komórka jej ciała pragnęła kontaktu fizycznego.

Problem polegał na tym, że Denny wciąż nie uczynił żadnego ruchu w tym kierunku. Jeden z powodów, dla których Verity nie chciała rozmawiać z Trezą o Dennyem, stanowił fakt, że nie było wielu intymnych szczegółów, którymi mogła się z nią podzielić.

Przed ich pierwszą randką, kiedy Denny pocałował ją w policzek najpierw na ulicy, a potem w supermarkecie, Verity była przekonana, że będzie on chciał, by wszystko się działo szybko, gdy tylko już zaczną chodzić ze sobą na poważnie. Ale potem, w sobotę, kiedy odwiózł ją do domu, w zasadzie nawet jej nie pocałował.

Teraz minęło już wystarczająco dużo czasu, by Verity zaczęła wpadać w paranoję. Im dłużej się nie całowali, tym bardziej tego pragnęła. Jednak nigdy wcześniej nie była zmuszona, by czynić pierwszy krok, i nie miała pojęcia, jak to zrobić. Wiedziała, że podoba się Denny'emu - no cóż, przynajmniej taką miała nadzieję - ale co, jeśli on czeka na jakiś sygnał z jej strony?

Verity czuła się beznadziejnie pogubiona i zżerało ją poczucie niższości. Może inne dziewczyny, z którymi Denny się spotykał, zachowywały się bardziej swobodnie. Jednak już sama myśl o doświadczeniu seksualnym Denny'ego w porównaniu z kompletnym jego brakiem w jej przypadku sprawiała, że czuła się jeszcze bardziej zdenerwowana.

Jakby wyczuwając, że Verity czymś się martwi, Denny spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Chodź do mnie - rzekł i objął ją ramieniem.

Verity uśmiechnęła się uszczęśliwiona i wślizgnęła się w jego ramiona. Nie przeszkadzało jej nawet to, że w żebra wbija jej się oparcie do rąk. Zamknęła oczy, wdychając zapach wody po goleniu Denny'ego. Muskała nosem jego szyję, zupełnie nie zwracając uwagi na film. Pragnęła jedynie, by wszyscy, których znała, zobaczyli ją w tej właśnie chwili. Tak, by wiedzieli, że jest dziewczyną Denny'ego Shaplanda.

Verity nadal promieniała, gdy później spacerowała za rękę z Denny'ym wzdłuż esplanady. Nie miała w zasadzie powodu, by spieszyć się z powrotem do hotelu, a jako że wieczór był naprawdę pogodny, ochoczo wyraziła zgodę na propozycję przechadzki po nadmorskim bulwarze.

Verity nigdy nie uważała Shoresby za choćby odrobinę romantyczne miejsce, jednak teraz, gdy przechadzała się po nim w towarzystwie Denny'ego, uświadomiła sobie, jak bardzo się myliła. Białe światło ustawionych wzdłuż esplanady latarni oświetlało im drogę i zanurzało swe srebrne palce w ciemnej wodzie, która delikatnie uderzała o murek.

- Czy to nie zdumiewające, że znamy się dopiero od niedawna, a ja czuję, jakby minęły już całe wieki? - odważyła się zapytać Verity, po raz pierwszy dostrzegając łagodne światło starych ulicznych latarni.

Denny wzruszył ramionami.

- Znajomi zawsze mi mówią, że zbyt pośpiesznie się angażuję, ale to pewnie dlatego, że żyję w zgodzie ze swymi uczuciami.

- No cóż, lubię cię właśnie takiego - odparła Verity, kładąc swą drugą dłoń na wierzchu dłoni Denny'ego i uśmiechając się do niego.

- Co będziesz robić jutro? - zapytał Denny.

- Kolejne ujęcia na Wzgórzu Straconych Dusz.

- Ach, tak? Co każą ci robić tym razem? Przebiorą cię znowu za tę nieżyjącą dziewczynę?

Verity potwierdziła skinieniem głową.

- Będę miała romantyczną scenę z Jimmym Jonesem. Gra on kochanka Caroline Walpole.

- Romantyczną? - zapytał Denny. - Co masz przez to na myśli?

Verity zaskoczył ton jego głosu.

- Jedynie patrzenie sobie w oczy - zapewniła go. - Takie nudy. Nic poza tym.

Denny kiwnął głową.

- Jimmy Jones - odezwał się. - Znam go. Podejrzewam, że kilka tygodni temu zwędził mi ze sklepu spodnie. Nie, żebym mógł mu to udowodnić. Uznałbym jednak, że jest zbyt wielkim nieudacznikiem, by dostać taką rolę. Nie mogli znaleźć nikogo lepszego?

Verity popatrzyła na ziemię rozdarta poczuciem lojalności. W zeszły czwartek Jimmy wydawał się taki miły, że nie miała ochoty mówić o nim niczego złego. Naprawdę podobało jej się kręcenie tego dokumentu, jednak reakcja Denny'ego zaskoczyła ją. Zakładała, że fakt, iż gra w filmie, uczyni ją wyrefinowaną i interesującą, ale opinia Denny'ego na temat Jimmy'ego sprawiła, że teraz czuła się głupio.

- Jimmy bywa czasami trochę dziwny - mruknęła.

- Taak, no dobra - odparł Denny, a w jego głosie pojawił się ostrzegawczy ton. - Nie przeszkadza mi to, dopóki zarówno przed kamerą, jak i poza nią będzie trzymał ręce z dala od ciebie. Nie chcę, byście robili coś, czego jeszcze nie robiliśmy my...

Verity gwałtownie wciągnęła powietrze i zatrzymała się.

- Z Jimmym? Nie ma mowy! - Potem uśmiechnęła się uspokajająco do Denny'ego. - Muszę jedynie udawać, że jestem w nim zakochana. To nic takiego, naprawdę.

- Jeśli mamy być razem, muszę być w stanie ci ufać - odparł poważnym tonem Denny, odwracając się do niej i łapiąc ją za ramiona. - Jestem zazdrosnym facetem. Nic na to nie poradzę. Jeśli już jestem z dziewczyną, wtedy jest cała moja.

Verity poczuła się tak, jakby ktoś obsypał ją gwiazdnym pyłem. Należała do Denny'ego. I pragnęła, by nie miał on co do tego żadnych wątpliwości.

- Możesz mi zaufać. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Z nikim. Obiecuję, Denny. Jestem cała twoja.

Wtedy Denny ujął jej podbródek i uniół jej głowę, jakby ogarnięty namiętnością, i po raz pierwszy naprawdę ją pocałował, językiem rozdzielając jej wargi. Verity zacisnęła oczy, czując, jak zderzają się ich zęby, i podziękowała w myślach Bogu za to, że zdjęto jej aparat w porę przed najlepszym pocałunkiem w jej życiu.

Po chwili spróbowała się odsunąć, ale Denny wsunął dłoń w jej włosy, przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie i całował coraz mocniej. Verity zeszywniała, gdy jego język wtargnął jeszcze głębiej do jej ust.

Wreszcie, kiedy jego uścisk nieco się rozluźnił, Denny jęknął. Verity piekły wargi w miejscach, w których ocierał się o nie jego kilkudniowy zarost. Czowała, jak jego penis napiera na jej udo. Zamknął ją w uścisku, a ona z otwartymi oczami dotknęła nosem jego miękkiego, wełnianego swetra. Serce waliło jej z przerażenia i podekscytowania. Co miała teraz zrobić? Czy Denny oczekiwał, że go dotknie? A jeśli zrobi to źle? Zbyt przestraszona, by się poruszyć, usłyszała niski jęk Denny'ego.

- Boże, Verity - odezwał się. - Tak bardzo cię pragnę. Tak bardzo, że chyba tego nie zniosę.

Następnego dnia w Appleforth House podczas kolejnej sesji filmowej Verity wiedziała, że to była tylko kwestia czasu, zanim między nią i Dennyem dojdzie do czegoś poważnego. Po ubiegłym wieczorze coś się zmieniło. Czowała się gotowa. Było tak, jakby swoją deklaracją namiętności Denny wreszcie przekształcił ją w kobietę, którą miała się stać.

W jednym z magazynów na dole, mieszczącym się tuż obok mniejszej kuchni, Verity siedziała przed lustrem na niskim taborecie, a Edith z salonu fryzjerskiego z Shoresby lokówką kręciła jej włosy. Verity popatrzyła na wiszącą na drzwiach suknię, którą wkrótce nałoży, by jeszcze raz przekształcić się w Caroline Walpole. Teraz wiedziała, co ta nieżyjąca dziewczyna musiała czuć: oszalała z miłości, zdeterminowana, by być ze swoim ukochanym za wszelką cenę, wbrew woli jej ojca. Wbrew wszystkim.

Na zewnątrz było wyjątkowo słonecznie i Ellen oraz Scott czekali niecierpliwie, by zacząć i wykorzystać to doskonałe światło. Pokiwali na Verity, by się pospieszyła, gdy dziewczyna wreszcie pojawiła się w drzwiach kuchni ubrana w swój kostium. Uniosła brzeg sukni i przeszła szybkim krokiem wzdłuż starej, kamiennej ścieżki do miejsca, gdzie obok altany czekali na nią Scott, Ellen, Roy i Jimmy. Różne światła były porozstawiane wokół ławki przy kamiennym murku, na której siedział przebrany w swój kostium Jimmy.

Ellen ścisnęła ramię Verity, gdy dziewczyna usiadła obok niego.

- Siedźcie tak przez chwilę, dobrze? - rzuciła, a Verity uśmiechnęła się do niej, zazdroszcząc Ellen jej markowych okularów z dużymi, brązowymi szklami. Kobieta miała na sobie białą koszulę z falbankami wsadzoną w dżinsowe biodróvky, a na ramiona narzuciła wyglądający na drogi niebieski sweter. Kiedy cofnęła się do stojącego



obok monitora Scotta, Verity nie mogła się powstrzymać przed myśleniem, jak bardzo wygląda ona elegancko. Jakie to musi być fantastyczne, stwierdziła, być taką jak ona. Wyglądała tak, jakby świetnie sobie radziła i miała wszystko pod kontrolą.

- Wyglądasz dziś na szczęśliwą - rzekł do niej Jimmy, gdy Verity poprawiała spódnicę.

- Czyżby? - odparła. Wiedziała, że zabrzmiało to wyniośle i bezceremonialnie, ale po tym, co powiedział Denny, naprawdę nie chciała, by jej kontakty z Jimmym były zbyt przyjacielskie.

Jednak Jimmy'ego nie zniechęcił ton jej głosu i nie dał się zbić z tropu.

- Tak, naprawdę.

- No cóż, nie ma to nic wspólnego z tym strojem. Czuję się absurdalnie.

- Szkoda, że moja babcia nie może cię teraz zobaczyć - rzekł Jimmy jakby do siebie, wzdychając przy tym tęsknie.

Co miała z tym wspólnego babcia Jimmy'ego?

- Twoja babcia? - zapytała ze zdziwieniem Verity.

- Nieważne - odparł Jimmy.

Ją jednak zdążył już zaintrygować smutny wyraz jego oczu. Uświadomiła sobie, że nie wie niczego o jego rodzinie.

- Opowiedz mi o niej - poprosiła.

Słuchała zaskoczona przywiązaniem Jimmy'ego do babci od strony ojca. Gdy opowiedział Verity o tym, jak był wychowywany przez babcię, w jego głosie dźwięczał smutek na myśl o tym, że nie wyjdzie już ona z hospicjum. Zawsze zakładała, że Jimmy jest luzakiem, którego nic nie obchodzi, ale ten krótki wgląd w jego życie osobiste uświadomił jej, że ta opinia była kompletnie krzywdząca. Sposób, w jaki Jimmy opowiadał o swojej babci - z prawdziwą miłością i współczuciem - niezwykle Verity zaskoczył. Zrozumiała, jak bardzo jest on wrażliwy. Sądziła, że jest taki jak inni chłopcy w ich wieku, którzy olewają miejscowych emerytów i szydzą ze starych ludzi, skarżących się na graffiti i śmieci. Jakże grubo się myliła.

Teraz było jej wstyd, że Jimmy nigdy nie narzekał mimo tylu obowiązków, podczas gdy ona każdego wieczoru siedziała w swoim hotelowym pokoju i uzalała się nad sobą, jakie ma trudne życie.

- Myślisz, że twoja babcia zobaczy nas jednak w telewizji? - zapytała.

- Nie sędę, by tego doczekała - odparł Jimmy. - Taka szkoda. Bardzo bym chciał, by zobaczyła mnie w tym programie. Rozbawiłoby ją to. No i aby zobaczyła, rzecz jasna, ciebie. Wypadniesz świetnie w telewizji.

Verity skrzywiła się.

- Przestań. Nie chcę nawet o tym myśleć.

- Chyba żartujesz?

- Wcale nie. Przeraza mnie to. Nie ma mowy, abym to obejrzała. Ukryję się gdzieś, kiedy będą pokazywać ten program.

- Nie rozumiem. Myślałem, że podoba ci się granie w filmie.

- To nie granie mnie martwi, ale jak to będzie wyglądać na ekranie. Wszyscy mówią, że w telewizji wygląda się zupełnie inaczej, i założę się, że ja wypadnę okropnie. Będę wyglądać brzydko.

- Verity wskazała na włosy i makijaż, który uważała za upiorny.

- Ty nigdy nie mogłabyś wyglądać brzydko - oświadczył Jimmy.

Verity prychnęła z niedowierzaniem.

- Jak chcesz, to mogę poprosić Scotta, by ci pokazał na monitorze pierwszą kopię roboczą - zaproponował.

- Nie, to nie to samo. Jego monitor jest malutki. Chodzi mi o duży ekran. Pewnie jestem głupia, ale myślenie o tym przeraza mnie jak diabli. Umrę z zakłopotania, jestem tego pewna.

- No dobrze - odezwała się Ellen, sprawiając, że Jimmy odwrócił lekko zdziwione spojrzenie, i oszczędzając Verity dalszych wyjaśnień. Scott zbliżył się do nich, by podłączyć jeden z tych wielkich reflektorów, a potem stanął za kamerą. Rozstawił szeroko nogi, gdy patrzył przez celownik. Obok niego stał Roy, trzymając na końcu długiego wysięgnika wielki, szary mikrofon. Założył słuchawki i skinął głową do Scotta.

Verity patrzyła na Ellen i koncentrowała całą uwagę na tym, co ona mówi.

- Jimmy, chciałabym, żebyś przeczytał Verity wiersz Tennysona z tej książki - rzekła Ellen, podając mu zniszczony, oprawiony w skórę tom. - I nie przejmuj się brakiem dykcji rodem z Królewskiej Akademii Teatralnej, ponieważ skoro nie jesteś zrzeszony w związku zawodowym aktorów, i tak będziemy musieli dograć osobno głos. Musicie jednak pamiętać, że Caroline i Leon spotykają się w tajemnicy i są szaleńczo w sobie zakochani, a więc, Verity, chciałabym, żebyś patrzyła na Jimmy'ego, podczas gdy on będzie

czytał. A potem chcę, byście trzymali się kurczowo za ręce, jakbyście mieli zaraz się rozstać. Możemy spróbować?

Verity strząsnęła z sukni liść i poprawiła się na ławce, podczas gdy Jimmy delikatnie otworzył książkę.

- Proszę bardzo - rzucił, unosząc ją wyżej.

Gdy Jimmy zaczął czytać, zerkał na nią, jakby znał słowa, a Verity przyłapała się na tym, że uważnie go słucha. Pomimo tego, co Ellen powiedziała wcześniej na temat dykcji, Jimmy czytał wiersz w taki sposób, że mógłby to robić na scenie. Było to naprawdę piękne, jakby sam go napisał. Być może powinna nauczyć się tego wiersza na pamięć i wyrecytować Denny'emu, pomyślała z rozmarzeniem Verity. Skoro kochał operę, z pewnością lubi także i poezję.

- Doskonale - odezwała się Ellen, wtrącając się i przerywając Jimmy'emu w połowie zdania. - Jesteście urodzonymi aktorami. Jimmy, rób dalej to, co robiłeś. Verity, postaraj się spoglądać trochę bardziej marzycielsko na Jimmy'ego, a nie na książkę. Kręcimy znowu.

- Świetnie razem wyglądacie - wtrącił się Scott, mrugając do Jimmy'ego, który w odpowiedzi wykrzywił się do mężczyzny.

Verity bezwiednie się zaśmiała. To było takie słodkie, że Jimmy'ego tak to zawstydzало. To ona powinna czuć się zawstydzona, ale ujrzenie, że jej partner jest zdenerwowany, podziałało na nią uspokajająco.

Gdy kamera zaczęła szumieć, Verity złączyła wargi i zaczęła się wpatrywać w Jimmy'ego. Wyglądał tak inaczej, kiedy był przebrany za Leona. Jego twarz zmienił nieco makijaż. Wydawał się starszy i bardziej wyrafinowany, a także bardziej ożywiony niż zazwyczaj. Verity była przyzwyczajona do tego, że Jimmy snuł się, jakby nie do końca się obudził. Jednak teraz, kiedy miał włosy zaczesane do tyłu, Verity prawie potrafiła udawać, że jest on zupełnie inną osobą. Spojrzała mu w oczy, gdy czytał, zachwycając się tym, jakim jest on dobrym aktorem, i zastanawiając się, w jak wielu rzeczach jeszcze mógłby okazać się dobry, gdyby tylko spróbował je uczynić.

Kiedy Ellen zawołała: „Cięcie”, Verity odwróciła wzrok.

Kobieta skinęła głową do Scotta i Roya, dźwiękowca, kręcącego coś gałkami przy kwadratowym pudełku, które nosił na szyi na pasku.

- Zrobimy teraz zbliżenie - rzekł Scott do Ellen, przesuając kamerę do przodu na trójnogu. Potem zerknął przez ramię na niebo. - Lepiej się pospieszmy, zanim światło się zmieni.

- Racja, jeszcze tylko jedno ujęcie - odparła Ellen, zaglądając do swoich notatek, podczas gdy Scott poprawiał nóżki przy trójnogu.

Z pudła na kamerę zdjęła oprawioną w czerwoną skórę książkę i podeszła do Jimmy'ego i Verity.

- Słuchajcie, przeczytałam pamiętnik Caroline - rzekła, otwierając go. - Napisała ona o kradzionych pocałunkach z Leonem w altanie.

- Chcesz, żebyśmy...? - urwała Verity, przełykając ślinę. Nie spodziewała się czegoś takiego.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytała Ellen, najwyraźniej zaskoczona tym, że coś takiego może stanowić problem.

Jimmy wzruszył ramionami i odwrócił wzrok, ale Verity zauważyła, że jego policzki zrobiły się różowe.

- Nic wielkiego się nie stanie, jeśli się nie zgodzicie - kontynuowała Ellen. - Ale uczyniłoby to naszą historię znacznie bardziej autentyczną. Nie mówię o jakimś ostrym obściskiwaniu się. Udajcie, że to ich pierwszy pocałunek.

Ellen uśmiechnęła się do nich obojga i Verity odpowiedziała jej nerwowym uśmiechem, pragnąc ją zadowolić. Pomyślała przelotnie o Dennyem. Ale to nie miało z nim nic wspólnego. Towarzyszyli im Ellen, Scott i Roy. To była przecież tylko gra.

- W takim razie może po prostu spróbujemy - ciągnęła swobodnie Ellen, krzyżując ręce na piersi i stając obok Scotta. - Zobaczymy, co się stanie. Róbcie to, co uznacie za naturalne. Zaczniście od momentu, w którym trzymacie się za ręce. OK... i kamera.

Verity odliczała w myślach, tak jak ją nauczyła Ellen. Wzięła głęboki oddech i popatrzyła na Jimmy'ego. On również na nią spojrzał, pełen napięcia, gdy jego niebieskie oczy spotkały się z jej wzrokiem. Wbrew sobie Verity poczuła, że z nerwów trzęsą się jej kolana. Skąd to drżenie? Przecież nie ma się czym denerwować, no nie? To było tylko udawanie. Verity z całych sił skoncentrowała się na tym, by zapomnieć o czarnym obiektywie kamery. Jimmy ujął jej dłoń. Zastanawiała się, czy zauważy, że są one spocone.

Potem delikatnie ją do siebie przyciągnął. Verity popatrzyła na niego, próbując się przy tym skupić. Zapomnij o kamerze, wyglądaj naturalnie, pomyślała, wbijając sobie te słowa do głowy. Ale Jimmy był coraz bliżej i bliżej.

Po chwili przesłaniał jej cały widok i Verity czuła na policzku jego oddech. Z bliska pachniał pudrem i słońcem. Poczwała to, wdychając jego nieznany, jednak dziwnie odurzający zapach. Jimmy nachylił głowę, a jego usta od jej warg dzieliły zaledwie milimetry. Czując jednocześnie przerażenie i podekscytowanie, Verity wstrzymała oddech. To jest Leon, pomyślała, Leon, Leon... Lecz wtedy usta Jimmy'ego znalazły się na jej ustach i nie była w stanie się poruszyć. Wszystko wokół sprowadziło się do uczucia, jakie towarzyszyło ich złączonym wargom.

Zamknęła oczy, a każdy nerw w jej ciele migotał czerwonym, ostrzegawczym światłem. Wydawało się, że to ich złączenie trwa całe godziny, choć mogły minąć zaledwie sekundy. Było tak, jakby została wessana do innego wymiaru. Gdy Jimmy poruszył się i z wahaniem uchylił usta, zakręciło jej się w głowie. Mając wrażenie, jakby się unosiła w powietrzu, Verity poczuła, jak Jimmy przysuwa się jeszcze bliżej, czule trzymając w dłoniach jej twarz. Wtedy nie miała już wyboru, jak tylko się poddać i zapominając o wszystkim - w tym także o kamerze - Verity oddała mu pocałunek.

Z silnym szarpnięciem Jimmy został nagle od niej oderwany. Zaszokowana Verity wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy zobaczyła, jak Denny łapie Jimmy'ego za kołnierz jego surduta, bierze zamach i uderza go pięścią w twarz.

- Przestań, Denny, przestań! - krzyknęła Verity, gdy Jimmy zachwiał się do tyłu i wpadł na ściankę altany, po czym upadł na kolana.

Denny pospiesznie zbliżył się do niego i chwycił ponownie, a Verity rzuciła się w jego kierunku, próbując złapać go za ramię, ale odtrącił ją od siebie.

- Ty... ty... - warknął Denny do Jimmy'ego, ponownie go szarpiąc.

- Puszczaj go! - wrzasnął Scott, chwytając Denny'ego pod pachy i odciągając do tyłu.

Jimmy podniósł się z trudem, trzymając się za twarz. Verity dostrzegła, że z nosa spływa mu krew.

- Co tu się, u diabła, wyprawia? - zawołała Ellen, stając pomiędzy Jimmym i Dennyem i wyciągając ręce, by się do siebie nie zbliżyli.

Denny pokazał palcem na Verity.

- Obiecałaś - warknął, strząsając z siebie Scotta. - Obiecałaś mi.

- Denny - załkała Verity, podchodząc do niego, lecz on nie pozwolił się dotknąć. - To była tylko gra. Ja go naprawdę nie...

Ale Denny potrząsnął jedynie głową i odepchnął ją na bok z gniewną miną.

- Denny! Denny! Wracaj! - zawołała Verity, jednak było już za późno.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Czy to nie był ten koleś ze sklepu sportowego? - chciała wiedzieć Ellen. - Co on sobie, do diabła, myślał?

- To mój... mój chłopak - jęknęła Verity, patrząc za Denny, który oddalał się właśnie od ekipy, kopiąc po drodze jedno z pudeł Scotta.

- Najlepiej daj mu trochę czasu, by się uspokoił, wiesz? - zasugerowała Ellen, sondując wzrokiem Scotta i przytrzymując Verity za ramię.

Roy usłużnie podał swoją chusteczkę Jimmy'emu, który stał teraz i wpatrywał się w Verity, ścierając spod nosa krew.

- Czy któreś z was mogłoby mi uprzejmie wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodziło? - zapytała Ellen, patrząc na Jimmy'ego i Verity. Nie potrafiła uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. Jak to możliwe, że nikt nie zauważył pojawienia się tego czubka?

- Tak bardzo cię przepraszam, Jimmy. Strasznie cię przepraszam - załkała Verity. - To wszystko moja wina.

- Jesteś dla niego za dobra - odparł chłopak, patrząc najpierw na krew na chusteczce, a potem z powrotem na Verity.

- Ty nic nie rozumiesz! - zawołała dziewczyna, z jej oczu zaś spłynęło jeszcze więcej łez, gdy usłyszała w oddali ryk odpalanego motoru.

Nieutulony żal, który pojawił się na twarzy dziewczyny, powiedział Ellen, że ryczący motor należy niewątpliwie do Denny'ego. Verity zakryła twarz dłońmi, wyraźnie się wstydząc.

- Obiecałam mu, że... że zawsze będę mu wierna.

- Daj spokój, Verity - odezwała się uspokajająco Ellen. - Nie bądź dla siebie taka surowa. Ten koleś, Denny, no cóż, zachował się naprawdę karygodnie. To ja poprosiłam, abyście się pocałowali. Trudno to nazwać zdradą. - Objęła dziewczynę ramieniem, patrząc nad jej spuszczoną głową na Scotta, który na szczęście zrozumiał jej skonsternowane spojrzenie.

- Z tobą wszystko w porządku, chłopie? - zapytał Jimmy'ego.

Chłopak wpatrywał się w Verity.

- Nic mi nie będzie - odparł.

- Ponieważ jeśli chciałbyś go pozwać do sądu, mam to wszystko sfilmowane.

Verity z przerażeniem popatrzyła na Scotta.

- Ale...

Spojrzenia jej i Jimmy'ego skrzyżowały się. Po chwili Jimmy odwrócił się do Scotta.

- Mówiłem już, że nic mi nie będzie.

- Wszystko zniszczyłam. Wy tego nie rozumiecie - rzuciła Verity, patrząc najpierw na Ellen, a po chwili na Scotta. Jej oczy pełne były łez.

- Czego nie rozumiemy? - - zapytała z irytacją Ellen.

- Oddałam mu pocałunek - wydusiła z siebie Verity, posyłając Jimmy'emu spojrzenie. Po chwili już jej nie było. Biegła ścieżką ogrodową. Wokół niej powiewały warstwy spódnic, a na głowie podskakiwały loczki.

- No, na dzisiaj to chyba wszystko - rzekł Roy, odłączając z wysięgnika mikrofon.

Ellen głośno westchnęła i klepnęła się w uda.

- Pewnie tak. Katastrofa.

- Przepraszam, Ellen - odezwał się z zakłopotaniem Jimmy.

- Jimmy, nie przepraszaj! To nie twoja wina. Najlepiej będzie, jak pójdziesz się umyć, dobrze?

Ellen przyglądała mu się, jak odchodzi. Żal jej było tego dzieciaka. Był bez szans przy tym idiocie, Denny. Odkąd Jim zaczął im pomagać, bardzo go polubiła i teraz żałowała, że nie może mu w żaden sposób pomóc. Chciała zawołać za nim, podziękować mu za tak dobre zagranie Leona, ale to pewnie niewiele by pomogło, pomyślała i odwróciła się.

Mogłaby nakręcić jeszcze jedno ujęcie, lecz musiała przyznać, że ten pocałunek Caroline i Leona był tak doskonały, jak tylko mogła sobie tego życzyć. Była tak pochłonięta obserwowaniem go, że pojawienie się Denny'ego zupełnie ją zaskoczyło.

- Myślę, że mam wystarczająco materiału. Możesz wyciąć tuż przed walką - rzekł Scott, biorąc się do odkręcania śrub przy trójnogu od kamery.

- Nastolatki - rzuciła Ellen, potrząsając głową. Słuchanie, jak Verity rozpatruje w czarno - białych kategoriach problem tego, co dobre, a co złe, uświadomiło Ellen, jak bardzo skomplikowane i niejasne stało się jej własne życie uczuciowe.



- Moje dzieciaki są dokładnie takie same - wtrącił Roy, zwijając kabel w pętlę wokół swojego ramienia. - Jeden dramat, drugi dramat. W jednej chwili zakochani, a w drugiej się rozstają.

- Ja tego nie rozumiem. - Ellen położyła dłonie na biodrach i popatrzyła na oddalającego się Jimmy'ego. - To była tylko gra! Jimmy tak naprawdę nie całował Verity.

Scott uśmiechnął się.

- To znaczy tak, ale tylko technicznie - uzupełniła Ellen, dostrzegając spojrzenie Scotta. - Nic się przecież nie stało...

Scott posłał jej jeszcze bardziej znaczący uśmiech.

- Sama słyszałaś naszą damę. Oddała mu pocałunek. Ellen wpatrywała się w niego, pozwalając, by dotarł do niej sens jego słów. A więc coś się działo między Jimmym i Verity? Kobieta z irytacją podniosła rękę.

- Świetnie. To ja podobno jestem reżyserem, a nie dostrzegam, co się dzieje tuż pod moim nosem!

Scott zaśmiał się i mimo że Ellen także próbowała się uśmiechnąć, poczuła w środku ledwie zauważalne ukłucie paniki. Było tak, jakby wszystko wymykało jej się spod kontroli - nawet drobiazgi, jak na przykład filmowanie, które powinno było być proste, łatwe i przyjemne.

Czuła się tak, odkąd Ned wyszedł od niej w sobotę w nocy. Bez względu na to, jak bardzo się starała, by przekonać samą siebie, że nic się nie stało, nie potrafiła pogodzić się z tym, że coś się jednak prawie stało. Prawie się pocałowali. Taka była prawda. Pomiędzy nią a Nedom zadziałała jakaś romantyczna chemia, doprowadzając do tego, że Ellen postradała zmysły. Nie mogła nawet zwalić winy na alkohol. Nieraz zdarzyło jej się upić w towarzystwie wielu mężczyzn, jednak nigdy nie odczuwała pokusy, by się z nimi całować. Powaga faktu, że o mały włos nie pograżyła się w otchłani niewierności, przeraziła ją, podając w wątpliwość wszystko, co było dla niej cenne.

Na początku zwała winę na Neda. To on do niej przyszedł. To on próbował ją uwieść - opowiadając romantyczne historie i pomagając jej tak długo w nocy.

Potem zaczęła winić Jasona. To jego wina, że wyjechał. To przez niego stała się podatna na zaloty innego mężczyzny.

Ale ostatecznie doszła do wniosku, że próbuje jedynie oszukać samą siebie. Dopuściła, by Ned wślizgnął się do jej życia, i pozwoliła

sobie na chwilę słabości. Wina leżała tylko i wyłącznie po jej stronie i ta świadomość przyprawiała ją o mdłości. Skoro sama nie mogła sobie ufać, jak mogła oczekiwać, że zaufa jej Jason?

Ale to się nie stało, przypomniawszy sobie stanowczo. Nie było tak, jak w przypadku Verity i Jimmy'ego - usta jej i Neda tak naprawdę się nie zetknęły. Dlaczego więc czuła się tak, jakby nie była wierna Jasonowi? Być może bardziej, niż gdyby ona i Ned istotnie się pocałowali?

Ellen знаła odpowiedź. Niezbity fakt był taki, że to Ned nie dopuścił do ich pocałunku. Nie ona. To Ned przerwał czar, pod którego wpływem znajdowali się oboje i oddalił się tak szybko, jak tylko mógł. A teraz do poczucia winy, które prześladowało ją przez cały czas, dołączył także wstyd.

To się nie stało, powtarzała sobie. Wyglądało jednak na to, że im bardziej się starała o tym zapomnieć, tym intensywniej życie z niej drwiło - nawet teraz, w przypadku Jimmy'ego, Denny'ego i Verity. Było prawie tak, jakby uosabiali jej własne obawy.

Przez większość tygodnia celowo unikała Neda. Aż do dzisiaj nie pojawiła się w Appleforth House, by się przypadkiem na niego nie natknąć. Nie wypuszczała się także zbyt często do miasteczka w obawie, że mogą gdzieś na siebie wpaść. Teraz jednak Ellen wiedziała, że skończyły jej się wymówki. Będzie musiała spotkać się z Nedom i oczyścić atmosferę.

Jedynym sposobem na jako takie funkcjonowanie i dokończenie nagrania było powiedzenie Nedowi prawdy o Jasonie. A prawda była taka, że Ellen odczuwała rozdrażnienie po niezbyt udanej rozmowie telefonicznej, przez co pomniejszyła znaczenie ich związku, a to z kolei doprowadziło do tego, że Ned wyrobił sobie na ten temat błędną opinię. Wyjaśni mu, że czuła się samotna i że wino na chwilę pozbawiło ją zdrowego rozsądku. Faktem było to, że Jason i ona mieli być - na co wskazywały wszystkie znaki na ziemi i niebie - razem na zawsze. Nie było mowy o tym, by ona kiedykolwiek w przeszłości lub w przyszłości zamierzała go zdradzić.

No dobrze, pomyślała, przeciwiczywszy w myślach kilka razy te kwestie. Dzięki temu powinna zostać dobrze zrozumiana, a między nią i Nedom nie będzie już niepotrzebnego napięcia. Będzie silna i szczerą. Winna to była Nedowi i samej sobie.

Ellen zatrzymała się przy podeście głównych schodów wewnątrz Appleforth House, starając się zwrócić na siebie uwagę robotnika, który właśnie przytwierdzał nową, mahoniową poręcz.

- Widział pan może Neda? - zawołała, usiłując przekrzyczeć wycie wiertarki.

- W sali balowej! - odkrzyknął mężczyzna, wskazując na jeden z korytarzy, który odchodził od głównego holu. Ellen udała się w tamtym kierunku, uchylając się przed drabinami i ostrożnie stąpając po zakurzonych płachtach porozkładanych na nowej podłodze.

Wszędzie kręcili się dekoratorzy wewnątrz. Korytarz wypełniał kurz i głośny brzęk kryształów przy wielkim żyrandolu, który kilkoro pracowników starało się przytwierdzić do sufitu, wydając do siebie z drabin pełne napięcia komendy.

W miarę jak szła długim korytarzem w kierunku potężnych, wyłożonych boazerią drzwi na jego końcu, odgłosy pracy robotników zaczęły cichnąć. Widziała przewody zwisające ze ścian w miejscach, gdzie zostaną przymocowane różnego rodzaju źródła światła. Było jednak ciemno, gdy zbliżyła się do drzwi. Usłyszała odgłos kroków na posadzce. Ellen wzięła głęboki oddech, przekręciła porcelanową gałkę, otworzyła drzwi i po cichu wślizgnęła się do środka.

Powitał ją uspokajający widok, całkowicie odmienny od hałaśliwego holu i ponurego korytarza. W sali balowej było spokojnie, a wielka, pusta przestrzeń skąpana była w promieniach słońca, które wlewało się do środka przez wysokie, zaokrąglone u góry okna, mieszczące się na jednej ze ścian. Wyłożona marmurem podłoga migotała. Tysiące mozaikowych płytek układało się w wymyślny wzór: spirale kwiatów łączyły się na środku dokładnie pod kopułą sufitu. Efekt zapierał dech w piersiach. Kiedy Ellen zrobiła krok w przód, poczuła natychmiastową chęć zawirowania wokół przestronnej, skąpanej w słońcu sali.

- Zatrzymaj się! - To był Ned, który wydał grzmiącym głosem surowe polecenie.

Ellen zamarła. Spostrzegła, że mężczyzna stoi dobre piętnaście metrów dalej przy ścianie tuż obok drugich drzwi.

- Podłoga dopiero co została położona - odezwał się nieco łagodniej. - Chcę, by przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny nikt po niej nie chodził.

Ellen ostrożnie cofnęła stopę, jakby stąpała po cienkim lodzie.

- Jest przepiękna - rzekła, a jej spojrzenie omiotło podłogę i pomknęło do miejsca, w którym stał Ned. Mężczyzna trzymał ręce w kieszeniach ciemnoszarych spodni z kreciej skórki. W ciągu ostatnich kilku dni myślała o nim tak wiele, o tym, jak wyglądała jego twarz, gdy klęczeli tuż obok siebie, że aż dziwne wydawało jej się teraz patrzeć na niego z takiej odległości. Na nosie miał okulary, a jego włosy były potargane, mimo to był jednak niezaprzeczalnie przystojny. Czują, że płoną jej policzki. - Z czego ją wykonano? - zapytała, zerkając ponownie na podłogę.

- Z marmuru Purbeck.

Po tym jego zwięzłym wyjaśnieniu zapanowała niezręczna cisza. Ellen czuła się absurdalnie, stojąc tak daleko od niego, ale Ned się nie poruszył. Zakaszłała, gotowa do wygłoszenia swej mowy na temat Jasona. Jednak teraz wszystko to, co planowała powiedzieć, wydało się zbyt krępujące i aroganckie.

Nic się nie wydarzyło, przypomniała sobie z mocą. Dlaczego stara się nadać temu tak wielką uczuciowo rangę? Przecież gdyby to zrobiła, Ned miałby o niej jeszcze gorsze mniemanie, prawda?

No ale czy Ned naprawdę miał o niej złe mniemanie? Czy wiedziała to na pewno? Co Ned rzeczywiście sobie myślał? Niemożliwe było powiedzenie mu czegoś, dopóki nie da jej w jakiś sposób znać, co o tym myśli. Czy miał zamiar przyznać, że to, do czego nie doszło, tak naprawdę się zdarzyło? Lub czy też zamierzał ignorować to, do czego doszło, i udawać, że się w ogóle nie zdarzyło?

Ellen czuła, jakby poruszała się po emocjonalnie grząskim gruncie. Czas uciekał i ona musiała się odezwać, nawet jeśli Ned nie miał takiego zamiaru.

- Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że na dzisiaj skończyliśmy już filmowanie - rzuciła z nadzieją, a jej głos odbił się echem od ścian tego olbrzymiego pomieszczenia.

- Aha - mruknął Ned, koncentrując swoją uwagę na podłodze.

Ellen popukała w trzymany w dłoni pamiętnik Caroline Walpole, pragnąc, by Ned na nią spojrział. Jeśli nie będzie na nią patrzył, jak może rozpocząć z nim rozmowę?

Zastanawiała się, czy opowiedzieć mu o tym, co się wydarzyło pomiędzy Dennym, Jimmym i Verity, ale kiedy Ned w ogóle się nie odezwał, Ellen straciła głowę.

- Oddaję pamiętnik - rzekła, podnosząc go w górę. - Pomyślałam sobie, że może chcesz go trzymać razem z innymi dokumentami.

Wtedy Ned popatrzył na nią, a wyraz jego twarzy nie był ani przyjacielski, ani wrogi, jedynie przerażająco neutralny. Kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się, serce Ellen aż podskoczyło, jednak Ned nie zdradził się z żadnym uczuciem.

- Dzięki. Możesz go zostawić koło drzwi.

Czegoś takiego nie da się tolerować, stwierdziła w duchu Ellen, którą kusiło, by przebiec po parkiecie i tak długo potrząsać Nedem, aż w końcu zacznie jej słuchać. Wiedziała jednak, że coś takiego nie miałoby sensu. Powoli przykucnęła i położyła na podłodze pamiętnik, gładząc przy tym jego skórzaną okładkę. Nie mogła znieść panującej między nią a Nedem atmosfery. Musiała coś powiedzieć.

- Ned - zaczęła, gdy już wstała. - Jeśli chodzi o tamtą noc...

- Muszę pamiętać, by oddać ci kołdrę. Clara całkiem ją polubiła.

- Nie, nie chodzi mi o to. Ja...

- Nie chcę, byś odniosła błędne wrażenie, Ellen - rzekł cicho, przyglądając się swoim butom. - Mówiłem poważnie, kiedy stwierdziłem, że dla mnie nie istnieje druga szansa.

Gdy na nią popatrzył, Ellen poczuła się tak, jakby uderzył ją pięścią, dokładnie w ten sam sposób, w jaki Denny uderzył Jimmy'ego. Już raz od niej uciekł - nie spodziewała się, że znowu ją odepchnie! Jak on śmie sądzić, że go nachodzi, pomyślała z oburzeniem, skoro przyszła, by powiedzieć mu coś zupełnie przeciwnego.

- Jestem z Jasonem - oznajmiła, bez mała wypluwając te słowa w jego kierunku. - I zamierzam być z nim zawsze.

- To dobrze. Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi - odparł Ned.

Obecna w jego głosie nuta swoistej ostateczności sprawiła, że Ellen poczuła pieczenie w oczach.

- Dzięki - mruknęła. Kiedy podniosła głowę, Ned zdążył już zniknąć za drugimi drzwiami i teraz była w sali zupełnie sama.

Ellen wciąż odczuwała ból po spotkaniu z Nedem, gdy wraz ze Scottem jechała z powrotem do miasta. Scott zaproponował, by zatrzymali się w Mr Chips niedaleko salonu gier, by coś zjeść.

- Tak, możesz pożyczyć samochód - rzekła Ellen z westchnieniem, pchając drzwi do baru. Natychmiast znalazła się w

wypełnionym parą wewnątrz, a do jej nosa gwałtownie dotarł smakowity zapach świeżych frytek. Uznała, że pomysł Scotta nie był wcale taki zły.

- Nie muszę, jeśli jest ci to nie na rękę - odparł, wchodząc za nią do środka, jednak Ellen wiedziała, że nie mówi tego poważnie. Odkąd wczoraj wieczorem Scott był wreszcie na randce z Debs, wciąż snuł plany, gdzie mógłby ją zabrać następnym razem. Na ich dzisiejszą wyprawę składała się między innymi jazda w nocy rozświetlonej księżycową poświatą.

Ellen wiedziała, że zachowuje się paskudnie, ale prawda była taka, iż czuła się trochę zazdrosna o to, że Scott jest taki szczęśliwy z Debs. I martwiła się też, że teraz wszystko może ulec zmianie. Lubiła towarzystwo Scotta w domku i mimo że to właśnie ona zaproponowała mu, by połączył pracę przy dokumencie z wakacjami, nie spodziewała się, że będzie spędzał wolny czas, biegając na randki.

- W porządku. Wrócę sobie pociągiem - rzekła Ellen, spoglądając na wiszące za barem, wypisane na kredowej tablicy menu, ale w głębi duszy jęknęła na myśl o długiej podróży do Londynu. - Chyba nawet mam jakiś za godzinę.

- Przez ciebie mam poczucie winy. Kupię ci frytki, aby ci wynagrodzić to, że jesteś takim wspaniałym szefem.

Ellen zerknęła na Scotta, który szeroko się do niej uśmiechał.

- Wazeliniarz - rzuciła. - Nie miej poczucia winy. Jesteś na to zbyt mocno otumaniony miłością. Aż mi się zbiera na mdłości.

- Musisz przyznać, że ona jest niesamowita.

- Wystarczy! - zawołała Ellen, która przez cały dzień nie słyszała od Scotta niczego innego, jak tylko peany na cześć cnót Debs. Zaczęła żałować, że w ogóle wpadła na pomysł ich wyswatania, mimo że tak naprawdę nie musiała niczego robić. Ellen rzuciła tylko kilka uwag i zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, Scott już się umówił z Debs. Mogła tylko podziwiać jego bezpośrednie podejście. - Przyznaję, że Debs jest bardzo ładna i na podstawie tego, co udało mi się zobaczyć, wydaje się... miła - dokończyła Ellen.

- Miła! - prychnął Scott. - Jest więcej niż miła!

- Tak, no cóż, szkoda tylko, że pracuje dla takiej świni - mruknęła Ellen.

- Sądziłem, że ty i Ned dobrze się dogadujecie - rzekł Scott z wyrazem konsternacji na twarzy, po czym zamówił u dziewczyny za barem frytki.

- Dogadywaliśmy - odparła Ellen z westchnieniem, gdy czekali na swoje zamówienie. Kusiło ją, by mu powiedzieć, do czego bez mała doszło pomiędzy nią i Nedom, ale za bardzo ją to krępowało. Teraz, kiedy Scott i Debs byli parą, nie miała gwarancji, że jej współpracownik nie powie czegoś, co mogłoby dotrzeć do uszu Neda.

- Zapomnij o tym, to długa historia. Złożmy różnice między nami na karb bagażu emocjonalnego.

- Wygląda na to, że Ned ma cały taśmociąg bagażowy.

- To ci właśnie mówiła Debs? - zapytała Ellen wbrew sobie. Twardo postanowiła, że zapomni o Nedzie i o tym, co się między nimi wydarzyło. Po tym, co powiedział jej w sali balowej, Ellen była przekonana, że jej początkowa opinia na temat Neda Spencera okazała się słuszna: był zarozumiały i arogancki. Zawsze taki był i zawsze będzie.

- Debs mówi, że on nie rozmawia wiele na ten temat. Zwłaszcza o niej.

- O kim? O Mary?

Scott kiwnął głową.

- Biedny facet. Przeszedł prawdziwe piekło. Nie chciałbym znaleźć tak swojej żony...

Scott wziął od kobiety za barem dwie porcje frytek i podał jedną z nich Ellen. Potem ruszył w kierunku drzwi.

- Co masz przez to na myśli? - zapytała Ellen, zatrzymując go.

Scott połknął jedną frytkę.

- Żona Neda. Mary. Znalazł ją w wannie porażoną prądem - wyjaśnił. - Użyła do tego suszarki do włosów. Myślę, że niemożliwe jest zbyt szybkie otrząśnięcie się po czymś takim.

Ellen upuściła mały, drewniany widelczyk. Otworzyła szeroko usta. Scott pchnął drzwi i w kobietę uderzył podmuch zimnego wiatru. Jednak to było nic w porównaniu z tym, co się działo w jej wnętrzu. Czuła, że żołądek jej podskakuje, jakby przejechała zbyt szybko po dużym wybrzuszeniu na drodze.

- Sądziłem, że Ned rozmawiał o tym z tobą - rzekł Scott, unosząc brwi.

- On powiedział... powiedział... że zmarła na chorobę mózgu - wyjąkała Ellen. - Nie mówił, że ona...

Jej konsternacja wywołana rewelacjami Scotta jeszcze się tylko zwiększyła, gdy pociąg pędził w kierunku ciemnych przedmieść miasta. Ellen siedziała i próbowała zająć myśli książką jednak raz po raz czytała ten sam fragment, nie będąc się w stanie skoncentrować. Przejście między przedziałami zapełniło się ludźmi wracającymi z pracy: mężczyznami i kobietami w garniturach i z malującym się na twarzy zmęczeniem, a powietrze zrobiło się duszne i senne od złych nastrojów i wilgoci parującej z dziesiątek parasoli.

Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji Paddington, Ellen czuła się znużona i brudna. Po prawie trzygodzinnej podróży jedyne, czego pragnęła, to wziąć gorący prysznic i pójść spać. Spędziła ten czas, jedynie siedząc w pociągu, ale miała wrażenie, jakby przeszła przez cały kontynent, a jej dzień w Shoresby wydawał się teraz wspomnieniem z zupełnie innej planety.

Gdy Ellen przechodziła przez peron, czuła, że wytrącają ją z równowagi popychający ją ludzie, na twarzach których widniała determinacja. To tak mało przyjacielskie, pomyślała, gdy jakaś kobieta precyzyjnie się koło niej, by dostać się do ruchomych schodów, prowadzących do położonego poniżej metra. Ellen miała wrażenie, że swędzi ją kark, gdy stała wciśnięta między dwoje ludzi, przyciskając do siebie torbę, tak że ledwie była w stanie oddychać.

W metrze Ellen stała, przytrzymując się drążka nad głową, starając się nie patrzeć na dwóch pijanych chłopaków, którzy siedzieli obok i opowiadali sobie prostackie dowcipy. Zawsze potrafiła prześlizgiwać się po mieście, ignorując jego brudne aspekty, czyniąc je swoim własnym. Ale teraz dostrzegła nieczystość i nieprzyzwoitości, które sprawiły, że zapagnęła stąd uciec.

Nawet kiedy wysiadła z metra i ruszyła znajomą trasą do domu, czuła się nieswojo. Zazwyczaj pewna była swego domu i swoich korzeni, jednak teraz miała wrażenie, jakby poniosła porażkę, jakby jakaś część niej rozsypała się.

Ogrzewanie jeszcze nie działało, więc w mieszkaniu było chłodno. Ellen dostrzegła migające w telefonie światełko, ale nie była w stanie odsłuchać teraz pozostawionych na automatycznej sekretarce wiadomości. Przejrzała pocztę, po czym udała się do kuchni do lodówki, jednak nie musiała jej otwierać, by wiedzieć, że w środku nie



znajdzie niczego nadającego się do zjedzenia. Odłożyła na bok pozaklejane koperty, wyjęła korkociąg i z półki zdjęła butelkę wina.

W salonie Ellen zrzuciła wszystkie papiery i gazety z sofy na podłogę, po czym opadła na nią i włączyła szerokoekranowy telewizor. Nawet po kilku kieliszkach wina nie była w stanie się odprężyć. Myślała, że przyjazd do mieszkania pozwoli jej się skupić. Sądziła, że przebywanie w miejscu, które dzieliła z Jasonem, dobrze jej zrobi. Ale poczuła się przez to jedynie jeszcze bardziej samotna.

Ze swojego punktu obserwacyjnego, jakim była sofa, Ellen rozejrzała się po pokoju, omiatając spojrzeniem gustowne, oprawione w ramki grafiki i duże szklane lampy. To ona urządziła mieszkanie. To wszystko jej praca. Nie było widać ani jednej rzeczy, która przypominałaby jej Jasona. Nawet książki należały do niej.

Przeszła do sypialni i otworzyła torbę, pozwalając zawartości wysypać się na łóżko. Wtedy ujrzała, że przywiozła ze sobą sweter Neda, ten, który pożyczył jej w dniu, w którym znalazła Clare. Musiał znajdować się na samym dnie torby. Wpatrywała się w niego, nie mogąc uwierzyć w to, że podświadomie przywiozła do swego domu część Neda.

Podczas gdy sweter leżał na łóżku jej i Jasona niczym rozpostarte, gotowe do przytulenia ramiona, przez głowę Ellen przebiegały wszystkie dzielone z Nedom chwile i wszystkie prowadzone przez nich rozmowy.

Dlaczego Ned jej nie powiedział? Dlaczego nie zaufał jej na tyle, by wyznać prawdę? Ellen usiadła na łóżku i wzięła do rąk sweter. Wszystkie części układanki zaczęły nareszcie do siebie pasować: gniew Neda z powodu tematu jej programu, jego potrzeba, by upijać się do nieprzytomności. Wszystko dlatego, że wciąż rozpaczał po samobójstwie Mary.

I dlatego właśnie ją odepchnął. Dlatego właśnie nie chciał dla siebie żadnej drugiej szansy.

Ellen zamknęła oczy, ogarnięta uczuciem smutku i dezorientacji. To niesprawiedliwe, pomyślała. Ona starała się jedynie wykonywać swoją pracę. Nie spodziewała się, że jej całe życie zostanie wywrócone do góry nogami. Nic nie zrobiła, jednak wszystko się zmieniło. Wszystko w jej życiu, co brała za pewnik, teraz zdawało się wymykać spod kontroli.

Ellen poczuła, że w jej oczach wzbierają łzy, a w piersiach pojawił się tępy ból. Co było z nią nie tak? Dlaczego czuła tak wielki smutek? Była smutna z powodu Jasona czy Neda? Tęskniła za mężczyzną, który ją kocha, czy też za tym, który nigdy nie obdarzy jej uczuciem? Przyciskając do siebie sweter Neda, Ellen skuliła się na łóżku i cicho załkała.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ten duży to szafir - odpowiedziała Jimmy'emu Marianna Andrews. - A te maleńkie dookoła to diamenty. Był sobotni ranek, dwa dni po tym, jak Jimmy Jones oberwał od Denny'ego Shaplanda, i pół godziny przed otwarciem Video - 2 - Go. Marianna płynnym ruchem zdjęła swoje czarne, koronkowe majteczki i podeszła do Jimmy'ego, który siedział na krawędzi drewnianego stołu na środku zaplecza. Machał nogami, przesuając podeszwami adidasów po podłodze jak małe dziecko, i przestał dopiero, kiedy Marianna zbliżyła się do niego. Położyła lewą dłoń na jego udzie i rozszerzyła palce na materiale jego dżinsów.

- Naprawdę ci się podoba? - zapytała, nachylając się tak, że jedynym sposobem na przyjrzenie się jej pierścionkowi zaręczynowemu było patrzenie dokładnie między jej piersiami. Jimmy poczuł cytrynowy zapach jej perfum. W świetle migającej świetlówki błysnął szafir.

- Gdyby było inaczej, to bym niczego nie mówił - odparł, mimo że w rzeczywistości ani on go ziębił, ani grzał.

Tak naprawdę jej pierścionek zaręczynowy wydawał mu się dziwny i nie na miejscu - zwłaszcza kiedy, tak jak teraz, był jedyną rzeczą, którą miała na sobie. Prawdę mówiąc, napawał on Jimmy'ego poczuciem winy, tak samo jak oprawione w ramkę zdjęcie męża Marianny, Bilia, który głupio szczyrzył do nich zęby ze ściany zaplecza, z wędką w jednej ręce i martwym węgorzem w drugiej. I tak naprawdę jedynym powodem, dla którego Jimmy w ogóle wspomniął cokolwiek o pierścionku, była próba wywołania takiego uczucia także u Marianny.

Ale ona okazała się bardziej nieczuła na moc perswazji Jimmy'ego, niż on to sobie wcześniej wyobrażał. Poruszając lewą ręką na podobieństwo pająka, powoli zaczęła przesuwać dłoń z krwistoczerwonymi paznokciami w górę uda Jimmy'ego, w kierunku jego krocza.

- A to? - wyszeptała, nachylając się jeszcze bardziej, tak że Jimmy poczuł na ustach jej oddech. - Gzy to też ci się naprawdę podoba?

Jimmy odkaszlnął.

- Posłuchaj, Marianno - zaczął - sądzę, że musimy o czymś...

- Hej - przerwała mu, przyciskając palec do jego warg.

- Znasz zasady.

Jimmy jednak nie miał teraz ochoty się do nich stosować.

- Nie - rzekł, przechylając się na bok na stole. - Nie dzisiaj. Dzisiaj chcę... - Wiedział, że jej się to nie spodoba, ale wiedział też, że i tak musi jej to powiedzieć. - ...porozmawiać - dokończył.

Oczy Marianny zrobiły się tak szerokie, jakby ją właśnie poprosił, by przełożyła go przez kolano i spuściła mu porządne lanie. Przyglądała mu się w taki sposób, jakby poprosił ją o zrobienie czegoś, co jej się z całą pewnością nie spodoba.

- Porozmawiać? A o czym, u diabła? - Mlasnęła językiem z dezaprobatą. - Nie przyszliśmy tutaj, by rozmawiać, Jimmy - zauważyła. - Daj spokój, nie traćmy cennego czasu. Możemy porozmawiać w wypożyczalni, kiedy tylko będziesz miał ochotę.

- Wiem - odparł Jimmy. - Ale...

- Ale co? - Stukała gołą stopą w beton.

Z jakiegoś powodu wywołało to w głowie Jimmy'ego obraz Marianny jako parskającego byka gotowego do ataku i siebie jako kompletnie bezradnego matadora. Odpędził od siebie tę wizję z naprawdę sporym wysiłkiem. Był pełen determinacji, by nie pozwolić Mariannie na przejęcie kontroli nad tą sytuacją. Nie miał zamiaru teraz stchórzyć, bez względu na to, jak bardzo go to wszystko krępowało. Musiał zapomnieć o tym, że ona jest jego szefową. Musiał zapomnieć o tym, że jest dwa razy od niego starsza. Ześlizgnął się ze stołu i stanął twarzą do niej.

- To się musi skończyć - oświadczył.

Proszę bardzo, pomyślał Jimmy, to nie było wcale takie trudne, no nie?

Tyle że Marianna nie zamierzała mu niczego ułatwiać.

- Co się musi skończyć? - zaprotestowała. - Jeszcze nawet nie zaczęliśmy.

- My - upierał się Jimmy. - Wszystko to... co robiliśmy... to już koniec. Czas, by to się skończyło.

Całe ciało Marianny zeszywniało.

- Kto to mówi? Ty to mówisz? Ty mówisz, że to koniec? Ty mówisz, że już na to czas? Ty mówisz coś takiego do mnie?

- Posłuchaj - próbował wyjaśnić Jimmy. - Są pewne sprawy, które... sprawy w moim życiu - kontynuował - które się zmieniły.

Marianna wyraźnie się rozluźniła.

- Ach, to - rzekła.

- Co?

- Twoja babcia. To, jak bardzo jest chora. Jimmy czuł konsternację.

- Nie sędzę...

- Wszystko w porządku - zapewniła Marianna. Skrzyżowała ramiona na piersi i oparła się o stół, dokładnie tak samo, jak to czyniła za ladą, kiedy rozmawiała z klientem. Tyle że wtedy miała na sobie, rzecz jasna, ubranie. - Wiem wszystko - wyjaśniła Marianna. - Wczoraj po południu wpadłam na Rachel i zapytałam ją, czy czujesz się już lepiej...

Jimmy poczerwieniał na twarzy. Wczoraj rano zadzwonił, by powiedzieć, że źle się czuje, i zostawił dla Marianny wiadomość w Video - 2 - Go, doskonale wiedząc, że jej tam nie ma. Oznajmił, że ma zatrucie pokarmowe. Odkładał przyjście tutaj, odkładał rozmowę, którą prowadził z nią właśnie w tej chwili.

- A kiedy powiedziała mi, że tak właściwie to nic ci nie dolega - ciągnęła Marianna - usiadłyśmy sobie we dwie i ucięłyśmy pogawędkę. I opowiedziała mi wszystko o twojej babci i o tym, w jakim ostatnio żyjesz stresie. Nie wspominając już o twoim przedwczorajszym wypadku... - Marianna spojrzała znacząco na oko Jimmy'ego, nadal spuchnięte od uderzenia pięści Denny'ego.

Jimmy zakładał, że śliwa pod okiem okaże się atutem w rozmówieniu się z Marianną, jako że wyglądał z nią nieco jak Quasimodo, jednak ona aż do teraz w ogóle o niej nie wspomniała.

- Mówiła mi też o tym, jak to spadłeś z roweru i uderzyłeś twarzą w puszkę od piwa, którą ktoś wyrzucił na ulicę.

- Taa, jasne - rzekł Jimmy. Jego kłamstwo brzmiało jeszcze mniej przekonująco, gdy zostało powtórzone na głos przez kogoś innego.

- Nic więc dziwnego, że twoje libido trochę na tym wszystkim ucierpiało, prawda, skarbie? - kontynuowała Marianna. - Stres i ciężkie przeżycia mają właśnie taki na to wpływ, no nie? I jeśli chcesz, byśmy na tydzień zrobili sobie przerwę, naturalnie, doskonale to rozumiem... ale nie przesadzajmy. Kiedy poczujesz się lepiej, możemy zacząć tam, gdzie przerwaliśmy. Tak chyba będzie uczciwie, prawda? - zakończyła. Uśmiechnęła się spokojnie do Jimmy'ego, po

czym odwróciła się do niego plecami i podeszła do porzuconej na podłodze niewielkiej sterty swoich ubrań.

Przyglądając się, jak niewielka blizna na prawym pośladku Marianny rozciąga się i prostuje, gdy kobieta pochyliła się i podniosła z podłogi stanik, Jimmy zastanawiał się, czy tak tego wszystkiego nie zostawić. Mógł udawać, że czuje się winny, zrobić sobie przerwę, jak mu to zaproponowała, i przedłużać ją po prostu o każdy następny tydzień. Stopniowo by ją tym zniechęcił i w ten sposób może by uniknął otwartego konfliktu.

Jej plecy wygięły się w łuk, gdy Marianna zaczęła zapinać stanik.

Ale w gruncie rzeczy Jimmy nie chciał jej tak nabierać. Nie chciał, by miała mylne wrażenie, że wciąż do niej należy. Ponieważ tak nie było. Teraz należał do kogoś innego: do Verity. Nawet jeśli ona jeszcze o tym nie wiedziała. Nawet jeśli na razie jej to nie interesowało. Ponieważ o to właśnie tak naprawdę chodziło. O czczenie tego, co czuł w tej krótkiej, króciutkiej chwili, kiedy całował Verity. Chodziło o to, że chciał być z nią i z nikim innym.

- Jestem zakochany w Verity Driver - wyrzucił z siebie Jimmy. - I dlatego właśnie nie chcę już z tobą uprawiać seksu.

Marianna powoli odwróciła się i wpatrywała w Jimmy'ego przez jakieś pięć całych sekund. Sądził, że być może przestała oddychać albo zastanawiała się nad tak ciętą ripostą, że potrzebowała aż tyle czasu na przygotowanie do tego swoich płuc. Miała taki sam wyraz twarzy, jak jego przyrodni braciszek Kieran, kiedy zaraz miał zacząć się wydzierać.

Jednak Marianna zapytała tylko:

- To ta dziewczyna z hotelu? Ma tyle samo lat co i ty, prawda?

Jimmy przytaknął.

Marianna rozważała to przez chwilę.

- No cóż, to już przynajmniej coś - rzekła wreszcie.

- Przykro mi - odezwał się Jimmy.

- I słusznie. Ale pewnie prędzej czy później coś takiego musiało się stać. - Marianna skrzywiła się do niego, a po chwili uśmiechnęła. - Wiesz co - rzekła do niego. - Ty nastaw czajnik, ja nałożę majtki, a potem jednak porozmawiamy, tak jak chciałeś.

- Proszę bardzo - rzekła Marianna do Jimmy'ego dziesięć minut później, gdy siedziała obok niego przy ladzie, popijając herbatę z wyszczerbionego kubka z Cagney i Lacey (Sharon Gless była

bohaterką Marianny, która wciąż miała w wypożyczalni wszystkie części tego filmu). - Jeśli sądzisz, że to, co czujesz, jest prawdziwe, wtedy staraj się ze wszystkich sił. Nie rób tego, co uczyniłam ja, i nie wiąż się z nikim dla wygody, by potem nie spędzić całego życia na żałowaniu.

Przedmiotem żalu Marianny, o czym Jimmy wiedział, był oczywiście jej mąż Bill, który na Queens Parade miał sklep ze sprzętem wędkarskim.

- Ale jak? - zapytał. - Verity ma chłopaka.

- Walcz o nią.

Jimmy wskazał na śliwę pod okiem.

- Ale to właśnie on mi to zrobił.

- W takim razie walcz, używając rozumu... - rzekła Marianna - ...swego serca... pokaż jej, kim jesteś... jaki jesteś... czym się zajmujesz... Pokaż jej, kogo straci, jeśli zostanie z tamtym...

- A jeśli się mylę co do niej?

- Mówiłam ci już - odparła z przekonaniem Marianna. - Nie mylisz się.

- Ale skąd możesz to wiedzieć? Jak możesz być taka pewna?

- Potrzeba dwojga ludzi, by się całować w taki sposób, jaki opisałeś, Jimmy. I jeśli nie czułaby czegoś do ciebie, powstrzymałaby się. To by się nigdy nie zdarzyło.

Rozległ się dźwięk przekręcanego w drzwiach klucza. Jimmy i Marianna zgodnie podnieśli głowy i zobaczyli jej męża - pulchnego mężczyznę z diabelsko wyglądającą, czarną kozią bródką - jak otwiera drzwi wypożyczalni i wchodzi do środka. Billowi towarzyszyła niezbyt intensywna woń ryb. Spojrzał na nich i przywitał się skinieniem głowy, po czym odwrócił się do nich plecami i dalej głośno i płacząco rozmawiał przez telefon komórkowy. Rozmowa dotyczyła zamówienia żywych robaków do jego sklepu, które najwyraźniej nie zostało zrealizowane. Marianna zerknęła na zegarek.

- Do tego czasu normalnie zdążylibyśmy już skończyć, no nie? - wyszeptała do ucha Jimmy'ego.

- Zgadza się - odszepnął jej Jimmy, po czym podszedł do komputera i zaczął załadowywać system.

Jimmy uśmiechnął się, obserwując, jak ekran budzi się do życia. Wierzył w to, co przed chwilą powiedziała Marianna. Verity nie pocałowała go, gdyby czegoś do niego nie czuła. Co oznaczało, że

istnieje powód, by mieć nadzieję. I powód, by walczyć. I powód do rozmyślenia o sposobach pokazania Verity, kim naprawdę jest. Wierzył Mariannie, ponieważ jedyne, co uczyniła, to potwierdziła to, co intuicyjnie przeczuwał już wcześniej.

Wrócił myślami do wczorajszego poranka, kiedy Verity dogoniła go na zatłoczonym szkolnym korytarzu po zajęciach z angielskiego. Ich spotkanie trwało zaledwie kilka sekund. Verity przeprosiła go i zapytała, czy nic mu nie jest i czy jest coś, co mogłaby dla niego zrobić. Potem powiedziała mu, że bardzo się zdenerwowała tym, co się stało. Kiedy Jimmy patrzył w jej oczy, w jednej sekundzie rozwiązał się gniew, który czuł, odkąd otrzymał cios od Denny'ego. Momentalnie jej wybaczył, że tak od niego uciekła. Ponieważ przez ułamek sekundy dojrzał w wyrazie jej twarzy coś, co było bardziej intensywne, znacznie bardziej tajemnicze i rzadkie niż zwykła przyjaźń czy też troska. Obraz ten pozostał w nim długo po tym, jak przechodząca przyjaciółka pociągnęła Verity w tłum.

Teraz w wypożyczalni przyjął swoją normalną, przygarbioną pozycję i czekał, aż zjawi się pierwszy popołudniowy klient. Wyrzwał przez okno na zalaną deszczem ulicę, zaskoczony tym, jak optymistycznie się teraz czuje. Zaskoczony był także tym, jak bardzo jego nastrój zmienił się od zeszłego wieczoru, kiedy pragnął tylko tego, by się w ogóle nie urodził.

Wczoraj późnym wieczorem Jimmy i Tara siedzieli w pokoju chłopaka na jego łóżku. Jimmy odczuwał mdłości i bolały go oczy, częściowo z powodu skręta, którego wspólnie wypalili na plaży przed przyjściem tutaj, częściowo z powodu oka, które Denny podbił mu poprzedniego popołudnia, a częściowo również dlatego, że od dwóch godzin on i Tara, zamiast przygotowywać na poniedziałek pracę pisemną z historii, grali w Metal Gear Solid 2 na przenośnej konsoli należącej do Tary.

- Znowu gryziesz ziemię! - zawołała Tara, gdy Jimmy ponownie dostał na ekranie w łeb. Wyciągnęła z kieszeni paczkę gumy i wsunęła listek w swoje pomalowane na czarno usta.

- Masz po prostu farta.

- Wcale nie. To ty jesteś superskankowy. - Zaśmiała się, potrząsając swoimi doczepianymi włosami, które niedawno ozdobiła koralikami, po czym nagle umilkła.

- Jaki? - zapytał Jimmy.



- Sprawdź sam - zachichotała.

Tara wyciągnęła rękę w stronę sprzętu grającego i go ściszyła. Pod wpływem jej nalegań jakieś pięć razy z rzędu słuchali albumu The Streets' Original Pirate Material. Od dziesięciu minut przez otwarte drzwi do pokoju Jimmy'ego sączył się słodki zapach płynu do kąpieli, gdyż w usytuowanej tuż obok łazienki Rachel kąpała małego Kierana.

Przez ścianę dobiegł do nich dźwięk, delikatny i pełen smutku. To Rachel śpiewała Kieranowi.

- Odjazd - odezwała się Tara.

Ale Jimmy zdążył usłyszeć jedynie początek piosenki, kiedy zagłuszył ją przenikliwy sygnał domowego telefonu.

- Mógłbyś odebrać? - zawołała Rachel.

Jimmy przewrócił oczami do Tary, która doskonale wiedziała o jego niechęci do odbierania telefonu stacjonarnego.

- Idź. Nic mi się nie stanie.

- Zobaczymy - mruknął, wstając i wyslizgując się z pokoju.

Jimmy przyglądał się aparatowi telefonicznemu, gdy przechodził przez salon w stronę małego, szklanego stolika tuż obok sofy ze sztucznej skóry i z metalowymi nóżkami. Jimmy nie cierpiał odbierać domowych telefonów. Po pierwsze, nigdy nie były do niego, jako że w dzisiejszych czasach zdecydowana większość jego znajomych nie zwracała sobie głowy telefonami stacjonarnymi. Jednak głównie dlatego, że bał się, kogo może usłyszeć po drugiej stronie linii: którąś z pielęgniarek z Hospicjum Williama Bentleya z wiadomością, że coś złego dzieje się z jego babcią, lub też swojego tatę nawijającego o tym, kiedy ma zamiar przyjechać z Portugalii, by ich odwiedzić, lub spotkać się z Rachel tam.

- Jimmy! - Rachel zawołała ponownie z łazienki, panikując, gdyż sygnał telefonu rozbrzmiewał już po raz piąty.

- Już odbieram - odkrzyknął, po czym wziął do ręki słuchawkę. - Tak?

- Jimmy! - W słuchawce rozbrzmiał głos jego ojca. - Jak się masz?

Słowa te wydały się Jimmy'emu tak sztuczne i przesadzone, jak „Życzymy smacznego”, słyszane za każdym razem, kiedy się kupowało hamburgera w sieci FunBurger na George Street. Jimmy przez kilka sekund milczał, a kiedy się odezwał, jego głos był tak

nijaki i mało entuzjastyczny, jak to tylko było możliwe. Utrudnianie ojcu i tak już marnych prób stworzenia między nimi poczucia koleżeństwa było jedynym, w czym Jimmy nad nim górował.

- Mam się dobrze - odparł Jimmy.

- Klawo.

Jimmy poczuł, jak przez jego ciało przebiega dreszcz. Jego ojciec czternastego skończy czterdzieści lat, mimo to miał zwyczaj używania wyrażen, na które był już zdecydowanie za stary. Słowa takie jak „klawo”, „ciemniak”, „ćmaga” i „pawiować”, słowa, które wychwytywał, włócząc się po barach i klubach z małolatami w wieku Jimmy'ego i jeszcze młodszymi, słowa, o których zupełnie nie miał pojęcia, z jakiej pochodzą bajki.

- No więc co porabiasz? - zapytał go ojciec.

- Zwisam.

- Eee?

Jimmy uśmiechnął się. Mam cię, pomyślał.

- To oznacza kręcenie się tu i tam, tato - odparł. - To takie wyrażenie z kultury młodzieżowej. Nie rozumiałbyś.

Jimmy nie zapytał w odpowiedzi, co porabia jego tata, ale on i tak zaczął mu opowiadać. To, co mówił, brzmiało tak, jakby było wcześniej przygotowane, jakby ćwiczył te słowa przed lustrem, zanim wykonał ten telefon.

- Wszystko tutaj zaczyna się dobrze układać. Dostałem podwyżkę i nadal pracuję nad tym, by Alfie i jego kumple pomogli mi finansowo i żebym mógł otworzyć ten bar. Mówiłem ci o tym, no nie?

Jimmy nie był w nastroju na miłe pogawędki.

- Nie masz więc w planach przyjazdu do domu w najbliższym czasie - stwierdził Jimmy. - Nie planujesz spotkać się z Rachel, ze mną ani z Kieranem.

- Hej, posłuchaj. Pracuję nad tym, OK? - odparł jego ojciec wyraźnie urażonym tonem. - Ale to kwestia pieniędzy. Nie potrafię nie wiadomo skąd wyczarować biletów lotniczych...

Słowa taty zaczęły spływać po Jimmym i przyłapał się na tym, że zamiast nich słucha głuchego dudnienia basu, obecnego gdzieś w tle. Jego tata znajdował się najprawdopodobniej na zewnątrz jakiegoś klubu, mając właśnie zamiar wejść i spotkać się z kimś, kto nie był Rachel. Dzwonił pewnie tylko po to, by lepiej się poczuć w związku z tym, co zamierzał zrobić.

- Hej, posłuchaj - mówił właśnie do Jimmy'ego. - Co sądzisz o tym, byście przyjechali tutaj na Boże Narodzenie? Ty i Rachel, i Kieran - kontynuował, kiedy Jimmy nic na to nie odpowiedział. - Mogłyby to być prawdziwie rodzinne święta.

- A co z babcią? - zapytał Jimmy. - Czy może ona już się nie liczy?

- Ale ona jest chora. Nie zrobiłoby jej to żadnej różnicy.

- Nie, tato, nie sądzę - odparł Jimmy, widząc, że z łazienki wychodzi Rachel i idzie w jego kierunku z otulonym w ręcznik Kieranem na rękach.

Na bluzie od Wranglera, którą miała na sobie, widniały plamy po pianie od płynu do kąpieli, a wilgotne powietrze w ich maleńkiej łazience sprawiło, że niebieski eyeliner spłynął po jej policzkach, przez co wyglądała, jakby złapała ją ulewa. Rzadkie, ciemne włoski Kierana sterczały niczym u punka, do którego podobieństwo malec potwierdził właśnie głośnym beknięciem i śmiechem.

Tata Jimmy'ego wydał z siebie długie i głośne westchnienie.

- Wyraźnie nie jesteś w dobrym humorze, Jimmy - rzekł.

- Więc może pogadamy sobie innym razem, a teraz dasz mi Rachel.

- Jasne, tato. Mnie to pasi - odparł Jimmy.

- Co takiego?

- Idź i zapytaj któregoś z twoich przyjaciół - zasugerował Jimmy, po czym podał słuchawkę Rachel, zadowolony z tego, że wprowadził ojca w konsternację, a także dlatego, że nie musiał już wysłuchiwać jego bredni.

- Ben! - Odchodząc do swego pokoju, Jimmy usłyszał, jak Rachel upomina jego ojca. - Gdzie się podziewałeś? Przez cały tydzień próbowałam cię złapać.

W pokoju Tara pochylała się akurat nad oprawionym w ramkę zdjęciem, przedstawiającym ją, Jimmy'ego i Ryana. Zostało zrobione tego popołudnia, kiedy pojechali wzdłuż wybrzeża aż do Lyme Regis.

- Był odjazdowy, no nie? - rzuciła Tara.

Jimmy uśmiechnął się. Ryan istotnie na tym zdjęciu wyglądał odjazdowo. Na głowie miał purpurową chustkę, którą zawiązał sobie na czole w stylu gangsterskim, a jego usta były rozchylone, jakby zamierzał właśnie coś powiedzieć. Ramiona skrzyżował na czarnej koszulce bez rękawów i na czas zdjęcia uniósł w górę środkowy palec.

Obok Ryana stał Jimmy, wyższy od niego, ale nie wyglądający tak okazale. Głęboko na czoło miał wciśniętą czapkę baseballową, tak więc jego twarz od nosa w górę skryta była w cieniu. Po drugiej stronie Ryana stała Tara w niebieskim dresie w białe paski i czerwonym, wełnianym kapeluszu, wyglądając znacznie młodziej niż teraz. Pokazywała język i rozszerzała palcami wargi.

Cała trójka miała na nosach okulary przeciwsłoneczne i trzeba by tam wtedy być, aby ich w ogóle rozpoznać na tym zdjęciu. Opierali się o maskę skradzionej alfy romeo, którą przyjechali do Lyme Regis, a za nimi widać było plażę, na której później siedzieli i obserwowali zachód słońca.

Jimmy pamiętał ten dzień ze wszystkimi szczegółami. Pamiętał bryzę, która przyciskała mu materiał dzinsów do ud, gdy ustawił swój kieszonkowy aparat fotograficzny na ulicznym parkometrze, a potem stanął na palcach, by umieścić w obiektywie także i samochód.

- Pospiesz się - rzekł wtedy Ryan, opierając się o niebieską maskę samochodu i przyciągając do siebie Tarę. - Jeśli mam choćby odrobinę dłużej znajdować się tak blisko tej wspaniałej kobiety, to nie ręczę za siebie...

- Możesz sobie pomarzyć - odparowała mu Tara, jednak nie uczyniła żadnego ruchu, by się od niego odsunąć.

- Co o tym myślisz, Jimmo? Ja i Tara. Jesteśmy dla siebie stworzeni, no nie? Dlaczego nie mielibyśmy poddać się naszym pierwotnym pragnieniom i nie dać się im ponieść?

- Ponieważ jesteście przyjaciółmi - odparł Jimmy. - A nie można się przyjaźnić dłużej z ludźmi, z którymi uprawiało się seks. Sam mi to powiedziałeś.

Ryan z uśmiechem pokiwał głową.

- Och, cóż za mądrość w ustach kogoś tak młodziutkiego. No cóż, szaleństwem byłoby ignorowanie własnej rady, więc przykro mi, Taro, chyba będę cię musiał przeboleć.

- Taa. Wystarczy już tego gadania o mnie, jakbym była kawałkiem mięsa, wy ciule, OK? - pisnęła Tara, dając Ryanowi kuksańca w ramię. - I tak nie chciałabym mieć nic wspólnego z żadnym z was.

- Gotowe - oświadczył Jimmy, delikatnie wciskając przycisk samowyzwalacza, po czym pobiegł, by do nich dołączyć, i oparł się o maskę obok Ryana.

- Okulary na nos - zarządził Ryan i cała trójka wyjęła je z kieszeni i włożyła.

- Ten koleś chyba ocipieje - rzuciła Tara, opuszczając rondo kapelusza niżej na czoło.

- Dodajemy jedynie odrobinę smaczku do nudnej w przeciwnym wypadku egzystencji - odparł na to Ryan.

„Koleś”, o którym wspomniała Tara, to był właściciel alfy romeo, ta sama osoba, dla której robili to właśnie zdjęcie oraz wiele innych podczas całego tamtego dnia. Pomysł był taki, że dadzą kliszę do wywołania w miejscu, gdzie robią to w godzinę. Potem odstawią samochód na parking hotelu Royal Inn (z którego pożyczyci go owego ranka), pozostawiając na fotelu kierowcy najlepsze zdjęcia, które właściciel znajdzie, mieli nadzieję, dopiero po kilku tygodniach.

- A dlaczego w ogóle oddajemy ten samochód? - zapytała Tara. - Może po prostu będziemy jechać dalej, do Francji czy gdziekolwiek?

- Ponieważ... - zaczął odpowiadać Ryan.

Wtedy nastąpił błysk. Samowyzwalacz w aparacie fotograficznym utrwalił ich dla potomności. Jimmy pamiętał, że Ryan podniósł się wtedy z maski i odszedł od samochodu. Stał kawałek dalej i wpatrywał się w plażę. Potem odwrócił się do nich przodem i odpowiedział:

- Ponieważ szybko skończyłaby się nam benzyna. Teraz w pokoju Jimmy'ego Tara wzięła zdjęcie do rąk i ucałowała twarz Ryana.

- Tamtego dnia byłam w nim wprost wariacko zakochana, wiesz? - wyznała. - Wszystkie te rzeczy, które o mnie mówił... Wiem, że tylko się ze mną droczył, że był sarkastyczny i w ogóle, jednak pragnęłam, by to była prawda.

- Tak właśnie myślałem - odparł Jimmy.

- Nigdy niczego nie powiedział ci na osobności, prawda? - upewniła się. - To znaczy o mnie? O mnie i o nim?

- Nie - skłamał Jimmy. Tego dnia, kiedy Ryan zmarł, powiedział Jimmy'emu, że gdyby miał się związać z jakąś dziewczyną na dłuższą metę, wtedy przychodziła mu do głowy jedynie Tara, ponieważ ona nie znudziłaby mu się. Ale Jimmy wiedział, że nie ma sensu mówić jej teraz o tym. Otworzyłyby tym jedynie stare rany.

- No dobra.

- Co no dobra? - zapytał Jimmy, zauważając zmarszczenie czoła, którego nie udało jej się ukryć.

- Nadal sędzę, że powinniśmy dać mu wycisk - wyjaśniła. Miała na myśli Denny'ego Shaplana. Odkąd dziś rano w szkole Tara ujrzała podbite oko Jimmy'ego, namawiała przyjaciela, by poszli do sklepu Denny'ego i wymalowali na drzwiach graffiti.

- Nie ma mowy - zaprotestował Jimmy. - Nie jest tego wart. A poza tym - dodał szczerze - to zbyt ryzykowne. Pewnie nas złapie na gorącym uczynku i znowu mi wpierdoli.

- No a co w takim razie powiesz na jego krosowiec? - upierała się Tara. - Założę się, że uruchomienie go na kable to betka. - Oczy błyszczały jej złowrogo. - Moglibyśmy porzucić go w porcie podczas przypływu.

- Nie.

- Jezu, Jimmy! - warknęła Tara, wstając gniewnie z łóżka. - Gdzie się podział twój duch? Kiedyś ciągle podejmowałeś ryzyko, pamiętasz?

Jimmy nic nie odrzekł. Nie obchodził go Denny ani to, że został przez niego uderzony. „Oddałam mu pocałunek”. To właśnie powiedziała Verity. I Jimmy wciąż wierzył, że powiedziała prawdę, bez względu na to, jak szybko uciekła po tych słowach. Nie, Jimmy nie chciał krzywdzić Denny'ego Shaplana. Jimmy pragnął, by Verity zdała sobie sprawę, jak bardzo Jimmy jest lepszy od Denny'ego. Jimmy pragnął, by Verity przekonała się, że to z nim powinna być. I dlatego Jimmy wiedział - i akurat wtedy myślał o swoim układzie z Marianną - że musi oczyścić swoje działania, a nie je upraszczać.

Jednak Tara nadal go prowokowała.

- Nie? - upewniła się. - W takim razie pozwól, że ci przypomnę.

Minęła go i otworzyła okno.

- Przestań natychmiast - nakazał jej Jimmy, gdy doleciał do niego podmuch zimnego wiatru.

Ale Tara zignorowała jego słowa. Zamiast tego otworzyła okno na całą szerokość.

- Dlaczego to robisz? - zapytał.

- Wiesz dlaczego - odparła miękko, po czym wspięła się na parapet i przechyliła na zewnątrz, znikając mu z oczu.

Żołądek Jimmy'ego wykonał fikołka. Jednak tym razem nie miało to nic wspólnego ani z grą, ani ze skretem. Pospiesznie przeciął pokój i wystawił głowę przez okno, patrząc na górę.

- Nie bądź głupia! - zawołał za nią, ale Tara była już w drodze na samą górę. Widział, jak jej stopy znikają na kilku ostatnich stopniach schodów przeciwpożarowych prowadzących na dach Carlton Court.

Jimmy nie wykonał żadnego ruchu przez sekundę, dwie, trzy. Nadal wpatrywał się w szare, rozświetlone blaskiem księżyca niebo. Wiedział, że nie powinien tam iść. Nie powinien wdrapywać się za Tarą na dach, tak jak tego chciała. To było szaleństwo, tak samo jak szaleństwem był pierwszy raz, kiedy on i Tara udali się na górę za Ryanem.

- Co jest grane? - zapytał ich wtedy Ryan. - Tchórz was obleciał?

Chodziło o film, który wtedy obejrzel w pokoju Jimmy'ego, na tym samym ekranie telewizyjnym, na którym teraz wyświetlali gry Tary. Jimmy nie pamiętał nawet, kto grał w tym filmie. Był to jakiś późnowieczorny gniot o grupie amerykańskich dzieciaków w ich wieku.

Jedynym powodem, dla którego w ogóle zaczęli go oglądać, było to, że zalali się w pestkę wódką, którą Ryan zwędził z barku swego starego. A potem pokazano inicjację w gangu i Ryan przestał gadać, a zaczął wpatrywać się w ekran.

- Chodź! - Jimmy usłyszał teraz wołanie Tary, jej głos zaś rozchodził się na wietrze.

Ale i tak chłopak był już w drodze na górę. Przeciskał się przez otwarte okno w taki sam sposób jak wtedy, gdy skończył się film i Ryan i Tara nakłonili go pochlebstwami, by wszedł tam razem z nimi.

Wydawało się, iż fakt, że oglądane przez nich w telewizji dzieciaki, które zwisały wzdłuż budynku przytrzymywane przez innych, miały prawdopodobnie pod sobą siatki asekuracyjne i że pewnie w ogóle nie były to dzieciaki, a kaskaderzy filmowani pod dziwnymi kątami, ani trochę nie zaprzętał głowy Ryana.

- Pamiętasz to? - zapytała teraz Tara, gdy Jimmy wspiał się po ostatnich szczeblach drabinki przeciwpożarowej i wszedł na dach, po czym zbliżył się do przyjaciółki.

Było tam zimno i cicho niczym na pustej scenie. Tara stała na krawędzi płaskiego dachu, patrząc ponad trzydzieści metrów w dół. Gdy Jimmy zrównał się z dziewczyną, uderzył w nią podmuch wiatru.

Tara zachwiała się na chwilę, więc Jimmy złapał ją za rękaw i przytrzymał, by odzyskała równowagę. Stojąc tam, popatrzył razem z nią na znajdujący się poniżej parking.

- I co, pamiętasz? - zapytała go ponownie Tara.

- Oczywiście - odparł.

Ponieważ nie było w ogóle możliwe, by nie pamiętał czegoś takiego, nieprawdaż? Jak można zapomnieć, jak to jest, kiedy dwoje twoich najlepszych przyjaciół chwyta cię za ramiona i powoli opuszcza ponad krawędzią dziesięciopiętrowego budynku? Jak można zapomnieć uczucie, jakby każda komórka twego ciała odrywała się od podłoża, nakazując sobie wczłogać się z powrotem na górę na przekór sile ciężkości? Albo świadomość, że to tylko i wyłącznie twoi przyjaciele wciągnęli cię na powrót znad przepaści? Jak można zapomnieć siłę w ich oczach, kiedy wciągali cię na górę? I jak można zapomnieć poczucie odpowiedzialności, kiedy poprosili cię, byś zrobił to samo z nimi? Bądź też poczucie absolutnego zaufania, więzi i miłości, które było źródłem takiego czynu? Nie można. Taka była krótka odpowiedź. Coś takiego zostaje w tobie na zawsze.

- Chciałabym, żebyśmy mogli to zrobić jeszcze raz - odezwała się Tara.

- Nie możemy. Nie jestem na tyle silny, by cię utrzymać w pojedynkę - odpowiedział jej Jimmy. - I ty także nie byłabyś w stanie przytrzymać mnie. Do tego potrzeba całej naszej trójki.

- Wiem. - Tara wsunęła dłoń w dłoń Jimmy'ego i mocno ją zacisnęła. - Dlatego jest to tylko marzenie.

Bez słowa cofnęli się razem i przeszli na środek dachu. Tara usiadła pierwsza, a po chwili dołączył do niej Jimmy.

- Dymka? - zapytała, po czym nie czekając na jego odpowiedź, zapaliła dla nich obojga po papierosie.

- Nie powinno nas tutaj być - odezwał się Jimmy.

- Sądziłam, że to, co on... to, co my - poprawiła się - robiliśmy tu tamtej nocy, trzymając się wzajemnie nad krawędzią dachu... Sądziłam, że chodziło wtedy o adrenalinę... o to, żeby rajcowało... o podejmowanie ryzyka... o udowodnienie, że nieźle z nas chojraki...

- A tak nie było? - zapytał Jimmy, niepewny, do czego ona zmierza.

Tara popatrzyła w głąb łądu, daleko od klifów.



- Nie - odparła. - Nie sędzę. Już nie. Ryan nie znalazł się tutaj dla frajdy. Ryan był tutaj, ponieważ pragnął zbliżyć się do śmierci. Chciał się przekonać, jakie to jest uczucie. - Odwróciła się do Jimmy'ego, a jej oczy wydały się nagle ciemniejsze niż nocne niebo. - Zawsze miał zamiar to zrobić, wiesz, Jimmy? Zabić się... Teraz to widzę.

- Nie.

Ale ona nie słuchała. To było coś, w co chciała wierzyć: że to, co zrobił Ryan, było w pewien sposób przesądzone i nie miało kompletnie nic wspólnego z nimi. Chciała wierzyć, że Ryan tego właśnie pragnął, tak jakby to zwalniało ich zupełnie z ewentualnej odpowiedzialności i sprawiało, że wszystko wydawało się w porządku.

Zgasiła papierosa i wstała.

- Chodź - rzekła, uśmiechając się teraz do Jimmy'ego. - Wracajmy do środka. Zmarzłam.

- Ty idź - odezwał się po chwili Jimmy. - Ja zejść za chwilę.

Patrzył, jak Tara przechodzi przez krawędź dachu, opuszcza się w dół po drabince i znika niczym nurek wchodzący tyłem do morza czerni.

Wtedy zamknął oczy, przypominając sobie ponownie tamtą noc, kiedy we trójkę weszli tutaj i kiedy nadeszła kolej Ryana, by opuścić go wzdłuż ściany budynku.

- Lepsze niż dragi - oświadczył Ryan, wpatrując się w Jimmy'ego oczami, w których płonęło szaleństwo.

Tyle że tu i teraz, kiedy Jimmy siedział skulony na dachu z zamkniętymi oczami, jego wspomnienia na temat tego, co się wydarzyło, zaczęły się zacierać. Nagle nie było już z nimi Tary, która trzymała drugie ramię Ryana. Trzymał go tylko Jimmy, a jego uchwyt zaczynał słabnąć.

- Trzymaj mocno. - Usłyszał w wyobraźni słowa Ryana. - Czy mogę ci zaufać, Jimmy? Czy mogę ci teraz zaufać?

Ale jego opuściły siły. Nie był w stanie trzymać go ani...

Jimmy otworzył oczy, jednak nadal widział spadające ciało Ryana, który krzyczał do niego, by po chwili rozbić się o przednią szybę znajdującego się poniżej samochodu.

Jimmy pochylił się naprzód, objął kolana ramionami i żałował, że w ogóle się urodził, i po raz kolejny żałował, że Ryan nie żyje.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Treza nie okazała się ani trochę pomocna. Co gorsza, zaczęła działać Verity na nerwy. Minęło czterdzieści osiem godzin od tej nieszczęsnej awantury koło Appleforth House i w sobotnie popołudnie Verity wezwała Trezę na awaryjne spotkanie w Jackpot Café. Ku konsternacji Verity jej przyjaciółka pojawiła się w nowej fryzurze - swoje kruczoczarne gęste loki poskręcała i poucinała na głowie w różne wymyślne węzłki. Bez konsultacji z Verity i bez jej wiedzy zaszła nie tylko ta zmiana w wyglądzie. Treza miała na sobie nową dzinsową sukienkę, do której nałożyła długie kozaczki, a strój ten podkreślał krągłości jej drobnego ciała, przez co Verity czuła się dziecinnie w swoich dzinsowych dzwonach i znoszonych adidasach.

Wyglądało też na to, że zazwyczaj łagodna i pełna zrozumienia natura Trezy została zastąpiona przez inną, bezwzględną i bezkompromisową, której Verity nigdy wcześniej u niej nie widziała.

- Denny nie powinien był uderzyć Jimmy'ego i tyle. Jeśli już, to Denny powinien teraz przeprosić ciebie - oświadczyła Treza, mieszając słomką w kubku z koktajlem mlecznym i wbijając w Verity surowe spojrzenie swoich brązowych oczu.

Verity nic na to nie odpowiedziała. Nie chciała się kłócić z Trezą, kiedy ta była w takim nastroju. A poza tym pograżyłaby się w jeszcze większym bagnie, gdyby pozwoliła się wziąć w krzyżowy ogień pytań. Znała Trezę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że jej przyjaciółka szybko by się połapała, że Verity nie mówi jej całej prawdy o tym, co się wydarzyło.

Nie powiedziała jej na przykład wszystkiego na temat pocałunku z Jimmym i tego, że w rzeczywistości była Denny'emu tak niewierna, jak on to podejrzewał. Zamiast tego wyjaśniła Trezie, że przez przypadek zbyt mocno zareagowała na pocałunek Jimmy'ego tylko dlatego, że znajdowała się przed kamerą i dała się ponieść grze aktorskiej. Nie wspomniała nic na temat tego, że ten pocałunek sprawił, iż czuła się zdenerwowana i winna, i że kiedy próbowała myśleć o Denny'emu, wszystkie jej myśli blokowało wspomnienie ust Jimmy'ego.

Bez względu na to, jak bardzo się starała tego nie robić, nie potrafiła przestać porównywać swoich pierwszych pocałunków z tymi dwoma mężczyznami, chociaż trzy tygodnie temu nie pomyślałaby nawet, że będzie z nimi rozmawiać, nie mówiąc już o całowaniu. Z

jednej strony, pocałunek Denny'ego był seksowny i zniewalający, ale za to jej pocałunek z Jimmym był tak bardzo zmysłowy, że Verity przyłapała się na tym, iż żałuje, że pocałunek Jimmy'ego nie jest pocałunkiem Denny'ego.

Jednak nie potrafiła się zmusić, by wyrazić na głos te pełne poczucia winy myśli, skrywane tak głęboko, że nie mogła ich nawet zapisać w swoim pamiętniku.

- No cóż, przynajmniej nie płaszczyłaś się przed Dennyem - kontynuowała Treza.

Verity zapadła się głębiej na swoim siedzeniu. Nie wspomniała Trezie także ani słowem o tym, że w ciągu ostatnich dwóch dni zadzwoniła do Denny'ego przynajmniej dziesięć razy, a dziś bladym świtem podrzuciła do Wave Cave gorący, płynący prosto z serca list.

- Nie płaszczyłaś się chyba, co? - powtórzyła Treza, tym razem z większą surowością.

Verity nie patrzyła przyjaciółce w oczy, ale milczenie Trezy wymagało, by wreszcie coś odpowiedzieć. Kiedy podniosła wzrok, przyjaciółka przyglądała jej się nie przekonana.

- Kocham go - rzekła Verity, opierając się o stolik. - Muszę się postarać, żeby mnie dobrze zrozumiał.

Treza energicznie odstawiła pusty kubek na blat.

- O Boże! Nie dociera do ciebie to, co mówię, prawda? - rzuciła z rozdrażnieniem.

- Nie złość się na mnie. Pragnę być z Dennyem.

- OK, OK - odparła Treza, unosząc ręce w geście poddania. - Mówisz, że Denny nie jest ani trochę taki, jak o nim mówią, i jedyne, co słyszę, to pieśni pochwalne na temat jego wrażliwości. Skoro jest więc tak cholernie wspaniały, w takim razie nie powinnaś mieć problemu z odzyskaniem go, no nie? - Treza posłała Verity sarkastyczny uśmiech i wstała, by wyjść.

Verity wpatrywała się w przyjaciółkę, dotknięta do żywego jej postawą.

- Treze - odezwała się błagalnie. - Nie bądź taka.

- Muszę już iść. Umówiłam się z Willem. Na razie... Kiedy Verity została sama, zapłaciła za dwa koktajle mleczne i próbowała zrozumieć cokolwiek ze swojego spotkania z Trezą. Co się działo ze wszystkimi? Najpierw Ellen, a teraz Treza - dlaczego nie docierało do nich, że ona i Denny są sobie przeznaczeni? Dlaczego wszyscy są tak

negatywnie nastawieni? A kiedy się nad tym dłużej zastanowić, to kim właściwie jest Treza, żeby robić jej wykład? Will pracował jako mechanik w jakimś durnym warsztacie samochodowym. Denny był od niego dwa razy bardziej męski. Cóż więc z tego, że trochę zbyt gwałtownie zareagował? Przecież tak właśnie zachowują się gorąckokrwisci mężczyźni, nieprawdaż?

Na zewnątrz Verity ruszyła noga za nogą w kierunku hotelu. Wiedziała, że wszyscy mają pewne problemy w swoich związkach, jednak nie spodziewała się, że w przypadku jej i Denny'ego dojdzie do tego tak szybko, i to w dodatku z jej powodu. Zdumiona była tym, że w tak krótkim czasie tak bardzo się od niego uzależniła. Było tak, jakby jej życie zostało podzielone na przed i po Denny'ym, a ona nigdy nie będzie w stanie powrócić do punktu, w którym nie było go jeszcze w jej życiu. Z nim czuła, że żyje, tryskała energią i pewnością siebie. Nadał sens jej całej egzystencji. Bez niego w dni takie jak ten, gdy miała przed sobą jedynie perspektywę ćwiczeń na pianinie i pracy domowej, jej życie wydawało się niewymownie ponure i bezsensowne.

Takie właśnie myśli krążyły jej po głowie, kiedy przyłapała się na tym, że stoi bez celu w deszczu, wpatrując się z napięciem z chodnika po drugiej stronie ulicy w Wave Cave, a w jej wnętrzu biją się ze sobą niezdecydowanie i tęsknota.

Nic z tego, pomyślała. Nie potrafi dalej bez niego żyć. Przecież chyba Denny nie jest już na nią zły? Nie, jeśli otrzymał jej list. Musiała się dowiedzieć, na czym stoi. Zebrała się w sobie i przeszła na drugą stronę ulicy.

Denny był zajęty, ale przystanął na chwilę i zaczął się przypatrywać Verity, gdy ta udawała, że w kącie sklepu przegląda jakieś bluzy sportowe. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, Verity poczuła się tak, jakby miała zemdleć z tęsknoty i pragnienia.

Stojąc pod głośnikami, z których wydobywała się głośnie muzyka, Verity rozmyślała o tym, jak to w ogóle możliwe, że znalazła się w takiej sytuacji. Denny był dla niej o wiele za dobry. Jak mogła w ogóle kiedykolwiek sądzić, że może ją zechcieć? Jednak wtedy w jej głowie pojawił się obraz Jimmy'ego. „Jesteś dla niego za dobra” - takie były jego słowa, ale nie mógł mieć przecież racji, prawda?

Zanim zdążyła się nad tym zastanowić nieco dłużej, Denny skinął głową i ruszył w kierunku zaplecza, a ona natychmiast pomknęła za nim.

- Dostałeś mój list? - zapytała nerwowo Verity.

Denny przytaknął i usiadł na krawędzi wielkiego, kartonowego pudła. Za nim niczym gumowe zwłoki zwisał rząd kombinezonów pływackich. W tym wytłumionym pomieszczeniu pulsowały basy ze sklepowej muzyki. Verity dojrzała nad drzwiami za sobą niewielki telewizor, ukazujący czarno - biały i nieco zamglony obraz klientów w sklepie. Denny rzucił na niego okiem, po czym dał dziewczynie znak, by kontynuowała.

- To pewnie trochę...?

- Jeszcze nikt nigdy nie napisał dla mnie wiersza - rzekł Denny, ponownie zerkając na znajdujący się nad jej głową monitor. Przez cały czas żuł gumę.

Verity uśmiechnęła się nerwowo.

- To nie ja go napisałam - odparła. - Przepisałam go z książki. To Carol Ann Duffy.

- Jasne, jasne.

Verity żałowała teraz, że nie miała odwagi, by dołączyć któryś z własnych wierszy. Zamierzała tak zrobić, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

- Jednak to prawda, co tam napisałam - rzekła, czyniąc krok w jego kierunku. - To znaczy, że jest mi przykro. Z powodu tamtego dnia. Robiłam jedynie to, co mi kazała Ellen, ale teraz rozumiem, jak to musiało wyglądać...

Denny wzruszył ramionami.

Verity na chwilę zabrakło tchu. Jak miała sprawić, by Denny pojął, że jest on ostatnią osobą na świecie, którą ona chciałaby kiedykolwiek zranić?

- Och, Denny, proszę - błagała.

- Mówiłem ci, że jestem zazdrosnym facetem - odparł. - Myślałem, że szlag mnie trafi, kiedy zobaczyłem cię z innym. Zwłaszcza z jakimś chłoptasiem ze szkoły.

- Ale ja także chodzę jeszcze do szkoły, Denny - rzekła Verity z dezorientacją w głosie. - Jimmy i ja jesteśmy w tym samym wieku.

Denny przewrócił oczami.

- Nieważne.

- Nie wiem, co mam ci jeszcze powiedzieć - dodała błagalnym tonem. - Jedyne, czego pragnę, to żebyśmy byli razem. Tylko to się dla mnie liczy. Coś takiego już się nigdy nie powtórzy. Zrobię wszystko, by ci to wynagrodzić. Proszę...

Gdy zaczęła płakać, Denny wziął ją w ramiona, a ona oparła się o niego osłabła z ulgi.

- Muszę już iść, skarbie - rzekł wreszcie. - Może zajrzysz potem do mnie do domu? Zjemy razem kolację, wyluzujemy się i zostawimy wszystko za sobą. Co ty na to?

Podczas wszystkich przypadków w przeszłości, kiedy Verity przygotowywała się, by zaśpiewać przed publicznością, nigdy nie była aż tak zdenerwowana ani nie czuła, że tak wiele od tego zależy, jak to było teraz w przypadku jej wieczornego spotkania z Denny'ym. Wiedziała, że jej wybaczył, ale nadal tak naprawdę nie pojmowała dlaczego ani co Denny naprawdę czuje. Dziś wieczorem miała się wreszcie tego dowiedzieć.

Do ósmej zdążyła się przebrać chyba z tuzin razy, zrobiła makijaż, po czym go starła. Nie miała pojęcia, co nałożyć na wyluzowany wieczór w mieszkaniu Denny'ego. Ostatecznie wzięła przykład z Trezy i włożyła dzinsową spódnicę i kozaczki. Pewnie i tak za bardzo się wystroiła, ale nie dbała o to.

Właśnie przeglądała się w dużym lustrze koło schodów na pierwszym piętrze, kiedy usłyszała głos swojej matki.

- Jesteś tam? - zawołała z recepcji Cheryl. - Verity, wiem, że tam jesteś. Czy możesz zejść na dół?

Verity w milczeniu robiła do lustra miny, naśladując swoją matkę. Skąd ona zawsze wiedziała, gdzie aktualnie przebywa jej córka? Czasami Verity zastanawiała się, czy nie powinni przemianować hotelu z Grand Hotelu na Grand Więzienie, jako że jej matka musiała chyba wszędzie poukrywać, monitorujące wszystko kamery.

Verity powoli zeszła na dół, celowo tupiąc przy tym głośno, by zdenerwować matkę.

- W gabinecie. Kiedy to uznasz za stosowne, Verity - rzekła jej matka z gniewnym wyrazem twarzy, po czym zniknęła za drzwiami gabinetu.

Verity chmurnie udała się za nią. W biurze, rzeczywiście. Co sobie jej matka myśli, że kim jest? Dyrektorką jej szkoły?

Gdy Verity weszła do środka, ujrzała, że na jednym z krzeseł siedzi nieruchomo Russell Driver, ubrany w swój wyjściowy blezer. Przez jedną straszną chwilę Verity pomyślała, że musiał się dowiedzieć o romansie Cheryl. Potem zerknęła na jego twarz i kiedy dojrzała na niej zwykły, udreńczony wyraz, odprężyła się. On także został tutaj wezwany. Może dowiedzieli się, że w zeszłym tygodniu nie była na lekcjach muzyki. Może Ellen powiedziała jej matce coś o Dennym i o tym, co wydarzyło się w czwartek. Przygotowała się na to, by się bronić.

- Twój ojciec i ja przeprowadziliśmy pewne dochodzenie - zaczęła matka.

Zapomnij o dyrektorce szkoły, ludzie z jej budy mieli rację: matka rzeczywiście była gestapo, pomyślała gorzko Verity.

- Po prostu martwimy się - wtrącił Russell. - My...

- Pamiętaj, co ustaliliśmy - syknęła Cheryl, uciszając spojrzeniem swego męża. - Chodzi o to, że Denny Shapland jest prawie dziesięć lat od ciebie starszy - rzuciła znacząco do Verity.

- No i?

- No i... jest za stary.

- Co chcesz przez to powiedzieć? On ma lat dwadzieścia pięć, a nie sześćdziesiąt.

- Tak, no cóż, chłopcy w jego wieku mają pewne... oczekiwania.

Verity nie była w stanie powiedzieć, czy była bardziej zakłopotana z powodu swoich rodziców czy ze swojego.

- Chodzi o to, że twój ojciec i ja czujemy, że byłoby lepiej, gdybyś chodziła z kimś bardziej zbliżonym do ciebie wiekiem.

- I sądzicie, że to wy będziecie podejmować za mnie decyzje? - zapytała ze zdumieniem Verity. - Jesteście tak bardzo dwulicowi. Tata poznał Denny'ego. I jego słowa brzmiały dokładnie tak: „Denny wydaje się w porządku”. Tak było, prawda, tato?

- Russell?

Verity i jej matka zgodnie i wyzywająco wpatrywały się w Russella Drivera, który bezradnie wzruszył ramionami.

- Skoro miałeś jakieś zastrzeżenia, dlaczego wtedy niczego nie powiedziałaś?

- Daj spokój, kochanie - odrzekł. - Nie zdawałem sobie sprawy, że to coś poważnego...

- Nie powstrzymacie mnie przed widywaniem się z nim. Nie możecie.

I kiedy Verity patrzyła na swoich rodziców, cała trema, jaką odczuwała przed dzisiejszym spotkaniem, zniknęła. A więc był dla niej za stary? Ona była zbyt małą dziewczynką, by być z Dennyem Shaplandem, tak? No cóż, wkrótce to się zmieni. Miała zamiar stracić z nim dziewictwo. Tak jest! To już postanowione. A im szybciej to nastąpi, tym lepiej.

Mieszkanie Denny'ego mieściło się w nowoczesnym kompleksie na przedmieściach Shoresby. Od chwili, kiedy Verity ruszyła na górę i przeszła wzdłuż jasno oświetlonego korytarza w stronę drzwi Denny'ego, przepełniało ją skrywane podekscytowanie. Oto prywatne mieszkanie Denny'ego. Nie było tu rodziców, którzy mogli im w każdej chwili przeszkodzić, żadnego irytującego rodzeństwa ani wymagających gości.

Kiedy Denny otworzył drzwi, Verity czuła, jak każda komórka w jej ciele drży wyczekująco. Wyglądał na bardziej wyluzowanego, niż się tego spodziewała. Miał białe stopy, a ubrany był w sięgające za kolana czarne spodnie do karate i szary T-shirt. Natychmiast uznała, że za bardzo się wystroiła. Wysunęła się do przodu i pocałowała go ze skrzepowaniem w policzek.

- Witam - rzekł Denny, cofając się i wyciągając rękę, by mogła zobaczyć jego apartament. Nie był może szczególnie wielki, ale otwarta przestrzeń salonu wyglądała jak ze stylowego katalogu: lśniący, drewniany parkiet, dwie wielkie skórzane sofy i niski szklany stolik. Ściany pomalowane były na biało, a z tego wyraźnie głównego pomieszczenia odchodziło dwoje drzwi.

- Łazienka, sypialnia - rzucił Denny, wskazując na nie, gdy Verity udała się za nim do znajdującego się na samym końcu niewielkiego, pozbawionego ścianek działowych aneksu kuchennego.

- Mam tu mały bałagan - kontynuował Denny, uprzątając z szarego, imitującego marmur blatu jakieś magazyny i pocztę. - Sorki.

- Nie masz tu żadnego bałaganu. - Verity zaśmiała się. - Powinieneś zobaczyć mój pokój!

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że ostatnim miejscem, w którym chciałyby ujrzeć Denny'ego, jest jej sypialnia w Grandzie. W porównaniu ze swoim mieszkaniem uznały ją za nędzną i dziecinną.



Uśmiechnęła się, odwróciła i popatrzyła na oprawione w ramkę zdjęcia wiszące nad drewnianą półką, na której stała barowa popielniczka, kubek i wyglądająca na nietkniętą książka kucharska Jamie Olivera. Verity pragnęła zapytać go o wszystko, o tożsamość każdej widniejącej na fotografiach osoby. Chciała się dowiedzieć, gdzie zostało zrobione zdjęcie wielkości plakatu, które wisiało na ścianie nad sofą, przedstawiające Denny'ego surfującego na jakiejś egzotycznej plaży. Właśnie miała zamiar uczynić jakąś uwagę na temat zawieszonych koło lodówki kalendarza z nagimi kobietami, kiedy rozległ się dzwonek.

- Zjawiaś się w samą porę. Pizza! - wyjaśnił Denny. Verity skinęła głową, czując mieszaninę ulgi i rozczarowania. Była przygotowana na to, że on sam coś ugotuje, jednak kiedy się okazało, że zjedzą pizzę, nieco bardziej się odprężyła. Może mimo wszystko nie był to aż tak wielki test.

Przyglądała się, jak Denny płaci dostawcy pizzy, po czym zamyka kopniakiem drzwi i kładzie dwa duże pudełka na niskim stoliku między sofą i szerokoekranowym telewizorem.

- Czuć się jak u siebie w domu - rzucił. - Zdejmij płaszcz. Chodź i zjedz ze mną. - Ukląkł na dywaniku z owczej skóry i otworzył pudełka z pizzą. Verity położyła płaszcz na oparciu sofy i przyklękła koło niego, spoglądając na kosztownie wyglądający sprzęt grający, w kierunku którego Denny w tej chwili wyciągał dłoń z pilotem. Pomieszczenie wypełnił niski dźwięk muzyki z albumu z wytwórni niezależnej, który Verity od razu rozpoznała.

Denny podał jej piwo i wskazał na pudełka z pizzą.

- Umieram z głodu - rzekł, jakby przebywali razem przez cały dzień. - Wcinaj.

Verity nie była specjalnie głodna, ale nie mogła mu odmówić. A poza tym przyjemnie było siedzieć obok Denny'ego, tak jakby zawsze spędzali w ten sposób sobotnie wieczory. Panowała atmosfera intymności i dziewczyna wkrótce zaczęła się odprężyć.

Przez chwilę rozmawiali o tym, jak Denny spędził dzień w sklepie, jednak żadne z nich nawet słowem nie wspomniało o ekipie filmowej ani o incydencie z Jimmym. Nie minęło wiele czasu, a Verity wyleciało to z głowy i przyłapała się na tym, że gawędzą ze sobą, tak jak to wcześniej mieli w zwyczaju - nie o sprawach

ważnych, lecz na luźne tematy, bez wyczerpania których mogliby rozmawiać przez całą noc.

Kiedy już zjedli obie pizze i wypili kilka piw, Verity była pewna, że Denny jej wybaczył. Roześmiała się, gdy osunął się na skórzaną sofę.

- Jest super - powiedziała z westchnieniem, siadając obok niego.

- No i co? - zapytał, oblizując palce. - Jesteś zajęta w przyszłym tygodniu?

Verity przeciągnęła się z lubością niczym kot.

- Owszem - odparła z fałszywą skromnością - ale dla ciebie jestem zawsze osiągalna. Będę miała próby i tym podobne. Zbliża się koncert. Masz ochotę przyjść? W przyszłą sobotę wieczorem. Mogę ci załatwić bilet. - Uśmiechnęła się do niego z nadzieją, ale Denny nie zareagował tak entuzjastycznie, jak się spodziewała. - Będę śpiewać - dodała, próbując go skusić.

- Nie jestem pewny, czy zdążę wrócić - odparł Denny.

- Wrócić? - zapytała zaalarmowana Verity.

- Nie mówiłem ci? Wyjeżdżam w interesach. Muszę zrobić zaopatrzenie do sklepu. Wrócę pewnie za jakiś tydzień.

- Nie możesz mnie teraz zostawić - wyszeptała i ogarnęło ją przygnębienie na samą myśl o świecie bez Denny'ego. Dwa dni bez niego prawie ją zabiły. Jak miała wytrzymać przez cały tydzień?

- Nie patrz tak na mnie. - Denny roześmiał się. - To nie jest koniec świata.

- Dla mnie jest - odparła, po czym opuściła wzrok na kolana, wściekła na siebie, że powiedziała coś tak żalnego.

- Widzę, że traktujesz nasz związek poważnie, co? - zapytał.

- Chciałabym móc ci to udowodnić - odpowiedziała szeptem.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- No cóż, jest jeden sposób... - rzekł miękko Denny. Verity natychmiast podniosła głowę. Kiedy zobaczyła, że on patrzy prosto w jej oczy, nie miała wątpliwości, że mówili o jednym i tym samym. Pomimo swoich związanych z tą właśnie chwilą zamiarów zaszokowała ją otwartość Denny'ego. Wcześniej wyobrażała sobie, że zejdą na temat seksu w jakiś bardziej okrężny sposób. Ale może była po prostu naiwna i tyle.

Denny odgarnął włosy z jej twarzy i przytrzymał je za jej głowę. Jedno pasmo dostało się za pasek jego zegarka, co zabolalo, lecz była to tak intymna chwila, że Verity nie potrafiła mu zwrócić na to uwagi.

- Czy to...? - zaczął Denny, ale nie dokończył. Potrząsnął głową.

- Co? - chciała wiedzieć Verity. - O co ci chodzi? Możesz zapytać mnie o wszystko.

- Nie, nie, to nie moja sprawa.

- Nie, śmiało. Nie mam niczego do ukrycia.

- Naprawdę? No cóż, tak się po prostu zastanawiałem, czy to twój pierwszy raz. Nie, żebyś musiała mi to mówić. To nie moja sprawa, ale...

Verity wiedziała, że się czerwieni. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Co, jeśli powie „tak”, Denny zaś okaże się zbyt wielkim dżentelmenem, by ją uwolnić od dziewictwa? A co, jeśli skłamię i powie „nie”, a potem on będzie od niej oczekiwał, że będzie wiedzieć, co należy robić? Czuła się tak, jakby była uwięziona w pułapce. Niepewnie poruszyła głowę i próbowała uwolnić włosy, jednak nie była w stanie.

- Jeśli to twój pierwszy raz, może w takim razie powinniśmy...

- Pragnę tego - odezwała się Verity, bez mała rzucając się na kolana Denny'ego. - Wszystko w porządku. Nie jestem dziewicą - skłamała. - Pragnę być z tobą, Denny. Proszę.

Wyglądał na zaskoczonego jej determinacją. Popatrzył na jej twarz.

- No tak - rzekł z uśmiechem. - Skoro rzeczywiście tak nalegasz...

Verity wciągnęła powietrze, uświadomiwszy sobie, że on się z nią jedynie droczy.

- Będę delikatny - rzucił uspokajająco, po czym mrugnął do niej.

- Może pójdziesz do łóżka?

Verity skinęła bez słowa głową i wstała. Zastanawiała się czy to normalne. Czy jej zgoda na uprawianie seksu miała być właśnie tak rzeczowa i obojętna? Czy nie powinni byli ruszyć do sypialni, potykając się o ściany i całując w desperackiej gorączce?

Sypialnia Denny'ego okazała się mała. Było w niej miejsce jedynie na podwójne łóżko ze stolikiem nocnym i małą lampką, która stała obok. W ścianę przy drzwiach wbudowana była szafa z wielkim, przyciemnianym lustrem. Ignorując swoje odbicie, Verity zdjęła z

siebie ubranie i złożyła je starannie. Potem wstała, mając na sobie jedynie ładny, różowy, haftowany stanik i figi, które wybrała specjalnie na tę okazję, i nachyliła się, by wyłączyć światło. Gdy wślizgnęła się do łóżka Denny'ego i przykryła szarą kołdrą aż pod brodę, drżała na całym ciele.

Leżała bez ruchu, patrząc w ciemności na sufit. A jeśli Denny nie uzna jej za atrakcyjną? A jeśli będzie bolało? Jeśli nie będzie chciał stosować żadnej antykoncepcji? Jeśli nie była wystarczająco dobra?

Słyszała, jak Denny kręci się po salonie, a chwilę później przez ścianę zaczęła się sączyć cicha, nastrojowa muzyka. Podskoczyła, gdy Denny pojawił się w drzwiach, ale on chyba tego nie zauważył.

- Trochę ciemno, no nie? - I dotknął znajdującego się przy drzwiach włącznika. Verity skrzywiła się, gdy pokój zalało ostre światło z lampy na suficie. Powinna była zostawić włączoną lampkę koło łóżka. - Chcemy chyba widzieć, co robimy - dodał, pociągając z butelki łyk piwa.

Denny miał na sobie jedynie bokserki. Gdy zbliżył się do niej, Verity wstrzymała oddech, instynktownie chwytając za skraj kołdry. Miała piżmowy zapach.

- Wszystko w porządku? - zapytał, odstawiając butelkę na stolik.

Verity kiwnęła głową, zafascynowana ciałem Denny'ego. Widziała już wcześniej na plaży setki facetów jedynie w slipkach, ale nigdy nie patrzyła na nich, wiedząc, tak jak w tej chwili, że zaraz zostaną one zdjęte.

Wtedy Denny jednym nonszalanckim ruchem ściągnął Venity kołdrę. Dziewczyna krzyknęła, podciągając pod brodę kolana i kuląc się na boku. Denny zaśmiał się.

- Nie wstydź się. Chcę jedynie na ciebie popatrzeć - rzekł, kładąc dłoń na jej biodrze. Potem wydał z siebie powolny, pełen uznania gwizd i Verity zaczęła się odprężyć. Położyła się na plecach, zastanawiając się, co ma zrobić z rękami.

Dłonie Denny'ego wydawały się parzyć jej skórę, a jego oddech pachniał piwem. Odsunął na bok jedną z miseczek stanika, odsłaniając tym samym jej pierś. Verity zadrżała. Nie spodziewała się, że jego oględziny będą tak... kliniczne. Ale nigdy wcześniej nie przebywała nago w towarzystwie mężczyzny. Może coś takiego dzieje się zawsze.

- Doskonała - ocenił, a potem pochylił się nad nią. Verity zmarszczyła nos, gdy poczuła ostrą woń jego wody toaletowej. Denny

wysunął szufladę w stoliku nocnym i wyjął opakowanie prezerwatyw, po czym otworzył je i zajrzał do środka, by sprawdzić, czy coś w nim jeszcze pozostało. - Świetnie - rzekł, wytrząsając dwie na poduszkę obok Verity. Popatrzyła na nie, a potem z powrotem na Denny'ego, który rzucił puste pudełko na podłogę. Właśnie się zastanawiała, gdzie się podziała pozostała zawartość pudełka, kiedy Denny położył się na niej. Nie ma sensu myśleć teraz o innych dziewczynach, Verity udzieliła sobie w duchu reprimendy. Nie ma innych dziewczyn. Nie tutaj. Nie teraz.

Verity zamknęła oczy, spodziewając się, że Denny ją pocałuje, ale zamiast tego przekreślił ją tak, że to ona leżała teraz na nim.

Ze zdumieniem otworzyła oczy i popatrzyła na leżącego pod nią mężczyznę.

- Wow - rzekł Denny. Obrysował palcem kontury jej ust i Verity poczuła się nieco lepiej. Może i był znacznie bardziej od niej doświadczony, a ona może i nie nadążała za tempem jego seksualnych akrobacji, lecz przynajmniej był czuły. - Verity Driver, masz doskonale usta - wyszeptał łagodnie.

Uśmiechnęła się. Wygląda na to, że wszystko będzie dobrze...

- W takim razie sprawdźmy, co potrafisz nimi robić... Verity poczuła jego dłonie na swoich ramionach, popychające ją w dół.

Po wszystkim Verity leżała zupełnie nieruchomo obok Denny'ego, a jej głowa spoczywała na jego pokrytej meksykańską klatce piersiowej. Słuchała odgłosu bicia jego serca. Bicie stopniowo się uspokajało, aż zaczęło mu towarzyszyć ciche chrapanie.

Ale Verity nigdy w życiu nie czuła się tak bardzo rozbudzona. Przytłaczał ją nieznany zapach i świadomość przebywania w sypialni Denny'ego. W jej głowie bezwiednie pojawił się obraz Jimmy'ego, czytającego jej wiersz w altanie Appleforth House. W tamtej chwili pomyślała, że nauczy się na pamięć słów, które tak pięknie brzmiały, i powtórzy je Denny'emu w takim właśnie momencie, jednak teraz wiedziała, jak absurdalne były jej romantyczne mrzonki.

Teraz, kiedy w jej głowie widniał obraz Jimmy'ego, z jej oka potoczyła się łza i spłynęła po nosie w dół.

Powinna była powiedzieć Denny'emu prawdę. Powinna była powiedzieć mu, że to jej pierwszy raz i że nie jest gotowa na robienie tego wszystkiego, czego on od niej oczekiwał. Ale teraz było już na to za późno. Przez cały ten czas, kiedy pchnięcia Denny'ego wstrząsały

jej ciałem, wpatrywała się ponad jego ramieniem w papierowy abażur, zastanawiając się, jak to możliwe, że miało jej się to podobać. Skończyło się to bardzo szybko, a teraz Denny pewnie sobie myślał, że ona jest do niczego.

Verity żałowała w tej chwili, że odepchnęła od siebie Trezę. Żałowała, że szczerze nie porozmawiały i że nie podzieliła się swymi uczuciami z przyjaciółką. Uważała, że mieszanie w to Trezy w jakiś sposób wpłynęłoby osłabiająco na dzielone z Dennyem intymne chwile, jednak teraz uświadomiła sobie, że była po prostu próżna. Treza z chęcią udzieliłaby jej rad, i to właśnie do niej mogłaby się teraz udać, ale Verity subtelnie zmieniła panujące między nimi zasady. Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, doprowadziła do sytuacji, w której ona i jej przyjaciółka nie miały wzajemnie wstępu w świat swoich uczuć.

A teraz Verity czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej. Spodziewała się, że kiedy straci z Dennyem dziewictwo, będzie w nim jeszcze bardziej zakochana. Sądziła, że będzie odczuwać totalne emocjonalne złączenie, jednak teraz czuła się jedynie obolała i rozżalona.

Podniosła się i spróbowała się od niego odsunąć, ale Denny się obudził.

- Co się dzieje? - spytał.

- Chyba będę musiała uciekać - odparła, siadając na łóżku.

- Nie możesz zostać na noc? Verity potrząsnęła głową.

- Cholera. Nie pomyślałem. Za dużo wypilem, żeby cię odwieźć.

Będę musiał zadzwonić po taksówkę.

- Dobrze.

Verity zakryła się częścią kołdry. Nie przyszło jej wcześniej do głowy, by skłamać i zostać dzięki temu na noc. Patrzyła, jak Denny pociąga z butelki łyk piwa, po czym wstaje i podchodzi do szafy. Wyjął z niej pasiasty szlafrok i nie patrząc na Verity, wyszedł z sypialni.

Jak on mógł wejść, uprawiać seks, a potem ponownie wyjść, jakby się nic nie stało? Jak to możliwe, że uczynił coś, czym zmienił jej życie, a jednocześnie wydawało się, że w ogóle tego nie zauważył? Czy nie powinni przytulać się teraz nago? Tak przecież miało być, nieprawdaż? Verity potrząsnęła z niedowierzaniem głową w stronę

drzwi, przez które przed chwilą wyszedł Denny, po czym pospiesznie się ubrała.

W salonie poczuła się dziwnie niezręcznie, kiedy z powrotem była ubrana. Było tak, jakby w jakiś sposób przyjęła do wiadomości, że jej nagie ja nie było wystarczająco dobre. Gdy słuchała, jak Denny zamawia dla niej przez telefon taksówkę, poczuła się tania. To właśnie robią prostytutki, pomyślała.

Denny usiadł na sofie i włączył telewizor, klepiąc miejsce obok siebie, by ona też usiadła. Verity nerwowo przycupnęła na czarnej, skórzanej poduszce, słuchając, jak Denny śmieje się z jakiegoś programu komediowego. Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Uczynił to bez mała nieświadomie, jakby chodzili ze sobą od zawsze. Albo, co gorsza, jakby byli jedynie starymi przyjaciółmi.

Verity skoncentrowała się na dotyku dłoni Denny'ego i choć wiedziała, że on nie skupia się na tym samym co ona, dotyk ten przyniósł jej pewną pociechę. Pragnęła, by porozmawiał z nią i powiedział, co czuje, jednak wiedziała, że ona nie może się odezwać. Dlaczego Denny miałby cokolwiek czuć? Może wszystkie te banalne stwierdzenia na temat tego, że mężczyźni nie mają ochoty na przytulanie po seksie, były jednak prawdziwe.

Verity patrzyła na ekran, prawie nie dostrzegając, z czego śmieje się Denny, i żałując, że wszystko nie potoczyło się inaczej. Wydawało się, że zaledwie chwilę później rozległ się dzwonek domofonu.

- Zadzwoń do ciebie - rzekł Denny, całując ją przy drzwiach w nos.

Verity poczuła, że drży jej broda, i z całej siły starała się to powstrzymać.

- Hej, hej, hej - odezwał się Denny. - O co chodzi?

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał - wydusiła z siebie. - Tak bardzo będę za tobą tęsknić.

- Wrócę.

- Obiecujesz? - błagała Verity, chwytając się go.

- Oczywiście.

Rozległ się klakson stojącej na ulicy taksówki. W głowie Verity kotłowały się pytania, ale nie potrafiła zdobyć się na to, by wypowiedzieć na głos choćby jedno z nich. Nie uzyskała więc tak bardzo jej potrzebnych zapewnień i obietnic.

- Do zobaczenia - rzucił Denny. - A teraz pędź. Nie będzie czekał w nieskończoność.

Verity zbiegła po schodach i wyszła przed budynek, zanurzając się w ciemną noc.

Kiedy uniosła głowę i popatrzyła w okno Denny'ego, dostrzegła, że śmieje się, rozmawiając jednocześnie przez telefon. Popatrzył na taksówkę, po czym na widok Verity podniósł w górę puszkę z piwem, a następnie zasunął zasłony i zniknął jej z oczu.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jej jasne włosy przesłaniały mu oczy niczym zasłona. Ciężko oddychał, przyciskając usta do gładkiej skóry jej karku. Oboje leżeli na boku, złączeni ze sobą niczym dwie łyżeczki. Przysunęła się bliżej do niego, zmuszając go tym samym, by jeszcze głębiej się w niej zanurzył. Każdy brany przez nią oddech przekształcał się w jęk. Ich stopy zaplątane były w zmięte prześcieradło. Jego nos wypełnił zapach rumiankowej odżywki do włosów, gdy objęła ciasniej swoją dłonią jego rękę, przyciskając ją mocniej do swej piersi.

Po chwili przekreśliła się i tym razem ułożyła płasko na plecach. Wyciągnęła ręce i wciągnęła go na siebie, ponownie wskazując mu drogę do swego wnętrza. Trzymała się teraz dłońmi jego ramion, poruszając nimi delikatnie do przodu i do tyłu, aż udało mu się osiągnąć pożądany przez nią rytm. Ponownie zaczęła wydawać z siebie jęki. Zamknęła oczy i przesuwiała palcami po jego plecach. Poczuli, że jej uda naprężają się, zaciskając wokół jego bioder. Wbiła paznokcie w jego plecy. Jej jęki stały się głośniejsze i nieregularne. Po chwili krzyknęła, z drzeniem dociskając do niego swoją miednicę. Cokolwiek w tej chwili czuła, efektem był jeden długi jęk. Wciąż się w niej poruszał, gdy jej drzenie zaczęło ustępować, a na twarzy rozlał się szeroki, pełen zadowolenia uśmiech. I wreszcie, kiedy otworzyła oczy i ich spojrzenia skrzyżowały się, on wciągnął gwałtownie powietrze i także osiągnął spełnienie.

W chwili, gdy to się skończyło, poczuł się tak, jakby przytrafiło się to dwojgu innym ludziom, innemu mężczyźnie i innej kobiecie - w zasadzie każdemu, ale nie im.

Nie będąc w stanie wytrzymać jej spojrzenia, odwrócił wzrok, po czym oderwał się od niej i przekreślił na plecach. Oboje wpatrywali się w sufit. Jej stykająca się z jego ciałem skóra parzyła go: jej udo dotykające jego uda, jej biodro tuż przy jego biodrze i jej ramię obok jego ramienia.

Wciąż jednak krążyła w nim nieograniczona energia. Miał ochotę skakać, tańczyć po pokoju, stanąć na głowie, przemknąć przez cały dom... W każdej komórce swego ciała odczuwał mrowienie. Było to prawie nie do zniesienia, to nagle znieruchomienie po eksplozji fizyczności, której właśnie doświadczył. Nie uczynił jednak żadnego ruchu. Ponieważ wiedział, że nie potrafi zmierzyć się z tym, co obcy

ludzie robią każdego dnia. Nie potrafił się przemóc, by spojrzeć na nią ani nawet się odezwać.

Ned Spencer był w stanie szoku. Jak coś takiego mogło się w ogóle zdarzyć? Co on tu robił w łóżku, nagi i spocony? I co robiła Ellen Morris, leżąc nago tuż przy nim?

Wszystko to było tak intensywne, uwolnienie endorfin tak katastrofalne, że teraz wydawało się, że cierpi na pewien typ ograniczonej amnezji. Czuł, jakby ten cały ciąg wydarzeń przytrafił się jedynie w jego wyobraźni, a nie w realnym świecie. Zastanawiał się nawet, czy gdyby wyciągnął rękę w kierunku, gdzie, jak sądził, leży Ellen, jedynym, co by tam znalazł, okazałaby się pomięta kołdra.

Jednak powoli, pewnie, gdy jego oddech stawał się coraz płytszy, wszystko zaczynało się wpasowywać we właściwe miejsce.

W jego głowie migwały obrazy tego, jak to się wszystko w ogóle zaczęło, w kuchni na dole: ich dwoje pochylających się nad blatem, na którym on rozłożył oprawioną w skórę broszurę z różnorodnymi wzorami wykorzystywanymi w Appleforth House; potem ich dwoje wyciągających jednocześnie rękę, by przewrócić stronę, i zgodnie zastygających, gdy ich dłonie się zetknęły; oni odwracający się do siebie twarzą, ich usta prawie się stykające, tak jak wtedy w domu na High Street albo później w jej domku; następnie on zaglądnący w jej oczy i natychmiast dostrzegający w nich propozycję i zgodę; nagle napięte ramiona, którymi obejmują się, pragnący tego; jej usta ciasno przylegające do jego warg; jej język penetrujący wnętrze jego ust; niewytłumaczalna kombinacja przyjemności i bólu, gdy przygryzła jego dolną wargę i przytwierdziła go do kuchenki; natarczywe brzęczenie krzemiennej zapalniczki, gdy przycisk do jej zapalania wbijał się coraz mocniej i mocniej w jego plecy; on szarpiący się z guzikami przy jej koszuli, po czym poddający się i wsuwający dłoń pod bawełniany materiał, badający kontury jej piersi; ona walcząca z jego paskiem, podczas gdy on odpinał jej stanik; jej sutki twardniejące pod jego palcami; następnie jej palce, zimne, zaciskające się na jego penisie; on i Ellen odrywający się wreszcie od kuchenki i czyniący trzy niezgrabne kroki w stronę kuchennego stołu; ona leżąca na nim na plecach, jej nogi zwisające po bokach; on ściągający jej buty i spodnie, rzucający je na podłogę, po czym klękający na nich i odsuwający na bok jej figi; następnie nachylający się i wdychający ją, odurzony jej zapachem i smakiem...

I wszystko to - oraz to, co wydarzyło się później - bez wypowiedzenia przez nich choćby jednego słowa.

Co on sobie, do diabła, myślał? To właśnie chciał teraz wiedzieć.

A czy on wtedy w ogóle cokolwiek myślał? Czy też po prostu zamiast tego działał?

Było oczywiście wiele na to dowodów. Jego penis drgał, nie mogąc się doczekać kolejnej akcji pomimo przebytego dopiero co maratonu. Ponieważ w tej kobiecie było coś, co sprawiało, że czuł się jak nabuzowany hormonami nastolatek - nie wspominając już o tym, że dokładnie tak się zachował... Ponieważ, na Boga, to właśnie zrobił, nieprawdaż? Pozwolił, by władzę nad nim przejął testosteron, wysłał rozum na wakacje i pozwolił, by na chwilę to właśnie penis stał się panem sytuacji.

Zapomniał się. Ona w jakiś sposób sprawiła, że się zapomniał. Zapomniał, że już czegoś takiego nie robi. Zapomniał, że jest osobą dorosłą, która żyje w świecie obowiązków i wyważonych decyzji. Zapomniał, że jest ojcem - Chryste, nagle uświadomił sobie, że Clara mogła się przecież obudzić i zejść na dół do kuchni, podczas gdy on i Ellen...

Ned cicho jęknął. Znajdujące się nad jego głową okno mansardowe wypełniał prostokąt rozgwieźdzonego nieba, który wyglądał jak zatrzymany na chwilę obraz w telewizorze, tak jakby można było wcisnąć przycisk pilota i ponownie wprawić obraz w ruch. Ale z życiem nie było tak samo. Nie można go było po prostu zatrzymać lub uruchomić, kiedy się miało na to ochotę, tak samo jak niemożliwe było jego przewinięcie i skasowanie czegoś, co się zdarzyło.

Ostatnim razem, kiedy w szale podniecenia dał z kimś nura do łóżka, był jeszcze studentem historii architektury na uniwersytecie De Montfort. To była katastrofa, przypomniał sobie teraz, z której się bardzo szybko i bez problemu wyplątał.

Ale to, co przeżył dzisiaj, nie stanowiło przecież katastrofy, prawda? Wprost przeciwnie. Ponieważ coś takiego nie przytrafiło się nawet w przypadku Mary; znał ją od kilku miesięcy, zanim do czegoś między nimi doszło, a i wówczas musiało minąć kilka kolejnych miesięcy, by ich seks stał się tak dobry jak ten dzisiejszy. Podczas gdy z Ellen spotkał się - ile? - siedem razy, może osiem? I jak długo ją znał? Trzy tygodnie?

Czy powinni o tym porozmawiać? Nie miał pojęcia. Czy to właśnie robi się po seksie? Nie pamiętał. Ponieważ prawda była taka, że nie uprawiał z nikim seksu od czasów sprzed narodzin Clary. A i wtedy czynił to z Mary. Zanim zaś ona zachorowała, seks był czymś, co uprawiali w zasadzie przez cały czas, więc nie czuli potrzeby mówienia o nim, lecz zabierali się za to, kiedy tylko mieli ochotę.

Ned zerknął na Ellen w poszukiwaniu jakiejś podpowiedzi. Nie wyglądała tak, jakby w tej właśnie chwili miała ochotę rozmawiać o czymkolwiek. Miała zamknięte oczy, a jej twarz była bez wyrazu, mimo to piękna.

Ned z powrotem popatrzył na nocne niebo i pomyślał, że nawet gdyby istotnie podjął próbę rozmowy o tym - tym czymś, co zrobili - i nawet gdyby ona istotnie przyznała mu rację, co mogliby wtedy powiedzieć? Ponieważ oczywiście nie było sensu zastanawiać się nad tym, czy to był dobry pomysł, ponieważ to i tak już się stało. Czy więc jedynie podziękowaliby sobie? Pochwalili wzajemnie swoje umiejętności? Może nawet przedstawili sugestie na temat udoskonalenia techniki i tym samym osiągnięcia w przyszłości większej przyjemności?

- Nic nie mówisz - odezwała się Ellen.

- Ty też nie jesteś zbyt rozmowna.

- Czy myślisz o tym samym, co ja? Ned nie chciał wiedzieć, o czym ona myśli.

- Ja myślę o wypiciu szklanki wody - odparł. - Chcesz też?

- OK.

- OK.

Przekreślił się na materacu i usiadł na skraju łóżka. Słyszał za sobą równy oddech i miał nadzieję, że Ellen właśnie zasypia. Ze stojącej obok łóżka komody wyciągnął pierwsze z brzegu spodnie, włożył je i wyszedł z pokoju. Skierował się do łazienki.

Ned zamknął za sobą drzwi. Gdy już uzyskał odrobinę prywatności, ogarnęła go ulga. Otworzył szafkę i sięgnął na najwyższą półkę, tę, do której Clara nie była w stanie się dostać - nawet jeśli stanęłaby na palcach na umywalce, na czym ją kiedyś przyłapał. Zdjął z niej starą puszkę na tytoń - swój schowek na trawkę, jak ją zawsze nazywał - i przygotował sobie skręta. Następnie otworzył okno i wyjrzał przez nie, po czym zapalił.

Był taki okres w jego życiu, kiedy uczyniłby to w sypialni, kiedy uczyniłby to w łóżku - był to okres przed narodzinami Clary, kiedy on i Mary często wypalali sobie przed snem kojącego skręta. Nie miał jednak ochoty robić tego w obecności Ellen. Potrzebował teraz zapomnienia i izolacji, nie rozmowy ani poczucia bliskości. Pragnął jedynie móc wrócić z powrotem do łóżka, zamknąć oczy i zniknąć w ciemności.

Nie było tak, że był niezdolny do odczuwania czegokolwiek.

W tej chwili odczuwał tak wiele. Czuł, jak resztki seksualnego spełnienia wciąż tańczą w jego żyłach niczym łagodne impulsy elektryczne. Wciąż czuł ciało Ellen przyciskające się mocno do jego ciała. Poczul skumulowany smutek tych wszystkich lat spędzonych bez kontaktu fizycznego. Czuł - i powstrzymywał - chęć podążenia za instynktami: by wrócić do sypialni, położyć się obok Ellen i tulić ją w ramionach aż do świtu, tak jak od lat każdej nocy przytulał kołdrę, żalując, że nie jest to ktoś, kogo kocha. Jednak ponad tym wszystkim czuł to, o czym wiedział, że jest prawdą: że nie powinien czuć; że jeśli chodzi o związki, on był przypadkiem już wypalonym.

W porządku, lubił Ellen. Była silna, inteligentna, stawiająca wyzwania i piękna i może w równoległym świecie - świecie, w którym Ned nigdy nie spotkał Mary - tych dwoje otrzymałoby od losu swoją szansę. Ale nie w tym świecie. W tym świecie Ned spotkał Mary. W tym świecie Mary się zabiła.

I w tym świecie Neda przerażało to, co miłość zrobiła z jego życiem. Dlatego też w tym świecie on i Ellen nie mieli wspólnej przyszłości. Ona wróci do swego chłopaka w Londynie, a on wróci do Cheltenham. I wkrótce wszystko będzie tak, jakby się nic nie wydarzyło.

Z okna łazienki Ned miał widok na ogród, który oświetlały kuchenne lampy. Był on rozmiarów dwóch połączonych ze sobą tenisowych kortów i otaczał go obrosnięty mchem kamienny mur, który wymagał remontu i przewróci się, jak przewidywał Ned, jeśli nie tej zimy, to z pewnością następnej. Na samym końcu ogrodu, tuż obok poskręcanej starej gruszy, znajdowała się rozpadająca się szklarnia z drewnianym szkieletem, a hen za nią niczym mrugające w nocy latarki migotały okna innych domów.

Gdzieś między tymi ulicami, domami i nocnymi programami telewizyjnymi skrywali się Scott i Debs. Dlatego właśnie Ellen

zadzwoiła do niego wieczorem. Ponieważ zgubiła swoje klucze od domku i chciała złapać Scotta i Debs, zanim jeszcze udadzą się na swoją randkę. I dlatego właśnie Ned dawał jej teraz czas na zapadnięcie w sen, gdyż wiedział, że nie może jej prosić o to, by poszła do domu, i że nie poradzi sobie z rozmową o tym, czy będzie w porządku, jeśli ona zostanie na noc, i o tym, co to dla nich dwojga oznacza lub też nie.

To, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, było cudowne. Ned zdawał sobie z tego sprawę. Jednakże wiedział też, że jutro wyda się to nie bardziej rzeczywiste niż przyjemny sen. Ponieważ jedynie ludzie, którzy jeszcze nie odkryli powodu, dla którego nie warto się zakochiwać, byliby w stanie kontynuować namiętne chwile, jakie niedawno przeżył z Ellen. Jedynie ludzie tacy jak Debs i Scott, i ci wszyscy, którzy jeszcze wierzyli we wszechmoc miłości.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ellen wciąż była w stanie euforycznego szoku, gdy w niedzielę rano wróciła do domku.

- Gdzie się podziewałaś przez całą noc? - zapytał z ziewnięciem Scott, kiedy otworzył jej drzwi.

Ellen nie odpowiedziała. Nie potrafiła nawet na niego spojrzeć. To musi być tak oczywiste, pomyślała, wchodząc do środka. Czują, jakby nad głową miała neonowy, migający znak oznajmiający, co się wydarzyło.

- Och, ja... eee... zostawiłam klucze. Nie mogłam wejść do środka. - Ellen z roztargnieniem rzuciła płaszcz na krzesło i odwróciła się do Scotta plecami, by uniknąć dalszego wyjaśniania. - Chyba pójdę wziąć kąpiel.

W łazience Ellen odkręciła kurek z gorącą wodą i przyglądała się, jak woda wdziera się do ciemnoniebieskiej, plastikowej wanny. Nie rozbierając się, oparła się plecami o drzwi i powoli wciągnęła do płuc gęstniejącą parę.

No więc przespała się z Nedom. Ale to, jak się czuła, nie wiązało się jedynie z seksem. Chodziło o coś więcej. Znacznie więcej. Jej niewierność sięgnęła o wiele dalej. Była totalna. Była to niewierność serca. Powoli zaczęła zsuwać się, aż usiadła na podłodze. Podciągnęła kolana pod brodę. Wokół niej tańczyły obłoki pary. To, co zrobili, odbyło się bez słów, było namiętne i bardziej dzikie niż w jej najskrytszych marzeniach. Do zeszłej nocy nie miała pojęcia, że jest w ogóle możliwe, by czuć coś takiego. Sądziła, że wie już wszystko o seksie, ale teraz uświadomiła sobie, że do tej pory nie miała o nim pojęcia.

Ned też to czuł. Musiał. Przecież niemożliwe jest połączyć się z kimś tak głęboko i nie czuć się równie oszołomionym i wstrząśniętym, prawda?

W nocy Ellen przebudziła się w jego łóżku i przez kilka godzin przyglądała mu się, jak śpi. Nawet wtedy coś ją przyciągało do tego zranionego, inteligentnego, przystojnego mężczyzny. Ellen chłonęła go całą sobą, karmiła nim oczy, wpatrywała się w niego z taką intensywnością, jakby w ten sposób mogła przeniknąć do jego snów.

Jednak nie obudziła go. Nie chciała, by czar prysł, ponieważ tej nocy zdała sobie sprawę z tego, że wszystko jest możliwe. W tym oświetlonym gwiazdami łóżku Ellen śmiała uwierzyć w magiczną

przyszłość, gdzie przez cały czas mogłaby być taką osobą, jaką była teraz z Nedom.

Ellen wstała, gdy woda dotarła do krawędzi wanny. Przez dłuższą chwilę przyglądała się, jak powierzchnia wody się uspokaja, a kapanie z kranu ustaje.

Nie potrafiła zmyć z siebie Neda. Jeszcze nie teraz. Potrzebowała go na swoim ciele. Nie mogła pozwolić, by cała jego esencja rozpuściła się w wodzie.

Ellen popatrzyła na swoje odbicie w wodzie. Pomyślała o żonie Neda, Mary, i o tym, w jaki sposób umarła. Patrząc w wodę, pomyślała o rozpacz, która musiała przepęlniać serce tej kobiety, i o nadziei, która teraz przepęlniała jej własne. Przeszłość Neda była tak bardzo pogmatwana. Czy Ellen naprawdę była w stanie uprościć jego przyszłość?

Jakiś czas później Ellen szła sobie powoli wzdłuż Północnej Plaży, blisko wody, a ślady jej stóp na piasku po chwili rozmywały fale. Obejmując się ramionami i wpatrując w wejście do portu, wzięła głęboki oddech, myśląc o tym, jak mocno zdążyła pokochać to miejsce.

Zatrzymała się i przyglądała kołyszącemu się na falach ciężarkowi szalupy ratunkowej. Wczoraj czuła ogromną dezorientację, jednak teraz, w świetle dnia, była spokojna. Obserwowała, jak rozpryskuje się woda, gdy o łódź uderzyła fala. Ona także była uratowana. Została uratowana przez Neda.

Kiedy wczoraj rano obudziła się w swoim londyńskim mieszkaniu, nadal przytulając się do swetra Neda, porzuciła wcześniejsze plany spędzenia dnia w montażowni w Soho, a zamiast tego z powrotem wrzuciła swoje rzeczy do torby i złapała pociąg do Shoresby.

Nie miała nawet pojęcia, co zamierza zrobić. Wiedziała jedynie, że działa pod wpływem impulsu, tak jakby ogarnęła ją moc silniejsza od jej własnej woli, i to właśnie ona kierowała jej krokami. A potem, kiedy udała się do domu Neda, wiedziała, dlaczego się tam znalazła. Powiedziała Nedowi, że zgubiła klucze, choć przez cały ten czas leżały spokojnie w jej kieszeni. Znalazła się tam, ponieważ tak właśnie miało się stać.



Telefon Ellen wydał z siebie sygnał nadejścia wiadomości, który przywołał ją z powrotem do teraźniejszości. Nic się nie liczy, powiedziała do siebie, gdy wyjęła aparat z kieszeni.

Jednak nie mogła mylić się bardziej.

Ellen odsunęła się od tłumu ludzi, czekających w hałaśliwej hali przylotów na lotnisku Heathrow. Ludzie stali wzdłuż całego szerokiego przejścia. Wokół barierek tłoczyły się rodziny, płaczące maluchy i podekscytowane dzieciaki, starsi ludzie, nastolatki. Znudzeni taksówkarze trzymali w dłoniach tekturowe kartki z nazwiskami. O miejsce walczyli zniecierpliwieni turyści i obsługa lotniska - wszyscy wpatrzeni w elektrycznie otwierane podwójne drzwi na samym końcu przejścia, kiedy przez megafon zostały podane informacje.

Od otrzymania wiadomości od Jasona, w której prosił ją o odebranie go z lotniska, Ellen z całej siły starała się powstrzymać atak paniki. Wiedziała, że Jason miał w planach powrót za kilka tygodni, i ten jego wcześniejszy przylot kompletnie ją rozstroił. Odkąd wczoraj wieczorem znalazła się przed drzwiami domu Neda, Ellen w głębi duszy doskonale wiedziała, że nie uchronnie przyjdzie czas, kiedy będzie musiała się przyznać Jasonowi do swoich uczuć do Neda. Jednak wydawało się to takie odległe w czasie. Nie w tej chwili. W najmniejszym nawet stopniu nie była przygotowana na to już teraz. Co gorsza, nie była w stanie złapać Neda, by mu powiedzieć, że wraca do Londynu, by spotkać się z Jasonem, a jego brak odpowiedzi na jej SMS - a wywołał u niej atak paniki, w którym to stanie znajdowała się aż do teraz.

Wróciła myślami do ranka, kiedy się obudziła w łóżku razem z Nedom. Przytulali się do siebie tak mocno, że przez chwilę Ellen nie wiedziała, gdzie się w ogóle znajduje. Ale w tym ułamku sekundy, zanim ona się poruszyła, a Ned obudził, czuła się bardziej szczęśliwa i bezpieczna niż kiedykolwiek wcześniej.

Oczywiście, że sytuacja była niezręczna. Ned tak bardzo się denerwował tym, że może ich znaleźć Clara, iż Ellen nie czuła się na siłach, by rozpocząć rozmowę na temat tego, co się między nimi wydarzyło. Miała przeczucie, że trochę potrwa, nim przejdą do porządku dziennego nad tym, że przekroczyli pewną granicę.

Desperacko pragnęła coś powiedzieć, by nadać znaczenie ich pełnej namiętności nocy, ale wiedziała, jak bardzo Ned jest wrażliwy i

że gdyby zaczęła naciskać na uzyskanie z jego strony jakiegoś zobowiązania, on by najpewniej uciekł. A poza tym to, czego wspólnie doświadczyli, było wspanialsze niż słowa, nieprawdaż?

Żołądek Ellen skurczył się z nerwów, gdy w przejściu zaczęli się pojawiać znużeni podróżni, pchający wyładowane bagażem wózki. Nie zaplanowała sobie, co powie Jasonowi. Miała nadzieję, że w jakiś sposób we właściwym czasie w jej głowie pojawią się odpowiednie słowa.

I wtedy go zobaczyła. Opuściła ją nadzieja, a pozostało jedynie przerażenie. Nie istniały słowa, którymi mogłaby mu powiedzieć, co zrobiła. Nie było szans, by potrafiła ubrać w słowa to, co się wydarzyło. Instykt nakazywał jej natychmiastową ucieczkę. Ale było już za późno.

Gdy Jason dojrzał Ellen, zamachał do niej, a kiedy ruszył w jej kierunku, jego odznaczające się w opalonej twarzy oczy zalśniły. Jednak ona stała jak wrośnięta w ziemię i tylko przyglądała mu się. Czuła mdłości. Oto Jason. Jej opoka. Jej życie. Mężczyzna, który był jej przyszłością, odkąd tylko sięgała pamięcią. Gdy przyglądała się, jak idzie pospiesznie w jej kierunku, rozpadła się cała jej wcześniejsza determinacja. Był taki realny, rozsądny i szczęśliwy. I należał do niej. Nie było żadnego emocjonalnego bagażu, żadnych dzieci, żadnych mrocznych sekretów. Jedynie obietnica, że zawsze będzie ją kochał.

W tej właśnie chwili Ellen uświadomiła sobie straszną prawdę. Nie mogła powiedzieć Jasonowi o Nedzie. Będzie musiała zachować to w tajemnicy. Poczowała, jak pełza po niej poczucie winy, namacalne niczym wąż, grożący jej uduszeniem.

- Tu jesteś - odezwał się Jason, rzucając plecak i podbiegając do niej, by zamknąć ją w ciasnym uścisku.

Zmysły Ellen przesiąknięte były Nedom, jednak teraz zostały zaatakowane wszystkimi, tak bardzo jej znajomymi cechami Jasona. Jego zapachem, jego wysoką, szczupłą sylwetką, sposobem, w jaki otoczył ją ramionami, jakby była ostatnim brakującym elementem jego układanki.

Ogarnęła ją panika i czuła, że trzęsą jej się kolana, gdy Jason przytulił ją jeszcze mocniej, a następnie puścił.

- Wcześniej wróciłeś - odezwała się, a jej głos zabrzmiał chrypliwie. Nie potrafiła spojrzeć mu prosto w oczy. Zamiast tego patrzyła na wiszący na jego szyi wisior. Nachyliła się, by go dotknąć,

poczuć ten maleńki kawałek kości słoniowej, tak jakby należał do niej. Serce ją bolało ze strachu i smutku.

Jason uśmiechnął się.

- Tak się o ciebie martwiłem po twoim ostatnim telefonie, że postanowiłem skrócić wyprawę.

- Martwiłeś się? - powtórzyła, przypominając sobie ich rozmowę. To było zaledwie przed tygodniem, ale wydawało się, jakby od tamtej pory upłynęły całe lata. Jak gdyby osoba, która zadzwoniła do Jasona w tak wielkiej desperacji, była zupełnie kimś innym.

- Wydawałaś się taka przygnębiona - kontynuował. - Czułem się naprawdę paskudnie. Wciąż myślałem o tym, co powiedziałaś. Że powinniśmy być razem.

- Naprawdę?

Ellen poczuła ściskanie w gardle, jednak wyglądało na to, że Jason niczego nie zauważył.

- Chryste - odparł, próbując stłumić kolejny uśmiech. - Sądziłem, że zaczekam. Ale, do diabła, po co czekać! - Zaśmiał się, po czym sięgnął do jednej z wielu kieszeni swojej kamizelki i otworzył ją.

- Jase - odezwała się Ellen błagalnie. - Jest coś, co ci muszę powiedzieć...

Ale on nie słuchał.

- Zaczekaj, zaczekaj - rzucił z podekscytowaniem. - Proszę. - Podał jej mały czarny woreczek.

- Co to jest? - zapytała.

- Otwórz to, otwórz - poganiał ją Jason.

Ellen rozluźniła sznureczek. W woreczku znajdowały się trzy niewielkie diamenty. Wysypała je na dłoń i przyglądała się, jak te cenne kamienie połyskują na tle jej skóry. To się nie może dziać naprawdę, pomyślała. To się nie może teraz dziać.

- Pomyślałem sobie, że wspólnie możemy zaprojektować pierścionek - rzekł Jason, chwytając jej dłoń tak, że zamknęła się wokół kamieni w pięść. - Co ty na to? - Wyglądał jak podekscytowane dziecko, kiedy uśmiechał się do niej szeroko i z pełnym szczęścia wyczekiwaniem uniósł brwi.

- Co? - udało się wyjąkać Ellen, do której jego słowa w zasadzie nie docierały.

- Miałem trochę czasu, by wszystko przemyśleć - odrzekł Jason, wyrzucając z siebie słowo za słowem. - I masz rację. Tak byłem

pochłonięty pracą, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jesteś nieszczęśliwa, dopóki nie zapytałaś mnie, czy pragnę z tobą przyszłości. Wtedy dotarło do mnie, że bez ciebie byłbym zgubiony. Och, Ellen, maleńka. Dlatego właśnie wróciłem wcześniej. Pragnąłem ci powiedzieć... od razu ci powiedzieć, że pragnę jej. Z tobą. Wszystkiego. Zawsze tak było, ale chcę, by ta przyszłość zaczęła się już teraz.

Ellen nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze, dopóki nie zaczęły ją wstrząsać gwałtowne łkania.

Jason przyciągnął ją do siebie i pogładził dłonią jej policzek.

- Och, Ellen, moja kochana - rzekł czule, gładząc ją po włosach. - Już wszystko dobrze. Jestem przy tobie. Jestem tutaj.

Ellen przypomniała sobie wtedy słowa, które Ned wypowiedział przy blasku księżyca. Chcesz wiedzieć, co w życiu jest najgorsze? Zgranie w czasie. Czasami zgranie w czasie jest do dupy.

Kiedy Ellen w poniedziałek dojechała do Appleforth House i zaparkowała obok stojących tam samochodów, była już prawie pora lunchu. Teraz, kiedy budynek został w zasadzie wykończony, wiedziała, że w ciągu tygodnia będą dostarczone wszystkie meble, i wydawało się, że wszędzie wokół kręcą się ludzie.

Ellen opuściła osłonę przeciwsłoneczną i po raz trzeci sprawdziła w lustrze swoją twarz, po czym przeczesła palcami włosy. Przypomniała sobie, że to samo zrobiła pierwszego dnia, kiedy przyjechała rozejrzeć się wokół Appleforth House i spotkała Neda w biurze. Czy to naprawdę zdarzyło się zaledwie przed trzema tygodniami?

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej małą kosmetyczkę i sięgnęła do jej środka po tubkę korektora Touche Eclat. Spoglądając ponownie na ciemne plamy pod oczami, Ellen umiejętnie nałożyła odrobinę fluidu, po czym przypudrowała całą twarz. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin prawie nie spała i czuła, że z wyczerpania kręci jej się w głowie. Jednak nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek to zauważył. Zwłaszcza Ned.

Ellen wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku budynku. Wiedziała, że Ned jest najprawdopodobniej zajęty, ale musiała się z nim spotkać. Nie wyobrażała sobie ani minuty dłużej bez dowiedzenia się, co on czuje i na czym ona stoi.

Nie zamieniła z nim ani jednego słowa, odkąd wczoraj rano wyszła z jego domu. Od tamtej pory znajdowała się na największej emocjonalnej karuzeli w swoim życiu. Tylko Ned będzie w stanie sprawić, że ponownie odzyska równowagę.

Kiedy okrążyła jedno ze skrzydeł budynku, ujrzała Neda i podskoczyło jej serce. Stał właśnie przy dużej ciężarówce, a kilkoro robotników schodziło tyłem po dostawionym podjeździe, dźwigając coś, co wyglądem przypominało stół bilardowy. Ned miał na sobie stare dżinsy, kalosze, spraną czerwoną bluzę, a na głowie żółty kask budowlany. Ellen obserwowała jego profil. Widziała, jak się uśmiechnął i powiedział coś do znajdujących się wewnątrz ciężarówki mężczyzn, dowodząc przenoszeniem tego ciężkiego mebla. Poczula, że aż drży z ulgi.

Ellen stała, uśmiechała się do Neda i trzymała rękę w górze w powitalnym geście. Tak była pochłonięta tym mężczyzną, że bez mała spodziewała się, iż zauważy jej obecność telepatycznie i spojrzy na nią. Jak mógł wyglądać tak normalnie, tak niewzruszenie?

Ruszyła w jego kierunku, jednak on nadal jej nie dostrzegł. Nie mógł jej widzieć, w przeciwnym wypadku uśmiechnąłby się albo odmachnął, nieprawdaż? Ellen podeszła jeszcze bliżej i zatrzymała się dopiero wtedy, gdy znalazła się tuż za nim.

- Cześć - odezwała się, klepiąc go w ramię.

Ned trzymał w dłoni pokwitowanie odbioru. Zerknął przez ramię na Ellen.

- Och, cześć - rzekł, jakby nadal byli jedynie kolegami i widzieli się zaledwie przed kilkoma minutami.

Ellen odkaszlnęła. Jej spojrzenie podążyło za wzrokiem Neda, który przyglądał się, jak robotnicy niosą między sobą duży stół w kierunku domu. Ned kontynuował obserwację ich, nie zwracając uwagi na Ellen.

- Ned? - zapytała z konsternacją.

- Tak? Mów. Ja słucham - odparł, jednak się nie odwrócił.

- Eee, no cóż...? Dlaczego on na nią nie patrzył?

- No cóż... nie sądzisz, że powinniśmy, no wiesz... eee... porozmawiać...? - zaczęła, jednak Ned rzucił się naprzód, by usunąć z ziemi deskę, nim potknie się o nią jeden z robotników.

Ellen zamilkła i patrzyła na niego. Dlaczego ona chciała go teraz zmuszać do rozmowy? To nie było odpowiednie miejsce ani pora. Był zajęty. Co ona tutaj robiła?

- Przepraszam - rzekł Ned i posłał jej szybki uśmiech, jednak nadal na nią nie patrzył. - Mówiłaś, że...?

Ellen poczuła rozdrażnienie. Dlaczego on ją traktuje tak... tak normalnie? W tym, co się między nimi wydarzyło, nie było niczego normalnego. Zaczekała, aż robotnicy oddalą się na tyle, by nie słyszeli jej słów.

- No cóż, ja... ja nie chciałam, byś nabrał błędnego przekonania - spróbowała ponownie.

Gdy tylko to powiedziała, wiedziała, jak kiepsko zabrzmiały jej słowa. Brzmiało to tak, jakby przybrała postawę obronną bądź lekceważącą. Ale jeśli nie chciała, by nabrał błędnego przekonania, jakie przekonanie było w takim razie właściwe? Co miała przez to na myśli? Czy powinna mu powiedzieć o tym, co się wydarzyło od ich ostatniego spotkania? Czy miała dość odwagi, by przyznać mu się do swych prawdziwych uczuć?

- My... my... - spróbowała jeszcze raz, z desperacją podnosząc głos.

- Uprawialiśmy seks - uzupełnił zdecydowanie Ned, rzucając jej przez ramię przelotny uśmiech. - Proszę bardzo. Nie tak trudno to z siebie wydusić.

Ellen wpatrywała się w niego. Jak może być tak chłodny i rzeczowy?

- Jedynie seks? - udało jej się wyjąkać.

- Nie, tak właściwie to nie był jedynie seks - odparł i odwrócił się twarzą do niej. Jego głos miał przerażająco przyjazne brzmienie. - To był dobry seks. No cóż, sądzę, że nawet świetny. Mam nadzieję, że ty też tak uważasz? - Ned uśmiechnął się, jakby mówił o czymś oczywistym, jakby chciał poznać jej zdanie na temat zjedzonego wspólnie posiłku na wynos.

I wtedy Ellen uświadomiła sobie, że on mówi poważnie. To był seks. Nie dzika namiętność. Nie spotkanie dwóch bratnich dusz. To był jedynie seks. Bezosobowy i prosty. Seks.

Ellen poczuła, jak rumieniec zaczyna ogarniać najpierw jej duszę, a potem rozprzestrzenia się na całą skórę. Jednak to nie było jedynie zakłopotanie. To było także palące upokorzenie.

- Hej, zaczekajcie! - zawołał Ned do robotników, po czym ruszył pośpiesznie w ich kierunku.

Ellen patrzyła za nim w osłupieniu. Obserwowała, jak razem z mężczyznami wchodzi do budynku. Wówczas zdała sobie sprawę z tego, że on w ogóle nie zamierza wrócić, by dokończyć rozmowę. To by było na tyle. To było wszystko, co Ned miał jej do powiedzenia.

Ellen pobiegła do samochodu i kiedy tylko zatrzasnęła za sobą drzwi, wydała z siebie zduszony okrzyk, po czym zakryła dłonią usta. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Jak on mógł? Jak mógł jej zrobić coś takiego?

Oparła czoło o skórzaną kierownicę, zbyt zażenowana, by płakać. Byłoby lepiej, gdyby Ned nakrzyczał na nią albo zachowywał się oschle. Byłoby lepiej, gdyby ją uderzył.

Oczywiście, że dla niego to był jedynie seks!

Błada na twarzy przekreśliła kluczyk w stacyjce, nie będąc w stanie choćby spojrzeć na budynek. Położyła ramię na oparciu pustego fotela pasażera i wycofała auto. Musiała stąd natychmiast odjechać.

Jak mogła w ogóle pomyśleć, że wszystko potoczy się inaczej? Przespała się z mężczyzną, który nie wierzy w romantyzm ani miłość. To był mężczyzna, który uważał, że Caroline Walpole zasłużyła sobie na swoje przeznaczenie. Co on takiego powiedział? Uwierzyła w miłość i sparzyła się... miłość to stek bzdur. Ponieważ nigdy nic z tego nie wychodzi. Nie w prawdziwym życiu.

A teraz udowodnił jej to.

Znalazłszy się z powrotem na Quayside Row, Ellen zaparkowała land - rovera i minęła domek, aż doszła do półkola betonu na samym końcu portowego muru. Podskoczyła i usiadła na nim, po czym popatrzyła na morze i wsłuchała się w szum fal, rozbijających się o kamienie. Czuła się niczym zombie. Nie mogła uwierzyć w to, co jej się przytrafiło. Nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła. Poczula, że ogarnia ją przeraźliwy smutek, a myślami wróciła do wczorajszego dnia i hali przylotów, na nowo przeżywając udrękę swojej rozmowy z Jasonem.

- Jest już za późno - wyszeptała wtedy, ocierając rękawem łzy i łagodnie odsuwając od siebie Jasona. Wokół nich kłębił się tłum ludzi, przepychających się z bagażami i witających wzajemnie, ale Ellen widziała tylko ból i konsternację na twarzy Jasona.

- O co ci, u licha, chodzi? - zapytał, wpatrując się w nią. - Myślałem... Myślałem...

- Poznałam kogoś innego - wyrzuciła z siebie pospiesznie, a podczas wypowiedzania tych słów miała wrażenie, jakby jej serce utkwilo w gardle.

Jason wpatrywał się w nią tak długo, że wydawało się, iż trwa to całe wieki. Ellen patrzyła, jak zmieszanie na jego twarzy przekształca się w niedowierzanie, a ono z kolei w gniew. W jego oczach nie było już ani śladu wcześniejszej łagodności. Stwardniały i zwięzły się, a Ellen poczuła, jakby siła tego, co właśnie powiedziała, uderzyła ją rykoszetem. Gdy cofnął się kilka kroków, uświadomiła sobie powagę tego, co się stało.

- Żartujesz sobie, no nie? - zapytał groźnie Jason podniesionym głosem, a kilkoro pasażerów odwróciło głowy w ich kierunku. Odszedł kilka kolejnych kroków, przeczesał dłonią włosy i ponownie do niej wrócił.

Ellen wpatrywała się w podłogę, nie mogąc uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Zacisnęła mocno dłoń z diamentami, aby ból pomógł jej się skupić. Potrząsnęła głową.

- Nie, nie żartuję.

- Nie wierzę w to, kurwa! - wybuchnął Jason.

- Proszę - błagała Ellen. Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie i przeraził ją ogrom jego furii. - Proszę, pozwól mi wyjaśnić. Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać, dobrze?

Twarz Jasona wykrzywiła powstrzymywana wściekłość.

- Kto to jest?

- Nie znasz go.

- Mów.

- On... Nazywa się Ned Spencer. Poznałam go w Shoresby. Jason ponownie zrobił krok w tył, jakby stała się dla niego fizycznie odpychająca.

- Dlatego więc do mnie zadzwoniłaś? Ponieważ zżerało cię poczucie winy? - zapytał. - Tak właśnie było? Wdałaś się w brudny, gówniany, nadmorski romansik i...

- Jason, proszę - przerwała mu błagalnie, łapiąc go za ramię. - Naprawdę nie chciałam, by do czegokolwiek doszło. Z całej siły próbowałam z tym walczyć...



- Och, wielka mi rzecz - wypluł z siebie Jason.

- Jase, proszę...

- Nigdy cię nie zdradziłem. Nigdy. Ani razu! Jedynym moim przewinieniem jest to, że mam pracę, na której mi zależy. I nawet ją gotowy byłem dla ciebie poświęcić.

- Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. - - Ellen patrzyła, jak Jason zakrywa twarz dłońmi.

Kiedy podniósł głowę, oczy miał pełne łez.

- Kochasz tego faceta? - zapytał, a jego głos nie był głośniejszy od szeptu.

- Chyba tak. - Ona także płakała.

- Chyba tak! Chyba tak! Co to, do cholery, ma oznaczać?

- Kocham, ale... ale...

Jason podniósł swój plecak. Potem otworzył jej dłoń i zabrał z niej diamenty.

- Wiesz co, Ellen? Pieprz się! Pieprz się razem z tymi swoimi głupimi gierkami! Nie chcę tego słuchać.

- Jason! - zawołała Ellen, łapiąc go za rękaw, ale on strząsnął jej rękę. Ani razu się nie obejrzał, gdy przepychał się przez tłum ludzi, opuszczając tym samym jej życie.

A teraz, siedząc na murze portu i przyglądając się bezkompromisowemu morzu, Ellen zdała sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji popełnionego przez siebie błędu. Wszystko było jej winą. Wiedziała o tym, lecz wcale nie czuła się lepiej przez to, że nie mogła winić nikogo innego. Teraz widziała to, czego nie zauważała wcześniej. Że uwierzyła w romantyzm Caroline Walpole i jej historii. Że dała się ponieść magii uczuć legendy, która nie była prawdziwa.

Prawdziwy był za to ból. Ból, który Nedowi nigdy nie pozwoli dostrzec, co mógł mieć. Ból, który sprezentowała Jasonowi. I ból, który sama teraz czuła. On był prawdziwy. Zrujnowała sobie życie dla kaprysu - wierząc w siłę uczucia, które okazało się niczym innym jak tylko fantazją. A teraz było już za późno, by odzyskać to, co straciła.

Ellen załkała. Pękało jej serce, gdy łzy spływały po murze, by na koniec wymieszać się z morską wodą. Płakała nad życiem, które utraciła, i nad tym, któremu teraz będzie musiała stawić czoło. Płakała nad swoją głupotą i płakała nad sobą. A mimo to przez cały ten czas jakaś naiwna część jej duszy pragnęła, by Ned odnalazł ją tutaj i wziął w ramiona. Wiedziała jednak, że to się nigdy nie stanie.

- Wszystko na nic! - wykrzyknęła gniewnie, wyciągając z kieszeni chusteczkę. - Wszystko, cholera, na nic.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jimmy czaił się przy głównym wejściu do Appleforth House, odgrywając przedstawienie z wiązaniem sznurowadeł. Czynił to przez ostatnie pięć minut. Zaczynały go boleć plecy, a także szyja, jednak nie przejmował się tym. Nie obchodziło go teraz nic oprócz tego, by wprowadzić w życie swój plan.

Było czwartkowe popołudnie i minął prawie cały tydzień starannych przygotowań, a ta swoboda, którą teraz udawał, przypadkowe spotkanie z Verity Driver, do którego miał zamiar doprowadzić, były kluczem do sukcesu. Pragnął, aby ciąg wydarzeń, który przebiegnie według jego planu, okazał się dla niej zupełną niespodzianką. Jimmy chciał, by dopiero po wszystkim dostrzegła, jak wiele to wymagało troski i przemyśleń. Ponieważ tego pragnął najbardziej: by Verity zaskoczył on sam, to, kim jest i do czego był zdolny.

Walcz przy użyciu rozumu... Tak powiedziała Marianna. Swego serca... pokaż jej, kim jesteś... jaki jesteś... czym się zajmujesz... Pokaż jej, kogo straci, jeśli zostanie z nim...

No cóż, Jimmy maksymalnie wykorzystał te rady. Jeśli dziś nie uda mu się zrobić wrażenia na Verity - przez jego ciało przepłynęła kolejna, świeża dawka adrenaliny - wtedy już nie będzie wiedział, co więcej zrobić, ponieważ włożył w to wszystko, co miał w zanadrzu. Ale nie poniesie klęski. Z pewnością tak się nie stanie. Ignorując ból w plecach, nadal kucał w tym kurzu niczym przygotowujący się sportowiec, gotowy do rozpoczęcia biegu swojego życia.

I wówczas - bez ostrzeżenia - bieg Jimmy'ego się rozpoczął. Otworzyły się drzwi Appleforth House i na zewnątrz wyszła Verity Driver.

- Cześć - odezwał się Jimmy, powoli wstając i uśmiechając się do niej z pewnością siebie, której w ogóle nie czuł. Wygładził zgięcia na swoich świeżo upranych dżinsach i wsunął kciuki za nowy, czarny skórzany pasek.

- Myślałam, że już wyszedłeś - odparła.

Nie umiał rozpoznać, czy jest zadowolona z tego, że on nadal tutaj jest, czy też wprost przeciwnie. Cierpliwości, nakazał sobie w duchu. Wkrótce i tak się tego dowiesz.

- Wieczór jest zbyt ładny, by się spieszyć - rzekł. Verity ominęła wzrokiem Jimmy'ego i popatrzyła na ogród, jakby sprawdzając, czy

to, co mówi, jest prawdą. Przyłapał się na tym, że uważnie jej się przygląda, tak jak to robił zawsze, kiedy Verity nie patrzyła bezpośrednio na niego.

Miała na sobie czarne reeboki z czerwonymi wykończeniami, długą, trapezową, dzinsową spódnicę i rudobrazowy, zapinany na guziki płaszcz z podniesionym kołnierzem. Swoje loki schowała pod brązowokremowym, wełnianym kapelusikiem, który miała zawadiacko przekrzywiony na czole, tak że widać było tylko jedną z jej łukowatych brwi. Jej policzki były zaczerwienione, ponieważ wiele czasu spędziła na zewnątrz, a jej usta - no cóż, Jimmy nadal miał problemy z myśleniem o jej ustach, nie czerwieniąc się przy tym.

Patrzył, jak na chwilę zamknęła oczy, wdychając ziemisty zapach otaczających ich trawników i klombów kwiatowych. Ziemia była wciąż mokra po serii popołudniowych przelotnych deszczy, dzięki którym wieczór był teraz rześki i czysty. Z szerokich, powyginanych gałęzi rosnącej w pobliżu sosny kapłała woda i Jimmy dojrzał, jak po czerwonym pniu wspina się właśnie szara wiewiórka.

Od południa kręcone były ujęcia na terenie posiadłości Appleforth. Najpierw Ellen i Scott chcieli, by Jimmy odegrał, jak Leon Jacobson zdradza Caroline Walpole, podczas gdy miejscowy aktor o imieniu Seamus wcielił się w rolę jej ojca. Następnie sfilmowali Verity na zboczu klifu w pobliżu Wzgórza Straconych Dusz, jak czeka bezradnie na mężczyznę, który zdążył już ją zdradzić. I wreszcie nakręcili scenę, jak po spotkaniu się z Seamusem Verity biegnie w stronę urwiska, a w końcowym ujęciu Seamus podnosi jej rękawiczkę i wpatruje się z rozpaczą w morze.

Verity przyjrzała się uważnie twarzy Jimmy'ego i uśmiechnęła się do niego miło.

- Wyglądasz na tak zmęczonego, jak ja się czuję - oświadczyła.

Ale nawet jeśli istotnie tak wyglądał, zdecydowanie tak się nie czuł. Mimo że nie spał przez pół nocy - martwiąc się o dzisiejszy dzień i układając w głowie różne scenariusze potencjalnych konwersacji - teraz, kiedy wreszcie znalazł się z Verity sam na sam, był bardziej czujny niż kiedykolwiek wcześniej.

Verity wyciągnęła niepewnie dłoń i delikatnie dotknęła palcem jego brwi, która nadal była lekko spuchnięta.

- Boli jeszcze? - zapytała.

- Nie. - I to była prawda. W tej właśnie chwili nie bolało go ani trochę. Działo się tak za sprawą dotyku jej palca.

- Cieszę się, że tu jesteś - odezwała się Verity. - Przez cały dzień próbowałam porozmawiać z tobą na osobności, ale nie mieliśmy dziś wspólnych ujęć i...

Jimmy unikał dzisiaj przebywania w jej towarzystwie, podobnie jak to czynił w szkole przez cały zeszły tydzień. Czekał z tą rozmową na chwilę, kiedy naprawdę będzie ona miała znaczenie, kiedy wreszcie znajdą się sam na sam. Pragnął utrzymać napięcie, jakie istniało między nimi, odkąd Verity pospiesznie przeprosiła go w piątek na szkolnym korytarzu. Był pełen determinacji, by Verity nie myślała, że zostało już powiedziane wszystko, co mieli sobie do przekazania.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać? - zapytał ją teraz.

- O tym, oczywiście, co się stało, o tym, co zrobił Denny... o tym, dlaczego to zrobił...

Część Jimmy'ego nie chciała rozmawiać z Verity o Denny i pragnęła, by Denny znalazł się na pełnym dnie jej świadomości. Jednak inna jego część - słabsza, bardziej niepewna strona - chciała wiedzieć, czy nadal są parą i czy to, co zrobił Denny, wystarczyło, by ze sobą zerwali. Zapytał otwarcie, ponieważ chciał jak najszybciej mieć to za sobą:

- Nadal się z nim spotykasz?

- Tak, ale... - Popatrzyła mu w oczy. Wyglądała tak, jakby chciała dodać coś jeszcze, jakby było coś jeszcze, co Jimmy powinien usłyszeć. Ale koniec tego zdania uwiązał jej w gardle.

Jimmy odwrócił wzrok, próbując ukryć przed nią ogrom rozczarowania, jakie nagle poczuł. Wpatrywał się twardo w ziemię, powtarzając sobie w duchu, że jeszcze nie skończył, i przypominając sobie, że nadal pozostał mu jego plan i powód, by walczyć. Zmusił się do podniesienia wzroku i do tego, by się uśmiechnąć. A kiedy Verity odpowiedziała także uśmiechem, Jimmy poczuł, jak jego rozczarowanie się zmniejszyło, aż w końcu zniknęło.

Po chwili wyraz twarzy Verity zmienił się.

- Powinnam już iść - rzekła, po czym postawiła na ziemi swoją lśniącą, srebrną torbę na ramię, wyjęła z kieszeni wełniane rękawiczki bez palców i nałożyła je. - Jutro muszę oddać to wypracowanie i...

- „Opisz typ ambicji w Wielkim Gatsby...” - wtrącił Jimmy, którego czekało napisanie tego samego wypracowania. - Cóż za porwijący temat, no nie? Osobiście nie mogę się wprost doczekać.

Verity przyjrzała się Jimmy'emu z ciekawością.

- Myślałam, że lubisz coś takiego - stwierdziła.

- Lubię czytać, a nie o tym pisać.

- I tak masz dobre oceny.

- To jeszcze o niczym nie świadczy.

Na chwilę zapadła cisza, jakby oboje czekali, aż on rozwinie temat. Ale Jimmy nie miał ochoty rozmawiać ani o szkole, ani o książkach. Żadna z tych kwestii nie wydawała mu się w tej chwili istotna.

Verity zarzuciła sobie torbę na ramię.

- No cóż... - rzekła, spoglądając na długi, łukowaty podjazd, prowadzący do głównej bramy.

- Pięknie, prawda? - zauważył pospiesznie Jimmy, wpatrując się w horyzont, za którym zaczynało znikać słońce, z uporem kontynuując rozmowę.

A było istotnie pięknie. Niebo opalizowało i zaczynały się po nim przesuwac purpurowe, ciemnoróżowe i ciemne chmury, a kamienny budynek Appleforth House lśnił niczym lampa w zmierzchu mijającego dnia. Widać już było księżyc w trzeciej kwadrze. Serce Jimmy'ego zaczęło szybciej bić, gdy czekał na jej odpowiedź.

- Niesamowicie. - Verity na wpeł rzekła, na wpeł westchnęła. - Zawsze patrzyłam w tym kierunku z hotelu i myślałam, jak pięknie musi wyglądać wybrzeże - ciągnęła. - Ale dopiero kiedy zaczęliśmy kręcić ten film, zdałam sobie sprawę, jak wiele można zobaczyć z tego miejsca.

Kiedy Jimmy odezwał się po chwili, starał się, by jego słowa nie brzmiały jak wyuczone, mimo że takie właśnie były. Zamiast tego miały zabrzmieć tak, jakby pochodziły prosto z jego serca, co zresztą akurat było prawdą.

- Widok na zachód słońca jest znacznie lepszy z tamtych klifów - rzekł, nie odrywając oczu od nieba, jakby tak naprawdę nie mówił tego wcale do niej, a tylko po prostu stwierdzał fakt. - Nie przesłaniają go tam żadne budynki. Nie tak jak tutaj albo na dole w miasteczku. W ciągu ostatnich kilku sekund, zanim słońce zupełnie nie zajdzie,

można patrzeć na morze i obserwować, jak ciemność skrada się przez zatokę w stronę lądu.

Nadal nie potrafił na nią spojrzeć. Nie mógł znieść myśli, że gdyby miała nie zgodzić się na to, co zamierzał zaraz jej zaproponować, już do końca życia będzie miał przed oczami wyraz jej twarzy. Podniósł z ziemi swoją sportową torbę i przełożył ramiona przez jej uchwyty, tak że zwisała teraz luźno na jego plecach.

- Mógłbym ci pokazać - zdobył się wreszcie na odwagę - jeśli chcesz...

Jego całe ciało napięło się.

- Czemu nie?

Jimmy gotów był ją ucałować, kiedy wreszcie podniósł na nią wzrok. Ale wtedy nie przestałby już jej całować do końca świata.

Verity klęczała na starej, skórzanej kurtce Ryana, a Jimmy leżał tuż obok na brzuchu na gąbczastym torfie. Nie przeszkadzała mu ani wilgoć ziemi, ani chłód jego ciała pod bluzą z wizerunkiem zespołu Placebo. Cieszył się, że może coś dla niej zrobić, tak samo jak cieszył się, kiedy Verity przekomarzała się z nim, że jest bardziej szarmancki w prawdziwym życiu, niż kiedy wcześniej, przebrany za Leona Jacobsona, grał czarny charakter.

Oto nasz filmowy moment, uznał wtedy Jimmy, woląc myśleć, że to ich pierwsza randka, a nie - czego się bał najbardziej - że równie dobrze może być ostatnią.

No i oto oni, ich dwoje, jedno przy drugim, wpatrują się w największy z możliwych szeroki ekran. Znajdowali się zaledwie jakiś metr od skraju urwiska i podziwiali widok, który nigdy nie przestał go zachwycać. Tak właśnie kiedyś musieli się czuć królowie, spoglądając z murów zamku na swoje królestwa. Jimmy myślał o tym za każdym razem, gdy przebywał w tym miejscu. Tyle że dzisiaj nie kończyło się na myśli. Ponieważ dzisiaj miał przy sobie królową, a to z kolei jego czyniło królem.

Zrobił głęboki wdech, jakby mógł dzięki temu uchwycić samą esencję tej chwili i uczynić na stałe częścią siebie. Jednak słone powietrze uderzyło w jego gardło niczym upomnienie. Umościł się więc wygodniej, ciesząc się po prostu teraźniejszością.

Błądził spojrzeniem po znajdującej się poniżej zatoce. Do otoczonego wysokim murem portu zbliżał się przypływ, ale nie zdążył jeszcze dotrzeć do łodzi rybackich i jolek ze szkoły żeglarskiej, które

leżały na boku, a ich kile i kadłuby unosiły się w powietrzu, połyskując niczym rekiny.

- Patrz teraz - odezwał się Jimmy, gdy niewidoczne za nimi słońce zniknęło za zachodnią częścią horyzontu i od wschodu nad wodą powoli zaczęła w ich kierunku zakradać się ciemność.

Verity otworzyła usta, jednak nie wydostały się z nich żadne słowa. Ciemność kontynuowała swoją wędrówkę, gasząc srebrną poświatę na grzbiecie każdej napotkanej na swej drodze fali. Wyglądało to tak, jakby na zatokę nakładana była gigantyczna zasłona. Jimmy obserwował, jak skóra Verity robi się biała niczym marmur. Odwróciła głowę, by śledzić ciemność, która dotarła do nich i nie zatrzymując się, wędrowała w głąb ładu niczym wielka, szara fala, powoli odbierając kolor wszystkiemu, czego tylko dotknęła.

Kochał ją za to, jak zareagowała. Kochał ją za wyraz zachwytu na jej twarzy, ponieważ oznaczało to, że ona także czuje magię tego miejsca. Kochał dzielenie się tym z Verity, sekunda po sekundzie, ponieważ pozwoliło to, by ich serca zaczęły bić jednym rytmem, i umożliwiło tym samym, by na ułamek sekundy stali się jednością.

- Szybko robi się zimno - odezwała się Verity kilka minut później, na dowód swoich słów przykładając do szyi Jimmy'ego wierzch swojej dłoni.

Drżała w panującym teraz półmroku i Jimmy uświadomił sobie, że on także.

Oboje wpatrywali się w liliowy księżyc i obserwowali, jak staje się widoczna pierwsza z nocnych gwiazd. Jimmy spojrzał na twarz Verity, na sposób, w jaki uniosła ją ku górze, jakby się modliła. Poczul, że ten moment jest tak intymny, że prawie się nachylił, by ją pocałować. Jednak powstrzymał się.

- Chodź - rzekł, wstając i podnosząc swoją torbę. Wyciągnął z niej latarkę i włączył ją. - Jest jeszcze jedno miejsce, które, jak sądzę, może ci się spodobać.

Bał się tego, że powie, iż powinna iść już do domu albo że jest już zbyt ciemno, by urządzać sobie przechadzki po klifach, ale nic takiego się nie stało.

- Które? - zapytał tylko, rozglądając się.

- Jesteś pewna? - Jimmy nie chciał, by miała poczucie, że ją do czegoś zmusza.



Uniosła ramiona nad głowę i wydała z siebie niski jęk, rozcapierzając przy tym palce.

- No cóż, nie boję się ducha Leona Jacobsona, jeśli o to właśnie ci chodzi - odparła ze śmiechem.

Ten dźwięk przepełnił Jimmy'ego szczęściem. Poczł się nagle tak lekki, że najmniejszy nawet powiew wiatru mógł go porwać w niebo jak latawiec.

- W takim razie dobrze - rzekł. - Chodźmy. Przeszli jakieś sto pięćdziesiąt metrów ścieżką wiodącą na południe, aż doszli do niewielkiej polany, znajdującej się na końcu drogi dla traktorów, gdzie odegrali scenę samobójstwa Caroline Walpole.

Jimmy nie chciał zatrzymywać się tutaj ponownie. Wystarczająco trudno mu było tamtego popołudnia obserwować, jak Verity przechodzi przez polanę, kończącą się przy Wzgórzu Straconych Dusz, w tym samym miejscu, z którego Ryan zjechał w skradzionym kabriolecie, a które miało na Jimmy'ego osłabiający wpływ. Czuł, jak wysysa z niego całą energię, tak jakby jakaś część niego na zawsze należała do tego miejsca.

- Właśnie tutaj się to stało, prawda? - Do jego uszu dobiegło pytanie Verity.

Jimmy przyspieszył jedynie kroku.

- Ryan - kontynuowała, kiedy nie doczekała się odpowiedzi. - Tutaj to zrobił, prawda?

Dopiero gdy Jimmy skręcił, podążając ścieżką, i wiedział, że Wzgórze Straconych Dusz zniknęło z zasięgu jego wzroku, wreszcie się zatrzymał.

- Tak - odpowiedział jej. - Tutaj właśnie umarł.

Omiótl otaczający ich teren światłem latarki. Roślinność coraz bardziej tu dziczała, a ściany paproci rosnących po obu stronach były wyższe od nich obojga. Wykorzystując gruby rękaw swojej skórzanej kurtki, Jimmy odsunął na bok kilka gałęzi jeżyn, które opadały na ścieżkę niczym kurtyna z zadziarami. Gdy Verity przechodziła obok niego, ich spojrzenia na ułamek sekundy skrzyżowały się, ale Jimmy się nie odezwał. Nie było nic więcej do powiedzenia. Nie o Ryaniu. Nie przyprowadził jej tutaj ze względu na Ryana. Przyprowadził ją tutaj z powodu życia - z powodu tego, jak bardzo czyniła go szczęśliwym, kiedy znajdowała się w pobliżu - a nie śmierci, o której pozwoliła mu na jakiś czas zapomnieć.

- Idź prosto - rzekł Jimmy, idąc teraz za nią, gdyż ścieżka stała się węższa. Oświetlał im drogę latarką. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Jednak Verity nie zrozumiała aluzji.

- Co myślisz o sobotnim koncercie upamiętniającym? - zapytała.

- A o czym tu myśleć? - odparł. - Nie ma to ze mną nic wspólnego.

- Ale z Ryanem tak. - Jej głos brzmiał poważnie i z jakiegoś powodu Jimmy cieszył się, że nie widzi jej twarzy. - Postanowiono przecież urządzać go w rocznicę jego śmierci - dodała. - W pewien sposób jest on dla niego, prawda?

- Czy tak właśnie myślisz? - zapytał.

- Tak nam powiedział Clive na jednej z prób.

Jimmy mruknął coś niezobowiązująco. Doszedł do wniosku, że to, iż ktoś próbuje uzyskać coś pozytywnego w związku ze śmiercią Ryana, nie jest w końcu takie złe. A Clive był w porządku. Dziś rano znowu pożyczył Jimmy'emu należącą do Klubu Młodzieży przenośną kamerę z magnetowidem.

- Przyjdiesz popatrzeć?

Dotarli do miejsca, gdzie ścieżka się rozwidlała, i Verity zatrzymała się.

A chcesz tego? - miał ochotę zapytać. Dlaczego pytasz? Bo ci na tym zależy?

- Będę pomagał Scottowi - odparł zamiast tego. - Ale nawet gdybym tego nie robił - wyznał, przechodząc obok niej i wybierając ścieżkę po lewej stronie - i tak bym przyszedł, by zobaczyć ciebie.

Jimmy zastanawiał się, co Ryan sądziłby o tym, że Verity będzie śpiewać na koncercie upamiętniającym jego śmierć. Czy naprawdę gównem by go to wszystko obchodziło? Jimmy miał nadzieję, że spodobałoby mu się to. Nie potrafił sobie wyobrazić ducha Ryana jako smutnego, złośliwego czy mściwego. A jeśli duch Ryana rzeczywiście istniał, Jimmy miał nadzieję, że wiatr przyniesie aż tutaj głos Verity, a każda śpiewana przez nią nuta wzruszy go, ukoi i przybliży do wiecznego spokoju.

Zostawiając za sobą szlak turystyczny, wspinali się teraz pod górę drugą ścieżką, która zakreślała w głąb łądu. Rosnące po obu jej stronach zarośla gęstością przypominały dżunglę, zmuszając ich, by ponownie ruszyli gęsiego.

Jednak wtedy dotarli do kolejnej polany i Jimmy, odsunawszy się na bok, zatoczył latarką szeroki krąg, tak by Verity mogła wszystko zobaczyć.

- Wow.

Wpatrywała się we Wrak. Był piękny, połyskujący w świetle latarki i księżyca, jakby był fatamorganą.

- Pewnie z tysiąc razy szłam tą właśnie ścieżką - odezwała się Verity - i w ogóle nie miałam pojęcia, że to miejsce istnieje. - Rozejrzała się ze zdumieniem, jakby próbowała się zorientować w terenie. - To pewnie przez te zarośla - uznała.

Miała rację: wokół płaskiej, skalistej polany, rozciągającej się od kaplicy aż do skraju klifu, rosły gęste jeżyny, paprocie oraz całe kolonie kolcolistu i wrzосу, odgradzając to miejsce od reszty świata, ukrywając je przed wszystkimi, którzy nie wiedzieli, że ono w ogóle istnieje.

- To przez niektóre gałęzie - przyznał się Jimmy, oświetlając latarką miejsce, gdzie paprocie wydawały się najgęstsze. - Ja i Ryan przywlekliśmy je tutaj, by zbudować barierę dla innych ludzi. Chodź - rzucił. - Pokażę ci, jak wygląda w środku.

Obszedł roztrzaskany, spróchniały szary cedr, który dwa lata temu został powalony przez piorun. Potężny pniak drzewa leżał teraz na ziemi na wpół przegniły. Przypominał Jimmy'emu wykopalisko archeologiczne, które zwiedził kiedyś podczas wycieczki szkolnej, gdzie w łodzi był pochowany wódz wikingów.

- To tutaj się zawsze spotykaliśmy - wyjaśnił Jimmy, gdy mocował się, by włożyć kluczyk do kłódki. - Ja, Ryan i Tara. - Trzęsły mu się ręce. - Jednak Ned Spencer mówi, że musimy się stąd wynieść - kontynuował. Wreszcie udało mu się włożyć klucz i przekręcić go, aż usłyszał brzęk kłódki. - W poniedziałek murarze złączą tu pracę.

Jimmy pchnął drzwi Wraku i wszedł do środka. Wsunął kłódkę i klucz do kieszeni džinsów, po czym podszedł do starej baterii kutrowej, którą Ryan skądś zwiął, a którą Jimmy zeszłej nocy naładował na nabrzeżu.

Ściany kaplicy oświetliły cztery gołe żarówki, ukazując plakaty Howarda Marksa, Britney i Che Guevary, wyglądających jak współcześni święci.

Dziś rano po raz pierwszy od lat Jimmy zamiótł podłogę, wzbijając przy tym tumany kurzu. Jednak teraz z ulgą dostrzegł, że

kurz zdążył już opaść. Milczenie Verity dodało temu pomieszczeniu spokoju, którego nigdy nie było we Wraku, gdy spędzali tu czas Jimmy i Ryan.

Verity zbliżyła się do niego i odwróciła niczym w zwolnionym tempie, rejestrując wszystko: stary skórzany fotel i leżący na podłodze materac; pokryty naklejkami przenośny magnetofon, stojący na podnóżu niewielkiego, marmurowego ołtarza; plakaty; wreszcie leżący w kącie stos śmieci i innych przedmiotów, począwszy od przebitych piłek do gry w nogę do...

Verity zamarła ze wzrokiem utkwionym w jakiś przedmiot. Jimmy'ego ogarnął lęk, gdy podbiegła do kąta i przykucnęła, by przyjrzeć się bliżej temu czemuś, co przyciągnęło jej uwagę.

- To ty... - odezwała się cicho. Kiedy odwróciła się z powrotem do Jimmy'ego, trzymała w rękach fosforyzujący zielony latawiec. - Zawsze chciałam się dowiedzieć, kto go puszcza. - Zerknęła na sufit. - - Nieraz widziałam go w nocy na tle nieba i gwiazd - rzekła, głaszcząc kciukiem jedwabny materiał latawca. - To zawsze tak pięknie wyglądało. Kilka tygodni temu o mało tu nie przyszłam, by poznać właściciela. I gdybym to zrobiła, znalazłabym ciebie.

Patrzyła na niego tak, jakby Jimmy aż do tej pory nosił maskę, a Verity dopiero teraz zaczęła się przekonywać, jaki jest naprawdę.

- Usiądź tam - odezwał się, wskazując machnięciem dłoni na fotel.

- Słucham?

- Proszę...

Wciąż trzymając w rękach latawiec, Verity przeszła obok Jimmy'ego i usiadła.

Jimmy zdjął z pleców swoją torbę i stanął za dziewczyną.

- Nie odwracaj się - rzekł, widząc, że zaczyna przekreślać głowę - bo zepsujesz całą niespodziankę.

Przykucnął, otworzył torbę i wyjął z niej kamerę, którą pożyczył od Clive'a. Wcisnął jeden z przycisków i czekał, aż mechanizm zaskoczy, a on uzyska dostęp do znajdującej się w środku kasety. Następnie z kasetą w dłoni podszedł do stołu i zdjął czarny worek foliowy na śmieci, którym dziś rano zakrył projektor filmowy.

- OK - rzucił Jimmy. - Zamknij oczy. - Dał jej kilka sekund, po czym zapytał, by się upewnić: - Zamknięte?

- Tak.

Moc żarówek zaczęła słabnąć, gdy Jimmy odłączał od baterii przewody tak, jak mu to pokazał Scott podczas przerwy na lunch, kiedy pomagał Jimmy'emu sklecić to wszystko. Następnie włączył projektor, który udało mu się pożyczyć dzięki pomocy Scotta, i włożył do niego kasetę. Na przeciwnej ścianie kaplicy pojawił się prostokąt bladego światła, o wymiarach mniej więcej metr osiemdziesiąt na metr. Jimmy regulował przez chwilę ostrość projektora, aż krawędzie prostokąta zrobiły się wyraźne. Wreszcie odłączył baterię od systemu oświetlającego Wrak, a prostokąt robił się coraz jaśniejszy, gdy moc czterech żarówek słabła, aż wreszcie zupełnie przestały świecić.

Jimmy przełknął ślinę. Ogarnęły go wątpliwości. Zastanawiał się, co Verity sobie pomyśli. Zastanawiał się, czy był szalony, czy też nie. Teraz naprawdę nie miał już co do tego pewności.

- Możesz otworzyć oczy - rzekł do Verity, a kiedy dziewczyna to zrobiła, wyciągnął rękę i wcisnął na projektorze przycisk „Play”.

Verity nie odezwała się ani słowem, gdy na ścianie zadrżały milczące, kolorowe obrazy. Pierwsza pojawiła się w zbliżeniu jej twarz. Uśmiechała się, wyraźnie powstrzymując się od głośnego śmiechu. W jej oczach igrało światło niczym promienie słoneczne na tafli strumyka. Wiatr zwał na jej czoło jeden lśniący lok, a jej usta na chwilę zadrgały, gdy walczyła ze sobą, by zachować powagę. Kolejne ujęcie wyjaśniało powód rozbawienia Verity: znajdowała się tam też Ellen, trzymająca przed twarzą Verity lustro po tym, jak zrobiła jej makijaż. Stały obok land - rovera Ellen na końcu ścieżki przy Wzgórzu Straconych Dusz i Verity śmiała się teraz, zakładając na włosy swój kostiumowy kapelusz.

Nagranie urwało się nagle, a prostokąt na nowo zrobił się biały.

Jimmy nie odezwał się ani słowem.

Verity wstała i zwróciła się twarzą do niego. Oświetlał ją snop światła wydostający się z projektora, a na ścianie drżał jej powiększony cień. Osloniła dłonią oczy.

- Nie rozumiem - rzekła. Wpatrywała się w niego wyraźnie skonsternowana.

- W zeszłym tygodniu powiedziałaś mi, jak bardzo się denerwujesz tym, że zobaczysz się w telewizji - odpowiedział Jimmy.

- Och. - Verity odwróciła się w stronę jasnego prostokąta, jakby mogły się tam skrywać dalsze wyjaśnienia tego, co uczynił Jimmy.

- A ja chciałem, żebyś się przekonała, jak bardzo jesteś piękna - dodał. - Chciałem, byś zobaczyła się w taki sposób, w jaki ja ciebie widzę.

Zapadła cisza. Jimmy czuł, jakby temperatura pomieszczenia gwałtownie się obniżyła. Poczł się zdruzgotany. Nie rozumiała. Sama to właśnie przyznała. Nagle wiedział z absolutną pewnością, że to wszystko było błędem.

- Ale my się nie znamy, Jimmy... - odezwała się Verity, a jej spojrzenie utkwione było w ścianie. - Nie tak naprawdę dobrze...

- Wiem o tobie wystarczająco, by chcieć się dowiedzieć więcej - odparł.

Jedyne, o czym Jimmy mógł w tej chwili myśleć, to zapach jej perfum. Niespodziewanie wydało mu się, jakby cała kaplica pełna była wiosennych kwiatów. Ta odurzająca woń zdawała się go otulać, uderzać do głowy niczym narkotyk, pozostawiając go zamroczonego i niezdolnego do żadnego ruchu.

- Ale wiesz, że spotykam się z Dennyem - powiedziała do niego.

Przełknął ślinę. Poczł ból. Jego gardło było suche i spękane.

- Wiem - odparł, modląc się o to, by on i Marianna przypadkiem czegoś opacznie nie zrozumieli. - Jednak wiem także, że oddałaś mi pocałunek, ponieważ tego chciałaś.

- To nie jest takie proste. To... - zaczęła, a jej wzrok nadal skupiony był na ekranie.

Jednak Jimmy zmienił się w ciągu tych ostatnich kilku tygodni. Nie był już tą samą osobą, która ulotniła się po wręczeniu Verity płyty. Jeśli ona nie rozumiała, to on jej wyjaśni. Spędził z nią zbyt dużo czasu i zbyt wiele się między nimi wydarzyło, by teraz się poddać. Jimmy przez całe dotychczasowe życie tracił okazje, wątpiąc w siebie i nie mówiąc innym tego, co naprawdę czuł. Ale nie dzisiaj i nigdy ponownie w jej przypadku.

- Nie - rzekł z taką stanowczością, że wreszcie na niego spojrzła. - Albo zaprzecz, albo przyznaj, Verity. Ponieważ ja muszę to wiedzieć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ned Spencer siedział przed miłosiernie „Zamkniętym do świąt” salonem gier na esplanadzie. Było późne piątkowe popołudnie i czuł się jak kompletny idiota.

To nie sąsiedztwo zbudowanych z betonu i utwardzalnego szkła bunkrów pełnych jednorękich bandytów i innych gier sprawiało, że takie właśnie miał samopoczucie - mimo że, prawdę powiedziawszy, nie cierpiał salonów gier, które w rzeczywistości ani nie były salonami, ani gry nie były tam uczciwe, natomiast uważał je za niesamowicie nudne i był przekonany, że zajmowały się jedynie zdzierstwem. Nie, bezpośrednim powodem kiepskiego humoru Neda było tak naprawdę to, co znajdowało się dokładnie za jego plecami, a konkretnie zajmowane przez niego siedzenie, mieszczące się wewnątrz plastikowego, odlewane słońca i zaprojektowane dla dziecka nie mającego więcej niż dziesięć lat ani więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. To, oczywiście, oraz fakt, że dziecko pasujące do tego właśnie opisu właśnie przed chwilą przejechało obok na rowerze i krzyknęło na cały głos:

- O rany! Wyglądasz jak palant!

- Odpierdol się! - zawołał w odpowiedzi Ned, kiedy dzieciak zdążył już zniknąć w zacinającym deszczu. To właśnie ulewa zmusiła Neda do znalezienia sobie schronienia wewnątrz tego plastikowego zwierza.

Wiatr nie przestawał wyć i Ned dosłownie warknął. W tej chwili gotów był zabić Debs. Ponieważ to, że siedział tutaj, było tylko i wyłącznie jej winą. I wcale nie miał ochoty tu być. Wolałby siedzieć teraz w pubie Nadzieja i Kotwica, oddalonym stąd o niecałe dwieście metrów. I tam właśnie zmierzał, kiedy odezwał się jego telefon, a on nierozsądnie wyjął go z kieszeni spodni i odebrał. Miał ochotę kończyć właśnie pierwsze piwo i przyglądać się, jak drugie jest nalewane do kufla. I dokładnie to robiłby w tej chwili - w ciepłe kominka, zupełnie suchy - gdyby nie przystał na prośbę Debs, która chciała się z nim spotkać.

Powiedziała, że musi go o coś zapytać przed odebraniem Clary ze szkoły. A Dan, jego brygadzysta, wyjaśnił jej, że Ned poszedł do miasta, by zrobić kserokopię jakichś wyliczeń (wymówka usprawiedliwiająca jego wczesne wymknienie się na piwo).

- Może więc spotkamy się teraz? - zapytała, ponieważ sama także była już w mieście.

No i Ned zaproponował to właśnie miejsce - na esplanadzie, zaraz przy salonie gier - ponieważ nie chciał (tak samo jak w przypadku Dana), by Debs się dowiedziała, że swój piątkowy wieczór miał zamiar rozpocząć już o szesnastej.

Tyle że kiedy na nią czekał, rozpadało się. I teraz Ned żałował, że w ogóle się zgodził na to spotkanie. Wyciągnął z przemoczonych džinsów telefon i wystukał numer Debs.

- Gdzie jesteś? - W zasadzie zawarczał do telefonu, gdy usłyszał jej głos.

- Tutaj - wyszeptała mu do ucha, pojawiając się przy jego boku, po czym schowała telefon i złożyła parasolkę, a następnie usiadła (ze znacznie większą gracją, niż udało się to jemu) na siedzeniu znajdującym się naprzeciwko, po drugiej stronie brzucha słonia.

Ned zerknął na niewielki, szary stolik z plastiku, który ich od siebie oddzielał. Debs postawiła suchy kołnierz suchej džinsowej kurtki French Connection i zaczęła się bawić jej suchymi guzikami. Deszcz spływał po grzbiecie słonia i sztruksowa kurtka Neda była cała mokra i ciężka.

- Czemu tak długo to trwało? - zapytał groźnie. - Czekam tu od piętnastu minut.

Debs zignorowała tę reprimendę, wyjęła z torby paczkę chusteczek higienicznych i położyła ją na oddzielającym ich stoliku.

Ned wyjął chusteczkę i wytarł zimną wodę z czoła i szyi. Był to jednak gest symboliczny: wszystko, co miał na sobie, aż po upačkane farbą buty robocze i skarpetki, było kompletnie przemoczone. Zwinął chusteczkę w ociekającą wodą kulkę i położył ją na środku stolika.

- Zawsze uważałam, że jesteś raczej fanem T-Rexa - oświadczyła Debs, patrząc w kierunku posepnie nierealistycznego, plastikowego dinozaura, który znajdował się po ich lewej stronie. Z roztargnieniem pogłaskała śliski, wypukły, okrągłutki policzek słonia, po czym utkwiała spojrzenie w Nedzie.

Mężczyzna nie był w stanie zignorować zaraźliwej mieszanki podekscytowania i wyczekiwania, widniejącej na jej twarzy, i wbrew sobie uśmiechnął się.



- Dawaj w takim razie - rzucił, pocierając dłonie i ignorując ból w plecach wywołany koniecznością tak mocnego pochylania się. - Co jest takie ważne, że nie mogło poczekać do mojego powrotu do domu?

- Chcę jechać do Argentyny.

- Ze Scottem...

- Skąd wiesz?

Naprawdę nietrudno się było tego domyślić. Każdą wolną chwilę Debs spędzała albo w towarzystwie Scotta, albo rozmawiając ze Scottem przez telefon, albo rozmawiając o Scotcie z przyjaciółmi. Kiedy Australijczyk miał wolne, jakoś tak w zeszłym tygodniu, podczas gdy Ellen była w Londynie, w wolnym czasie zabierał Debs na krótkie wycieczki wzdłuż wybrzeża, by we dwoje mogli podziwiać miejscowe atrakcje. Ich wspólne wieczory także stawały się coraz dłuższe, a kiedy tylko Ellen wyjeżdżała, Debs zostawała u Scotta na noc.

- Nazwijmy to po prostu hipotezą popartą rzetelną wiedzą - odparł.

Zimny powiew wiatru zaciął deszczem w ich stronę i Debs skrzyżowała ramiona, pragnąc na dłużej zachować ciepło.

- Na miesiąc - rzekła. - W styczniu. Scott ma tam robotę, puchar piłki nożnej, i chce, bym pojechała razem z nim.

- To świetna okazja.

- A więc nie masz nic przeciwko temu? Ned uśmiechnął się.

- To zależy, czy prosisz mnie o miesiąc urlopu, czy też składasz wymówienie. W pierwszym przypadku jakoś sobie poradzę - stwierdził. - Ale jeśli masz na myśli to drugie, i ja, i Clara będziemy zdruzgotani. Niezależnie jednak od tego - dodał uspokajająco - to twoje życie. Jesteś moją przyjaciółką i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc ci osiągnąć to, czego pragniesz.

Debs wyciągnęła rękę nad stolikiem i szybko uścisnęła jego dłoń.

- Dziękuję - rzekła.

- Czy zamierzasz mnie w końcu wyrwać z otchłani mojej żalości? - zapytał.

Spojrzała na niego z konsternacją.

- Co takiego? Och! - roześmiała się, domyślając się wreszcie, o co mu chodzi. - Mam na myśli to pierwsze: wakacje. Nie martw się - dodała pospiesznie. - Nie planuję rzucać pracy.

- Uff - odparł Ned, wzdychając przy tym przesadnie głośno.

- Jeśli w Argentynie wszystko pójdzie zgodnie z planem, wtedy... Scott mówi, że jego znajomy ma w Cheltenham własną firmę produkcyjną... i już od wieków prosi Scotta, by do niego dołączył, i...

- Rozumiem już - przerwał Ned, by oszczędzić jej dalszego usprawiedliwiania się. - Wy dwoje otrzymaliście od losu szansę na wspólną przyszłość.

- Stąd właśnie Argentyna.

- Scott to dobry facet - rzekł Ned z przekonaniem. Dobry byłby każdy, kto potrafiłby sprawić, aby w oczach Debs błyszczało szczęście, tak jak to się działo teraz. - Mam nadzieję, że wam się uda.

- No a co z wami? - zapytała Debs.

- Mówiłem ci już, że jakoś damy sobie radę.

- Nie, chodzi mi o ciebie i Ellen...

Nedowi wydało się, że to imię zostało wypowiedziane w formie oskarżenia. Jednocześnie rozgniewało go to i sprawiło, że przyjął postawę obronną. Chciał, by to, co się między nimi wydarzyło, stało się częścią przeszłości. Każdy z tych czterech dni, które upłynęły, odkąd Ellen zjawiała się na budowie, by się z nim spotkać, Ned liczył jak rok. Chciał to zapamiętać jako coś odległego, przyblakłego, głos po drugiej stronie linii telefonicznej lub zdjęcie w leżącym w szufladzie, zapomnianym albumie fotograficznym. To, czego sobie nie życzył, to, by pozostała w jego pamięci bliska i żywa, co właśnie się działo. Nie chciał być raz po raz przez nią zaskakiwany.

Wyglądało jednak na to, że im bardziej się starał odsuwać od siebie to, co się między nimi wydarzyło - i nie jedynie seks, lecz także to, jak się czuł podczas seksu - tym bardziej stawało się to niezaprzeczone. Wciąż sobie przypominał, jak pojawiła się w sobotni wieczór w drzwiach jego domu. I przypominał sobie też to, jak wyglądała, kiedy rankiem obudził się i odkrył, że we śnie mocno ją do siebie przytulił.

- Skąd... - zaczął pytać Debs.

Jednak już znał odpowiedź. Ona i Scott musieli dodać dwa do dwóch na temat tego, gdzie Ellen spała w sobotnią noc, kiedy zgubiła klucze od domku. A może Ellen zwierzyła się nawet ze wszystkiego Scottowi, a on z kolei powiedział o tym Debs.

I tak nie miało to żadnego znaczenia, przypominał sobie w duchu Ned. Nic się między nimi nie działo i nic się nie wydarzy. W poniedziałek wystarczająco jasno uzmysłowił to Ellen. I dla niego też

to było wystarczająco jasne, nieprawdaż? Nie było przed nimi wspólnej przyszłości. Czuł coś do Ellen, zgoda. Och, tak, wiedział, że nie da się temu zaprzeczyć. Czuł pożądanie i strach, i smutek, i radość. Pragnął być z nią i ukryć się przed nią, biec w jej stronę i odepchnąć ją od siebie. Wszystkie te sprzeczne ze sobą emocje siedziały w jego wnętrzu, ale jedyne, co robiły, to wprawiały go w jeszcze większą konsternację.

Ona wróci do Londynu, a on wróci do Cheltenham. I wkrótce będzie tak, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło.

- Nazwijmy to hipotezą popartą rzetelną wiedzą - zażartowała Debs.

- Jednakże zupełnie błędną - odpowiedział kategorycznie Ned.

Z twarzy dziewczyny zniknął uśmiech.

- Och - rzekła. - Ale myślałam...

- No cóż, źle myślałaś.

Uchyliła lekko usta, jakby miała zamiar coś powiedzieć, jednak Ned usłyszał już wystarczająco.

- Nie zanosz się na to, by szybko przestało padać - oznajmił jej. - Czas już na mnie. - Wstał i natychmiast uderzył głową w twardy plastik. - Kurwa! - warknął, gramoląc się na zewnątrz, po czym z całej siły kopnął słonia w bok.

Ned nie pożegnał się z Debs. Odwrócił się do niej plecami i przeszedł powoli przez plac zabaw na ulicę. W porywistym wietrze i zacinającym deszczu czuł się tak, jakby szedł przez wodospad. Był jednak pełen determinacji: dostrzegł już w oddali Nadzieję i Kotwicę, mrugającą do niego niczym fatamorgana. W zapadającym właśnie półmroku widać było ciepłe światło w oknach lokalu.

Ale im dalej Ned szedł, tym większy zaczynał odczuwać gniew. Nie chodziło mu ani o głupiego słonia, ani o próbującą się bawić w swatkę Debs. Prawda była taka, że Ned naprawdę cieszył się z tego, że Debs znalazła kogoś, z kim chciała być, i potrafił zrozumieć, że chciała tego samego dla niego. Nie, Ned nie był zły na słonia czy Debs. Ned był zły na samego siebie. Był zły, ponieważ uświadomił sobie, że w jego sercu na chwilę pojawiła się nadzieja. I był zły na siebie za to, że nie wyzbył się jej, chociaż wiedział, że to, na co ma nadzieję, nigdy się nie spełni.

Oprócz milczącego, wychudłego barmana, który jedynie uniósł brew na widok apokaliptycznego pojawienia się Neda, w pubie

Nadzieja i Kotwica nie było nikogo. Czuć było papierosami i rozlanym piwem. Z ubrania Neda kapąca na podłogę woda, gdy barman powoli przesunął w jego kierunku kufel z piwem. W tle słyhać było jakąś szaleńczą, charakterystyczną dla wczesnych lat dziewięćdziesiątych muzykę house, przelotnie przypominającą Nedowi pięcioletni okres, który po studiach spędził w Londynie.

Mężczyzna zapłacił za piwo i zaniósł je do stolika, ustawionego tuż obok wielkiego, okrągłego okna z panoramicznym widokiem na zatokę. Usiadł na ławce i spróbował przesunąć ją nieco bliżej kominka. Odkrył, że coś przyczepiło się do jego dżinsów. Kiedy wstał, ujrzał, że od jego uda do krawędzi ławki ciągnie się szara nitka gumy do żucia. Oderwał ją i przez chwilę siedział bez ruchu, patrząc na migoczące płomienie i rozkoszując się dochodzącym z kominka gorącym. Następnie podniósł kufel do ust.

Jednak coś mu przeszkodziło, coś sprawiło, że wzdrygnął się i zamiast napić się piwa, odstawił kufel na stół.

Przez chwilę wpatrywał się w niego, próbując dociec, dlaczego zrobił to, co zrobił. Najpierw nie miało to dla niego żadnego sensu, jednak w tym ponurym, wyludnionym pubie nagle wszystko zrozumiał. Tak samo jak podczas tych kilku wieczorów w tygodniu, kiedy wychodził, by sobie wypić, Ned przyszedł tutaj, by znaleźć zapomnienie. Ale to nie świadomość tego powstrzymała go w tej chwili od picia. Powstrzymał się, gdyż zdał sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy nie przyszedł tutaj, by zapomnieć o pozbawionych odpowiedzi pytaniach związanych z Mary, pytaniach, które deptały mu po piętach niczym wataha zgłodniałych wilków, każdego dnia żądających jego krwi.

Gdzie on był, kiedy Mary go potrzebowała? Dlaczego schował głowę w piasek i udawał, że lekarze robią to, co należy, podczas gdy było jasne, iż ta szczęśliwa, pełna optymizmu dziewczyna, którą poślubił, zupełnie zniknęła? Dlaczego był w pracy tamtego dnia, w tamtej godzinie i w tamtej minucie, kiedy ona poczuła, że nie zniesie tego wszystkiego ani chwili dłużej?

Nie, Nedom wstrząsnęło, bo uświadomił sobie teraz, że próbował wyrzucić z głowy myśli o Ellen, nie o Mary. To Ellen usiłował wymazać z pamięci nadmiarem piwa, tak samo jak próbował to zrobić, używając skręta, którego wypalił tamtej sobotniej nocy w łazience po tym, jak uprawiali seks.

Seks. Zgoda, od tamtej pory myślał o nim każdej nocy, leżąc w łóżku i walcząc z pokusą podniesienia słuchawki i zadzwonienia do niej, zastanawiając się, czy jest w Londynie czy w Shoresby, zastanawiając się, czy mu kiedykolwiek wybaczy to, jak ją potraktował, zastanawiając się, czy jest ze swoim chłopakiem, a o nim w ogóle już nie pamięta.

Nie cierpiał o tym myśleć, o samozadowoleniu, którym bezdusznie ją obrzucił w poniedziałek na budowie, o sposobie, w jaki się zachował, jakby to, co się wydarzyło sobotniej nocy, było tylko i wyłącznie seksem. Napęliło go to wstydem. Wstydził się, ponieważ ją zranił. Wiedział, że tak właśnie się stało. Dojrzał to w jej oczach. Dojrzał ten sam ból, który ona zobaczyłaby w jego oczach, gdyby nie odwrócił się do niej plecami. Jego swobodna i nonszalancka fasada zdrzętała wtedy. Nie pozwolił jej jednak tego zobaczyć, prawda? Zamiast tego ukrył to przed nią. Skłamał jej na temat o fundamentalnym znaczeniu: że istotnie obchodziło go to, co się stało, i obchodziła go ona.

Jedynie seks... dobry seks... Ned westchnął i potrząsnął głową. Gdyby tylko Ellen знаła prawdę. To, co wydarzyło się między nimi tamtej sobotniej nocy, miało dla niego kolosalne znaczenie. Kiedy obudził się następnego ranka i poczuł na swoim ciele dotyk jej skóry, gdy poczuł jej perfumy i usłyszał, jak cichutko jęczy, zaciskając palce wokół jego ramienia, Ned nagle - w szaleństwie - ujrzał ich wspólną przyszłość.

Wyobraził sobie jedną z niedziel w ogrodzie za nienagannie utrzymanym, białym domem. Tam właśnie był, przechadzając się w spiekocie południa zielonym trawnikiem, na którym nie było nawet skrawka cienia. Zatrzymał się, przeciągnął i zerwał piękną, żółtą różę, po czym minął dziecięcą trampolinę oraz huśtawkę i doszedł do altany, znajdującej się na końcu ogrodu. Usiadł na ławce i ze stojącego przed nim porcelanowego dzbanka nalał sobie filiżankę gorącej kawy. Jej aromat zmieszał się z zapachem świeżo skoszonej trawy. Odwrócił się i ujrzał siedzącą obok niego Ellen. Jej twarz ocieniało szerokie rondo słomkowego kapelusza, a ubrana była w niebieską bawełnianą sukienkę. Położył różę na czytanej przez nią gazecie, a ona odwróciła się do niego i uśmiechnęła. Usłyszał śmiech, uniósł głowę i zauważył, jak przez tylne drzwi z domu wybiegają dwie dziewczynki. Natychmiast rozpoznał starszą z nich - to była

Clara. Była wyższa, jednak rysy jej twarzy i uśmiech pozostały takie same. Młodszej dziewczynki nie widział nigdy wcześniej, lecz dostrzegł w niej podobieństwo do Ellen i do siebie i wszystko zrozumiał.

Ale wtedy ta wizja się rozmyła, znikając niczym rysunek wykonany z piasku, który ktoś uniósł, by mu się uważniej przyjrzeć.

Ned wpatrywał się w rozżarzone węgielki w kominku. Była to wizja doskonałości, jednak Ned wiedział, że by ją zniszczył. Ponieważ - inaczej niż w życiu zawodowym - to właśnie czynił w życiu prywatnym, nieprawdą? Tworzył coś doskonałego, a potem odsuwał się i przyglądał, jak wszystko się rozpada. Tak właśnie się stało z życiem jego i Mary. Nie był kimś, komu można było zaufać. Nie miał tej cechy, która była potrzebna, by opiekować się drugą osobą. Był do kitu. Nie udało mu się sprawić, by Mary miała wystarczający powód do życia. I nie miał prawa powoli wstrzykiwać trucizny swojej niezdolności kolejnej osobie.

Ned wstał i podszedł do baru.

- Wezwie pan dla mnie taksówkę, dobrze?

- Coś nie tak z pańskim piwem? - zapytał barman, podnosząc słuchawkę i przyglądając się pozostawionemu na stole nie tkniętemu kufłowi.

- Nie - odparł Ned. - Z piwem jest wszystko w porządku.

Sięgnął do kieszeni kurtki po drobne i w jego dłoniach znalazły się monety, a także kawałek futrzanego płaszcza Ellen Morris, który Wobbles oderwał prawie miesiąc temu.

Ned odliczył pieniądze i położył je na barze. Wpatrywał się w kawałek futra, po czym położył go na popielniczce, by barman go wyrzucił.

Zbliżył się do okna, by wypatrywać taksówki. Potrzebne mu było spotkanie się z Clara. Pragnął znaleźć się z nią w domu, przyglądać się, jak jego córka śledzi palcem spływające po szybach krople deszczu, i pytać ją, jakie widzi kształty. Chciał ją przytulić i udowodnić sobie, że jego serce nie jest w połowie puste, ale że wprost kipi miłością. Pragnął jeszcze raz mieć poczucie, które już stracił: że jego życie jest spełnione i wystarczające.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy Verity dojrzała Jimmy'ego, aula Domu Kultury była już prawie pełna. Wchodził właśnie do środka i dziewczyna podniosła dłoń, próbując zwrócić tym jego uwagę. Jednak Jimmy nie patrzył w jej kierunku. Zamiast tego powlókł się do przodu i widać było, że jest wyraźnie czymś zasmucony i przybity. Wskazywał na to sposób, w jaki otulił się skórzaną kurtką. Nawet z tej odległości wyglądał niechlujnie, jakby od wielu dni nie spał.

Pragnęła go zawołać, było to jednak niemożliwe z powodu zbyt wielu ludzi, którzy znajdowali się pomiędzy miejscem przy scenie, gdzie stała ona, a tyłem sali. Weszła na prowadzący na scenę schodek i osłoniła oczy przed oślepiającym blaskiem górnego reflektora, by go dojrzeć, ale on zdążył już wmieszać się w tłum. Verity rozpaczliwie pragnęła z nim porozmawiać. Po obejrzeniu filmu, który Jimmy pokazał jej przedwczoraj, nie była w stanie zasnąć. Wczoraj rano wyszła wcześniej, mając nadzieję, że spotka go w drodze na piątkowe zajęcia z angielskiego, jednak Jimmy się nie pojawił. Od tamtej pory wprost koszmarnie się denerwowała. Musiała z nim porozmawiać o tym, co się działo w jej głowie, i miała okropne uczucie, że jeśli nie zrobi tego jak najszybciej, to będzie za późno.

Wczoraj po południu Verity poszła nawet do Carlton Court, by go poszukać, ale na domofonach nie było żadnych nazwisk i nie udało jej się znaleźć nikogo, kto mógłby jej powiedzieć, pod którym numerem mieszka Jimmy. Była tak wytrącona z równowagi, że dopiero po powrocie do domu uświadomiła sobie, że nie zjawiała się na egzaminie z pianina. Jej matka zareagowała z typową dla siebie furią, ciskając na Verity gromy za to, że zawiodła siebie i ją. Ale ona się tym nie przejęła. Nie było tak, że nie przystąpiła do egzaminu celowo, w jakimś szalonym akcie buntu, co zasugerowała jej matka. Jednak zapomnienie o nim uświadomiło Verity, że istnieją w jej życiu sprawy dużo, naprawdę dużo ważniejsze.

Verity przez cały dzień próbowała znaleźć wolną chwilę, by wymknąć się i poszukać Jimmy'ego, ale najpierw była próba generalna, a potem w domu musiała się jeszcze przebrać i zupełnie nie miała już czasu. Teraz zaś koncert wkrótce miał się rozpocząć i na rozmowę zostało jej zaledwie kilka cennych minut.

Paski od czarnych butów na wysokim obcasie wznęły jej się w kostki, a od paska przy czarnej sukience w stylu lat pięćdziesiątych

zabolały ją żebra, gdy wychyliła się, by dojrzeć Jimmy'ego. Verity pomalowała usta delikatnym, różowym błyszczkiem, a włosy upięła wysoko, przez co w skórę głowy wbijały jej się wsuwki. Było jej w tym wszystkim naprawdę wyjątkowo niewygodnie i żałowała, że nie ma teraz na sobie džinsów i adidasów i że nie może pobiec na tył sali i uciec stąd razem z Jimmym.

Pan Peters ściągnął ją z powrotem na dół, kiedy zachwiała się na brzegu schodka. Miał na sobie różową, wieczorową marynarkę i różnokolorową muszkę, a policzki błyszcząły mu od potu. Niósł właśnie cały stos nut, na wierzchu których leżała jego dyrygencka batuta.

- Znasz kolejność występów. - W jego głosie pobrzmiwała odrobina paniki. Z tyłu sceny słyhać było głośnie zgrywanie się instrumentów szkolnej orkiestry. W jego zielonych oczach widać było zatroskanie, gdy zerkał spod przetłuszczonej, jasnej grzywki. - Ty zaczynasz, potem Clive wygłosi przemówienie, a potem lecimy aż do przerwy.

Verity kiwnęła głową, ledwie słuchając pana Petersa, gdyż w tym czasie próbowała zerkać ponad jego ramieniem, ale było to zupełnie pozbawione sensu. Wyglądało na to, że w sali zjawilo się całe miasteczko, prawdopodobnie dlatego, iż Ellen miała zamiar sfilmować część koncertu, a oni chcieli zobaczyć swoje twarze w telewizji. Widziała wielu znajomych jej ludzi, włączając w to większość nauczycieli z jej szkoły.

- Powodzenia - rzucił Toby, jeden z młodszych chłopców śpiewających w chórze, który minął ją na schodach, chcąc wejść na scenę i usiąść na jednym z krzeseł stojących w półkolu wokół pianina.

Verity uśmiechnęła się i przeczesała palcami jego puszyste blond włosy.

- Tobie też.

- Jeszcze nigdy nie byłem w telewizji - wyznał.

- Verity, masz przyczepiony mikrofon, prawda? - zapytała Ellen, kiedy się do niej zbliżyła.

Verity pomachała niewielkim czarnym urządzeniem, które miała przypięte z przodu sukienki. W zachowaniu Ellen było coś surowego i rzeczowego i Verity bolało, iż okazywane jej wcześniej przez kobietę ciepło i przyjaźń z jakiegoś powodu wyraźnie osłabły. W zeszłym tygodniu była taka cudowna, jednak od dzisiejszej próby generalnej



Ellen sprawiała wrażenie, jakby tak naprawdę na niczym już jej nie zależało. Inaczej także wyglądała. Jej zazwyczaj promienna twarz dziś wydawała się wymizerowana i zmęczona. To pewnie z powodu stresu, pomyślała Verity. To najprawdopodobniej napięcie, które przez cały czas towarzyszyło jej podczas filmowania, a teraz się skumulowało. Spróbowała się do niej uśmiechnąć, jednak Ellen nie zareagowała.

- Możesz korzystać z głównego mikrofonu, tak jak zawsze, jednak mikrofon bezprzewodowy wyłapie wszystko, co będzie potrzebne Scottowi. Scott będzie filmował wszystko z tyłu, z miejsca, gdzie jesteśmy rozłożeni. Odstąpiliśmy od planu robienia zbliżeń podczas koncertu, gdyż mogłoby się to okazać zbyt rozprasające.

- Może chcesz jeszcze trochę szminki? - Cheryl zapytała córkę. - Nie chcesz chyba nieciekawie wyglądać. - Zerknęła na Verity ponad ramieniem Ellen, jakby była jej osobistą służącą.

- Mamo, przestań robić zamieszanie!

- Zostały dwie minuty! - zawołał pan Peters, kiedy główne światła na sali pogasły i ludzie zaczęli wreszcie zajmować swoje miejsca. - Wszyscy siadają! - Następnie pośpiesznie zbliżył się do Verity. - Liczę na ciebie, kochanie. Jeśli zapewnisz nam dobry początek, wtedy nikt nie zauważy, gdyby potem było coś nie tak. - Skinął w kierunku publiczności. - Nie zawieź mnie. - Po tych słowach minął ją i wszedł po schodkach na scenę.

W tym momencie Verity zobaczyła Jimmy'ego. Był prawie na samym końcu sali i przeciskał się między ludźmi, próbując przedostać się do przejścia. Pomachała mu, a on uśmiechnął się do niej. Verity aż podskoczyło serce na myśl, że Jimmy wreszcie jest tutaj. Uśmiechnęła się do niego radośnie, podczas gdy on omijał właśnie starszą panią na wózku inwalidzkim.

Verity zaczęła schodzić po schodkach w jego kierunku, ale w tej chwili, ni stąd, ni zowąd, na samym środku głównego przejścia pojawił się Denny, zmierzając ku niej z wyciągniętymi ramionami.

Wyglądał bardziej elegancko niż na którymkolwiek z ich wcześniejszych spotkań. Miał na sobie czarną marynarkę, fioletoworóżową koszulę i czarne spodnie. Przyciął swoją kozią bródkę, tak że teraz lepiej widać było jego usta. Uśmiechnął się do Verity, odsłaniając swoje doskonałe, białe zęby. Dziewczyna zawsze wyobrażała sobie, jak to będzie pokazać się z Dennyem w miejscu

publicznym, jednak teraz nic nie czuła. Żadnego łaskotania w brzuchu, żadnych palpacji serca. Nic.

- Udało mi się. - Oznajmił to takim tonem, jakby się spodziewał, że Verity zacznie mu bić brawo, po czym zamknął ją w ciasnym uścisku. Dziewczyna starała się go odepchnąć i dojrzeć Jimmy'ego, ale Denny uniemożliwił jej to, przyciskając usta do jej warg i wciskając jej do środka język. - Tęskniłem za tobą - rzucił jej gorąco do ucha, odsunawszy głowę.

Verity próbowała mu się wyrwać, kładąc dłonie na jego klatce piersiowej i odpychając go z całej siły.

- Wystarczy! - oświadczył szorstko Clive, wyłaniając się w swoim długim, skórzanym płaszczu z drugiego przejścia i unosząc brwi na widok Denny'ego. - Czas na ciebie, Verity - dodał, chwytając ją za ramię i wpychając na scenę, podczas gdy pan Peters, nie mogąc się doczekać, by zacząć, grał już na pianinie wstęp do Bridge over Troubled Water.

- Połam nogi! - zawołał za nią Denny i Verity obejrzała się. Zobaczyła, że zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Z desperacją w oczach rozejrzała się za Jimmym, jednak najwyraźniej gdzieś znikł.

Kiedy Verity pojawiła się z przodu sceny, na widowni panowała już prawie zupełna cisza. Zerknęła na boczne przejście, gdzie wcześniej dostrzegła Jimmy'ego, ale w oczy świeciły jej sceniczne reflektory i nie widziała niczego oprócz ciemności.

Odczuwała piekące upokorzenie i ledwo mogła uwierzyć w to, że Denny miał tupet pocałować ją na oczach wszystkich. Wyczuwała na sobie jego spojrzenie, przez co czuła się bezbronna, tak jakby stała nago w promieniach ostrego, południowego słońca.

Cofnęła się myślami do ostatniego razu, kiedy widziała Denny'ego. Było to tydzień temu. Stał w oknie i patrzył, jak ona odjeżdża taksówką. Nie miał pojęcia, jak bardzo i na zawsze zmieniła ją ta noc. Nie zdawał sobie sprawy, jak mocno ją zranił i jak bardzo pospolita poczuła się przy nim.

Teraz Verity ledwie mogła znieść jego widok i samozadowolenie, z którym się obnosił, a które dawała mu świadomość ich wcześniejszego kontaktu fizycznego. Poczowała, że coś w niej usycha, kiedy pomyślała o tym, co się między nimi wydarzyło.

Gdy Verity zamknęła się w łazience w sobotnią noc po powrocie z mieszkania Denny'ego, czuła się brudna i splamiona. W swoim

pamiętniku zapisała gołe, koszmarne fakty, traktując to w pewnym sensie jako karę za to, że okazała się aż tak głupia. Przez cały tydzień czekała, by Denny zadzwonił do niej i przywrócił jej choć odrobinę godności. Tak się jednak nie stało. A teraz oto zjawił się i wpatrywał w nią z pierwszego rzędu, jakby stanowiła jego własność.

Po co ja to w ogóle robię, pomyślała, dostrzegając, że jej matka przygląda się jej z niepokojem i jednocześnie niecierpliwością. Może sprawiła to obecność Denny'ego i Cheryl i w zasadzie wszystkich, których знаła w Shoresby, że Verity poczuła się tania, jakby była jakąś prezentowaną na scenie małpką. Po pierwsze, w ogóle nie miała ochoty się tutaj znaleźć, a co więcej, nie cierpiała tej właśnie piosenki.

Pan Peters zagrał pierwszy akord. Była to dla Verity wskazówka, by zaczęła śpiewać, ona jednak stała jak wrośnięta w ziemię. Czy wszyscy ci ludzie nie widzieli, że jest oszustką? Świadoma była tego, że wpatrują się w nią z wyczekiwaniem, czekając na jej występ, czekając na Verity Driver, lokalny talent. W oddali, na tyłach sali, dostrzegła czerwony punkcik kamery Scotta.

Z jednej strony Verity kusilo, by uciec ze sceny, jednak wiedziała, że zachowałyby się wtedy jak tchórz.

Czuła narastającą panikę pana Petersa, siedzącego tuż obok przy pianinie. Nie mogła go zawieść. Przedstawienie musi trwać, pomyślała, gdy jeszcze raz zagrał wstęp. Gdzieś tam na sali znajduje się Jimmy. Otworzyła usta i nad głowami publiczności rozbrzmiały dźwięki piosenki, jednak jej głos przeznaczony był tylko dla uszu Jimmy'ego. Przez cały czas, gdy śpiewała, myślała o tym, jak była z nim wtedy w kaplicy, i o jego zachowaniu, kiedy na ścieżce zapytała go o Ryana. Po raz pierwszy pojęła wreszcie ogrom straty Jimmy'ego. Odeszła najbliższa mu osoba, a on nie był w stanie niczego w związku z tym zrobić.

Verity uświadomiła sobie, jak bardzo silny był Jimmy i jak wiele musiał mieć w sobie odwagi, by samemu poradzić sobie ze śmiercią Ryana. Był niesamowity, pomyślała. Jimmy był niesamowity i nie wiedział o tym nikt poza nią. Cofnęła się myślami do filmu, który wyświetlił jej na ścianie kaplicy, i tego, jak się poczuła, kiedy go zobaczyła. Verity była zaszokowana, ale coś w jej wnętrzu uświadomiło sobie, ile dla niego znaczyło przygotowanie czegoś takiego. A teraz musiała o tym powiedzieć Jimmy'emu. Musiała mu to wszystko powiedzieć, zanim będzie za późno. Kiedy w powietrzu

zawisła ostatnia nutka, Verity zupełnie nie cieszył aplauz zachwyconej publiczności. Na scenę wszedł Clive, klaszcząc razem z publicznością.

- Dziękujemy, dziękujemy - powiedział nieco chropawym głosem do mikrofonu. - Dziękujemy naszej wybitnie utalentowanej Verity Driver.

Verity ukloniła się, kiedy ponownie rozbrzmiały oklaski, a następnie usiadła z tyłu sceny.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj, by uczcić życie jednego z naszych - zaczął Clive. - Wszyscy znaleźmy Ryana, i dlatego rocznica jego tragicznej śmierci...

Verity wpatrywała się w dalsze rzędy i zauważyła, jak matka kiwa głową z udawaną szczerością. Zmrużyła oczy i lustrowała każde miejsce w poszukiwaniu Jimmy'ego, ale nigdzie nie było go widać.

Zanim nadeszła przerwa, Verity wiedziała już, że Jimmy musiał stąd wyjść, i z trudem mogła usiedzieć w bezruchu. Jednak dopóki kamera była wycelowana w szkolną orkiestrę, nie było możliwości, by dziewczyna niezauważona wymknęła się ze swojego miejsca. Każda komórka jej ciała drżała z niecierpliwości.

Musiała znaleźć Jimmy'ego i musiała to zrobić natychmiast.

Gdy szkolna orkiestra skończyła grać, Verity pierwsza zerwała się ze swojego krzesła. Widząc, że Denny wstaje z miejsca, pobiegła na drugi koniec sceny, gdyż wiedziała, że może tam zeskoczyć na dół. Dostrzegła przyjaciółkę Jimmy'ego, Tare, która właśnie podniosła się z krzesła i położyła na nim program koncertu. Miała na sobie czarną sukienkę nałożoną na dzinsy, a na głowę włożyła czarny kapelusz. Kiedy Verity podeszła bliżej, zobaczyła w jej nosie zielony, połyskujący kolczyk.

- Taro? - odezwała się Verity, przeciskając się przez tłum w jej kierunku. - Taro, widziałas Jimmy'ego?

Tara obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem. Jej powieki były ciężkie od ciemnozielonych cieni. Verity zastanawiała się, jak wiele Jimmy powiedział jej o ich znajomości i o wszystkim, co się zdarzyło, jednak teraz nie miała czasu, by zawracać sobie tym głowę.

- Był tutaj - wyjaśniła Verity, nie tracąc czasu na obrażanie się z powodu mało przyjaznego zachowania Tary. - Muszę z nim porozmawiać, ale nigdzie nie mogę go znaleźć.

Tara prychnęła i skrzyżowała ramiona na piersi.

- No tak - odparła. - Pewnie dał dyla. Zmarła mu dziś babcia. Dostał naprawdę niezły wycisk.

- Muszę lecieć - mruknęła Verity, oddalając się pospiesznie. Przepęłniał ją ból i współczucie. Po tym, co Jimmy powiedział jej w Appleforth House o swojej babci i o tym, jak bardzo jest mu ona bliska, Verity wiedziała, że jej śmierć kompletnie go załamała.

Musiała go znaleźć. Musiała go znaleźć. Natychmiast.

Ludzie zdążyli już ustawić się w kolejce po herbatę i trzeba było przeciskać się przez tłum, by dostać się do głównego przejścia. Każdy, kogo mijala, chciał ją poklepać i jej pogratulować. Dziękowała za komplementy, zmuszając się, by przy tym nie warczeć.

Wreszcie udało jej się dotrzeć do Scotta, który sprawdzał właśnie koło sceny jakieś kable.

- Hej - odezwał się. - Ładnie śpiewałaś.

- Widziałeś Jimmy'ego?

- Wyszedł - odparł mężczyzna, wstając.

- Kiedy?

- Zaraz na początku, przed twoim solowym występem.

- Ale...

- Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczęłaś się całować z Dennym.

Verity odwróciła się, nie będąc w stanie spojrzeć Scottowi prosto w twarz. Ostatnie, co Australijczyk widział, to Denny bijący Jimmy'ego, a teraz myślał pewnie...

Ale Verity zrobiło się niedobrze z przerażenia nie na myśl o tym, jaką opinię ma na jej temat Scott. Jimmy widział, jak całowała się z Dennym. Z pewnością pomyślał sobie, że tego chciała. Nie miał pojęcia, jak było naprawdę. Nie wiedział, co wtedy czuła, a teraz... teraz go niebyło... Ogarnęła ją desperacja. Wszystko się poplątało. To nie tak miało się wszystko potoczyć.

- Verity, Verity, tutaj jesteś - odezwała się jej matka, łapiąc ją za łokieć.

Verity strząsnęła jej rękę.

- Nie teraz, mamó, OK?

- Ellen powiedziała, że na końcu chciałaby przeprowadzić wywiad z tobą i ze mną - nadawała jej matka i Verity widziała, że wprost emanuje z niej wyczekiwanie. - Chce dać na zakończenie swojego dokumentu jakiś pozytywny akcent i pomyślałyśmy, że

mogłybyśmy powiedzieć coś na temat nadziei na przyszłość młodych ludzi z Shoresby. A jakie to nadzieje na przyszłość? No cóż, powiedziałam, że to jesteś, rzecz jasna, ty! Możemy porozmawiać o tym, jak dbaliśmy o twoje talenty i jak się czujesz...

Verity poczuła niesamowity przyływ energii i popatrzyła na matkę z niepohamowaną odrazą.

- Wiesz co, mam - przerwała jej. - Mam już dosyć ludzi, którzy mówią mi, co powinnam czuć i co powinnam robić.

- Nie ma teraz czasu na komedianctwo, Verity. Musisz myśleć o swojej przyszłości.

Przyszłości? Co jej matka może wiedzieć na temat przyszłości, jakiej pragnie Verity? W tej chwili dla zapewnienia sobie spokojnej przyszłości musiała znaleźć Jimmy'ego, ale nie mogła tego powiedzieć swojej matce. A nawet gdyby jej o tym powiedziała, Cheryl nie zrozumiałaby tego.

- Och, na miłość boską, mam! - rzuciła tylko.

- Nie mów do mnie takim tonem. Ellen to naprawdę niezwykle przydatny kontakt. Twoja przyszłość w...

- Daj spokój - przerwała jej Verity, którą zaczynał dusić tłumiony gniew. Złowrogo zniżyła głos i popatrzyła na swoją matkę. - To nie chodzi o moją przyszłość, prawda?

- Verity?

- To chodzi o ciebie, mam. Zawsze chodziło tylko o ciebie.

- Nie możesz tak mówić! To nieprawda...

- Jeśli tak bardzo chciałybyś się znaleźć w telewizji, w takim razie sama zrób ze sobą wywiad. Jestem pewna, że będziesz miała wiele do powiedzenia.

Cheryl Driver gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Wiesz, gównu mnie to wszystko obchodzi - kontynuowała Verity, wymawiając powoli poszczególne słowa. - Słyszysz mnie? Absolutnie nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę tego wywiadu z tobą, ponieważ opierałby się on jedynie na kłamstwach. Nienawidzę publicznie śpiewać. Nie zdążyłaś tego jeszcze zauważyć? Nienawidzę tej osoby, do zostania którą mnie zmuszasz.

- Kim zostałaś? Kimś zostałaś? Powiem ci, kim zostałaś. Nie myśl, że nie wiem, że sypiasz z tym Dennyem Shaplandem...

Verity zmusiła się do zachowania spokoju.

- A skąd o tym wiesz? Czytałaś mój pamiętnik, prawda?

Cheryl Driver poczerwieniała na twarzy i dotknęła swoich włosów.

- Nie - odparła, ale na ułamek sekundy jej przemowa straciła na sile. - Nieważne, skąd wiem. Po prostu wiem i...

Verity usłyszała już wystarczająco. Przytłoczył ją ogrom hipokryzji jej matki. Przygotowała się i zmusiła, by spojrzeć matce prosto w oczy, po czym rzekła:

- Ja także znam niektóre z twoich tajemnic, mamó. Więc zanim zaczniesz znowu wydawać sądy na temat mojego życia... - Verity poczuła, że cała drży. Dalsze słowa wypowiedziała szeptem, gdyż w gardle czuła wielką gulę: - Proponuję, byś najpierw uporządkowała swoje.

Następnie, zanim jej matka miała szansę, by cokolwiek powiedzieć, Verity odwróciła się do niej plecami i oddaliła głównym przejściem, trzęsąc się z dziwnym poczuciem zwycięstwa. Ledwie była w stanie uwierzyć, że chociaż raz w życiu udało jej się uciszyć matkę.

- Verity, dokąd idziesz? - Teraz na jej drodze pojawił się Denny.

Dlaczego nie mogła się stąd spokojnie wydostać? Czuła się tak, jakby została uwięziona w jakimś potwornym torze z przeszkodami.

- Proszę, pozwól mi odejść, Denny - rzekła błagalnie, starając się precyzyjnie obok niego.

- Verity - wyszeptał i zbliżył się do niej. - Co w ciebie wstąpiło? Wiele wysiłku włożyłem w to, by się dziś tutaj zjawić.

- Och! Prawie tyle samo wysiłku, co w zadzwonienie do mnie przez cały ubiegły tydzień?

Wpatrywała się w niego, a w jej wnętrzu bulgotała odraza i żal. Jak mogła kiedykolwiek uważać go za atrakcyjnego? Jak mogła pozwolić na to, by znaleźć się teraz w takiej sytuacji? Nie szanował jej, ranił jej uczucia i Verity zapragnęła teraz w odwecie zranić go równie mocno.

- Byłem zajęty - odparł Denny, wzruszając ramionami.

- Mówiłem ci, że jadę w interesach.

- Biedaczek.

Nagle usłyszała swój głos przez głośniki. Scott musiał przez pomyłkę włączyć jej mikrofon, który zapomniała odpiąć. Ale nie obchodziło ją to. Nie obchodziło ją, kto usłyszy to, co ma do powiedzenia.

- Daj spokój, mała - odezwał się Denny, rozglądając się nerwowo. - Może powinniśmy porozmawiać.

Przez tłum przebiegły kaskady śmiechu, gdy ludzie zaczęli uświadamiać sobie, co się dzieje. Denny chwycił Verity za ramię.

- Puść mnie - rzuciła, a jej głos rozbrzmiał w całej sali.

- To skończone, Denny. Słyszysz mnie? Cokolwiek nas żalosego łączyło, teraz to już skończone. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Byłam wielką idiotką i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nawet cię nie lubię.

- Dalej, dziewczyno! - zawołała gdzieś w tłumie Tara.

- Nie możesz ze mną w ten sposób rozmawiać! - zażądał Denny.

- A dlaczego nie?

- Ponieważ jestem twoim chłopakiem.

Przez salę przetoczył się kolejny wybuch śmiechu i Denny obrócił się z furją, próbując wykryć winowajcę.

- Nie, nie jesteś - poinformowała go Verity. - Myślisz, że jesteś taki wspianały. Ale jesteś najbardziej oszukańczą i arogancką świnią, jaką kiedykolwiek spotkałam. A... a w łóżku jesteś do dupy - dodała, po czym oderwała z sukni mikrofon i pobięła przez przejście, odpychając ludzi z drogi.

Verity nic nie obchodziło. Wiedziała, że jej reakcja była zbyt gwałtowna. Denny nie był najbardziej oszukańczą, arogancką świnią, jaką знаła. Był po prostu świnią jedną z wielu. Nie, prawdziwym powodem, dla którego nie chciała już Denny'ego Shaplana, było to, że pragnęła kogoś innego.

Prawie nie mogła uwierzyć w to, jak łatwo było mu się postawić. Było to tak, jakby z oczu spadły jej wszystkie dotychczasowe klapki. Wreszcie wyrwała się spod jego uroku i wreszcie odkryła prawdę.

Przy drzwiach podała Scottowi mikrofon, a on odpiął niewielki odbiornik, który miała przymocowany z tyłu do paska.

- Dziękuję - rzekła do niego, po czym otworzyła drzwi i wybiegła w noc, by znaleźć jedyną osobę, która się dla niej liczyła, wiedząc, gdzie może teraz być, i z całego serca mając nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Mroźne powietrze wbijało się w knykcie Jimmy'ego niczym zęby, a jego uszy wypełniał ryk silnika krosowca. Zmienił bieg i dodał gazu, jadąc teraz skradzionym motorem z prędkością prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Światło reflektora omiatało po drodze kamienie, patyki i wyrwy w ścieżce. Jimmy gwałtownie skręcił w prawo, potem w lewo, a następnie jeszcze raz w prawo. Prawie wszystko, co znajdowało się poza zasięgiem reflektora, było ledwie widoczne. Ściana jeżyn i ostrokrzewu po jego lewej stronie stanowiła jedynie zwartą masę oświetlanej księżycem purpury, a wysoki na półtora metra gąszcz po prawej stronie był niczym więcej niż tylko czarną plamą.

Jednak ponad tym - w miejscu, gdzie ścieżka, którą jechał, wydostawała się na otwartą przestrzeń - wszystko stało się wyraźne. Tam rozciągała się przed nim nieskończoność oświetlanego gwiazdami nieba. Tam księżyc stanowił idealny okrąg. Tam do nieba mrugały miliony fal. I tam - jeśli miałyby teraz zboczyć ze ścieżki albo zostać wyrzuconym z siodełka, najechawszy na koleinę - zniknąłby ponad krawędzią klifu, a jego przyszłość także stałaby się wyraźna. Ponieważ nie miałyby już wtedy żadnej przyszłości. Ponieważ wtedy już by nie żył.

W znajdującym się kawałek dalej żywopłocie zamigotały dwa czerwone punkciki - oczy jakiegoś zwierzęcia, na które natrafił snop światła. Jimmy nie wiedział jednak, czy był to lis czy gronostaj, a może sowa, i, prawdę mówiąc, ani trochę go to nie obchodziło.

Był wcięty, zdążył opróżnić pół butelki Smirnoffa Red. Flaszka z wódką tkwiła w wewnętrznej kieszeni jego skórzanej kurtki, przyciskając się do jego serca. Zabrał ją z Wraku jakieś pięć minut temu. Zostawiwszy motor na ścieżce tak blisko, jak się dało, przeszedł resztę drogi pieszo i kopniakiem otworzył drzwi. Butelka Smirnoffa znajdowała się za ołtarzem w zardzewiałej, wojskowej skrzyni na amunicję, schowana razem z zapakowaną paczką wędzonego łososia Orkney Island, bochenkiem razowego chleba i miniszampanem Moët & Chandon. Data ważności łososia zdążyła już minąć, a chleb zaczęła pożerać pleśń. Jimmy wziął małą butelkę szampana i rozbił ją o ścianę. Poza wódką - która została po Rynie - Jimmy kupił to wszystko w supermarkecie przed dwoma dniami, zanim zabrał Verity do Wraku, by jej pokazać film i wyznać swoje uczucia. Miał w

planach mały piknik, gdyby mu powiedziała, że czuje to samo. Tak się jednak nie stało.

Opierając się o ścianę Wraku, Jimmy wypił tyle wódki, ile tylko był w stanie bez natychmiastowego zwymiotowania. I z każdym gorzkim łykiem w jego głowie pojawiał się coraz wyraźniejszy obraz Verity całującej w Domu Kultury Denny'ego. To by więc było na tyle, jeśli chodzi o jej dezorientację... Skoro potrzebowała czasu, by wszystko przemyśleć, otrzymała go i wybrała związek, ale nie z Jimmym.

Wszystko, co posiadał, wszystko, co jej pokazał... swoją duszę... to, co lubił... kim był... Prawda była taka, że niczego z tego nie chciała.

Niska gałąź wysunęła się z ciemności niczym ramię flipera. Jimmy uchylił się, przyciskając głowę do zbiornika z paliwem. Krasowiec zachwiał się pod nim. Próbując zapanować nad kierownicą, zmusił się do ponownego wyprostowania. W jego twarz uderzył podmuch gwałtownego wiatru.

Bycie pijanym było lepsze niż pozostanie trzeźwym. Teraz był tego pewny. Tak samo jak jazda, podczas której każdy nerw w jego ciele krzyczał, by się zatrzymał, była lepsza niż czucie się martwym. A tak właśnie czuł się Jimmy, kiedy dziś rano usłyszał wiadomość o swojej babci. Czuł się martwy przez cały rok, który upłynął od śmierci Ryana. Jedynie Verity sprawiła, że na nowo ożył. Ale znowu poczuł się martwy, kiedy ujrzał, jak ona całuje się z Dennyem.

Wszystko się skończyło, prawda? Wszystko, co jest dla ciebie ważne, kończy się prędzej czy później. Jaki więc ma sens, by ci na czymkolwiek zależało?

Na chwilę przed oczami Jimmy'ego pojawiła się twarz babci. Jej oczy i usta były zamknięte. Zrobili to, sprawili, że dobrze wyglądała - pielęgniarka albo doktor Kennedy, czy też ktoś, kto rano sprawdził jej puls po to tylko, by się przekonać, że już go nie ma. Zrobili wszystko, żeby Jimmy'emu i Rachel było łatwiej, kiedy już przybyli do Hospicjum Williama Bentleya po tym, jak dowiedzieli się telefonicznie o tym, co się stało.

Tak jak wtedy, także i teraz w świadomości Jimmy'ego babcia wyglądała pogodnie, jakby spała, spokojnie sobie odpoczywając. To wszystko były komunały, nieprawdaż? W to miał właśnie wierzyć, no nie? Że jego babcia wreszcie odnalazła spokój. Nie widać było po niej

ani odrobiny przebytego cierpienia. Na jej nieruchomych ustach widniał nikły ślad uśmiechu, tak jakby na śmierć - tę puentę życia - warto było jednak czekać. Na twarzy babci nie malowało się najmniejsze nawet przerażenie.

Nie tak jak na twarzy Ryana. Nie było tam nikogo, kto zamknąłby mu oczy. Zginął z otwartymi oczami, dzikimi i przepełnionymi strachem. I nie było tam nikogo, kto zamknąłby jego usta. Były rozwarte na całą szerokość i wykrzykiwały imię Jimmy'ego.

Jimmy dodał teraz więcej gazu, rzucając motorowi wyzwanie, by maszyna pokazała mu, na co ją stać. Znowu zmienił bieg i motorem ponownie szarpnęło. Wskaźnik prędkościomierza przesunął się na siedemdziesiątkę.

- Będę żył zawsze! - zawołał na cały głos w niebo, tak jak dokładnie rok temu uczynił to Ryan.

Jednak w tym samym czasie wiedział, że nie był Ryanem. Nie był martwy. Jeszcze nie. Nie on. Nie Jimmy Jones.

Silnik motoru wył niczym osaczone zwierzę. Jeżyny napierały na ręce i nogi Jimmy'ego. Rama motoru podskoczyła na następnych koleinach i kamieniach. Całe ciało Jimmy'ego wibrowało, a zęby uderzały o siebie z taką siłą, jakby miały zaraz wypaść z jego ust niczym kostki do gry. Wskaźnik prędkościomierza wskazywał teraz dziewięćdziesiątkę.

Przed nim ścieżka wśród zarośli rozszerzała się i przechodziła w polanę. Jimmy znał to miejsce - Chryste, jak dobrze je znał! Na lewo odchodziła ścieżka dla traktorów, która prowadziła do samego serca Appleforth House. A na prawo było Wzgórze Straconych Dusz.

Kto nie podejmuje teraz ryzyka?, pragnął zapytać Tarę.

Tyle że jej tutaj nie było.

Lepsze niż dragi, pragnął zgodzić się z Ryanem. Tyle że Ryan był martwy.

Ścieżka szybko uciekała spod kół motoru i Jimmy skręcił kierownicą w stronę krawędzi klifu, zastanawiając się, jak blisko podjedzie, zanim zahamuje, i czy w ogóle to zrobi.

- Na zawsze! - zakrzyknął ponownie.

Jednak tym razem nie dodał gazu, lecz zaczął gwałtownie hamować. Ponieważ tam, prosto przed nim, na drodze stała Verity Driver.

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie: Jimmy puszcza gaz; Jimmy naciska hamulec; w głowie Jimmy'ego pojawia się szalone pragnienie, by poddać motor testowi; Jimmy i motor zbliżają się gwałtownie do Verity; Verity stoi niczym wrośnięta w ziemię; ryk silnika cichnie; koła motoru syczą i chrzęszczą; unosi się kurz; Jimmy zerka na księżyc i gwiazdy, jednak pod kompletnie niewłaściwym kątem; motor podskakuje teraz dziko, mija Verity, coraz bardziej zbliża się do urwiska; Jimmy odzyskuje równowagę, z całej siły podciąga się w górę, a jego mięśnie brzucha są niczym elastyczne bandażę, które zaraz pękną; motor skręca gwałtownie tuż przed urwiskiem...

I wtedy huk.

Wszystko ponownie przyspieszyło: odgłos łamanych gałęzi; szum liści; gorąco silnika na nogach Jimmy'ego i woń palącego się oleju.

I wówczas wszystko się zatrzymało.

Jimmy ujrzał, że otacza go bariera liści, ale to był prawdziwy cud: on i motor nadal znajdowali się w pozycji pionowej, a silnik wciąż chodził, tyle że jego dźwięk nie był już ogłuszający, lecz niski i spokojny, jako że pracował teraz na jałowym biegu - na tyle cicho, by Jimmy usłyszał za sobą krzyk.

- Jimmy! - To była Verity.

Próbował się odwrócić, jednak jego dłonie wciąż kurczowo ścisnęły kierownicę, jakby nagle uzyskały autonomię i nie ufały już reszcie ciała. Jimmy spojrział na prawo i lewo, jednak jedyne, co dojrzał, to stratowane orlice i paprocie oraz potężne, pozbawione liści rośliny, których nie potrafił nazwać.

- Jimmy! - zawołała ponownie Verity. - Nic ci się nie stało?

Szarpnął za kierownicę, próbując odciągnąć motor do tyłu, jednak ten ani drgnął. Teraz jednak Jimmy myślał już nieco jaśniej. Wyłączył silnik, słuchając, jak charczy i gaśnie, a następnie zsunął się z motoru.

Poruszył całym ciałem, czekając na przeszywający go ból, czekając na to, że ból złamanej kończyny bądź żebra powali go na kolana. Jednak zamiast tego niczego nie poczuł, jakby to był sen, jakby był w stanie skoczyć na główkę z pięćdziesięciopiętrowego budynku i wstać w chwili, gdy złączył się z ulicą. Przyszło mu do głowy, że może nic nie ma znaczenia: czyn i konsekwencje, życie i śmierć, i miłość. Może to wszystko istniało jedynie w wyobraźni i

szaleństwem z jego strony było, że miało to dla niego takie znaczenie. Jimmy podniósł tylne koło krosowca i wyciągnął go z zarośli.

Wtedy właśnie odzyskał poczucie rzeczywistości i nagle stał się świadomy obecności Verity - tak bardzo znajomej sylwetki - która wyciągnęła rękę, by go dotknąć.

- Nie dotykaj mnie - nakazał jej, uchylając się i odwracając motor. Nie chciał, by ona była tutaj. Nie chciał jej widzieć nigdy więcej.

- Ale... - zaczęła, ponownie wyciągając w jego kierunku rękę.

- Ale co! - warknął, wsiadając na motor. - Daj mi spokój.

Verity stała tak, że jej stopy znajdowały się po obu stronach przedniego koła. Chwyciła za kierownicę, dotykając tym samym dłoni Jimmy'ego.

- Jesteś pijany - oświadczyła bez ogródek, patrząc mu w oczy. - Zsiadaj.

Jimmy szarpnął motorem, próbując go zapalić, jednak nie udało mu się.

- Odejdź.

Verity twardo nie ruszała się z miejsca.

- Najpierw będziesz mnie musiał przejechać - oświadczyła.

Wpatrywał się w nią. Włosy miała wysoko spięte, jednak kilka pasm wysunęło się i opadało teraz na jej ramiona. Wciąż miała na sobie długą, czarną sukienkę, którą włożyła na koncert. Pod oczami niczym barwy wojenne widniały smugi rozmazanego tuszu do rzęs. Popatrzył na jej buty na wysokich obcasach, dzięki którym wydawała się naprawdę wysoka. Wszystko z nią związane - począwszy od sposobu, w jaki do niego mówiła, po strój, jaki miała na sobie - nagle wydało mu się dorosłe i nieosiągalne.

- Wracaj na ten wasz głupi koncert - odparował. - To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Co nie ma? - chciała wiedzieć. - Ty, decydujący się zjechać z urwiska?

- Ja nie... - zaczął zaprzeczać. Jednak nie dokończył. Co on w ogóle zamierzał wcześniej zrobić? Nie był pewny. Był skołowany i kręciło mu się w głowie. Miotał się między stanem upojenia alkoholowego a chłodną trzeźwością.

- To, co widziałeś - odezwała się Verity. - To, co zobaczyłeś... mnie i Denny'ego... to nic nie znaczyło.

Za kogo ona go uważała? Głupiego? Nie miało jednak żadnego sensu wdawanie się z nią w rozmowy. Zrobił już z siebie wystarczającego głupca. I nie zamierzał pozwolić jej myśleć, że to przez nią. Nie miał zamiaru zrzucać na nią całej winy za to. Przez miniony rok balansował na krawędzi. Ona jedynie stanowiła kroplę, która przelała czarę.

- Pieprzyć Denny'ego - rzucił. - Gówno mnie to wszystko obchodzi. I ty, Verity, też się pieprz.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, ale po chwili coś się zmieniło w wyrazie jej twarzy. Pojawiło się na niej współczucie.

- Wiem o twojej babci, Jimmy - rzekła cicho. - Tara powiedziała mi, co się stało, i jeśli chodzi tylko i wyłącznie o to, w takim razie możemy porozmawiać. Bez względu na to, o co chodzi - dodała z niepokojem - i tak możemy porozmawiać.

Ponownie przed jego oczami pojawił się obraz babci.

- Była dobrą kobietą - powiedział, patrząc Verity prosto w oczy. - Kochałem ją. Nie zasłużyła, by umrzeć, nie w taki sposób: zupełnie sama w ciemności.

- Wiem, Jimmy, wiem.

- Nie - odwarknął. - Gówno wiesz. Nie wiesz o niej zupełnie nic. I o mnie też. I o tym... i...

Nagle uświadomił sobie, że dłonie Verity zaciskają się na jego dłoniach.

- Pragnę ci pomóc, Jimmy.

- Ty tego nie rozumiesz - odparł, strząsając jej rękę. - Nie było cię tam. Nie widziałaś tego, co się stało. Nie widziałaś, co ja zrobiłem. - Słowa te wydostawały się z jego ust bardzo szybko, jakby udało im się pokonać jakąś wewnętrzną zaporę.

Masz wszystko pod kontrolą, krzyczał głos w środku Jimmy'ego. Nikt nie może zajrzeć do twoich myśli. Nikt cię nie zmusi do mówienia o tym, co widziałeś, ani o tym, co zrobiłeś.

Ale on nie miał wszystkiego pod kontrolą. Nie potrafił już dłużej dusić w sobie wszystkiego. Nie potrafił zmierzyć się z tym w pojedynkę. Pragnął opowiedzieć to komuś. Pragnął się tym podzielić i usłyszeć, że nie jest złym człowiekiem. Pragnął usłyszeć to właśnie od niej.

Oddech Jimmy'ego był teraz płytki i urywany.

- Wszyscy ci ludzie na koncercie... Nikt z nich nie wie, co się naprawdę stało...

- Co takiego? - zapytała Verity.

- Tej nocy, kiedy zginął Ryan! - zawołał Jimmy.

Zsiadł z motoru, rzucił go na ziemię, nie dbając o to, czy uderzy Verity, czy też nie. Przecisnął się koło niej i stanął na samym środku polany.

- Tutaj.

Verity ruszyła w jego kierunku, jednak on już na nią nie patrzył.

Wpatrywał się w ścieżkę dla traktorów, która oddalała się od Wzgórza Straconych Dusz.

- To był wypadek. Ryan nie chciał umrzeć. To była taka gra - rzucił Jimmy. - Jedynie głupia, pieprzona gra.

- Ale ja nie rozumiem. Skąd możesz...

- Ponieważ ja też tutaj byłem! - Głos Jimmy'ego przeszedł w skowyt. - Ponieważ, kurwa, tutaj byłem...

Wyobraził sobie nieruchomą, skradzioną mazdę MX - 5 tamtej nocy, kiedy zginął Ryan, i gdy to uczynił, obraz zamazał się, gdyż jego oczy wypełniły się łzami.

Ryan dodał gazu w kabriolecie zwiniętym z parkingu hotelu George Inn. Nie minęło nawet dziesięć minut, odkąd zawołał w niebo: „Na zawsze!” Był nawalony, jednak nie aż tak, by nie poradzić sobie z uruchomieniem samochodu i dotarciem nim do posiadłości Appleforth, nie będąc zauważonym przez gliny.

To był naprawdę piękny samochód: koła z metalowymi obręczami, wykończenie wnętrza z aluminium i podgrzewane, brązowe, skórzane fotele. Miał teraz opuszczony dach, a lakier w kolorze tytanu zdawał się połyskiwać i przemieszczać w świetle księżycy niczym rtęć.

- Ale maszyna - gwizdnął z uznaniem Ryan, kiedy wyłączył silnik i pozwolił samochodowi toczyć się powoli na drodze prowadzącej do Wzgórza Straconych Dusz.

Jimmy siedział obok na fotelu pasażera. Miał włosy krótsze niż teraz. Podrapał się po głowie, która swędziała go po jeździe z opuszczonym dachem. Rozejrzał się, ogromnie zdenerwowany tym, że siedzi w skradzionym samochodzie tak blisko domu. Mdliło go przez całą drogę z miasta, kiedy to męczył go paranoiczny lęk, że zostaną złapani i zapuszkowani. Przerażony był, jak szybko jego

przyszłość (wyniesienie się z mieszkania i tego niewielkiego zakątka świata, ambicje związane ze szkołą filmową, nagrody za prace, które zaczął prezentować w szkole) może mu zostać wydartą. Jego żołądek zachowywał się jak jo - jo. Chciało mu się wymiotować. Nie mógł już dłużej grzebać się w tym gównie. Nawalenie się i obwożenie samochodami należącymi do innych ludzi już go nie rajcowało. Jednak Ryan był jego najlepszym przyjacielem i nie chciał go zawieść.

Jakby wyczuwając rozterki Jimmy'ego, Ryan nachylił się w jego stronę. Jego oddech zionął alkoholem, a jego oliwkowoczarne oczy wpatrywały się w Jimmy'ego.

- Sądzę, że zasłużyliśmy sobie na skręta - oświadczył, ścisząc płytę Eminema tak bardzo, że ledwie było ją słyszeć. - Mam czynić honory? - Nie czekając na odpowiedź, Ryan wyciągnął z kieszeni swoje zapasy i zaczął rolować skręta.

Cisza, która wtedy zapanowała, wydała się Jimmy'emu przytłaczająca. Odchylił głowę i popatrzył na nocne niebo, oddychając z ulgą, gdy do jego uszu nie dobiegł żaden odgłos ewentualnego pościgu. Ale mimo że niebezpieczeństwo minęło, i tak pozostał pijany i świat wokół niego wirował, a mdłości nie ustąpiły.

- Hej, Ryan? - zapytał, zmuszając się do rozmowy, zmuszając się do porzucenia ponurych myśli. - Pamiętasz, jak kiedyś popłynęliśmy do tej łodzi motorowej, która była zacumowana na środku zatoki?

- Łódź kabinowa Kevina Watsona... - Rozległo się pstryknięcie i szum zapalanej zapalniczki. - Kurwa, taa... - odparł Ryan i zachichotał. - Ile mieliśmy wtedy lat? Jedenaście czy dwanaście? Najwyżej trzynaście? To było cholernie szalone.

- Ja miałem jedenaście lat - rzekł Jimmy, zdążywszy zlokalizować Wielki Wóz, zanim złowroga, czarna chmura nie zakryła po kolei wszystkich siedmiu gwiazd.

- Taa, ale płynąłeś tak ostro, jakbyś był sporo starszy, no nie? Obaj tak płynęliśmy.

- Musieliśmy - przypomniał mu Jimmy. - Inaczej byśmy utonęli. To było jakieś osiemset metrów do łodzi i tyle samo z powrotem. I było przeraźliwie zimno. Gdybyśmy nie zrobili tego tak szybko, padlibyśmy i taki byłby finał. Znalezione by nas wyrzuconych na brzegu, rozdętych i martwych.

Ryan parsknął śmiechem.



- Chryste, ty to masz wyobraźnię, Jimmy. Dostarczyłbym cię całego i zdrowego, nie musiałeś się o to martwić.

Jimmy nie odpowiedział, wiedząc, że Ryan naprawdę miał na myśli to, co powiedział, wiedząc, że zaryzykowałby własne życie dla Jimmy'ego, tak samo jak Jimmy zaryzykowałby życie dla niego. Poczł szturchnięcie w zębra. Spojrzał na niego i wziął skręta. Czarne dżinsy Ryana rozdarte były na prawym kolanie, a w lewej dziurce nosa znajdowała się skorupa świeżo zaschniętej krwi: potknął się i runął jak długi na twarz, kiedy gonił Tarę po ulicy przed hotelem, zanim ona musiała iść do domu. Jego jaskrawopomarańczowa koszulka pochlapana była błotem, a daszek czapki baseballowej marki Nike zwisał nisko nad jego czołem, nie zdążywszy jeszcze wyschnąć po tym, jak wylądowała w kałuży.

- A co ci teraz o tym przypomniało? - zapytał Ryan, gładząc w zamyśleniu kciukiem po lewym baczku, który przyciął w taki sposób, że był teraz długi i trójkątny niczym nóż.

- Choroba morska.

- Co?

Od wschodu dobiegł ich odgłos grzmotu, całkiem głośny i bliski.

- Nieważne - odparł Jimmy.

W głowie Jimmy'ego pojawił się obraz jego i Ryana, wspinających się po łańcuchu od kotwicy niczym para chudych, wyczerpanych szczurów. To był ładny, mroźny dzień i na białym - niebieskim niebie mewy zataczały koła, skrzecząc niczym wygłodniałe niemowlęta. Jimmy i Ryan opadli na pokład łodzi w swoich ociekających wodą bokserkach i popatrzyli na plażę. Jimmy przypomniał sobie, jak dojrzeli Carla, machającego do nich z miejsca, gdzie pilnował ich ubrań. Carl był wtedy ich świetnym kumplem, ale tamtego roku przeprowadził się razem z rodziną do Londynu i już nigdy nie wrócił do Shoresby.

- Rozmawialiśmy o przyszłości - rzekł Jimmy, oddając skręta Ryanowi. - Tam, na łodzi, kiedy próbowaliśmy złapać oddech przed ruszeniem w drogę powrotną. Rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić, kiedy będziemy mieli tyle lat co teraz. - Kropla deszczu kapnęła Jimmy'emu na nos.

- Nie pamiętam - odparł Ryan. - To było dawno temu.

- Ja powiedziałem, że chciałbym mieć własną łódź. Zwierzyłem ci się z tego, co mi powiedział mój tata o żeglowaniu i zwiedzaniu

świata. Mówiłem ci, że gdybym tylko mógł zdobyć łódź, zanim skończę szkołę, wtedy mój tata chętnie spędzałby ze mną czas i mógłbym odpłynąć razem z nim i babcią, i już nigdy nie musielibyśmy się o nic martwić.

- A co ja mówiłem?

- Ty powiedziałeś, że chciałbyś mieć duży dom na wzgórzu i pracę w dużym mieście, lecz tylko do czasu, kiedy by cię to bawiło.

- Brzmi nieźle - ocenił Ryan. Jimmy dał sobie spokój z subtelnnością.

- Ale czy tego nie łapiesz, Ryan? - zapytał. - Ty w ogóle nie mówisz już o domu ani o pracy w mieście. Obchodzi cię jedynie zabawa.

- Przestań być tak cholernie poważny.

Jimmy pragnął powiedzieć przyjacielowi prawdę: że jego już coś takiego nie bawi. Próbował mu wyjaśnić, że w ciągu ostatniego roku dorósł i chciał się stąd wydostać, wydostać się z samochodu i z takiego stylu życia. Usiłował mu powiedzieć, że chciałby, aby obaj wspólnie wrócili pieszo do miasteczka. Próbował przypomnieć Ryanowi o tym, jakimi ludźmi mieli kiedyś nadzieję się stać.

- Ja tylko...

Ale Ryan nie chciał tego wiedzieć.

- No cóż, w takim razie przestań, OK? - przerwał mu. - Nie potrzebuję, by ktoś prawił mi kazania. Ambicje się zmieniają, Jimmy. Robisz się starszy i uświadamiasz sobie, że nigdy nie zdobędziesz wszystkiego, czego chcesz, tylko dlatego, że tego właśnie pragniesz. Wykorzystujesz więc jak najlepiej to, co możesz mieć, OK? I nie mów mi tylko, że to jest coś innego, bo nie jest.

- A jeśli ja chcę więcej? - zaprotestował Jimmy. Ryan wzruszył ramionami.

- Nie wiem, Jimmy. Może musisz sam nad tym pogłównkować. - Wcisnął przycisk wysuwający płytę z supernowoczesnego sprzętu grającego. - A może po prostu nie wiesz, co to jest zabawa, co?

- Może - odparł Jimmy, ponieważ Ryan mógł mieć rację. Może Jimmy był jedynie nawalony i jutro rano nie będzie go obchodziła żadna z tych kwestii. Może zabawa była tak naprawdę jedynym, co się liczyło.

- Dość więc tego udawania - kontynuował Ryan, biorąc do ręki płytę Eminema i rzucając ją niczym frisbee w krzaki. - Zafundujmy sobie prawdziwy odlot.

- To znaczy? - zapytał Jimmy, biorąc od niego skręta i głęboko się zaciągając.

- Kto pierwszy stchórzy - odparł jego przyjaciel, patrząc na ścieżkę wiodącą na Wzgórze Straconych Dusz i uruchamiając w tym samym czasie silnik. - Ustawię nas ładnie i prosto, a potem ja zamknę oczy i będę dodawał gazu - wyjaśnił. - A ty... ty krzykniesz „stop”. To twoja robota. A kiedy to zrobisz, ja wcisnę hamulec i zobaczymy, jak blisko krawędzi urwiska uda nam się znaleźć. Mogę ci zaufać, Jimmy? Mogę ci teraz zaufać?

Jimmy wyrzucił skręta. W porządku, był nawalony, ale nie aż tak.

- Nie - odparł. - Możesz o tym zapomnieć.

- Za późno - rzucił Ryan, wrzucając pierwszy bieg i wciskając gaz.

Samochód ruszył do przodu z taką siłą, że Jimmy'ego wcisnęło w fotel.

- Zatrzymaj się! - zawołał ponad rykiem silnika, kiedy Ryan dwójkę zmienił na trójkę.

- To twoja robota! - odkrzyknął Ryan ze śmiechem.

Jechali już ponad osiemdziesiąt na godzinę. Dojeżdżali właśnie do końca polany, gdzie szczyt klifu kończył się urwiskiem. Ryan zdążył już - Jimmy wychylił się i zerknął w lusterko - zamknąć oczy, a na jego twarzy widniał uśmiech szaleńca.

- Stop! - krzyknął Jimmy. Ponieważ dla niego było to już za wiele. Ponieważ był pijany i naćpany, tak samo jak Ryan, i nie ufał reakcjom żadnego z nich.

Jednak Ryan nie zatrzymał się, ponieważ - z czego Jimmy nagle zdał sobie sprawę - on tak naprawdę nie krzyknął. Był zbyt przerażony, by wydobyć z siebie głos. Słowo to utkwilo w jego gardle. Zamiast tego przekreślił się i kurczowo trzymał drzwi po swojej stronie. Zerknął na drogę. Dosłownie za sekundę wyjadą z polany.

- Stop!

I tym razem słowo to rzeczywiście wydostało się z jego ust i tym razem - dzięki ci, Chryste! - Ryan zareagował. Otworzył oczy, kiedy wyjeżdżali z polany. Gwałtowne hamowanie: szarpnął za hamulec

ręczny. Ale jechali zbyt szybko i udało mu się jedynie wprawić samochód we wściekłe wirowanie.

- O Jezu! - rozległ się krzyk Ryana.

Jimmy zaskowyczał. Z ogromną prędkością zbliżali się do krawędzi urwiska. Nie uda im się w porę zatrzymać. Siła rozpędu samochodu ciągnęła ich naprzód. Ziemia była zbyt wilgotna.

Opony się po niej ślizgały. Jechali teraz niecałe piętnaście kilometrów na godzinę, jednak zostało im mniej niż dwadzieścia metrów. Zbliżali się do przepaści. Jimmy nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Jimmy klęczał. Nad jego głową wirowało nocne niebo. Pojawiła się na nim błyskawica, przecinając ciemność. Nie klęczał już. Kucnął na skórzanym siedzeniu. Samochód obrócił się. Jimmy przeskoczył nad drzwiami. Kiedy lądował, tył samochodu otarł się o niego, popychając go na ziemię. Zdażył podnieść głowę, by dojrzeć, jak Ryan wpatruje się w niego przez przednią szybę, podczas gdy samochód obrócił się po raz ostatni. Usta Ryana były szeroko otwarte. Najlepszy przyjaciel Jimmy'ego wołał z przerażeniem jego imię.

I wtedy to się stało: podczas gdy z nieba nagle lunęły potoki deszczu, Ryan i samochód dotarli do skraju urwiska i zniknęli.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Verity obudziły trzeszczące pod naporem wiatru drzwi. Natychmiast otworzyła oczy i wzięła głęboki oddech, przestraszona widokiem nie znanego jej otoczenia. Po chwili przypomniała sobie, co się stało i gdzie się znajduje. Cicho odetchnęła, zupełnie już oprzytomniawszy. Drżała. Było tak zimno, że straciła czucie w stopach. Jej całe ciało było zeszywniałe i obolałe po nocy spędzonej na wilgotnym materacu na podłodze kaplicy. Błądziła wzrokiem po dużych, ciemnych przedmiotach pozostających w cieniu, jednak nie poruszała się.

Obok Verity leżał skulony Jimmy. Ciężkim ramieniem obejmował ją w talii. Spojrzała na jego twarz, oddaloną od jej twarzy zaledwie o kilka centymetrów. On jest taki ładny, pomyślała, pragnąc prześledzić palcem linię jego ciemnych brwi. Nie chciała go jednak jeszcze budzić. Zauważyła ciemne kręgi pod jego oczami i wiedziała, że byłby nadal wyczerpany.

Teraz, kiedy się w niego wpatrywała, Verity uświadomiła sobie, że jego twarz ma bardzo wiele cech, którym pragnęła się przyglądać. Nigdy wcześniej nie dostrzegła, że miał na szczęce małe placki, na których nie rosły włoski. Skóra tam była różowa. Pomyślała, jak bardzo Jimmy jest seksowny.

Verity zauważyła, że jego dłoń jest poraniona i obtarta i że trzyma ją blisko twarzy. Natychmiast zapragnęła ją pocałować. Powoli docierały do niej wydarzenia ubiegłej nocy i kiedy myślała o Jimmym, aż ją bolało serce. Ostatnie, co pamiętała po tym, jak przyprowadziła go tutaj, to że przytulała go do siebie, podczas gdy on rozpaczliwie szlochał. Najwyraźniej zasnęli tam, gdzie siedzieli.

Verity czuła na twarzy jego ciepły, równomierny oddech. Leżeli przykryci skórzaną kurtką Jimmy'ego przodem do siebie, ze splątanymi nogami, i dziewczyna cieszyła się, że przez sen ich ciała ułożyły się w kształt serca. Mimo że byli ubrani, nie chciała zmieniać ułożenia ich ciał.

Verity odwróciła minimalnie głowę, tak by mogła zobaczyć drzwi. W nocy zastawiła je od wewnątrz skrzynią, ale zauważyła teraz przy ich krawędzi pasmo srebrnego światła. A więc jest już rano, pomyślała, i nikt na świecie oprócz Jimmy'ego nie wie, gdzie ona jest. Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl.

Cicho, centymetr po centymetrze, Verity powoli odsunęła się od niego. Przeciągnęła się i pokręciła głową na wszystkie strony, by zmniejszyć ból w plecach. Kiedy wyprostowała ramiona, coś w nich przeskoczyło. Znieruchomiała, nie chcąc czynić ani odrobiny hałasu, by nie obudzić Jimmy'ego. Ostrożnie zdjęła buty, po czym podniosła je, wzięła też jeszcze na wpeł opróżnioną butelkę z wódką. Podeszła na palcach do drzwi, cicho odsunęła skrzynię i uchyliła je jedynie na tyle, by mogła się przez nie przecisnąć na zewnątrz.

W różowym świetle świtu szare chmury na srebrzystym horyzoncie wyglądały jak skaczące delfiny. Verity wzięła głęboki oddech, oszołomiona dostojnością tego widoku, i zmrużyła oczy na widok intensywnej barwy falującego morza. Zadrżała, częściowo z zimna, częściowo z radosnego podniecenia. Nadal miała na sobie swoją wyjściową sukienkę, ale jej dół był cały ubłocony, a rajstopy pełne oczek. W nocy z jej włosów powypadały spinki i teraz na plecy Verity opadała płatnina loków, jednak nie przeszkadzało jej to.

Nad jej głową szybowały śmiejące się do siebie mewy. Oczy Verity zwilgotniały od ostrego, słonego powietrza. Nałożyła buty, wylała w zarośla resztę wódki, po czym udała się w kierunku, w którym, jak sądziła, usytuowany był Appleforth House, by poszukać wody.

Verity wiedziała, że na tyłach ogrodu, niedaleko altany, przy której nakręcono kilka ujęć, znajduje się kran. Szybko weszła na ścieżkę, ciągnącą się wokół budynku i mimo że była niedziela, trzymała się blisko muru, uważając, by nie dostrzegł jej żaden z ewentualnie przebywających tutaj robotników. Nie chciała, by cokolwiek zepsuło ten poranek.

Gdy rzuciła okiem na rezydencję, zauważyła, że w wielu oknach były nowe szyby i ozdobne zasłony. Dzięki temu dom wyglądał na zamieszkały i Verity pomyślała, że jest naprawdę piękny.

Kiedy weszła do znajdującego się na tyłach budynku ogrodu i zaczęła szybko iść ścieżką, czuła się tak, jakby ona także po raz pierwszy w pełni otwierała się na świat. Było prawie tak, jakby do tej pory przebywała w zakurzonej korytarzu wewnątrz siebie, a teraz otwierała na oścież drzwi swojej osobowości, odkrywając, że może być kimś zupełnie nowym. Kiedy w zasięgu jej wzroku pojawiła się altanka, Verity miała wrażenie, jakby ją całą przepelniało światło.

Zatrzymała się i popatrzyła na miejsce, gdzie pocałował ją Jimmy.

- To było prawdziwe - powiedziała na głos, po raz pierwszy myśląc o tym zdarzeniu bez wstydu ani poczucia winy. - To było prawdziwe. - Następnie uśmiechnęła się i zamknęła oczy, przypominając sobie uczucie, jakie towarzyszyło temu delikatnemu pocałunkowi, i jedyne, czego w tej chwili pragnęła, to znaleźć się z powrotem obok Jimmy'ego.

Gdy Verity wróciła z wodą, Jimmy poruszył się. Oddech dziewczyny był przyspieszony, gdyż drogę do kaplicy pokonała biegiem.

- Proszę - wyszeptała, klękając i podając mu butelkę. Widząc naklejkę na butelce, jęknął.

- To woda, głuptasie - zaśmiała się Verity.

Jimmy z wdzięcznością wziął od niej butelkę. Dziewczyna wstała i podskoczywszy, chwyciła za róg szmaty, która tkwiła w jednej ze szpar w ścianie. Kiedy ją stamtąd wyciągnęła, do środka kaplicy wlało się nieco przytłumionego światła i wydobyło wszystko z cienia.

Jimmy zamrugał i potarł oczy.

- Która godzina? - wychrypiał.

- Czy ja wiem? - odparła Verity, wzruszając ramionami, po czym usiadła obok niego. - Słońce wędruje już po niebie, jeśli to ci coś wyjaśni.

Jimmy wziął głęboki oddech i westchnął. Na długą chwilę zapanowała cisza. Verity objęła ramionami kolana. Rozległ się dźwięk odstawianej na kamienną podłogę butelki.

- Powiedziałem ci o Rynie, prawda?

Verity wyciągnęła rękę i na moment dotknęła twarzy Jimmy'ego.

- Cholera - rzucił Jimmy, przyciskając kciuki do kącików oczu.

- Nie mów tak. - Verity odciągnęła jego dłonie i zmusiła, by na nią spojrział. - Nie masz się czego wstydzić. Wszystko w porządku.

- Naprawdę? Nie znienawidziłaś mnie?

- Oczywiście, że nie! To był wypadek! To nie była twoja wina! - Verity wyciągnęła rękę i położyła ją na klatce piersiowej Jimmy'ego. Czują ciepło. - Nie mogę uwierzyć, że skrywałeś to w sobie przez cały ten czas.

Jimmy powoli ujął jej dłoń. Położył ją na swojej podrapanej, czerwonej ręce i przez dłuższą chwilę przyglądał się uważnie jej bladym palcom.

- Jak myślisz, co powinienem zrobić? - zapytał.

- Chyba będziesz musiał powiedzieć rodzicom Ryana. Niech zaznają trochę spokoju. Nie możesz pozwolić, by myśleli, że popełnił samobójstwo, skoro tak się nie stało.

Jimmy popatrzył na jej palce. Verity jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnęła kogoś przytulić.

- To zabawne - rzekł. - Przez cały ten rok, który upłynął od jego śmierci, przerażeniem napawała mnie myśl, że ktoś może mnie tutaj znaleźć. Jakby wszyscy mieli mnie winić. Albo policja miała mnie przymknąć.

- Dlaczego uważasz to za zabawne?

- Ponieważ teraz już mnie to nie przeraża. Nie, odkąd ci o wszystkim powiedziałem. - Jimmy ścisnął delikatnie jej palec wskazujący. - Dlaczego mi pomagasz? - zapytał. - Nie musisz tego robić.

Ale chcę. - Chwyciła jego dłoń z taką siłą, że Jimmy aż się skrzywił. - Przepraszam - rzekła i odsunęła włosy z twarzy. - Nie dałeś mi szansy, bym mogła ci wyjaśnić wczorajszy wieczór.

- Co wyjaśnić?

Verity wypuściła z płuc powietrze, po czym wzięła głęboki oddech.

- Teraz to się wydaje absurdalne...

- Nie, mów dalej - ponaglił ją Jimmy.

- Skończyłam z Dennyem. To znaczy... - Verity potrząsnęła głową, zirytowana na samą siebie. Głupio się czuła, wyjaśniając to Jimmy'emu, jednak po tym, co wyznał jej zeszłej nocy, musiała to z siebie wyrzucić. Okropnie było psuć ten moment wspomnianiem imienia Denny'ego, ale czuła się w obowiązku, by doprowadzić to do końca. - Wczoraj wieczorem na koncercie... kiedy uświadomiłam sobie, że wyszedłeś... kiedy uświadomiłam sobie, co zobaczyłeś, byłam zdesperowana...

Jimmy nie odezwał się ani słowem.

- Czułam się tak, jakby ten głupi koncert był zupełnie pozbawiony sensu. Denny wszystko tak bardzo pogorszył, a ja... ja chyba się pogubiłam. Rzuciłam go. Na oczach wszystkich. Scott



puścił to wszystko przez głośniki - dodała, a Jimmy wreszcie zaczął się uśmiechać. - Powiedziałam Denny'emu, że nawet go nie lubię i że jest do dupy w łóżku.

Uśmiech Jimmy'ego zniknął. Puścił jej rękę.

Verity wstała. Musiała się postarać, by dobrze to zrozumiał.

- Naprawdę był kiepski w łóżku. Nawet gorzej - rzekła. - To było okropne, Jimmy. Nienawidziłam każdej sekundy tego, co się działo. Nie powinnam była tego zrobić, ale sądziłam, że dzięki temu wszystko będzie OK. Tak bardzo się upierałam przy jakimś głupim ideale, uważając Denny'ego za kogoś, kim nigdy nie będzie... - Głos uwiązał jej w gardle i Verity popatrzyła na ścianę, na której Jimmy wyświetlił jej twarz i pokazał jej, jak wygląda w jego oczach. - To, co ty zrobiłeś... co ty zrobiłeś, było takie piękne. Poprosiłeś mnie, bym dokonała wyboru, ale widzisz... Zdażyłam już wcześniej dokonać złego. Jest mi tak bardzo, bardzo przykro...

Jimmy wstał. Objął ją i pogłaskał po włosach. Teraz, kiedy ją tulił, Verity uświadomiła sobie, jak bardzo była samotna. Było jej tak smutno i czuła się wytrącona z równowagi przez Denny'ego, jednak do tej pory nie miała nikogo, z kim mogłaby się podzielić swoim żalem. Ale zaufanie Jimmy'emu bardzo to wszystko ułatwiło. Teraz nie miało już to dla niej znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Tylko to, że Jimmy trzymał ją w swoich ramionach. Poczwała jego ciało przy swoim i wydawało jej się, że jego delikatne ciepło napędza ją siłą.

Wreszcie Jimmy odsunął się i ujął w dłonie jej twarz. Uśmiechnął się.

- Jeśli masz się dzięki temu lepiej poczuć, to wiedz, że motor, na którym jechałem wczoraj wieczorem, należy do niego.

- Ten, który porzuciliśmy w zaroślach? - Verity przypomniała sobie, jak wciągnęła motor w jeżyny po tym, jak Jimmy opowiedział jej o Ryanie. Przypomniała sobie, jak powiedziała mu, by go zostawił, i objęła go, bez słowa prowadząc do kaplicy, podczas gdy Jimmy zaczął płakać.

- Ten samiutki. Verity się zaśmiała.

- To dobrze. Przepraszam, Jimmy - zaczęła ponownie. - Chodzi mi o nas. Powinnam była zrozumieć to wcześniej.

- To nie ma znaczenia. To było wczoraj.

- A dzisiaj? - zapytała.

- Dzisiaj. Hm. Dzisiaj musimy tutaj posprzątać przed pojawieniem się ludzi Neda.

- Smutno ci?

Potrząsnął głową i rozejrzał się.

- Nie, tak naprawdę to nie. Już nie. Sądziłem, że będzie. - Jimmy wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Verity. - Ale teraz myślę, że nadszedł czas, by ruszyć dalej.

Jimmy opowiedział jej o czasie, który spędził w kaplicy razem z Ryanem, podczas gdy Verity pomagała mu w likwidacji ich ukochanej kryjówki.

- Był szaleńcem - rzekł ze śmiechem i Verity także nie potrafiła powstrzymać się przed uśmiechem.

- Lepšie to niż nie mieć jaj, by cokolwiek zrobić - odparła, wstając i przyglądając się efektom ich dotychczasowej pracy. Kiedy w szparach w ścianach nie tkwiła już żadna szmata, widziała teraz, jaka ta kaplica musiała być kiedyś piękna. Wypełniał ją odgłos pisku mew, promienie światła, w którym widać było unoszący się kurz.

- Jednak przerażał mnie też - rzekł Jimmy, a na jego twarzy malowała się powaga.

- Co masz przez to na myśli? Jimmy przez chwilę milczał.

- Wiesz, czasami czułem ulgę, że go tutaj nie ma. - Głośno przełknął ślinę. - Czy to nie straszne?

- Nie - odrzekła Verity i pomyślała o swojej matce, a także o Dennym. - Nie możesz żyć zgodnie z oczekiwaniami innych ludzi, nieważne, czy ich kochasz, czy też nie.

- Pragnął, bym był taki jak on, ale nie byłem. Verity wzruszyła ramionami.

- Być może ty miałeś więcej do stracenia. Jimmy potrząsnął głową.

- Nie wiem. Brakuje mi go. Jednak jednocześnie nic nie mogę poradzić na to, iż czuję, że gdyby Ryan tu był, wtedy nie byłoby...

Nie powiedział „ciebie”, ale Verity i tak wiedziała, co miał na myśli. Jimmy skinął głową, a po chwili schylił się i kontynuował zamiatanie podłogi dwoma kawałkami tektury.

Verity zerknęła na niego. Z profilu widać było, jaki jest szczupły i zwinny. W jego twarzy było coś bardzo chłopięcego i widziała już teraz, że wraz z upływem czasu będzie wyglądał jeszcze lepiej. Patrząc w tej chwili na niego, uświadomiła sobie, że kocha jego twarz.

Kochała wszystkie miny, jakie robił, kiedy się na czymś koncentrował albo kiedy był znudzony lub szczęśliwy, lub smutny, albo jak wyglądał teraz, gdy pracował.

Ale intrygował ją nie tylko jego wygląd. Kochała sposób jego myślenia, wyrażania siebie i to, że kiedy z nim przebywała, nie musiała cenzurować swoich wypowiedzi. Tak dużo czasu spędziła na zatajaniu informacji przed swoją matką i zastanawianiu się, jak by tu wydać się wyrefinowaną w towarzystwie Denny'ego, że nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak wielką radość może dawać swoboda mówienia tego, co się naprawdę myśli. Już samo przebywanie z Jimmym sprawiło, że czuła, iż tak wiele jest tematów do rozmowy i dyskusji. Nie tak jak w przypadku tych głupich, prowadzonych z Denny'ym rozmów o jego sklepie i o tym, gdzie on chciałby surfować, lecz o prawdziwie ważnych sprawach, które w równym stopniu dotyczyły ich obojga.

Teraz, kiedy powoli składała plakat Che Guevary, pomyślała o słowach Jimmy'ego i o tym, co by było, gdyby Ryan wciąż tutaj był. Czuła, że dopóki nie przeciwstawiłaby się swojej matce i nie wzięła za siebie odpowiedzialności, jej także by tu nie było. Wróciła myślami do koncertu i strachu, który pojawił się na chwilę w oczach jej matki podczas ich konfrontacji. Cóż to za ironia, pomyślała Verity, że znana była ze swojego śpiewu i potężnego głosu, podczas gdy prawdziwy głos odkryła tak naprawdę dopiero wczorajszego wieczoru.

- Moja matka ma romans! - Roześmiała się, zaskoczona własnymi słowami.

Jimmy wyprostował się, upuścił tekturę i wytarł ręce w starą szmatę. Jego brwi zmarszczyły się z troską.

- Twoja matka?

- Wiem. Kto by pomyślał? - Verity starała się, by zabrzmiało to nonszalancko, jednak wciąż czuła się niepewnie, wypowiadając te słowa.

- Od jak dawna wiesz? - zapytał Jimmy.

- Gdzieś od roku. Nie byłam w stanie nikomu powiedzieć - przyznała się. - A nienawidzę tajemnic.

- Każdy ma swoje tajemnice. One są częścią życia.

- No cóż, ja nie chcę ich mieć.

- W takim razie nie będziemy mieli.

Powiedział to tak po prostu, jakby tylko stwierdził fakt. I wiedziała, że Jimmy mówił to poważnie.

Przez chwilę panowała cisza. Verity odłożyła plakat.

- Sądzisz, że powinnam powiedzieć mojemu tacie?

- A ty?

- Nie.

Jimmy wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- W takim razie nie mów. Verity nie odpowiedziała.

- Każdy ma swoje własne życie uczuciowe. Nigdy nie uda ci się zrozumieć innych ludzi.

- Pewnie nie.

- I nie możesz się wtrącać, ponieważ nigdy nie jesteś w posiadaniu wszystkich informacji. Może twój tata już wie. Może zawarli pewien rodzaj porozumienia. Skąd możesz o tym wiedzieć.

Verity schyliła się, podniosła z podłogi frisbee i wytarła je z kurzu. Jimmy właśnie się schylał i podnosił stertę gazet. Dziewczyne naszła ochota na psoty, więc rzuciła frisbee prosto w jego pupę.

- Hej! - zawołał Jimmy, kiedy poczuł uderzenie. Jego niebieskie oczy błyszczały, gdy chwycił frisbee i przygotował się, by rzucić je w jej kierunku. Jednak nagle porzucił tę zabawkę i zaczął gonić Verity. Krzyknęła i uskoczyła na bok. Gonili się po wnętrzu kaplicy, dopóki Verity nie zrobiła uniku. Brzuch bolał ją ze śmiechu, a z wysiłku brakowało jej tchu. Wdrapała się na ołtarz.

- To nie fair - wydyszał Jimmy. - To świętokradztwo.

Verity poddała się. Pochyliła się i położyła dłonie na ramionach Jimmy'ego. Chłopak objął ją w talii, a ona skoczyła na drewnianą podłogę. Przez ułamek sekundy, kiedy trzymał ją w powietrzu, a ona wpatrywała się w jego uśmiechniętą twarz, Verity przepełniało szczęście. Po chwili wylądowała i obcas jej buta przebił się przez drewno. Wydała stłumiony okrzyk i upadła.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Jimmy, przykucając, by jej pomóc.

Gdy Verity mocowała się z obcasem, dostrzegła, że pod spróchniałą deską jest wolna przestrzeń. Coś się tam znajdowało, zaledwie kilka centymetrów dalej.

- Popatrz - powiedziała. Kiedy wskazała Jimmy'emu na deskę, obojgu zupełnie wyleciała z głowy ich wcześniejsza gonitwa. - Myślę, że tam pod spodem coś jest.

Jimmy ukląkł i wsadził rękę w dziurę.

- Mam to - rzekł. Ich spojrzenia skrzyżowały się, gdy wyciągnął na wierzch złożony list.

Verity wstała pośpiesznie i obciągnęła sukienkę. Jimmy przysunął się do niej i położył zapieczętowany list na ołtarzu. Verity zdmuchnęła z niego kurz. Papier był bardzo łamliwy, a na wierzchu znajdowała się brązowa pieczęć z wosku, z odcisniętym jakimś herbem.

- Ciekawe, co to jest? - zapytała Verity, przesuwając palcami po pieczęci. - Otworzymy go?

Jimmy spojrzał na nią, po czym ostrożnie przełamał pieczęć, która wydała z siebie cichy dźwięk. Oczy Jimmy'ego były rozszerzone z niecierpliwości, gdy spojrzał na Verity i z powrotem na list. Wspólnie ostrożnie wygładzili arkusz papieru. Pokrywało go zwarte pismo.

- Wow - odezwał się Jimmy, gładząc delikatnie arkusz papieru. - Powinniśmy pokazać to Ellen.

- Jak myślisz, co to jest?

- Nie wiem. - Jimmy przejechał palcem po pierwszej linijce listu.

Verity nachyliła się, ale nie potrafiła odczytać słów. Czowała jedynie bliskość twarzy Jimmy'ego. Przykryła jego dłoń swoją.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie poruszyło. Wspólnie przyglądali się swoim splecionym palcom na suchym pergaminie.

- Wiem, że to filmowali - wyszeptwała. - Ale nasz pocałunek był prawdziwy. Dla mnie.

Jimmy nie poruszył się. Ich dłonie ogrzewało błakające się nad ołtarzem słoneczne światło. Verity poczuła się głęboko związana z Jimmym. Tak jakby złożyli sobie niewypowiedzianą na głos obietnicę.

Oboje podskoczyli, gdy drzwi się otworzyły. Odskoczyli od siebie, kiedy do środka wszedł Ned.

- Dzień dobry - rzucił, patrząc na nich. - Nie spodziewałem się, że was tutaj znajdę.

- Już prawie skończyliśmy porządkowanie - odparł Jimmy, pośpiesznie odsuwając się od Verity i obchodząc ołtarz.

- Nie martwcie się. Nie ma pośpiechu. - Ned uśmiechnął się, kiedy za nim wślizgnął się pies i zaczął szaleńczo obwąchiwać podłogę. - Nie przejmujcie się Wobblesem.

- Znaleźliśmy coś - odezwała się Verity, trzymając w dłoni list.

- Tak? - Ned podszedł bliżej.

- Pod deską w podłodze.

Ned rozłożył arkusz papieru na ołtarzu.

- No, no, no - rzekł, wpatrując się w niego. - Jaki ojciec, taka córka.

- Co? - Jimmy nie zrozumiał.

- Nic takiego - odparł Ned. - Wygląda jednak na to, że Walpole'owie mieli zwyczaj ukrywania swoich zapisków, byśmy my mogli je odnaleźć.

- Czy to coś ważnego? - zapytała Verity.

Ned zerknął na nią znad szkieł swoich okularów, po czym ponownie popatrzył na list.

- Jeszcze nie wiem. Będę musiał przyjrzeć się temu uważniej.

- Tak, no cóż, będziemy uciekać - rzekł Jimmy.

- Hm? - Ned podniósł głowę, wyraźnie nieobecny duchem.

- Ułożyłem wszystko na zewnątrz - odparł Jimmy, rozglądając się za swoją kurtką. - Uznałem jednak, że żadnych z tych rzeczy nie chcę. Ned uśmiechnął się.

- OK. Powiem chłopakom, by wrzucili wszystko do kontenera na gruz.

Gdy wyszli z kaplicy, zobaczyli, że słońce wstało już na dobre i niebo było teraz niebieskie i bezchmurne. Verity popatrzyła na stertę rzeczy, leżących koło drzwi. O ścianę oparty był stary materac, który wyglądał, jakby podziwiał widok. Tuż obok leżały butelki, stare koło i wielki worek ze śmieciami i starymi ciuchami.

- Nie chcesz niczego? - zapytała Jimmy'ego.

- To wszystko wspomnienia. Sądzę, że lepiej się poczuję, gdy to wszystko zniknie.

- Zatrzymajmy latawiec - rzekła Verity, podnosząc go z ziemi.

- Jest twój.

Verity niosła w rękach latawiec, gdy oddalali się od kaplicy.

- I co teraz? - zagadnęła po chwili, uśmiechając się do niego nieśmiało. Pragnęła zapytać: „Co z nami?”, jednak nie chciała wypowiadać na głos tych słów, by nie popsuć tego momentu.

Ale Jimmy zrozumiał jej słowa dosłownie.

- Ja i Rachel musimy urządzić babci pogrzeb i pewnie pójdę też zobaczyć się z rodzicami Ryana. Tylko od nich będzie zależało, czy zgłoszą to na policję.

Verity ujęła jego dłoń. Jimmy popatrzył na nią, a jego oczy były bardziej niebieskie niż kiedykolwiek wcześniej.

- A co z nami? - zapytał miękko, ona zaś kochała go za to, że wspominał o tej jedynej kwestii, która zaprzętała jej myśli.

Verity uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Pewnie mógłbyś się ze mną umówić. Tak się przecież normalnie robi, no nie?

- OK - odparł Jimmy, po czym się roześmiał.

- Co w tym śmiesznego?

Jimmy potrząsnął głową, jednak nadal się uśmiechał.

- OK. Verity Driver, czy umówiłabyś się ze mną?

- Tak, chętnie - odparła zdecydowanie. - To nie było takie trudne, prawda? - zapytała, obejmując ramieniem Jimmy'ego.

- Nie masz pojęcia - rzekł i pocałował ją w czubek głowy, podczas gdy wspólnie schodzili ścieżką na dół.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ned stał w drzwiach kaplicy i przyglądał się, jak Jimmy i Verity coraz bardziej się oddalają. Po chwili zniknęli w zaroślach. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien mieć przypadkiem poczucia winy, że tak ich stąd wyrzucił, szybko jednak odpędził od siebie tę myśl. Wyglądali na dostatecznie szczęśliwych, a poza tym dorastanie polegało przecież na zostawianiu za sobą przeszłości i ruszaniu do przodu, prawda? Prędzej czy później czekało to każdego. Takie jest życie. Spojrzał na stos pozostawionych przy ścianie kaplicy śmieci: połamane płyty, puste butelki, ponaddzierane plakaty i - co wydało mu się dość niezwykle - nie otwarta paczka wędzonego łososia Orkney Island. Jak się można było spodziewać, żadna ze znajdujących się tam rzeczy nie przedstawiała sobą żadnej wartości.

Ned zważył w dłoni otrzymany od nich list. Na samej górze widniała data: dzień, miesiąc i rok. Był, to dokładnie ten sam tydzień, w którym Appleforth House zostało spalone. Na dole odczytał podpis - nie było najmniejszych wątpliwości, że złożył go Alexander Walpole.

Przypomniawszy sobie, jak Ellen zacytowała mu ostatnie słowa, które Caroline Walpole zapisała w swoim sekretnym pamiętniku. Przypomniawszy sobie, że z zainteresowaniem błyszczały jej oczy i że mówiła o Caroline w taki sposób, jakby ta dziewczyna wciąż żyła, a nie należała jedynie do przeszłości. Ned wiedział, że Ellen byłaby podekscytowana także i tym najnowszym odkryciem. I mimo że było zbyt późno, by jakiegokolwiek nowe historyczne dowody zostały wzięte pod uwagę przy odbudowie domu, Ned poczuł dreszczyk wyczekiwania. Najwyraźniej entuzjazm Ellen związany z historią ludzi mieszkających kiedyś w tym budynku przeniósł się także i na niego. Mężczyzna rozłożył list, zastanawiając się jednocześnie, czy jego treść wyjaśni wreszcie, dlaczego Alexander Walpole odebrał sobie życie i spalił swoją piękną rezydencję.

Zanim jednak Ned zdążył przeczytać choćby jedno słowo, jego uwagę odwrócił nagły odgłos parskania. Mężczyzna wsunął ostrożnie list do kieszeni kurtki i wszedł z powrotem do kaplicy. Przyczyna tego hałasu stała się natychmiast jasna. Wokół marmurowej płyty na ścianie skakał Wobbles, próbując osiągnąć ogromnego pająka, który kurczowo trzymał się pajęczyny tuż poza zasięgiem psa. Ned podszedł do ściany i stanowczym ruchem ręki odgonił Wobblesa. Pochylił się,



poprawiając okulary, zerwał pajęczynę z płyty i odrzucił ją na podłogę. Przejechał palcami po literach starannie wyrytych w marmurze. Każda linijka zawierała nazwisko jednego z pochowanych tutaj ludzi, a także jego datę urodzenia i śmierci.

Na płycie znajdowało się jedynie dziewięć nazwisk, co dla Neda nie było zaskoczeniem, jako że kaplica ta została zbudowana w 1804 (jeśli można wierzyć wyrytej nad drzwiami dacie), a główna posiadłość została zniszczona przez Alexandra Walpole'a w 1871 roku. Na pierwszym miejscu wymieniono trzech ostatnich członków rodziny Appleforthów, a następnie zmieniło się nazwisko rodowe, gdyż męska linia rodu się skończyła, a pałeczkę przejęła gałąź rodziny Walpole'ów. Ostatnie wyryte na płycie imię i nazwisko należało do Caroline Walpole, ale Ned wiedział doskonale, iż jej ciała nigdy nie odnaleziono, i jakakolwiek sugestia, że spoczywało ono tutaj, była niczym więcej jak tylko pobożnym życzeniem tego, kto wyrył to nazwisko, czy też w zasadzie jego pracodawcy, Alexandra Walpole'a.

Nie umieszczono tu nazwiska Alexandra Walpole'a. Nie zdziwiło to Neda, jako że znał on okoliczności jego zgonu. Najmłodsza córka Alexandra i jednocześnie jego spadkobierczyni, Henrietta, nie była w stanie nadzorować posiadłości. Tej nocy, której spłonęło Appleforth House, Alexander Walpole wysłał Henriettę wraz z całą służbą do miasteczka. Wiadomość o śmierci ojca okazała się dla tej piętnastoletniej dziewczyny tak traumatyczna, że nigdy więcej nie pojawiła się w swej rodzinnej posiadłości. Prawie natychmiast wyemigrowała do Ameryki do swego wujka i tymczasowego opiekuna.

Jednak Ned znał inny powód - inny niż uraz - dla którego Henrietta porzuciła to, co pozostało z jej rodzinnego domu: poczucie winy. Jonathan Arthur (który poza tym, że był pracodawcą Neda, był także wnukiem Henrietty) pokazał mu list, który wyjaśniał, w jaki sposób Alexandrowi Walpole'owi udało się spotkać ukochanego Caroline, Leona Jacobsona, i przekupić go. Caroline, jak się okazuje, zwierzyła się swojej młodszej siostrze, Henriecie, ze swoich planów ucieczki. Jednak Henrietta była tak przerażona tym, co się może stać z Caroline, kiedy ta porzuci dom rodzinny, że zamiast dochować tajemnicy, o wszystkim powiedziała ojcu. Później oczywiście gorzko żałowała swojej decyzji, mając świadomość, że gdyby tylko trzymała

buzię na kłódkę, zarówno jej siostra, jak i ojciec mogliby żyć długo i szczęśliwie.

- Chodź - rzucił do Wobblesa Ned, nie mogąc się już doczekać, by się przekonać, czy Alexander Walpole przedstawił w swoim liście taką samą wersję wydarzeń.

Wyprowadził psa na zewnątrz, gdzie jasno świeciło wczesnoporanne słońce. Na polanie dostrzegł potężny szary pniak, czarny jak smoła w miejscu, gdzie kiedyś musiał uderzyć piorun. Zanim pies miał czas na to, by w jego głowie zrodził się pomysł ucieczki, Ned przypiął mu smycz, po czym podszedł do pniaka i usiadł na nim. W chwili gdy skończył przywiązywać smycz do wystającego kawałka spalonej kory, Wobbles zaczął skomleć.

- Dobrze już, dobrze - rzucił ze zniecierpliwieniem Ned, sięgając głęboko do kieszeni kurtki, gdzie wyczuwał papierki po słodyczach, żetony do gry w pchełki, karty, patyki od lizaków i inne dziecięce drobiazgi, które gromadził tam tylko z tego powodu, że był tatą. Wreszcie udało mu się zlokalizować to, czego szukał. - To jest łapówka - oświadczył Wobblesowi, kiedy odpakowywał ciastko. - Dam ci czekoladowe ciastko, a ty będziesz za to cicho. Umowa stoi?

Wobbles bez mrugnięcia okiem wpatrywał się w ciastko.

- Rozumiem w takim razie, że tak - rzekł Ned, upuszczając ciastko na ziemię i przyglądając się, jak Wobbles wyrzuca je w powietrze, po czym łapie w pysk i połyka bez gryzienia.

Ned z drugiej kieszeni wyjął list, który dostał od Jimmy'ego i Verity, i położył go sobie na kolanach. W jasnym, dziennym świetle na nowo złączył woskową pieczęć i dojrzał widniejące na niej inicjały - A.S.W. - które rzeczywiście należały do Alexandra Walpole'a, tak samo jak znajdujące się pod nim pozostałości odbicia sygnetu, na którym widniał herb rodziny Walpole'ów. Wtedy Ned nie miał już żadnych wątpliwości: list ten był autentyczny.

- Dziękuję ci, Ned. We wtorek mam spotkanie w Chicago, ale od razu po nim złapię pierwszy wolny lot. - Na drugim końcu linii telefonicznej zapadła cisza. Jonathan Arthur nie miał w zwyczaju przeciągać pożegnań. Nie należał też do ludzi, którzy uzewnętrzniają swoje emocje, Ned nie miał więc pojęcia, jaka była w rzeczywistości reakcja jego pracodawcy na wieści, które mu właśnie zakomunikował. A oto, co mu oznajmił: pradziadek Jonathana Arthura, Alexander Walpole, był nie tylko podpalaczem i samobójcą, lecz także mordercą.

Ned przyglądał się z okna swojego baraku wschodniemu skrzydłu Appleforth House. Jego mury wyglądały tak poważnie i majestatycznie jak piramidy. Niemożliwe wprost było wyobrazić sobie, jak stoją w płomieniach, które wydostają się na zewnątrz przez okna i drzwi, a drewniane belki zamieniają w popiół. Ale do tego właśnie doprowadził Alexander Walpole. Wielkim i umyślnym wysiłkiem woli sprawił, że dach zawałił się na jego głowę - i Ned wreszcie wiedział dlaczego. List, który leżał rozłożony przed nim na biurku i który właśnie przeczytał przez telefon swojemu pracodawcy, stanowił przyznanie się do winy. Alexander Walpole napisał go w noc poprzedzającą swoją śmierć, a następnie w zbudowanej na zboczu klifu rodzinnej kaplicy ukrył go przed oczami wszystkich oprócz Boga. Było to jego ziemskie wyjaśnienie tego, za co - o czym wiedział - przyjdzie mu odpowiedzieć w wieczności.

Z kolei to, co powiedział ziemskim władzom (pod postacią miejscowego sędziego) na temat okoliczności śmierci swojej córki, było kłamstwem.

Tak naprawdę wydarzenia miały taki oto przebieg: po usłyszeniu od Henrietty o zamiarze Caroline, by uciec i wziąć ślub z Leonem Jacobsonem, Alexander Walpole udał się na ich spotkanie na szczycie klifu, by im w tym przeszkodzić. Wbrew temu, co Walpole powiedział później sędziemu, nie udało mu się przekupić Jacobsona. Przekonał się natomiast, że Jacobson jest już na szczycie klifu razem z jego córką i oboje są gotowi do ucieczki. Powiedział im, że gra skończona, jednak oni odmówili mu posłuszeństwa - byli niewzruszeni w swojej wzajemnej miłości i zamiarze wzięcia ślubu. Wtedy Alexander Walpole wpadł w prawdziwą wściekłość. Najpierw uderzył swego sekretarza pistoletem, a kiedy Leon nadal nie chciał ustąpić, zastrzelił go.

Z tego właśnie powodu Caroline Walpole rzuciła się z urwiska w miejscu, które później stało się znane jako Wzgórze Straconych Dusz: nie dlatego, że została zdradzona przez swego ukochanego, i nie - jak wcześniej uważał Ned - przez swoje naiwne, związane z miłością mrzonki. Caroline Walpole rzuciła się ze Wzgórza Straconych Wzgórz, ponieważ zobaczyła, jak jej ojciec zabija jej ukochanego, i wolała umrzeć razem z nim.

Resztę wyznania Alexandra Walpole'a i powód, dla którego Ned (za pełną zgodą Jonathana Arthura) miał właśnie zadzwonić na

policję, stanowiły szczegóły dotyczące miejsca, gdzie zostało ukryte ciało Leona Jacobsona.

Walpole był zbyt przerażony, by ryzykować zrzucenie zwłok z klifu, gdyż fale mogły wyrzucić je na brzeg i mogłaby zostać zidentyfikowana rana po kuli. Zamiast tego zakopał Leona Jacobsona w ziemi razem z jego rzeczami osobistymi (w skórzanej walizie podróżnej, którą Leon miał przygotowaną, by zabrać ze sobą). Następnie Walpole wrócił do Appleforth House i obmyślił historię zdrady Jacobsona, tak by nikt się nigdy nie dopytywał o miejsce jego pobytu.

Ned złożył ostrożnie list. A więc tak to było. Przez cały ten czas mylił się co do Caroline Walpole, tak samo jak wszyscy inni. Ta dziewczyna nie była ofiarą własnej wiary w miłość, a raczej ofiarą nienawiści swego ojca. Uświadomiwszy to sobie, Ned popadł w konsternację. Ellen miała rację, mówiąc, że w śmierci Caroline była zarówno szlachetność, jak i głupota. Ale prawdziwa głupota cechowała jej ojca, zdeteminowanego, by rozdzielić swoją córkę i jej ukochanego. To było prawdziwe źródło zła w tej historii. A także prawdziwego morału: namiętność zdarza się rzadko, prawdziwa miłość jeszcze rzadziej, a ani jedno, ani drugie nigdy nie powinno być marnowane ani niszczone.

Usłyszał za sobą odgłos otwieranych drzwi.

- Ned?

Mężczyzna odwrócił się na fotelu i zobaczył, że w progu stoi Debs. Kasztanowe włosy miała związane - przytrzymał je czarny, błyszczący grzebień w stylu japońskim. Była ubrana w płowe spodnie z kaniem, starannie wyprasowaną czarną koszulę i czarne buty. Ten jej nienaganny wygląd miał najwyraźniej podkreślić troskę, malującą się na jej twarzy.

- Gdzie jest Clara? - zapytał Ned, nagle przestraszony mocą, kryjącą się w pobliskich klifach.

- Na zewnątrz ze Scottem. - Debs weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Wpatrywała się w niego z zakłopotaniem.

- Co się stało? - zapytał.

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć. - Dziewczyna przyglądała się uważnie swoim paznokciom. - Nie przyjdzie mi to łatwo, Ned...

- Co pewnie oznacza, że mi nie będzie łatwo tego wysłuchać? - odgadł Ned.

- Okłamałeś ją, prawda?

- Kogo?

- Ellen Morris. Skłamałeś, w jaki sposób umarła Mary. Powiedziałeś, że jej śmierć była wynikiem wylewu krwi do mózgu.

Tamtego popołudnia w Kotwicy i Nadziei, kiedy Ned rozmawiał z Ellen o Mary... Minęły dwa tygodnie, a on pamiętał to tak dobrze, jakby stało się to zaledwie przed kilkoma sekundami. Pamiętał wszystko, o czym rozmawiali, każdą zmianę wyrazu jej twarzy. Pamiętał nawet sposób, w jaki piła swojego drinka.

- Jeśli chodzi o ścisłość, to choroby mózgu - rzekł, celowo czyniąc to w sposób beznamiętny i pozbawiony uczuć, ponieważ nie miał zamiaru stracić nad sobą kontroli, nie przy Debs. - Nigdy nie zagłębiałem się w żadne szczegóły.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

- W takim razie choroba mózgu...

- O co ci chodzi?

- Dlaczego?

- Dlaczego wybrałem chorobę mózgu, a nie, powiedzmy, raka albo wypadek samochodowy? - zapytał nieszczerze, zły, że został postawiony w tak niezręcznej sytuacji.

Jednak Debs to nie zniechęciło.

- Nie - odparła. - Chodzi mi o to, dlaczego w ogóle skłamałeś?

- Po prostu - odpowiedział krótko Ned.

Odwrócił się i wcisnął klawisz spacji w swoim laptopie, który był w stanie czuwania, odkąd zapomniał go wyłączyć w piątek po południu, kiedy wymknął się do miasta na drinka. Niebieskie niebo, stanowiące wygaszacz ekranu, zniknęło, a w jego miejsce pojawił się arkusz kalkulacyjny, nad którym Ned ostatnio pracował. Zerknął na Debs, ale dziewczyna nie poruszyła się ani o centymetr.

- Jeśli już skończyłaś - odezwał się - to ja muszę wrócić do moich wyliczeń...

- Nie wierzę, byś zrobił to tak po prostu - usłyszał, a w głosie Debs pobrzmiwało wyzwanie. Do tej pory tego tonu używała jedynie w kontaktach z Clarą.

Odwrócił się razem z fotelem, by znaleźć się z nią twarzą w twarz.

- Co?

- Skłamałeś, by się chronić. Ned cały się zjeżył.

- Ach, naprawdę - zaczął. - A skąd ty...

- Ellen nie jest dzieckiem, Ned - przerwała mu Debs. - Nie tak jak Clara. Nie jest osobą, której musisz opowiadać bajki, ponieważ jest za mała, by zrozumieć prawdę.

- Nie bardzo rozumiem, co Clara ma z tym wszystkim... Ale Debs go nie słuchała.

- Nie mogłeś więc okłamywać Ellen dla jej dobra - kontynuowała. - Nie zrobiłeś tego, by ją chronić. Co oznacza, że zrobiłeś to tylko dlatego, by chronić siebie.

Jak ona śmiała próbować go tak zastraszyć, jak śmiała się mieszać w coś, co nie było jej cholerną sprawą?

- Co to ma znaczyć? - zapytał groźnie. - Pozwól mi zgadnąć: zapisałaś się na korespondencyjny kurs kawiarnianej psychologii, tak? Ponieważ tak to dla mnie brzmi: jak kupa głupich...

Debs ponownie mu przerwała:

- Nie trzeba zapisywać się na kurs, żeby dostrzec coś, co ma się pod samym nosem - rzekła spokojnie. - Wiesz, co widzę, odkąd trzy lata temu zaczęłam dla ciebie pracować? Widzę, jak odpychasz od siebie ludzi, Ned, każdego, kto próbuje dowiedzieć się czegoś o tobie i o tym, co cię dręczy. Robisz wszystko, co w twojej mocy, by ich zmylić. Trzymasz ich na dystans. Zrobiłeś to w przypadku Ellen. Robisz to w przypadku wszystkich.

- Wszystkich? - powtórzył kpiąco Ned. - Nie ma kogoś takiego jak wszyscy. To, co mówisz, jest kompletnie pozbawione sensu. Wszyscy? A kto na przykład?

- No właśnie, Ned. I w tym problem. Powodem, dla którego w twoim życiu nikogo nie ma, jest to, że wszystkich już z niego zdążyłeś wykluczyć. W jednej z szuflad w kuchni znalazłam sześć zaproszeń na śluby. Sześć, Ned... - Debs powoli potrząsnęła głową. - To sześć par, których przyjaźń odrzuciłeś. No i twoi rodzice. W ogóle do nich nie dzwonicz, prawda? A kiedy tylko oni dzwonią do ciebie, ty odpowiadasz na ich pytania jak automat i nie zadajesz żadnych w odpowiedzi. I to ja zawsze muszę zawozić Clarę na spotkanie z rodzicami Mary, i to ja zawsze muszę ją potem odbierać, ponieważ ty zachowujesz się tak, jakby oni w ogóle nie istnieli. - Debs ani na chwilę nie przestała patrzeć mu prosto w oczy. - Zachowujesz się tak, jakbyś nie pozwalał odejść pewnej części swojego życia i nikomu nie

chciał jej też pokazać, Ned... Ale czy ty tego nie rozumiesz? To nie jest życie, to śmierć...

Ned wiedział, że powinien na nią nakrzyczeć. Powinien powiedzieć jej, że się myli, udowodnić jej, jak bardzo się myli... A mimo to... mimo to nie odezwał się, ponieważ zabrakło mu słów, które mógłby wykorzystać na własną obronę.

- Nie mówię tego wszystkiego, by cię zranić, Ned - odezwała się wtedy Debs, a w jej głosie nie było już surowości. - Robię to, ponieważ troszczę się o ciebie. Masz trzydzieści sześć lat. Nie dziewięćdziesiąt sześć. Przyglądam się tobie i Clarze. Widzę, jak wiele jest w tobie miłości. Jesteś wspaniałym człowiekiem, Ned. Ale musisz wreszcie pogodzić się z tym, co się stało, i zacząć nowe życie.

Ned miał wrażenie, jakby w pomieszczeniu robiło się coraz ciemniej, jakby słońce przesłoniła potężna chmura. Nagle poczuł, że jedyne, czego pragnie, to, by ta konfrontacja się skończyła. Pragnął zatopić się w swojej pracy albo pić prosto z butelki, albo znaleźć się z powrotem w swoim łóżku, gdzie mógłby leżeć w ciemności i milczeniu, nie musząc usprawiedliwiać przed nikim siebie ani swojego zachowania, nie musząc nawet myśleć.

- Ludzie potrafią zmienić swoje życie na lepsze, Ned - oświadczyła Debs. - Coś takiego zdarza się każdego dnia. Spójrz na Ellen. Spójrz na to, co zrobiła. Spójrz na przyszłość, jaką ona otworzyła przed wami dwojgiem, a którą ty potem zdecydowałeś się odrzucić.

Ellen? Jaka przyszłość?

- O czym ty mówisz? - zapytał.

- Dla ciebie zaryzykowała wszystko - wyjaśniła Debs. - Popatrzyła na swoje dotychczasowe życie, popatrzyła na ciebie i wybrała ciebie. Skończyła z nim, wiesz? Ze swoim chłopakiem. Zerwała z nim, ponieważ ty sprawiłeś, iż ujrzała, że można zbudować lepsze życie.

Ned nie mógł tego dłużej słuchać.

- Wyjdź. - Tylko tyle udało mu się powiedzieć. Spojrzał na wyznacznik Alexandra Walpole'a, na historię

zmarowanej miłości, na historię, która - tak bardzo teraz tego chciał - mogła zakończyć się szczęśliwie. Czekał na odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, oznaczający, że został sam.

- Skończyła już tu pracę, wiesz? - odezwała się Debs. - Wraca do Londynu, a ty się nawet nie pofatygowałeś, by się z nią pożegnać.

Neda ta wiadomość zaboląła wręcz fizycznie. Po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl o możliwości, że nie ujrzy już nigdy więcej Ellen, po czym skupił się na tym i przyznał, co by to mogło oznaczać. Napęliło go to poczuciem beznadziejności i jednocześnie strachem.

Tak właśnie się czuł, kiedy zobaczył prowadzący do łazienki przedłużacz i zrozumiał, że Mary popełniła samobójstwo: było to niczym śmierć, jakby sam umierał, jakby cały jego świat zaczął mu się wymykać z rąk, robił się coraz bardziej niewyraźny, powoli przestawał istnieć. Tyle że tym razem to uczucie było jeszcze gorsze. Ponieważ to właśnie on odepchnął od siebie Ellen. Ponieważ to on mógł sprawić, by wyglądało to zupełnie inaczej.

Usłyszał odgłos zamykających się drzwi.

Ned odwrócił się do równych rzędów cyfr na ekranie. Ale nie był już w stanie ich odczytać. Cyfry te zlały mu się w jedno, jakby były z topniejącego lodu. Dotknął dłonią twarzy i poczuł spływające po policzkach łzy. Jednak nie czuł się źle, wręcz przeciwnie, z każdą sekundą stawał się lżejszy, jakby płynące z jego oczu łzy były z ołowiu.

I wtedy ten wielki węzeł zagmatwanych, sprzecznych ze sobą uczuć do Ellen - pożądania, strachu, nadziei, smutku i radości - w jednej chwili zaczął nabierać sensu. Ponieważ Ned nagle uświadomił sobie, że to, co do niej czuje, to nie węzeł uczuć, lecz jedno uczucie. A co więcej, było to uczucie, na które - jak sobie obiecał - nie miał sobie już nigdy więcej pozwolić.

Wstał, otarł rękawem koszuli twarz, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi, dokładnie wiedząc, co musi teraz zrobić.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ellen czuła uporczywe pulsowanie w głowie, kiedy w poniedziałek wieczorem po raz ostatni jechała do posiadłości Appleforth. Zmarszczyła brwi, gdy skręciła land - roverem na drogę prowadzącą do głównej bramy i zauważyła, że obok ogrodzenia został wbity w ziemię nowy brązowy symbol rodowy.

Już od kilku godzin starała się wyjechać z Shoresby. Chciała wrócić do Londynu jeszcze za dnia, ale chociaż Scott pomógł jej wszystko załadować do samochodu, przez cały czas strasznie to wszystko przeciągał, aż wreszcie uparł się, aby pojechała jeszcze do Appleforth House, gdzie miała odebrać pozostawiony tam przez niego monitor. Przez całą drogę do posiadłości Ellen mruczała na niego pod nosem. Scott doskonale wiedział, że nie jest jej łatwo, dlatego więc akurat dziś nie potrafił się zorganizować? Tak jakby nie miała wystarczająco dużo na głowie bez udawania się do miejsca, w którym bardzo nie chciała się znaleźć. Pewnie będzie już dobrze po północy, kiedy wreszcie uda jej się dojechać do Londynu.

Ellen nie mogła się już doczekać, by się stąd wyrwać, także z tego powodu, że przez ostatnie kilka dni Scott niesamowicie ją irytował. Zdecydował się zostać w domku kilka tygodni dłużej, by dzięki temu być bliżej Debs. Ellen nie miała mu tego za złe, jednak wszystko to zaczynało ją przytłaczać. Czując się marnie, nie potrafiła poradzić sobie z nieustającym optymizmem i radością Scotta. A Debs? Dla Ellen było to już stanowczo za dużo. Debs była za młoda. Za bardzo zakochana. I, co najważniejsze, zbyt silnie związana z Nedom.

Ellen nie była w stanie nic na to poradzić, że jej myśli były gorzkie. Starła się nie myśleć o Nedzie, ale to było niemożliwe. Nadal nie dotarł do niej cały ogrom tego, jak bardzo ten mężczyzna ją zranił. Wciąż była w szoku po tym, co jej powiedział. Sposób, w jaki jej uświadomił, jak mało do niej czuje, był bezduszny i okrutny, jednak jeszcze gorsze było to, że sama wreszcie dostrzegła przerażającą przepaść między oczekiwaniami swoimi a Neda. I ból tej świadomości zwiększał się z każdą upływającą sekundą.

Siła uczuć Ellen zaskoczyła nawet ją samą. Kiedy w poniedziałek udała się na spotkanie z Nedom, nawet nie podejrzewała, jak bardzo mogą się okazać głębokie. Ale teraz było jeszcze gorzej. Ponieważ to, co powiedział Ned, i sposób, w jaki to zrobił, sprawiło, że nie mogła nawet o niego walczyć. Ponieważ ona nic dla niego nie znaczyła. Nic

do niej nie czuł. Dał jej to wystarczająco jasno do zrozumienia. Nie obraziłby się pewnie nawet, gdyby już nigdy więcej jej nie spotkał.

Ellen zgasiła silnik i przez chwilę siedziała w ciszy, wpatrując się w ciemne, nocne niebo. Jestem beznadziejna, pomyślała. Jestem straszna i beznadziejna. Obróciła się i zmusiła, by spojrzeć w kierunku baraku Neda. Nie, żeby miało to jakikolwiek sens. Zniweczył jej ostateczną nadzieję. Nie zawracał sobie nawet głowy, by przyjść na koncert i się pożegnać. Teraz Ellen chciała jedynie wyjechać, dać mu to, czego najwyraźniej tak bardzo pragnął, i sprawić, by odległość między nimi była tak duża, jak to tylko możliwe.

„Jedynie seks”. Słowa Neda rozbrzmiewały echem w jej głowie. Jak mogła okazać się aż tak głupia? To, co się stało, było tylko i wyłącznie jej winą. To ona doprowadziła do tego wszystkiego. Ned przez cały czas dawał jej do zrozumienia, że jest nieosiągalny, a ona go nie słuchała. Karmiła się wyobrażeniami i wyolbrzymionymi uczuciami. Zwodziła samą siebie. Ned jej nie zaufał. Nigdy jej nie ufał. Nie zaufał jej nawet na tyle, by wyznać prawdę na temat śmierci Mary - także po tym, jak ze sobą spali.

Światła w baraku były wyłączone. Ned jest pewnie w domu z Clarą, w miejscu, do którego należy. Ellen zastanowiła się, kiedy on w ogóle zda sobie sprawę z tego, że ona wyjechała. I czy w ogóle się tym przejmie.

Jeśli było coś, za co mogła być wdzięczna, jeden mały promyk nadziei na ocalenie, był to fakt, że nie powiedziała Nedowi, iż rozstała się z Jasonem. Mogła więc przynajmniej zachować tę resztkę godności. Ellen zwierzyła się z tego Scottowi, jednak wymusiła na nim obietnicę dochowania absolutnej tajemnicy. Przyrzekł, że nie piśnie ani słowem na temat jej zerwania z Jasonem. Pragnęła mieć pewność, że Ned nigdy się o tym nie dowie. Nie chciała, by miał satysfakcję z tego, że kompletnie zniszczył jej życie.

Ellen ze znużeniem wyciągnęła telefon komórkowy, przygotowała się psychicznie i wystukała numer Beth. Odebrał Sim, jej mąż.

- Sim, tu Ellen. Ja...

- Dam ci Beth - przerwał jej, a w jego głosie pobrzmiwało szyderstwo. Ellen wzdrygnęła się, słysząc ton jego głosu. Wiedziała, że Jason i Sim są przyjaciółmi, jednak po mężu swojej najlepszej przyjaciółki spodziewała się nieco więcej lojalności.

- Gdzie jesteś? - zapytała po chwili Beth. - George i Harry czekają, by zjeść z tobą kolację.

Ellen potarła oczy. Zupełnie zapomniała, że jej chrześniacy będą na nią czekać z taką niecierpliwością.

- O Boże - jęknęła. - Beth, przepraszam. Jestem jeszcze w Shoresby.

- Jeszcze tam! - wykrzyknęła Beth. - Mogłaś wcześniej do mnie zadzwonić.

- Wiem, wiem. Dzisiejsze pakowanie było po prostu bardzo gorączkowe i się przedłużyło. Przyjadę tak szybko, jak tylko będę mogła. Przepraszam. Ucałuj chłopców ode mnie i powiedz im, że zobaczymy się rano. - Po drugiej stronie panowała cisza i Ellen wiedziała, że nie udało jej się uzyskać przebaczenia. - Och, proszę, nie gniewaj się - rzuciła błagalnie do słuchawki.

- Tak bardzo jestem wam wdzięczna za to, że mogę się u was zatrzymać. Naprawdę. Przepraszam.

- Jason przyniósł dzisiaj twoje rzeczy - odezwała się sztywno Beth. - Twoje ubrania... i inne rzeczy... umieściłam je w wolnym pokoju.

Ellen zamrugnęła, by powstrzymać łzy. Mimo że miała mieszkanie do spółki z Jasonem, to ona je umeblowała i dbała o nie, i zawsze wydawało się ono bardziej jej niż Jasona. Nawet jeszcze nie rozmawiali na temat jej wyprowadzki. A teraz Jason usuwał stamtąd jej rzeczy. Nie musiała pytać, by wiedzieć, że jest on zupełnie wytracony z równowagi.

- Jak on się czuje?

- Jest zdruzgotany, tak to można ująć.

Ellen zamknęła oczy. Czuła się przerażona tym, co się stało, a gniew Beth sprawiał, że czuła się jeszcze gorzej.

- Nie wiem po prostu, jak mogłaś... - kontynuowała jej przyjaciółka.

- Jak mogłam... co?

- Wyrzec się najlepszego, co cię w życiu spotkało, dla jakiegoś idioty, którego znałaś od pięciu minut. No cóż, mam nadzieję, że okazał się tego wart.

- Nie jesteście razem, jeśli to właśnie masz na myśli.

- W takim razie dlaczego?

- Beth, czy musimy rozmawiać o tym w tej chwili?

- Byliście naszymi najlepszymi przyjaciółmi - rzuciła Beth i Ellen dosłyszała w jej głosie łzy.

Ellen zwróciła się akurat do Beth, ponieważ była to jej najstarsza przyjaciółka i sprzymierzeniec, jednak w ciągu tych dziesięciu lat, które przeżyła z Jasonem, on także stał się przyjacielem i sprzymierzeńcem Beth. Teraz Ellen uświadomiła sobie, że nie miała wyłączności na przyjaźń Beth i, co więcej, Beth nie proponowała jej tego.

- Przepraszam - wyszeptała.

- Przyjedź po prostu tak szybko, jak to możliwe - odparła Beth i rozłączyła się.

Ellen otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Zanurzyła się w wietrze, po raz ostatni delektując się słoną bryzą. Wiedziała, że będzie potrzebować całej siły, jaka jej pozostała, by wrócić do Londynu i stanąć twarzą w twarz z Jasonem.

Wiedziała, że jest zły i czuje się zraniony i że trochę potrwa, nim się z tego otrząśnie. Wiedziała też, że powiedzenie Jasonowi, iż jej i Nedowi nigdy nie było pisane bycie razem, nic by nie pomogło. Nie istniała taka możliwość, by Jason jej wybaczył, a poza tym Ellen uświadomiła sobie, że nie chce do niego wrócić. Wciąż zależało jej na Jasonie, prawdopodobnie kochała go nawet i będzie go kochać zawsze. Był częścią jej, jej przeszłości, jedynym partnerem, który wywarł na nią wpływ. Jednak miłość, jaką do niego czuła, nie była już aktywnym uczuciem. Zbyt wiele czasu spędziła, czekając na niego. Czekając, by wrócił do niej, by dał sygnał, że do niej należy. A kiedy to uczynił, było już po prostu za późno. Nawet gdyby mogła się cofnąć w czasie do niedzielnych oświadczeń Jasona z pełną świadomością tego, że między nią i Nede nic się nie wydarzy, i tak postąpiłaby identycznie. Jak mogłaby żyć z Jasonem, skoro wiedziała, że potencjalnie istnieje ktoś taki jak Ned, kto może obudzić w niej tak wielką namiętność?

Jednak myśl o sobie żyjącej w Londynie w pojedynkę napawała Ellen przerażeniem. A jeśli już nigdy nie spotka nikogo takiego jak Ned? Może zostanie jedną z tych otaczających się kotami trzydziestolatek, o których wszyscy opowiadają. A jeśli zestarzeje się w samotności i stanie się pomarszczoną starą panną, której całym światem będzie jedna pełna namiętności noc?

Ellen zadrzała. Skoncentruj się na terażniejszości, nakazała sobie. Na rozmyślania o przyszłości będzie miała wystarczająco dużo czasu, kiedy już wróci do Londynu. Teraz równie dobrze może wreszcie załatwić to, po co tu przyjechała, pomyślała Ellen, zmuszając się, by ruszyć w kierunku budynku. Scott zapewnił ją, że któryś z robotników na pewno będzie na terenie budowy i da jej monitor. Zabierze jej to tylko kilka minut.

Ellen ujęła nową, mosiężną kołatkę, która przytwierdzono do głównych drzwi, i kilkakrotnie zastukała. Nigdy nie wchodziła do tego budynku przez główne drzwi i uderzyła ją teraz myśl, że zjawiała się tu po raz ostatni. Podniosła głowę i popatrzyła na okno nad drzwiami, w którym widniały ozdobne szyby. Tak bardzo by chciała zobaczyć to miejsce już po ukończeniu wszystkich prac i poznać Jonathana Arthura, kiedy przybędzie, by ocenić dzieło Neda. Jednak wiedziała, że to się nigdy nie zdarzy. Jej czas się skończył. Nigdy nie zobaczy tego domu wykończonego.

Przez chwilę nic się nie działo i już miała zamiar ponownie zrobić użytek z kołatki, kiedy usłyszała kroki. Drzwi otworzyły się powoli.

Nic nie mogłoby zaszokować jej bardziej niż widok, który ją powitał. Był to Scott, który miał na sobie filmowy kostium Jimmy'ego. Ellen kompletnie zamurowało. Niecałą godzinę temu przez całe wieki zegnała się ze swoim współlokatorem. Dlaczego i skąd się tutaj wziął?

- Co ty wyprawiasz?

- Tędy, madame - odparł Scott, absurdalnie próbując naśladować wytworny, angielski akcent. Otworzył szeroko drzwi i kłaniając się, zaprosił ją do środka.

- Co? - zapytała z konsternacją Ellen. O Boże, pomyślała i jęknęła w duchu. A jeśli Scott zorganizował coś w rodzaju balu przebierańców? Jednak po tym, co mu wyznała w zeszłym tygodniu, nie mógłby się okazać aż tak mało wrażliwy. A może mógłby? Zdezorientowana Ellen przekrzywiła głowę i wpatrywała się w Scotta, jednak kiedy on nadal nie reagował, weszła wreszcie do środka.

Cały korytarz przystrojony był maleńkimi świeczkami. Przy podwójnych drzwiach stała Debs w kostiumie Verity. Dygnęła, gdy ujrzała Ellen.

- Czy mogę wziąć pani płaszcz, madame? - zapytał Scott. Poważnie już zaniepokojona, Ellen prawie nie poczuła, jak

Scott delikatnie zdejmuje z jej ramion płaszcz ze sztucznego futra z oderwanym skrajem.

- Tędy - ciągnął Scott, przechodząc obok Ellen w kierunku Debs. W tym samym czasie każde z nich ujęło jedną z klamek. Ellen wpatrywała się w nich z mocno bijącym sercem. Wtedy otworzyli drzwi.

Stół bilardowy w jadalni przykryty był obrusem, a na jego środku stał szeroki, srebrny kandelabr, oświetlający na wpół umeblowane wnętrze ciepłym blaskiem. Na obydwu końcach stołu ustawiono porcelanowe talerze i srebrne sztuce.

- Tędy - ponaglił Scott, prowadząc Ellen do stołu. Odsunął dla niej przykrytą poduszką skrzynię, a ona usiadła.

Ellen popatrzyła na Scotta, ale on nadal grał komedię.

- Czy to... czy to... jakiś dowcip?

Scott nie odpowiedział ani słowem, jednak kiedy spojrzała mu w oczy, zauważyła, że się uśmiecha. Mężczyzna nalał jej kieliszek wina, po czym skłonił się i odszedł. Chwilę później Ellen usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

Nie będąc w stanie oddychać, kobieta siedziała sama w tym wielkim pomieszczeniu i obserwowała wysokie świece. Czy to naprawdę... czy to naprawdę mogło oznaczać...

- Pomyślałem, że może miałabyś ochotę na kolację. - To był głos Neda.

Ellen spojrzała na drugi koniec pokoju, gdzie w cieniu stał Ned. Po chwili zrobił krok naprzód i znalazł się w zasięgu światła świec. Ellen gwałtownie wciągnęła powietrze. Miał na sobie elegancką marynarkę i wyglądał tak przystojnie jak jeszcze nigdy wcześniej. Ellen tak się przyzwyczała do oglądania go w starych ciuchach roboczych i zniszczonej, sztruksowej marynarce, że zaskoczona była tym, jak bardzo wyrefinowanie i wytwornie może wyglądać. Bez okularów wydawał się także młodszy i Ellen przypomniało się, jak wyglądał w domku tej nocy, kiedy się prawie pocałowali. Gdy posłał jej uprzejmy uśmiech, coś w jej środku zaczęło drżeć z podekscytowania.

Wtedy otworzyły się boczne drzwi i do środka weszli Debs i Scott, pchając mały wózek.

Dziewczyna bez słowa postawiła przed nią talerz z wędzonym łososiem i szparagami.

Ellen zerknęła na drugi koniec stołu, gdzie Ned był właśnie obsługiwany przez Scotta. Wydawał jej się taki odległy.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna - odezwał się Ned. Kiwnął głową do Scotta i Debs, którzy wyszli bez słowa.

Ellen spojrzała najpierw na Neda, a po chwili na swój talerz. O co w tym wszystkim chodziło? Czy dla Neda był to sposób na przeprosiny?

- Och, chrzanić to - rzucił mężczyzna i wstał. - Prawie zupełnie cię nie widzę!

Ellen parsknęła śmiechem i zakryła dłonią usta, podczas gdy Ned przesunął swoją skrzynię po podłodze i ustawił ją koło niej, na drugim końcu stołu bilardowego. Do eleganckiego stroju włożył robocze buty i Ellen uświadomiła sobie, że teraz kocha go jeszcze bardziej niż wcześniej.

- Miałem postarać się jeszcze o muzykę - rzekł, siadając obok niej. - Przepraszam.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Neda. Było w nim coś nowego. Coś łagodnego.

- Ned, jeśli to... - zaczęła - ...jeśli to ma być jakiś... Mężczyzna uciszył ją, kładąc rękę na jej dłoniach.

- Wiem, że wiesz - rzekł - ale pragnąłem, byś usłyszała to ode mnie.

Ellen popatrzyła na jego rękę, która spoczywała na jej dłoniach.

- Cztery lata temu Mary popełniła samobójstwo. Cierpiała na depresję poporodową. Była chora i... i to jest skomplikowane... skomplikowane jest to, co w związku z tym czuję. Nie jestem pewny, czy udało mi się już rozgryźć moje uczucia.

- Rozumiem.

- Nie chcę rozmawiać o tym dzisiaj wieczoru - kontynuował Ned. - Chcę porozmawiać o tym, ale innym razem, gdyż dzisiaj wieczór jest poświęcony nam.

- Ale ja nie rozumiem - rzekła Ellen. - Nie sądziłam, że ty...

- Wiesz, że powiedziałem ci, iż nie wierzę w drugą szansę? - zapytał Ned.

Ellen skinęła głową.

- No cóż, tak było, dopóki nie uświadomiłem sobie, jak bardzo jej pragnę. Z tobą.

Nie była w stanie uwierzyć w to, co słyszy. Przyglądała się, jak oderwał swoje dłonie od jej rąk i potarł nimi twarz.

- Wiem, że byłem dla ciebie okropny, Ellen. Wiem, że tobą wzgardziłem, okłamałem cię i zraniłem. Ale proszę, musisz mnie wysłuchać.

- Słucham.

Ned wstał, tak jakby wcześniej nie oczekiwał, że ona wyrazi zgodę na jego prośbę. Najwyraźniej spodziewał się walki i wyglądał teraz na zagubionego i zdezorientowanego.

- A może zaczniesz po prostu od początku? - odezwała się łagodnie Ellen. - Powiedz mi, co czujesz. To pomoże.

Ned pokiwał głową, ale chwilę potrwało, nim się odezwał. Popatrzył na nią, a ją zaskoczyła moc jego spojrzenia.

- Wiesz, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, coś mi powiedziało, że jesteś wyjątkowa. Że pojawiłaś się w moim życiu nie bez powodu. Jednak wtedy zignorowałem to. Tak długo nie ufałem swoim instynktom, nie śmiałem słuchać żadnych swoich wewnętrznych uczuć... dlatego udawałem, że nic się nie dzieje, że nic zupełnie nie czuję. - Ned wypuścił powietrze, jednak jeszcze nie skończył. - Prawda jest taka, że mam uczucia. Wiele uczuć. Nie jestem pewny, czy wszystkie z nich są dobre, ale jednak są.

Ellen opuściła wzrok na swoje dłonie.

- Ty sprawiłaś, że zobaczyłem, iż do tej pory nie żyłem. Że jedynie zachowywałem pozory życia, ponieważ część mnie umarła razem z Mary.

- A teraz?

- Och, Ellen, nie masz pojęcia...

- Nie wiem, co powiedzieć - rzekła. - Cieszę się, jeśli okazałam się pomocna. Lepiej się przez to czuję.

Ned opadł przy niej na kolana i chwycił jej dłoń, zmuszając Ellen, by na niego spojrzała.

- O Boże, wszystko robię nie tak. Tu nie chodzi o to, że pogodziłem się ze śmiercią Mary. Tu chodzi o ciebie. O mnie i o ciebie.

- Naprawdę? - wyszeptała.

- Kocham cię, Ellen Morris. Musisz to wiedzieć. Kocham w tobie wszystko. Kocham to, że jesteś silna i potrafisz stawić mi czoło, kocham także to, że jesteś łagodna, że cudownie się dogadujesz z



Clara. Kocham sposób, w jaki sprawiasz, że czuję się wyjątkowo szczęśliwy i pełen życia, przebywając w pobliżu ciebie. Kocham to, że jesteś piękna, bystra i inteligentna. Kocham to, że dzięki tobie poczułem namiętność, o której nie wiedziałem, że jest w ogóle możliwa...

- A więc to nie był jedynie seks? - zapytała Ellen, walcząc ze łzami, a jednocześnie się uśmiechając.

Ned potrząsnął głową.

- Błagam, daj mi szansę, Ellen - wyszeptał. - Nie mogę pozwolić ci odejść.

- Och, Ned. - Po jej policzkach spływały łzy. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego twarzy. - Oczywiście, że nie mam zamiaru odejść. Nigdzie nie odchodzę.

- Przepraszam - rzekł. - Tak bardzo cię przepraszam za to, że cię zraniłem.

Ellen położyła palce na jego ustach.

- Teraz jesteś tutaj. Tylko to się liczy.

- Nie płacz. - Ned delikatnie pocałował jej palce. - Jedz.

- Nie mogę jeść! Jak mam teraz jeść? - jęknęła. Ned roześmiał się i zamknął ją w uścisku.

- Ale ja sądziłem, że pragniesz romantyzmu? Ellen mocno się do niego tuliła.

- A ja myślałam, że ty w to nie wierzysz.

- No cóż, powiedzmy, że to ty sprawiłaś, że ponownie uwierzyłem.

Wpatrywała się w jego oczy, myśląc o tym, jak bardzo jest on przystojny. Oto on, mężczyzna, którego kocha. Jej Ned. Bez słów pochylił się i ją pocałował.

Ellen poczuła się tak, jakby lewitowała, jakby jej całe ciało stapiało się z nim, aż nie wiedziała, kim ani gdzie jest. Każda komórka jej ciała zdawała się pulsować miłością. Uświadomiła sobie teraz, że ten pocałunek oznacza początek jej przyszłości. Że od teraz będzie mogła przeżywać w pełni każdą chwilę, ponieważ już nie czekała. To się już stało. Niemożliwe się stało. Łaskawy Bóg zajrzał w głąb jej duszy i spełnił jej pragnienie. Nie była w stanie wyrazić tego, jak bardzo czuła się teraz szczęśliwa i obdarowana. Jedyne, czego pragnęła ponad wszystko, spełniło się. Odnalazła Neda.

Ned oparł się czołem o jej czoło.

- Cześć - wyszeptała Ellen.

- Zostaniesz w takim razie na kolacji? - zapytał.

- A jak myślisz? - odpowiedziała z uśmiechem. Następnie popatrzyła na stół. - Nie wierzę, że zorganizowałeś to wszystko. Jak to się stało?

- Powiedzmy po prostu, że Debs uświadomiła mi kilka spraw. - Ned oderwał się od Ellen. Objął ją ramieniem. - A w tym Australijczyku masz cholernie dobrego kolegę.

- I tylko pomyśleć... Przeklinałam go przez cały dzisiejszy dzień - odparła Ellen, pragnąc uściskać Scotta.

Ned uśmiechnął się i odwrócił, by spojrzeć przez okna. Ellen podążyła za jego wzrokiem i ujrzała migocące w oddali światła Shoresby. To był najbardziej romantyczny widok, jaki miała okazję widzieć do tej pory.

- Jest pięknie - westchnęła. - Ten dom jest piękny. Alexander Walpole byłby z ciebie dumny.

- Aha - rzekł Ned. - Tak, a jeśli chodzi o Walpole'ów...

- Co? - zapytała Ellen, zaalarmowana tonem jego głosu.

- No cóż, być może będziesz chciała na nowo przemyśleć ich historię.

- Dlaczego?

Ned sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej stary, wyblakły list.

- Dlatego - rzekł.

Ellen próbowała zabrać mu list, ale Ned go nie puszczał.

- Co jest w nim napisane? - zapytała.

- No cóż, a może... - Ned ponownie wziął ją w ramiona - ...porozmawiamy o tym jutro. Kiedy się obudzimy. Albo pojutrze. Albo jeszcze następnego dnia...